

NORA ROBERTS

NIEBO MONTANY

Ten świat, który widać z tej i z tamtej strony, Zawsze łatwo można w głębi serca schronić; Do błękitu, który rozciąga się w górze, Często się wyrywa rozmarzona dusza. Serce, jeśli zechce, bez trudu odtrąci Poza zasięg ręki i morza, i lądy; Dusza zdoła niebo na dwoje rozdzielić, By Bóg mógł przez szparę przyglądać się Ziemi. Ale Wschód i Zachód w głębi twego serca stworzą całość, której nie zdołasz rozerwać; A gdy ktoś ma duszę nieczułą na piękno, Niebawem na głowę zwali mu się niebo.

Edna St. Vincent Millay

CZEŚĆ PIERWSZA
JESIEŃ

Ten piękny i przerażający rok...

A.E. Housman

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Śmierć Jacka Mercy'ego wcale nie zmieniła faktu, że był on sukinsynem. Zmarł zaledwie siedem dni temu. Był to czas zbyt krótki, by odsunąć w niepamięć krzywdy, które wyrządził w ciągu sześćdziesięciu ośmiu lat życia. Opinię tę podzielała zresztą większość zgromadzonych nad jego grobem osób.

Taką samą uwagę Bethanne Mosebly wyszeptała mężowi na ucho, gdy stali w wysokiej, zarastającej cały cmentarz trawie. Prawdę mówiąc, uroczystość pogrzebowa wcale jej nie interesowała. Przyszła na nią jedynie ze względu na ogromną sympatię, którą darzyła Willę. Powtarzała to mężowi przez całą drogę z Ennis, nie przestawała mówić o tym także i teraz.

Bob Mosebly, jak przystało na człowieka, który już przez czterdzieści sześć lat wysłuchiwał nieustannej paplaniny swej żony, jedynie chrząknął i puścił jej słowa mimo uszu. Tak samo zresztą potraktował monotonną mowę wygłaszaną przez kaznodzieję.

I to wcale nie dlatego, by choć trochę lubił Jacka. Nienawidził starego durnia w takim samym stopniu, jak wszyscy mieszkańcy Montany.

Ale co komu przyjdzie z obgadywania nieboszczyka, pomyślał Bob. Był zresztą święcie przekonany, że moce piekielne zrobią wszystko, by upomnieć się o duszę tego drania.

Ranczerzy, kowboje, kupcy i politycy tłoczyli się na niewielkim skrawku ziemi położonym niedaleko brzegów Missouri, w spokojnym, ocienionym przez wysokie pasmo Gór Skalistych zakątku rancza Mercy. To tutaj, w miejscu, gdzie zazwyczaj wśród wzgórz pasie się bydło, a konie tańczą na zalanych słońcem pastwiskach, od pokoleń pod gęstą, falującą trawą grzebani są zmarli członkowie rodziny Mercych.

Teraz przyszła kolej na Jacka. Już wcześniej zamówił dla siebie trumnę z drzewa kasztanowego. Jej wnętrze wyłożone było białym atlasem, na zewnątrz znajdowały się złoczone napisy, a w godło rancza wpleciono ozdobną literę „M”. Spoczywający w trumnie Jack miał na nogach buty z wężowej skóry, na głowie najstarszy i najbardziej ulubiony filcowy kapelusz z szerokim rondem, natomiast w ręce trzymał bat.

Jack postanowił, że nawet śmierć nie zdoła powstrzymać go od drwin z wszystkich i z wszystkiego.

Chodziły słuchy, że Willa, postępując zgodnie z instrukcjami ojca, zamówiła już nagrobek. Będzie wykonany z białego marmuru, a nie ze zwyczajnego granitu jak ten, który stał na grobie Jacksona Mercy'ego. Ma się na nim znaleźć tekst ułożony przez samego Jacka:

Tutaj spoczywa Jack Mercy.

Żył tak, jak chciał i umarł tak, jak tego pragnął.

Niech piekło pochłonie tych, którym się to nie podobało.

Gdy tylko ziemia nieco osiadzie, pomnik ten stanie wśród wielu innych nagrobków przechylających się na kamienistym terenie. Jest ich już w tym miejscu sporo. Najstarszy należy do pradziadka Jacka Mercy'ego - Jebidiaha, który przywędrował tu zza gór i przywłaszczył sobie tę ziemię, najnowszy - do ostatniej z trzech żon Jacka, jedynej, która zmarła, zanim zdołał się z nią rozwieść.

Czy to nie ciekawe, zastanawiał się Bob, że wszystkie żony Mercy'ego obdarowały go córkami? Jakby na przekór temu, że tak bardzo pragnął mieć syna. Zdaniem Boba, w taki właśnie sposób Pan Bóg zadrwił sobie z człowieka, który szedł po trupach, aby osiągnąć to, czego chciał, i któremu udawało się to w każdej dziedzinie, poza tą jedną.

Bob całkiem nieźle pamiętał wszystkie żony Jacka, chociaż żadna z nich nie mieszkała na ranczu zbyt długo. Wszystkie miały klasę, to samo zresztą można powiedzieć o ich córkach. Bethanne, gdy tylko dowiedziała się, że dwie starsze siostry Willi zjawią się na pogrzebie, długie godziny spędziła przy telefonie. Żadna z nich, od chwili kiedy nauczyła się chodzić, nigdy nie stanęła na ziemi należącej do rancza Mercy.

Jack w ogóle nie chciał ich znać.

Tylko Willi nie zdołał się pozbyć. Została tutaj, ponieważ jej matka zmarła, zanim jeszcze dziewczynka wyrosła z pieluch. Nie miała żadnych krewnych, którzy mogliby się nią zaopiekować, w związku z tym Mercy przekazał Willę w ręce gospodyni, a Bess wychowała ją najlepiej, jak umiała.

Bob, przyglądając się bacznie spod szerokiego ronda swego kapelusza, zauważył, że wszystkie córki Jacka są do siebie trochę podobne. Mają ciemne włosy i taki sam kształt podbródka. Bez trudu można stwierdzić, że to siostry, chociaż w rzeczywistości w ogóle się nie znają i nigdy wcześniej się nie spotkały. Nie wiadomo, czy będą w stanie się dogadać. Przyszłość pokaże również, czy Willa odziedziczyła wystarczająco dużo cech Jacka Mercy'ego i czy w związku z tym zdoła pokierować ranczem o powierzchni dwudziestu pięciu tysięcy akrów.

Willa przez cały czas myślała o ranczu i o tym, co trzeba jeszcze zrobić. Ranek był jasny, a powietrze niezwykle przejrzyste. Wzgórza mieniły się niezwykle, śmiały i niemal klującymi w oczy barwami. Góry i doliny pokrywał kobierzec o bajecznych, jesiennych kolorach, a od zachodnich stoków Gór Skalistych wiał ciepły, suchy wiatr. Chociaż był to dopiero początek października, a temperatura pozwalała na noszenie odzieży z krótkimi rękawami, nikt nie próbował nawet przewidywać, jaką pogodę przyniesie następny

dzień. Wysoko w górach spadł już śnieg. Wyraźnie widać było jego płyty leżące na szczytach, biel nieśmiało zaczęła również obejmować lasy. Trzeba spędzić bydło, sprawdzić ogrodzenie, usunąć wszelkie uszkodzenia, a potem ponownie wszystko skontrolować. Pora również zasiać ozimą pszenicę.

Teraz to wszystko jest na jej głowie. Willa w tym momencie zdała sobie sprawę, że ranczo Mercy nie należy już do Jacka. Należy do niej.

Kaznodzieja mówił o życiu pozagrobowym i o szczęściu czekającym wszystkich w niebie. Willi przyszło na myśl, że Jack Mercy plunąłby na szczęście, które by się nie wiązało z jego światem. A jego światem była Montana, dzika kraina gór i łąk, ojczyzna orłów i wilków.

Tak, ojciec z pewnością nie czułby się dobrze ani w niebie, ani w piekle.

Spokojnie obserwowała, jak czwórka mężczyzn spuszcza pretensjonalną trumnę w głąb ziemi. Willa swą złocistą cerę zawdzięczała słońcu, a także indiańskiej krwi płynącej w żyłach jej matki. Ciemne, niemal czarne włosy tuż przed pogrzebem pospiesznie zaplotła w warkocz. Równie ciemne oczy spoglądały w tej chwili nieruchomo na skrzynię, w której spoczywało ciało jej ojca. Willa nie włożyła na głowę kapelusza, a słońce dodawało jej oczom niezwykłego blasku. Dotychczas nie pojawiła się w nich ani jedna łza.

Miała pełną godności twarz, wystające kości policzkowe i szerokie, dumne usta. Ciemne, egzotyczne oczy, spoglądające spod ciężkich powiek, otoczone były gęstymi rzęsami. Mając osiem lat spadła z rozjuszonego, dzikiego mustanga i złamała przegrodę nosową. Uważała jednak, że lekkie przekrzywienie nosa w lewą stronę dodaje jej twarzy charakteru.

Charakter miał dla Willi dużo większe znaczenie niż uroda. Doskonale wiedziała, że mężczyźni nie szanują pięknych kobiet. Oni je po prostu wykorzystują.

Stała prawie nieruchomo, a wiatr igrał w jej włosach. Oddzielał od warkocza pojedyncze pasemka i podrzucał je w niespokojnym tańcu. Willa była dwudziestoczteroletnią kobietą średniego wzrostu, o smukłej, ale silnej budowie ciała. Miała na sobie źle dopasowaną czarną sukienkę i eleganckie czarne buty na wysokich obcasach, które najwyraźniej dzisiaj po raz pierwszy wyjęte zostały z pudełka. Jej serce wypełniał bezbrzeżny, niewymowny smutek.

Na przekór całemu światu kochała Jacka Mercy'ego. Dotychczas nie zamieniła nawet słowa z dwiema obcymi jej kobietami - siostrami, które przyjechały na pogrzeb swego ojca.

Na moment, na jedną krótką chwilę, przeniosła wzrok na grób Mary Wolfchild Mercy. Willa w ogóle nie pamiętała matki spoczywającej pod niewielkim kopczykiem, na którym

rosły polne kwiaty, kwitnące i mieniące się w jesiennym słońcu jak drogocenne kamienie. To dzieło Adama, pomyślała, i skierowała wzrok na przyrodniego brata. On jeden wiedział, że jej serce jest pełne łez, których nie widać na twarzy.

Kiedy Adam dotknął jej ręki, zacisnęła mocno palce na jego dłoni. Tylko on został jej na świecie. Oprócz niego nie miała żadnej rodziny.

- Żył tak, jak chciał - powiedział Adam półgłosem. Mówił spokojnie i łagodnie. Gdyby byli sami, Willa mogłaby odwrócić się, oprzeć głowę na jego ramieniu, a on pocieszyłby ją i ukoił jej smutek.

Tak, wiem. Ale już od nas odszedł. Ten rozdział dobiegł końca.

Adam spojrzał na dwie pozostałe córki Jacka Mercy'ego i przyszło mu na myśl, że jednak zaczyna się coś nowego. - Musisz z nimi porozmawiać, Willo.

- Zapewniłam im dach nad głową i jedzenie. - Celowo spojrzała na grób ojca. - Uważam, że to wystarczy.

- Przecież to twoja rodzina.

- Nie, Adamie. Ty jesteś moją rodziną. Z nimi nic mnie nie łączy. Odwróciła się od niego i zaczęła przyjmować kondolencje.

Sąsiedzi zeszli się w domu zmarłego. Nikt nie był w stanie zmienić głęboko zakorzenionej tradycji, tak samo jak nikt i nic nie mogło powstrzymać Bess, która trzy dni spędziła w kuchni, by przygotować odpowiednią ilość jedzenia na stypę. Willa uważała, że jest to cholerne zwracanie głowy. Jej zdaniem nikogo nie sprowadzał tutaj żal po zmarłym, większość gości przyszła wiedzona zwykłą, ludzką ciekawością. Część osób wypełniających teraz dom bywała w nim wcześniej, większość jednak nigdy nie miała możliwości zobaczenia jego wnętrza. Śmierć Jacka umożliwiła im dostanie się tutaj i byli z tego niezmiernie zadowoleni.

Główny budynek mieszkalny był atrakcją turystyczną w stylu Jacka Mercy'ego. Niegdyś, mniej więcej sto lat temu, stała tu chata z drewna i gliny. Obecnie w tym miejscu znajdowała się obszerna, wzniesiona bez jednolitego planu budowla z kamienia, drewna i szkła. Na błyszczących sosnowych parkietach i lśniących kafelkach położone były dywany i dywaniki pochodzące z najróżniejszych zakątków świata. Jack Mercy uwielbiał kolekcjonować przedmioty. Kiedy stał się właścicielem rancza Mercy, przez pięć lat robił wszystko, by zamienić piękny niegdyś dom w miejsce odpowiadające jego własnym wyobrażeniom.

Mawiał, że bogacze powinni otaczać się bogactwem.

Tą właśnie zasadą kierował się w swym życiu. Zbierał obrazy i rzeźby, dobudowywał

pokoje, w których można było wystawiać zgromadzone dzieła sztuki. Hol był przestronnym pomieszczeniem o bardzo wysokim sklepieniu. Na posadzce kafelki w kolorach drogich kamieni - szafirów i rubinów - tworzyły powtarzający się wielokrotnie znak rancza Mercy. Schody prowadzące na pierwsze piętro wykonane były z lśniącego, dębowego drewna, a rzeźbiony słup, podtrzymujący poręcz, miał kształt wyjącego wilka.

W holu zebrało się bardzo dużo ludzi. Wielu z nich ze zdumieniem rozglądało się dookoła, starając się równocześnie nie wypuścić z rąk talerzy. Inni tłoczyli się w salonie o powierzchni jednego akra. Stąpali ostrożnie po wypolerowanej podłodze i podziwiali wspaniałą sofę, obitą jasną, niemal kremową skórą. Nad wyłożonym rzeczonymi kamieniami kominkiem wisiał olbrzymi obraz, przedstawiający Jacka Mercy'ego naturalnej wielkości, siedzącego na czarnym ogierze. Jack miał uniesioną głowę, zsunięty do tyłu kapelusz, a w ręce trzymał zwinięty bat. Wielu z obecnych miało wrażenie, że spoglądające z portretu surowe, niebieskie oczy miotają na nich przekleństwa, zupełnie jakby Jack denerwował się, że sączą jego whisky i wznoszą toasty, by uczcić jego śmierć.

Dla Lily Mercy wszystko wydawało się tu przerażające. Dom, ludzie, gwar. Ojciec pozbył się jej, gdy tylko przyszła na świat, nie znała więc ani tego domu, ani kręcących się po nim ludzi. Natomiast pokój, który poprzedniego dnia zaraz po przyjeździe przydzieliła jej gospodyni, był naprawdę uroczy. W dodatku taki cichy, pomyślała, zbliżając się równocześnie do poręczy werandy. Najbardziej podobało jej się łóżko z pięknego, złocistego drewna, wyraźnie odcinające się na tle atlasowej tapety.

Samotność.

Kiedy spoglądała na góry, marzyła o samotności. Cóż to za góry, pomyślała, takie wyniosłe i surowe, w niczym nie przypominające niewysokich, łagodnych wzgórz w jej rodzinnej Wirginii. No i to niebo - wywołujący dreszcz, bezkresny błękit pochylony nad ciągnącą się bez końca krainą.

Nieustannie falujące równiny i wiatr, który pędzi donikąd. Wzgórza i równiny eksplodujące fantastycznym, jesiennym bogactwem barw.

Dolina, w której położone jest ranczo, to miejsce o jakiejś tajemnej mocy i urodzie. Tego ranka Lily widziała przez okno jelenia, który pił wodę ze srebrzystego strumyka. Słyszała rzenie koni, głosy ludzi, pianie koguta i, tak przynajmniej jej się wydawało, krzyk orła.

Była ciekawa, czy gdyby miała odwagę zagłębić się w rosnące na wzgórzach lasy, udałoby się jej zobaczyć łosia, wapiti albo lisa. Lecąc tu samolotem, z ogromnym zainteresowaniem przeczytała książkę o tych zwierzętach.

Zastanawiała się, czy będzie mogła zostać tu o dzień dłużej; rozważała również, dokąd pójdzie i co zrobi, jeżeli każą jej wyjechać.

Nie mogła wrócić na Wschód, jeszcze nie teraz. Z uczuciem zażenowania dotknęła palcami żółtawego sińca, który szpecił jej twarz. Bardzo się starała ukryć go pod grubą warstwą makijażu, osłonić okularami słonecznymi. Jesse znowu ją znalazł. Była bardzo ostrożna, a on i tak zdołał ją odszukać. Decyzje, które zapadły w sądzie, nie powstrzymały jego pięści. Nie pierwszy zresztą raz. Nie powstrzymał go rozwód, nie powstrzymały go przeprowadzki ani ucieczki.

Pomyślała jednak, że może właśnie tutaj, oddalona od niego o tysiące kilometrów, zagubiona na tych rozległych terenach, mogłaby wreszcie rozpocząć nowe życie. Życie bez strachu.

Wiadomość od adwokata, który poinformował ją o śmierci Jacka Mercy'ego i prosił o przyjazd do Montany, była prawdziwym darem opatrności. Koszty podróży miała z góry opłacone, wymieniła jednak bilet lotniczy pierwszej klasy na gotówkę i okrężną trasą przeleciała kraj, korzystając przy tej okazji z trzech różnych nazwisk. Bardzo chciała wierzyć, że Jesse Cooke tym razem nie będzie w stanie jej odnaleźć.

Miała już dość ciągłych ucieczek i życia w panicznym strachu.

Zastanawiała się, czy uda jej się przeprowadzić do Billings albo do Heleny i podjąć tam pracę. Jakąkolwiek pracę. Przecież potrafi robić parę rzeczy. Może pracować jako nauczycielka, umie również posługiwać się klawiaturą. Być może, nim ponownie stanie na nogi, zdoła wynająć jakieś niewielkie mieszkanie albo przynajmniej osobny pokój.

Patrząc na rozległą, wspaniałą, a zarazem przerażającą przestrzeń, pomyślała, że chętnie zostałaby tutaj na stałe.

Wydawało jej się nawet, że w jakiś sposób należy do tego świata. Kiedy czyjaś dłoń dotknęła jej ramienia, odskoczyła przerażona. Jesse był blondynem, natomiast stojący obok niej mężczyzna miał ciemne, opadające na ramiona włosy i opaloną na brąz skórę. Do tego niezwykle życzliwe, ciemne oczy i piękną twarz.

Ale Jesse również był bardzo atrakcyjny. Dlatego wiedziała, jak okrutni potrafią być ludzie obdarzeni niezwykłą urodą.

- Przepraszam. - Adam mówił bardzo łagodnie i najwyraźniej starał się ją uspokoić, tak jak uspokaja się przestraszonego szczeniaka lub chore źrebię. - Nie miałem zamiaru pani zaskoczyć. Przyniosłem mrożoną herbatę. - Uniósł jej drżącą dłoń i włożył w nią szklanekę. - Powietrze jest dzisiaj bardzo suche.

- Dziękuję. Nie słyszałam, że pan się do mnie zbliża. - Zgodnie ze swym zwyczajem, z

którego nawet nie zdawała sobie sprawy, Lily cofnęła się o krok i zwiększyła dzielący ich dystans. Bezpieczna odległość. - Właśnie się... rozglądałam.

Tu jest tak pięknie.

- Tak, rzeczywiście.

Wypiła parę łyków, a równocześnie z całych sił starała się zachować spokój i okazać uprzejmość. Ludzie zadają mniej pytań, kiedy rozmawiają z osobą opanowaną. - Czy pan tu gdzieś mieszka?

- Tak, nawet bardzo blisko stąd. - Uśmiechnął się, podszedł do poręczy i pokazał ręką na wschód. Podobał mu się jej głos, ciepły, z lekkim południowym akcentem. - W małym białym domku, po drugiej stronie stajni.

- Widziałam go. Miał niebieskie okiennice i niewielki ogródek. Na podwórku spał mały czarny piesek. - Lily przypomniała sobie, że ten domek wydał jej się taki swojski. Dużo miłszy niż główny budynek mieszkalny.

- To Groszek. - Adam uśmiechnął się ponownie. - Oczywiście mówię o psie. Uwielbia odgrzewany groch. A ja jestem bratem Willi. Nazywam się Adam Wolfchild.

- Aha! - Przez moment z wahaniem spoglądała na jego wyciągniętą dłoń, a potem zmusiła się do podania swojej. W tej chwili rzeczywiście dostrzegła pewne podobieństwo między nimi. Oboje mieli wystające kości policzkowe i ciemne oczy. - Nie wiedziałam, że Willia ma... To znaczy, że jesteśmy...

- Nie. - Jej dłoń wydawała mu się tak krucha, że puścił ją bardzo delikatnie. - Wy miałyście wspólnego ojca. Willa i ja mieliśmy wspólną matkę.

- Rozumiem. - W tym momencie uświadomiła sobie, że prawie w ogóle nie myślała o człowieku, którego właśnie pochowano. Zrobiło jej się wstyd. - Czy byliście sobie bliscy, pan i pański ojczym?

- Był człowiekiem, któremu obca była jakakolwiek zażyłość. - Słowa te wypowiedział zwyczajnie, bez cienia goryczy. - Widzę, że źle się pani u nas czuje. - Zauważył, że trzyma się z daleka od ludzi i unika kontaktu z kimkolwiek, jakby przypadkowe dotknięcie mogło ją zranić. Dostrzegł również widoczne na jej twarzy ślady przemocy, które tak bardzo starała się ukryć. - Nikogo tu nie znam.

Ktoś wyrządził jej ogromną krzywdę, pomyślał Adam. Ludzie skrzywdzeni zawsze przyciągali jego uwagę. Była śliczna i serdecznie jej współczuł. Miała na sobie schludny, czarny kostium i buty na wysokich obcasach. Była zaledwie dwa, może trzy centymetry niższa od niego i zdecydowanie za szczupła jak na swoje sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Ciemne włosy o kasztanowym połysku opadały jej na plecy delikatnymi falami i w

jakiś sposób przypominały mu skrzydła anioła. Nie widział jej oczu, które ukryła za okularami słonecznymi, był jednak niezmiernie ciekaw, jakiego są koloru i co jeszcze byłby w stanie z nich wyczytać.

Zauważył, że ma taki sam podbródek jak Jack, ale jej usta są niewielkie i delikatne, jak u dziecka. Kiedy próbowała się do niego uśmiechać, na policzkach pojawiały się nawet nieśmiałe dołeczki. Kremowa, niezwykle delikatna cera bardzo wyraźnie kontrastowała z widocznymi siniakami.

Adam doszedł do wniosku, że jest samotna i przerażona. To może jakiś czas potrwać, ale mimo to musi dołożyć wszelkich starań, by Willa polubiła tę siostrę.

- Muszę zajrzeć do koni - zaczął.

- Rozumiem. - Poczula się zawiedziona, i to ją bardzo zaskoczyło. Przecież chciała być sama. Zawsze lepiej się czuła w samotności. - Nie zatrzymuję pana.

- A może chciałaby się pani przejść ze mną i zobaczyć zwierzęta?

- Konie? Ja... - Nie bądź tchórzem, powiedziała sobie. Ten człowiek cię nie skrzywdzi.

- Tak, chciałabym. Jeżeli tylko nie będę panu przeszkadzać.

- Oczywiście że nie będzie mi pani przeszkadzać. - Nie chciał, żeby się znowu odsunęła, dlatego nie zaproponował jej ramienia. Szli więc obok siebie schodami w dół, a potem wyboistą, tonącą w kurzu drogą.

Kilka osób zauważyło, że wyszli razem, nie obeszło się więc bez komentarzy. W końcu Lily Mercy była jedną z córek Jacka. Zwrócono jednak uwagę, że prawie w ogóle się nie odzywa. Pod tym względem różniła się od Willi, i to bardzo. Willa nie tylko była wygadana, lecz również bez ogródek mówiła to, co myślała.

Jeśli chodzi o najstarszą córkę Jacka, no cóż, ta dziewczyna diametralnie różniła się od Lily. Robiła wrażenie przemądrzałej. Paradowała w ekstrawaganckim kostiumie i na cały świat spoglądała z góry. Wszyscy zauważyli, że stojąc nad grobem swego ojca, wyglądała jak bryła lodu. Prawdę mówiąc, było na co popatrzeć. Jack miał śliczne córki, a najstarsza z nich odziedziczyła jego oczy. Twarde, przenikliwe, niebieskie.

Rzucało się w oczy, że uważa się za lepszą od pozostałych. Ubrana była zgodnie z najnowszą kalifornijską modą, a na nogach miała bardzo drogie buty. Wiele osób pamiętało jednak, że jej matka była hałaśliwą i wulgarną tancerką z Las Vegas. Mimo to ci, którzy ją znali, twierdzili, że była zdecydowanie sympatyczniejsza niż córka.

Tess Mercy nic sobie z tego nie robiła. Wiedziała, że zostanie w tej zapadłej dziurze tylko do momentu, w którym adwokat odczyta ostatnią wolę jej ojca. Weźmie, co do niej należy, choć i tak, z całą pewnością, nie będzie to tyle, ile powinna dostać. Potem szybko

otrząśnie z butów kurz.

- Będę najpóźniej w poniedziałek.

Rozmawiając, nosiła ze sobą telefon. Niespokojnie chodziła tam i z powrotem, wytwarzając wokół siebie nerwową atmosferę. Zamknęła drzwi pomieszczenia, które uznała za kryjówkę. Miała nadzieję, że w ten sposób znajdzie choć odrobinę spokoju. Bardzo się starała nie patrzeć na ogromną liczbę zwierzęcych głów wiszących na ścianach.

- Rękopis jest już gotowy. - Uśmiechnęła się lekko, przeczesując palcami równo przycięty kosmyk ciemnych włosów, które podwijały się poniżej ucha. - Jest cholernie dobry i w poniedziałek znajdzie się w twoich narwanym łapskach. Nie drażnij się ze mną, Ira - ostrzegła swego agenta. - Ja dostarczę ci scenariusz, a ty mi za to odpowiednio zapłacisz. Jestem kompletnie splukana.

Przełożyła telefon do drugiej ręki i zacisnęła usta, nalewając sobie do kieliszka odrobinę brandy. Wciąż jeszcze słuchała obietnic i wymówek płynących ze słuchawki, gdy nagle przez okno dostrzegła Lily i Adama.

To ciekawe, pomyślała i łyknęła brandy. Szara Myszka i Szlachetny Dzikus.

Tess, zanim wybrała się w podróż do Montany, pozbiierała trochę informacji. Wiedziała, że Adam Wolfchild był synem trzeciej i ostatniej żony Jacka Mercy'ego. Miał osiem lat, gdy jego matka wyszła za mąż za Mercy'ego. Wolfchild był w znacznej mierze, a właściwie przede wszystkim, Czarną Stopą. W żyłach jego matki płynęła indiańska krew. Na ranchu Mercy spędził dwadzieścia pięć lat. Przez cały czas pracował przy koniach i nie miał właściwie nic oprócz niewielkiego domku.

Tess chciała mieć znacznie więcej.

Dowiedziała się również, że Lily jest bezdzietną rozwódką i wciąż zmienia miejsce zamieszkania. Mąż wykorzystywał ją jako worek bokserski, przypomniała sobie Tess i z całych sił starała się obronić przed ogarniającą ją falą współczucia. Nie może sobie pozwolić na żadną więź emocjonalną. Przyjechała tu tylko i wyłącznie w interesach.

Zajmując się zawodowo fotografią, matka Lily przyjechała do Montany, żeby utrwalić na kliszy współczesny Dzikie Zachód. Zrobiła zdjęcie Jacka Mercy'ego i została tu na dobre, pomyślała Tess.

Oczywiście była jeszcze Willa. Na samą myśl o niej Tess mocno zacisnęła wargi. Willa była jedyną córką, którą ten stary dureń zatrzymał przy sobie.

No cóż, najprawdopodobniej to ona jest teraz właścicielką rancha, pomyślała Tess i wzruszyła ramionami. No i bardzo dobrze. Niewątpliwie sobie na to zasłużyła. Ale Tess Mercy nie wyjedzie stąd bez swej doli.

Spoglądając przez okno, widziała ciągnące się w oddali falujące, kołyszące się bez końca, puste jak powierzchnia Księżyca równiny. Zadrżała i odwróciła się plecami do okna. Jezu Chryste, jak ona tęskni za Hollywood.

- Do poniedziałku, Ira - warknęła, gdy zaczął ją denerwować głos dochodzący ze słuchawki. - Zobaczymy się w twoim biurze, dokładnie o dwunastej. Potem będziesz mógł wziąć mnie na lunch. - Traktując to jako pożegnanie, odłożyła słuchawkę.

Trzy dni, góra, przyrzekła sobie i uniosła kieliszek brandy w stronę wiszącej na ścianie głowy wapiti. Potem zostawi za sobą przekłete Dodge i wróci do cywilizowanego świata.

- Chyba nie muszę ci przypominać, Will, że na dole są goście. - Bess Pringle stała, trzymając się pod boki, i mówiła takim samym tonem, jakim zwracała się do Willi wówczas, gdy miała ona zaledwie dziesięć lat.

Willa wciągnęła na siebie dzinsy. Bess nigdy nie uznawała takich bzdur jak prawo do prywatności i przed wtargnięciem do sypialni ledwo zapukała do drzwi. Willa odpowiedziała dokładnie tak samo, jak zrobiłaby to, mając dziesięć lat.

- To nie przypominaj. - Usiadła i włożyła buty.

- „Prostactwo” jest słowem składającym się z dziesięciu liter.

- Tak samo jak „masa roboty”, ale to wcale nie zmienia faktu, że trzeba ją wykonać.

- Nie brak tu ludzi, którzy przez jeden jedyny boży dzień mogą wszystkiego dopilnować. Dlatego dzisiaj nie będziesz nic robić. Nie wypada.

Cały kodeks moralny Bess opierał się na zasadzie „wypada - nie wypada”. Gospodyni Jacka była dziwną, chudą jak patyk kobietą. Chociaż z zapalem wiecznego głodomora potrafiła zjeść całą górę ciast, a słodycze uwielbiała jak ośmioletnie dziecko, nigdy nie zdołała się nawet zaokrąglić. Twierdziła, że ma pięćdziesiąt osiem lat i, aby to udowodnić, zmieniła nawet datę figurującą w jej akcie urodzenia. Ogniecie rude, potajemnie farbowane włosy zaczesywała do tyłu w staromodny kok.

Miała szorstki jak kora sosny głos, dziewczęco gładką twarz i zaskakująco ładne zielone oczy w kolorze leśnego mchu. Płaski irlandzki nos sprawiał, że jej twarz miała coś z mopsa. Niewielkie dłonie szybko i wprawnie wykonywały każdą robotę. Równie szybko wpadała w złość.

W dalszym ciągu trzymając się pod boki, podeszła do Willi i spojrzała na nią z irytacją.

- Podnieś ten swój szacowny tyłeczek i zejdź na dół do gości.

- Muszę się zająć ranczem. - Willa wstała. To, że w butach przewyższała Bess o

piętnaście centymetrów, nie miało żadnego znaczenia. Stosunek sił między nimi bardzo często się zmieniał w zależności od sytuacji. — Poza tym oni wcale nie są moimi gośćmi. Wcale ich tu nie zapraszałam.

- Przyszli, żeby wyrazić swój szacunek. Tak wypada.

- Przyszli, żeby pograsować po domu i móc się nieco porozglądać. Już najwyższy czas, żeby sobie poszli.

- Być może część z nich rzeczywiście przyszła powęszyć. - Bess skinęła głową. - Ale wielu z nich przybyło ze względu na ciebie.

- Nie chcę ich tutaj widzieć. - Willa odwróciła się, wzięła do ręki kapelusz, a potem, gniotąc w rękach jego rondo, stanęła i popatrzyła przez okno, z którego widać było góry, ciemne pasmo drzew i ostre szczyty Gór Skalistych, zawierające w sobie całe piękno i tajemniczość tego świata. - Nie są mi do niczego potrzebni. Nie mogę swobodnie oddychać, kiedy wokół kręci się taka masa ludzi.

Bess wahała się przez moment, a potem położyła dłoń na ramieniu Willi. Jack Mercy nie życzył sobie, by jego córka wychowywana była łagodną ręką. Żadnego pobłażania, rozpieszczania ani przytulania. Postawił sprawę jasno, kiedy Willa była jeszcze mała. W związku z tym Bess decydowała się na przytulanie, rozpuszczanie, pobłażanie Willi jedynie wtedy, gdy była pewna, że nikt jej na tym nie przyłapie i nie odeśle z Mercy jak żon Jacka.

- Masz prawo go opłakiwać, kochanie.

- On nie żyje i leży w grobie. Opłakiwanie niczego już nie zmieni. - Mimo to uniosła rękę i zamknęła ją na drobnej, spoczywającej na jej ramieniu dłoni. - On mi nawet nie powiedział, że jest chory, Bess. Nie pozwolił mi, żebym się nim opiekowała przez te kilka ostatnich tygodni. Nie zdążyłam się z nim pożegnać.

- Był bardzo dumnym człowiekiem - powiedziała Bess, myśląc w duszy, że był zwyczajnym egoistą i draniem. - Lepiej, że rak pokonał go tak szybko i że choroba nie wlokła się w nieskończoność. Nienawidziłby sam siebie za swą słabość. Cała jego złość skupiłaby się na tobie.

- W taki czy inny sposób jest już po wszystkim. - Wyglądziła szerokie, okrągłe rondo swego kapelusza i wcisnęła go na głowę. - Muszę zadbać o ludzi i zwierzęta. Nasi pracownicy muszą zobaczyć, że teraz ja kieruję wszystkim. Że ranczem wciąż zajmuje się ktoś z rodziny Mercych. Sądzę, że im szybciej to zauważą, tym lepiej.

- W takim razie rób to, co musisz. - Już dawno temu Bess zrozumiała, że to co wypada, a czego nie wypada, nie ma większego znaczenia, gdy chodzi o sprawy związane z prowadzeniem rancza. - Wróc jednak na kolację. Chciałabym, żebyś wtedy usiadła i zjadła

jak Pan Bóg przykazał.

- Wyrzucić tych wszystkich ludzi z domu, a wtedy siądę i zjem.

Wyszła i skierowała się w lewo, w stronę tylnych schodów, prowadzących do wschodniego skrzydła domu. Wślizgnęła się do przebieralni. Nawet tutaj słyhać było stłumione, przypominające brzęczenie pszczoł odgłosy rozmów prowadzonych w innych pokojach. Od czasu do czasu dobiegał stamtąd nawet pojedynczy wybuch śmiechu. Willa oburzona trzasnęła drzwiami, po czym, zauważywszy dwóch mężczyzn palących na werandzie papierosy, zatrzymała się.

Spojrzała na starszego z nich. Trzymał w ręku butelkę piwa.

- Dobrze się bawisz, Ham?

Sarkazm, który wyraźnie słyhać było w jej głosie, wcale nie uraził Hamiltona Dawsona. To on po raz pierwszy posadził ją na grzbiecie kucyka, on również opatrywał ranę na jej głowie, gdy po raz pierwszy z niego spadła. Nauczył ją posługiwać się lassem, używać strzelby, ściągać skórę z jelenia. Teraz jedynie włożył papierosa w niewielki otwór otoczony posiwiłym zarostem, po czym wypuścił dym, który posłusznie utworzył regularne kółko.

- Mamy - następne kółko dymu - piękne popołudnie.

- Trzeba sprawdzić ogrodzenie wzdłuż północno - zachodniej granicy.

- Zrobi się - powiedział spokojnie, przez cały czas opierając się o balustradę. Był niskim, krępyim mężczyzną o nogach wygiętych jak pałaki. Pracował na ranczu jako zarządca i w związku z tym uważał, że równie dobrze jak Willa wie, co jest do roboty. - Wysłałem kilku ludzi, żeby ponaprawiali uszkodzenia. Natomiast Brewster i Pikle są na halach.

Straciliśmy tam kilka sztuk bydła. Najprawdopodobniej to kuguar. - Zaciągnął się i wypuścił następny kłęb dymu. - Brewster się tym zajmie. Lubi strzelać do kotów. - Kiedy wróci, chcę z nim porozmawiać.

- No pewnie. - Wyprostował się i poprawił kapelusz. - Trzeba zacząć odstawiać cielęta od matek.

- Wiem.

Był pewien, że wie, więc ponownie tylko kiwnął głową.

- Dopilnuję ludzi naprawiających ogrodzenie. Przykro mi, że twój ojciec nie żyje, Will.

Wiedziała, że te proste słowa, wtrącone w rozmowę dotyczącą rancza, są bardziej szczerze i osobiste niż ogromna ilość kwiatów przysyłana przez obcych ludzi.

- Później będę. chciała się przejechać. Skinął głową do niej i do stojącego obok mężczyzny, po czym kołysząc się na swych krzywych nogach, oddalił się w stronę łazika.

- Jak ci leci, Will?

Wzruszyła ramionami. Denerwowało ją, że nie bardzo wie, co ma dalej robić.

- Chciałabym, żeby dzisiejszy dzień dobiegł już końca - powiedziała. - Jutro będzie łatwiej, prawda, Nate?

Nie miał odwagi powiedzieć jej, że bardzo się myli, wobec tego pociągnął z butelki łyk piwa. Przyjechał tu ze względu na nią. Uważał się za jej przyjaciela, był sąsiadem i tak samo jak ona prowadził ranczo. Zjawił się tu również dlatego, że był adwokatem Jacka Mercy'ego. Wiedział więc, że za chwilę legną w gruzach wszelkie żywione przez nią nadzieje.

- Przejdźmy się. - Postawił piwo na poręczy i podał ramię Willi. - Muszę rozprostować nogi.

Trzeba przyznać, że Nathan Torrence miał co rozprostowywać, należał bowiem do ludzi bardzo wysokich. W wieku siedemnastu lat osiągnął sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i nie przestawał rosnąć. Obecnie miał trzydzieści trzy lata i sto dziewięćdziesiąt osiem centymetrów. Był bardzo szczupły. Jasne, kędzierzawe włosy w kolorze słomy schowane były pod kapeluszem. Jego oczy przypominały swym kolorem niebo nad Montaną, a ogorzała twarz wskazywała na to, że dużo czasu spędza na słońcu i wietrze. Miał długie ramiona i duże dłonie, a także długie nogi i ogromne stopy. Mimo to odznaczał się bardzo dużym wdziękiem.

Wyglądał jak kowboj i poruszał się jak kowboj. Gdy chodziło o rodzinę, konie i poezję Keatsa, miał serce miękkie jak puchowa poduszka. Kiedy natomiast trzeba było rozstrzygnąć problemy prawne lub odróżnić dobro od zła, potrafił być twardy jak granit.

Od wielu lat niezmiennie darzył Willę bezgranicznym przywiązaniem. Dlatego z ogromną przykrością myślał o tym, że musi przeprowadzić ją przez piekło i że nic nie jest w stanie na to poradzić.

- Nigdy nie utraciłem nikogo z bliskich - zaczął Nate. - Skłamałbym więc, gdybym powiedział, że wiem, jakie to uczucie.

Willa nie zatrzymywała się. Minęli kuchnię, budynek w którym mieszkali pracownicy zatrudnieni na ranczu, a potem przeszli obok kurnika, z którego dochodziło gdakanie kur.

- Jack nigdy nie pozwolił nikomu zbliżyć się do siebie. W związku z tym, prawdę mówiąc, sama nie wiem, co czuję.

- To ranczo... - Nate poruszył trudny temat, w związku z tym starał się bardzo starannie dobrać słowa. - Tylko rzecząmi trzeba się zająć, o tylu sprawach myśleć i pamiętać.

- Mamy dobrych ludzi, dobre zwierzęta i dobrą ziemię. — Uśmiechnęła się do Nate'a.
- Mamy również wielu przyjaciół.

- Zawsze możesz zwrócić się do mnie o pomoc, Will. Do mnie lub któregokolwiek z sąsiadów.

- Wiem o tym. - Spojrzała mu przez ramię, popatrzyła na wybiegi dla koni, zagrody, przybudówki, domy, a potem dalej, tam, gdzie bezkresne przestrzenie sięgały nieba. - Od ponad stu lat członkowie rodziny Mercych zajmują się tą ziemią.

Hodują bydło, sieją zboże, ujeżdżają konie. Wiem, co trzeba robić, wiem również, jak to robić. A zatem, tak naprawdę, nic się nie zmieni.

Wszystko się zmieni, pomyślał Nate. Za chwilę trzęsienie ziemi nawiedzi świat, o którym właśnie mówiła. Stanie się tak tylko dlatego, że spoczywający już w grobie człowiek miał serce z kamienia. Może w takim razie lepiej byłoby mieć to za sobą. Po co czekać, aż Willa wyprowadzi ze stajni konia lub wsiądzie do łażika i odjedzie.

- Sądzę, że najlepiej zrobimy, jeśli przeczytamy testament - zaproponował.

ROZDZIAŁ DRUGI

Biuro Jacka Mercy'ego znajdowało się na pierwszym piętrze głównego budynku mieszkalnego, a swoimi rozmiarami przypominało raczej salę balową. Ściany wyłożone były drewnem żółtej sosny - drzewa rosnącego na terenie rancza. Gruba warstwa szelaku nadawała boazerii wspaniałą połysk, dzięki czemu cały pokój tonął w złocistym blasku. Z olbrzymich okien rozciągał się widok na rozległe przestrzenie rancza i ciągnące się aż po horyzont niebo. Jack z dumą powtarzał, że przez te pozbawione draperii, a jedynie bogato ozdobione okna jest w stanie zobaczyć wszystko, co powinien widzieć.

Na podłodze leżały dywany, które pochodziły z jego niezwykle bogatej kolekcji. Siedzenia krzesel obite były skórą w różnych odcieniach brązu.

Na ścianach wisiały trofea myśliwskie - głowy wapiti, muflonów, niedźwiedzi i jeleni. W kącie czaił się olbrzymi, czarny grizzly. Miał odsłonięte kły i toczył dookoła wściekłymi, szklanymi oczami. Wyglądał tak, jakby właśnie szykował się do ataku.

W gablocie znajdowała się ulubiona broń Jacka. Była tam strzelba, której używał Henry Mercy, pradziad Jacka, a także kolt peacemaker i browning, z którego Jack zastrzelił niedźwiedzia, mossberg 500, zwany przez niego „odkurzaczem na gołębie” oraz magnum 44, które lubił zabierać ze sobą na polowania.

Był to typowo męski pokój. Zapach skóry i drewna łączył się w nim z delikatną wonią kubańskich cygar.

Wykonane na zamówienie drewniane biurko miało niezliczoną ilość różnych szuflad, szufladek oraz mosiężnych, błyszczących zawiasów. Nate usiadł za nim i zaczął przekładać papiery. Chciał w ten sposób dać każdemu z obecnych czas na zajęcie miejsca.

Tess stwierdziła, że pasuje on do tego miejsca jak wół do karety. Prawnik kowboj ubrany jak na niedzielę, pomyślała i wykrzywiła usta. Mimo to podobał się jej ten szorstki, prowincjonalny typ urody. Nate przypominał jej młodego Jimmy'ego Stewarta, choćby dlatego, że tak samo jak on miał niesamowicie długie ręce i nogi. Poza tym był bardzo przystojny. Jednak wysocy, chudzi mężczyźni noszący wysokie buty do odświętnych ubrań nie byli w jej typie.

Tess marzyła o tym, by mieć już całą tę cholerną sprawę za sobą i móc wrócić do Los Angeles. Oderwała wzrok od Nate'a, przyjrzała się z bliska szczerzącemu kły niedźwiedziowi grizzly, kudłatym łbom muflonów, a potem broni, z której zostały zabite. Co za miejsce, pomyślała, i co za ludzie!

Obok prawnika kowboja siedziała chuda jak tyczka gospodyni z farbowanymi

włosami. Zajmowała krzesło z prostym oparciem. Mocno przyciskała do siebie kościste kolana i skromnie naciągała na nie okropną, czarną jak sadza spódnicę. Dalej znajdował się Szlachetny Dzikus o zapierającej dech w piersiach przepięknej twarzy i zagadkowych oczach. Wokół niego unosił się delikatny zapach koni.

A oto nerwowa Lily, pomyślała Tess, kontynuując swój przegląd. Siedzi z pochyloną głową, jakby chciała w ten sposób ukryć sińce na twarzy, i kurczowo zaciska dłonie. Śliczna, delikatna i bezbronna jak ptaszek, który wpadł między sępy.

Tess poczuła, że coś chwyta ją za serce, więc, aby się nie rozklejać, przeniosła uwagę na Willę.

Kowboj w babskim wydaniu, pomyślała z pogardą. Ponura, najprawdopodobniej głupia, a do tego małowówna. Na całe szczęście w dżinsach, flanelowej koszuli i wysokich butach bardziej jej do twarzy niż w tej workowatej sukience, którą miała na sobie w czasie pogrzebu. Tess doszła do wniosku, że Willa bardzo ładnie wygląda, siedząc na ogromnym, obitym skórą krześle, ze stopą opartą na kolanie. Jej egzotyczna twarz była w tej chwili tak nieruchoma jak gład.

Tess nie zauważyła dotychczas, by z tych ciemnych oczu popłynęła choćby jedna łza, doszła więc do wniosku, że Willa wcale nie kochała Jacka Mercy'ego.

Dla niej to również tylko biznes, pomyślała Tess, stukając niecierpliwie palcami o oparcie krzesła. Przejdźmy zatem do sprawy.

W tym momencie Nate podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy. Przez krótką, nieprzyjemną chwilę odniosła wrażenie, że bez trudu odczytał jej myśli. W związku z tym była święcie przekonana, że całkowicie nią gardzi.

Nic mnie nie obchodzi, co o mnie sądzisz, pomyślała, i z kamiennym spokojem wytrzymała jego wzrok. Po prostu daj mi gotówkę.

- To, co nas czeka, możemy zrobić w dwojaki sposób - zaczął Nate. - Możemy całą sprawę potraktować czysto formalnie.

Wówczas odczytam testament Jacka słowo po słowie, a potem wyjaśnię, co znaczą wszystkie te przekłete, zawile prawnicze określenia. Istnieje również inna możliwość. Mogę zacząć od wytłumaczenia tych terminów, warunków i wszelkich możliwości. - Celowo zerknął na Willę. Jej zdanie było dla niego najważniejsze. - Wybór zależy od was.

- Zrób tak, żebyśmy coś z tego zrozumieli, Nate.

- W porządku. Możemy więc zacząć. Bess, tobie Jack zostawił tysiąc dolarów za każdy rok, który spędziłaś na ranczu Mercy.

Razem trzydzieści cztery tysiące dolarów.

- Trzydzieści cztery tysiące - oczy gospodyni zaokrągliły się ze zdziwienia. - Wielki Boże, Nate, a cóż ja zrobię z taką masą pieniędzy?

Uśmiechnął się.

- No cóż, Bess, myślę, że je wydasz. Jeśli zechcesz, część z nich możesz zainwestować. Służę radą i pomocą.

- Mój Boże! - Oszolomiona tym wszystkim spojrzała na Willę, potem na swoje dłonie i z powrotem na Nate'a. - Mój Boże!

Jeżeli gospodyni dostaje trzydzieści patyków, pomyślała Tess, to ja powinnam otrzymać dwa razy tyle. J a doskonale wiedziałabym, co zrobić z taką masą pieniędzy.

- Kolej na ciebie, Adamie. Zgodnie z porozumieniem zawartym między twoją matką a Jackiem w dniu ich ślubu, otrzymujesz niebagatelną sumkę dwudziestu tysięcy dolarów lub dwuprocentowy udział w ranchu Mercy, co wolisz, do wyboru. Mogę ci podpowiedzieć, że udział procentowy jest korzystniejszy niż gotówka, ale decyzja należy do ciebie.

- Przecież to jest za mało - wybuchnęła Willa.

W tym momencie Lily podskoczyła na krześle, a Tess uniosła brwi.

- To nie jest w porządku. Dwa procent? Adam pracuje na tym ranchu od ósmego roku życia. On...

- Willo. - Siedzący bezpośrednio za nią Adam położył rękę na jej ramieniu. - To wystarczy.

- Do diabła, to nie wystarczy! - Nie mogąc się pogodzić z tak jawną niesprawiedliwością, odepchnęła jego rękę. - Mamy jedną z najlepszych stadnin w Montanie. To dzieło Adama.

Uważam, że te konie powinny teraz należeć do niego, tak samo dom, w którym mieszka. Powinno mu się dać ziemię i pieniądze, żeby miał za co ją zagospodarować.

- Willo. — Adam spokojnie po raz drugi położył dłoń na jej ramieniu. - O tyle prosiła nasza matka. Więc tyle dał.

Uspokoila się, ponieważ obserwowali ich obcy ludzie, a także dlatego, że protest niczego by tu nie zmienił. Zanim jeszcze skończy się dzień, poprosi Nate'a o sporządzenie nowych dokumentów i naprawienie tej niesprawiedliwości.

- Przepraszam. - Spokojnie położyła dłoń na szerokim oparciu krzesła. - Możesz iść dalej, Nate.

- Rancho i wszystko, co do niego należy — zaczął ponownie Nate - a więc zwierzęta, sprzęt, pojazdy, prawo do wyrębu... - zrobił przerwę, by przygotować się psychicznie do budzącego w nim nieprzewyciężoną odrazę zadania, które musiał wykonać. Wiedział, że za

chwile pogrzebie ludzkie nadzieje. - Ranczo Mercy będzie w dalszym ciągu funkcjonowało tak jak dotychczas. Nie zmieni się sposób ponoszenia wydatków, wypłacania wynagrodzeń, lokowania zysków w banku lub inwestowania ich. Wszystkim przez rok będziesz zarządzać ty, Willo, lecz pod ustanowionym przez Jacka nadzorem.

- Zaczekaj. - Willa uniosła rękę. - Czy to znaczy, że ojciec chciał, żebyś przez rok sprawdzał, w jaki sposób prowadzę ranczo?

- Istnieją również pewne warunki - dodał Nate, równocześnie prosząc wzrokiem o przebaczenie. - Jeżeli te warunki zostaną dotrzymane przez rok, zaczynając nie później niż czternaście dni od momentu odczytania tego testamentu, ranczo i wszystko, co do niego należy, stanie się prywatną własnością spadkobierców.

- Jakie warunki? - dopytywała Willa. - Jacy spadkobiercy? O co tutaj do diabła chodzi, Nate?

- Jack zostawił każdej ze swych trzech córek jedną trzecią rancza. - Obserwował, jak Willa blednie, i przeklinał w duchu Jacka Mercy'ego. Po chwili mówił dalej: - Jednak, aby każda z was mogła otrzymać spadek, wszystkie musicie mieszkać na ranczu przez cały rok. W tym okresie nie wolno wam opuścić posiadłości na więcej niż siedem dni. Po upływie tego czasu, jeżeli warunki zostaną dotrzymane, każda z trzech spadkobierczyń stanie się właścicielką jednej trzeciej rancza.

Prawa własności przez okres dziesięciu lat nie można odsprzedać ani przekazać nikomu innemu, jedynie którejś z pozostałych spadkobierczyń.

- Niech pan chwileczkę zaczeka. - Tess odstawiała swego drinka. - Mówi pan, że jestem właścicielką jednej trzeciej rancza z byłem w jakiejś zapadłej dziurze w Montanie, lecz by to otrzymać, nie mogę się stąd nigdzie ruszyć? Mam tutaj mieszkać?

Mam zmarnować rok życia? Za nic na świecie! - Wstała, przy okazji z wdziękiem pokazując długie nogi. - Nie mam ochoty na twoje ranczo, dziecinko - powiedziała do Willi. - Zatrzymaj sobie każdy tonący w pyle akr i każdą zafajdaną krowę. To nigdy nie wypali. Daj mi moją część w gotówce i zniknę na zawsze z twego życia.

- Przepraszam, pani Mercy. - Nate zmierzył ją wzrokiem ze swojego miejsca za biurkiem. To kompletna wariatka, pomyślał, chociaż świetnie się maskuje. - Nic się tu nie da zmienić. Warunki postawione przez Jacka i wszystkie jego żądania zostały bardzo dokładnie przemyślane i precyzyjnie przedstawione. Jeżeli się pani z nimi nie zgodzi, ranczo w całości zostanie przekazane jako darowizna na rzecz Ligi Ochrony Przyrody.

- Darowizna? - Zaszokowana Willa chwyciła się za głowę.

Poczuła ból, wściekłość i paniczny strach. Mimo to zdała sobie sprawę, że musi się

opanować, musi się zastanowić.

Rozumiała dziesięcioletni zakaz sprzedaży lub przekazania prawa własności. W ten sposób ojciec zabezpieczył rancho przed wymierzeniem podatku w stosunku do ceny rynkowej ziemi. Dotychczas uiszczana była jedynie opłata dzierżawna. Jack nienawidził rządu i w związku z tym nie chciał wydać ani centa na jego utrzymanie. Willa nie rozumiała jednak, skąd się wziął pomysł przekazania rancho organizacji, którą całe życie serdecznie pogardzał. Mawiał zazwyczaj, że jej członkowie przytulają się do drzew i całują wieloryby. To posunięcie było niezrozumiałe i całkowicie pozbawione sensu.

- Czy to znaczy, że jeżeli nie spełnimy jego warunków - mówiła, siląc się na spokój - to stracimy rancho? Czy jeżeli te dwie nie zrobią tak, jak on nakazuje w testamencie, wówczas utracimy ziemię, która należała do Mercych od ponad wieku? Czy tak samo się stanie, jeżeli ja nie postąpię zgodnie z jego wolą?

Nate nienawidził w tej chwili samego siebie.

- Przykro mi, Willo. Nie byłem w stanie go przekonać. Tak właśnie postanowił. Jeżeli którakolwiek z was odjedzie, automatycznie złamane zostaną warunki Jacka i rancho przepadnie. Każda z was dostanie wówczas sto dolarów. To wszystko.

- Sto dolarów? - Absurdalność tego pomysłu uderzyła Tess z taką siłą, że opadła z powrotem na krzesło i zaczęła się śmiać.

- A to kawał sukinsyna! - Zamknij się - warknęła Willa, podrywając się na równe nogi.

- Do diabła, zamknij się! Czy bylibyśmy w stanie w jakiś sposób to zakwestionować, Nate? Czy próba obalenia tego testamentu ma jakikolwiek sens?

- Jeżeli chcesz znać moją opinię jako prawnika, to nie.

Trwałoby to kilka lat, pochłonęłoby mnóstwo pieniędzy, a i tak najprawdopodobniej nie miałyby szans na wygranie procesu.

- Ja zostaję. - Lily starała się równomiernie oddychać. Dom, spokój, bezpieczeństwo. Wszystko to znajdowało się tutaj, w zasięgu ręki, jak najwspanialszy prezent. - Przepraszam. - Kiedy Willa obróciła się w jej stronę, Lily wstała. - To nie jest w porządku wobec ciebie. Ojciec nie powinien ci tego robić. Nie wiem, dlaczego tak postanowił, ale ja tu zostanę. Po upływie tego roku sprzedam ci moją część za cenę, którą uznasz za słuszną i odpowiednią. To rancho jest piękne - dodała, starając się uśmiechnąć do patrzącej na nią Willi. - Wszyscy doskonale wiedzą, że ono należy do ciebie. Poza tym to tylko rok.

- Jesteś bardzo miła - odezwała się Tess. - Ale niech mnie diabli wezmą, jeżeli zgodzę się siedzieć tu cały rok. Jutro rano wracam do Los Angeles.

Willa przyglądała się jej uważnie, przez cały czas szukając gwałtownie w myślach jakiegoś wyjścia z sytuacji. Marzyła, aby obie siostry wyniosły się stąd jak najszybciej, jednak jeszcze bardziej pragnęła mieć ranczo. Dużo bardziej.

- Nate, a co by się stało, gdyby któraś z nas nagle zmarła? - Zabawne. - Tess ponownie podniosła kieliszek brandy do ust. - Czy taki właśnie rodzaj humoru obowiązuje w Montanie?

- Gdyby w ciągu najbliższego roku któraś ze spadkobierczyń zmarła, wówczas każda z dwóch pozostałych stałaby się właścicielką połowy rancza Mercy. Warunki jednak nie ulegają żadnym zmianom.

- Co w związku z tym masz zamiar zrobić? Zabijesz mnie podczas snu? Zakopiesz moje ciało na prerii? - Tess strzeliła palcami. - Nie jesteś w stanie mnie zmusić, żebym tu została i żyła w takich warunkach.

Ja być może nie mogłabym tego zrobić, pomyślała Willa, ale pieniądze są w stanie przemówić do wyobraźni pewnego rodzaju ludzi.

- Wcale nie chcę, żebyś została. Nie chcę widzieć tu żadnej z was, ale zrobię wszystko, żeby utrzymać to ranczo. Nate, może panna Hollywood chciałaby wiedzieć, ile są warte te tonące w pyle akry.

- Biorąc pod uwagę obecną wartość rynkową samej ziemi i zabudowań, nie licząc zwierząt. osiemnaście do dwudziestu milionów.

Słyszając to, Tess wykonała gwałtowny ruch ręką rozlewając przy okazji brandy.

- Jezu Chryste!

Jej wybuch sprawił, że Bess zasyczała, a Willa zaczęła się szyderczo śmiać.

- Myślę, że to wystarczy - wymamrotała Willa. - Kiedy po raz ostatni udało ci się zarobić sześć milionów w ciągu roku, siostrzyczko?

- Czy mogłabym dostać trochę wody? - wyszeptwała Lily, ściągając na siebie wzrok wszystkich obecnych. - Usiądź, zanim upadniesz. - Willa niedbale pchnęła Lily na krzesło i niespokojnie zaczęła chodzić po pokoju. - Chciałabym, Nate, żebyś mimo wszystko przeczytał testament słowo po słowie. - Podeszła do szafki z alkoholami, otworzyła butelkę whisky i zaczęła pić. Z całą pewnością za życia ojca nie odważyłaby się tego zrobić. Piła spokojnie, pozwalając, by palący strumień spłynął powoli do jej żołądka. Równocześnie słuchała uważnie słów czytanego przez Nate'a testamentu. Zmusiła się, by nie myśleć o latach usilnych starań, a właściwie walki o miłość ojca, o uzyskanie jego szacunku i zaufania.

Koniec końców potraktował ją dokładnie tak samo jak córki, których w ogóle nie znał. Willa doszła do wniosku, że tak naprawdę żadna z nich nic dla niego nie znaczyła.

W pewnym momencie nazwisko wymienione przez Nate'a sprawiło, że podskoczyła

jak oparzona.

- Zatrzymaj się! Do diabła, zatrzymaj się na chwilę! Albo mi się zdawało, albo rzeczywiście padło nazwisko Bena McKinnona?

Nate poruszył się niespokojnie i odchrząknął. Sądził, że przynajmniej na razie byłoby dla niej dużo lepiej, gdyby udało mu się niepostrzeżenie prześlizgnąć nad tym aspektem sprawy. Przeżyła już wystarczająco mocny szok.

- Twój ojciec wyznaczył mnie i Bena na twych opiekunów. Mamy przez rok kontrolować, w jaki sposób prowadzisz ranczo.

- Ten tchórzliwy drań ma patrzeć mi na ręce przez cały cholerny rok?

- Nie kluj w tym domu, Will - pisnęła Bess.

- Będę klęła, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota. Dlaczego, do diabła, wybrał McKinnona?

- Twój ojciec uważał, że ranczo Three Rocks niewiele ustępuje ranczu Mercy. Potrzebował kogoś, kto doskonale orientuje się we wszystkich szczegółach tego przedsięwzięcia.

Nate pamiętał, jak Mercy mawiał, że McKinnon to jadowity wąż, a do tego okropny babiarcz, który nigdy nie przepuścił żadnej kobiecie.

- Nikt nie będzie patrzył ci na ręce - uspokajał ją Nate. - Każdy z nas ma swoje ranczo. Jest to po prostu zupełnie nieistotny szczegół.

- Pleciesz bzdury. - Mimo to Will udało się utrzymać nerwy na wodzy. - Czy McKinnon wie o tym? Nie widziałam go na pogrzebie.

- Miał coś do załatwienia w Bozeman. Wraca dziś wieczorem, najdalej jutro. Tak, wie o wszystkim.

- Chyba serdecznie się uśmieł, kiedy dowiedział się o testamencie?

Prawdę mówiąc, rzeczywiście pokładał się ze śmiechu. Nate doskonale pamiętał ten moment, teraz jednak starał się zachować absolutną powagę.

- To nie jest żart, Will. To jedynie obowiązek, na dodatek tymczasowy. Musisz tylko spróbować przetrwać cztery pory roku. - Skrzywił się. - Wszyscy musimy je przetrwać.

- Ja przetrwam. Natomiast Bóg jeden raczy wiedzieć, czy one obie zdołają. - Przyjrzała się siostrze i potrząsnęła głową. - Dlaczego drzysz? - zapytała Lily. - Masz przed sobą miliony dolarów, a nie pluton egzekucyjny. Na miłość boską, wypij to. - Włożyła w jej rękę szklaneczkę whisky. - Przestań się nad nią znęcać. - Rozdrażniona Tess stanęła między nimi, instynktownie starając się obronić Lily. - Wcale się nad nią nie znęcam. A ty zejdź mi z oczu!

- Nic z tego. Mam zamiar włożyć ci w oczy przez cały cholerny rok. Spróbuj się do tego przyzwycząić.

- To ty lepiej spróbuj się przyzwycząić do panujących tu zwyczajów. Jeżeli zostajesz, to na pewno nie po to, żeby beczynnie siedzieć na swoim tłustym tyłku. Z całą pewnością znajdzie się dla ciebie jakieś zajęcie.

Słyszac uwagę o „tłustym tyłku”, Tess wciągnęła powietrze przez nos. Rzeczywiście po ukończeniu szkoły średniej miała sporą nadwagę. Głodziła się, gimnastykowała, słowem robiła wszystko, żeby się jej pozbyć i, prawdę mówiąc, była cholernie zadowolona z uzyskanych rezultatów.

- Zapamiętaj sobie, chuda jak patyk suko, że jeżeli ja stąd wyjadę, wówczas także i ty wszystko stracisz. A jeżeli sądzisz, że zgodzę się, by rozkazywał mi niedouczony kowboj w babskim wydaniu, to znaczy, że jesteś dużo głupsza niż na to wyglądasz.

- Będiesz robiła dokładnie to, co ci się każe - poprawiła ją Willa. - Inaczej zamiast wygodnego, miłego łóżka w tym domu rozbijemy ci w górach namiot i możesz sobie w nim mieszkać przez najbliższy rok.

- Mam takie samo prawo przebywać pod tym dachem jak ty. A może nawet większe, ponieważ moja matka była jego pierwszą żoną.

- Z tego wynika tylko tyle, że jesteś starsza - odbiła piłeczkę Will. - A skoro mowa o twojej matce, to wszyscy wiedzą, że była tancerką o farbowanych, jasnych włosach i miała cycki większe niż rozum.

Tess nie zdążyła nawet zareagować na tę zniewagę, gdyż w tym momencie Lily wybuchnęła płaczem.

- Jesteś zadowolona? - dopytywała się Tess i mocno pchnęła Willę.

- Przestańcie. - Zmęczony awanturą Adam obrzucił obie pełnym wyrzutem spojrzeniem. - Powinnyście się wstydzić. - Pochylił się i półgłosem uspokajał Lily, pomagając jej podnieść się z krzesła. - Potrzebuję pani trochę świeżego powietrza - powiedział życzliwie. - Powinna pani coś zjeść, a potem z pewnością poczuje się pani lepiej. - Zabierz ją na krótki spacer - zaproponowała Bess i poderwała się na równe nogi, powodując przy tym sporo hałasu. W głowie huczało jej jak w ulu. - Przygotuję kolację. Wstyd mi za was - powiedziała do Tess i Willi. - Znałam wasze matki. Na pewno by was nie pochwały. - Pociągnęła nosem i z godnością odwróciła się do Nate'a. - Zostań na kolację, Nate, jedzenia na pewno nie zabraknie.

- Dziękuję, Bess, ale... - Miał zamiar zwiać stąd jak najszybciej, póki jeszcze był cały i zdrowy. - Muszę jechać do domu. - Pozbierał papiery, uważnie obserwując obie kobiety,

które zostały w pokoju i przez cały czas spoglądały na siebie wilkiem. - Zostawiam trzy kopie testamentu. Gdybyście miały jakieś pytania, wiecie, gdzie mnie znaleźć. Jeżeli nie będę miał od was żadnych wieści, wpadnę tu za parę dni i dowiem się, co słyhać... No właśnie, co słyhać - zakończył. Podniósł kapelusz i teczkę, po czym zniknął z pola walki. Willa odzyskała panowanie nad sobą i odetchnęła głęboko.

- Włożyłam w to ranczo tyle potu i krwi. Ty nawet o nim nie pomyślałaś, ale, do diabła, nic mnie to nie obchodzi. Natomiast absolutnie nie mam zamiaru stracić tego, co do mnie należy.

Wydaje ci się, że z tego powodu stoję na straconej pozycji. Jestem jednak święcie przekonana, że stąd nie wyjedziesz. Zostaniesz z powodu takiej ilości pieniędzy, jakiej nigdy nie widziałaś i nawet nie marzyłaś, że kiedykolwiek zobaczysz. Obie jesteśmy w takiej samej sytuacji.

Tess kiwnęła głową na znak zgody i usiadła na oparciu krzesła, zakładając nogę na nogę, - Musimy zatem określić nasze własne zasady, które pozwolą nam przetrwać najbliższy rok. Myślisz, że z przyjemnością zrezygnuję na ten okres z mojego domu, przyjaciół, stylu życia? To nie jest dla mnie wcale takie proste.

Tess przez moment z tęsknotą pomyślała o swoim mieszkaniu, klubie, sklepach. Potem uniosła głowę.

- Ale nie wyjadę stąd, bo to ranczo należy również do mnie.

- Jak jasna cholera. Tess pochyliła jedynie głowę.

- Niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie, a przypuszczam, że raczej nie podoba się to żadnej z nas, jestem jego córką tak samo jak i ty. Nie wychowywałam się tutaj, ponieważ ojciec wyrzucił stąd mnie i moją matkę. Taka jest prawda, a po jednodniowym pobycie tutaj zacznam nawet być mu za to wdzięczna. Ale wytrzymam ten rok.

Willa z zadumą wzięła whisky, której Lily w ogóle nie tknęła.

Ambicja i chciwość potrafią być świetnymi bodźcami. Tess wytrzyma, na pewno.

- A co będzie, gdy ten rok dobiegnie końca? - Odsprzedam ci moją część. - Na samą myśl o tej ogromnej masie pieniędzy poczuła zawrót głowy. - A jeśli zabraknie ci gotówki, będziesz mogła stopniowo wysyłać mi czeki do Los Angeles, bowiem tam znajdę się następnego dnia po upływie tego roku.

Will ponownie spróbowała whisky, przypomniała sobie jednak, że teraz musi się skoncentrować. - Umiesz jeździć?

- Na czym?

Willa prychnęła i pociągnęła łyk whisky.

- Przecież nie na wrotkach. Prawdopodobnie nie potrafisz także odróżnić kury od koguta.

- Myślę, że powinnam poznać koguta - wycedziła Tess i była bardzo zaskoczona, gdy Willa zaczęła się śmiać.

- Tutaj się żyje i pracuje. Tak wygląda prawda. Mam wystarczająco dużo roboty z ludźmi i bydłem, żeby jeszcze na dodatek troszczyć się o ciebie, w związku z tym będziesz wykonywała polecenia Bess.

- Sądysz, że zgodzę się, żeby dyrygowała mną gospodyni? Niebezpieczny błysk pojawił się w oczach Willi. - Masz po prostu wykonywać polecenia kobiety, która będzie cię karmiła, dbała o twoje ubrania i sprzątała twój pokój. Jeżeli kiedykolwiek potraktujesz ją jak służącą, bardzo tego pożałujesz. Obiecuję ci to. Tu nie Los Angeles, nie Hollywood. Tutaj nikt się nie oszczędza. - Ale ja robię tam karierę. - Wiem, piszesz scenariusze. - Z całą pewnością istnieją jeszcze jakieś mniej pożyteczne zajęcia, ale w tym momencie żadne z nich nie przychodziło Willi do głowy. - No więc, wszyscy pracują tu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Z całą pewnością dość szybko to zauważysz. - Zmęczona podeszła do znajdującego się za biurkiem okna. - Co ja, do diabła, zrobię z tym zranionym ptaszkiem?

- Chyba raczej zdeptanym kwiatuszkiem. Zaskoczona współczuciem, które wyraźnie słyhać było w głosie Tess, Willa obejrzała się, po czym wzruszyła ramionami. - Czy mówiła, skąd ma te sińce?

- Nie zamieniłam z nią ani słowa więcej niż ty. - Tess bardzo starała się zdusić w sobie poczucie winy. Nie dam się wciągnąć w to, postanowiła. - Nie sądzisz, że wszystko, co się tutaj dzieje, w niczym nie przypomina tradycyjnego zjazdu rodzinnego?

- Ona powie Adamowi. Wcześniej czy później każdy zwierza mu się ze swych problemów. Przynajmniej na razie możemy zostawić biedną Lily w jego rękach.

- Dobrze. Jutro rano wracam do Los Angeles. Muszę się spakować.

- Ktoś z moich ludzi zawiezie cię na lotnisko. Załatwiwszy wszystko z Tess, Willa odwróciła się do okna.

- Mam dla ciebie, Hollywood, dobrą radę: kup sobie ciepłą bieliznę. przyda ci się.

Willa wyjechała o zmroku. Chowające się za zachodnie szczyty słońce zalewało okolicę krwistoczerwonym blaskiem i nadawało niebu wspaniałą, purpurowy kolor. Willa chciała wszystko przemyśleć, uspokoić się. Jej klacz kroczyła dumnie i niecierpliwie pociągała wędzidło.

- W porządku, Moon, zwiewajmy stąd. - Gwałtownym szarpnięciem cugli Willa zmieniła kierunek. Szybko oddaliły się od świateł, budynków i odgłosów rancza. Wyjechały

na otwartą przestrzeń niedaleko zakola rzeki.

•Ruszyły wzdłuż jej brzegów, kierując się na wschód i całkowicie pogrążając się w mroku. Na niebie błyszczały już pierwsze gwiazdy. Słychać było jedynie cichy plusk wody i stukot końskich kopyt. Bydło pasło się wśród wysokich traw, a wokół bezszelestnie krążyły nocne drapieżniki. Gdy Willa wyjechała na szczyt wzniesienia, rozpostarła się przed nią ogromna przestrzeń wypełniona różnorodnymi sylwetkami i cieniami, sterczącymi drzewami, falującą trawą łąk, ciągnącą się bez końca linią ogrodzeń. A w oddali, w krystalicznie czystym powietrzu, widać było słaby blask świateł sąsiedniego rancza.

Ziemia McKinnona.

Gdy Willa pociągnęła za cugle, klacz niespokojnie podrzuciła głowę i parsknęła.

- Przecież nie zdołamy uniknąć tego, co nas czeka, prawda?

Klacz rozpierała energia, a w Willi wciąż jeszcze kipiała złość. Chciała się jej pozbyć, chciała zrzucić z siebie tę bezsilną, rozpaczliwą wściekłość i tkwiący jeszcze głębiej żal. Doszła do wniosku, że nie pomogą jej one przetrwać najbliższego roku. Nie pomogą jej przetrwać nawet następnej godziny. Zaciśnęła mocno powieki.

Obiecała sobie, że nie będzie ronić łez. Ani nad Jackiem Mercym, ani nad jego najmłodszą córką.

Oddychała głęboko, wciągając w nozdrza zapach traw, nocy i konia. Musi teraz nauczyć się panować nad swoimi emocjami i uczuciami. Znajdzie sposób, by poradzić sobie z dwiema siostrami. Na pewno zdoła utrzymać je w ryzach i nie dopuści do tego, by porzuciły ranczo. Niezależnie od tego, ile ją to będzie kosztowało, dopilnuje, by dotrwały do końca.

Znajdzie również sposób, by poradzić sobie z narzuconymi jej przez ojca opiekunami. Puszczając Moon stępa, doszła do wniosku, że Nate wcale nie jest największym problemem. Z całą pewnością postara się skrupulatnie wykonywać swoje prawnicze obowiązki, co zdaniem Willi oznacza, że będzie się trzymał z daleka od codziennych spraw dotyczących rancza Mercy, pełniąc swą funkcję jedynie z doskonałości.

W głębi duszy nawet była w stanie mu współczuć. Znała go zbyt długo i zbyt dobrze, by choć przez chwilę sądzić, że funkcja, którą będzie musiał pełnić, sprawia mu przyjemność. Nate jest człowiekiem sprawiedliwym i uczciwym, człowiekiem, który pilnuje własnego nosa. Cudze sprawy w ogóle go nie obchodzą.

Natomiast na myśl o Benie McKinnonie Willą ponownie ogarnęła bezgraniczna wściekłość. Tak, Ben to zupełnie inna para kaloszy. Nie miała nawet najmniejszych wątpliwości, że dla niego wykonywanie tego zadania będzie prawdziwą przyjemnością. Skorzysta z każdej nadarzającej się okazji, by wtykać nos w nie swoje sprawy, a ona nie

będzie mogła mu w tym przeszkodzić. Mimo to, pomyślała z ponurym uśmiechem na ustach, wcale nie musi się godzić na wszystko. Tak, na pewno nie będzie ułatwiać mu zadania.

Och, doskonale wiedziała, o co chodziło Jackowi Mercy'emu, i na samą myśl o tym krew zawrzała jej w żyłach. Spoglądała w dół na światła i kontury rancza Three Rocks. Czuła, że mimo chłodu nocy cała skóra zaczyna ją parzyć.

Ziemie McKinnonów i Mercych graniczyły ze sobą od wielu pokoleń. W kilka lat po bitwie, w której Siuksowie rozprawili się z Custerem, dwaj mężczyźni, którzy polowali w górach, zaryzykowali wyprawę do Teksasu. Korzystając z bardzo niskiej ceny, kupili tam bydło i jako wspólnicy popędzili je z powrotem na północ, do Montany. Tu jednak przyjaźń się skończyła. Podzielili ziemię, bydło, i każdy z nich założył własne gospodarstwo.

W ten sposób powstały rancza Mercy i Three Rocks. Każde z nich rozwijało się, przeżywało wzloty i upadki, oba jednak przetrwały do dziś.

Jack Mercy miał chrapkę na ziemię McKinnona. Nie można jej było kupić, ukraść ani zdobyć podstępem. Willi przyszło jednak na myśl, że istniał pewien sposób: można ją było przyłączyć. Gdyby połączyło się ziemię Mercych i McKinnonów, powstałoby jedno z największych, a z całą pewnością najważniejsze ranczo na Zachodzie.

W tym celu Jack musiał po prostu sprzedać córkę. Do czego innego mogą się przydać kobiety? Trzeba było prehandlować ją jak sympatyczną, tłuściutką jałówkę. Należało jedynie wystarczająco często pokazywać ją bykowi. Natura sama zrobi resztę.

Ponieważ nie miał syna, było to najlepsze i najprawdopodobniej jedyne wyjście. Postawił więc córkę przed nosem Bena McKinnona. Na dodatek wszyscy będą o tym wiedzieli, pomyślała Willa i zmusiła się, by rozluźnić zaciśnięte kurczowo na cuglach palce. Nie był w stanie dokonać tego za życia, postarał się, by doprowadzić do tego z za grobu.

A gdyby córka, która przez całe życie wytrwale stała u jego boku, pracowała na tej ziemi na równi z nim i nie żałowała krwi ani potu, nie była wystarczająco ponętna - no cóż, na całe szczęście miał do dyspozycji jeszcze dwie inne.

- Niech cię diabli wezmą, ojczu. - Drżącymi rękami włożyła kapelusz z powrotem na głowę. - Ranczo jest moje i zrobię wszystko, żeby tak zostało. I, do jasnej cholery, na pewno nie pójdę do łóżka z Benem McKinnonem ani z kimkolwiek innym.

Dostrzegła blask przednich świateł samochodu i półgłosem zaczęła uspokajać klacz. Nie była w stanie rozpoznać pojazdu, lecz dostrzegła kierunek, w którym podążał. Delikatny uśmiech pojawił się na jej ustach, gdy światła skierowały się w stronę głównego budynku mieszkalnego rancza Three Rocks.

Wrócił z Bozeman. Instynktownie wyprostowała się w siodle i uniosła głowę.

Powietrze było na tyle przejrzyste, że usłyszała przytłumiony odgłos zamykanych drzwi łoża i powitalne szczekanie psów. Zastanawiała się, czy Ben rozejrzy się wokół i popatrzy w górę na wzniesienie. Zobaczyłby wówczas ciemną sylwetkę jeźdźca i konia. Przyszło jej na myśl, że najprawdopodobniej bez trudu zorientowałby się, kto go obserwuje z pogranicza posiadłości.

- Zobaczmy, co się wkrótce zdarzy, McKinnon - powiedziała półgłosem. -
Zobaczmy, kto będzie zarządzał ranczem Mercy, gdy ten rok dobiegnie końca.

Słysząc było kojota, który wył do wędrującego po niebie księżyca. Ponownie się uśmiechnęła. Istnieją różne kojoty, pomyślała. Niezależnie od tego, jak ładnie wyją, i tak wszystkie są okrutne, podstępne i zachłanne.

Nie miała zamiaru wpuścić żadnego z nich na swoją ziemię.

Zawróciła klacz i w półmroku odjechała w kierunku domu.

ROZDZIAŁ TRZECI

- A to sukinsyn! - Ben oparł się o łęk siodła i, spoglądając na Nate'a, potrząsnął głową. Szerokie rondo szarego kapelusza zasłaniało jego chłodne, zielone oczy. - Przykro mi, że nie mogłem wziąć udziału w pogrzebie. Moi ludzie mówią, że to było prawdziwe wydarzenie towarzyskie.

- Rzeczywiście. - Nate bezmyślnie poklepał czarnego wałacha po szyi. Tylko cudem udało mu się złapać przyjaciela, ponieważ Ben właśnie wybierał się na hale.

Nate uważał Three Rocks za jedno z najładniejszych rancz w Montanie. Sam główny budynek mieszkalny był funkcjonalny i niezwykle atrakcyjny, choć nie tak duży jak dom w Mercy.

Wzniesiony został z drewna. Miał fundamenty z piaskowca, a urozmaicona linia dachowa dodawała mu wiele uroku. Liczne werandy i tarasy zapraszały, by usiąść i podziwiać piękno otaczających ranczo gór.

Rezydencja McKinnonów była schludna i, chociaż przez cały czas wrzało w niej jak w ulu, nie sposób było dostrzec choćby śladu rozgardiaszu.

Z zagrody dobiegały protesty bydła. Cielęta wyrażały swoje niezadowolenie, ponieważ odłączano je od matek. Jeszcze bardziej nieszczęśliwe będą młode byki, pomyślał Nate, kiedy zacznie się je kastrować i pozbawiać rogów.

Z tego właśnie powodu on sam wolał zajmować się końmi.

- Wiem, że masz mnóstwo roboty - ciągnął Nate. - Dlatego nie chciałbym cię zatrzymywać, doszedłem jednak do wniosku, że powinienem się z tobą zobaczyć i powiedzieć ci, jak sprawa wygląda.

- Rozumiem. - Ben rzeczywiście myślał o czekającej go robocie. Zbliża się listopad i lada chwila może nadejść zima.

Co prawda w tej chwili słońce pięknie świeci, konie skubią trawę na pobliskim pastwisku, a ludzie pracują w koszulach z krótkimi rękawami, ale mimo to trzeba sprawdzić ogrodzenie i sprzątnąć z pola zboże. Należy również przeprowadzić selekcję bydła i załadować na statki te sztuki, które nie będą zimować na ranczu.

W pewnej chwili jednak wzrok Bena prześlizgnął się nad wybiegami dla koni, nad pastwiskami, i pobiegł w kierunku sąsiedniej posiadłości. Ben doszedł do wniosku, że Willa ma dużo więcej problemów na głowie i z całą pewnością myśli nie tylko o pracy, którą należy wykonać przed nastaniem zimy.

- Podziwiam twoje prawnicze zdolności, Nate, i wiem, że testament jest całkowicie

zgodny z wszelkimi przepisami, ale powiedz mi, czy nie można tego gówna obalić? Albo obejść? - Wszystkie warunki zawarte w testamencie są jasne i bardzo precyzyjne.

- To wcale nie zmienia faktu, że jest to straszliwa głupota. Znali się na tyle długo, że Nate nie mógł się o te słowa obrazić.

- Ona może próbować obalenia testamentu, ale byłaby to walka niezwykle uciążliwa i brutalna.

Ben ponownie spojrzał na południowy zachód, wyobraził sobie Willę Mercy i pokiwał głową. Końskie siodło było dla niego tak samo wygodne jak dla innych ludzi fotel. Po trzydziestu latach spędzonych na ranchu przyzwyczyił się do surowych warunków i czuł się w nich jak ryba w wodzie. Nie dorównywał wzrostem Nate'owi, mierzył jednak ponad sto osiemdziesiąt centymetrów. Był niezwykle muskularny. Jego złocistobrązowe włosy, rozjaśnione przez wielogodzinne przebywanie na słońcu, były na tyle długie, że dotykały kołnierzyka koszuli. Miał doskonały, jastrzębi wzrok i chłodne spojrzenie. Po jego przystojnej, ogorzałej, surowej twarzy widać było, że często przebywa na świeżym powietrzu. Brodę szpeciła mu pozioma blizna - pamiątka po dziecięcej zabawie z bratem.

Ben z roztargnieniem przesunął dłonią po szramie. Był to jego charakterystyczny gest, z którego często nie zdawał sobie nawet sprawy. Kiedy Nate po raz pierwszy poinformował go o testamencie Jacka, śmiał się długo i serdecznie. Teraz jednak, gdy trzeba było wykonać ostatnią wolę Mercy'ego, nie widział w nim nic zabawnego.

- Jak ona to przyjęła?

- Bardzo źle.

- Cholera. Przykro mi. Kochała tego starego drania, Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego. - Zdjął kapelusz i przeczesał palcami włosy. - Najprawdopodobniej najbardziej złości ją fakt, że to właśnie ja mam ją kontrolować.

Nate uśmiechnął się.

- No cóż, prawdę mówiąc, nie mylisz się. Sądzę jednak, że byłoby dokładnie tak samo, gdyby chodziło o kogokolwiek innego.

Nie, pomyślał Ben, na pewno nie byłoby tak samo.

Zastanawiał się, czy Willa wie, że pewnego razu jej ojciec proponował mu dziesięć tysięcy akrów swej najlepszej ziemi w zamian za poślubienie córki. Jak jakiś pieprzony król, próbujący łączyć państwa.

Ben, spoglądając pod słońce, doszedł do wniosku, że Mercy rzeczywiście byłby skłonny oddać mu tę ziemię. Prędzej by to zrobił, niż zmienił raz obrany kierunek.

- Sądzę, że ona doskonale dałaby sobie radę z prowadzeniem Mercy bez naszej

pomocy - powiedział Ben. - Ale zrobię to, co do mnie należy. I do diabła... - Na jego ustach pojawił się spokojny, arogancki uśmiech, który wygładził mu twarz. - To może być doprawdy zabawne, jeśli co pięć minut będzie usiłowała skakać mi do oczu. A jakie są jej siostry?

- Bardzo się od siebie różnią. - Nate z zadumą oparł się o błotnik swego range rovera. - Średnia, to znaczy Lily, wszystkiego się boi. Gdy wykonasz przy niej gwałtowniejszy ruch, podskakuje jak oparzona. Jej twarz pokryta jest sińcami.

- Miała jakiś wypadek?

- Jeśli za wypadek uznamy nadzianie się na czyjeś pięści. Jest rozwódką. Jej były mąż bardzo lubił używać siły. Kilka razy przymykano go za maltretowanie żony.

- A to sukinsyn. - Jeżeli istniało coś gorszego niż mężczyzna znęcający się nad swym koniem, był to z całą pewnością mężczyzna znęcający się nad kobietą.

- Bardzo się ucieszyła, że może tu zostać - ciągnął Nate. Równocześnie zaczął spokojnie i metodycznie skręcać papierosa. - Sądzę, że uważa ranczo za wspaniałą kryjówkę. Natomiast starsza to bardzo elegancka, ale nieco zarozumiała babeczka „made in Hollywood”. No wiesz - włoski kostium, złoty zegarek i tak dalej. - Wsunął kapciuch z tytoniem do kieszeni i zapalił zapałkę. - Pisze scenariusze filmowe i wkurza ją myśl, że najbliższy rok musi spędzić na tak zapadłej prowincji. Ma jednak ogromną chrapkę na pieniądze, które za to dostanie. Właśnie pojechała do Kalifornii, żeby się spakować.

- Ona i Will będą żyć ze sobą jak pies z kotem. - Już zdążyły skoczyć sobie do oczu. - Nate z głęboką zadumą wypuścił obłok dymu. - Jeśli mam być szczerzy, ich starcie było niezwykle interesujące. Koniec końców, Adamowi udało się zażegnać sprzeczkę.

- No tak, tylko on jeden jest w stanie uspokoić Willę. - Ben poprawił się w siodle. Spook niecierpliwie przestępował z nogi na nogę i gwałtownymi podrzutami głowy sygnalizował, że chce już ruszyć przed siebie. - Porozmawiam z nią. Na razie muszę dopilnować ludzi, których wysłałem na hale. Zbliża się pora burz. Mama zrobiła kawę, na pewno chętnie cię nią poczęstuje.

- Dziękuję, niestety muszę wracać. Na mnie też czeka mnóstwo roboty. Zobaczymy się za dzień lub dwa.

- Pewnie tak... - Ben przywołał psa i obserwował, jak jego przyjaciel wsiada do range rovera. - Zrobimy wszystko, żeby nie straciła tego rancza, prawda?

Nate poprawił kapelusz i sięgnął po kluczyki.

- Oczywiście, Ben.

To była wspaniała przejażdżka. Ben przeciął dolinę, a potem zaczął wspinać się w górę. Nie spieszył się. Jechał spokojnie, bacznie przyglądając się wszystkiemu dookoła.

Zauważył, że bydło jest doskonale wypasione. Zanim nadejdzie zima, część zwierząt trzeba będzie wysłać do tuczarni. Część jednak pozostanie, i przepędzana z pastwiska na pastwisko, przetrwa do następnego roku.

Selekcja zwierząt i ich sprzedaż już od pięciu lat należą do jego obowiązków. Rodzice stopniowo przekazują zarządzanie ranczem w ręce obu synów.

Wysoka, wciąż jeszcze zielona trawa lśniła na tle gęstej zasłony drzew. Usłyszał nad sobą warkot silnika i z uśmiechem spojrzał w górę. To jego brat, Zack, oblatuje okolicę. Ben zdjął z głowy kapelusz i energicznie nim pomachał. Charlie, długowłose owczarek collie, zaczął biegać w kółko i radośnie poszczekiwać. Mały samolotik przechylił się w prawo, potem w lewo, odpowiadając w ten sposób na ich pozdrowienia.

Ben wciąż nie potrafił myśleć o swym młodszym bracie jako o mężu i ojcu. A tu masz ci los! Zack spojrzał na Shelly Peterson i zakochał się w niej aż po rondo swego kowbojskiego kapelusza. W niecałe dwa lata później Ben był już wujkiem. Doszedł do wniosku, że dlatego właśnie czuje się tak nieprawdopodobnie staro. Momentami wydaje mu się, że jest starszy od Zacka przynajmniej o trzydzieści lat, choć w rzeczywistości różnica między nimi wynosi zaledwie trzy lata.

Poprawił kapelusz na głowie i skierował konia na ścieżkę prowadzącą w górę przez sosnowy zagajnik. Powietrze było tu świeższe i chłodniejsze. Zauważył ślady jeleni. Kiedy indziej najprawdopodobniej podążyłby ich tropem i zrobił wszystko, by przynieść matce trochę świeżej dziczyzny. Charlie węszył z nosem przy ziemi i co chwila z ogromną nadzieją oglądał się, czekając na znak swego pana. Bardzo chciał ruszyć za zwierzyną, ale Ben nie miał nastroju do polowania.

Czuł woń śniegu. Wciąż znajdował się daleko od białych płatów, które pokrywały znaczne przestrzenie, lecz w powietrzu unosił się już charakterystyczny zapach. Kilka dni temu widział klucze kanadyjskich gęsi lecących na południe. Zapowiadała się wczesna zima. Przyszło mu na myśl, że może być bardzo ostra.

Nawet szmer strumyka spływającego z gór wydawał się zimny, wręcz lodowaty.

Kiedy drzewa trochę się przerzedziły, a teren stał się bardziej wyboisty, skierował konia wzdłuż strumienia. Znał ten las tak dobrze jak własne podwórko. Tutaj, pod tym uschniętym modrzewiem, razem z Zackiem swego czasu szukali zakopanych skarbów. A tam, na tej niewielkiej polance, pod okiem ojca, zastrzelił swego pierwszego jelenia. W tym strumieniu łowili ryby, wyciągając pstrągi z wody z taką łatwością, jakby zbierali borówki.

Na tamtych kamieniach pewnego razu napisał krzemieniem imię swej ukochanej. Woda już dawno zmyła ostatnie ślady liter. Natomiast śliczna Susie Boline pewnej nocy

uciekła do Heleny z jakimś gitarzystą, łamiąc w ten sposób osiemnastoletnie serce Bena.

To wspomnienie wciąż jeszcze sprawiało mu ból. Prawdę mówiąc, przeszedł istne męki piekielne, zanim przyznał się przed samym sobą, że jest człowiekiem sentymentalnym. Ominął pamiętne kamienie, odsunął od siebie wspomnienia i zaczął wspinać się w górę. Przez cały czas trzymał się przetartej ścieżki, która prowadziła wśród drzew ubranych w piękne, jesienne kolory, przywodzące na myśl kobiety wybierające się na sobotnią potańcówkę.

Powietrze stało się rzadsze i dużo chłodniejsze. Jeszcze wyraźniej czuło się zapach śniegu. Ben gwizdnął z podziwu. Będąc w Bozeman, załatwił sporo spraw, ale przez cały czas bardzo tęsknił za tym wszystkim, co tutaj na niego czekało. Za przestrzenią, samotnością, za tą krainą. Choć wyjeżdżając powtarzał, że śpiwór zabiera ze sobą tylko na wszelki wypadek, już w tej chwili zaczął planować, że spędzi tu noc, może nawet dwie.

Mógłby przecież zapolować na królika, upiec sobie rybę lub przenocować ze swoimi ludźmi. Może również sam rozbić obozowisko. Trzeba spędzić bydło w dolinę. Unoszący się w powietrzu zapach śniegu może oznaczać, że zbliża się zameć, a zameć to nieszczęście dla pasącego się na halach stada. Mimo to Ben uznał, że nie ma pośpiechu.

Zatrzymał się na chwilę, żeby przyjrzeć się pięknej, wysokogórskiej łące, graniczącej z pędzącą w dół rzeką. Chciał się nacieszyć widokiem falujących na wietrze jesiennych, dzikich kwiatów i posłuchać świergotu ptaków. Pasące się krowy wyglądały z daleka jak mrówki. Zaczął się zastanawiać, jak można wyżej sobie cenić duszne, zatłoczone ulice, ciasne budynki i problemy związane z życiem w wielkim mieście.

Nagły huk przestraszył konia i wyrwał Bena z rozmarzenia. Choć była to okolica, w której wystrzał oznaczał najczęściej, że w pobliżu odbywa się polowanie, to jednak zacisnął powieki, a przy następnym strzale automatycznie spiął ostrogami konia i kłusem zawrócił.

Najpierw zauważył klacz należącą do Willi, która wciąż jeszcze drżała. Była uwiązana do krzaka. W momencie, kiedy Ben poczuł słodkawy, mocny zapach krwi, żołądek podszedł mu do gardła. Potem zobaczył Willę ze strzelbą w ręce. Stała o jakieś trzy metry od leżącego na ziemi niedźwiedzia grizzly. Pies zaczął zawzięcie warczeć i wyrywać się do przodu, jednak na ostry rozkaz Bena zatrzymał się, drżąc jak osika.

Ben odczekał chwilę i dopiero gdy spojrzała na niego przez ramię, zsunął się z siodła. Zauważył, że jest blada jak ściana, a w niemal czarnych oczach wciąż jeszcze czai się lęk.

- Czy on na pewno nie żyje?

- Tak. - Głośno przełknęła ślinę. Nienawidziła zabijania, nienawidziła widoku rozlanej krwi. Nawet widok skubanej kury wywoływał w niej mdłości. - Nie miałam wyboru.

Zaatakował mnie.

Ben kiwnął jedynie głową i wyjąwszy strzelbę z futerału, zbliżył się do niedźwiedzia.

- Olbrzymia sztuka. - Nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby Willa chybiła, ani co niedźwiedź takich rozmiarów mógłby zrobić z koniem i amazonką. - To niedźwiedzica - stwierdził, starając się mówić bardzo spokojnie. - Prawdopodobnie gdzieś w pobliżu są młode.

Willa zarzuciła strzelbę na plecy.

- Tak właśnie przypuszczałam. _ Chcesz, żebym zdjął z niej skórę?

- Poradzę sobie sama. Ben ponownie kiwnął głową i wrócił do konia po swój nóż.

- Mimo to pomogę ci. To wielki niedźwiedź. Przykro mi z powodu twego ojca, Will.

Wyjęła swój ostry jak brzytwa nóż, podobny do tego, który trzymał w ręce Ben.

- Przecież go nienawidziłeś.

- Ale ty go kochałaś, dlatego jest mi przykro. - Zaczął pracować nad niedźwiedziem, starając się unikać krwi i posoki, ale nie odwracał wzroku, gdy już się pojawiły. - Nate odwiedził mnie dzisiaj rano.

- To chyba jasne.

Chłodne powietrze sprawiało, że krew szybko stygła. Charlie raczył się smakowitymi podrobami i radośnie merdał ogonem.

Ben oderwał wzrok od martwego zwierzęcia i popatrzył jej w oczy.

- Jeśli chcesz się na mnie trochę powściekać, to proszę bardzo. Wcale nie musisz się powstrzymywać. To nie ja napisałem ten cholerny testament. Zrobię jednak, co do mnie należy. W związku z tym przede wszystkim mam zamiar dowiedzieć się, co, u licha, robisz tutaj sama.

- Podejrzewam, że to samo co ty. Moi ludzie pracują tu, na halach, poza tym trzeba spędzić na dół bydło. Potrafię pilnować swoich spraw tak samo dobrze jak ty, Ben. Czekał dobrą chwilę, mając nadzieję, że coś jeszcze powie.

Zawsze fascynował go jej głos, szorstki i trochę senny, jakby ktoś wyrwał ją właśnie ze snu. Wiele razy Benowi przychodziło na myśl, że to jakaś cholerna pomyłka. Dlaczego kobieta tak wrogo nastawiona do mężczyzn ma taki seksowny głos?

- No cóż, przed nami cały rok. Wystarczy więc czasu, aby się o tym przekonać, prawda? - Kiedy nie odpowiedziała, zwilżył językiem wargi. - Masz zamiar zabrać tę głowę i wypchać ją? - Nie. To mężczyznom potrzebne są trofea. Uwielbiają je pokazywać i przy okazji chełpić się sprytem i odwagą. Mnie to nie interesuje. Uśmiechnął się.

- Masz rację. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale ty sama stanowiłabyś wspaniałe trofeum. Jesteś ładna, Willo. No i popatrz... - chyba po raz pierwszy mówię coś takiego

kobiecie, grzebiąc się równocześnie we wnętrznościach niedźwiedzia.

Wiedziała, że w ten nieco dziwaczny sposób stara się być uwodzicielski, więc w ogóle nie zareagowała. W ciągu ostatnich kilku lat robiła wszystko, by nie ulec urokowi Bena McKinnona. Można wręcz powiedzieć, że weszło jej to w krew.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. Poradzę sobie bez ciebie i przy tym niedźwiedziu, i na ranczu.

- Ale czy chcesz, czy nie chcesz, będę ci pomagał w obu przypadkach. Istnieją jednak dwie możliwości: albo potraktujemy naszą przymusową współpracę pokojowo, albo będziemy o wszystko ze sobą walczyć. - Bezmyślnie pogłaskał Charliego, który usiadł obok niego. - Jest mi całkiem obojętne, który z tych sposobów wybierzesz.

Zauważył wyraźne cienie widoczne pod jej oczami. Wyglądało to tak, jakby ktoś na złocistej skórze zostawił ślady po brudnych palcach. Natomiast usta Willi, którymi zawsze szczerze się zachwycał, były mocno zaciśnięte i tworzyły wąską linię. Doszedł do wniosku, że woli, kiedy obrzuca go obelgami. Zdawało mu się, że wie, w jaki sposób do tego doprowadzić.

- Czy twoje siostry są tak samo ładne jak ty? - Kiedy nie odpowiedziała, starał się zachować powagę. - Z całą pewnością są sympatyczniejsze. Muszę złożyć wam wizytę i sam je zobaczyć.

Dlaczego nie zaprosisz mnie na kolację, Will? Moglibyśmy spokojnie usiąść i przedyskutować sprawy związane z ranczem.

W tym momencie jej oczy niebezpiecznie błysnęły, a Ben uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Miałem nadzieję, że tak właśnie zareagujesz. Boże Wszechmogący, ale masz minę. Pięknie wyglądasz, gdy się wściekasz.

Nie chciała, by mówił jej, że jest ładna, jeżeli to właśnie miał na myśli. To zawsze wywoływało w niej jakiś wewnętrzny niepokój.

- Odetchnij głęboko i nabierz sił. Trzeba przecież podnieść tę padlinę do góry, żeby odpłynęła z niej krew.

Odchylił się nieco do tyłu i przyjrzał się jej uważnie.

- Mam dobry pomysł. Możemy wszystko załatwić szybko i bezboleśnie. Pobierzemy się i będziemy mieli święty spokój.

Chociaż trzymała w ręce zakrwawiony nóż, zaczerpnęła głęboko powietrza, szybko licząc do trzech. No tak, próbuje się z nią drażnić. Doskonale wiedziała, jak bardzo by się ucieszył, gdyby nagle zaczęła wrzeszczeć i tupać. Spuściła więc głowę, a jej głos stał się

lodowaty jak woda w pobliskim strumieniu.

- Jest to tak samo prawdopodobne jak to, że te resztki niedźwiedzia nagle zaryczą i ugryzą cię w tyłek.

Podnieśli się obydwójce. Chwycił ją mocno za nadgarstek i nie puszczał, mimo że gwałtownym szarpnięciem próbowała wyrwać rękę z żelaznego uchwytu.

- Wcale cię nie chcę, tak samo jak ty nie chcesz mnie. Po prostu przyszło mi na myśl, że w ten sposób wszystkim nam byłoby łatwiej przez to przebrnąć. Życie jest bardzo długie, Willo - dodał już nieco łagodniej - a rok nie będzie trwał w nieskończoność.

- Czasem zdarza się, że dzień trwa zbyt długo. Daj mi spokój, Ben. - Podniosła na niego wzrok. - Mężczyzna, który ma wątpliwości, czy posłuchać kobiety z nożem w ręku, w pełni zasługuje na to, co go może spotkać.

Mógł w ciągu trzech sekund odebrać jej nóż, ale zdecydował się tego nie robić.

- Chętnie przebiłabyś mnie tym nożem? - Doskonale wiedział, że to prawda co równocześnie podniecało go i złościło. Ale Willa zawsze w ten sposób na niego działała. - Przyjmij zatem do wiadomości, że nie potrzebuję niczego, co należy do ciebie. Tak samo jak ty nie mam ochoty być wymieniony na więcej ziemi i bydła.

W tym momencie zbladła, a on kiwnął głową.

- W takim razie oboje wiemy, na czym stoimy, Will. Chociaż nie jest wcale wykluczone, że nadejdzie chwila, kiedy któraś z twoich sióstr przypadnie mi do gustu. Na razie jednak łączą nas tylko interesy.

Poczuła się bardzo upokorzona. Nie mogła tego znieść, tak samo jak krwi, którą miała na rękach.

- Ty sukinsynu!

Na wszelki wypadek wzmocnił uchwyt na ręce, w której trzymała nóż.

- Ja też cię kocham, złotko. A teraz spróbuję zawiesić niedźwiedzia. Idź się umyć. - To ja go zastrzeliłam, mogę więc...

- Kobieta, która ma wątpliwości, czy posłuchać mężczyzny z nożem w ręku, w pełni zasługuje na to, co ją może spotkać. - Ponownie uśmiechnął się spokojnie i beztrąsko. - A może spróbowałibyśmy nie utrudniać sobie zadania, które przed nami stoi?

- To jest niemożliwe. - W tych trzech słowach słyhać było cały gniew i rozpacz, które nią miotały. - Wiesz dobrze, że to niemożliwe. Co byś zrobił, gdybyś był na moim miejscu?

- Na całe szczęście nie jestem - powiedział zwyczajnie. - Idź i zmyj tę krew. Mamy dzisiaj jeszcze kawał drogi do przejechania.

Puścił ją i przykucnął ponownie nad niedźwiedziem, zdając sobie sprawę, że Willa

stoi nad nim i z całych sił stara się opanować. Jednak rozluźnił się całkowicie dopiero wtedy, gdy ciężkim krokiem zaczęła się oddalać w kierunku strumienia.

Charlie z radością dotrzymywał jej kroku. Ben głęboko zaczerpnął powietrza i spojrzał w dół na odsłonięte kły niedźwiedzia.

- Wolałaby, żebyś ty ją ugryzł, niż żebym ja powiedział jej coś miłego - wymamrotał.
- Do diabła z babami.

Kiedy skończył krwawą robotę, musiał przyznać, że skłamał mówiąc, że jej nie chce. Pragnął jej, i to bardzo. Dziwne było natomiast to, że im bardziej się bronił, tym silniejsze było to pragnienie.

Zanim ponownie się do niego odezwała, upłynęła prawie godzina. Po drodze włożyli na siebie kurtki z owczej skóry, które chroniły ich przed lodowatym wiatrem, a konie stąpały już teraz po prawie trzydziestocentymetrowej warstwie śniegu. Charlie zadowolony torował drogę.

- Weź połowę niedźwiedziego mięsa. Zasłużyłeś sobie na to - powiedziała Willa.
- Jestem niezwykle zobowiązany.
- Nie jest łatwo czuć się zobowiązanym, prawda? Żadne z nas tego nie lubi.
Doszedł do wniosku, że doskonale ją rozumie, lepiej niż by chciała.
- Czasem trzeba przełknąć to, czego się nie da wypluć.
- Ale wtedy można się udławić. - W tym momencie w jej sercu otworzyła się bolesna rana. - Wiesz, Jack prawie nic nie zostawił Adamowi.

Ben przyglądał się uważnie jej profilowi.

- Jack obrał bardzo twardy kurs. - A Adam Wolfchild nie był jego synem, pomyślał Ben, i niewątpliwie dlatego tak się stało.

- Adam powinien dostać więcej. - Przyrzekła sobie, że osobiście tego dopilnuje.
- Absolutnie zgadzam się z tobą, jeśli chodzi o Adama. Ale twój brat jest człowiekiem, który z całą pewnością potrafi zatroszczyć się o siebie.

Tylko on mi został. O mały włos powiedziała by te słowa na głos. Przypomniała sobie jednak, że gdyby choć w najmniejszym stopniu otworzyła serce przed Benem, byłby to niewybaczalny błąd.

- Jak się miewa Zack? Widziałam dziś rano jego samolot. - Sprawdza ogrodzenia. Trudno w to uwierzyć, ale jest niesamowicie szczęśliwy. Przez okrągłą dobę kręci się w kółko i szczyrzy zęby jak głupiec. Oboje z Shelly kochają do szaleństwa swoją córeczkę. - Wszyscy ją kochamy do szaleństwa, pomyślał Ben, nie przyznał się jednak, że sam najchętniej by ciągle przytulał i pieścił małą bratanicę. - Jest śliczna. Wciąż trudno mi uwierzyć, że Zack

ustatkował się i założył rodzinę. . - - Shelly wiedziała, jak wziąć go w cugle. - Nie mogąc się powstrzymać, Ben uśmiechnął się do Willi. - Chyba już przestałaś beznadziejnie się kochać w moim młodszym bracie, prawda, Will?

Rozbawiona poprawiła się w siodle i posłała mu czarujący uśmiech. Rzeczywiście, dawno temu, gdy oboje byli jeszcze nastolatkami, w pewnym okresie ona i Zack robili do siebie słodkie oczy.

- Za każdym razem, kiedy o nim myślę, serce zaczyna mi szybciej bić. Kiedy Zack McKinnon pocałuje jakąś kobietę, żaden inny mężczyzna nie zdoła jej już zadowolić.

- Kochanie... - Wyciągnął rękę i szarpnął ją za warkocz. - To tylko dlatego, że ja cię nigdy nie pocałowałem.

- Szybciej pocałowałabym skunksa niż ciebie.

Roześmiał się i przybliżył do niej konia, a jego kolano dotknęło kolana Willi.

- Zack pierwszy by ci powiedział, że to ja nauczyłem go wszystkiego, co potrafi.

- Być może, sądzę jednak, że poradzę sobie w życiu bez braci McKinnonów. - Wzruszyła ramionami, a potem lekko obróciła głowę. - Dym. - W tym momencie odczuła wyraźną ulgę, ponieważ ta delikatna smużka oznaczała, że w pobliżu znajdują się jej pracownicy, samotna przejażdżka w towarzystwie Bena dobiega więc końca. - Ludzie najprawdopodobniej są w tej chwili w chacie. Jest właśnie pora obiadowa.

Ben pomyślał, że gdyby to była inna kobieta, każda inna kobieta, mógłby przechylić się w siodle, przyciągnąć ją do siebie i całować do utraty tchu. Po prostu dla zasady. Ponieważ jednak była to Willa, nie zrobił tego i trzymał ręce przy sobie.

- Zjadłbym coś. Mam zamiar spędzić stado i sprowadzić je na dół. Zbliżyła się śnieg. Zamiast odpowiedzi chrząknęła. Zapach jedzenia unosił się w powietrzu. Ale czuć było jeszcze coś innego. Początkowo myślała, że wlecze się za nią woń niedźwiedzia i krwi, którą miała na rękach. Jednak zapach ten nie znikał, wręcz stawał się coraz mocniejszy.

- Coś nieżywego znajduje się w pobliżu - powiedziała półgłosem.

- Słucham?

- W pobliżu znajduje się coś nieżywego. - Wyprostowała się w siodle i zaczęła bacznie przyglądać się ziemi i drzewom. Wokół było cicho i spokojnie. - Nie czujesz?

- Nie. - Mimo to wcale nie wątpił, że Willa coś czuje, i w związku z tym skierował konia w tę samą stronę co ona. Charlie również zwietrzył jakiś zapach i ruszył do przodu. - Masz w sobie coś z Indianki. Pewnie któryś z twoich pracowników ustrzelił sobie jakieś zwierzę na obiad.

Nie było to wcale wykluczone. Ludzie, wybierając się na hale, zabierali ze sobą

żywność i chata była dobrze zaopatrzona, lecz świeża dziczyzna stanowi zawsze ogromną pokusę. To jednak wcale nie wyjaśniało ogarniającego ją przerażenia i dreszczu przebiegającego po plecach.

Wysoko w górze rozległ się krzyk orła, potem odpowiedziało mu dzikie, rozdzierające duszę echo, a w końcu zapadła całkowita cisza. Promienie słońca odbijały się od powierzchni śniegu i raziły w oczy. Zdając się całkowicie na instynkt, Willa opuściła ubitą ścieżkę i skierowała konia na nierówny, wyboisty teren.

- Nie mamy zbyt wiele czasu na nadkładanie drogi - przypomniał jej Ben.

- Jeśli chcesz, możesz jechać dalej.

Zaklął i równocześnie sięgnął ręką w dół, żeby sprawdzić, czy strzelba jest na swoim miejscu. Są tu przecież niedźwiedzie. I kuguary. Pomyślał o obozowisku, znajdującym się mniej więcej o dziesięć minut stąd i gorącej kawie, którą można by zaparzyć na piecu.

Nagle zobaczył to, czego szukali. Nie miał tak świetnego węchu jak ona, ale obdarzony był doskonałym wzrokiem. Mnóstwo krwi było na śniegu i pobliskich kamieniach. Także na czarnej skórze wołu. Pies obiegł zmasakrowane zwierzę, i kuląc pod siebie ogon, wrócił do koni.

- O cholera! - Ben zeskoczył już z konia. - Ależ jatka!

- Wilki? - Dla Willi nie liczyła się w tej chwili wartość rynkowa zwierzęcia. To, co się stało, było niedorzeczne i okrutne.

Ben w pierwszej chwili miał zamiar potwierdzić jej przypuszczenie, urwał jednak w pół słowa. Wilk, jeżeli zabija, nie zostawia mięsa. Poza tym, z całą pewnością, nie potrafi rąbać ani kroić. Coś takiego jest w stanie zrobić tylko jeden myśliwy.

- Człowiek. Willi, gdy podeszła bliżej i zobaczyła, co się stało, zabrakło tchu. Wół miał poderżnięte gardło i wyjęte wnętrzności. Charlie przycisnął się do jej nóg i drżał.

- Został zarżnięty. Zmasakrowany. Przykucnęła i pomyślała o niedźwiedziu. Musiała go zabić, nie miała wyboru, a skóra, zważywszy na polowe warunki i narzędzia, które mieli pod ręką, została zdjęta całkiem prawidłowo. Ale tego, co znajdowało się przed nią, mógł dokonać tylko szaleniec, człowiek okrutny, nie mając żadnego ku temu powodu.

- Tak blisko chaty, niemal w zasięgu wzroku - stwierdziła. - Krew już zamarzła. Prawdopodobnie dokonano tego parę godzin temu, jeszcze zanim wzeszło słońce.

- To twoje zwierzę - powiedział Ben po sprawdzeniu znaku.

- To nie ma najmniejszego znaczenia, czyje. - Mimo to odnotowała w pamięci numer znajdujący się na żółtym kolczyku. Tę śmierć trzeba zapisać w księgach. Wstała i spojrzała w stronę, gdzie wznosił się dym. - Ważne jest natomiast, dlaczego. Czy coś takiego przydarzyło

się jakimś twojemu zwierzęciu? - Nie. - Wyprostował się i stanął obok niej. - A twoim?

- Dotychczas również nie. Nie sądzę, żeby zrobił to któryś z moich. - Z trudem nabrała powietrza. - Ani z twoich. Gdzieś w pobliżu musi obozować ktoś inny.

- Może. - Zmarszczył brwi, spoglądając pod nogi. Stali teraz blisko siebie, przejęci bezsensownością śmierci zwierzęcia, które leżało u ich stóp. Nie odsunęła się, gdy przesunął dłonią po jej warkoczu ani gdy po przyjacielsku położył rękę na jej ramieniu.

- Od chwili, kiedy to się stało, przybyło trochę śniegu, poza tym przez cały czas wieje wiatr. Ziemia jest tu mocno udeptana, lecz wygląda na to, że ślady kierują się na północ. Wezmę kilku ludzi i spróbuję to sprawdzić.

- To moje zwierzę. Spojrzał na nią spokojnie.

- To nie ma najmniejszego znaczenia, czyje ono jest - powtórzył. - Oboje musimy spędzić nasze stada, sprowadzić je na dół i zameldować o tym, co się tutaj stało. Mam nadzieję, że jeżeli o to chodzi, mogę na ciebie liczyć.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, po chwili jednak je zamknęła. Miał rację. Przy poszukiwaniu śladów i podążaniu czyimś tropem byłaby właściwie całkiem bezużyteczna. Natomiast z całą pewnością może zorganizować pościg. Kiwnęła głową na znak zgody i ruszyła w stronę konia.

- Porozmawiam z moimi ludźmi.

- Will. - Zanim wsiadła na konia, położył dłoń na jej ręce. - Uważaj na siebie.

Wskoczyła na siodło.

- To są przecież moi ludzie - powiedziała zwyczajnie i ruszyła w kierunku smużki dymu.

Kiedy weszła do chaty, jej pracownicy właśnie zaczęli jeść obiad. Pike siedział przy niewielkim piecu. Miał szeroko rozstawione nogi, a olbrzymi brzuch przelewał mu się nad sprzączką paska. Miał zaledwie czterdzieści lat, ale szybko łysiał, co rekompensował sobie, zapuszczając ryże wąsy, które z roku na rok stawały się coraz dłuższe. Przewisko zawdzięczał obsesyjnemu zamiłowaniu do mocno zaprawianych koprem pikli. Miał również tak samo cierpki jak one charakter.

Kiedy zobaczył Willę, chrząknął na powitanie, pociągnął nosem i pochylił się nad szynką, którą właśnie podsmażał na patelni.

Jim Brewster siedział z nogami na stole i dopalał marlboro. Zbliżał się do trzydziestki, miał ładną jak z obrazka twarz, którą okalały ciemne włosy opadające falami na kołnierzyk. Kiedy się uśmiechał, na jego policzkach pojawiały się dwa dołki. Rozpromieniony na widok Willi, nie tracąc pewności siebie puścił jej perskie oko, a jego niebieskie oczy zaiskrzyły się z

zadowolenia.

- Mamy gościa, Pickle. Na pewno chętnie zje z nami obiad.

Pickle ponuro chrząknął, czknął i odwrócił szynkę.

- Mięsa ledwo wystarczy na nas dwóch. Rusz swój leniwy tyłek i otwórz puszkę z fasolą.

- Śnieg się zbliża. - Willa zarzuciła swój płaszcz na hak i ruszyła w stronę radiostacji.

- Spadnie za jakiś tydzień.

Odwróciła głowę i napotkała nadąsane, brązowe oczy Pickle'ą.

- Nie sądzę. Jeszcze dzisiaj zaczniemy spędzać bydło. - Czekala, wytrzymując jego wzrok. Nienawidził, gdy rozkazywała mu kobieta, i oboje doskonale o tym wiedzieli.

- To twoje bydło - wymamrotał i przełożył szynkę na talerz.

- Tak, moje. I jedna sztuka została właśnie zarżnięta mniej więcej pół kilometra na wschód od chaty.

- Zarżnięta? - Jim zamarł w bezruchu w czasie podawania Pickle'owi otwartej puszk. - Kuguar?

- Nie, chyba że ostatnio dzikie koty noszą przy sobie noże.

Ktoś ją rozciął, posiekał na kawałki i zostawił.

- To jakiś nonsens. - Pickle zbliżył się do niej o krok, a jego oczy zmieniły się w szparki. - To cholerna bzdura, Will. Kilka sztuk zabił tutaj kuguar. Jeszcze wczoraj tropiliśmy go z Jimem. Widocznie zatoczył krąg i dobrał się do następnej krowy, to wszystko.

- Potrafię odróżnić ślady pozostawione przez pazury od śladów noża. - Pochyliła głowę. - Idź, sam zobacz. Prosto na wschód, nie dalej niż pół kilometra stąd.

- Do diabła, pewnie że pójdę. - Pickle poczłapał po swój płaszcz, mamrocząc coś na temat cholernych bab.

- Jesteś pewna, że to nie był kot? - zapytał Jim w chwili, gdy zamknęły się drzwi.

- Tak, jestem pewna. Mógłbyś dać mi trochę kawy, Jim? Mam zamiar połączyć się przez radio z ranczem. Chcę, by Ham wiedział, że schodzimy w dół.

- Tu, na halach, są też ludzie McKinnona, ale...

- Nie. - Kiwnęła przecząco głową, wyciągając krzesło. - Żaden kowboj, którego znam, nie zrobiłby czegoś takiego.

Ustawiła odpowiednią częstotliwość i wsłuchiwała się przez moment w zakłócenia, czekając, aż znikną. W czasie, gdy organizowała pościg, kawa i trzaskający w piecu ogień stopniowo ją rozgrzały. Przy drugiej filizance przekazała wszystkie informacje na ranczo McKinnona.

W tym momencie Pikle wszedł do środka i trzasnął drzwiami.

- Cholerny sukinsyn!

Traktując to jako przeprosiny, Willa podeszła do pieca i napełniła swój talerz.

- Jechałam do góry z Benem McKinnonem. Ruszył po śladach.

W związku z tym musimy pomóc sprowadzić na dół jego stado. Czy któryś z was nie zauważył przypadkiem kogoś kręcącego się w pobliżu? Turystów, myśliwych, dupków ze Wschodu?

- Wczoraj, kiedy tropiliśmy kuguara, trafiliśmy na ślady obozowiska. - Jim z powrotem zabrał się do jedzenia. - Ale popiół w ognisku już dawno wystygł. Ludzie byli tam jakieś dwa, trzy dni temu.

- Zostawili straszne ilości puszek po piwie. - Pikle jadł na stojąco. - Zupełnie jakby byli na własnym podwórku. Powinno się ich za to wystrzelać.

- Czy ta sztuka na pewno nie została zastrzelona? - Jim popatrzył na Pikle'a, czekając na potwierdzenie, a Willa udawała, że nie czuje się tym dotknięta. - Wiecie przecież, jacy są czasem ci faceci z miasta, strzelają do wszystkiego, co się rusza.

- Nie została zastrzelona. Poza tym nie zrobił tego żaden turysta. - Pikle wpakował łychę fasoli do ust. - To mogły być te pieprzone nastolatki. Głupie, naćpane nastolatki.

- Może. Jeśli tak, Ben powinien bez trudu ich znaleźć. - Mimo to uważała, że to nie były nastolatki. Doszła do wniosku, że trzeba żyć dużo dłużej, by zdobyć się na takie okrucieństwo.

Jim zsunął ledwo odgrzaną fasolę na talerz.

- Wiesz, słyszeliśmy już, jak się sprawy mają. - Odchrząknął. - Rozmawialiśmy ubiegłej nocy przez radio i Ham sądził, że to do niego należy, dlatego powiedział nam o wszystkim.

Odsunęła talerz i wstała.

- W takim razie powiem wam, jak sprawa wygląda. - Mówiła lodowatym, ale bardzo spokojnym głosem. - Wszystko na ranchu Mercy idzie tak, jak zawsze. Mój stary leży w grobie i teraz ja tu rządzę. I ja wydaję polecenia.

Jim wymienił krótkie spojrzenie z Pikiem, potem poskrobał się po policzku.

- Tak właśnie myślałem, Willo. Zastanawialiśmy się tylko, w jaki sposób masz zamiar zatrzymać swoje siostry na ranchu.

- One również będą wykonywały moje polecenia. - Zdjęła swój płaszcz z haka. - A teraz, jeżeli skończyliście już jeść, wskazujemy na siodła.

- Przekłete baby - wymamrotał Pikle, gdy drzwi zamknęły się za Willą i poczuł się

bezpieczny. - Jeszcze nie udało mi się spotkać takiej, która nie uwielbiałaby odgrywać szefa.

- To dlatego, że znasz za mało kobiet - Jim poszedł po swój płaszcz. - Tak się jednak jakoś dziwnie składa, że ta właśnie jest szefem. - Na razie.

- Dzisiaj ona jest tu szefem - Jim włożył płaszcz i rękawiczki. - A dzisiaj to znaczy dzisiaj.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tess bardzo nie lubiła spotkań z matką, dlatego zawsze określała je ironicznie jako „oficjalne wizyty”. Przed każdą następną „oficjalną wizytą” u Louelli niezmiennie brała podwójną dawkę tabletek przeciwbólowych. Wiedziała, że w czasie tych odwiedzin rozboli ją głowa, wołała więc zawczasu się przed tym zabezpieczyć.

Tym razem wybrała wczesne godziny przedpołudniowe, zdając sobie sprawę, że jest to jedyna pora dnia, kiedy ma szansę zastać matkę w domu. Do dwunastej Louella zawsze kręciła się po mieszkaniu. Robiła sobie fryzurę, manicure albo masaż twarzy. Czasem oddawała się gorączce zakupów przez telefon.

Do godziny czwartej najczęściej przebywała w swoim klubie „U Louelli”. Żartowała z barmanką albo zabawiała kelnerki, opowiadając niestworzone historie o swym życiu i miłośkach z czasów, kiedy była jeszcze tancerką w Las Vegas.

Tess od wielu lat unikała klubu. Chociaż, prawdę mówiąc, równie fatalnie czuła się u matki w domu. Był to niewielki, pokryty dachówką gipsowy budynek w hiszpańsko - kalifornijskim stylu. Tonął w zieleni i z dala wyglądał tak uroczo, że mógłby, a właściwie wręcz powinien, stanowić atrakcję turystyczną. Jednak, jak wielokrotnie powtarzała Tess, Louella Mercy nawet pałac Buckingham byłaby w stanie przeobrazić w obskurną budę.

Kiedy punktualnie o jedenastej Tess pojawiła się przed domem matki, z całych sił starała się nie widzieć tego, co Louella, beztriosko i niemal z dumą, nazywała „sztuką trawnikową”. Tandetny dżokej z promiennym, głupawym uśmiechem na ustach, stojące na tylnych łapach gipsowe lwy, błyszczący błękitny księżyc na betonowym podeście. Do tego koszmarna fontanna - dziewczynka o pogodnej twarzy, wlewająca wodę w pyszczek wyraźnie przestraszonego karpia.

Wokół rosła ogromna ilość różnorodnych kwiatów w ostrych, zupełnie nie harmonizujących ze sobą kolorach. Wszystko sadzono bez jakiegokolwiek, choćby najogólniejszej koncepcji.

Całość aż męczyła oczy kontrastowymi zestawieniami barw i brakiem ładu. Louella w dość specyficzny sposób traktowała swój ogródek. Jeśli spodobała jej się jakaś roślina, wsadzała ją tam, gdzie podyktował jej chwilowy kaprys.

Pomiędzy czerwoną fasolą a pomarańczowym niecierpkim stał najnowszy nabytek - pozbawiony głowy tors bogini Nike.

Tess pokiwała głową, po czym nacisnęła dzwonek, który odegrał pierwsze hałaśliwe takty melodii „The Stripper”.

Louella sama otworzyła drzwi. Wokół Tess natychmiast zafalowały ogromne ilości jedwabiu i otoczyła ją woń ciężkich perfum oraz niezliczonych kosmetyków. Louella nigdy nie przekraczała progu swej sypialni, jeśli nie miała na twarzy pełnego makijażu.

Była wysoką kobietą o bujnych kształtach i niesamowicie długich nogach. Wciąż jeszcze, mimo upływu lat, była w stanie wykonać szpagat. Już bardzo dawno temu wszyscy zapomnieli, jaki jest naturalny kolor jej włosów. Od wielu lat farbowała je na jasny blond z lekkim odcieniem miedzi. Czesła się w stylu uwielbianym przez telewizyjnych ewangelistów i używała bardzo dużo lakieru. Mimo grubych warstw podkładu, pudru i różu, można było dostrzec uderzająco piękną twarz o bardzo wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych i pełnych wargach, które w tej chwili pokrywała błyszcząca czerwona szminka. Miała niebieskie oczy, tego samego koloru cień pokrywał jej powieki, a całości dopełniały cieniutkie łuki bezlitośnie wyskubanych i ciemno wymalowanych brwi.

Jak zwykle Tess ogarnęła falą sprzecznych uczuć - miłości i zakłopotania.

- Mamusiu. - Oddała serdeczny uścisk. Kiedy rozległ się nieprawdopodobny harmider wywołany przez dwa uwielbiane przez matkę szpice, skrzywiła usta i wzniosła oczy do góry. W taki właśnie sposób ulubieńcy matki zawsze witali gości.

- A więc wróciłaś z wyprawy na Dziki Zachód? - Na wspomnienie wschodniego Teksasu Louella brzdęknęła na banjo. Pocałowała Tess w policzek, a potem poślinionym palcem starła stamtąd ślad po szmince. - Musisz mi wszystko opowiedzieć. Mam nadzieję, że pożegnali starego drania w odpowiednim stylu.

- Można powiedzieć, że to było... interesujące.

- Na pewno. Napijmy się kawy, kochanie. Dzisiaj Carmine ma wolne, więc musimy poradzić sobie same.

- Chętnie się tym zajmę. - Tess wolała sama zaparzyć kawę, niż mieć do czynienia z nadgorliwym służącym matki. Starła się również nie myśleć o tym, z jakich jeszcze usług tego mężczyzny korzysta Louella.

Przeszła przez salon, w którym zdecydowanie dominowała purpura, gdzieśgdzie przetykana złoceniami, po czym znalazła się w śnieżnobiałej kuchni. Jak zwykle panował tu idealny porządek. Nie zastanawiając się, co oprócz tego Carmine robi, a czego nie robi, trzeba przyznać, że jest czysty jak zakonnica.

- Powinien tu gdzieś być jeszcze kawałek ciasta. Jestem głodna jak wilk. - Nie zwracając uwagi na płaczące się pod nogami psy, Louella zaczęła szperać w kredensie, a potem w lodówce. W ciągu kilku minut zapanował w tych pomieszczeniach nieopisany chaos.

Tess ponownie skrzywiła usta. Bałagan zawsze i wszędzie towarzyszył jej matce, tak

samo zresztą jak ujadające Mimi i Maurice.

- Spotkałaś tam resztę rodziny?

- Jeżeli mówisz o moich przyrodnich siostrach, to tak. - Z drżeniem serca Tess obserwowała ciasto, które matka wydobyła z jakiegoś zakamarka. Louella kroić je potężnym nożem do mięsa. Potem ułożyła grube kawały na talerzu malowanym w ogromne róże. Każda porcja mogła mieć mniej więcej sto tysięcy kalorii.

- Powiedz mi, jakie one są? - Louella wielkodusznie ukroiła również kawałek dla psów. Podała im go na talerzu z chińskiej porcelany. Psy błyskawicznie pochłonęły ciasto i zaczęły na siebie warczeć.

- Córka żony numer dwa jest cicha i bardzo nerwowa. - To ta, której były mąż bardzo lubi używać pięści. - Cmoknąwszy językiem, Louella usiadła na barowym stolku. - Biedactwo. Jedna z moich dziewcząt też miała tego typu problemy. Mąż bez przerwy tłukł ją na kwaśne jabłko. W końcu udało nam się znaleźć dla niej schronienie. Mieszka teraz w Seattle. Od czasu do czasu przysyła mi nawet kartki. Tess starała się okazać zainteresowanie. „Dziewczeta” matki to wszystkie kobiety, które kiedykolwiek u niej pracowały, począwszy od kelnerek i barmanek, przez striptizerki, na pomocach kuchennych kończąc. Louella każdą z nich przy byle okazji brała w ramiona, pożyczała im pieniądze, udzielała rad. Tess zawsze uważała, że „U Louelli” to nie tylko klub, lecz również w jakimś stopniu dom dla tancerek topless.

- A ta druga? - zapytała Louella, zabierając się za swój kawałek ciasta. - Ta, w której żyłach płynie indiańska krew? - To najprawdziwszy kowboj w damskim wydaniu. Jest niesamowicie twarda. Wszędzie chodzi w brudnych, wysokich butach. Sądzę, że jest w stanie gołą pięścią powalić byka. - Ubawiona tą myślą Tess rozlała kawę do filiżanek. - Nawet nie próbuje ukryć tego, że nie chce widzieć na ranczu żadnej z nas. - Wzruszyła ramionami, usiadła i zaczęła skubać swoją porcję ciasta. - Ma przyrodniego brata. - Tak, wiem o tym. Znałam Mary Wolfchild, przynajmniej widywałam ją. Była piękną kobietą, a jej synek miał uroczą twarzyczkę. Twarzyczkę aniołka.

- Teraz jest już dorosłym człowiekiem, ale wciąż ma twarz anioła. Mieszka na ranczu i pracuje przy koniach.

- O ile pamiętam, jego ojciec był prawdziwym kowbojem. - Louella sięgnęła do kieszeni purpurowego szlafroka i wyjęła stamtąd paczkę papierosów.

- A co słyhać u Bess? - Wypuściła obłok dymu, po czym roześmiała się donośnie i zmysłowo. - Boże, co to była za kobieta! Musiałam się przy niej cholernie pilnować. Jednak muszę przyznać, że fantastycznie prowadziła dom i gównu sobie robiła z Jacka.

- Prawdę mówiąc, wciąż jest tam gospodynią.

- Cholerny dom! Cholerne ranczo! - Na to wspomnienie Louella wykrzywiła jasnoczerwone wargi. - Cholerny kraj!

Wcale nie żałuję, że spędziłam tam tylko jedną zimę.

Sakramencki, sięgający po pachy śnieg.

- Dlaczego wysłaś za niego za męża? - Kiedy Louella uniosła brwi, Tess poruszyła się niespokojnie. - Wiem, że nigdy o to nie pytałam. Teraz jednak chciałabym to wiedzieć.

- To proste pytanie i łatwo na nie odpowiedzieć. - Louella wsypała do swej filiżanki z kawą ogromną ilość cukru. - Był najbardziej seksownym sukinsynem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Miał niesamowite oczy, którymi przeszywał człowieka na wylot. Trzymał wysoko głowę, a uśmiechał się tak, jakby doskonale wiedział, co się za chwilę zdarzy i zapraszał cię do wzięcia w tym udziału.

Doskonale wszystko pamiętała. Zapach potu i whisky, mocne reflektory świecące jej prosto w oczy. Sposób, w jaki Jack Mercy dumnie wszedł do nocnego klubu w momencie, gdy właśnie była na scenie. Jej niezwykle skąpy strój składał się z kilku piór, a na głowie miała ważący dziewięć kilogramów stroik.

Nie zapomniała również, jak ją obserwował, przez cały czas paląc cygaro i wypuszczając kłęby dymu.

Wcale nie była zaskoczona tym, że czekał na nią po ostatnim pokazie. Poszła z nim bez zastanowienia, od kasyna do kasyna, pijąc, grając w ruletkę, nie zdejmując przez całą noc z głowy jego kapelusza.

Czterdzieści osiem godzin później stała z nim przed ołtarzem w jednej z tych kaplic, które trudno od siebie odróżnić. Była muzyka z taśmy i sztuczne kwiaty. A na jej palcu błyszczała złota obrączka.

Chyba nie można się dziwić, że w niecałe dwa lata później ją zdjęła.

- Problem polegał na tym, że byliśmy parą obcych sobie ludzi.

Łączył nas seks i podniecenie towarzyszące hazardowi. - Z filozoficznym uśmiechem na ustach Louella rozgniotła niedopałek papierosa na pustym talerzyku. - Wcale nie byłam stworzona do życia na jakimś cholernym ranczu z bydłem, gdzieś w dalekiej Montanie. Mimo to, gdybym bardzo się postarała, może udałoby mi się tam wytrwać - kto wie? Kochałam go.

Na całe szczęście Tess zdążyła już przełknąć ciasto, w innym bowiem razie z pewnością utknęłoby jej w gardle.

- Kochałaś go?

- Przez chwilę tak. - Po tylu latach Louella mogła już beztrudno wzruszyć ramionami.
- Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie byłaby w stanie przez dłuższy czas kochać Jacka. Mimo to naprawdę go kochałam, dzięki temu mam ciebie. Dodatkową korzyścią było sto patyków. Gdyby Jack nie wszedł tamtego wieczoru i nie przypadł mi do serca, nie miałabym ani córki, ani klubu. Jestem mu za to bardzo wdzięczna.

- Jak możesz być wdzięczna za cokolwiek człowiekowi, który pozbył się ciebie i swej własnej córki? Człowiekowi, który zostawił cię z zawszonymi stoma tysiącami dolarów?

- Sto patoli trzydzieści lat temu warte było dużo więcej niż teraz. - Louella uczyła się od początku, jak być matką i kobietą interesu. Była dumna z tego, co osiągnęła w obu tych rolach. - Z mego punktu widzenia, ubiłam całkiem niezły interes.

- Ranczo Mercy jest warte dwadzieścia milionów. Czy w dalszym ciągu uważasz, że to był dobry interes?

Louella zacisnęła wargi.

- To było jego ranczo, kochanie. Ja przez jakiś czas byłam tam jedynie gościem.

- Jednak mieszkałaś tam wystarczająco długo, żeby zdążyć zrobić ci dziecko. Potem po prostu cię wywalił.

- Bardzo chciałam mieć dziecko.

- Mamo. - W tym momencie wściekłość Tess w znacznym stopniu ulotniła się, pozostało jedynie poczucie niesprawiedliwości. - Powinnaś dostać dużo więcej.

- Może tak, może nie. Wówczas jednak był to naprawdę dobry interes. - Louella zapaliła następnego papierosa i zdając sobie sprawę, że Tess nie opowiedziała jej jeszcze wszystkiego, uznała, że będzie musiała się spóźnić na popołudniową sesję w salonie piękności. Musi przecież dowiedzieć się wszystkich szczegółów. - Czas szybko mija. Jack dorobił się trzech córek i teraz gryzie ziemię. Powiesz mi, co dostałaś w spadku?

- Z tym jest poważny problem. - Tess wzięła papierosa z ręki Louelli i zaciągnęła się. Jak każdy myślący człowiek, wcale nie była zwolenniczką palenia. Miała jednak do wyboru albo to, albo następnych kilka milionów kalorii, które wciąż jeszcze znajdowały się na jej talerzyku. - Dostałam jedną trzecią rancza.

- Jedną trzecią z... Jezu Chryste! Tess, kochanie, toż to majątek!

Louella poderwała się na równe nogi. Miała prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i dość obfite kształty, ale przecież kiedyś była tancerką i kiedy trzeba było, umiała się poruszać. Z gracją obiegła ladę i entuzjastycznie uścisnęła córkę, miażdżąc jej przy okazji wszystkie żebra.

- Dlaczego w takim razie siedzimy tutaj i popijamy kawę?

Bardziej odpowiedni byłby w tym momencie francuski szampan. Carmine ma tu gdzieś zamelinowaną butelkę.

- Zaczekaj, mamó. Zaczekaj. - Gdy Louella ponownie wtargnęła do lodówki, Tess pociągnęła ją za szlafrok. - Nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego.

- Moja córka jest milionerką. Krowią baronową. - Louella odkorkowała butelkę, rozlewając przy okazji szampana. - O cholera!

- Muszę mieszkać tam przez rok. - Tess wyrzuciła to z siebie jednym tchem, obserwując równocześnie Louellę, która radośnie przyssała się do butelki i zaczęła spijać pianę. - Wszystkie trzy musimy tam mieszkać razem przez cały rok.

Inaczej nie dostaniemy ani centa. Louella zlizwała resztki szampana z warg.

- Masz mieszkać przez rok w Montanie? Na ranchu? - Jej głos zaczął drżeć. - Wśród krów? Ty wśród krów?

- Takie są warunki testamentu. Tamte dwie też. Wszystkie razem.

Louella zaczęła się śmiać. Przez cały czas jedną ręką trzymała butelkę, drugą zaciskała na ladzie. Śmiała się tak serdecznie i tak długo, że po policzkach zaczęły jej płynąć wymieszane z tuszem i podkładem łzy.

- Jezu Chryste, ten sukinsyn zawsze potrafił mnie rozśmieszyć.

- Miło mi, że tak cię to bawi. - Głos Tess był lodowaty. - Będiesz mogła śmiać się z tego co wieczór, podczas gdy ja ugrzęznę w tym cholernym zadupiu i będę obserwować, jak rośnie trawa.

Louella naląła szampana do filiżanek od kawy.

- Kochanie, przecież zawsze możesz olać to wszystko i po prostu odejść. - I zrezygnować z kilku milionów? Ani mi się śni.

- Rzeczywiście.

Louella spoważniała i zaczęła bacznie obserwować córkę, to tajemnicze zjawisko, któremu jakimś cudem dała życie. Jest taka ładna, pomyślała, taka opanowana i pewna siebie.

- Rzeczywiście nie możesz tego zrobić. Jesteś zbyt podobna do swego ojca, by się poddać. Poradzisz sobie, Tess.

Zastanawiała się, czy jedna trzecia rancza będzie jedyną korzyścią, którą wyciągnie jej córka z tej sytuacji. Była również ciekawa, czy ten rok zmieni coś w ich wzajemnych stosunkach.

Podniosła obie filiżanki i jedną z nich podała Tess.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro z samego rana. - Tess westchnęła głęboko. - Muszę jeszcze kupić sobie

cholerne buty - mruknęła pod nosem, potem z lekkim uśmiechem uniosła filiżankę. - Niech to wszyscy diabli! To przecież tylko rok.

W czasie kiedy Tess piła szampana w kuchni swej matki, Lily stała na skraju pastwiska i obserwowała skubiące trawę konie. Nigdy nie widziała nic piękniejszego niż końskie grzywy rozwiewane przez wiatr. Zachwyciły ją również wznoszące się w tle góry - błękitne turnie pokryte białymi płatami śniegu.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy spokojnie przespała całą noc, mimo że nie wzięła tabletek nasennych. Nie dręczyły jej żadne koszmary, a do snu kołysała ją panująca wokół cisza.

Teraz również wszędzie było niezwykle spokojnie. Co prawda gdzieś w oddali turkotał silnik, był to jednak tylko pomruk unoszący się w powietrzu. Rano słyszała, jak Willa mówiła, że trzeba uprzętnąć zboże, Lily nie chciała Jednak nikomu wchodzić w drogę. Była szczęśliwa, że może stać tu i przyglądać się koniom. Miała nadzieję, że w ten sposób nikomu nie zawadza.

Przez ostatnie trzy dni była całkowicie zdana na siebie. Nikt nie odezwał się ani słowem, gdy snuła się po domu albo wychodziła na zewnątrz, aby zwiedzić ranczo. Mężczyźni mijając ją uchylali kapelusza. Zdawała sobie sprawę, że na pewno nie brakuje komentarzy i sarkania. Było to jej jednak całkowicie obojętne.

Zachwyciło ją świeże powietrze i przyroda. Gdziekolwiek stanęła, zauważała coś pięknego - wodę płynącą po kamieniach w maleńkim strumyku, barwnego ptaka podrywającego się do lotu, sarnę przebiegającą drogę.

Przyszło jej na myśl, że najbliższy rok spędzi w rajku.

Adam, trzymając w ręku wiadro, obserwował ją z oddali. Wiedział, że przychodzi tu codziennie. Widywał ją jak wychodziła z domu, mijała stajnię, potem wybiegi dla koni, i kierowała kroki na to pastwisko. Zawsze zatrzymywała się przy ogrodzeniu. Potem stała tam godzinami - nieruchoma i cicha.

Bardzo samotna.

Zdawał sobie sprawę, że potrzebna jest jej samotność.

Wiedział, że czasem rany najlepiej goją się w odosobnieniu.

Uważał jednak, że Lily przydałby się przyjaciel. Dlatego zaczął się zbliżać do niej, starając się robić przy tej okazji tyle hałasu, by go usłyszała i nie wystraszyła się. Odwróciła się w jego stronę i po chwili wahania na jej ustach pojawił się nikły uśmiech. Jednak dla Adama najważniejsze było to, że w ogóle się pojawił.

- Przepraszam. Mam nadzieję, że stojąc tutaj, nikomu nie przeszkadzam.

- Oczywiście, że nikomu nie przeszkadzasz.

Wiedziała już, że przy nim nie ma się czego bać, dlatego przeniosła wzrok na konie.

- Uwielbiam na nie patrzeć.

- Możesz przyjrzeć im się z bliska.

Adam nie potrzebował wiadra z ziarnem, żeby przywabić konie do ogrodzenia. Wystarczyło, jeśli każdego z nich cicho zawołał. Podał więc wiadro Lily.

- Potrząśnij tym. Zrobiła tak, jak powiedział, i zauważyła, że kilka koni zastrzygło uszami. Po chwili gromadnie podbiegły do ogrodzenia. Bez zastanowienia nabrała garść ziarna i zaczęła karmić piękną płową klacz.

- Musiałaś mieć już kiedyś do czynienia z końmi. Słyszac tę uwagę, cofnęła rękę.

- Przepraszam. Zanim zaczęłam ją karmić, powinnam zapytać, czy mogę.

- Przecież nic się nie stało. - Żałował, że z jej twarzy zniknął uśmiech i ten blask, który na chwilę pojawił się w jej szaroniebieskich oczach. Przyszło mu na myśl, że te oczy mają dziwny kolor, jak woda w jeziorze, kiedy o zachodzie słońca kładą się na niej cienie. - Chodź tutaj, Molly.

Usłyszawszy swoje imię, dereszowata klacz przebiegła wzdłuż płotu w kierunku bramy. Adam wprowadził ją do zagrody i zarzucił jej uzdę na głowę.

Zażenowana Lily strzepnęła niewidoczny pyłek z dzinsów i z wahaniem podeszła o krok bliżej.

- Ma na imię Molly?

- Tak. - Patrzył na konia, dając jej w ten sposób trochę czasu, żeby z powrotem się uspokoiła.

- Jest piękna.

- Jest wspaniałym wierzchowcem. Spokojnym i łagodnym. Jeszcze trochę nierówno chodzi, ale bardzo się stara. Prawda, dziewczynko? Chciałabyś na nią wskoczyć, Lily?

- Słucham?

- Nie udawaj, że nie rozumiesz. - Adam starał się utrzymać żartobliwy nastrój, a równocześnie zarzucił derkę na grzbiet Molly. - Nate kultywuje angielskie obyczaje, więc jeśli wolisz, możemy pożyczyć od niego damskie siodło.

Splotła kurczowo dłonie. Robiła to zawsze, gdy była bardzo zdenerwowana.

- Nie rozumiem.

- Wydawało mi się, że chętnie dosiadłabyś jej. Czy mam rację? - Zarzucił na grzbiet Molly stare siodło Willi. - Pomyślałem więc, że moglibyśmy przejechać się na pobliskie wzgórze. Może spotkamy po drodze wapiti.

Targały nią całkowicie sprzeczne uczucia. Z jednej strony miała ogromną ochotę na tę wyprawę, równocześnie jednak bardzo się bała.

- Nie jeździłam od... Mój Boże, to było tak dawno.

- Na pewno nie zapomniałaś, jak się to robi. - Adam ocenił długość jej nóg i odpowiednio wyregulował strzemiona. - Kiedy lepiej poznasz okolicę, będziesz mogła jeździć sama. - Obrócił się i zauważył, że spogląda w stronę domu. Tak jakby sprawdzała odległość. - Nie musisz się mnie bać.

Wierzyła mu. Ale ogromnym niepokojem napawało ją właśnie to, że tak łatwo mu wierzyć. Przecież Jesse także był człowiekiem wzbudzającym zaufanie.

Przypomniała sobie jednak, że jest to sprawa całkowicie zakończona. To już przeszłość. Teraz, jeśli zechce, może zacząć nowe życie.

- Chciałabym się trochę przejechać, ale nie bardzo wiem, czy mogę.

- Zapewniam cię, że możesz. - Ruszył w jej kierunku, ale instynktownie zatrzymał się, by ponownie jej nie spłoszyć. - Nie bój się Willi. To bardzo dobra i wspaniałomyślna dziewczyna. Tylko w tej chwili bardzo cierpi.

- Wiem, że jest rozgoryczona. Sądzę, że ma do tego prawo. - Lily nie potrafiła się dłużej opierać, wyciągnęła rękę i poklepała Molly po szyi. - Jeszcze bardziej martwi się wszystkim od momentu, kiedy znaleźli w górach tego biednego wołu. Nie rozumiem, kto mógł zrobić coś takiego.

Willa jest wściekła. Poza tym wciąż ma tyle roboty. Zawsze jest bardzo zajęta, a ja, no cóż, prawdę mówiąc, nie mam co ze sobą zrobić.

- Pewnie chciałabyś w czymś pomóc?

Kiedy stał między nimi koń, czuła się dużo bezpieczniej. Była nawet w stanie uśmiechnąć się do niego.

- Nie, jeżeli miałyby to coś wspólnego z kastrowaniem bydła.

Dzisiaj ano słyszałam ryki. - Zadrżała, a potem zaśmiała się z samej siebie. - Na całe szczęście udało mi się wyjść z domu, zanim Bess zmusiła mnie do zjedzenia śniadania. Podejrzewam, że mój żołądek mógłby się bardzo buntować.

- To jedna z tych rzeczy, do których z czasem przywykniesz.

- Nie sądzę. - Lily westchnęła ciężko. Prawie nie zauważyła, że jej spoczywająca na szyi klaczy dłoń znajduje się bardzo blisko ręki Adama. - Dla Willi to wszystko jest całkiem naturalne. Zna się na wszystkim i jest pewna siebie. Wie, kim jest. Ja jej tylko zawadzam, dlatego nie mogę zdobyć się na odwagę, by z nią porozmawiać i zapytać, czy nie przydałabym się na coś.

- Jej również nie musisz się bać. - Czubkami palców dotknął jej ręki, przez cały czas poklepując klacz. Nie przerwał nawet wówczas, gdy Lily odsunęła swą dłoń. - Na razie możesz pytać mnie. Chętnie skorzystam z twojej pomocy. Przy koniach - dodał, gdy spojrzała na niego pytająco.

- Chcesz, żebym pomagała ci przy koniach?

- Jest przy nich sporo roboty, a w zimie będzie jeszcze więcej.

- Czując, że jego pomysł trafił na podatny grunt, odsunął się. - Zastanów się nad tym. - Potem złożył ręce i ponownie się do niej uśmiechnął. - Pomogę ci wskoczyć na grzbiet Molly. Pospaceruj na razie po zagrodzie i oswoj się z nią, a ja w tym czasie osiodłam własnego wierzchowca. Miała bardzo ściśnięte gardło, z trudem więc przełknęła ślinę, żeby móc wyszeptać:

- Przecież nawet mnie nie znasz.

- Sądzę, że z czasem się poznamy. - Stał cierpliwie ze złożonymi rękami i spokojnie na nią patrzył. - Oddajesz w moje ręce jedynie stopę, Lily, nie swoje życie.

Zawstydzila się, chwyciła za łęk i pozwoliła, aby ją wsadził na konia. Potem poważnie spojrzała na niego z góry.

- Adamie, moje życie to jeden ogromny bałagan. Pokiwał jedynie głową i sprawdził strzemiona.

- Będziesz musiała powoli zacząć je porządkować. - Na chwilę położył dłoń na jej kostce, pragnąc, by przyzwyczała się do jego dotyku. - Ale dzisiaj wystarczy, jeśli przejedziesz się na wzgórze.

A to suka! Pozwala się obmacywać temu mieszkańcowi. Zasmarkana kurewka myśli, że może się pozbyć Jesse'a Cooke'a. Wydaje się jej, że jest w stanie uciec, a on jej nie złapie. Myśli, że może napuścić na niego gliny. Jeszcze mu za to zapłaci.

Jesse patrzył przez lornetkę i aż kipiała w nim złość. Zastanawiał się, czy ten zajmujący się końmi Metys zdążył już ją przelecieć. No cóż, ten drań również będzie musiał mu zapłacić. Lily jest żoną Jesse'a Cooke'a i on sam ma zamiar wkrótce jej o tym przypomnieć.

Głupia mała pizda, dając drapaka do Montany, myślała, że się go pozbędzie. Ale dzień, w którym Jesse Cooke dałby się przechytrzyć kobiecie, byłby dniem, w którym słońce nie weszłoby na wschodzie.

Doskonale wiedział, że zawsze, zanim wykona jakikolwiek ruch, kontaktuje się ze swą kochaną, starą matką. W związku z tym zamelinował się w miejscu, skąd widać było ładny domek w Wirginii. Każdego ranka zaglądał do skrzynki pocztowej i sprawdzał czy nie ma

tam listu od Lily.

Cierpliwość opłacała się. Oczywiście, tak jak się tego spodziewał, list w końcu przyszedł. Zabrał go do swego pokoju w motelu i otworzył nad parą. Och! Jesse Cooke wcale nie jest durniem. Przeczytał list i dowiedział się z niego, dokąd Lily się wybiera i jakie ma plany.

Przypomniał sobie z goryczą, że wybierała się po pieniądze, które dostała w spadku. Na dodatek miała zamiar pozbawić swego męża należnej mu części. Nie uda się jej to nigdy w życiu, pomyślał Jesse.

Natychmiast po zaklejeniu z powrotem listu i wrzuceniu go do skrzynki, Jesse wyruszył do Montany. Dotarł tutaj o całe dwa dni wcześniej niż jego durna żona. Wystarczyło jeszcze czasu, by mężczyzna tak kuty na cztery nogi, jak Jesse Cooke, zdołał się zakotwiczyć i znaleźć sobie pracę na ranchu Three Rocks.

Marną, pieprzoną robotę, pomyślał. Jego zadaniem było naprawianie samochodów i wszelkiego rodzaju urządzeń. No cóż, rzeczywiście znał się nieco na silnikach, a przecież zawsze znajdzie się jakiś łązik, którego trzeba trochę podregulować. Kiedy nie zajmował się samochodami, gonili go, żeby sprawdzał ogrodzenia.

Ale to nawet jest mu na rękę, cholernie jest mu na rękę, tak jak właśnie w tej chwili. Człowiek poruszający się czterośladem i sprawdzający ogrodzenia może przecież nadłożyć nieco drogi i dowiedzieć się, co w trawie piszczy.

Może również sporo zobaczyć.

Jesse przejechał palcami po wąsach, które ostatnio zapuścił i tak samo jak włosy farbował na brązowo. To tylko środek ostrożności, pomyślał, tymczasowa maskarada, na wypadek gdyby Lily zbyt dużo paplała na jego temat. Gdyby to zrobiła, mogliby szukać zawsze dokładnie ogolonego blondyna. Zmienił również fryzurę. Doszedł do wniosku, że wygląda teraz jak pieprzony pederasta. Wściekało go, że nie może już jak dawniej obcinać włosów niemal przy samej skórze, jak zawsze robili to marines.

To wszystko jednak w ostatecznym rozrachunku się opłaci. Kiedy odzyska Lily, kiedy przypomni jej, kto jest szefem. Kto tu rządzi.

Zanim nadejdzie ten cudowny dzień, będzie się trzymał w pobliżu. Będzie obserwował.

- Dobrze się bawisz, suko - powiedział Jesse półgłosem i przymrużył oczy, obserwując przez wojskową lornetkę Lily i Adama jadących obok siebie na koniach. - Nadchodzi czas zapłaty.

Dzień chylił się już ku zachodowi, gdy Willa wróciła do domu. Kastrowanie bydła i

pozbawianie go rogów było ohydną i nieprzyjemną robotą, na dodatek strasznie nudną. Wiedziała, że zbyt dużo pracuje, ale była jednocześnie pewna, że będzie to nadal robić. Chciała, żeby ludzie widzieli ją w każdym miejscu, przy każdej robocie. Wprowadzanie jakichkolwiek zmian nawet w normalnych warunkach spowodowałoby ogromny zamęt. A obecna sytuacja bardzo już odbiegała od normalnej.

Właśnie dlatego, gdy stado wapiti przeskoczyło przez płot i zaczęło szerzyć spustoszenie, natychmiast się tym zajęła. Osobiście kierowała ludźmi, którzy przepędzali zwierzęta, a potem naprawiali ogrodzenie.

Teraz, po skończonej robocie, pracownicy siedli do kolacji i gry w karty, a Willa marzyła jedynie o gorącej kąpieli i ciepłym posiłku. Była w połowie schodów, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Wiedziała, że Bess najprawdopodobniej urzęduje w kuchni, wobec tego, powłócząc nogami, sama zeszła na dół i otworzyła drzwi.

Powitała Bena z naburmuszoną miną.

- Co cię tu sprowadza?

- Chętnie napiłbym się zimnego piwa.

- To nie saloon.

Mimo to ruszyła w głąb pokoju i sięgnęła do lodówki.

- Tylko się pośpiesz, Ben. Jeszcze nie jadłam kolacji.

- Ja też. - Wziął butelkę, którą mu wręczyła. - Podejrzewam jednak, że nie masz zamiaru mnie na nią zaprosić.

- Nie jestem towarzysko nastawiona.

- Jeśli dobrze pamiętam, nigdy mi się nie zdarzyło, żebyś była towarzysko nastawiona.

- Przechylił butelkę i pociągnął z niej spory łyk. - Nie widziałem cię od czasu, kiedy razem byliśmy na halach. Przyjechałem ci powiedzieć, że niczego nie znalazłem. Zgubiłem trop. Doszedłem do wniosku, że ktoś, kto to zrobił, znał się na rzeczy i doskonale wiedział, jak zatrzeć za sobą ślady.

Wzięła piwo dla siebie, a ponieważ bardzo bolały ją nogi, usiadła na sofie obok Bena.

- Pikle uważa, że to dzieciaki. Naćpane, pomyłone dzieciaki.

- A ty co o tym sądzisz?

- Kiedy to mówił, uznałam, że nie ma racji. - Wzruszyła ramionami. - Teraz jednak wydaje mi się to najlepszym wyjaśnieniem.

- Kto wie? Chyba nie ma już sensu wracać na hale.

Sprowadziliśmy na dół bydło. Czy twoja siostra wróciła już z Los Angeles?

Willa przez cały czas kręciła głową, żeby rozluźnić zmęczone, napięte mięśnie

pleców. W tym momencie przerwała jednak tę czynność i zmarszczyła brwi.

- Uwielbiasz wtykać nos w sprawy związane z ranczem Mercy, McKinnon.

- W tej chwili należy to do moich obowiązków. - Z ogromną przyjemnością przypomniał jej o tym. Z przyjemnością również patrzył na nią, na kosmyki włosów wymykające się z warkocza i buty oparte o stół tak samo jak jego. - Masz od niej jakieś wiadomości?

- Przyjeżdża jutro. Jeżeli dowiedziałeś się już wszystkiego, co cię interesowało, może byłbyś łaskaw...

- Przedstawisz nas sobie? - Wyciągnął rękę i zaczął bawić się jej włosami. Bardzo lubił to robić. - Gdyby przypadła mi do gustu, mógłbym się nią zająć. Wtedy na pewno udałoby mi się trzymać ją od ciebie z daleka.

Odepchnęła jego dłoń, ale on natychmiast położył ją z powrotem tam, gdzie była.

- Czy kobiety zawsze padają do twych stóp?

- Wszystkie oprócz ciebie, kochanie. I to tylko dlatego, że wciąż jeszcze nie znalazłem odpowiedniego sposobu na wytrącenie cię z równowagi. - Przejechał koniuszkiem palca po jej policzku i obserwował, jak z wściekłości mruży oczy. - Ale pracuję nad tym. - A ta druga?

- Jaka druga? - Chciała odsunąć się od niego chociaż o kilka centymetrów, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że w ten sposób wyszłaby na idiotkę.

- No, twoja druga siostra.

- Kręci się tu gdzieś w pobliżu. Uśmiechnął się ironicznie. - Wygląda na to, że cię denerwuję. Czy to nie ciekawe?

- Masz chyba problemy z własnym ego? - Mimo to zaczęła się podnosić. Powstrzymała ją, kładąc rękę na jej ramieniu.

- Proszę, proszę - mruknął czując, że cała drży. - Wydaje mi się, że poświęciłem ci zbyt mało uwagi. Przysuń się do mnie.

Robiła wszystko, by nie zauważył, że nierówno oddycha. Stopniowo zmieniała uchwyt na butelce piwa. Och! Ben jest taki arogancki, pomyślała. Taki zarozumiały. Tak pewien, że się w nim zakocham, jeśli tylko uda mu się nacisnąć odpowiedni guzik.

- Rzeczywiście chcesz, żebym się przysunęła? - zamruczała jak kotka, stwierdzając, że jest tym bardzo zaskoczony. - A co się stanie, jeśli to zrobię?

Gdyby w tym momencie był jeszcze w stanie myśleć, z pewnością uznałby się za głupca. Lecz krew całkowicie odpłynęła z jego mózgu, do ostatniej kropli. Czuł jedynie, że ten zachrypnięty głos budzi w nim coraz większe pożądanie.

- Powiedziałbym, że za jakiś czas na pewno się przekonamy. - Wczepił palce w jej

koszulę, zacisnął mocno i przyciągnął ją do siebie. Gdyby oderwał wzrok od jej oczu i przestał wpatrywać się w usta, z całą pewnością zobaczyłby, co się święci. A tak zamarł w bezruchu, dwa centymetry od tych ust, skąpany w piwie, które wylała mu na głowę.

- Ale z ciebie oferma, Ben. - Zadowolona z siebie przechyliła się do przodu, żeby odstawić pustą butelkę na stół. - Jak sądzisz, jak mogłabym wytrzymać na ranchu pełnym wiecznie napalonych facetów, gdybym nie umiała przewidzieć, co za chwilę zrobią?

Powoli przejechał ręką po mokrych włosach.

- Nie wiem. Tym razem jednak... Wykonał błyskawiczny ruch. Willa przywalona całym jego ciężarem pomyślała, że nawet wąż grzechocze, zanim zaatakuje. Teraz jednak mogła mieć pretensje tylko do samej siebie o to, że muskularny mężczyzna o oczach na - biegłych krwią przyciskają do kanapy.

- Tego się nie spodziewałaś. - Chwycił ją mocno za nadgarstki i uniósł jej ramiona nad głowę. Zarumieniała się, uznał jednak, że nie tylko ze złości. Gdyby to była jedynie wściekłość, nie drżałaby jak liść. Poza tym w jej oczach pojawiła się nagle świadomość własnej kobiecości.

- Dlaczego nie pozwolisz się pocałować, Willo? Boisz się, że ci się to spodoba?

Serce waliło jej w piersiach jak młot, tłukło się tak, jakby chciało się stamtąd wyrwać. Miała wrażenie, że po wargach bez przerwy wędrują mrówki, zupełnie jakby wszystkie znajdujące się tam komórki nerwowe przygotowywały się do akcji.

- Jeżeli będę chciała, żebyś mnie pocałował, powiem ci o tym. Z uśmiechem pochylił się nad nią.

- Dlaczego w takim razie nie powiesz mi, że tego nie chcesz.

No proszę, powiedz. - Mówił to z lekka ochrypłym głosem.

Musnął delikatnie jej brodę. - Powiedz, że nie chcesz, żebym cię pocałował. Chociaż raz.

Nie mogła. To byłoby kłamstwo. Okłamanie go nie sprawiłoby jej co prawda najmniejszej trudności, ale miała zaschnięte gardło i nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. W związku z tym wybrała inną możliwość i szybkim, zdecydowanym ruchem uniosła kolano w górę.

Z ogromną przyjemnością obserwowała, jak śmiertelnie zbladł, a potem ciężko opadł na nią.

- Zejdz ze mnie! Zejdz ze mnie, cholerny idioto! Miażdżysz mi płuca. - Nie mogła złapać tchu, wygięła się więc, a potem wykonała gwałtowny ruch, na który Ben zareagował jękiem. Kiedy udało się jej złapać powietrze, chwyciła w garść jego włosy i mocno je

szarpnęła.

Potoczyli się po kanapie i upadli na podłogę. Nagle, gdy jej łokieć uderzył o krawędź stołu, zobaczyła wszystkie gwiazdy. Obolała i wściekła rzuciła się na niego. Walczyli zawzięcie, klnąc pod nosem. Nie zauważyli nawet, że coś spadło na podłogę i rozbiło się.

Próbował się bronić, ale Willa najwyraźniej była żądna krwi. Dowiodła tego zresztą w chwili, gdy wbiła mu zęby nieco poniżej barku. Był pewien, że odgryzła mu spory kawał ramienia, zaskowyczał więc, chwycił ją za brodę i zaczął ścisnąć. To sprawiło, że uchwyt jej zębów nieco zelżał.

Tarzali się po podłodze, wierzgali nogami, rozpaczliwie szukając oparcia, szturchali się łokciami i odpychali rękami. Kiedy wreszcie Ben ją obezwładnił, Willa zdała sobie sprawę, że się śmieje. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu, chociaż brakowało jej tchu. Zaskoczony spojrział na nią z góry.

- Myślisz, że to śmieszne? - Przymrużył oczy, a potem dmuchnął, żeby pozbyć się spadających mu na oczy włosów. Był jednak bardzo zadowolony, że nie zdołała wyrwać mu tych, które trzymała w garści. - Ugryzłaś mnie.

- Wiem. - Jej głos jeszcze drżał, kiedy próbowała zwilżyć wargi językiem. - Chyba mam w ustach strzępy twojej koszuli. Puść mnie, Ben.

- Żebyś znowu mogła mnie ugryźć albo kopnąć w jaja? - Ponieważ wciąż jeszcze odczuwał ból, zmrużył oczy i zadrwił: - Walczysz jak dziewczyna.

- No to co? Daje to jednak rezultaty. Nastrój Bena ponownie się zmienił. W miejsce gniewu i wściekłości niepostrzeżenie pojawiło się zaciekawienie i pożądanie. Znajdowali się w takiej pozycji, w jakiej zakończyli walkę. Klatką piersiową przyciskał jej piersi, a jego nogi spokojnie spoczywały między jej udami.

- Tak, rzeczywiście skutkuje. Wydaje się nawet, że taka sytuacja odpowiada ci jako kobiecie.

Nagle dostrzegła w jego oczach jakiś nowy wyraz i w tym momencie ogarnęły ją dwa sprzeczne uczucia: paniczny strach i chęć sprawdzenia, co się może zdarzyć.

- Nie rób tego.

Pochylił się i przybliżył usta do jej warg. Ponownie zabrakło jej tchu.

- Dlaczego? To nie będzie bolało.

- Nie chcę, żebyś mnie całował. Uniósł brwi i uśmiechnął się. - Kłamiesz. - Zadrzała. - Tak. Jego usta już prawie dotykały jej warg, gdy usłyszała pierwszy przeraźliwy krzyk.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ben puścił ją i zerwał się na równe nogi. Biegł tak szybko, że Willa nie mogła dotrzymać mu kroku. Kiedy otworzył drzwi, w powietrzu wciąż jeszcze słychać było echo przejmujących krzyków.

- Jezu Chryste! - Jęknąwszy, przeszedł nad leżącą na werandzie krwawą miazgą i objął Lily. - Już wszystko w porządku, kochanie. - Bezwiednie prze sunął się trochę w bok, żeby zasłonić przed nią okropny widok i zaczął uspokajająco gładzić ją po plecach. Nad jej głową spojrział Willi prosto w oczy.

Zobaczył, że jest wyraźnie zaszokowana. Jednak nie aż tak bardzo, jak kompletnie rozdygotana i spoglądająca na niego szklanym wzrokiem kobieta, którą trzymał w ramionach. Doszedł do wniosku, że Lily jest niezwykle delikatną istotą, podczas gdy Willa zawsze była twarda i nieugięta.

- Zabierz ją do domu - polecił Willi. Ona jednak potrząsnęła głową i w milczeniu spoglądała na poszarpane, krwawe szczątki, leżące u jej stóp.

- To chyba jest jeden ze stajennych kotów. - Raczej był, pomyślała ponuro, zanim ktoś odciął mu głowę i rozpruł brzuch, a następnie zostawił przed drzwiami wejściowymi.

- Zabierz ją do środka, Will - powtórzył Ben. Krzyki ściągnęły wszystkich ludzi, którzy znajdowali się w pobliżu. Adam pierwszy dobiegł do werandy. Najpierw zobaczył Lily płaczącą w ramionach Bena. Widząc to poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Dopiero potem zareagował na widok leżących na werandzie zmasakrowanych szczątków kota.

Nie zastanawiając się podszedł bliżej i położył dłoń na ramieniu Lily. Kiedy wykonała jakiś gwałtowny ruch, zaczął ją uspokajać.

- Wszystko w porządku, Lily.

- Adamie, zobaczyłam... - Nagle poczuła mdłości.

- Wiem. Wejdź do domu. A teraz przez chwilę patrz na mnie - wyszeptał i ostrożnie uwolnił ją z ramion Bena, a potem okrężną drogą poprowadził w stronę drzwi. - Willa się tobą zajmie.

- Nie mogę, mam...

- Zaopiekuj się siostrą, Will - przerwał Adam i spokojnie wsunął w jej dłoń rękę Lily.

Willa poczuła, że dziewczyna drży jak liść, i w tym momencie przestała protestować. Klnąc pod nosem, wciągnęła ją za sobą do domu.

- Chodź. Musisz usiąść. - Zobaczyłam...

- Wiem, co zobaczyłaś. Zapomnij o tym. - Willa zdecydowanym ruchem zamknęła

drzwi, zostawiając mężczyzn debatujących nad bezgłowym ciałem leżącym na werandzie.

- Jezu Chryste! Adamie, czy to kot? - Jim Brewster zasłonił dłonią usta. - Ktoś się nad nim straszliwie znęcał.

Adam spojrzał w bok i uważnie przyglądał się twarzom mężczyzn. Jim był blady jak ściana, a jego grdyka poruszała się niespokojnie w górę i w dół. Ham miał mocno zaciśnięte usta, natomiast Pikle przybiegł ze strzelbą na ramieniu. Zjawił się również zaledwie osiemnastoletni, zawsze pełen entuzjazmu Billy Vincent oraz Wood Book, który w tej właśnie chwili drapał się po jedwabistej czarnej brodzie.

To on pierwszy odezwał się spokojnym głosem.

- Gdzie jest głowa? Nie widzę jej tutaj. - Podszedł bliżej. Jak zwykle pachniał old spice'em i cukierkami miętowymi. Na nim spoczywała odpowiedzialność za zasiewy i zbiory zbóż. Jego żona, Nell, gotowała dla pracowników rancza. Adam wiedział, że Wood jest bardzo opanowany i twardy jak skały Gibraltaru.

- Ten, kto to zrobił, najprawdopodobniej lubi trofea. - Słowa Adama powstrzymały pomruki. Tylko Billy nie przerwał paplania.

- Je...zu Chryste, czy kiedykolwiek widzieliście coś takiego? Chyba wyciągnął z niego wszystkie wnętrzności, a potem wsadził je z powrotem. Kto mógł pastwić się w taki sposób nad głupim kotem? Jak myślicie...

- Zamknij się, do cholery, Billy! - rozkazał Ham zmęczonym głosem. Westchnął i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. - Wracajcie wszyscy do kolacji. Nic tu po was. Wybałuszacie tylko oczy jak gromada starych bab na pokazie mody.

- Odechciało mi się jeść - mruknął Jim, mimo to wszyscy zgodnie wrócili do poprzednich zajęć.

- To strasznie głupia sprawa - skomentował Ham. - Mogły to zrobić dzieciaki, ale nie dałbym wcale za to głowy. Chłopcy Wooda są trochę dzicy, ale nie okrutni. Moim zdaniem, aby zrobić coś takiego, trzeba odznaczać się szczególnym okrucieństwem. Mimo to porozmawiam z nimi.

- Ham, czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeżeli zapytam cię, czy wiesz, co twoi ludzie robili w ciągu ostatniej godziny?

Ham przyjrzał się Benowi przez obłok dymu.

- Szwendali się tu i tam, myli się przed kolacją, sam wiesz, jak to jest. Nie miałem ich wszystkich na oku, jeśli o to właśnie pytasz. Ludzie, którzy tu pracują, z pewnością nie pocięliby kota dla zabawy.

Ben kiwnął głową. To nie było jego ranczo, w związku z tym nie mógł pytać o nic

więcej i obaj doskonale o tym wiedzieli.

- To musiało się stać w ciągu ostatniej godziny. Mniej więcej tyle czasu byłem w domu, a kiedy wchodziłem, nic tu nie leżało. Ham wciągnął w płuca więcej dymu i kiwnął głową.

- Porozmawiam z chłopcami Wooda. - Po raz ostatni rzucił okiem na to, co zostało na werandzie. - To strasznie głupia sprawa - powtórzył, po czym odszedł.

- W ciągu tygodnia, Adamie, już drugie zwierzę zostało rozerwane na strzępy.

Adam przykucnął i czubkami palców dotknął zakrwawionego futra.

- Nazywaliśmy go Mike. Był stary, prawie ślepy na jedno oko i powinien spokojnie zdechnąć podczas snu.

- Przykro mi, że tak się stało. - Ben doskonale rozumiał przywiązanie, wręcz zażyłość, która może łączyć człowieka ze zwierzętami, dlatego po przyjacielsku położył dłoń na ramieniu Adama. - Myślę, że macie poważne kłopoty.

- Wiem. Z całą pewnością nie jest to robota chłopców Wooda. Nie są w stanie wyrządzić nikomu krzywdy. Poza tym nie byli na halach, nie mogli więc zmasakrować wołu.

- Masz rację. Jak dobrze znasz swoich ludzi? Adam oderwał wzrok od kota i spojrzał na Bena. Był spokojny i opanowany, mimo że w jego oczach wyraźnie widać było żal.

- Nie odpowiadam za ludzi. Zajmuję się końmi. - Jest jeszcze ciepły, pomyślał, dotykając futra. Szybko stygnie, ale jest jeszcze ciepły. - Znam ich dość dobrze. Tylko Billy jest u nas od zeszłego roku. Wszyscy pozostali pracują tu od wielu lat. Musisz jednak zapytać Willę, ona z pewnością będzie wiedziała więcej. - Spojrzał ponownie pod nogi i zrobiło mu się żal starego, prawie ślepego kocura, który wciąż jeszcze lubił polować na myszy. - Źle się stało, że Lily to widziała.

- Zgadzam się z tobą. - Ben westchnął i pomyślał, że niewiele brakowało, aby zobaczyła również tego, kto to zrobił. - Pomogę ci go pochować.

W domu Willa niespokojnie przemierzała salon tam i z powrotem. Zastanawiała się, w jaki sposób, do diabła, ma się zaopiekować tą kobietą? Nie rozumiała, dlaczego Adam zagonił ją do tak bezsensownego zajęcia. Spojrzała na Lily, która siedziała skulona w rogu kanapy i wciąż drżała jak osika.

Przecież dała jej whisky. To powinno pomóc. Nie mogąc wymyślić nic lepszego, pogłaskała ją też po głowie. Zdawała sobie sprawę, że ma poważny problem ze swoimi pracownikami. Na miłość boską, niepotrzebna jej do tego wszystkiego rozhisteryzowana dziewczyna ze Wschodu.

- Przepraszam - wydusiła z siebie Lily. Były to pierwsze słowa, które zdołała

wymówić od chwili, kiedy znalazła się w domu. Nabrała głęboko powietrza do płuc i spróbowała jeszcze raz. - Przepraszam. Nie powinnam wrzeszczeć jak opętana. Nigdy nie widziałam... Byłam z Adamem i pomagałam mu przy koniach, a potem...

- Wypij tę cholerną whisky, dobrze? - nie wytrzymała Willa. Po chwili jednak bardzo żałowała swego wybuchu, zobaczyła bowiem jak Lily skurczona ze strachu posłusznie podniosła kieliszek do ust. Wściekła na samą siebie Willa przetarła dłonią twarz. - Sądzę, że każdy zacząłby krzyczeć, gdyby nadział się na coś takiego. Nie jestem wcale na ciebie zła.

Lily nie lubiła whisky, nienawidziła jej zapachu i palenia w gardle. Jesse wołał seagram's. Pił, a jego wściekłość rosła w miarę jak w butelce obniżał się poziom alkoholu. Zawsze było tak samo. Mimo to próbowała teraz udawać, że pije.

- Czy to był kot? Wydawało mi się, że to właśnie kot. - Lily zagryzła mocno wargi, robiąc wszystko, żeby głos jej się nagle nie załamał. - Czy to był twój kot?

- Koty należą do Adama. Tak samo jak psy i konie. Ale ktoś, kto to zrobił, chciał zrobić na złość mnie, nie jemu. Nie położył tego na werandzie Adama. Chciał w ten sposób dokuczyć mnie.

- Tak samo było z... wołem? Willa zatrzymała się i spojrzała przez ramię.

- Tak, tak samo było z wołem.

- Przyniosłam gorącą herbatę. - Bess wpadła do salonu z tacą w rękach. Kiedy ją odstawiła, natychmiast zaczęła się awanturować. - Will, dlaczego dałaś tej biedaczce whisky? O czym ty myślisz? Przecież to tylko podrażni jej żołądek. - Bess delikatnie wyjęła kieliszek z ręki Lily i odstawiła go na bok. - Napij się herbaty, kochanie, i spróbuj odpocząć. Przeżyłaś potworny szok. Will, przestań chodzić tam i z powrotem! Lepiej usiądź.

- Zajmij się nią. Ja wychodzę. Bess spokojnie nalewała herbatę, mimo to zmierzyla Willę ponurym spojrzeniem.

- Ta dziewczyna nigdy nie słucha.

- Jest zdenerwowana.

- Wszyscy jesteśmy zdenerwowani.

Lily obiema rękami uniosła filiżankę do ust i po chwili poczuła ciepło spływające przełykiem do żołądka.

- Ona przejmuję się tym bardziej niż inni. To jest jej ranczo. Bess uniosła głowę.

- Twoje również.

- Nie. - Lily ponownie wypila łyk herbaty i powoli zaczęła się uspokajać. - Zawsze będzie należało do niej.

Kota zabrano, ale na deskach wciąż jeszcze pozostała kałuża krwi. Willa wróciła po

wiadro z wodą i szczotkę do szorowania podłogi. Wiedziała, że Bess posprzątałaby tu później, ale uważała, że musi to zrobić sama.

Na czworakach, w blasku lampy oświetlającej werandę, zmywała ślady krwi. Śmierć jest rzeczą naturalną. Wydawało jej się, że akceptuje ten fakt i rozumie go. Bydło hoduje się ze względu na mięso, a kura, która przestaje znosić jajka, trafia w końcu na talerz. Zabija się również wapiti i jelenie, by podać na stół dziczyznę.

Jest to naturalna kolej rzeczy.

Także ludzie żyją i umierają.

Była nawet w stanie zaakceptować pewien rodzaj przemocy. Sama wysyłała kule w stronę żywego zwierzęcia, a potem własnoręcznie zdejmowała z niego skórę. Ojciec uparł się, że musi to umieć. Kazał jej nauczyć się polować i patrzeć, jak wykrwawia się jelen. To wszystko rozumiała i z tym była w stanie żyć.

Lecz bezsensowna ofiara okrucieństwa i nienawiści, która znalazła się pod jej drzwiami, nie była częścią tego odwiecznego cyklu. Willa zmyła wszystkie ślady, starła każdą kroplę. Potem postawiła obok siebie wiadro pełne wody zmieszanej z krwią, przysiadła na piętach i spojrzała w niebo.

W chwili gdy patrzyła, umierała jakaś gwiazda. Spadała w dół, zostawiając biały ślad na niebie i powoli odchodząc w zapomnienie.

Gdzieś w pobliżu zahukała sowa. Willa wiedziała, że nadeszła pora, kiedy każde drobne zwierzę, każda potencjalna ofiara rozpaczliwie będzie szukać kryjówki. Jest pełnia księżyca, raj dla myśliwych. Dzisiejszej nocy zginie mnóstwo zwierząt — w lesie, w górach, na prerii. Takie jest prawo przyrody.

Nie wiadomo dlaczego, poczuła nagle, że zbiera jej się na płacz.

Usłyszała odgłos zbliżających się kroków i szybko wzięła się w garść. Właśnie podrywała się na równe nogi, gdy Ben i Adam podeszli do werandy.

- Zrobiłbym to, Will. - Adam wziął od niej wiadro. - Trzeba było mi to zostawić.

- Już skończyłam. - Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po twarzy. — Przykro mi z powodu Mike'a, Adamie.

- Zawsze, gdy świeciło słońce, uwielbiał wygrzewać się na kamieniach za stajnią. Dlatego zakopaliśmy go właśnie tam. - Spojrzał w stronę okien. - A co z Lily?

- Jest z nią Bess. Ona lepiej się nią zajmie niż ja.

- Wyleję to, a potem wpadnę sprawdzić, jak sobie radzą.

- Dobrze. - Mimo to jeszcze przez dobrą chwilę dotykała dłonią jego policzka, mruczając coś w języku ich matki.

Adam uśmiechnął się, nie tyle z powodu łagodnych słów, ile z powodu języka. Rzadko go używała, właściwie tylko wtedy, kiedy miała coś istotnego do powiedzenia. Po chwili odszedł i zostawił ją z Benem.

- Masz poważny kłopot, Willo.

- Nawet kilka. - Niezależnie od tego, kto był sprawcą, zrobił to, gdy oboje byliśmy w domu. - Walcząc, dodał w myśli, jak dwójka głupich dzieciaków. - Ham ma zamiar porozmawiać z chłopcami Wooda.

- Joe i Pete? - Will fuknęła, a potem zakołysała się na piętach, by się trochę uspokoić. - To nie oni, Ben, daję za to głowę. Fakt faktem, że ci chłopcy wyczyniają tutaj dzikie harce i regularnie tłuką się, aż wióry lecą, ale nie byłiby w stanie torturować starego kota. Potarł bliznę na brodzie.

- Widziałaś to, prawda?

- Przecież mam oczy. - Musiała zaczerpnąć głęboko powietrza, by uspokoić buntujący się ponownie żołądek. - Ktoś obcinał kawałek po kawałku. Oprócz tego chyba go przypalał, ponieważ na futrze widać było ślady, być może papierosów. To nie byli chłopcy Wooda. Adam dał im zeszłej wiosny parę kociąt. Rozpieszczali je, jakby to były niemowlęta.

- Czy Adam zalażł ostatnio komuś za skórę? Nawet na niego nie spojrzała.

- Oni nie zrobili tego, żeby dokuczyć Adamowi. Chodziło im o mnie.

- Masz rację. - Ponieważ był tego samego zdania, tylko przytaknął. Jednak martwił się o nią. - To może ty dałaś się ostatnio komuś we znaki?

- Oprócz ciebie? Uśmiechnął się blado, wszedł na pierwszy stopień schodów, aż stanęli oko w oko.

- Drażnisz się ze mną przez całe swoje życie. Ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Przynajmniej tak uważam, Willo. - Wziął ją za rękę. - Czy istnieje ktoś, kto twoim zdaniem chciałby cię skrzywdzić?

Dotyk jego ręki trochę ją zmieszał.

- Nie. Pikle i Wood mogą trochę kręcić nosem, że to ja teraz wszystkim kieruję. Zwłaszcza Pikle. Obaj są strasznymi antyfeministami. Ale osobiście nic do mnie nie mają.

- Pikle był na halach - zauważył Ben. - Byłby w stanie zrobić coś takie go, żeby cię dotknąć? Żeby najzwyczajniej napędzić babie strachu?

Dumna z siebie, zadrwiła.

- A czy ja wyglądam na przestraszoną?

- Prawdę mówiąc, czułbym się znacznie lepiej, gdybyś tak wyglądała. - Mimo to wzruszył ramionami. - Byłby w stanie to zrobić?

- Kilka godzin temu z pełnym przekonaniem odpowiedziałabym, że nie. W tej chwili już niczego nie jestem pewna. - Zdała sobie sprawę, że to właśnie jest najgorsze. Nie wiadomo komu i na ile można zaufać. - Myślę, że nie. Łatwo wpada w złość, poza tym lubi ciągle się skarżyć i robić mnóstwo zamieszania, ale nie sądzę, aby był w stanie zabić zwierzę bez żadnego wyraźnego powodu.

- Jakiś powód jednak musi być. A my powinniśmy go odkryć.

Pochyliła głowę. - My?

- Twoje ranczo sąsiaduje z moim, Will. Poza tym przez najbliższy rok w jakiś sposób jestem za ciebie odpowiedzialny. - Kiedy gwałtownym szarpnięciem próbowała wyrwać rękę, spokojnie wzmacnił uścisk. - To jest fakt i sądzę, że oboje przywyknęliśmy do tego. Mam zamiar nie spuszczać z ciebie oczu. Z ciebie i twoich sióstr.

- Właśnie widzę, że bardzo się przykładasz. Ale uważaj, żeby ktoś ci ich nie wydrapał.

- Jestem gotów zaryzykować. - Na wszelki wypadek jednak chwycił jej drugą dłoń i teraz już obie trzymał w żelaznym uchwycie. - Przeczucie mi mówi, że czeka mnie interesujący rok. Niezwykle interesujący. Nie walczyłem z tobą od... chyba dwudziestu lat. Od tego czasu tu i ówdzie twoje kształty sympatycznie się zaokrągliły.

Wiedząc, że Ben jest cięższy i mocniejszy, ma zatem nad nią poważną przewagę, stała zupełnie spokojnie.

- Używasz pięknych słów, Ben. Jak poeta. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo bije mi serce. Powinieneś to sprawdzić.

- Kochanie, o niczym innym nie marzę, ale na pewno natychmiast spróbowałabym rozłożyć mnie na deski.

Uśmiechnęła się, zadowolona, i w tym momencie poczuła się już znacznie lepiej.

- Mylisz się, Ben. Rozłożyłabym cię na deski. A teraz już sobie idź.

Jestem bardzo zmęczona i chciałabym zjeść kolację.

- Pójdę.

Ale jeszcze nie w tej chwili, pomyślał. Przesunął dłonie wyżej i złapał ją za nadgarstki. Ku swemu ogromnemu zaskoczeniu stwierdził, że jej puls rzeczywiście bije bardzo mocno. Trudno byłoby domyślić się tego, patrząc w te chłodne, ciemne oczy. W ogóle niewiele można się dowiedzieć, patrząc na Willę Mercy.

- Nie pocałujesz mnie na pożegnanie?

- Nie zadowoliliby cię już wtedy żadna z tych kobiet, z którymi tak bardzo lubisz się zabawiać.

- Byłbym gotów zaryzykować również i to. - Ale się cofnął. To nie był odpowiedni

czas ani miejsce. Czuł jednak, że z ogromną niecierpliwością będzie czekał na jedno i drugie.
- Wrócę.

- Tak. - Kiedy wsiadał do swojego łazika, wsunęła ręce do kieszeni.

Wciąż jeszcze miała przyspieszone tętno. - Wiem o tym.

Czekała, aż tylne światła jego samochodu znikną na długiej, pokrytej kurzem drodze. Potem spojrzała przez ramię na dom i oświetlone okna. Marzyła o gorącej kąpiel, ciepłym posiłku i długim, głębokim śnie. Wszystko to jednak musi jeszcze trochę poczekać. To ona kieruje teraz ranczem Mercy i dlatego musi porozmawiać ze swoimi ludźmi.

Jako szefowa próbowała trzymać się z dala od domu, w którym mieszkali robotnicy zatrudnieni na ranczu. Uważała, że mają prawo do prywatności, a ten drewniany budynek, na którego werandzie stały krzesła na biegunach, był ich domem. Tutaj spali i jedli, a jeżeli mieli na to ochotę, czytali książki. Grali w karty i kłócili się przy tym, oglądali telewizję i skarżyli się na szefa.

Nell przygotowywała posiłki w parterowym domku, w którym mieszkała z Woodem i synami, gotowe przewoziła tutaj. Nie obsługiwała mężczyzn. W każdym tygodniu oni wyznaczali spośród siebie odpowiedzialnego porządek. Dzięki temu jedli, jak chcieli. Nie musieli myć się po robocie, siadali czasem do stołu brudni, nikt nie krzywił się nawet, jeśli chodzili w bieliźnie. Bez żadnego skrępowania mogli snuć zmyślane opowieści o kobietach i sprzeczać się, który z nich jest lepszy w łóżku.

To był przecież ich dom.

Dlatego zapukała i cierpliwie czekała, aż wpuszczają do środka. Byli tam wszyscy oprócz Wooda, który jadł kolację w domu, razem z rodziną. Siedzieli przy stole. Ham właśnie skończył posiłek i odsunął krzesło do tyłu. Billy i Jim wciąż jeszcze łączywie połykali kawałki kurczaka i kluski. Wyglądali jak para wilków walczących o mięso. Pikle wlewał w siebie piwo i, jak to miał w zwyczaju, patrzył spode łba.

- Przepraszam, że przeszkadzam podczas posiłku.

- Właśnie kończymy - powiedział Ham. - Billy, zabierz się już za mycie naczyń. Przestań jeść, bo pęknie. Napijesz się kawy, Will?

- Chętnie. - Podeszła do pieca, nalała sobie filiżankę i wróciła. Wiedziała, że sprawa jest bardzo delikatna, w związku z tym musi przedstawić ją z całą bezpośredniością, ale jednocześnie zachowywać się niezwykle taktownie. - Nie mam pojęcia, kto mógł tak zmasakrować starego kota. - Odczekała chwilę, popijając kawę. - Czy któryś z was ma jakieś podejrzenia?

- Sprawdziłem chłopców Wooda. - Ham wstał, żeby nalać sobie kawy. - Nell mówi, że

byli z nią w domu prawie cały wieczór. Niedawno dostali scyzoryki, więc kazała im je przynieść. Rzuciłem na nie okiem. Były czyste. - Wypił łyk kawy i skrzywił się. - Młodszy, Pete, wybuchnął płaczem, kiedy usłyszał, co się stało z Mike'em. To duży chłopak. Trudno uwierzyć, że ma zaledwie osiem lat.

- Słyszałem, że czasem dzieciaki robią takie rzeczy. - Odezwał się posępnie Pikle, popijając piwo. - Potem wyrastają na seryjnych morderców.

Willa obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. Pikle potrafił pogorszyć nawet najtrudniejszą sytuację.

- Nie sądzę, by synowie Wooda przygotowywali się do takiej właśnie roli.

- To mógł być McKinnon. - Billy pobrzękiwał talerzami w zlewie, mając nadzieję, że Willa zwróci na niego uwagę. Zawsze miał nadzieję, że go zauważy. Jego miłość do niej była wielka jak Montana. - Przecież był tutaj. - Potrząsnął głową, by odrzucić jasne jak słońca włosy opadające mu na oczy. Z namaszczaniem skrobał naczynia, starając się, by przy okazji widać było, jak pracują jego mięśnie. - Jego ludzie byli wysoko w górach, kiedy ktoś rozplątał tam wołu.

- Powinieneś się najpierw zastanowić, zanim zaczniesz mleć tym swoim głupim ozorem, dupku. - Wypowiedź Hama była całkowicie pozbawiona złości.

Każdego, kto nie miał jeszcze trzydziestu lat, uważał za dupka. Nie inaczej więc traktował pełnego entuzjazmu i obdarzonego ogromną wyobraźnią Billy'ego. - McKinnon na pewno nie pociął tego cholernego kota.

- No nie wiem, przecież tutaj był - upierał się Billy, przy okazji strzelając oczami w bok, by sprawdzić, czy Willa go słucha.

- To prawda - zgodziła się. - Ale przez cały czas był ze mną w domu. Sama otwierałam mu drzwi, a wtedy nic nie leżało na werandzie.

- Nic podobnego nie zdarzyło się za życia starego Jacka. - Pikle ponownie przechylił butelkę z piwem i zerknął na Willę.

- Daj spokój, Pikle. - Czując się nieswojo, Jim przesunął się na skrzypiącym krześle. - Nie możesz obwiniać Willi o to, co się stało.

- Ja tylko stwierdziłem fakt.

- W porządku - przytaknęła Willa. - Rzeczywiście nic takiego się nie zdarzyło za życia mego ojca. Ale on nie żyje i teraz ja zajmuję jego miejsce. Obiecuję wam, że kiedy dowiem się, kto to zrobił, sama się nim zajmę. - Odstawiła filiżankę. - Chciałabym, żeby każdy z was przez chwilę się zastanowił. Może sobie coś przypomnicie, może widzieliście coś lub kogoś. Jeżeli przyjdzie wam do głowy jakiś pomysł, wiecie, gdzie mnie szukać.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Ham z taką siłą kopnął krzesło, na którym siedział Pikle, że prawie je przewrócił.

- Dlaczego musisz być takim cholernym głupcem? Ta dziewczyna daje z siebie wszystko.

- Ale jest babą, no nie? - I o to właśnie chodzi, pomyślał. - Babom nie można wierzyć, a już za cholere nie można na nich polegać. Czy nie wpadło wam do głowy, że ten, kto tak zmasakrował te zwierzęta, może następnym razem dobrać się do człowieka? - Pociągnął łyk piwa i czekał, aż wyrażona przez niego wątpliwość dotrze do świadomości słuchaczy. - Zamierzacie liczyć na to, że ona zapewni wam bezpieczeństwo? Bo ja nie.

Billy zanurzył talerz w pianie. Jego oczy zaokrągliły się ze zdumienia.

- Myślisz, że ten ktoś spróbuje teraz zrobić coś takiego któremuś z nas? Że wypróbuje swój nóż na nas?

- Zamknij się, do cholery. - Ham z hukiem postawił swoją filiżankę. - Pikle po prostu próbuje wkurzyć nas wszystkich, ponieważ jego ptaszek skręca się z braku kobiety. Zabić bydlę to nie to samo, co zabić człowieka.

- Ham ma rację. - Jim z trudem przełknął kluski i zrezygnował z reszty znajdującej się na jego talerzu. - Może jednak nie zaszkodzi zachować przez jakiś czas ostrożność? Na ranczu mamy teraz o dwie kobiety więcej. - Odsunął talerz i wstał. - Może powinniśmy mieć je na oku.

- Ja będę pilnował Willi. - Billy wyrwał się z tą propozycją jak Filip z konopi i natychmiast otrzymał od Hama kuksańca w bok.

- Będziesz pracował tak jak zawsze. Nie zgodzę się, żeby wszyscy trzęśli się ze strachu na widok byle cienia. - Dolał sobie kawy i ponownie podniósł kubek. - A ty, Pikle, jeśli nie masz nic mądrego do powiedzenia, to przynajmniej trzymaj mordę na kłódkę. To również dotyczy was wszystkich. - Przerwał na chwilę, by zmierzyć wzrokiem każdego z mężczyzn, kiwnął głową usatysfakcjonowany. - Mam zamiar bacznie obserwować zagrożenie.

- Chcecie coś wiedzieć? - Pikle powiedział szeptem. - Zawsze mam pod ręką naładowaną strzelbę, a w bucie trzymam nóż.

Jeżeli zauważę, że ktoś się dziwnie zachowuje, natychmiast się nim zajmę. Sam zadbam o własne bezpieczeństwo. - Wziął swoje piwo i wyszedł na zewnątrz.

Jim obszedł dzbanek z kawą i też wziął sobie piwo, po drodze spoglądając na bladą twarz Billy'ego. Biedny dzieciak, pomyślał. Na pewno w nocy będzie miał koszmarne sny.

- On po prostu robi z siebie osła, Billy. Przecież znasz go nie od dziś.

- Tak, ale... - Wytarł dłonią usta. Przypomnił sobie, że ofiarą padł tylko kot. Po prostu stary, parszywy kot. - Tak, rzeczywiście znam Pikle'a nie od dziś.

W nocy Willę dręczyły koszmary. Kiedy się obudziła, od stóp do głów była zlane zimnym potem, serce waliło jej w piersi, a w gardle uwiązał krzyk. Wydostała się z gmatwaniny prześcieradeł i próbowała złapać powietrze. Samotna, roztrzęsiona usiadła na środku łóżka. Światło księżyca jasnym strumieniem wpadało przez okna do pokoju, a kapryśny, lekki wietrzyk stukał nieśmiało w szyby.

Nie mogła sobie przypomnieć, co ją tak męczyło we śnie. Pamiętała krew i paniczny strach. Noże. Idący za nią bezgłowy kot. Próbowала się z tego śmiać. Oparła głowę o podkulone kolana i starała się śmiać z samej siebie. Jednak dźwięki, które wydobywały się z jej krtani, bardziej przypominały szloch.

Wstała z łóżka. Nogi ugiwały się pod nią, mimo to dotarła do łazienki, włączyła światło, schyliła głowę nad kranem i nabrała w dłonie lodowatej wody. Kiedy zmyła z twarzy pot, poczuła się znacznie lepiej. Podniosła głowę i przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze.

Z całą pewnością była to jej twarz. Nie zmieniła się. Czy jednak w ogóle cokolwiek się zmieniło? Minęła po prostu piekielna noc. Willa zaczęła się zastanawiać, czy po tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło, ma prawo czuć się nieco roztrzęsiona. Niepokój ciążył jej jak ołów, wiedziała jednak, że musi ten ciężar dźwigać sama. Nie ma na kogo go zrzucić, z nikim również nie może się nim podzielić.

Ma siostry i ma ranczo. Istnieje również ktoś, kto usiłuje ją dręczyć. Mimo to da sobie radę.

Jeżeli nawet w niej samej zaszła jakaś zmiana, jeżeli pojawiło się w niej coś niemiłego, coś w gruncie rzeczy bardzo kobiecego, z tym również da sobie radę. Nie ma czasu ani ochoty na figlowanie z Benem McKinnonem.

Nie dawniej jak wczoraj próbował wyprowadzić ją z równowagi. Odgarnęła włosy z mokrych policzków i wlała zimną wodę do szklanki. Nigdy się nią nie interesował. Jeżeli robi to teraz, to z całą pewnością tylko dla zabawy. To bardzo podobne do Bena. Kiedy przełknęła łyk zimnej wody, lekko się uśmiechnęła.

Doszła do wniosku, że mimo wszystko mogła go pocałować. Po prostu żeby mieć to już za sobą. Przeprowadzić coś w rodzaju testu. Może teraz byłaby w stanie spokojnie spać. Najprawdopodobniej wówczas nie pojawiałby się w jej snach i nocnych koszmarach. Poza tym, gdyby przestała się zastanawiać, jak by to było, i gdyby nie myślała o tym, co budzi się w jej wnętrzu, wówczas potrafiłaby się bardziej skoncentrować na prowadzeniu rancza.

Spojrzała w stronę łóżka i zadrżała. Potrzebowała snu, nie chciała jednak znowu

ogłądać krwi i z maltretowanych ciał. Nie pozwoli sobie na to.

Zanim z powrotem wskoczyła do łóżka, zaczerpnęła głęboko powietrza. Musi trzymać te okropne wizje z dala od siebie, musi myśleć o czymś innym. O wiosnie, która jest jeszcze tak daleko. O kwiatach kwitnących na łąkach, o ciepłym wietrzyku wiejącym od wzgórz.

Kiedy jednak zasnęła, znów śniła jej się krew, martwe zwierzęta, i ogarniał ją paniczny strach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Z dziennika Tess Mercy:

Po dwóch dniach życia na ranchu dochodzę do wniosku, że nienawidzę Montany. Nienawidzę krów, nienawidzę koni, nienawidzę kowbojów, a przede wszystkim kur. Bess Pringle, sucha jak szczapa despotka prowadząca dom, który stał się moim więzieniem, oddała mi pod opiekę kurnik. O tym, że teraz moja kariera będzie podążała w takim właśnie kierunku, dowiedziałam się wczoraj wieczorem. Muszę tutaj szybko dodać, że na kolację podano pieczony kawał niedźwiedzia. Wygląda na to, że nasza Danielle Boone wyruszyła w góry i od niechcenia ustrzeliła płaczącego się tam grizzly. To była pychotka.

Prawdę mówiąc, bardzo mi to smakowało, dopóki nie dowiedziałam się, co jem. Jednak skoro już spróbowałam, mogę zakomunikować, że grizzly, wbrew temu, co mogą niektórzy twierdzić, swym smakiem zdecydowanie przypomina kurczaka. Bardzo dużo złych rzeczy mogłabym powiedzieć na temat Bess, wystarczyłoby, gdybym tylko opisała, jak na mnie spogląda, jednak jedno trzeba jej przyznać - ta kobieta wspaniale gotuje. Najprawdopodobniej będę musiała bardzo się pilnować, bo jeśli nie, to szybko wrócę do swych okrągłutkich kształtów z okresu młodości.

Kiedy porzuciłam świat zamieszkały przez normalnych ludzi i wróciłam do Ponderosy, zastałam tu spore zamieszanie. Wygląda na to, że wysoko w górach, w miejscu, które oni nazywają halami, ktoś zarznął krowę. Zawsze wydawało mi się, że w takim właśnie celu hoduje się krowy, kiedy jednak powiedziałam to na głos, nasza Annie Oakley zmierzyła mnie ponurym wzrokiem, zupełnie jakby chciała mnie nim zabić. To był piękny widok. W ogóle muszę przyznać, że jest bardzo ładna. Gdyby tak okropnie nie zadzierała nosa, może nawet byłabym w stanie ją polubić. Ale to była tylko dygresja.

Sposób, w jaki zarznięto tę krowę, nosił wszelkie znamiona krwawej jatki i dlatego wydarzenie to spowodowało spore zaniepokojenie wśród pospólstwa. Jednak na tym nie koniec. W wieczór poprzedzający mój przyjazd jednemu ze stajennych kotów odcięto głowę i położono go na frontowej werandzie. Znalazła go biedna Lily.

Nie bardzo wiem, czy mam uznać, że coś takiego niezwykle rzadko zdarza się w tej okolicy, i w ogóle się tym nie przejmować, czy, wręcz przeciwnie, dojść do wniosku, że jest to rzecz całkiem naturalna, i w związku z tym każdego wieczoru dokładnie sprawdzać, czy drzwi prowadzące do mojej sypialni są zamknięte na klucz. Ale królowa Dzikiego Zachodu wygląda na zamartwioną. W innej sytuacji byłabym tym najprawdopodobniej w jakimś stopniu usatysfakcjonowana, ponieważ, prawdę mówiąc, straszliwie zaszła mi za skórę. Biorąc jednak

pod uwagę wszelkie dodatkowe okoliczności, uwzględniając również długie miesiące, które muszę tu spędzić - a nawet starając się w ogóle o nich nie myśleć - czuję się nieswojo.

Lily większość czasu spędza z Adamem i jego końmi. Sińce powoli znikają z jej twarzy, wciąż jednak jest kłębkim nerwów. Chyba w ogóle nie ma pojęcia, że wpadła w oko cudownemu Szlachetnemu Dzikusowi. Obserwuję ich z rozbawieniem. Nie bardzo wiem, jak to się stało, ale polubiłam Lily. Nic nie mogę na to poradzić. Jest zupełnie nieszkodliwa i taka zagubiona. Poza tym w jakimś sensie obie jedziemy na tym samym wózku.

Wśród innych przewijających się w tej sztuce bohaterów warto zwrócić uwagę na Hama. Jest niezwykle. Wygląda jakby przeniesiono go żywcem z najwspanialszej kolekcji postaci charakterystycznych. Krzywonogi, posiwiały pastuch o paciorkowatych oczach i zgrubiałych dłoniach. Na mój widok zawsze unosi palce do kapelusza i prawie w ogóle się nie odzywa.

Następną postacią jest Pikle. Doprawdy nie wiem, czy ten człowiek ma jakiegokolwiek prawdziwe imię. Jest to zgryźliwy dziwak z wiecznie kwaśną miną. Wygląda jak naciągnięte sznurowadło w wysokich butach zakończonych ostrymi czubkami.

Jest prawie całkiem tysi, ma za to niesamowite, rude wąsy. Na wszystkich i wszystko patrzy spode łba. Widziałam go jednak przy pracy z bydłem. Wygląda na to, że zna się na rzeczy.

Jest jeszcze rodzina Booków. Nell gotuje dla pracowników i ma miłą, pospolitą twarz. Ona i Bess często plotkują, wykonując wspólnie babską robotę na ranczu, robotę, o której nawet nie chcę wiedzieć. Mężem Nell jest Wood, co, jak się dowiedziałam, jest skrótem od Woodrow. Wood ma sympatyczną czarną brodę, bardzo miły uśmiech i sposób bycia. Mówi do mnie „madam” i grzecznie sugeruje, żebym kupiła sobie odpowiedni kapelusz, który chroniłby moją twarz przed promieniami słońca. Mają dwóch synów. Jeden z nich ma mniej więcej osiem lat, a drugi około dziesięciu. Obaj uwielbiają z niesamowitym wrzaskiem biegać między budynkami. Poza tym niemal bez przerwy się tłuką. Są nieprawdopodobnie ładni. Obserwowałam, jak za jedną z przybudówek ćwiczyli spluwanie. Wygląda na to, że mają w tym niezwykłą wprawę.

Nie sposób pominąć Jima Brewstera. Przypomina tyczkę i wydaje mi się, że ma pewne zdolności przywódcze. Jest bardzo przystojny i pociągający.

Zawsze chodzi w dżinsach, a w ich tylnej kieszeni niezmiennie nosi coś, co ma okrągły kształt. Sądzę, że musi to być któraś z tych odrażających rzeczy, na przykład tytoń do żucia. Obdarzył mnie kilkoma zarozumiałymi uśmiechami kilka razy również puścił do mnie perskie oko. Na razie zdołałam mu się Billy jest najmłodszy. Wygląda jakby był zbyt miody nawet na

prowadzenie samochodu. Robi cielece oczy do naszego ulubionego kowboja w babskim wydaniu. Jest strasznym gadulą, w związku z tym bez przerwy ktoś mówi mu żeby się zamknął. Znosi to bardzo dzielnie i prawie nigdy nie słucha. Darzę go niemal macierzyńskim uczuciem.

Od mego powrotu tutaj nie widziałam prawnika-kowboja i nie poznałam jeszcze cieszącego się złą sławą Bena McKinnona z rancza Three Rocks. Ben to facet, który jest zmorą egzystencji Willi, a przynajmniej tak mi się wydaje. Jestem święcie przekonana, że choćby tylko z tego względu bardzo go polubię.

Sądzę, że muszę znaleźć sposób, by wkraść się w łaski Bess. Chciałabym wyciągnąć od niej wszelkie możliwe plotki na temat McKinnonów. Na razie jednak mam randkę w kurniku. Spróbuję potraktować to jak przygodę.

Tess nie miała nic przeciwko wczesnemu rozpoczynaniu dnia. Zawsze wstawała przed szóstą i mniej więcej godzinę spędzała w sali gimnastycznej. Czasem przy śniadaniu załatwiała jakieś sprawy, a potem siadała do pracy i nie odrywała się do drugiej. Po południu wskakiwała do basenu, widywała się z kimś lub robiła niewielkie zakupy. Od czasu do czasu szła na jakąś randkę. Było to jej życie, więc wiodła je po swojemu.

Jednak wczesne zrywanie się z łóżka po to, by spotkać się ze stadem kur, to była już całkiem inna sprawa.

Kurnik był przestronny i niezwykle czysty. Pięćdziesiąt trzymany w nim kur było dumą Mercy. Tess wydawało się jednak, że ma do czynienia z całym legionem złowrogo pomrukujących nieprzyjaciół o oczach jak paciorki.

Rozruciła pokarm, tak jak poinstruowała ją Bess, uporała się z wodą, potem otrzepała ręce z kurzu i zerknęła w stronę kury, która siedziała na najbliższej grzędzie.

- Kazano mi pozbierać jajka. Podejrzewam, że siedzisz na jednym z nich, więc jeżeli nie masz nic przeciwko temu... - Ostrożnie wysunęła rękę do przodu, przez cały czas uważnie obserwując kurę. Niestety, natychmiast wyszło na jaw, kto tu rządzi. Rozjuszona kura mocno dziobnęła wyciągniętą w jej stronę dłoń. Tess z krzykiem odskoczyła do tyłu. - Słuchaj, siostró, otrzymałam takie rozkazy i muszę je wykonać.

Doszło do żartowej walki. W powietrzu fruwały pióra, narastała furia. Gdy dołączyły się kury siedzące na sąsiednich grzędach, cały kurnik wypełnił piekielny, ptasi jazgot. W końcu jednak Tess zdołała złapać miłe, ciepłutkie jajko, wyrwać je spod kury i odskoczyć do tyłu. Ciężko sapała, a na jej twarzy pojawiły się rumieńce. - Widzę, że wprowadza pani zupełnie nową technikę.

Słyszając dochodzący zza jej pleców głos, Tess rozluźniła uchwyt palców. Jajko wysliznęło się jej z dłoni i upadło na podłogę.

- Jasna cholera! A tak się namęczyłam!

- Wystraszyłem panią. — Zamieszanie i hałas dochodzące z kurnika zwabiły Nate'a. Zamiast, tak jak zamierzał, iść do Willi i porozmawiać z nią o interesach, skręcił w bok i zastał jej kalifornijską krewniaczkę prowadzącą wojnę z kurami. Miała na sobie dopasowane dzinsy i lśniące, nowiutkie buty. Doszedł do wniosku, że całość stanowi niecodzienny widok.

- Szuka pani śniadania?

- Coś w tym rodzaju. - Odgarnęła spadający jej na oczy kosmyk włosów. - Pan też czegoś szuka?

- Mam kilka spraw do Willi. Krwawi pani - dodał.

- Wiem. - Z wściekłością wyssała krew z ranek na wierzchu dłoni. - Ten złośliwy ptasi mózdzek rzucił się na mnie.

- Źle się pani do tego zabrała. Zdjął z szyi kolorową chustkę i podał Tess, by owinęła nią rękę.

Potem podszedł do następnej grzędę. Unikając zderzenia z niskim sufitem, musiał się przygarbić i pochylić głowę. Mimo to nie stracił nic ze swojej atrakcyjności i poruszał się z ogromnym wdziękiem.

- Musi pani to robić spokojnie i z całą swobodą. Proszę sięgać po jajka szybko, ale nie gwałtownie.

Zademonstrował to, wsuwając rękę pod siedzącą na grzędzie kurę i wyciągając stamtąd jajko. Przy całej tej operacji nie poruszyło się ani jedno piórko.

- To mój pierwszy dzień w tej pracy... - Wydeła nieznacznie wargi i podniosła wiadro. - Przywykłam do tego, że jedyne kury, z którymi mam do czynienia, znajdują w dziale z mrożonkami, na dodatek opakowane w celofan.

Nate szedł od grzędę do grzędę i wybierał jajka, a Tess dotrzymywała mu kroku.

- Pan też pewnie trzyma kury.

- Kiedyś miałem kilka, ale teraz już nie zawracam sobie nimi głowy.

- A więc bydło? - Nie. Uniosła brwi.

- Owce? Nie jest to zbyt ryzykowne? W tyłu, westernach widziałam związaną z tym walkę o tereny wypasu.

- Nie hoduję owiec. - Włożył jajko do wiadra. - Zajmuję się końmi. Jeździ pani konno, panno Mercy?

- Nie. - Odrzuciła do tyłu włosy i wzruszyła ramionami. - Chociaż powiedziano mi już, że powinnam się nauczyć. Może dzięki temu miałabym co ze sobą robić.

- Na pewno Adam chętnie panią nauczy. Mogę również i ja.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się uroczo i zatrzepotała rzęsami. - Dlaczego właściwie miałby pan to robić, panie Torrence?

- Zwyczajnie, po sąsiedzku. - Zauważył, że wokół niej unosi się sympatyczny zapach. Tajemniczy, trochę niebezpieczny, a z całą pewnością bardzo kobiecy. Włożył następne jajko do wiadra. - Proszę mi mówić „Nate”.

- W porządku. - Jej głos przypominał teraz bardziej mruczenie kotki.

Spoglądała na niego figlarnie spod gęstych rzęs. - Jesteśmy sąsiadami, Nate?

- W pewnym sensie tak. Mieszkam na wschód stąd. Ładnie pani pachnie, panno Mercy, nawet bardzo ładnie jak na kogoś, kto prowadzi wojnę z kurami.

- Mów mi „Tess”. Próbujesz mnie podrywać, Nate?

- Chyba tak, ale przecież to ty zaczęłaś. - Uśmiechnął się lekko.

- Przynajmniej wydawało mi się, że to robisz.

- W pewnym sensie tak. Mam to we krwi. - No cóż, gdybyś chciała posłuchać mojej rady...

- A prawnicy zawsze mają ich mnóstwo pod ręką - przerwała.

- Rzeczywiście mamy. Radziłbym ci spuścić nieco z tonu.

Mieszkający tu chłopcy nie są przyzwyczajeni do kobiet reprezentujących taki styl jak twój.

- O! - Nie była pewna, czy powinna potraktować to jako komplement, czy obelgę, ale postanowiła tę wątpliwość rozstrzygnąć na jego korzyść. - A ty jesteś przyzwyczajony do kobiet reprezentujących taki styl?

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że tak. - Skierował na nią swe niebieskie oczy i przez chwilę patrzył zamyślony. - Ale potrafię je rozpoznać. Doprowadzisz ich do szaleństwa i w ciągu tygodnia będą chcieli się nawzajem pozabijać.

Doszła do wniosku, że tym razem to już na pewno jest komplement.

- To powinno ich nieco ożywić.

- Z tego, co słyszałem, są wystarczająco ożywieni.

- No tak, zdechłe koty i krowy. - Skrzywiła się. - Paskudna sprawa. Cieszę się, że mnie to ominęło.

- Ale teraz tu jesteś. Wydaje mi się, że jest ich już dosyć - dodał.

Tess zajrzała do wiadra.

- Rzeczywiście. Jezu Chryste! Ależ one są obrzydliwe! Bardzo możliwe, że teraz przez dłuższy czas nie będę w stanie wziąć do ust omletu.

- Umyją je. - Wziął od niej wiadro. - Przyzwyczyłaś się już? - O tyle, o ile mogłam.

To nie jest moje naturalne środowisko, rozumiesz, moje normalne otoczenie. Wstrzymał na chwilę oddech.

- Ludzie z twojego... jak to powiedziałaś?... naturalnego środowiska bardzo często się tu pojawiają. Zazwyczaj jednak nie zostają na długo. - Instynktownie pochylił się, by przy wychodzeniu z kurnika nie uderzyć głową o niską framugę drzwi. - Wielu hollywoodczyków przyjeżdża tu szastać pieniędzmi. Kupują ziemię i za ogromne pieniądze stawiają domy. Wyobrażają sobie, że będą hodować bizony, chronić mustangi lub, Bóg jeden raczy wiedzieć, co jeszcze.

- Nie lubisz Kalifornijczyków?

- Montana nie jest dla Kalifornijczyków. Z reguły. Dlatego szybko stąd zwiewają i wracają do swych restauracji i nocnych klubów. - Odwrócił się i spojrzał na nią uważnie. - Przecież, gdy tylko minie ten rok, zrobisz dokładnie to samo. - Oczywiście, że tak. Możesz się zatem nie martwić, bracie, o swoje szerokie przestrzenie. Ja wybieram Beverly Hills.

- A do tego smog, lawiny błota, trzęsienia ziemi. Uśmiechnęła się.

- Błagam, nie mów tego! Lada chwila umrę z tęsknoty.

Doszła do wniosku, że już prawie wszystko o nim wie.

Urodzony i wychowany w Montanie, zawsze spokojnie i dokładnie musi wszystko przemyśleć, lubi schłodzone piwo i skromne kobiety. Tacy jak on pod koniec każdego podlejszego westernu całują swoje konie.

Mimo to jest bardzo atrakcyjny.

- Dlaczego wybrałeś prawo, Nate? Czy ktoś podawał do sądu twoje wspaniałe rumaki?

- Ostatnio nie. - Przez cały czas skracał krok, by nie zostawała w tyle. - To mnie interesowało. Cały system prawny. Poza tym bardzo mi to pomaga w prowadzeniu rancza. Trzeba sporo czasu i pieniędzy, zanim wyhoduje się spore stado i zapewni sobie odpowiednią reputację.

- A zatem poszedłeś na studia prawnicze, by uzupełnić dochody z rancza. A gdzie? Na uniwersytet stanowy? - Była bardzo zadowolona z siebie, a ta drobna złośliwość wprawiła ją w doskonały humor. - Chyba Montana ma jakiś uniwersytet?

- Podobno tak. - Słyszac wyraźnie brzmiący w jej głosie sarkazm, spojrzał jej prosto w oczy. - Nie, poszedłem do Yale.

- Do... - Zatrzymała się z wrażenia. Kiedy doszła do siebie, Nate był o kilka kroków przed nią. Musiała podbiec, żeby go dogonić. - Yale? Poszedłeś do Yale i wróciłeś tu, żeby bawić się w prawnika gromadki kowbojów i pracowników rancza?

- Wcale nie bawię się w prawnika. - Na pożegnanie uniósł palce do kapelusza i ruszył

w kierunku znajdującej się obok stodoły zagrody.

- Yale - powtórzyła i potrząsnęła głową. Zafascynowana podniosła wiadro, które jej oddał, i popędziła za nim. - Hej!

Posłuchaj, Nate...

Stała jak wryta. W zagrodzie wrzało jak w ulu. Dwaj mężczyźni i Willa coś robili z cielętami. Coś, co najwyraźniej zwierzętom wcale się nie podobało. Tess doszła do wniosku, że najprawdopodobniej je znakują. Była ciekawa, jak się to robi. Poza tym chciała podjąć rozmowę z Nate'em, a on właśnie podwijał rękawy i zabierał się do roboty.

Wzięła wiadro i przeszła przez bramę. Nikt nawet tego nie zauważył. Wszyscy byli pochłonięci tym, co robili, zwracali uwagę jedynie na cielęta. Zacisnąwszy wargi, Tess podeszła bliżej i pochyliła się do przodu, by zza pleców Willi sprawdzić, co robią.

Gdy zobaczyła, jak Jim Brewster szybko, zgrabnie i z ogromną wprawą kastruje cielę, zrobiło jej się ciemno przed oczami i prawie bezszelestnie osunęła się na ziemię. To odgłos upadającego wiadra i rozbijających się jajek sprawił, że Willa obejrzała się za siebie. - Jezu Chryste, widzieliście coś takiego?

- Ona zemdląła, Will - poinformował ją Jim, zasługując sobie w ten sposób na ponure spojrzenie.

- Widzę. Zajmij się cielakiem. - Wyprostowała się. Tymczasem Nate zdążył już wziąć Tess na rękę.

- Wygląda na to, że bez trudu poradziłeś sobie z tym naręczem.

- Prawdę mówiąc, trudno byłoby zakwalifikować ją do wagi piórkowej. - Uśmiechnął się. - Twoja siostra jest po prostu dobrze zbudowana, Will.

- Może więc odholujesz ją do domu i jednocześnie nacieszysz się faktem, że trzymasz na rękach dobrze zbudowaną babkę.

Cholera! - Zabrała wiadro. - Rozbiła prawie wszystkie jajka.

Bess chyba dostanie szału! - Wściekła spojrzała na Jima i Pikle'a. - Nie przerywajcie roboty! Ja, niestety, muszę się nią zająć. Zupełnie jakbym nie miała nic lepszego do roboty niż szukanie soli trzeźwiących dla bezmyślnej dziewczyny z miasta.

- Nie powinnaś być dla niej taka surowa, Will - zaczął Nate, niosąc Tess w kierunku domu. Zacisnęła usta. - Zrozum, ona jest poza swoim środowiskiem naturalnym.

- Cholernie chciałabym, żeby do niego wróciła i wyniosła się z mojego. Mam ich dość. Jedna mdleje, a druga chodzi wokół mnie na paluszkach, jakbym za to, że na mnie spojrzy, miała zamiar strzelić jej prosto między oczy.

- Jesteś okropna, Will. - Tess poruszyła się w jego ramionach, spojrzał więc na nią. -

Wydaje mi się, że odzyskuje przytomność.

- Połóż ją gdzieś - zaproponowała Willa, otwierając drzwi wejściowe. - Przyniosę trochę wody.

Trzymanie Tess na rękach sprawiało Nate'owi przyjemność. W niczym nie przypominała tych kościstych, cienkich jak patyk dziewczyn z Kalifornii. Była miękką, okrągłą kobietą, która miała wszystko na swoim miejscu. Kiedy niósł ją w kierunku sofy, jęknęła i otworzyła oczy. Były niebieskie jak bławatki i spoglądały na niego bez wyrazu.

- Co... - Nie była w stanie wydusić więcej ani słowa. Nie przemęczaj się, kochanie. Właśnie przed chwilą zemdlałaś, to wszystko.

- Zemdlałam? - Długo nie była w stanie zrozumieć, co powiedział. - Zemdlałam? To śmieszne!

- Upadłaś naprawdę z ogromnym wdziękiem. - Przypomniawszy sobie, że w rzeczywistości runęła jak kłoda, uznał jednak, że to porównanie wcale by się jej nie spodobało. - Czy przypadkiem nie skaleczyłaś się w głowę? - W głowę? - Wciąż oszołomiona uniosła dłoń, żeby sprawdzić. - Chyba nie. Ja... - W tym momencie wszystko sobie przypomniawszy. - O Boże, to ciele! Co oni mu robili? Z czego się głupio śmiejesz?

- Wyobrażam sobie, co musiałaś przeżyć, będąc po raz pierwszy świadkiem zamieniania byka w wołu. Przypuszczam, że w Beverly Hills nie pokazują zbyt często takich rzeczy.

- Nie, całe nasze bydło trzymamy w pensjonatach. Kiwnął głową pełen uznania.

- Teraz już widać, że odzyskujesz przytomność. Tak było w rzeczywistości. Doszła do siebie na tyle, by zdać sobie sprawę, że tuli ją do piersi jak dziecko.

- Dlaczego trzymasz mnie na rękach?

- No cóż, wydawało mi się, że skoro jestem twoim sąsiadem, nie wypada mi wlec cię tu za włosy. Zaczynasz nawet mieć rumieńce.

- Jeszcze jej nie położyłeś? - zapytała Willa, gdy wróciła do pokoju ze szklanką wody.

- Miło jest trzymać taką kobitkę na rękach. Tym bardziej, że ona całkiem fajnie pachnie.

Przesadnie południowy akcent, z jakim Nate wypowiedział te słowa, sprawił, że Willa roześmiała się i potrząsnęła głową.

- Przestań się nią bawić, Nate, i połóż ją. Mam robotę.

- A może mógłbym ją sobie zatrzymać na dłużej, Will? Nie mam na ranchu żadnej kobiety. Czasami dokucza mi samotność.

- Ale jesteście zabawni. - Starając się odzyskać godność, Tess odrzuciła spadające jej

na oczy włosy. - Puść mnie, ty głupia tyczko od fasoli!

- Się robi, madam. - Ze znacznej wysokości spuścił ją na obitą skórą sofę. Odbiła się od niej jak piłka, spojrzała na niego ponuro, po czym poderwała się na równe nogi.

- Wypij to. - Z odrobiną współczucia Willa włożyła jej do ręki szklankę z wodą. - I trzymaj się z daleka od zagród.

- Moja noga z pewnością tam nie stanie, o to możesz być spokojna. - Tess wściekła, że wciąż jeszcze jest kompletnie rozdygotana, wypila trochę wody. - To, co tam robiliście, było odrażające, barbarzyńskie i okrutne. Jeżeli okaleczanie bezbronnych zwierząt nie jest nielegalne, to z całą pewnością powinno być. - Kiedy Nate uśmiechnął się do niej, rzuciła mu piorunujące spojrzenie. - I przestań, durniu, szczerzyć zęby. Nie sądzę, żebyś był zadowolony, gdyby sekatorem wycięto ci jaja. Poczul się nieswojo i odchrząknął.

- Nie, madam. Na pewno nie byłbym zadowolony.

- Nie kastrujemy naszych mężczyzn, dopóki z nimi nie zerwiemy - powiedziała Willa sucho. - Zrozum, Hollywood, odstawianie cieląt i kastrowanie należą do czynności wykonywanych na ranchu. Jak sądzisz, co by się działo, gdybyśmy zostawiali każdemu bykowi ten interes? Wszędzie mielibyśmy kopulujące byki.

- Bydłęce orgie każdej nocy - wtrącił Nate, a potem, kiedy obie kobiety zmierzyły go ostrym spojrzeniem, cofnął się o kilka kroków.

- Nie mam czasu zaznajamiać cię z realiami naszego życia - ciągnęła Willa. - Po prostu przejdź nad tym do porządku dziennego i trzymaj się z daleka od zagrody przez najbliższe kilka dni. Bess znajdzie ci zajęcie w domu. - Co za radość!

- Nie bardzo wiem, co umiesz robić. Nawet zbierając jajka rozbijasz większość z nich. - Kiedy Tess syknęła, Willa odwróciła się do Nate'a. - Chciałeś ze mną porozmawiać?

- Tak. - Nie spodziewał się tak wspaniałego widowiska. - Po pierwsze, chciałem sprawdzić, co u ciebie słychać. Podobno mieliście kłopoty.

- Jakoś sobie radzę. - Willa wyjęła szklankę z wodą z rąk Tess i sama wypila resztę. - Wygląda na to, że nic nie mogę na to poradzić. Ludzie są trochę przestraszeni i częściej oglądają się za siebie. - Odstawiła pustą szklankę i wcisnęła kapelusz na głowę. - Nie wiesz przypadkiem, czy coś takiego zdarzyło się również u któregoś z naszych sąsiadów?

- Nie. - I to go martwiło. - Nie wiem, jak mógłbym pomóc, ale jeżeli tylko przyjdzie ci coś do głowy, to po prostu powiedz.

- Jestem ci bardzo wdzięczna. - Willa wyciągnęła rękę i uściśnęła mu dłoń. Widząc ten gest, Tess w zamyśleniu zacisnęła wargi. - Poradzisz sobie z tą sprawą, o której rozmawialiśmy?

Wiedział, że chodzi jej o testament, w którym wszystko zostawiała w spadku Adamowi. A także o dokumenty przekazujące mu na własność po upływie tego roku jego dom, konie i połowę jej udziału w ranczu.

- Tak. Pod koniec tego tygodnia będę miał dla ciebie projekt całości.

- Dzięki. - Puściła jego dłoń i poprawiła kapelusz. - Jeżeli masz za dużo czasu, możesz z nią chwilę porozmawiać. - Posłała w kierunku Tess szelmowski uśmiech. - Mam do wykastrowania jeszcze kilka cieląt.

Kiedy Willa wyszła, Tess skrzyżowała ramiona i próbowała się opanować.

- Mogłabym ją znienawidzić. I wcale nie musiałabym się bardzo wysilać.

- Po prostu jej nie znasz.

- Wiem, że jest nieczuła, nieuprzejma i nieprzyjazna. Na dodatek perfidnie wykorzystuje swą przewagę nad nami. Jeśli o mnie chodzi, to w zupełności wystarczy. - Kiedy się podniosła, zdała sobie sprawę, że nie zdoła opanować kipiącej w niej złości. - Psiakrew! Nie zasłużyłam sobie na to, żeby traktowała mnie w taki sposób. Wcale nie chciałam utknąć tu na rok i, do jasnej cholery, wcale nie tęskniłam za tym, żeby być krewną tej wściekłej jak osa wiedźmy. Nikogo o nic takiego nie prosiłam.

- Ona też nikogo o to nie prosiła. - Nate usiadł na oparciu krzesła i zaczął metodycznie skręcać papierosa. Miał niewiele czasu, uznał jednak, że pewne rzeczy musi powiedzieć. - Pozwól, że cię o coś zapytam. Jakbyś się czuła, gdyby nagle się okazało, że ktoś może pozbawić cię twojego domu?

Twojego domu, twojego sposobu życia i wszystkiego, co kiedykolwiek kochałaś?

Zapalił zapalkę i przytknął ją do papierosa, przez cały czas łagodnie spoglądając na Tess.

- Wyobraź sobie, że aby to utrzymać, by tego nie stracić, musisz całkowicie zdać się na obcych ludzi. Na domiar złego, jeśli nawet uda ci się to wszystko zachować, i tak nie będzie już w całości należało do ciebie. Część z tego dostaną ci obcy. Ludzie, których nie znasz i których nigdy nie miałaś możliwości poznać, mieszkają w twoim domu i mają do tego takie samo prawo jak ty.

A ty nie jesteś w stanie nic na to poradzić. Na dodatek cała odpowiedzialność spoczywa na tobie i tylko na tobie, ponieważ oni nie mają bladego pojęcia o prowadzeniu rancza. To twoim zadaniem jest dopilnowanie, by wszystko odpowiednio funkcjonowało. Oni muszą jedynie czekać, a czekając osiągną tyle samo co ty, mimo że tylko ty jedna pracujesz w pocie czoła i tylko ty jedna martwisz się o wszystko.

Tess otworzyła usta, a po chwili je zamknęła. To, co powiedział tak po prostu i bez

owijania w bawełnę, kompletnie zmieniło jej podejście do tej sprawy.

- To nie ja ponoszę za to winę - powiedziała cicho.

- Nie ty. Ale także nie ona. - Odwrócił głowę i zaczął przyglądać się bacznie portretowi Jacka Mercy'ego. - A poza tym nie ty musiałaś z nim mieszkać przez całe życie.

- Jaki on... - Przerwała, przeklinając się w duchu. Nie chciała o to pytać. Wcale nie chciała tego wiedzieć.

- Jaki on był? - Nate wypuścił dym. - Powiem ci. Był okropnym egoistą, a do tego człowiekiem oschłym i nieczułym. Doskonale wiedział, jak należy prowadzić ranczo.

Nie znam nikogo, kto radziłby sobie z tym lepiej niż on.

Natomiast nie miał bladego pojęcia, jak wychowywać dziecko.

- Na samo wspomnienie o tym ogarnął go gniew, dlatego podniósł nieco głos. - Nigdy nie ofiarował jej ani odrobiny uczucia, nigdy, z tego co wiem, niezależnie od tego, jak bardzo się napracowała, nie pochwalił jej choćby jednym słowem. Dla niego zawsze była za wolna, za tępa, za słaba.

Tess próbowała odepchnąć od siebie ogarniające ją poczucie winy. Nie chciała również dopuścić do tego, by Nate'owi udało się obudzić w niej współczucie.

- Przecież mogła wyjechać.

- Tak, mogła. Ale kochała to miejsce. Na dodatek kochała także i jego. Ty nie musisz oplakiwać swego ojca, Tess. Straciłaś go wiele lat temu. Ale Willa go oplakuje. I nie ma żadnego znaczenia, że on wcale na to nie zasłużył. Nie chciał jej tak samo jak nie chciał ciebie ani Lily, ale ona jedna nie miała matki.

W porządku. Może jednak powinna trochę jej współczuć. Ale tylko odrobinę.

- Bardzo mi przykro z tego powodu. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

Powoli zaciągnął się papierosem, potem starannie go zgniótł i wstał.

- Masz z tym bardzo dużo wspólnego. - Patrzył na nią uważnie okiem prawnika. - Jeżeli nie zdajesz sobie z tego sprawy, to znaczy, że jesteś zbyt podobna do Jacka Mercy'ego. Muszę już jechać. - Na pożegnanie dotknął palcami runda kapelusza i wyszedł.

Przez dłuższą chwilę Tess stała nieruchomo i spoglądała na portret człowieka, który był jej ojcem.

Kilka kilometrów dalej, na terenie należącym do rancza Three Rocks, Jesse Cooke zmieniał świece w starym fordzie pikapie. Miał wspaniały nastrój. Przy śniadaniu dowiedział się o zmasakrowanych zwierzętach, które znaleziono na terenie rancza Mercy. Najbardziej jednak cieszył go fakt, że to właśnie Lily natknęła się na bezgłowe ciało kota.

Dałby bardzo dużo, żeby widzieć to na własne oczy.

O tym, że szczupła, czarnooka paniusia z miasta darła się jak opętana, Legs Monroe dowiedział się bezpośrednio od Wooda Booka z Mercy.

Och! To musiało być wspaniałe.

Jesse gwizdał jakąś melodię country, a w tym czasie jego sprawne palce naprawiały samochód. Zawsze nienawidził muzyki country - jękliwych, zawodzących kobiet oraz pozbawionych jaj, postępujących mężczyzn, którym wydawało się, że śpiewają. Ale właśnie próbuje się przystosować. Każdy z jego cholernych kumpli jest wielbicielem tej muzyki i nikt tutaj nie słucha niczego innego. Przywyknie. Tak naprawdę to nawet zaczął uważać, że Montana jest miejscem stworzonym dla niego.

Doszedł do wniosku, że jest to kraina dla prawdziwych mężczyzn. Dla mężczyzn, którzy potrafią radzić sobie w każdej sytuacji i umieją krótko trzymać swe kobiety. Kiedy już da Lily odpowiednią nauczkę, będą mogli osiąść tu na stałe. Przecież ona będzie bogata.

Na myśl o tym zaczął się śmiać i przytupywać nogą w rytm gwizdanej melodii. Wyobrazić sobie, że ta głupia jak but z lewej nogi Lily ma odziedziczyć trzecią część jednego z największych rancz w tym stanie! Przecież to cholerna fortuna! Wszystko to potrwa rok.

Jesse wyciągnął głowę spod maski samochodu i rozejrzał się dookoła. Góry, ziemia, niebo - wszystko jest tutaj surowe. Surowe i silne, tak samo jak on. Dlatego jest to miejsce dla niego, a Lily będzie musiała się nauczyć, że jej miejsce jest u boku męża. Rozwód głównie znaczy dla Jesse'a Cooke'a. Ta kobieta należy do niego i nawet jeśli od czasu do czasu będzie musiał jej o tym przypomnieć za pomocą pięści, no cóż, to i tak ma do tego prawo.

Na razie jednak musi cierpliwie czekać. Trzeba przyznać, że jest to najtrudniejszy warunek. Zatluszczoną dłonią przetarł policzek. Gdyby Lily zorientowała się, że on jest tak blisko, z pewnością znowu próbowałaby uciec. Nie może dopuścić do tego, by uciekła przed upływem tego roku.

To wcale nie znaczy, że nie będzie jej miał na oku, o nie. Musi przez cały czas bacznie obserwować swą beznadziejnie głupią żonę.

Już poczynił w tym kierunku pewne kroki. Zaprzyjaźnił się z kilkoma dupkami pracującymi w Mercy. Nie było to wcale takie trudne. Wystarczyło wypić z nimi kilka piw, zagrać w karty, a potem wyciągać z nich informacje.

Teraz, jeśli tylko przyjdzie mu na to ochota, może nawet odwiedzać sąsiednie ranczo, byle tylko nie zobaczyła go Lily.

A dzień, w którym Jesse Cooke, były żołnierz piechoty morskiej, da się przechytrzyć kobiecie, będzie dniem, w którym w piekle po obiedzie podadzą lody.

Wsunął ponownie głowę pod maskę i zabrał się do roboty.

Równocześnie zaczął układać plany swej następnej wizyty na ranczu Mercy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sarah McKinnon smażyła naleśniki. Była niezmiernie zadowolona, że jej starszy syn siedzi przy kuchennym stole i popija zaparzoną przez nią kawę. Ostatnio większość czasu spędzał w swym mieszkaniu nad garażem.

Doskonale wiedziała, że jest to już dorosły mężczyzna.

Rzecz w tym, że bardzo tęskniła do czasów, kiedy obaj chłopcy plątali się jej pod nogami, bez przerwy wzniecali wrzawę i tłukli się z byle powodu. Często wówczas myślała, że doprowadzą ją do szaleństwa, chwilami wydawało jej się nawet, że już nigdy nie zazna chwili spokoju.

Teraz, gdy obaj dorośli i miała już ten spokój, o którym przed laty tak bardzo marzyła, łapała się na tym, że tęskni za hałasem, którym napelniali cały dom, zajęciem, którego jej wciąż dostarczali, a nawet ich szalonymi wybuchami złości.

Zawsze chciała mieć więcej dzieci. Z całego serca marzyła o córeczce, maleńkiej dziewczynce, o którą mogłaby drzeć w tym świecie zdominowanym przez mężczyzn. Niestety, nigdy nie miała trzeciego dziecka, mimo że oboje ze Stu bardzo się o to starali. Dlatego zawsze pocieszała się myślą, że jest matką dwóch zdrowych, przystojnych chłopców.

Teraz ma również wspaniałą synową i przeuroczą wnuczkę, poza którą nie widzi świata. Wierzyła, że jeśli uda jej się popchnąć Bena w kierunku odpowiedniej kobiety, może będzie miała więcej wnucząt.

To wyjątkowy chłopak, stwierdziła patrząc, jak marszczy brwi nad poranną gazetą. Ma już trzydziestkę, wciąż jednak jest kawalerem, mimo że zawsze miał ogromne powodzenie. Przez jego życie i łóżko przewinęło się wiele kobiet, ale Sarah nigdy się do tego nie mieszała.

Do tej pory jednak nie natknął się na właściwą kobietę, dla żadnej nie stracił głowy. Może to i lepiej, bo małżeństwo jest poważną sprawą, o której nie sposób decydować, gdy się jest kompletnie zaślepionym. Przecież partnera na całe życie powinno się wybierać starannie i z pełną rozważą, wówczas jest większa szansa, że wybierze się dobrze.

Tylko, cholera, ona tak bardzo chce mieć wnuki.

Trzymając w ręce talerz z naleśnikami, zamyśliła się przez chwilę i spojrzała przez okno kuchenne. Świt powoli rozjaśniał niebo na wschodzie. Widać było niskie chmury zaróżowione przez pierwsze, nieśmiałe jeszcze promienie słońca.

Ludzie zatrudnieni na ranczu są już na nogach i właśnie jedzą śniadanie. Za chwilę obudzi się mąż i nad jej głową rozlegną się jego kroki. Sarah zawsze wstawiała przed nim,

zostawiając dla siebie te pierwsze miłe chwile przy codziennych, zwyczajnych czynnościach. Stu schodzi na dół dopiero jakiś czas po niej. Jest zawsze świeżo ogolony i pachnie mydłem. Zwykle ma jeszcze mokre włosy. Daje jej porannego całusa i poufałego klapsa, a potem z głośnym siorbaniem wypija pierwszą filiżankę kawy. Robi to z takim zapałem, jakby od tego zależało jego życie.

Kochała go za to, że zawsze tak łatwo można było przewidzieć, co zrobi lub powie.

Kochała również tę ziemię za to, że nigdy nie można było przewidzieć, co się wydarzy.

Kochała syna, tego mężczyznę, którego jakimś cudem wydała na świat. Jego kochała za to, że pewne rzeczy tak łatwo było przewidzieć, a innych w ogóle nie.

Położyła talerz na stole i przeczesła palcami gęstą czuprynę Bena. Nagle, z dziwną wyrazistością, przypomniała sobie pierwszą wizytę u fryzjera, kiedy miał zaledwie siedem lat.

Była wówczas taka dumna. I tak głupio płakała, kiedy jego złociste loki opadały na podłogę.

- O czym myślisz, synu?

- Hm? - Odłożył gazetę. Czytanie przy stole było dozwolone, dopóki nie pojawiło się na nim jedzenie. - O niczym szczególnym. Jest cudowny ranek. A o czym ty myślisz?

Usiadła przy nim z filiżanką kawy w rękach.

- Znam cię, Benjaminie McKinnonie. Twoje szare komórki ostro nad czymś pracują.

- W znacznej mierze są to sprawy dotyczące rancza. - By zyskać na czasie, zaczął jeść śniadanie. Naleśniki były tak delikatne, że rozplływały się w ustach, a bekon fantastycznie chrupał. - Nikt na świecie nie gotuje tak jak moja mama - powiedział i uśmiechnął się do niej.

- Nikt na świecie nie je tak jak mój Ben. - Usadowiła się wygodnie i czekała.

Przez chwilę nie odzywał się w ogóle, rozkoszując się jedzeniem, unoszącymi się w kuchni zapachami i różową poświatą poranka, widoczną przez okno. Cieszył się również z obecności matki u swego boku. Jest tak niezawodna jak wschód słońca, pomyślał. Sarah McKinnon o pięknych, zielonych oczach i lśniących, płomienście rudych włosach. Jej mlecznobiałej, irlandzkiej cery nie było w stanie przybrązowić nawet słońce. Zauważył, że ma już zmarszczki, ale są tak delikatne i wyglądają tak naturalnie, że prawie się ich nie dostrzega. Widzi się natomiast ciepły i wzbudzający zaufanie uśmiech. Była drobną kobietą. W dzinsach i koszuli w kratkę wyglądała bardzo szczupło. Wiedział jednak, że jest niezwykle silna. Nie tylko zresztą fizycznie, chociaż bez trudu mogła go podnieść i robiła to wielokrotnie. Bez zmęczenia potrafiła jeździć konno lub traktorem w przenikliwym chłodzie i bezlitosnym skwarze. Była w stanie zarzucić na plecy dwudziestoparokilogramowy worek z

paszą i robiła to z taką samą łatwością jak kobieta, która bierze na ręce gaworzące dziecko.

Co jednak ważniejsze - jej duch był z hartowanej stali. Nigdy się nie poddawała. Nigdy też nie widział, by odwróciła się plecami do swych przyjaciół lub nie podjęła wyzwania rzuconego jej przez los.

Jeżeli nie uda mu się znaleźć kobiety tak silnej, tak życzliwej i tak wielkodusznej jak ona, woli zostać na całe życie kawalerem.

Gdyby Sarah wiedziała o tym, z pewnością byłaby zdruzgotana.

- Myślałem o Willi Mercy. Sarah, poruszona iskierką nadziei, uniosła brwi. - Tak?

- Nie, nie w taki sposób, mam. - Chociaż to łgarstwo, myślał o niej również w taki sposób. Nawet bardzo często. - Ma poważne kłopoty.

Promyček nadziei zgasł w oczach Sarah. - Strasznie mi przykro. To dobra dziewczyna. Niczym nie zasłużyła sobie na to, co ją spotyka. Myślałam o tym, żeby pojechać do niej z wizytą. Wiem jednak, że jest teraz bardzo zajęta. - Sarah zacisnęła usta. — Poza tym umieram z ciekawości, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o jej siostrach. Podczas pogrzebu nie zdążyłam się im uważnie przyjrzeć. - Myślę, że Willa bardzo ucieszyłaby się z tych odwiedzin. - Czekając na właściwy moment, odkroił widelcem kawałek naleśnika. - Przyszło mi na myśl, że u nas wszystko jest już zrobione i w pełni panujemy nad sytuacją. Sądzę, że mógłbym poświęcić trochę czasu i pomóc w Mercy. Najprawdopodobniej Willa wcale nie byłaby z tego zadowolona, ale przydałaby się tam czasami dodatkowa para rąk. - Gdybyś nie wtykał zbytnio nosa w jej sprawy, byłbyś z nią w lepszych stosunkach.

- Może masz rację. - Wyprostował plecy. - Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co wie o zarządzaniu ranczem, ile zdążył jej pokazać Jack. Najprawdopodobniej sobie poradzi, ale po śmierci Mercy'ego brakuje im jednej pary rąk. Z tego, co wiem, nie zatrudniła dotychczas nikogo.

- Chodziły słuchy, że ma zamiar przyjąć do pracy jako zarządcę kogoś po szkole rolniczej. - W taki właśnie sposób od rancza do rancza biegly plotki, ktoś przez telefon snuł jakieś przypuszczenia. - Ma to być sympatyczny, młody człowiek znający się na hodowli zwierząt. Nikt nie wątpi, że Ham świetnie zna się na rzeczy, ale przybywa mu lat.

- Willa na pewno tego nie zrobi. Tyle rzeczy chce udowodnić, poza tym zbyt lubi i szanuje Hama. Mógłbym jej trochę pomóc - ciągnął. - Sądzę, że ona najprawdopodobniej nie przywiązuje żadnej wagi do moich studiów. Mimo to chciałbym za jakiś czas pojechać do niej i rozejrzeć się, w czym mógłbym jej się przydać.

- Myślę, że to bardzo miło z twojej strony, Ben.

- Wcale nie staram się być miły. - Zbliżył usta do brzegu filiżanki i uśmiechnął się.

Był to ten sam szelmowski uśmiech, który pojawiał się na jego twarzy od dzieciństwa. - To po prostu umożliwi mi dalsze wtykanie nosa w jej sprawy.

Sarah roześmiała się i wstała, żeby przynieść filiżankę kawy.

Słysząc już było kroki jej męża.

- No cóż. Może w ten sposób przynajmniej na chwilę przestanie myśleć o swoich kłopotach.

Powinna już przywyknąć do tego, że w każdej chwili może zdarzyć się coś nieprzewidzianego. Chłopcy Wooda wdarli się na pastwisko dla byków, żeby zabawić się w matadorów. Wymachiwali czerwonym świątecznym fartuchem swej matki. Udało im się ujsć z tej opresji z życiem i tylko jeden z nich skręcił nogę w kostce. Willa osobiście wyciągnęła przez płot oszołomionego i zlanego potem Pete'a. Za ogrodzeniem został wściekły, toczący wokoło przekrwionymi ślepiami byk.

Kazanie, które wygłosiła później obu stojącym z opuszczonymi głowami winowajcom, nie należało do przyjemności, tak samo zresztą jak uczucie panicznego strachu, który ją ogarnął po tym incydencie. Wszystko skończyło się na tym, że stała się cichą współsprawczynią przestępstwa: wzięła czerwony fartuch i zgodziła się go wyprać, zanim Nell zauważy, że gdzieś przepadł.

Tym sposobem zasłużyła sobie na dozągonną i bezgraniczną wdzięczność winowajców. Willa miała nadzieję, że ta przygoda napędziła chłopcom sporo strachu i dzięki temu zdołają przez jakiś czas powstrzymać się od wołania „Toro!” na widok byka.

W jednym ciągniku urwał się wał napędowy, dlatego musiała wysłać Billy'ego do miasta. Wapiti ponownie przedarły się przez północno - zachodnią część ogrodzenia i w związku z tym trzeba było zapędzić z powrotem bydło na porzucone pastwiska.

Przeziębiona Bess leżała w łóżku. Tess po raz trzeci w tym tygodniu rozbiła prawie wszystkie jajka, a w kuchni chwilowo urzędowała wiecznie przestraszona Lily.

Na domiar złego pracownicy zawzięcie się kłócili. - Kiedy ktoś gra w pokera i dopisuje mu szczęście, powinien pokręcić się nieco tu i ówdzie, by umożliwić pozostałym partnerom wyrównanie wyniku. - Pikle podprowadził rozdrażnionego cielaka do odpowiedniego urzędnika i przy akompaniamencie melodii Tammy Wynette usunął mu rogi. Rozpaczliwe muczenie zawtórowało piosence.

- Jeśli nie umiesz przegrywać - odpalił Jim - to nie graj. - Przecież każdy ma prawo się odegrać. Ale każdy również ma prawo stracić, jeśli nie idzie mu karta. Mam rację, Will?

Delikatnie i z ogromną wprawą Willa zrobiła cielakowi zastrzyk, wbijając mu głęboko igłę. Dzisiaj było już nieco chłodniej i w powietrzu wyraźnie czuło się jesień. Mimo to

przerzuciła przez ogrodzenie kurtkę, w której rano wyszła z domu, i chociaż miała na sobie samą koszulę, była oblana potem. - Nie mam zamiaru wtrącać się w wasze drobne spory. Pikle ściągnął brwi, aż pojawiły się między nimi pionowe linie, a jego wąsy zaczęły wyraźnie drżeć.

- Jim i ten szuler z Three Rocks ograli mnie na dwie setki. - JC nie jest szulerem. - Jim, bardziej na przekór Pikle'owi niż z jakichkolwiek innych powodów, zaczął bronić nowego przyjaciela. - On po prostu gra lepiej od ciebie. Ty w ogóle nie potrafisz blefować. Nie oszukałbyś nawet kompletnie ślepego człowieka, pędzącego na oszalałym koniu. Jesteś po prostu wściekły, ponieważ on naprawił samochód Hama i wyregulował go tak, że mruczy teraz jak zadowolony kociak. Ponieważ to była prawda, Pikle wściekły wysunął jedynie do przodu podbródek.

- Nie życzę sobie, żeby jakiś dupek z Three Rocks kręcił się tutaj, naprawiał nasze łaziki i ogrywał nas w karty. Sam naprawiłbym tego łazika, gdyby tylko pozwolono mi to zrobić. - Powtarzasz to od tygodnia.

- Zrobiłbym to. - Zgrzytając zębami, Pikle poderwał się na równe nogi. - Nie chcę, żeby ktoś się tu pętał i zajmował tym, co do nas należy. Nie chcę, żeby ktokolwiek wprowadzał tu jakieś zmiany. W maju minie osiemnaście lat od chwili, kiedy zacząłem pracować na tym ranchu. Nie chcę, żeby jakiś dupek, a na dodatek kompletny żółtodziób, mówił mi co jest co. - Kogo nazywasz dupkiem? - Jim poderwał się na nogi i przekrwionymi oczami spojrzał prosto w twarz Pikle'a. - Chcesz ode mnie oberwać, staruszk? No, chodź! - Wystarczy. - Willa stanęła między nimi w momencie, kiedy obaj unieśli zaciśnięte pięści. - Powiedziałam, że wystarczy. - Odepchnęła obu mężczyzn na boki i ostrym spojrzeniem powstrzymała ich od zadania ciosu. - Z tego, co widzę, to wy jesteście cholernymi dupkami. Nie potraficie myśleć o pracy nawet wówczas, kiedy tkwicie w niej po uszy. - Umiem robić to, co do mnie należy. - Pikle zacisnął zęby i patrzył na nią z góry. - Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek mówił mi, co mam robić. Ani on, ani ty.

- To bardzo dobrze. Bo ja nie życzę sobie, żebyś się wściekał i wszczynał bójkę, kiedy mamy ręce pełne roboty przy kastrowaniu cieląt i usuwaniu im rogów. Idź się uspokoić. Kiedy już nieco ochłoniesz, wsiądź do łazika i sprawdź, jak idzie ludziom naprawiającym ogrodzenie.

- Ham nie potrzebuję, żeby ktokolwiek go sprawdzał, a ja tu mam co robić. Willa podeszła bliżej. Była równie wściekła jak on.

- Powiedziałam, że masz się uspokoić. Potem wsadź swój tyłek do łazika i sprawdź ogrodzenie. Albo zrobisz to natychmiast, albo możesz spakować manatki i zgłosić się po

ostatnią wypłatę.

Jego twarz zrobiła się purpurowa. Był wściekły. Czuł się upokorzony faktem, że rozkazuje mu kobieta, na domiar złego młodsza od niego o połowę.

- Uważasz, że możesz mnie zwolnić?

- Nie tylko uważam, lecz również doskonale wiem, że mogę to zrobić. Ty również o tym wiesz. - Wykonała gwałtowny ruch głową, wskazując bramę. - Ruszaj się. Tutaj mi przeszkadzasz.

Patrzyli na siebie przez dziesięć długich sekund. Potem odsunął się, splunął na ziemię i odszedł w stronę bramy. Stojący obok Willi Jim gwizdnął przeciągle.

- Chyba nie masz zamiaru naprawdę go wywalić. Wszyscy wiemy, że ma wredny charakter, ale jest cholernie dobrym pracownikiem.

- Wcale go nie wywalam. - Gdyby była sama, mogłaby przycisnąć rękę do ściśniętego żołądka. Zamiast tego kucnęła i zaczęła przygotowywać następną strzykawkę. - Kiedy się uspokoi i oprzytomnieje, wszystko będzie w porządku. On na pewno nie miał zamiaru bić się z tobą. Lubi cię tak samo jak wszystkich pozostałych.

Jim uśmiechnął się i przyciągnął cielę do urządzenia usuwającego rogi.

- To dość wymijające stwierdzenie.

- Chyba rzeczywiście. - Uśmiechnęła się. - Niesympatyczny, stary dureń. Ile od niego wygrałeś wczoraj wieczorem?

- Około siedmiu dych. Mam na oku śliczne buty z wężowej skóry.

- Ale z ciebie lalusz, Brewster.

- Lubię podobać się damom. - Puścił do niej perskie oko i w tym momencie wszystko było już po staremu. - Może któregoś dnia wybrałabyś się ze mną na potańcówkę, Will?

Był to stary żart, który w tej sytuacji pozwolił usunąć resztę napięcia. Willa Mercy nigdy nie tańczyła.

- A może dziś wieczorem pozwoliłbyś mu odegrać te siedemdziesiąt dolców. - Otarła pot z czoła i starała się, by jej głos zabrzmiał naturalnie i swobodnie. - A ten facet z Three Rocks?

- JC. Jest w porządku.

- Czy opowiadał, co u nich słychać?

- Nie bardzo. - Jim nagle przypomniał sobie, że JC był dużo bardziej zainteresowany tym, co dzieje się w Mercy. - Mówił, że dziewczyna Johna Connera zerwała z nim. John zalał się w pestkę i w toalecie urwał mu się film. Wszystko wracało do normy. Stare plotki i znane nazwiska. - Sissy zrywa z Connerem co drugi tydzień, a on za każdym razem upija się na

umór.

- A zatem wszystko jest po staremu. Uśmiechnęli się do siebie - dwójka ludzi przykucniętych we krwi i krowim łajnie otoczonych z wszystkich stron unoszonym przez chłodny wiatr.

- Stawiam dwadzieścia dolców, że kupi jej jakąś błyskotkę i już w poniedziałek z powrotem będą parą narzeczonych.

- Nie zakładam się. Doskonale o tym wiem. Przecież nie jestem żółtodziobem.

Pracowali razem przez następne dwadzieścia minut, porozumiewając się jedynie za pomocą chrząknięć i gestów. Kiedy zrobili dłuższą przerwę, żeby zwilżyć usta, Jim przestąpił z nogi na nogę.

- Will, Pikle na pewno i ciebie nie miał zamiaru rozzłościć. Piekielnie tęskni za Jackiem. Bardzo go szanował. - Wiem. - Poczowała ukłucie w sercu, postanowiła jednak o tym nie myśleć. Przymrużyła oczy. Obłok kurzu nad drogą oznaczał, że wraca Billy. Pomyślała, że może byłoby dobrze, gdyby udało jej się złapać Pikle'a. Mogłaby spróbować trochę ułagodzić jego gniew i dać mu ciągnik do naprawy. - Chodź na obiad, Jim.

- Zawsze z największą przyjemnością słucham tych słów. Zabrała swój posiłek ze sobą i wsiadła do land rovera. W jednej ręce trzymała kanapkę z pieczenią wołową i co chwila ją nadgryzała, drugą ręką natomiast prowadziła samochód. Pokryta kurzem droga prowadziła przez pastwisko, w kierunku wzgórz, potem szła w górę. Przed Willą otworzył się wspaniały, zapierający dech w piersiach widok pagórków skąpanych w jesiennych barwach.

Pomyślała, że kończy się już najpiękniejsza pora, a kolory, w miarę jak opadają liście, tracą swą intensywność. Kiedy opuściła okno, żeby wpuścić do kabiny podmuch powietrza, wysoko w górze rozległo się uporczywe nawoływanie świergotka. Ten dobrze znany dźwięk powinien ją uspokoić. Bardzo chciała się uspokoić, i nie była w stanie zrozumieć, dlaczego wcale się tak nie dzieje.

Sprawdzała ogrodzenie, wzdłuż którego jechała, i z zadowoleniem stwierdziła, że wszystko jest w dobrym stanie. Bydło pasło się spokojnie, od czasu do czasu któraś z krów unosiła głowę i z wyraźnym brakiem zainteresowania przyglądała się przejeżdżającemu łażikowi i siedzącemu w nim kierowcy.

Na zachodzie niebo wyraźnie się ściemniało. Gromadziły się na nim chmury, a szczyty gór osnute były ponurym cieniem, przez który gdzieś przedzierał się niesamowity blask. Willa doszła do wniosku, że po południu w górach spadnie śnieg, a w dolinie deszcz. Pomyślała, że trochę opadów bardzo przydałoby się glebie, jednak szansa na to, że będzie to spokojny, łagodny deszczyk, który ziemia zdoła stopniowo wchłonąć, była

bardzo niewielka. Najprawdopodobniej spadnie grad, który będzie odskakiwał od gruntu i może nawet zniszczyć zbiory.

Chciałaby już usłyszeć, jak wściekle dudni o dach samochodu. Marzyła, by zostać na parę godzin sam na sam z tym gwałtownym żywiołem. Zapagnęła spoglądać na świat przez okno łazika, patrzeć na ścianę deszczu osłaniającą wszystko dookoła.

Może to właśnie zbliżająca się burza wywołuje niepokój i zdenerwowanie. Tak przynajmniej próbowała to sobie wyjaśnić, kiedy złapała się na tym że po raz czwarty sprawdza lusterko wsteczne. A może tak bardzo działa jej na nerwy fakt, że chociaż dostrzega efekty pracy ludzi, którzy mieli naprawić ogrodzenie, to jednak nigdzie nie widzi żywej duszy.

Nie ma śladu żadnego łazika, nie słychać uderzeń młotków, nikt nie idzie wzdłuż ogrodzenia. Jest tylko droga, ziemia i wznoszące się do sinego nieba góry.

Dokuczała jej samotność, ale nie bardzo mogła zrozumieć, dlaczego. Zawsze uwielbiała każdy moment spędzony samotnie na własnej ziemi. Ostatnio często tęskniła za chwilą dla siebie, kiedy nikt nie będzie zadawał jej pytań, żądał odpowiedzi, nikt nie będzie się skarżył.

Mimo to była bardzo zdenerwowana. Miała dziwne wrażenie, że w żołądku podskakuje jej pstrąg, a po plecach wędrują zapracowane mrówki. Złapała się nawet na tym, że sięgnęła ręką za siebie i położyła ją na kolbie strzelby. Potem z pełną świadomością zatrzymała łazika i rozejrzała się wokół uważnie, szukając śladów ludzi.

To było ogromne ryzyko. Wiedział, że ryzykuje, ale zaczęło mu to sprawiać przyjemność i po prostu nie mógł się powstrzymać. Stwierdził, że bardzo dobrze wybrał czas i miejsce. Zanościło się na burzę, a załoga sprawdzająca ogrodzenie skończyła już swą robotę w tej części rancza. Doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej są już w domu i właśnie siadają do obiadu.

Nie dawało mu to dużych możliwości, wiedział jednak, w jaki sposób zrobić najlepszy użytek z tego, co ma do dyspozycji. Spośród pasących się na pastwisku zwierząt wybrał najwspanialszego, grubego wołu o lśniącej sierści. Za taki okaz na targu można by dostać dobrą cenę.

Bardzo starannie wybrał miejsce. Kiedy skończy, wsiądzie do samochodu i szybko znajdzie się z powrotem wśród zabudowań rancza albo w najdalszym zakątku Mercy. Z jednej strony drogi wznosiły się kamieniste wzgórza zarośnięte przez drzewa.

Z tej strony z pewnością nikt się nie pojawi.

Kiedy robił to po raz pierwszy, w momencie kiedy pojawiła się krew żołądek podszedł

mu go gardła. Nigdy wcześniej nie zatopił noża w czymś żywym i tak ogromnym. A potem - no cóż, potem to się stało... takie interesujące. Spodobało mu się wbijanie noża w żywe, potężne cielsko, patrzenie, jak początkowo mocny puls stopniowo słabnie, a potem, w miarę upływu czasu, całkowicie zanika.

Uwielbiał przyglądać się, jak powoli wycieka życie.

Krew jest ciepła i pulsująca. Przynajmniej początkowo pulsuje, potem po prostu wypływa, czerwona i wilgotna jak jezioro. Wół nie stawiał oporu. Zwabił go ziarnem, potem poprowadził na postronku. Chciał zabić go na środku drogi prowadzącej przez teren rancza. Wcześniej czy później ktoś będzie tędy jechał, a wówczas, nie do wiary, co za niespodzianka! Nad głową będą krążyć ptaki zwabione zapachem padliny. Zapach może również zwabić wilki.

Nie miał pojęcia, jak kusząco pachnie śmierć. Przekonał się o tym dopiero gdy sam ją spowodował.

Uśmiechnął się do wołu przeżuującego ziarno z wiadra i przejechał dłonią po szorstkiej, czarnej skórze. Potem włożył plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy, sprawdził, czy jest dokładnie nim okryty i jednym płynnym ruchem przejechał nożem po gardle zwierzęcia. Stwierdził, że wyraźnie nabiera wprawy, a kiedy zaczęła płynąć krew, roześmiał się zadowolony.

- Chodź ze mną, moja psinko - zaśpiewał, kiedy wół upadł na drogę.

Potem zabrał się do najmielszej części zadania.

Pikle uznał, że samotność dobrze mu zrobi na jego posępny nastrój. Jadąc wzdłuż ogrodzenia, układał sobie w głowie, o czym będzie mówił w rozmowie z Jimem, w rozmowie z Willą. Potem dobierał słowa, w których poskarży się Hamowi na Willę. Opowie mu, jak go znieważyla i zagroziła, że go zwolni.

Zupełnie jakby rzeczywiście mogła to zrobić.

Zatrudnił go Jack Mercy i zdaniem Pikle'a, tylko on jeden mógł go zwolnić. A skoro Jack nie żyje - niech spoczywa w pokoju - to w ogóle nie może być o tym mowy.

Może sam powinien rzucić tę robotę. Ma przecież odłożone pieniądze, stopniowo przybywa ich na koncie w banku w Bozeman. Mógłby za nie kupić własne ranczo, zacząć od czegoś niewielkiego i stopniowo rozwijać hodowlę tak, jak by mu się podobało.

Bardzo chciałby zobaczyć, jak poradziłyby sobie ta despotyczna baba, gdyby odszedł z Mercy. Na pewno nie przetrwałyby bez niego zimy, a co tu dopiero mówić o całym cholernym roku.

Przyszło mu na myśl, że może powinien zabrać ze sobą Jima Brewstera. Pikle nie

pamiętał w tym momencie lub może nie chciał pamiętać, że nie tak dawno ostro pokłócił się z Jimem. Ten chłopak ma złote ręce, jest bardzo pracowity, chociaż przez większość czasu jest najzwyczajniejszym dupkiem. Z pewnością mógłby to zrobić, mógłby kupić sobie na północy ziemię i hodować na niej bydło. Żeby jeszcze bardziej jej dokuczyć, wziąłby ze sobą również Billy'ego. Jego ranczo byłoby nastawione tylko na hodowlę bydła, pomyślał snując dalej swą wizję. Żadnych cholernych kur ani zbóż, żadnych świń ani koni poza tymi, które byłyby potrzebne do pracy. Ta różnorodność to cholerna bzdura. Kretyństwo. Jego zdaniem był to jedyny błąd Jacka Mercy'ego.

Nie powinien był pozwolić temu Indianinowi hodować koni na ziemi stworzonej dla bydła.

Nie, osobiście nie ma nic przeciwko Adamowi Wolfchildowi. Ten człowiek zna się na swojej robocie, nie miesza się do cudzych spraw, a poza tym wyszkolił kilka wspaniałych wierzchowców. Ale chodzi o zasadę. Ta dziewczyna zrobi wszystko po swojemu. Ona i ten Indianin będą prowadzić ranczo ramię w ramię.

Zdaniem Pikle'a, szybko doprowadzą je do upadku.

Baby, jego zdaniem, powinny siedzieć w cholernej kuchni, a nie dyrygować mężczyznami pracującymi w gospodarstwie. Ona chce go wylać, przypomniał sobie, pociągając nosem. Na najbliższym rozjeździe skręcił w lewo, żeby sprawdzić, czy Ham i Wood skończyli już robotę.

Zanosi się na burzę, zauważył mimo woli, a po chwili dostrzegł, że na poboczu drogi stoi łazik. Uśmiechnął się.

Jeżeli komuś zepsuł się samochód, to na całe szczęście ma z tyłu skrzynkę z narzędziami. Udowodni każdemu mieszkańcowi południowo - zachodniej Montany, mającemu wystarczająco dużo rozsądku, by podrapać się po tyłku, że zna się na silnikach lepiej niż ktokolwiek inny w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów.

Zatrzymał się, wsunął ręce do kieszeni dżinsów i podszedł do przodu.

- Masz jakieś kłopoty? - zaczął i nagle zamarł w bezruchu.

Na drodze leżał rozplątany wół, skąpany w olbrzymiej ilości krwi. Jej zapach gwałtownie wdarł się Pikle'owi w nozdrza.

Powoli zbliżył się, ledwo patrząc na mężczyznę przykucniętego obok martwego zwierzęcia.

- Następny? Jezu Chryste, co tu się dzieje? - Pochylił się. - Jest całkiem świeży... - zaczął. W tym momencie zobaczył nóż i spływającą po jego ostrzu krew. A także oczy mężczyzny trzymającego ten nóż. - Boże wszechmogący, to ty? Dlaczego to zrobiłeś?

- Ponieważ miałem na to ochotę. - Uświadomił sobie nagle, że Pikle poznał całą prawdę o nim. - Ponieważ lubię to robić - powiedział łagodnie. Z odrobiną żalu uniósł nóż w górę i zatopił go w miękkim brzuchu Pikle'a. - Nigdy wcześniej nie zabiłem człowieka - powiedział, po czym pewną i spokojną ręką szarpnął nóż do góry. - To jest interesujące.

Interesujące, pomyślał ponownie, uważnie obserwując oczy Pikle'a, w których początkowo wyraźnie widać było szok, potem ból, aż wreszcie jego spojrzenie zmętniało. Przez cały czas przesuwiał nóż w górę, w kierunku serca, potem pochylił się wraz z upadającym ciałem, a w końcu usiadł na nim okrakiem.

W niepamięć poszło podniecenie, które towarzyszyło mu, gdy zabijał wołu. Zdał sobie sprawę, że zabicie człowieka to dużo większa sprawa. Człowiek ma przecież mózg, pomyślał, wyciągając zakrwawiony nóż i odnotowując w pamięci towarzyszący temu dźwięk, przypominający ssanie. Bydłę to głupie stworzenie. A kot, chociaż mądry, jest maleńki.

Rozważając to wszystko, odchylił się do tyłu. Zaczął się zastanawiać, w jaki sposób uczcić tę szczególną chwilę, ten nowy etap swojego życia. Chciał zrobić coś, o czym ludzie bardzo, bardzo długo nie zapomną i wszędzie będą mówić tylko o tym.

Nagle uśmiechnął się, potem zaczął się głośno śmiać, aż w końcu musiał przycisnąć zakrwawioną rękę do ust. Już wie, jak zostawić swój ślad.

Obrócił nóż w rękę i zaczął nim radośnie manipulować.

Kiedy Willa zauważyła jeźdźca galopującego przez pastwisko, zatrzymała łązik. Rozpoznała ogromnego, czarnego konia, na którym zazwyczaj jeździł Ben, i psa, który jak cień podskakiwał przy nogach Spooka. W pierwszym momencie odczuła ogromną ulgę i była o to zła na samą siebie. Ale w powietrzu unosiło się coś niesamowitego i doszła do wniosku, że ucieszyłaby się nawet na widok samego diabła.

Choć zachwyty w niej wzbudził wyczyn Bena i czarnego wałacha szybującego nad ogrodzeniem, prychnęła pogardliwie.

- Zgubiłeś drogę, McKinnon?

- Nie. - Zatrzymał konia obok łązika. Charlie szczęśliwy, że ma kogo przywitać, podniósł łapę i obsusiał przednie koło samochodu Willi. - Kazałaś naprawić to ogrodzenie? - Uśmiechnął się, kiedy na niego spojrzała. - Zack przejeżdżał tędy dziś rano i zauważył, że jest uszkodzone. W tym roku wapiti to prawdziwy wrzód na dupie.

- Zawsze tak było. Mam nadzieję, że Ham już się ze wszystkim uporał. Jadę tam i sprawdzę.

Zeskoczył z konia i nachylił się do okienka.

- Czy mnie się wydaje, czy tam naprawdę leży kanapka?

Zerknęła na drugą połowę swego obiadu.

- Tak. No i co z tego?

- Będziesz ją jadła?

Westchnęła, podniosła kanapkę i podała mu.

- Czyżbyś gonił za mną tylko po to, żeby dostać darmowy posiłek?

- To tylko dodatkowa korzyść. Mam zamiar załadować nieco bydła na statek i wysłać je do tuczarni w Kolorado. Przyszło mi na myśl, że może chciałabyś odkupić ode mnie kilkaset sztuk. - Odłamał kawałek kanapki i rzucił czekającemu tylko na to psu.

Przyglądała się, jak pies przełknął chleb i wołowinę, a następnie wyszczerzył zęby. Doszła do wniosku, że bardzo jej to przypomina arogancki, wyniosły uśmiezek jego pana.

- Czy chcesz tu właśnie przedyskutować ze mną sprawę ceny?

- Sądzę, że moglibyśmy zrobić to w miłszych okolicznościach. Może później, przy kieliszku czegoś mocniejszego. - Wsunął rękę przez okno i zaczął bawić się włosami, które wysunęły się z jej warkocza. - Do tej pory nie poznałem twej najstarszej siostry. Willa wrzuciła bieg.

- Ona nie jest w twoim typie, przystojniaczku, ale jeśli chcesz ją zobaczyć, możesz wpaść. - Obserwowała, jak zjadał ostatni kęs kanapki. - Po kolacji.

- Czy mam również przynieść ze sobą butelkę?

Uśmiechnęła się i nacisnęła pedał gazu. Po chwili zastanowienia Ben wskoczył na konia i ruszył za nią klusem. Oboje wiedzieli, że łaźnik porusza się na tyle wolno, że koń jest w stanie dotrzymać mu kroku.

- Czy Adam będzie w tej okolicy? - Ben podniósł głos, żeby mogła go słyszeć przez warkot silnika. - Potrzebuję kilku kucyków.

- Pogadaj z nim. Jestem zbyt zajęta, by udzielać się towarzysko, Ben. - Żeby go zdenerwować, przyspieszyła, zostawiając go w obłoku kurzu. Na najbliższym rozjeździe skręciła w lewo i była bardzo zawiedziona widząc, że on ruszył w prawo.

Chciałaby z nim o coś powalczyć i na tyle wyprowadzić go z równowagi, by ponownie chwycił ją w ramiona. Nasunęło jej się wspomnienie, jak to było, kiedy Ben ją obejmował.

Rzadko myślała o mężczyznach - a już na pewno nie w ten sposób. Z pewnością myślenie w taki właśnie sposób o Benie jest swego rodzaju oderwaniem od kłopotów. Nawet jeżeli się nie ma zamiaru naruszać istniejącego stanu rzeczy.

Chyba że w którymś momencie zmieni zdanie.

Uśmiechnęła się do siebie. Zawsze przecież może zmienić zdanie, po prostu, żeby

zobaczyć, jak to jest. Podejrzewała, że Ben lepiej i dokładniej niż inni pokazałby jej, co mogą robić ze sobą kobieta i mężczyzna.

Może dziś wieczorem spróbuje go zdenerwować i doprowadzić w ten sposób do tego, żeby ją pocałował. Chyba że jego uwagę przyciągnie cycata Tess i zawrócą mu w głowie jej luksusowe francuskie perfumy. Na myśl o tym nacisnęła pedał gazu. W chwilę później jednak, gdy zauważyła stojący na zakręcie samochód Pikle'a, ostro zahamowała.

- Cholera, jednak go znalazłam. - Doszła do wniosku, że musi spróbować go udobruchać. Wysiadła z samochodu, przebiegła wzrokiem wzdłuż ogrodzenia i popatrzyła na pastwiska po obu stronach drogi. Nigdzie nie było go widać, nic również nie wyjaśniało, dlaczego zostawił łazika na drodze. - Pewnie poszedł gdzieś wyładować swoje humory - powiedziała półgłosem i ruszyła do przodu, żeby zatrąbić. W tym momencie zauważyła jego i wołu, leżących w kałuży krwi tuż przed maską samochodu. Zaczęła zastanawiać się, jak to się stało, że nie wyczuła wcześniej żadnego zapachu - powietrze było gęste i unosiła się w nim woń śmierci. Wiatr popychał ją teraz gwałtownie do tyłu i napełnił jej nozdrza tym smrodem. Chwiejnym krokiem Willa dotarła do rowu i wyrzuciła z siebie obiad.

Wciąż jeszcze okropnie ją mdliło, kiedy niepewnym krokiem podeszła do swego łazika i zaczęła trąbić. Trzymała rękę na klaksonie, natomiast głowę opierała o framugę okna, starając się złapać odrobinę świeżego powietrze.

Odwróciła głowę i próbowała wypluć podły smak, który miała w ustach, potem obtarła ręką wilgotną twarz. Kiedy zrobiło się jej ciemno przed oczami i zakręciło w głowie, mocno zagryzła dolną wargę. Nie była jednak w stanie zmusić się do zrobienia paru kroków i ponownego popatrzenia na to, co leżało przed łazikiem Pikle'a. Z rezygnacją zgięła ręce w łokciach i położyła na nich głowę. Nie podniosła jej nawet wówczas, gdy usłyszała stukot końskich kopyt i szczekanie Charlie'ego.

- Hej! - Ben zsunął się z konia, przerzucił strzelbę przez ramię.

- Willo.

Gdyby nagle skoczył na niego dziki kot, byłby mniej zdziwiony niż teraz, kiedy odwróciła się i ukryła twarz w jego ramionach.

- Ben. O Boże! - Objęła go i kurczowo trzymała. - O Boże!

- Wszystko w porządku, kochanie. Już wszystko w porządku.

- Nie. - Zacisnęła mocno oczy. - Nie. Spójrz na to, co leży przed łazikiem. Tym drugim. Tam jest... O Boże, tyle krwi.

- W porządku, dziecinko, usiądź. A ja popatrzę. - Z poważną miną uwolnił się od niej, posadził ją na stopniu samochodu i zmarszczył brwi, kiedy drząc jak liść, wsunęła głowę

między kolana. - Po prostu posiedź tu chwilkę, Will.

Sądząc po wyrazie jej twarzy i szczekaniu psa, Ben uznał, że to następny wół albo któryś z psów z rancza. Ogarnęła go wściekłość jeszcze zanim doszedł do maski opuszczonego łazika. Zanim zobaczył, że leży przed nim nie tylko wół.

- Słodki Jezu! Być może nie rozpoznałby człowieka, a przynajmniej nie po tym, co z niego zostało. Znał jednak auto, buty i zakrwawiony kapelusz, leżący nie opodal ciała. Równocześnie poczuł mdłości i wściekłość. W chwili jednak, kiedy ostro nakazywał Charlie'emu, by przestał szczekać, dotarła do jego świadomości jedna jedyna myśl: że człowiek, który to zrobił, jest nie tylko obłąkany. Jest również zbrodniarzem.

Słyszając dochodzący zza pleców odgłos, szybko się odwrócił i rozłożył ramiona, żeby powstrzymać Willę.

- Nie rób tego. - Słowa te wypowiedział szorstko, a równocześnie mocno trzymał jej ramię. - Nic tu już nie pomożesz i nie ma sensu, żebyś patrzyła na to po raz drugi. - Już czuję się lepiej. - Położyła dłoń na ręce Bena i podeszła bliżej. - To mój człowiek i muszę na niego popatrzeć. - Przetarła oczy dłonią. - Oni go oskalpowali, Ben. Na miłość boską! Pocięli go na kawałki i oskalpowali.

- Starczy. - Wcale nie starał się być delikatny, kiedy ją odwrócił i siłą skierował jej głowę w swoją stronę. - Wystarczy, Willo. Wróc do swego łazika i połącz się przez radio z policją.

Kiwnęła głową, kiedy jednak nie ruszyła się z miejsca, objął ją i przytulił do swego ramienia. - Oprzyj się na chwilę. Po prostu oprzyj się o mnie.

- To ja go tu wysłałam, Ben. - Nie tylko się oparła o niego, ale i ukryła w jego ramionach. - Rozzłościł mnie, więc kazałam mu tutaj przyjechać albo zebrać manatki i wziąć ostatnią wypłatę. To ja go tu wysłałam.

- Przestań. - Wstrząśnięty tym, że jej głos załamuje się przy każdym słowie, przycisnął wargi do jej włosów. - Przecież wiesz, że to nie twoja wina.

- To mój człowiek - powtórzyła, zadrżała jeszcze raz i odsunęła się. - Przykryj go, Ben. Proszę. Powinien być przykryty.

- Zaraz to zrobię. - Dotknął jej policzka, marząc o tym, by pojawiły się na nim z powrotem rumieńce. - Zostań w aucie, Will.

Zaczekał, aż usiadła za kierownicą, potem z platformy łazika Pikle'a wyciągnął zaplamiony tłuszczem brezent. To musi wystarczyć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez kuchenne okno Lily widziała lasy i sięgające nieba góry. Październik stopniowo ustępował listopadowi, a noc zapadała coraz wcześniej. Z okna widać było chowającą się za szczyty gór złocistą tarczę słońca. Odkąd przyjechała do Montany, minęły zaledwie dwa tygodnie, wiedziała już jednak, że gdy ten promienny krąg chowa się za ocienione wzgórza, noc bardzo szybko obejmuje w posiadanie dolinę, a powietrze gwałtownie się oziębia.

Ciemność wciąż jeszcze napawała ją strachem.

Z ogromną niecierpliwością oczekiwała świtu i światła dziennego. W ciągu dnia zawsze tak dużo było do zrobienia, zwłaszcza tutaj. Godzinami potrafiła zajmować się najzwyczajniejszymi pracami domowymi. Ogromną przyjemność sprawiało jej to, że znowu może się do czegoś przydać, że stanowi część większej całości. Tak niewiele czasu trzeba było, by zaczęła odczuwać stałą potrzebę spoglądania na bezkresny błękit, wznoszące się ku niemu góry i olbrzymie połacie ziemi. Przyzwyczała się do dźwięków nieodłącznie towarzyszących koniom, bydłu i ludziom pracującym na ranczu. Przywykła również do związanych z nimi zapachów.

Uwielbiała swój pokój. Był przytulny i uroczy. Podobał jej się również przestronny, wykończony drewnem dom. W bibliotece było mnóstwo książek i, jeśli tylko chciała, mogła czytać do bladego świtu. Gdy nie miała ochoty na lekturę, słuchała muzyki albo zostawiała włączony cichutko telewizor.

Nikt nie zwracał uwagi na to, w jaki sposób spędza wieczory. Nikt nie ganił jej, gdy popełniła jakiś drobny błąd, nikt również nie podnosił na nią ręki.

Przynajmniej na razie.

Adam był taki cierpliwy. W stosunku do koni był delikatny jak matka troszcząca się o swe dzieci. Tak samo postępował z nią.

Kiedy pokazywał jej, w jaki sposób sprawdza się, czy koń nie nadwreżył nogi, przesuwał jej ręce w dół, wzdłuż nogi konia. Nie wykorzystywał tego momentu, by się do niej przytulić albo ścisnąć jej dłoń. Nauczył ją, jak szcztokuje się konia, jak należy leczyć zranione kopyto, jak mieszać witaminy dla żrebnej klaczy.

W którymś momencie nakrył ją, gdy po kryjomu karmiła jabłkiem jednorocznika. Wcale się na nią o to nie rozgniewał, jedynie się uśmiechnął.

Bardzo cieszyła ją każda godzina pracy u jego boku. To były najlepsze chwile w jej życiu. Nowy świat, który się przed nią otworzył, pozwalał jej mieć nadzieję i snuć plany na przyszłość.

Teraz wszystko to mogła stracić.

Zabito człowieka.

Na myśl o tym zadrżała. Musiała przyznać, że morderstwo niespodziewanie wtargnęło do jej jasnego, nowego świata. Jeden okrutny cios odebrał człowiekowi życie, a ona ponownie poczuła się całkowicie bezradna i przerażona nieprzewidywanymi następstwami tego wydarzenia.

Wstyd jej było, że myśli bardziej o sobie i o tym, że to nie ją zamordowano. Tego człowieka właściwie nie знаła. Z wprawą wiecznie tropionej zwierzyny Lily bez trudu unikała mężczyzn zatrudnionych na ranchu Mercy. Ale zamordowany należał do jej nowego świata i w związku z tym to o nim przede wszystkim powinna myśleć, a nie o sobie.

- Chryste, ale zamieszanie.

Gdy Tess gwałtownie wtargnęła do kuchni, Lily podskoczyła i zacisnęła palce na ścierce, którą trzymała w rękach.

- Zaparzyłam kawę. Jest świeża. Czy oni... czy oni jeszcze tu są?

- Will wciąż rozmawia z gliniarzami, jeżeli o nich właśnie pytasz. - Tess podeszła do pieca i, czując zapach kawy unoszący się z garnka, zmarszczyła nos. - Starłam się nie wchodzić im w drogę, w związku z tym nie wiem zbyt dokładnie, co jest grane. - Podeszła do spizarni i jednym szarpnięciem otworzyła prowadzące do niej drzwi, a potem równie gwałtownie je zamknęła. - Czy jest w tym domu coś mocniejszego niż kawa?

Lily zaczęła skręcać ścierkę w rękach.

- Wydaje mi się, że jest wino, sądzę jednak, że nie powinniśmy przeszkadzać Willi i pytać, czy możemy je wziąć.

Tess wzniosła oczy do góry i zdecydowanym ruchem otworzyła lodówkę.

- Chardonnay to wino pośledniego gatunku, skoro jednak nie ma nic lepszego, spróbuję zadowolić się tym. I nie mam zamiaru nikogo o nic pytać. Ta butelka w takim samym stopniu należy do nas, jak i do niej. - Wyjmując ją, Tess zapytała: - Masz może jakiś korkociąg?

- Gdzieś się tu przedtem plątał. - Odłożyła szmatkę. Już dwukrotnie wytarła lady do czysta. Otworzyła szufladę, wyjęła z niej korkociąg i wręczyła go Tess. - Ugotowałam zupę. - Pokazała ręką stojący na piecu garnek. - Bess wciąż ma gorączkę, ale zjadła ją. Sądzę, właściwie mam nadzieję, że jutro poczuje się już lepiej.

- Uhm. - Tess znalazła kieliszki i naląła do nich wino. - Usiądź, Lily. Chyba powinniśmy porozmawiać.

- Muszę zestawić kawę z pieca.

- Usiądź, proszę. - Tess zajęła miejsce na drewnianej ławie przy stole i czekała.

- Dobrze. - Lily usiadła po drugiej stronie wypolerowanego stołu i położyła ręce na kolanach.

Tess podsunęła w jej stronę kieliszek, a swój uniosła do ust.

- Wydaje mi się, że powinnyśmy nawzajem opowiedzieć sobie historie naszego życia, ale nie sądzę, aby to był odpowiedni moment na tego typu wynurzenia. - Wyciągnęła z kieszeni pojedynczego papierosa, którego wyjęła wcześniej z awaryjnej paczki. Długo obracała go w palcach, nim sięgnęła po zapalki. - Całe to zdarzenie to paskudna sprawa.

- Tak. - Lily automatycznie podniosła się, przyniosła popielniczkę i postawiła ją na stole. - Biedny człowiek. Nawet nie wiem, który to z nich, ale...

- Ten łysiejący, z długimi wąsami i ogromnym brzuchem - powiedziała Tess, po czym uniosła ramiona, jakby chciała nabrać więcej siły. Zapaliła papierosa.

- Aha! - Lily, dowiedziawszy się, jak wyglądał zamordowany, zaczęła odczuwać wstyd. - Tak, widywałam go. Został pchnięty nożem, prawda?

- Wydaje mi się, że to było coś znacznie gorszego. Wiem jednak tylko tyle, że Willa znalazła go na jednej z tych dróg, które przecinają ranczo.

- To musiało być dla niej okropne przeżycie.

- Tak. - Tess skrzywiła usta i podniosła kieliszek z winem. Fakt faktem, że nie uwielbiała zbytnio swej najmłodszej siostry, ale takiego przeżycia nie życzyłyby nawet największemu wrogowi.

- Da sobie z tym radę. Nie rozpieszcząją ich tutaj w dzieciństwie. W każdym razie... - Pociągnęła łyżeczkę wina i stwierdziła, że wcale nie jest takie podłe, jak myślała. - Powiedz mi, co teraz zrobisz? Zostajesz czy wyjeżdżasz? Lily wcale nie miała ochoty na wino, rozpaczliwie jednak szukała jakiegoś zajęcia dla rąk, dlatego sięgnęła po swój kieliszek.

- Prawdę mówiąc, nie mam się gdzie podziąć. Za to ty pewnie wracasz do Kalifornii.

- Zastanawiałam się nad tym. - Tess odchyliła się do tyłu i uważnie obserwowała siedzącą po drugiej stronie stołu kobietę. Zauważyła, że Lily przez cały czas ma spuszczone oczy i robi wszystko, żeby mieć zajęte ręce. Tess była święcie przekonana, że strachliwa Lily ma już zarezerwowane miejsce w samolocie lecącym dokądkolwiek. - Przyszło mi jednak na myśl coś dziwnego. Każdego dnia w Los Angeles giną ludzie. Dzieci regularnie tłuką się tylko dlatego, że któreś z nich namalowało graffiti na cudzym terytorium. Odzie się rozejrzysz, widzisz narkomanów. Zawsze możesz się natknąć na strzelaninę, walkę na noże, napad albo rabunek. - Uśmiechnęła się. - Boże, jak ja kocham to miasto! Zauważywszy przerażoną minę Lily, Tess odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

- Przepraszam - wydusiła z siebie po chwili, przyciskając rękę do serca. - Moje zdanie jest takie - niezależnie od tego, jak fatalnie wygląda cała sytuacja i jak blisko nas wszystko to się rozgrywa, to, tak czy siak, mamy do czynienia zaledwie z jednym morderstwem. A więc w porównaniu z Los Angeles nie jest to wielka sprawa, przynajmniej nie aż tak wielka, żeby zmusić mnie do wyjazdu stąd i uniemożliwić mi odebranie tego, co do mnie należy. Lily ponownie wypła łyk wina i starała się zebrać myśli.

- To znaczy, że zostajesz. Że masz zamiar zostać. - Tak, mam zamiar zostać. Nic się nie zmienia. - Myślałam... - Lily przymknęła oczy. Owładnęło ją uczucie ulgi zmieszane z zawstydzeniem. - Byłam pewna, że nie będziesz chciała już tu dłużej mieszkać, i że w związku z tym także i ja będę musiała stąd wyjechać. - Ponownie otworzyła łagodne, niebieskoszare oczy. - To okropne. Zginął człowiek, a ja jestem w stanie myśleć tylko o tym, jaki to będzie miało wpływ na moje życie.

- Jesteś po prostu szczerą. Przecież nie znałaś go. Hej! - Ponieważ Lily miała w sobie coś, co przyciągało do niej innych, Tess ujęła rękę siostry. - Nie przejmuj się tym. Wszystkie mamy zbyt dużo do stracenia. Mamy prawo myśleć o tym, co do nas należy.

Lily spojrzała na obie dłonie - swoją i siostry. Doszła do wniosku, że ręka Tess jest taka ładna. Jej palce mają godną pozazdroszczenia siłę i pewność. Poza tym błyszczą na nich wspaniałe pierścionki. Uniosła wzrok.

- Niczym nie zasłużyłam sobie na to ranczo. Ty również. Tess lekko przytaknęła i odsunęła swą rękę, po czym ponownie uniosła kieliszek.

- Niczym także nie zasłużyłam sobie na to, by ignorowano mnie przez całe życie. To samo dotyczy i ciebie.

Willa weszła do kuchni i na widok dwóch siedzących przy stole kobiet stanęła jak wryta. Wciąż jeszcze była blada jak płótno, a jej gwałtowne ruchy zdradzały ogromne napięcie. Zadawano jej ogromne ilości pytań, poza tym wielokrotnie musiała powtarzać, w jakich okolicznościach natknęła się na ciało.

Nic więc dziwnego, że była niezmiernie szczęśliwa, gdy policjanci w końcu dali jej spokój.

- Widzę, że miło tu i spokojnie. - Wsunęła ręce do kieszeni i zbliżyła się do stołu. Wciąż nie była w stanie opanować drżenia palców. - Myślałam, że obie właśnie pakujecie manatki. Nie przyszło mi nawet do głowy, że możecie tak zwyczajnie siedzieć tutaj i ucinać sobie pogawędkę.

- O tym właśnie rozmawialiśmy. - Tess uniosła brwi, nie powiedziała jednak ani słowa, kiedy Willa uniosła do ust jej kieliszek i wypła całe znajdujące się w nim wino. - Nie

mamy zamiaru nigdzie wyjeżdżać.

- Naprawdę? - Willa poczuła nagle ogromną ochotę na wino, podeszła więc do kredensu i wyjęła z niego szklaneczkę.

Potem stanęła przy nim i nie mogła się ruszyć, trudno jej było nawet pozbierać myśli.

Od chwili, kiedy znalazła Pikle'a, nie dopuszczała do siebie myśli, że to morderstwo może oznaczać utratę rancza. Gdzieś w głębi duszy, w najdalszym zakamarku podświadomości tkwiło jednak przekonanie, że obie zmuszone do życia w Mercy kobiety po tym, co się wydarzyło, uciekną gdzie pieprz rośnie. A tym samym jej życie przestanie mieć jakikolwiek sens. Jednak dopiero teraz, kiedy usłyszała, że tu zostają, wszystko to dotarło do jej świadomości z niezwykle gwałtownością.

W tym momencie załamała się. Oparła głowę o drzwiczki kredensu i zamknęła oczy.

Pikle. Dobry Boże, czy już do końca życia będzie jej stał przed oczami ten obraz? Czy do końca życia będzie widziała to morze krwi, w którym odbijały się promienie słońca? Jego oczy spoglądające na nią z niemym przerażeniem?

Na całe szczęście ranczo, przynajmniej na razie, jest bezpieczne.

- O Boże! Dobry Boże!

Dopiero gdy Lily położyła niepewnie dłoń na jej plecach, Willa zdała sobie sprawę, że głośno jęczy. Zadrzała pod wpływem dotyku, a po chwili szybko się wyprostowała.

- Ugotowałam zupę. - Lily, mówiąc te słowa, czuła się niezwykle głupio, nic innego jednak nie przychodziło jej do głowy. - Powinnaś coś zjeść.

- Nie mogę w tej chwili patrzeć na jedzenie. - Willa cofnęła się pełna obawy, że jeśli będą próbowały ją pocieszać, może się całkiem załamać. Podeszła z powrotem do stołu i, nie zważając na obserwującą ją z ogromnym zafascynowaniem Tess, nalała sobie pełną szklanekę wina.

- To mi się podoba - powiedziała półgłosem Tess, przez cały czas z podziwem obserwując, jak Willa wielkimi łykami wypija wino, zupełnie jakby piła wodę. - To mi się cholernie podoba. Jak długo jesteś w stanie tak pić i wciąż trzymać się na nogach?

- Będziemy musiały sprawdzić.

Ktoś otworzył drzwi kuchenne, więc się odwróciła, a gdy pojawił się w nich Ben, z całych sił starała się równomiernie oddychać.

Nie chciała zdręzczać się z tego powodu, że się na nim wsparła, że załamała się w jego ramionach ani że pozwoliła mu wykonać najgorszą robotę w czasie, kiedy ona siedziała obok i czuła się zbyt fatalnie, by mu w tym pomóc. Był to jednak dla niej ciężki orzech do zgryzienia.

- Szanowne panie. - Naśladując gestykulację Willi, wyjął szklanekę z jej dłoni i łyknął wino. - W taki oto sposób dotarliśmy do końca okropnego dnia.

- Wypiję, żeby to uczcić. - Tess wychyliła swój kieliszek i równocześnie uważnie obserwowała przybysza. Połączany kowboj, pomyślała. Przystojniaczek. - Jestem Tess. Ben McKinnon, jeśli się nie mylę?

- Miło mi panią poznać. Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach. - Dotknął dłonią policzka Willi i obrócił jej twarz w swoją stronę. - Połóż się.

- Muszę porozmawiać z ludźmi.

- Wcale nie musisz. Natomiast na pewno powinnaś położyć się do łóżka spróbować przez chwilę zapomnieć o tym wszystkim.

- Nie mam zamiaru chować głowy w piasek tylko dlatego, że...

- Nic na to nie poradzisz - przerwał. Willa drżała jak liść. Czubkami palców czuł, jak bardzo stara się z tym walczyć, mimo to co chwilę wstrząsały nią dreszcze.

- Nie wyglądasz najlepiej i jesteś zmęczona. Na dodatek przynajmniej kilka razy musiałaś przeżywać na nowo całe to makabryczne wydarzenie Adam wziął gliniarzy, żeby porozmawiali z ludźmi zatrudnionymi na ranchu. Nie masz zatem nic lepszego do roboty, niż iść do swego pokoju i spróbować się przespać.

- Moi ludzie są...

- Kto jutro i pojutrze zagoni ich do roboty, jeżeli ty się załamiesz? - Kiedy otworzyła usta, przekrzywił głowę. - Albo natychmiast o własnych siłach pomaszerujesz na górę i położysz się, Will, albo sam osobiście cię tam zaniosę.

Niezależnie od tego, w jaki sposób, gwarantuję ci jednak, że na pewno znajdziesz się w łóżku. I to zaraz.

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy i coś chwyta ją za gardło. Była jednak zbyt dumna na to, by rozplakać się na jego oczach, dlatego odepchnęła jego dłoń, odwróciła się i wyszła.

- Jestem pod głębokim wrażeniem - powiedziała Tess półgłosem, kiedy drzwi kuchenne się zamknęły. - Wydawało mi się, że nikt nie jest w stanie jej do niczego zmusić.

- Poddała się wyłącznie ze strachu, że się za chwilę rozplacze.

Willa nie dopuściłaby do tego, żeby załamać się na czyichś oczach. - Zmarszczył brwi i pomyślał, że byłby dużo szczęśliwszy, gdyby udało mu się nakłonić ją do tego spokojnie, bez gróźb i zastraszania. - Niewielu znam ludzi, którzy przeszliby przez takie piekło jak ona dzisiaj, i nie załamali się.

- Może nie powinna być teraz sama? - Lily przycisnęła palce do ust. - Mogłabym iść

do niej, ale... nie bardzo wiem, czy ona by tego chciała.

- Nie, myślę, że lepiej będzie, jeżeli zostawimy ją samą. - Mimo to Ben ucieszył się, że Lily coś takiego zaproponowała.

- Nie był to dla was z całą pewnością wypoczynkowy tydzień na typowym ranczu dla turystów, ale i tak mogę powiedzieć: witamy w Montanie!

- Bardzo mi się tu podoba. - Po tych słowach Lily zarumieniła się, a słysząc, że Tess się śmieje, poderwała się na równe nogi.

- Może zjadłby pan coś? Ugotowałam zupę, mogę też zrobić kanapki.

- Aniele, jeśli unoszące się w kuchni zapachy mają coś wspólnego z pani zupą, będę niezmiernie wdzięczny za jej talerz.

- W porządku. A ty, Tess?

- Pewnie, dlaczego, do diabła, nie miałabym czegoś zjeść? - Ponieważ wyglądało na to, że Lily wprost rwie się, żeby ich obsłużyć, Tess nie ruszyła się z miejsca i czekała, stukając palcami o blat stołu. - Czy policja uważa, że zrobił to ktoś mieszkający na ranczu? Ben usiadł naprzeciwko niej.

- Sądzę, że przynajmniej początkowo będą rozglądali się przede wszystkim tutaj. Teren rancza właściwie nie jest dostępny dla obcych, ale to wcale nie znaczy, że nie mógł się tu znaleźć ktoś z zewnątrz. Mógł przyjechać na koniu albo jeepem. - Poruszył ramionami i przejechał dłonią po włosach. - Bardzo łatwo dostać się tutaj z Three Rocks. Do diabła, przecież ja sam tu byłem. Kiedy Tess spojrzała na niego podejrzliwie, uniósł brew.

- Oczywiście, mogę pani powiedzieć, że nie zrobiłem tego, ale przecież ni mnie nie zna. Można tu również dotrzeć przez ranczo Rocking R albo ziemię należącą do Nate'a, można także po prostu zejść z gór.

- No cóż - Tess nalala sobie więcej wina - to jednak w jakiś sposób ogranicza możliwości, nieprawdaż?

- Powiem pani prawdę: każdy, kto zna góry i okoliczne tereny, może ukrywać się tu miesiącami i zmieniać miejsce pobytu, ilekroć tylko przyjdzie mu na to ochota, a i tak cholernie trudno byłoby go znaleźć.

- Jesteśmy niezmiernie wdzięczne za to, że pan nas uspokoił. - Zerknęła na Lily, która właśnie stawiała na stole talerze z gorącą zupą. - Prawda, Lily?

- Zawsze wolę wiedzieć, na czym stoję. - Lily usiadła na brzeжку ławki obok Tess i ponownie złożyła ręce. - Łatwiej podjąć odpowiednie środki ostrożności, kiedy się wie, czego można się spodziewać.

- Z pewnością tak. Dlatego powiedziałbym, że najlepiej zrobicie, jeżeli nie będziecie

samotnie wędrować po okolicy, przynajmniej na razie.

- Nie jestem zapalonym wędrowcem. - Tess zanurzyła łyżkę w zupie, chociaż w tym właśnie momencie żołądek nieprzyjemnie podszedł jej do gardła. - Natomiast Lily zawsze trzyma się blisko Adama. - Spojrzała na Bena. - Czy jego również można o coś podejrzewać?

- Nie wiem, co o tym wszystkim sądzi policja, ale mogę wam powiedzieć, że Adamowi Wolfchildowi prędzej wyrosłyby skrzydła i odfrunąłby na nich do Idaho, niż wypatroszył i oskalpował człowieka.

Kiedy łyżka, którą Tess trzymała w ręce, upadła na stół, Ben podniósł wzrok. Był wściekły na samego siebie, ale już i tak nie był w stanie cofnąć tego, co zostało powiedziane. - Przepraszam. Myślałem, że znacie panie szczegóły. - Nie. - Tess odstawiła zupę i sięgnęła po wino. - Nikt nam nic nie powiedział.

- I ona to wszystko widziała? - Lily przycisnęła mocno dłonie do kolan. - Ona go znalazła, prawda?

- Tak, i musi teraz z tym żyć. - Oboje musimy, pomyślał Ben, ponieważ zdawał sobie sprawę, że ten obraz na zawsze pozostanie w jego pamięci. - Nie chciałem was przestraszyć. Chcę jedynie, żebyście uważały na siebie.

- To ma pan jak w banku - obiecała Tess. - A co z nią? - Pokazała palcem na sufit. - Nie zdoła jej pan utrzymać w pobliżu domu, chyba że założy się jej kajdanki.

- Adam będzie ją miał na oku. Ja również. - Bardzo chciał rozładować napięcie, zanurzył więc łyżkę w zupie i zażartował. - Muszę wam powiedzieć, że jeśli tak będziecie gotowały, to z przyjemnością popałam się w pobliżu.

Kiedy otworzyły się drzwi wejściowe, obie kobiety podskoczyły jak oparzone. Do środka wszedł Adam, a wraz z nim wpadło chłodne, nocne powietrze.

- Na razie dali mi święty spokój.

- Może się do nas przyłączysz? - zaproponowała Tess. - Dzisiejszego wieczoru serwujemy zupę i wino. Spojrzał na nią poważnie, a potem zaczął się przyglądać Lily.

- Chętnie napiłbym się kawy. Nie, siedź - dorzucił, gdy Lily poderwała się. - Sam sobie ją naleję. Przyszedłem sprawdzić, jak czuje się Willa.

- Benowi udało się zagonić ją do łóżka. - Wcześniejsze zdenerwowanie, a teraz ogromna ulga sprawiły, że słowa wyrwały się z ust Lily, zanim zdołała je powstrzymać. - Była bardzo zmęczona. Może nalać ci trochę zupy? Pewnie chętnie coś zjesz, jest jej sporo.

- Należę sobie. Usiądź.

- Jest też chleb. Zapomniałam go podać. Powinam...

- Powinnaś usiąść. - Mówił bardzo spokojnie, równocześnie nalewając sobie chochlą

zupę. - Spróbuj się uspokoić. - Napełnił drugi talerz i obydwaj postawił na stole. - Poza tym na pewno byłoby dobrze, gdybyś coś zjadła. Przyniosę jeszcze chleb.

Patrzyła zdumiona, jak pewnie porusza się po kuchni. Wszyscy mężczyźni, których dotychczas знаła, potrafili jedynie pozbierać ze stołu naczynia i to tylko wówczas, gdy się ich o to kilkakrotnie poprosiło. Spojrzała na Bena, przypuszczając, że będzie się szyderczo uśmiechał, ale on spokojnie jadł, jakby nie widział nic nadzwyczajnego w fakcie, że mężczyzna podaje jedzenie do stołu.

' - Może chcesz, Adamie, żebym tu został dzień lub dwa i trochę wam pomógł?

- Nie. Mimo to bardzo dziękuję. I tak będziemy musieli podjąć pewne kroki. - Usiadł naprzeciwko Lily i popatrzył jej w oczy. - Dobrze się czujesz?

Kiwnęła jedynie głową i uniosła łyżkę do ust, starając się coś zjeść.

- Nie bardzo wiem, czy Pike miał jakąś rodzinę - ciągnął Adam.

- Wydaje mi się, że gdzieś w Wyoming mieszkała jego siostra.

Spróbujemy ją odnaleźć, uważam jednak, że gdy tylko wydadzą jego ciało, sami będziemy musieli zorganizować pogrzeb.

- Przydałby się wam do tego Nate. - Ben odłamał kawałek chleba. - Willa na pewno pozwoli mu się tym zająć, jeśli jej coś takiego doradzisz.

- W porządku, zrobię to. Sądzę, że nie dałaby sobie rady bez ciebie. Chcę, żebyś o tym wiedział.

- Tak się przez przypadek złożyło, że właśnie byłem w pobliżu.

- Wciąż nie mógł wrócić do równowagi po tym, jak prawie bezsilnie osunęła się w jego ramiona. - Kiedy się otrząśnie, najprawdopodobniej będzie wściekła, że to właśnie byłem ja.

- Mylisz się. Na pewno będzie ci wdzięczna w takim samym stopniu jak ja. - Obrócił rękę dłonią do góry. Była na niej długa, cienka blizna. - Bracie. Wargi Bena drgnęły, kiedy spojrzał na podobną bliznę na własnej dłoni. Przypomniał sobie dwóch chłopców, stojących w cieniu kanionu nad brzegiem rzeki, uroczyście zawierających braterstwo krwi.

- Oho! Widzę, że nadszedł czas na to, by zostawić panów na rytualną szklaneczkę porto i cygaro. - Dziwnie wzruszona Tess szturchnęła Lily. - W związku z tym odchodzę i spróbuję zająć się czymś niezmiernie ekscytującym, na przykład pomalowaniem paznokci u nóg.

Ben z wdzięcznością uśmiechnął się do niej.

- Idę o zakład, że są równie śliczne jak pani.

- Kochany, są okropne. - Doszła do wniosku, że go lubi. Była również przekonana, że

może mu zaufać. - Chciałabym przyłączyć się do Adama i powiedzieć, że jestem panu niezmiernie wdzięczna za to, że pan tam był. Dobranoc.

- Ja również już pójdę. - Lily sięgnęła po zaledwie w połowie opróżniony talerz Tess.

- Nie wychodź jeszcze. - Adam położył rękę na jej dłoni. - Jeszcze nie zjadłaś.

- Wydaje mi się, że chcecie porozmawiać. Mogę przecież zabrać zupę ze sobą.

- Proszę, nie uciekaj ze względu na mnie. - Mając pewność, że doskonale wie, co się tu święci, Ben podniósł się z ławki. - Muszę jechać do domu. Dziękuję za posiłek, Lily. - Uniósł dłoń, żeby dotknąć jej policzka i zauważył, że się odsunęła. Łagodnie, jakby nic się nie wydarzyło, opuścił rękę. — Lepiej będzie, jeśli zjesz zupę, póki jest jeszcze ciepła. Wpadnę jutro, Adamie.

- Dobranoc, Ben. - Adam trzymał swą dłoń na ręce Lily, łagodnie nakłaniając ją, żeby usiadła. Potem wziął jej drugą dłoń, splótł palce z jej palcami i czekał, aż spojrzy mu w oczy.

- Nie bój się. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało. - Ja zawsze się boję. Jej mięśnie napięły się pod jego palcami, mimo to stwierdził, że nadszedł czas, żeby wykorzystać nadarżającą się okazję, i dlatego jej nie puścił.

- Znalazłaś się w obcym miejscu, wśród obcych ludzi. Mimo to zostałaś. To wymagało dużej odwagi.

- Przyjechałam tu, żeby się ukryć. Nic o mnie nie wiesz, Adamie.

- Dowiem się wszystkiego, jeśli na to pozwolisz. - Uwolnił jedną z jej rąk i przejechał palcem po prawie już niewidocznym sińcu poniżej oka. Zamarła w bezruchu i obserwowała go nieufnie, kiedy zsunął palec w dół, na blizny widoczne na brodzie. - Bardzo chcę dowiedzieć się o tobie wszystkiego, Lily, ale tylko wtedy, gdy będziesz tego chciała.

- Dlaczego?

Jego oczy uśmiechnęły się do niej, a ona poczuła, że coś chwyciło ją za serce.

- Ponieważ wspaniale rozumiesz konie i ukradkiem rzucasz resztki z kuchni moim psom.

Zarumieniła się i w tym momencie uśmiech pojawił się również na jego ustach.

- A także dlatego, że świetnie gotujesz. A teraz zjedz - powiedział i puścił jej rękę - zanim całkowicie wystygnie.

Obserwując go spod rzęs, uniosła łyżkę do ust i zaczęła jeść.

O piętro wyżej Tess uzbrojona w książkę, którą wybrała sobie z biblioteki, i z butelką wody mineralnej zabraną z barku, szła korytarzem w stronę swego pokoju. Postanowiła, że będzie czytać, póki nie zamkną jej się oczy. Miała nadzieję, że dzięki temu, gdy już zaśnie, będzie spała spokojnie, bez złych snów i koszmarów.

Uznała, że ma zbyt bujną wyobraźnię. To właśnie dzięki niej zaczęła odnosić pierwsze sukcesy jako autorka scenariuszy. Niestety również dzięki niej szczegóły podane przez Bena zaczęły łączyć się w całość, ożywać i układać się przed jej oczami w okropną wizję.

Miała ogromną nadzieję, że opasły romans, którego okładka zapowiadała wiele przygód i namiętności, skieruje jej myśli w inną stronę.

Kiedy przechodziła obok pokoju Willi, usłyszała gorzkie, rozpaczliwe łkanie. Zawahała się, klnąc w duchu, że nie wybrała innych schodów. Co gorsza, była wściekła, że ten bezradny szloch tak bardzo ją poruszył. Kiedy silna kobieta płacze, wówczas łzy wypływają z najgłębszych i najciemniejszych zakamarków jej duszy.

Tess uniosła dłoń, żeby zapukać, potem oparła się o framugę. Być może, gdyby znały się lepiej albo były sobie całkiem obce, mogłaby wejść. Te ponure sprawy rodzinne rzucały cień na ich wzajemne stosunki, były podłożem głębokich wzajemnych urazów, Tess nie mogła więc tak po prostu otworzyć drzwi i zaoferować swojej pomocy.

A Willa zapewne nie ucieszyłaby się na jej widok. Zresztą Tess wiedziała, że trudno byłoby jej okazać zwyczajne, kobiece, a tym bardziej siostrzane współczucie. Zdała sobie sprawę, że jest jej z tego powodu przykro, niezmiernie przykro. Przygnębiona poszła do swego pokoju. Ostrożnie otworzyła drzwi i bardzo starannie zamknęła je za sobą.

Przestała jednak mieć nadzieję, że będzie spokojnie spać.

W ciemności, w środku nocy, kiedy wiatr dmuchał i zawodził, a deszcz stał się ostry i gwałtowny, leżał w swym łóżku i uśmiechał się. Odtwarzał w myślach całe morderstwo, sekundę po sekundzie, i odczuwał miły dreszczyk emocji.

Zdawało mu się, że zabijając człowieka był kimś zupełnie innym. Kimś, kto widział wszystko bardzo wyraźnie i przez cały czas zachowywał stoicki spokój - zupełnie jakby nie był ludzką istotą.

Nie przypuszczał, że tkwi w nim coś takiego.

Nie wiedział, że tak bardzo mu się to spodoba.

Biedny, stary Pikle. By nie wybuchnąć głośnym śmiechem, zatkał dłonią usta, zupełnie jak dziecko, któremu nagle zachciało się śmiać w kościele. Nie miał nic przeciwko staremu pierdole, ale pojawił się na drodze w złym momencie, a przecież mus to mus.

Mus to mus, pomyślał ponownie i znowu zasłonił dłonią usta, by nie parsknąć śmiechem. Tak zawsze mówiła jego matka. Nawet kiedy była na haju ogromną radość sprawiało jej wygłaszanie tego typu mądrości. Mus to mus. Zaszuj dziurkę, póki mała. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Bliższa koszula ciału.

Uspokoił się, zaczął równomiernie oddychać i położył ręce na brzuchu. Przypomni

sobie, z jaką łatwością nóż wślizgnął się w brzuch Pikle'a przez wszystkie te warstwy tłuszczu. Bardziej przypominało to dżganie nożem puchowej poduszki. A potem ten niesamowity odgłos przypominający cmoknięcie. Zupełnie jakbyś robił kobiecie sympatyczną, sporą malinę, żeby zostawić swój znak, na przykład na jej szyi.

Ale najlepsze, naprawdę najlepsze było oskalpowanie Pikle'a.

Trudno co prawda byłoby uznać, że rzadkie i cienkie włosy stanowią jakieś szczególnie wspaniałe trofeum, jednak niezwykle fascynujące było to, jak nóż poradził sobie z tą niecodzienną robotą.

Do tego krew.

Wielki Boże, jak on krwawił!

Żałował, że nie mógł poświęcić temu więcej czasu. Może powinien zaimprovizować taniec zwycięstwa. Ale następnym razem...

Musiał stłumić kolejny wybuch śmiechu. Bo przecież będzie następny raz. Koniec z bydłem i zwierzętami domowymi. Istoty ludzkie stanowią dużo większe wyzwanie. Musi jednak być ostrożny i troszeczkę zaczekać. Jeśli następne morderstwo popełni zbyt szybko, zepsuje całą zabawę.

Poza tym chce mieć możliwość wyboru, nie chce mordować kogoś, kto przypadkiem wpadnie mu w ręce.

Może tym razem powinna to być kobieta. Mógłby ją zabrać w to miejsce między drzewami, gdzie ukrywa trofea. Mógłby centymetr po centymetrze rozcinać jej ubranie, a ona w tym czasie błagałaby go, żeby jej nie skaleczył. Potem mógłby ją zgwałcić.

Na myśl o tym poczuł, że ogarnia go podniecenie. Mimowolnie zaczął się dotykać, równocześnie snując dalsze plany. Chciałby działać bez pośpiechu, aby móc obserwować swą ofiarę. Opisałby jej w najdrobniejszych szczegółach, co ma zamiar z nią zrobić i śledził pojawiający się w jej oczach paniczny strach. To niewątpliwie dostarczyłoby mu całkiem nowych emocji.

To mogłoby być dużo ciekawsze, gdyby ofiara wiedziała, co ją czeka.

Na razie przyda mu się trochę treningu. Kobieta będzie jego następną ofiarą, a jeszcze nie obmyślił w szczegółach swego planu.

Nie ma pośpiechu, pomyślał z rozmarzeniem i z przejściem zaczął się onanizować. W ogóle nie ma pośpiechu.

CZEŚĆ DRUGA

ZIMA

Każdy, kto zna zimy w tej krainie, wie, że są niezwykle ostre i gwałtowne...

William Bradford

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nawet morderstwo nie mogło oderwać ludzi od pracy. Mężczyźni zatrudnieni na ranczu byli wyraźnie podenerwowani, bez ociągania jednak wykonywali wszelkie polecenia. Ponieważ teraz zabrakło jednej pary rąk, Willa rzuciła się w wir zajęć i starała się być wszędzie, gdzie tylko mogła się przydać. Sprawdzała ogrodzenia, doglądała żniw, pomagała przy usuwaniu cielętom rogów, nocami natomiast zajmowała się prowadzeniem ksiąg.

Pogoda zmieniała się bardzo szybko. Chłodne powietrze zapowiadało zbliżającą się zimę, a każdego ranka trawę na pastwiskach pokrywała gruba warstwa szronu. Nadszedł czas, by te sztuki bydła, które nie będą zimowały na ranczu, załadować na statki i wysłać do tuczami znajdującej się w pobliżu Ennis, a część nawet do Kolorado. W związku z tym nie brakowało zajęcia.

Willa, jeśli nie siedziała właśnie na końskim grzbiecie lub za kierownicą, latała razem z Jimem samolotem. Swego czasu miała zamiar zdobyć licencję pilota, szybko jednak doszła do wniosku, że jej organizm fatalnie znosi kołysanie. Teraz starała się nie zwracać uwagi na hałas silników. Próbowwała również nie przejmować się tym, że przy każdym gwałtownym nachyleniu skrzydeł i zmianie wysokości żołądek niebezpiecznie podchodzi jej do gardła.

Jej ojciec uwielbiał wznosić się maleńką cessną nad terenami należącymi do rancza. Kiedy wybrała się z nim po raz pierwszy, miała potworne mdłości. Nigdy więcej nie wzięła jej już ze sobą do samolotu.

Teraz jedynie Jim był wykwalifikowanym pilotem, ponieważ jednak miał skłonności do popisywania się i wykonywania karkołomnych figur akrobatycznych, zaczęła się zastanawiać, czy nie należy przemyśleć całej sprawy od nowa. Mercy potrzebowało zapasowego pilota, a być może, gdyby to ona sama siedziała za sterami, nie miałyby zawrotów głowy ani mdłości.

- Z góry jest zawsze taki piękny widok. - Jim uśmiechnął się i gwałtownie obniżył lot, a Willa poczuła, że robi jej się niedobrze. - Wygląda na to, że znowu mamy uszkodzone ogrodzenie. - Bez zastanowienia jeszcze bardziej zmniejszył wysokość, żeby dokładniej przyjrzeć się zniszczeniom.

Willa zacisnęła zęby i starała się zapamiętać miejsce, nad którym właśnie przelatowali. Próbowwała również uważnie przyglądać się bydłu i z grubszą przeliczyć stado.

- Musimy przepędzić te krowy na inne pastwisko, nim całkiem zniszczą trawę. - Kiedy samolot wykonał ostry zakręt, syknęła:

- Nie mógłbyś po ludzku prowadzić tego samolotu? - Przepraszam. - Z trudem

powstrzymywał śmiech. Kiedy jednak spojrzął na jej twarz, bardzo ostrożnie zaczął schodzić w dół. Willa była bladozielona. - Nim wsiądziesz do samolotu, Will, powinnaś wziąć jakieś tabletki przeciw mdłościom. - Ależ ja wzięłam te cholerne prochy! - Starła się skupić całą uwagę na oddechu. Bardzo chciała móc podziwiać piękno widzianej z góry ziemi, zielonych pastwisk, na których połyskiwał szron, gęsto zalesionych wzgórz i okrytych warstwą śniegu szczytów. - Chcesz, żebym wylądował?

- Wytrzymam. - Z trudem, pomyślała. - Musimy skończyć, co do nas należy. Kiedy jednak ponownie spojrzęła w dół, zobaczyła drogę, na której znalazła ciało Pikle'a. Policjanci zabrali zwłoki, wzięli nawet zmasakrowane ścierwo wołu. Przeszli najbliższą okolicę w poszukiwaniu śladów. Deszcz zmył większość krwi.

Mimo to wydawało jej się, że na pokrytej pyłem drodze nadal widać ciemniejsze plamy. Być może tam właśnie krew wsiąkała nieco głębiej. Nie mogła oderwać wzroku od tego miejsca i nawet gdy odlecieli już dalej, gdy minęli pastwisko, wciąż jeszcze wpatrywała się w drogę i widoczne na niej ciemne plamy.

Jim utkwiał wzrok w horyzont.

- Wczoraj wieczorem policja znów u nas węszyła.

- Wiem.

- Niczego nie znaleźli. Do cholery, to już prawie tydzień, Will, a oni wciąż nie mają żadnych śladów.

W jego głosie wyraźnie słychać było złość. To pozwoliło jej nieco oprzytomnieć, oderwała więc wzrok od drogi i spojrzęła na niego.

- To nie serial kryminalny. Wygląda na to, że czasem po prostu nie są w stanie złapać przestępcy.

- Nie mogę przestać myśleć o tym, że w wieczór poprzedzający to zdarzenie ograłem go w karty. Wolałbym nie wygrać tych pieniędzy, Will. Wiem, że to nie ma już żadnego znaczenia, ale, do jasnej cholery, wolałbym ich nie wygrać.

Wyciągnęła rękę i poklepała go po plecach.

- Ja z kolei wolałabym się z nim nie pokłócić. To również nie ma już żadnego znaczenia, ale, do jasnej cholery, wolałabym, żeby to się nie wydarzyło.

- Cholerny, francowaty, stary pierdzieli Oto kim był.

Cholernym, francowatym, starym pierdzielem. - Głos uwiązał Jimowi w gardle, więc lekko odchrząknął. - Słyszałem...

słyszeliśmy, że masz zamiar pochować go na cmentarzu w Mercy.

- Nate nie może odnaleźć jego siostry ani innych krewnych. W związku z tym

pochowamy go na ranczu. Bess najprawdopodobniej powiedziała, że tak wypada.

- Bo rzeczywiście tak wypada. To miło z twojej strony, Will, że chcesz pochować go tam, gdzie spoczywają jedynie członkowie rodziny. - Ponownie odchrząknął. - Rozmawiałem trochę z chłopcami. Doszliśmy do wniosku, że chętnie poniesiemy jego trumnę. Poza tym chcielibyśmy ufundować mu nagrobek. - Gdy zauważył, że Willa na niego patrzy, zaczerwienił się. - Ten pomysł podsunął nam Ham, ale zgodziliśmy się na to wszyscy. Oczywiście, jeżeli ty nie będziesz miała nic przeciwko temu.

- Zgoda, niech tak będzie. - Odwróciła głowę i wyjrzała przez okno. - Wracajmy na ziemię, Jim. Zobaczyłam już wszystko, co chciałam.

Kiedy Willa zajechała na podwórko, zobaczyła, że przed domem stoją samochody Nate'a i Bena. Celowo zatrzymała się przed białym domkiem Adama. Uznała, że musi dojść do siebie, zanim stanie z kimkolwiek twarzą w twarz. Kolana uginały się pod nią i wciąż jeszcze odczuwała mdłości. Na dodatek najprawdopodobniej nieustanne buczenie silnika sprawiło, że zaczynała ją boleć głowa.

Wysiadła z łazika, przeszła przez furtkę w drewnianym ogrodzeniu i przykucnęła, by pogłaskać Groszka. Był tłusty jak kiełbasa, miał olbrzymie, kudłate łapy i oklapnięte uszy. Ucieszony jej widokiem natychmiast położył się na plecach i wystawił brzuch, żeby mogła go po nim podrapać.

- Ty stary tłusciochu. Masz zamiar leżeć tu i spać przez cały dzień? - Pomachał ogonem, wyrażając całkowitą aprobatę, co wywołało uśmiech na jej twarzy. - Twoja pupa jest już szeroka jak stodoła.

Jej głos wywabił zza domu cętkowanego ogara Adama, Noseya. Radośnie strzygł uszami i machał ogonem jak sztandarem, w końcu wcisnął się Willi pod rękę.

- Znowu narozrabiałeś, Nosey, prawda? Doskonale wiem, że masz ochotę na moje kury.

Wyszczrzył do niej zęby, a usiłując polizać ją po rękach i twarzy, nadepnął na swego kumpla. Kiedy oba psy zaczęły walczyć i skakać sobie do oczu, Willa podniosła się. Poczula się znacznie lepiej. Może pomogła jej chwila spędzona na podwórku Adama, gdzie jesienne kwiaty wciąż jeszcze mieniły się wspaniałymi kolorami, nie przejmując się nadchodzącą zimą, a psy nie miały nic lepszego do roboty niż beztrząsowo bawić się ze sobą.

- Skończyłaś już błazenadę z tymi głupimi psami?

Obejrzała się za siebie. Po drugiej stronie furtki, z papierosem w ustach, stał Ham. Pozapinał wszystkie guziki skórzanej kurtki, a na ręce włożył rękawiczki. Willa pomyślała, że być może chłód dokucza mu bardziej niż innym.

Chyba tak.

I skończyłaś już swą wyprawę w tej latającej trumnie? Podchodząc do niego, zwilżyła językiem wargi. Ham miał sześćdziesiąt pięć lat, ale nigdy nie wsiadł do samolotu. I cholernie się tym szczycił.

Wygląda na to, że tak. Musimy pozmienić bydłu pastwiska, Ham.

Poza tym znowu mamy zepsute ogrodzenie. Chciałabym, żeby jeszcze dzisiaj przepędzić krowy z pastwiska wysuniętego najdalej na południe.

Pchnę tam Billy'ego. Zajmie mu to zaledwie dwa razy tyle czasu, ile potrzebowałby na to pozbawiony połowy mózgu idiota. Jim poradzi sobie z ogrodzeniem. Wood ma ręce pełne roboty w polu, a ja jestem zajęty ładowaniem bydła na statki i wysyłaniem go do tuczami.

Czy w ten właśnie sposób, nie owijając zbytnio w bawełnę, próbujesz mi powiedzieć, że cienko przędziemy?

- Chciałbym z tobą na ten temat porozmawiać. - Czekał, aż przejdzie przez furtkę, a w tym czasie rozkoszował się papierosem. - Przydałby się nam jeszcze jeden człowiek, może nawet dwóch. Sądzę jednak, że z zatrudnieniem kogoś powinniśmy poczekać do wiosny.

Wyrzucił małe niedopałek papierosa i śledził jego lot. Za ich plecami Groszek i Nosey skomlały przy bramie, chcąc w ten sposób zwrócić na siebie uwagę.

Pikle był wrzodem na dupie. Ten człowiek był wiecznie niezadowolony, niezależnie od tego czy świeciło słońce, czy padał deszcz. Uwielbiał narzekać. Był jednak świetnym pracownikiem i całkiem niezłym mechanikiem.

Jim powiedział mi, że chcecie się złożyć na jego nagrobek.

Wydaje mi się, że to jedyne słuszne wyjście z sytuacji.

Pracowałem z tym starym durniem prawie dwadzieścia lat. - Wciąż patrzył w bok. Spojrzał nagle w jej oczy i łatwo domyślił się, co jej leży na sercu. - Nikomu w niczym nie pomożesz, obwiniając siebie o to, co mu się przytrafiło.

To ja go tam wysłałam.

To straszna bzdura i doskonale o tym wiesz. Jesteś cholernie harda i łatwo wpadasz w złość, ale na pewno nie jesteś głupia.

Na jej ustach pojawił się blady uśmiech.

- Nie mogę sobie z tym poradzić, Ham. Po prostu nie mogę.

Wiedział o tym i rozumiał, ponieważ dobrze ją znał. Bardzo dobrze ją rozumiał.

Nie daję ci spokoju to, że znalazłaś go w takim stanie. Nic na to nie poradzisz, musi upłynąć trochę czasu. - Ponownie obrzucił ją spojrzeniem. Przy okazji przesunął swój zniszczony kapelusz, by słońce nie świeciło mu prosto w oczy. - Zapracowywanie się na

śmierć niczego nie przyspieszy i w niczym ci nie pomoże.

Brakuje nam dwóch ludzi - zaczęła, ale on jedynie potrząsnął głową.

Will, ostatnio nie dosypiasz i nie dojadasz. - Jego usta wykrzywiły się lekko pod przyprószonym siwizną zarostem. - Bess już się lepiej czuje i jest z powrotem na nogach. Dzięki temu mam mnóstwo informacji na temat tego, co się dzieje w domu. Ta kobieta jest w stanie zagadać każdego na śmierć. Ale nawet gdyby nie zalewała mnie potokiem słów za każdym razem, kiedy tylko ma okazję, i tak pewne rzeczy sam jestem w stanie zauważyć.

- Mam mnóstwo spraw na głowie.

- Wiem. - Jego głos gwałtownie stwardniał. W taki sposób zawsze ujawniały się najgłębsze uczucia Hama. - Po prostu próbuję ci powiedzieć, że wcale nie musisz trzymać ręki na wszystkim, co się na tym ranchu dzieje. Zacząłem tu pracować, kiedy jeszcze nie było cię na świecie i jeżeli nie wierzysz, że potrafię dopilnować tego, co do mnie należy, no cóż, to być może, kiedy nadejdzie wiosna, będziesz musiała rozejrzeć się za trzema pracownikami, a nie za dwoma.

- Wiesz doskonale, że wierzę w twoje umiejętności. To nie... - Urwała i westchnęła. - Próbujesz mnie szantażować, Ham.

Zadowolony z siebie, kiwnął głową. Tak, znają całkiem niezłe.

Dobrze ją rozumie.

Poza tym przecież ją kocha.

- Mam nadzieję jednak, że to właśnie zmusi cię do przystopowania i zastanowienia się przez chwilę. Z tym, co mamy, spokojnie przetrwamy zimę. Starszy chłopak Wooda robi niezłe postępy. Niedługo będzie miał dwanaście lat i z całą pewnością w niejednym może się przydać. Młodszy jest urodzonym farmerem. - Zatraskany tym wszystkim Ham wyjął następnego papierosa, którego skręcił sobie tego ranka. — Woli grabić siano, niż siedzieć na koniu, ale jest bardzo pracowity. To samo zresztą twierdzi Wood. Przebrniemy spokojnie zimę z tym, co mamy.

- W porządku. Czy coś jeszcze?

Nie spieszyło mu się. Skoro jednak zdarzyła mu się możliwość porozmawiania z nią, doszedł do wniosku, że może wykorzystać sytuację.

- Chodzi o twoje siostry. Mogłabyś powiedzieć tej z krótkimi włosami, żeby kupiła sobie luźniejsze dżinsy. Takie, które nie będą się opinały na jej pośladkach jak skóra. Za każdym razem, kiedy przechodzi obok, ten głupiec, Billy, pożera ją wzrokiem. Gotów zrobić sobie jakąś krzywdę.

Po raz pierwszy od kilku dni roześmiała się.

- Ty na pewno w ogóle na nią nie patrzysz, Ham.

- Patrzę, pewnie, że patrzę. - Wypuścił dym. - Ale jestem na tyle stary, że przy okazji na pewno się nie pokaleczę. Ta druga ładnie trzyma się w siodle. - Przymrużył oczy i wskazał ręką, w której trzymał papierosa. - Zresztą możesz sama zobaczyć.

Willa spojrzała na drogę i zauważyła trójkę jeźdźców, kierujących się na wschód. Adam siedział na swym ulubionym łaciatym wierzchowcu i nie miał na głowie kapelusza. Po obu jego bokach jechały kobiety. Willa musiała przyznać, że Lily rzeczywiście doskonale radzi sobie z dereszowatą klaczą, poruszając się delikatnie w rytm końskich kroków. Tess natomiast żałośnie podskakiwała na grzbiecie pięknego kasztanka. Zbyt wysoko unosiła pięty i przy każdym kroku jak piłka odbijała się od siodła. Wyglądało na to, że w obawie o własne życie kurczowo trzyma się lęku.

- O Boże! Wczorajem będzie cała obolała. - Rozbawiona Willa oparła się o furtkę. - Od jak dawna to trwa?

- Od kilku dni. Coś mi się wydaje, że postanowiła za wszelką cenę na uczyć się jeździć konno. Adam próbuje jej pomóc.

Kiedy Tess omal nie oślizgnęła się z siodła, Ham potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia, czy nawet on jest w stanie nauczyć ją czegokolwiek. Możesz osiodłać Moon i przyłączyć się do nich.

- Wcale nie jestem im potrzebna.

- Nie to miałem na myśli. Sądzę, że przydałaby ci się długa, spokojna przejażdżka. To zawsze ci pomagało.

- Być może. - Zastanowiła się nad tym. Wyobraziła sobie cudowną, daleką wyprawę, wiatr wiejący jej prosto w twarz i ogarniający ją spokój. - Może później. - Przez następną chwilę obserwowała trójkę jeźdźców i poczuła lekką zazdrość na widok tej komitywy. - Może później - powtórzyła i wsiadła z powrotem do samochodu.

Willa wcale nie była zaskoczona, kiedy zastała Nate'a i Bena w kuchni. Z ogromnym zapalem pałaszowali wołowinę, którą Bess przyrządziła na grillu.

Willa chciała uniknąć besztania Bess za ciągły brak apetytu, wobec tego, nie czekając na nic, wzięła talerz i odsunęła krzesło.

- Chyba się trochę spóźniłaś. - Nakłanianie Willi do jedzenia nie miało już w tej chwili najmniejszego sensu, więc wyraźnie zawiedziona Bess postanowiła wykorzystać nadarżającą się okazję, by trochę ponarzekać. - Pora obiadowa już minęła. - Jedzenie jeszcze jest ciepłe - skomentowała Willa i uniosła do ust pierwszy kęs. - Widzę, że jesteś zajęta karmieniem połowy Montany, nie powinno ci więc brakować mojej skromnej osoby.

- Zachowujesz się gorzej niż prosty robotnik. - Bess postawiła filiżankę kawy obok łokcia Willi i pociągnęła nosem. - Mam zbyt dużo roboty, żeby jeszcze dodatkowo zajmować się wpajaniem ci lepszych manier. - Urażona wybiegła z kuchni, wycierając po drodze ręce w ścierkę do naczyń.

Od pół godziny bez przerwy cię wypatruje. - Nate odsunął pusty talerz i unióś filiżankę z kawą - Martwi się o ciebie. - Nikt jej o to nie prosił.

- Będzie się martwiła tak długo, jak długo będziesz jeździła sama. Willa nawet nie spojrzała na Bena:

- Będzie musiała się z tym pogodzić. Podaj sól. , Głośno postawił solniczkę przed jej nosem. Na drugim końcu stołu Nate potarł dłonią kark.

- Cieszę się, że wróciłaś, Will. Przywiozłem papiery.

- Świetnie. Zobaczą je później. - Posoliła wołowinę. - To w jakiś sposób wyjaśnia twoją obecność tutaj. - Spojrzała znacząco na Bena.

- Miałem kilka spraw do Adama. Chodziło o konie. Przy okazji rozglądałem się po ranczu, wykonując obowiązki nałożone na mnie przez testament Jacka. Udało mi się również dostać darmowy posiłek.

- Prosiłem Bena, żeby został - wyjaśnił Nate, zanim Willa zdążyła warknąć. - Rozmawiałem dziś rano z policją. Jutro wydadzą ciało. — Przez chwilę czekał, aż Willa kiwnięciem głowy zaakceptuje jego wyjaśnienie. - Część papierów, które ci przywiozłem, dotyczy szczegółów związanych z pogrzebem. Istnieją również pewne sprawy finansowe. Pikle zgromadził w banku niewielkie oszczędności, miał również normalny rachunek oszczędnościowo - rozliczeniowy. W ostatecznym rozrachunku okazało się, że zostało około trzech i pół tysiąca dolarów. Mniej więcej tyle właśnie był winien za swój samochód.

- Pieniądze to nie jest problem. — Nie była w stanie jeść w chwili, kiedy do jej głowy przystawiony był rewolwer. - Będę ci wdzięczna, jeśli po prostu zajmiesz się tymi sprawami, a potem wystawisz rachunek na ranczo. Bardzo cię o to proszę, Nate.

- W porządku. - Ze stojącej obok jego stóp teczki wyjął notes i coś w nim zapisał. - Przejdźmy zatem do jego spraw osobistych. Nie ma żadnej rodziny, żadnych spadkobierców i nigdy nie napisał testamentu.

- Tak czy owak nie zostawił dużo. - Ogarnął ją bezbrzeżny, głęboki smutek. - Ubrania, siodło i narzędzia. Najchętniej oddałabym to ludziom.

- Sądzę, że tak będzie najlepiej. Sprawy prawne możesz zostawić mnie. - Dotknął jej ręki i przez moment próbował w ten sposób dodać jej otuchy. - Gdyby coś jeszcze przyszło ci na myśl lub gdybyś miała jakieś pytanie, po prostu zadzwoń.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczna.

- Nie ma za co. - Wstał i wyprostował się. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym pożyczyć konia, dogonić Adama i...

- Albo od razu przyznaj się, że spodobał ci się zapach, który roztacza wokół siebie pewna pani, albo spróbuj znaleźć bardziej przekonującą wymówkę - powiedział Ben.

Nate uśmiechnął się od ucha do ucha, po czym zdjął swój kapelusz z kołka przy tylnych drzwiach.

- Podziękuj Bess za posiłek. Będę w pobliżu.

Kiedy Nate zniknął za drzwiami, Willa zmarszczyła czoło.

- Jaki zapach, jaka pani?

- Twoja najstarsza siostra używa ładnych perfum. Prychnęła, podniosła talerz i postawiła go na ladzie obok zlewu.

- Hollywood? Nate ma chyba na tyle rozsądku, żeby nie dać się na to złapać.

- Odpowiednie perfumy są w stanie każdego, nawet najmądrzejszego mężczyznę pozbawić rozsądku. Nie zjadłaś obiadu.

- Straciłam apetyt. - Zaciekawiona odwróciła się i oparła plecami o ladę. - Czy to właśnie cię pociąga, Ben? Luksusowe perfumy?

- To nikomu nie szkodzi. - Wyprostował się na krześle. - Oczywiście zapach mydła i skóry jest w stanie wywołać dokładnie ten sam efekt. No cóż, kobiecość to potężna i tajemnicza sprawa. - Uniósł do ust filiżankę kawy i bacznie obserwował Willę. - Sądzę jednak, że doskonale o tym wiesz.

- Czy to, jak pachnie czyjaś skóra, może mieć jakiegokolwiek znaczenie, jeśli mieszka się na ranczu?

- Ma cholerne znaczenie. Za każdym razem, kiedy przechodzisz w odległości półtora metra od młodego Billy'ego, oczy wyłazą mu na wierzch.

Lekko się uśmiechnęła, ponieważ rzeczywiście była to prawda.

- On ma osiemnaście lat i jest strasznie napalony. Kiedy powie się przy nim słowo „pies”, natychmiast cała krew odpływa mu z głowy i gromadzi się w łędźwiach. Wyrośnie z tego.

- Jeśli będzie miał choć odrobinę szczęścia, to nie wyrośnie.

Poczuła się nieco lepiej i skrzyżowała nogi w kostkach.

- A swoją drogą, nie wiem, jak wy, mężczyźni, jesteście w stanie to znieść. To, że wszystko, co się w życiu liczy - wasze ego, wasza osobowość i odzwierciedlenie waszych uczuć dynda wam między nogami.

- To jest niestety nasze utrapienie. Może usiądziesz i dopijesz kawę?

- Mam sporo roboty.

- Od kilku dni powtarzasz mi to za każdym razem, kiedy zbliżam się do ciebie na odległość półtora metra. - Podniósł filiżankę, wstał i podszedł do niej. - Jeśli w dalszym ciągu będziesz się zaharowywać i nie zaczniesz jeść, Willo, w końcu padniesz na twarz. - Ujął jej podbródek i przez dłuższą chwilę uważnie się przyglądał. - A szkoda byłoby tak ładnej twarzy.

- Ostatnio coraz częściej nie panujesz nad rękami. - Szarpnęła głową do tyłu, a gdy jego palce mimo to nadal zostały na jej podbródku, za wszelką cenę starała się zachować spokój. - Coś ci dolega, McKinnon?

- Nie. - Aby sprawdzić i siebie, i ją, przejechał palcem po jej wargach. Doszedł do wniosku, że ma cudowne usta, które nie przestają być piękne nawet wtedy, gdy się wścieka. Każdy mężczyzna chciałby je całować. - Wygląda jednak na to, że tobie coś dolega. Zauważyłem, że ostatnio na mój widok strasznie się denerwujesz. Swego czasu jedynie robiłaś się złośliwa.

- Może nie potrafisz odróżnić jednego od drugiego.

- Z całą pewnością potrafię. - Przynął się i przycisnął ją swym ciałem do lady. - Wiesz, o czym myślę, Will?

Miał szerokie barki i długie nogi. Ostatnio aż nazbyt dokładnie poznała jego rozmiary i kształty.

- Nie obchodzi mnie, o czym myślisz.

Ben był człowiekiem przezornym, na dodatek miał doskonałą pamięć, dlatego przycisnął się do niej mocniej, żeby zablokować dobrze wycelowane kolano.

- I tak ci powiem. - Przesunął rękę do tyłu i zgarnął nią rozpuszczone luźno włosy, których dzisiaj nie zaplotła w warkocz. - Twoja skóra cudownie pachnie. Teraz, gdy jestem tak blisko ciebie, wyraźnie to czuję.

- Jeżeli zbliżysz się jeszcze choćby o milimetr, pożałujesz tego.

- Masz takie wspaniałe włosy, mają chyba co najmniej pół metra. Są proste jak druty, a mimo to delikatne jak jedwab. - Wciąż patrzył jej prosto w oczy, równocześnie jednak odchylił jej głowę trochę do tyłu. - Serce bije ci tak mocno. Tu, na szyi widać, jak pulsuje ci krew. - Użył wolnej ręki, żeby delikatnie musnąć to miejsce. - Puls masz taki mocny. Zupełnie jakby chciał ci się wyrwać przez skórę i wyskoczyć prosto do mojej ręki.

Doszła do wniosku, że rzeczywiście może się zdarzyć coś takiego. Na pewno się zdarzy, jeżeli nie zostawi jej na tyle miejsca, by mogła swobodnie oddychać.

- Grasz mi na nerwach, Ben. - Musiała się bardzo starać, żeby jej głos brzmiał równo i spokojnie.

- Próbuję cię uwieść, Willo. - Słodko wymruczał jej te słowa do ucha, a kiedy zaczęła drzeć, uśmiechnął się spokojnie i z ogromną pewnością siebie. - Tak jakoś dziwnie mi się wydaje, że tego właśnie się boisz. Że mógłbym cię uwieść i że z pewnością to zrobię, a ty nie będziesz w stanie nic na to poradzić.

- Odsuń się ode mnie! - Głos jej drżał. Trzęsły jej się również ręce, kiedy uniosła je do piersi.

- Nie. - Ponownie pogładził ją po włosach. - Nie tym razem.

- Nie tak dawno temu sam mi powiedziałeś, że wcale mnie nie chcesz, tak samo jak ja nie chcę ciebie. - Zdumiona zastanawiała się, co się z nią dzieje. Skąd to drzenie i zmieszanie, skąd przyspieszone bicie serca. - Zupełnie nie rozumiem, po co się ze mną drażnisz.

- Myliłem się. Powinienem powiedzieć, że pragnę cię tak samo, jak ty pragniesz mnie. Powiedziałem co innego, bo mnie to złościło. Natomiast ty się tego boisz.

- Nie boję się ciebie. - To, co działo się gdzieś w głębi jej duszy, było przerażające. Ale to nie on był tego przyczyną.

Powtarzała sobie, że to wszystko nie przez niego.

- Udowodnij mi to. - Jego zielone oczy były tak blisko i rzucały jej wyzwanie. - Właśnie tutaj i właśnie teraz.

- Świetnie. - Podjęła jego wyzwanie, a właściwie bała się, co będzie, jeśli go nie podejmie. Chwyciła w garść jego włosy i przyciągnęła go do siebie.

Po chwili zdała sobie sprawę, że ma do czynienia z ustami McKinnona. Bardzo przypominały usta Zacka - były pełne i zdecydowane. Na tym jednak kończyło się wszelkie podobieństwo. Żaden z marzycielskich, delikatnych pocałunków, które pamiętała sprzed wielu lat, nie mógł się równać z tym zaskakującym, gwałtownym, żarliwym i niecierpliwym sposobem, w jaki całował ją Ben. Za pomocą języka i zębów zmuszał ją, by skupiła każdą, nawet najdrobniejszą myśl, Wszystkie uczucia i wszelkie pragnienia w tym miejscu, gdzie spotkały się ich wargi.

Krawędź lady wpijała się jej w plecy. Palce, w których trzymała jego włosy, zacisnęły się w twardą, napiętą pięść. Jego bliskość i zapach potężną falą przeniknęły jej ciało i owładnęły nią bez reszty. Ben nie zostawił jej ani sekundy, by mogła się przed tym obronić.

Wcale zresztą nie miał takiego zamiaru.

Poczuł, że gwałtownie się szarpnęła, po czym zamarła w bezruchu. Zastanawiał się, czy walka, która najwyraźniej toczy się w jej wnętrzu, jest podobna do tego, co dzieje się w

jego duszy. Oczekiwał żaru albo lodowatego chłodu. Tymczasem okazało się, że Willa ma w sobie i to, i to. Spodziewał się zdecydowania i siły, ponieważ nigdy nie można było powiedzieć o niej, że jest słabą kobietą. Miał również nadzieję, że sprawia jej przyjemność, ponieważ usta miała stworzone do dawania i czerpania rozkoszy.

Nie spodziewał się jednak, że znajdzie wszystko to na raz, połączone w piorunującą mieszankę, która uderzy go jak zaciśnięta pięść i przyprawi o zawrót głowy.

- Cholera jasna! - Oderwał od niej usta i spojrzał jej w oczy, takie ogromne i ciemne. Widać było, że jest wyraźnie zaszokowana. - A niech to jasna cholera!

Ponownie odnalazł jej wargi.

Jęk ugrzązł jej gdzieś w krtani. Kiedy położył dłoń na delikatnej szyi, wyczuł to stłumione pulsowanie. Chciał móc całować to miejsce, w którym wyczuwał przyspieszone tętno, ale za nic w świecie nie mógł się nasycić jej ustami. Poza tym bardzo mocno go trzymała, przyciskając się do niego i miażdżąc mu biodra.

Zamknął dłoń na jej jędrnej piersi ukrytej pod flanelową koszulą. To jednak nie wystarczyło, to było zdecydowanie za mało. Jednym szarpnięciem wyciągnął jej koszulę z dzinsów, wsunął pod nią rękę i dotknął gołej skóry.

Kiedy poczuła jego twardą, zgrubiałą i zdecydowaną dłoń na swoim ciele, zdała sobie sprawę, że napięte mięśnie jej ud rozluźniają się, a ucisk w żołądku zamienia się niemal w ból. Jego palce sprawiały, że przepływały przez nią gorące fale, którym nie była w stanie zapobiec.

Nogi uginały się pod nią i, gdyby nie trzymał jej mocno, mogłaby osunąć się na ziemię. To nagle, bezgraniczne poddanie się podnieciło go jeszcze bardziej niż cały żar i ogień.

- Powinniśmy doprowadzić to do końca. - Trzymał dłoń na jej piersi, gładząc ją delikatnie i równocześnie czekając, aż otworzy oczy i spojrzy na niego. - I chociaż bardzo mnie kusi, żeby zrobić to tu i teraz, to jednak podejrzewam, że Bess mogłaby się strasznie wściekać, gdyby zastała nas froterujących podłogę w taki właśnie sposób.

- Puść mnie! - Rozpaczliwie starała się złapać powietrze. - Brak mi tchu. Puść mnie!

- Sam mam z tym pewne kłopoty. Będziemy łapać oddech później. - Pochylił głowę i dotknął jej brody. - Jedźmy do mnie, Willo. Mam na ciebie ogromną ochotę.

- Nic z tego. - Wyrwała się z jego ramion, niepewnym krokiem podeszła do stołu i złapała się mocno blatu, próbując odzyskać równowagę. Musi chwilę pomyśleć. Najgorsze jest to, że teraz potrafi jedynie czuć. - Nie zbliżaj się! — warknęła, kiedy ruszył w jej stronę. - Trzymaj się ode mnie z daleka i pozwól mi odetchnąć.

W jej głosie wyraźnie słyhać było panikę, z powrotem więc oparł się o ladę.

- W porządku. Pooddychaj sobie. To i tak niczego nie zmieni. - Sięgnął po stojącą obok niego filiżankę kawy i w momencie kiedy zauważył, że ręce mu drżą, odstawił ją z powrotem. — Sam nie bardzo wiem, co z tym fantem zrobić. - Świetnie. Po prostu świetnie. - Zdążyła się już trochę uspokoić, wyprostowała się i spojrzała mu w oczy. - Ponieważ miałeś już w łóżku przynajmniej tuzin kobiet, wydaje ci się, że i mnie tam bez trudu zaciągniesz. Byłabym łatwą zdobyczą, ponieważ nigdy wcześniej tego nie robiłam. - Mam na swym koncie najwyżej dziesięć kobiet - powiedział swobodnie. - I wcale nie muszę... - nagle urwał, oczy zaokrągliły mu się ze zdumienia i przez moment stał z szeroko otwartymi ustami. - Czego nigdy nie robiłaś? Uściślij to! - Doskonale wiesz, czego. Nie muszę uściślać. - Nigdy? - Wsunął ręce do kieszeni. - Naprawdę nigdy? Nawet na niego nie spojrzała, spodziewając się, że Ben zaraz wybuchnie śmiechem. Wówczas miałyby wspaniały powód, żeby go zabić.

- Myślałem, że ty i Zack... - ponownie zamarł, zdając sobie sprawę, że absolutnie nie powinien mówić czegoś takiego.

- Czy on ci to powiedział? - Jej oczy powoli zamieniły się w szparki. Wyraźnie szykowała się do skoku.

- Nie, on nigdy... nie. - Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, Ben wyjął ręce z kieszeni i przejechał nimi po włosach. - Po prostu sądziłem, że tak, to wszystko. Przypuszczałem, że ty...

wcześniej czy później. No cóż, do diabła, Willo, jesteś przecież dorosłą kobietą. W związku z tym, oczywiście, sądziłem, że...

- Śpię z każdym, kto nawinie mi się pod rękę?

- Nie, może nie tak. - Podajcie mi łopatę, pomyślał. Jestem zmęczony kopaniem tej dziury gołymi rękami. - Jesteś piękną kobietą... - zaczął i skrzywił się z niesmakiem. Zdał sobie sprawę, że mógłby bardziej elegancko wybrnąć z sytuacji.

Udałoby mu się to na pewno, gdyby tak bardzo nie plątał mu się język. - Po prostu zakładałem, że masz w tej materii pewne doświadczenie, - No cóż, prawdę mówiąc, nie mam. - Gniew gdzieś wyparował, natomiast zaczęła się czuć lekko zakłopotana. - I tylko ode mnie zależy, kiedy i czy w ogóle będę chciała to zmienić, a także komu pozwolę, by to zmienił.

- Oczywiście. Nie naciskałbym tak bardzo, gdybym zdawał sobie z tego sprawę...

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Stała zarumieniona i marszczyła czoło, a jej cudowne usta wciąż jeszcze nosiły ślady jego pocałunków.

- A może naciskałbym nieco inaczej. Po prostu myślałem dużo o tobie i zastanawiałem się, jakby mi było z tobą w łóżku.

Popatrzyła na niego podejrzliwie. - - Dlaczego?

- Sam nie wiem, do jasnej cholery. Po prostu tak było. Teraz, kiedy już dotknąłem twego ciała, muszę przyznać, że jeszcze częściej będę o tym myślał.

Jesteś miła w dotyku, Willo. - Odzyskał dobry humor, a na jego ustach pojawił się grymas. - Stwierdzam również, że jak na nowicjuszkę fantastycznie oddawałaś moje pocałunki.

- Nie wyobrażaj sobie, że jesteś pierwszym mężczyzną, z którym się całuję. Mam także nadzieję, że nie będziesz ostatnim.

- To wcale nie znaczy, że nie możesz na mnie trochę poćwiczyć, gdybyś na przykład miała na to ochotę. - Przeszedł przez kuchnię i z wieszaka na drzwiach zdjął kapelusz. Jeżeli którekolwiek z nich zauważyło, że ominął ją szerokim łukiem, żadne nie skomentowało tego faktu. - W końcu po to są przyjaciele, no nie?

- Bez trudu panuję nad swoimi zachciankami.

- Skoro tak mówisz - powiedział z przekonaniem i włożył kapelusz na głowę. - Ale wydaje mi się, że ja będę miał cholerne problemy z panowaniem nad swoimi, zwłaszcza jeśli chodzi o ciebie.

Otworzył drzwi i rzucił jej ostatnie, długie spojrzenie.

- Masz fantastyczne usta, Willo. Naprawdę fantastyczne.

Zamknął drzwi i włożył na siebie kurtkę. Kiedy okrążał dom, żeby dotrzeć do łazika, w pewnym momencie aż gwizdnął z przejęcia. W tym momencie dotarło do jego świadomości, że migdalenie się w kuchni miało dodatkową korzyść, bo oderwało ich myśli od kłopotów wiszących nad Mercy. Ale na tym nie koniec.

Zdał sobie sprawę, że to, co dzieje się w jego duszy, co tak gwałtownie i boleśnie dręczy jego ciało, zakłóci mu spokój na długo. To wszystko przez nią, tylko przez nią. A to, że ona nie wyobraża sobie tego, co mogliby oboje przeżyć w ciemnościach nocy, napełniło go jeszcze większym strachem.

I równocześnie podniecało.

Zawsze wybierał kobiety, które znały zasady gry, wiedziały, czego się mogą spodziewać i co w zamian powinny dać. Nie oczekiwały od niego niczego więcej niż sympatycznego, przyjemnego seksu, który nikogo nie rani i nie pociąga za sobą żadnych zobowiązań.

Usiadł za kierownicą, spojrział w stronę domu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Z Willą nie będzie to takie proste, zwłaszcza gdyby był tym pierwszym.

Wyjechał z Mercy, nie mając bladego pojęcia, jak dalek jest wszystko się potoczy. Wierzył

jednak święcie, że to właśnie Ben McKinnon będzie tym facetem, z którym Willa pójdzie po raz pierwszy do łóżka.

Kiedy przejeżdżał obok budynku dla pracowników rancza, przypomniało mu się, ile przeszła w ciągu ostatnich kilku tygodni. Każdy na jej miejscu z pewnością by się załamał. Każdy, ale nie Willa.

Ciężko westchnął i skierował się w stronę własnego rancza. Będzie stał u jej boku, niezależnie od tego, czy jej się to spodoba, czy nie. A w tej konkretnej sprawie nie będzie się spieszył. Postara się również postępować niezwykle delikatnie.

Będzie jednak stał u jej boku.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pierwszy śnieg pojawił się bardzo wcześnie. Spadł całkiem niespodziewanie, okrył pastwiska grubą, białą warstwą i przywalił płotki, mające chronić przed zaspami. Ludzie pracowali dzień i noc. Musieli dopilnować, żeby bydło - zbyt głupie, by dokopać się przez śnieg do trawy - miało co jeść i było zadbane.

Listopad okazał się bardzo niewyraźną granicą między jesienią a zimą, i nim dobiegł końca, dolina była całkowicie zasypała śniegiem.

W Big Sky i innych miejscowościach wypoczynkowych tłumnie pojawili się narciarze. Szusowali po stokach gór albo w ciepłe kominka popijali brandy. Tess przez moment zastanawiała się, czy na dzień lub dwa nie przyłączyć się do nich. Nie bardzo lubiła jazdę na nartach, natomiast dużo większą pokusę stanowiła brandy. W każdym razie byli tam ludzie, a wśród nich nie brakowało mężczyzn, można więc było porozmawiać, a nawet trochę poplirtować. Krótko mówiąc, pokręcić się trochę w cywilizowanym świecie.

Może w związku z tym warto było trochę się poświęcić, przypiąć dwie deski do nóg i pojeździć na nich z góry.

Niemal bez przerwy prowadziła rozmowy ze swoim agentem. Wykorzystywała Iregę bardziej jako pomost łączący ją z normalnym światem niż jako swego reprezentanta. Praca nad nowym scenariuszem wyraźnie posuwała się do przodu, poza tym Tess szczegółowo odnotowywała w swym dzienniku każdy dzień spędzony w Mercy.

Co prawda uważała, że codzienne zajęcia na ranchu nikogo nie obchodzą, mimo to przelewała na papier liczne uwagi i spostrzeżenia.

Do jej obowiązków nadal należało codzienne zajmowanie się kurami. Tu również robiła postępy i teraz wyciąganie jajka spod gładzącej kury rzadko kończyło się dziobnięciem. Prawdę mówiąc, była z tego bardzo zadowolona.

Przeżyła jednak chwile prawdziwego zwątpienia i grozy.

Pewnego dnia przechadzała się za klatkami i wpadła tam na Bess, która szybko, wprawnie i bezwzględnie ukręcała głowę jednej z kur.

Potem kurnik przez dobrą chwilę rozbrzmiewał nieprawdopodobnym jazgotem, chociaż nie wzniecały go wcale kury. Dwie podopieczne Tess leżały martwe na podłodze, a nad nimi dwie kobiety wrzeszczały na siebie jak opętane.

Tego wieczoru Tess nie zjadła kolacji, na którą podano drób w cieście, ale po tej przygodzie przestała obrzucać swe skrzydlate przyjaciółki wyzwiskami.

Każdego dnia korzystała z krytego basenu, który znajdował się w południowej części

domu i miał przeszkloną jedną ścianę. Doszła do wniosku, że to wspaniałe przeżycie - móc spoglądać na śnieg, pływając się równocześnie w prywatnym jeziorze, nad którym unoszą się obłoki pary.

Mimo to codziennie rano, zaraz po przebudzeniu, starała się odwracać oczy od śniegu leżącego za oknami, marząc o palmach i lunchu „U Mortona”.

Z maniackim uporem kontynuowała naukę jazdy konnej. Na całe szczęście teraz po skończonej jeździe nie była już cała obolała ani nie jęczała, zsiadając z końskiego grzbietu. Poza tym zaczęła darzyć przyjaźnią Mazie, klacz, którą przydzielił jej Adam. Mimo to nie lubiła jeździć pod wiatr, nie znosiła również, gdy było bardzo zimno.

- Jezu! Jezu Chryste! - Tess wyszła na zewnątrz i skurczyła się, mimo że miała na sobie grubą wełnianą kurtkę. W tym momencie serdecznie żałowała, że nie włożyła na siebie dwóch warstw ciepłej bielizny. - Drapie w gardle, jakby wdychało się potłuczone szkło. Jak oni są w stanie to wytrzymać?

- Adam mówi, że dzięki temu bardziej ich potem cieszy wiosna.

Walcząc z wiatrem, Lily starannie owinęła szalik wokół szyi.

Mimo wszystko uwielbiała zimę. Imponował jej rozmach, majestat i potęga tej pory roku. Uwielbiała patrzeć na wyostrzone przez biel śniegu szczyty, wydawało jej się, że podziwia jakąś gigantyczną rzeźbę, ostro wznoszącą się ku niebu. Ciemny pas drzew rosnących na podgórzu spowity był w piękną puchową draperię, a srebrzyste skały i krawędzie swoimi cieniami i kontrastami przywodziły na myśl fałdy jakiejś bajecznej zasłony.

- Tu jest tak pięknie. Ciągące się bez końca kilometry bieli.

Wspaniałe sosny. Niebo tak błękitne, że aż kłuje w oczy. - Uśmiechnęła się do Tess. - W niczym nie przypomina to zimy w mieście.

- Nie mam zbyt dużego doświadczenia, jeśli chodzi o zimę i śnieg, ale muszę przyznać, że jest w tym coś absolutnie oryginalnego i niepowtarzalnego - przyznała Tess, wkładając grube rękawice.

Była zadowolona, że przynajmniej podwórze nie jest jedną ogromną zaspą. Ścieżki między zagrodami a wybiegami dla koni były starannie odśnieżone. Drogi przecinające ranczo również były przejezdne. To Billy przymocował pług do jednego z samochodów i w ten sposób oczyścił je ze śniegu. Można było przypuszczać, że znakomicie się przy tym bawił.

Tess zauważyła, że jej oddech zamienia się tuż przed nią w delikatny obłoczek, kusilo ją, żeby znowu trochę ponarzekać, chociaż tu było tak pięknie, bardzo zimno, ale pięknie.

Niesamowity błękit nieba wyglądał krucho i delikatnie, jakby w każdej chwili miał runąć na dół. Góry, które wbijały się w nie ostrymi turniami, były niezwykle wyraźne, jakby je ktoś namalował.

Promienie słońca lśniącoymi iskierkami tańczyły po olbrzymich płaszczyznach śniegu, a każdy podmuch wiatru unosił w górę drobniutkie płatki, tworzył z tych wirujących promyczków zwiewne chmurki i przerzucał je z miejsca na miejsce.

Palmy i nadmorskie plaże wydawały się oddalone o lata świetlne.

- Wiesz może, co ona dzisiaj robi? - Tess wyjęła okulary słoneczne i włożyła je na nos.

- Willa? Wyjechała wcześniej rano jednym z pikapów. Tess zasępiła się.

- Sama?

- Prawie zawsze jeździ sama.

- Szuka guza - powiedziała Tess półgłosem i wsadziła ręce do kieszeni. - Pewnie sądzi, że nikt jej nie da rady. Jeżeli morderca tego człowieka wciąż jeszcze kręci się w pobliżu...

- Ja uważam, że już od dawna go tu nie ma, a ty? - Przerazona Lily rozejrzała się bacznie dookoła, zupełnie jakby szalencie mógł się nagle wynurzyć z zasy jak uśmiechnięty, złośliwy gnom. - Policja niczego nie znalazła. Myślę, że musiał to być ktoś, kto obozował w górach. Ale przecież przy takiej pogodzie nie wytrzymałby tam długo. Minęło już kilka tygodni od czasu... od czasu, kiedy to wszystko się zdarzyło.

- Tak. Masz rację. - Tess wcale nie była tego tak bardzo pewna, nie chciała jednak narażać na dodatkowe wstrząsy i tak napiętych do granic wytrzymałości nerwów Lily. - Nikt nie wytrzymałby w górach przy tak niskich temperaturach, a zwłaszcza jakiś wędrowny czubek. - Na widok łązika, który od zachodu zbliżał do zabudowań, zmrużyła oczy. - O wilku mowa.

- Może gdybyś... - Lily przerwała i potrząsnęła głową.

- Proszę, dokończ. Może gdybym co?

- Może gdybyś nie starała się za wszelką cenę wytrącać jej z równowagi...

- Och, wcale się tak bardzo nie staram. - Tess niecierpliwie skrzywiła usta. - Prawdę mówiąc, przychodzi mi to bez najmniejszego wysiłku. - Kiedy łązik stanął obok, odwróciła się. - Wyjechałaś, żeby przeprowadzić badania meteorologiczne?

- Jeszcze tutaj jesteś? Albo mi się wydawało, albo wybierałaś się do Big Sky. Miałaś przecież zamiar pomoczyć się w jacuzzi i urządzić polowanie na mężczyzn.

- Cały czas o tym myślę.

Willa przeniosła uwagę na Lily.

- Jeżeli Adam chce cię wziąć na przejażdżkę, jedźcie teraz i szybko wracajcie. Zbliża się zamek. - Spojrzała na niebo. Śnieżne chmury nakładała się na siebie grubymi warstwami.

- Możesz mi powiedzieć, że widziałam stado wielkouchych jeleni północnoamerykańskich. Są mniej więcej dwa i pół kilometra stąd w kierunku północno - zachodnim. Może chciałabyś je zobaczyć.

- Oczywiście. - Lily uderzyła się po kieszeni. - Wzięłam ze sobą aparat fotograficzny. Może przejechałabyś się z nami?

Bess przygotowała nam dużo kawy.

- Nie, mam jeszcze sporo roboty. A później przyjeżdża Nate.

- Tak? - Tess uniosła brwi i starała się, by jej głos brzmiał całkiem naturalnie. - Kiedy? Willa nacisnęła sprzęgło i wrzuciła jedynekę.

- Później - powtórzyła i odjechała w stronę domu. Doskonale zdawała sobie sprawę, że Tess próbuje poderwać Nate'a, ale nie miała zamiaru jej w tym pomagać. Jej zdaniem Nate z pewnością nie czułby się najlepiej u boku sprytnego hollywoodzkiego wampa.

Być może rzeczywiście wpadła mu w oko, ale nawet jeśli tak się stało, to tylko dlatego, że mężczyźni zawsze głupieją na widok pięknej, dobrze zbudowanej kobiety. Willa wzięła z siedzenia termos z kawą i wysiadła z łazika. Z lekkim ukłuciem zazdrości musiała przyznać, że Tess jest piękna i ma bardzo kobiecą figurę. Oprócz tego jest niezwykle śmiała i wygadana. Nie brak jej pewności siebie, na dodatek doskonale wie, w jaki sposób posługiwać się własną kobiecością. Dzięki temu doskonale radzi sobie z mężczyznami.

Willa zastanawiała się, jak by to było, gdyby miała matkę, od której mogłaby się nauczyć, jak być kobietą. Gdyby wychowywała się w innym otoczeniu, wśród kobiet rozprawiających wiecznie o fryzurach i modnych strojach, o odcieniach szminek i rodzajach perfum. Czy wówczas byłaby podobna do Tess?

Kiedy weszła do domu i zdejmowała rękawiczki, próbowała przekonać samą siebie, że takie życie w ogóle jej nie interesuje.

Zawsze uważała, że te babskie sprawy to potworne zawracanie głowy i strata czasu. Mimo to zaczynała podejrzewać, że, być może, umiałaby wówczas postępować z mężczyznami, czułaby się przy nich nieco pewniej i swobodniej.

Chwilami bardzo jej tego brakowało. Przynajmniej w stosunku do jednego, konkretnego mężczyzny.

Zrzuciła z siebie płaszcz i kapelusz, po czym zabrała termos z kawą na piętro, do swego biura. Niczego jeszcze tu nie zmieniła. Nadal było to królestwo Jacka Mercy'ego, pełne

myśliwskich trofeów i karafek z whisky. Zawsze czuła się nieswojo, kiedy musiała tu wejść i zająć miejsce za biurkiem.

Zastanawiała się, czy to z powodu żalu? A może strachu? Wcale nie była tego pewna. Natomiast samo pomieszczenie nadal wywoływało w niej niemiłe wspomnienia i sprawiało, że czuła się bardzo nieszczęśliwa.

Rzadko przychodziła tutaj za życia ojca. Jeśli ją do siebie wzywał, tradycyjnie wskazywał jej krzesło po drugiej stronie biurka, a potem wygłaszał reprimendę albo przydzielał jej nowe obowiązki.

Wciąż jeszcze doskonale pamiętała go siedzącego za tym właśnie biurkiem. Ścisnął w palcach cygaro, jeżeli natomiast było to popołudnie i dzień pracy dobiegał końca, na bibularzu niezmiennie stała szklaneczka whisky.

Mówił do niej „dziewczyno”. Rzadko używał jej imienia. „Tym razem dokładnie wszystko spierdoliłaś, dziewczyno”.

„Dziewczyno, zacznij w końcu przykładać się do roboty”.

„Lepiej poszukaj sobie męża, dziewczyno, i zacznij rodzić dzieci. Inaczej nie ma z ciebie żadnego pożytku”.

Willa potarła skronie i zaczęła się zastanawiać, czy w tym pokoju spotkała się kiedykolwiek z najdrobniejszym odruchem życzliwości. Usiłowała znaleźć w pamięci choćby jeden moment, choćby jeden przypadek, kiedy weszła tu, a on powitał ją z uśmiechem na ustach. Choćby jeden jedyny raz, kiedy powiedział, że jest dumny z tego, co zrobiła. Nawet gdyby to była zupełnie błaha sprawa.

Jednak nie była w stanie przypomnieć sobie niczego takiego.

Jack Mercy nie uśmiechał się ani nie mówił miłych słówek.

Zastanawiała się, co powiedziałby dzisiaj, gdyby wszedł do tego biura i zobaczył ją za swoim biurkiem, gdyby wiedział, co przydarzyło się jednemu z jego ludzi na jego ziemi w czasie, kiedy ona kierowała ranczem.

„Spierdoliłaś sprawę, dziewczyno”.

Na moment oparła głowę na dłoniach i próbowała znaleźć odpowiedź na ten zarzut. Rozsądek mówił jej, że w żaden sposób nie przyczyniła się do tego okrutnego morderstwa. W głębi duszy jednak czuła się za nie odpowiedzialna.

- Było, minęło - mruknęła. Otworzyła szufladę i wyjęła książki. Chciała je przejrzeć i dokładnie sprawdzić ilość sztuk bydła oraz jego wagę. Skontrolować, jak często zmieniane były pastwiska, ile zużyto lekarstw i ile zebrano ziarna. Chciała jeszcze raz upewnić się, czy każda cyfra jest na swoim miejscu i czy Nate, gdy przyjedzie dzisiaj i sprawdzi rachunki, nie

znajdzie jakiegoś błędu.

Próbowała nie myśleć o tym, że ktoś z zewnątrz ma prawo kontrolować działalność Mercy i że jest to niezwykle upokarzające. Zabrała się do roboty.

Mniej więcej trzy kilometry od domu Lily z ogromnym zapalem robiła zdjęcia niewielkiego stada wielkouchych jeleni północnoamerykańskich. Roześmiała się, widząc ich kudłate, zimowe futra i znudzony wzrok. Odbitki najprawdopodobniej będą nieostre. Wiedziała, że nie odziedziczyła po swej matce talentu do posługiwania się aparatem fotograficznym, ale i tak te zdjęcia sprawią jej ogromną radość.

- Przepraszam. - Zawiesiła aparat na szyi. - Zbyt się z tym wszystkim grzebię. Bardzo mnie to wciągnęło.

- Mamy jeszcze trochę czasu. - Adam spojrzał na niebo z uwagą, po czym obrócił się w siodle w stronę Tess. - Zaczynasz dobrze jeździć. Robisz postępy.

- To raczej zasługa mojego instynktu samozachowawczego - stwierdziła, mimo to ogarnęła ją prawdziwa duma.

- Wolałabym już nigdy nie być tak obolała, jak zdarzało mi się to przez pierwsze kilka dni. Poza tym ruch na świeżym powietrzu zawsze dobrze mi robił. - Nie, to nie o to chodzi. Po prostu widzę, że zaczyna cię to cieszyć. - No dobrze, rzeczywiście bardzo polubiłam jazdę konną. Jeśli jednak jeszcze trochę się oziębi, przestanie mi to sprawiać przyjemność aż do wiosny.

- Na pewno będzie jeszcze zimniej. Wtedy twoja krew będzie wolniej krążyć w żyłach, a twój umysł stanie się dużo sprawniejszy. - Pochylił się do przodu i poklepał swego wierzchowca po szyi. - Wówczas przepadniesz z kretesem. Jeśli któregoś dnia nie wyjedziesz na konną przejażdżkę, będzie ci tego bardzo brakowało.

- Na razie brakuje mi spacerów po Bulwarze Zachodzącego Słońca. Mimo to jakoś daję sobie z tym radę. Roześmiał się.

- Kiedy z powrotem znajdziesz się na Bulwarze Zachodzącego Słońca, bez przerwy będziesz myślała o niebie nad Montaną i o naszych górach. Wówczas tu powrócisz.

Zaintrygowana zsunęła na czubek nosa okulary słoneczne, pochyliła głowę i spojrzała na niego znad oprawek.

- Co to jest? Połączenie indiańskiego mistycyzmu z wróżbiarstwem?

- Nic z tych rzeczy. Odrobina psychologii. Mogę skorzystać z twego aparatu fotograficznego, Lily? Chciałbym tobie i Tess zrobić zdjęcie.

- Bardzo proszę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? - skierowała pytanie do Tess.

- Nigdy nie odwracam się plecami do aparatu fotograficznego.

- Podeszła bliżej, najdelikatniej jak umiała obróciła konia i stanęła obok Lily. - Może być?

- Oczywiście.' - Uniósł aparat i ustawił ostrość. - Dwie piękne kobiety na jednym zdjęciu. - Dwukrotnie pstryknął. - Kiedy na nie spojrzycie, stwierdzicie, że jesteście do siebie bardzo podobne. Macie taki sam owal twarzy, tę samą karnację, nawet bardzo podobnie trzymacie się w siodle.

Tess odruchowo wyprostowała plecy. Od dłuższego czasu czuła, że darzy Lily pewną sympatią, wciąż jednak nie była gotowa na traktowanie jej jak siostry.

- Daj mi aparat, Adamie. Zrobię zdjęcie tobie i Lily. Magnolia z Wirginii i Szlachetny Dzikus.

W momencie, kiedy te słowa wyrwały się jej z ust, wściekła na samą siebie paskudnie się skrzywiła.

- Przepraszam. Zazwyczaj myślę o ludziach jak o określonych typach charakteru. Nikogo nie miałam zamiaru obrazić.

- Nie obraziliśmy się.

Adam podał jej aparat. Lubił ją. Podobało mu się, w jaki sposób zdobywa wszystko, na co ma ochotę, i mówi, o czym myśli. Bardzo wątpił, czy zrozumiałaby, gdyby się przyznał, że te same dwie cechy najbardziej podobają mu się u Willi.

- A jak myślisz o sobie?

- Płytką Dziewczyna. To dlatego moje scenariusze mają powodzenie. Proszę o uśmiech.

- Podobają mi się twoje filmy - powiedziała Lily, gdy Tess opuściła aparat. - Są ekscytujące i zabawne.

- W sumie wszystkich bawią w takim samym stopniu.

Uważam, że nie ma w tym nic złego. - Oddała aparat Lily. - Jeżeli pisze się dla ogółu, trzeba zapomnieć, że ma się choć odrobinę inteligencji. Wszystko musi być proste, łatwe i przyjemne.

- Nie masz zbyt wielkiego szacunku dla samej siebie i swej publiczności. - Adam pobiegł wzrokiem w kierunku drzew i bacznie się czemuś przyglądał.

- Może rzeczywiście nie, ale... - Kiedy zauważyła, gdzie patrzy Adam, skierowała tam swój wzrok. - Tam, wśród drzew, coś jest. Coś się poruszyło.

- Tak, wiem. Niestety, jesteśmy pod wiatr i nie czuję żadnego zapachu. - Od niechcienia położył dłoń na strzelbie.

- Niedźwiedzie teraz śpią prawda? - Tess zwilżyła wargi i próbowała nie myśleć o człowieku z nożem. - To chyba raczej nie jest niedźwiedź.

- Czasem się budzą. Może pojechałybyście w stronę domu? Ja tymczasem zobaczę, co to jest.

- Nie możesz tam jechać sam. - Lily instynktownie wyciągnęła rękę i chwyciła cugle jego konia. Ten gwałtowny ruch sprawił, że wierzchowiec Adama poruszył się i strząsnął z siebie śnieg.

- Nie możesz. To może być wszystko. Tam... - Nic nie ma - powiedział łagodnie i uspokoił konia. Kilka pojedynczych płatków śniegu zawirowało w powietrzu. Doszedł do wniosku, że za chwilę zaczną padać gęsty śnieg. - Mimo to lepiej sprawdzę.

- Lily ma rację. - Drżąc od stóp do głów, Tess wpatrywała się w linię drzew. - Poza tym zaczyna padać. Lepiej jedźmy. I to od razu.

- Nie mogę. - Adam wbił wzrok w Lily. - Najprawdopodobniej nic tam nie ma. - Czując drżenie swego konia, zdawał sobie sprawę, że jest zupełnie inaczej, starał się jednak mówić bardzo spokojnie. - Ale niecałe dwa kilometry stąd został zamordowany człowiek. Dlatego muszę zobaczyć. Wracajcie na rancho, a ja za chwilę was dogonię. Znacie drogę. - Tak, ale...

- Proszę, zróbcie to dla mnie. Przyjadę zaraz za wami. Wiedząc, że nie zdoła go przekonać, Lily odwróciła konia.

- Trzymajcie się razem - powiedział Adam do Tess i ruszył w stronę drzew.

- Nic mu nie będzie. - Zapewniając o tym, Tess ledwo zdołała opanować szczykowanie zębami. - Do diabła, Lily, to najprawdopodobniej była tylko jakaś wiewiórka. - Sama jednak doszła do wniosku, że skoki maleńkiej wiewiórki po drzewie czy nawet po śniegu nie byłyby tak wyraźnie widoczne. - Albo łoś, czy coś w tym rodzaju. Potem będziemy musiały trochę podokuczać Adamowi, że usiłował ratować damy przed niebezpiecznym, drapieżnym łośmiem.

- A jeżeli to wcale nie jest łoś ani żadne tego typu zwierzę? - Spokojny, nieco rozwlekły głos Lily załamał się. - A jeśli policja się myli, a wraz z nią także my, i morderca wciąż kręci się w okolicy? - Zatrzymała konia. - Nie możemy zostawić Adama samego.

- Ma przecież strzelbę - zaczęła Tess.

- Nie mogę zostawić go samego. - Drżąc na myśl, że przeciwstawia się jego poleceniu, Lily zawróciła konia i ruszyła z powrotem.

- Hej, nie... Do diabła! To byłaby wspaniała scena, gdybym zamieściła ją w scenariuszu - mruknęła Tess i pokłusowała za nią. - Wiesz, jeśli przez pomyłkę nas postrzeli, będziemy tego bardzo żałowały.

Lily jedynie potrząsnęła głową, skręciła z drogi i skierowała się w stronę gór, podążając śladami Adama.

- Gdybyś musiała szybko stąd zmykać, wiesz, jak wrócić?

- Tak, sądzę że tak, ale... Jezu Chryste, to jest szaleństwo.

Lepiej po prostu...

W powietrzu rozległ się huk wystrzału, a dalekie echo odpowiedziało jak grzmot. Zanim Tess zdążyła chwycić się kurczowo spłoszonego wierzchowca, Lily na łeb na szyję rzuciła się między drzewa.

Nate nie przyjechał wcale sam. Zaraz za nim pojawił się Ben, który przywiózł ze sobą bratową i małą bratanicę. Shelly, nie przerywając paplania, weszła do domu i natychmiast zaczęła przewijać dziecko.

- Wiem, że powinnam najpierw zadzwonić, ale kiedy Ben powiedział, że właśnie się tu wybiera, po prostu chwyciłam Abigail i wskoczyłam do łazika. Umieramy z nudów, brakuje nam towarzystwa. Wiem, że macie kilka spraw do załatwienia, ale kiedy będziecie zajęci, Abby i ja możemy po prostu porozmawiać z Bess. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. Cieszę się, że was widzę.

Zawsze było miło spotkać się z wiecznie uśmiechniętą i radośnie paplącą Shelly. Willa uważała, że Shelly idealnie pasuje do Zacka. Stanowili fantastyczną parę - oboje byli pogodni i pełni życia.

Mała radośnie wierzgała nóżkami na sofie, tymczasem Shelly zdjęła kapelusz i wypuściła spod niego swe jasne jak słońce, krótkie włosy. Dziewczęca fryzura bardzo pasowała do jej małej twarzy i drobniutkiej figury. Miała oczy w kolorze górskiej mgły.

- No cóż, nie zostawiłam Benowi najmniejszego wyboru, ale przyrzekam, że dopóki nie skończycie, będę trzymać się na uboczu.

- Nie bądź głupia. Od kilku tygodni nie miałam okazji pobawić się z małą. Od tego czasu tak urosła. Prawda, że urosłaś, kochanie? - Willa z ogromną radością wzięła Abby na rękę i uniosła ją wysoko nad głowę. - Widzę, że jej oczy powoli zmieniają kolor i robią się zielone.

- Będzie miała oczy McKinnonów - zgodziła się Shelly. - Myślałam, że wykaże choć odrobinę wdzięczności za to, że przez dziewięć miesięcy nosiłam ją w brzuchu, a tymczasem ona jest tak podobna do ojca.

- Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że ma twoje uszy. - Willa przytuliła Abby i pocałowała ją w czubek nosa.

- Naprawdę? - Shelly natychmiast się ożywiła. - Wiesz, już przesypia całą noc. A ma zaledwie pięć miesięcy. Kiedy słyszałam wszystkie te opowieści o ząbkowaniu i związanych z tym problemach, myślałam, że... - Uniosła do góry obie ręce, przerywając w ten sposób potok własnych słów. - No tak, to cała ja. Przyjechałam i obiecałam, że nie będę przeszkadzać.

Zack mówi, że jestem w stanie zagadać każdego na śmierć.

- Jeśli o to chodzi, Zack, gdyby tylko chciał, byłby w stanie bez trudu cię pokonać - wyjaśnił Ben. - Dziwi mnie, że Abby, mając tak gadatliwych rodziców, nie zaczęła mówić, gdy tylko się urodziła. - Uniósł rękę, uszczypnął małą w policzek i uśmiechnął się do Willi. - Jest cudowna, prawda?

- Poza tym jest niezwykle słodka, co oznacza, że w jej żyłach płynie nie tylko krew McKinnonów. - Willa niechętnie oddała gaworzące dziecko matce. - Bess jest w kuchni, Shelly. Wiem, że będzie szczęśliwa, mogąc zobaczyć Abby.

- Mam nadzieję, Will, że kiedy już się ze wszystkim uporacie, znajdziecie chwilę czasu i przyłączycie się do nas. - Shelly położyła dłoń na ramieniu Willi. - Sarah chciała również ze mną przyjechać, ale musiała zostać w domu. Myślmy bez przerwy o tobie.

- Wkrótce zejść na dół. Może uda ci się namówić Bess, żeby poczęstowała cię ciastem, które przygotowała na kolację.

Wszystko jest w biurze - powiedziała do panów i ruszyła schodami na piętro.

- Will, chyba rozumiesz, że ze względów czysto formalnych musimy to zrobić - zaczął Nate. - Wymagają tego warunki postawione w testamencie.

- Wiem o tym, nie ma sprawy. - Mimo to, kiedy wprowadzała ich do biura, czuła, że kark jej zupełnie zeszywniał.

- Nie widzieliśmy twoich sióstr.

- Wyjechały z Adamem na konną przejażdżkę - powiedziała Willa, siadając za biurkiem. - Sądzę, że lada chwila powinni wrócić. Hollywood nie przywykła do takich chłódów i jest w stanie wytrzymać na zewnątrz najwyżej godzinę.

Nate usiadł i rozprostował nogi.

- Z tego, co widzę, wciąż łączą was nienaganne stosunki.

- Staramy się nie wchodzić sobie w drogę. - Wręczyła mu księgę. - To nam nawet nieźle wychodzi.

- Wygląda na to, że zima będzie bardzo długa. - Ben oparł się o brzeg biurka. - Powinniście zawrzeć ze sobą pokój albo po prostu się wystrzelać. Wówczas przynajmniej byłby święty spokój.

- Twoja druga propozycja nie jest całkiem uczciwa. Ona nie potrafi nawet odróżnić winchestera od łopaty.

- Muszę ją w takim razie tego nauczyć - skomentował Nate, równocześnie przebiegając wzrokiem cyfry. - Co z resztą? Czy wszystko jest w porządku?

- Raczej tak. - Willa była zbyt zdenerwowana, by usiąść, w związku z tym oddaliła się od biurka. - Z tego, co wiem, ludzie są przekonani, że morderca Pikle'a już dawno stąd zniknął. W każdym razie policja nie potrafi udowodnić, że gdzieś tu jest. Nie znaleźli żadnych śladów, nie mają broni, brak jakichkolwiek motywów.

- Czy ty też tak samo sądzisz? - zapytał ją Ben. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Chcę tak sądzić. I chyba będę musiała. Minęły już trzy tygodnie.

- Ale to wcale nie znaczy, że możesz przestać mieć się na baczności - mruknął Ben, a Willa przekrzywiła głowę. - Nie mam wcale takiego zamiaru. I to nie tylko pod tym względem.

- Wygląda na to, że wszystko jest w idealnym porządku. - Nate podsunął Benowi książkę. - Biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności, możecie uznać mijający rok za bardzo korzystny. - Wydaje mi się, że następny będzie jeszcze lepszy. - Przerwała. Nie odchrząknęła, mimo że bardzo chciała to zrobić. - Gdy nadejdzie wiosna, mam zamiar zasiać tutaj naturalną trawę. W tym względzie nigdy nie zgadzaliśmy się z ojcem. Wychodzę jednak z założenia, że przecież początkowo to właśnie trawa rosła na tych terenach, więc jedynie wrócilibyśmy do pierwotnego stanu.

Ben zdziwiony zerknął na nią. Nigdy nie słyszał, by mówiła o jakichkolwiek zmianach, jeśli chodzi o Mercy.

- Zrobiliśmy to w Three Rocks ponad pięć lat temu i dało to bardzo dobre rezultaty.

Ponownie spojrzała na Bena.

- Wiem o tym. Kiedy już obsiejemy ten teren, będziemy mogli częściej zmieniać pastwiska. Każde pastwisko będzie używane mniej więcej przez trzy tygodnie. - Chodząc tam i z powrotem po biurze nie zauważyła nawet, że Ben odsunął od siebie książkę i bacznie jej się przyglądał. - Ojca interesowało hodowanie jak największych okazów bydła. Ja natomiast chciałabym postawić na jak najlepszą jakość. Od kilku lat w okresie cielienia się krów mamy mnóstwo kłopotów. Przychodzące na świat cielęta są za duże. Zmiany, które chcę wprowadzić, mogą początkowo zmniejszyć nasze zyski, ja jednak patrzę na to z dalszej perspektywy.

Otworzyła termos, który wcześniej postawiła na biurku, i nalała sobie prawie zimną kawę.

- Rozmawiałam z Woodem na temat uprawy zbóż. Ma kilka pomysłów, których papa nie popierał. Sądzę, że można trochę poeksperymentować. Na mniej więcej sześciuset akrach rokrocznie wysiewamy zboże. Chciałabym oddać Woodowi kontrolę nad tym obszarem i zostawić mu wolną rękę. Jeśli to się nie uda, to trudno. Mercy przez rok lub dwa może sobie pozwolić na pewne eksperymenty. Wood chce postawić silos. Moglibyśmy przeprowadzać w nim fermentację zbieranego u nas grochu alfa.

Wzruszyła ramionami. Doskonale wiedziała, co niektórzy ludzie będą mówić o wprowadzanych przez nią zmianach.

Zdawała sobie sprawę, że nie wszystkim spodoba się jej zainteresowanie uprawą roślin i budową silosu, tak samo jak zamiar powiększenia stadniny Adama. Będą mówić, że nie pamięta o bydłe i zapomina, że Mercy od wielu pokoleń było ranczem nastawionym przede wszystkim na hodowlę bydła.

Ona jednak wcale o tym nie zapominała. Jedyne próbowała patrzeć w przyszłość.

Odstawiła filiżankę.

- Macie obaj nadzorować działalność rancza. Czy którykolwiek z was ma jakieś zastrzeżenia do moich planów?

- Ja nie mam żadnych zastrzeżeń. - Nate wstał. - Nie jestem jednak hodowcą bydła. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli zejść na dół i sprawdzę, czy zostało jeszcze coś z tego ciasta, a was oboje zostawię tutaj, żebyście mogli tę sprawę spokojnie przedyskutować.

- Co ty na to? - dopytywała Willa, kiedy została sam na sam z Benem.

- Co ja na to? - powtórzył i podniósł do ust jej filiżankę. - Cholera, Will, ona jest całkiem zimna! - Skrzywił się, próbując ją przełknąć. - I nieświeża.

- Nie pytałam cię, co sądzisz o kawie.

Nadal siedział na brzegu biurka i patrzył jej w oczy.

- Skąd wzięłaś wszystkie te pomysły?

- Nie wiem, czy zauważyłeś, ale mam swój rozum. I swoje zdanie.

- Zgadza się. Ale nigdy nie słyszałem, byś mówiła o jakichkolwiek zmianach. To dziwne.

- Mówienie o tym nie miało żadnego sensu. Ojca w ogóle nie interesowało, co sądzę albo co mam do powiedzenia.

Poczytałam trochę książek - dodała i wsadziła ręce do kieszeni.

- Co prawda nie skończyłam studiów tak jak ty, ale nie jestem wcale głupia.

- Nigdy tak nie uważałem. Nigdy też nie podejrzewałem, że chciałaś iść na studia.

- To już nie ma znaczenia. - Westchnęła, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Zauważyła, że nadchodzi zamieć. Pierwsze drobne płatki śniegu to był jedynie początek. - Ma natomiast znaczenie dzień dzisiejszy, jutrzejszy i następny rok. Zima jest doskonałą porą na snucie planów na przyszłość. Na przypuszczenia i przewidywania. Więc zaczęłam planować, i tyle. - Kiedy przesunął dłonią po jej plecach, zeszywniała i zamarła w bezruchu.

- Nie denerwuj się. Nie mam zamiaru rzucać się na ciebie. - Obrócił jej twarz do siebie. - Jeśli moje zdanie ma dla ciebie jakieś znaczenie, uważam, że podążasz w dobrym kierunku.

To naprawdę miało dla niej znaczenie, i sama była tym faktem bardzo zaskoczona.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Miałam ostatnio kilka telefonów od tych szakali.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Od inwestorów budowlanych?

- Te dranie wyłażą ze skóry. Obiecują mi gwiazdkę z nieba, bylebym tylko zgodziła się sprzedać im ziemię. Gdybym to zrobiła, natychmiast by tu wszystko zmienili i założyli jakiś kurort albo idiotyczne, bezsensowne ranczo dla hollywoodzkich kowbojów. - Gdyby miała kły, z pewnością w tej chwili błysnęłyby nimi. - Nigdy nie dostaną w swoje tłuste łapska ani akra ziemi należącej do Mercy. Przynajmniej tak długo, jak długo ja tu jestem.

Automatycznie zaczął masować jej plecy.

- Odesłałaś ich z kwitkiem, kochanie?

- Jeden z nich dzwonił w zeszłym tygodniu. Kazał mówić do siebie Arnie. Powiedziałam mu, że jeśli postawi stopę na terenie mojej posiadłości, obedrę go ze skóry i zostawię kojotom na pożarcie. - Kącik jej ust drgnął nieznacznie. - Mam nadzieję, że nie odważy się tu pojawić.

- Jest to jakiś sposób.

- Tak. Ale zostało jeszcze dwóch. - Odwróciła się, spojrzała ponownie na śnieg, wzgórze i ziemię. - Wydaje mi się, że one jeszcze nie zdają sobie sprawy, o jak ogromne pieniądze w tym wszystkim chodzi. Nie wiedzą również, ile te osły byłyby w stanie zapłacić, by zdobyć takie ranczo. Hollywood jest na tyle bystra, że wcześniej czy później się zorientuje. A wtedy...

Wówczas będzie dwa do jednego, Ben.

- Testament nie pozwala na sprzedaż ziemi przez najbliższe dziesięć lat.

- Wiem, co jest w testamencie. Ale wszystko się zmienia. Masa pieniędzy i ogromna presja jest w stanie wszystko przyspieszyć. - Poza tym, biorąc pod uwagę dalekosiężne plany, dziesięć lat to krótki okres.

A w jej dalekosiężnych planach Mercy miało zamienić się z jednego z najlepszych

rancz w najlepsze. - Wiem już, że kiedy ten rok dobiegnie końca, z pewnością nie zdołam wykupić ich części.

Obliczałam to na wszelkie możliwe sposoby i wiem, że na pewno nie dam rady. Oczywiście nie brakuje pieniędzy, ale większość z nich ulokowana jest w ziemi i koniach. Po upływie tego roku staną się właścicielkami dwóch trzecich i będą miały przewagę nad moją jedną trzecią.

- Nie ma sensu martwić się tym, czego nie da się zmienić, tak samo jak nie mają sensu rozważania, co może się zdarzyć, a co nie. - Pogładził ją po włosach raz, potem drugi. - Przydałaby ci się odrobina rozrywki.

Ponownie ją odwrócił, po czym potrząsnął głową.

- Nie odsuwaj się. Dużo nad tym myślałem od ostatniego razu. - Żartobliwie dotknął wargami jej ust, a właściwie delikatnie je musnął. - Widzisz? To nie boli.

Jej wargi drżały, ale na pewno skłamałaby, gdyby stwierdziła, że zabolalo.

- Nie chcę, żebyśmy zaczęli wszystko od nowa. Zbyt wiele się tu dzieje, by pozwolić sobie na rozrywkę.

- Kochanie. - Pochylił się i ponownie dotknął jej warg. - Właśnie w takich sytuacjach jest ona najbardziej potrzebna. Poza tym idę o zakład, że oboje poczulibyśmy się znacznie lepiej.

Patrzył na nią przez cały czas, a równocześnie przysunął ją bliżej siebie, pochylił głowę i delikatnie całował.

- Jeśli o mnie chodzi, już czuję się znacznie lepiej - wymruczał i gwałtownie przycisnął usta do jej warg.

Szok, żar, pożądanie stopione w jedno ośwładnęły ją bez reszty. W tym momencie zapomniała o wszelkich obawach, lękach i zmęczeniu. Tak łatwo było przytulić się do niego i zapomnieć o całym świecie.

Dużo trudniej, niż przypuszczała, było odsunąć się i o wszystkim pamiętać.

- Być może ja również zastanawiałam się nad tym. - Uniosła rękę, żeby utrzymać go z daleka od siebie. - Ale nie doszłam jeszcze do żadnego wniosku.

- Mogę zaczekać, ale pod warunkiem, że pierwszy dowiem się, jeśli podejmiesz jakąkolwiek decyzję. - Owinał sobie pasmo jej włosów wokół palca, a potem je puścił. - Lepiej zejźmy na dół, bo w przeciwnym wypadku jestem gotów dostarczyć ci zbyt wielu powodów do myślenia.

Kątem oka dostrzegł zbliżających się szybko jeźdźców. Przez cały czas trzymając rękę na plecach Willi, zbliżył się do okna.

- Wraca Adam i twoje siostry. Zauważyła ich, dostrzegła jednak również coś więcej.

- Coś jest nie w porządku. Coś się stało. Sam również zauważył, że Adam pomaga Lily zsunąć się z siodła, a potem ją podtrzymuje.

- Rzeczywiście, coś się stało - zgodził się. - Chodźmy się dowiedzieć. Zdążyli dojść do połowy schodów, kiedy drzwi się gwałtownie otworzyły. Pierwsza wpadła Tess. Miała białe wargi i mocno zaczerwienione policzki, jednak w jej oczach wyraźnie widać było przerażenie.

- To była sarna - powiedziała. - Po prostu sarna. Zwyczajna mamusia Bambiego - wydusiła z siebie, a kiedy Nate wszedł z kuchni do holu, rozplakała się. - O Boże! Dlaczego ktoś zrobił coś takiego mamusi Bambiego?

- Ciii... - Nate otoczył ją ramieniem. - Usiądź, kochanie.

- Lily, ty też lepiej usiądź.

Potrząsnęła głową i kurczowo trzymała się ramienia Adama.

- Nie, już wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Naprawdę.

Zrobię herbatę. Wszyscy poczujemy się lepiej, jeśli napijemy się trochę herbaty. Przepraszam.

- Adamie. - Willa obserwowała, jak Lily podążyła w stronę kuchni. - Co się stało, do diabła? Zastrzełeś łanię w czasie waszej przejażdżki?

- Nie, ale zrobił to ktoś inny. - Z odrazą zdjął płaszcz i odrzucił go na poręcz. - Zostawił ją tam porozrywaną na kawałki. To nie miało nic wspólnego z polowaniem, nie została również zabita przez łowcę trofeów. Ktoś po prostu zabił ją żeby zabić.

Zajęły się nią wilki. - Przetarł dłonią twarz. - Strzeliłem, żeby je odpędzić. Chciałem przyjrzeć się uważniej, ale w tym momencie Lily i Tess zawróciły, chociaż wcześniej odesłałem je do domu.

- Wezmę płaszcz. Zanim Willa zdołała się odwrócić, Adam zatrzymał ją.

- To nie ma sensu. Na pewno już nic z niej nie zostało. Zobaczyłem wystarczająco dużo. Została zastrzelona, kula trafiła ją prosto w głowę. Potem wypruto jej wnętrzności, porąbano ją i zostawiono. Ten ktoś odciął jej ogon. Moim zdaniem, to było dla niego wystarczające trofeum.

- Podobnie jak poprzednio. - Tak.

- •Możemy pójść jego śladami? - dopytywał Ben. - Została zabita przynajmniej dwadzieścia cztery godziny temu. W tym czasie padał śnieg. Zbliży się następny. Może poszczęściłoby mi się, gdybym od razu wyruszył po śladach. - Adam wykonał ręką gest, który wyrażał zarówno frustrację, jak i akceptację istniejącego stanu rzeczy. - Nie mogłem

jednak ryzykować i odsyłać je do domu bez opieki. - Sądzę, że lepiej będzie, jeśli mimo wszystko zbadamy to dokładniej. - Ben sięgał już po kapelusz. - Will, poproś Nate'a, żeby odwiózł Shelly do domu. - Jadę z wami.

- Doskonale wiesz, że to nie ma sensu. - Ben objął ją ramieniem. - Po prostu nie ma sensu. - Mimo to jadę z wami. Tylko wezmę płaszcz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sypał gęsty śnieg. Z nieba leciały olbrzymie, ciężkie płatki, a wiatr dziko nimi miotał we wszystkie strony. Nim zapadła noc, przez szyby widać było jedynie nieprzeniknioną białą kurtynę, odcinającą ciepłe wnętrze domu od reszty świata.

Lily wyglądała przez okno i próbowała przebić wzrokiem tę ścianę. Ciepło wydzielane przez płonące w kominku drewno lizało jej plecy. Była bardzo zdenerwowana.

- Może w końcu usiądziesz? - wybuchnęła Tess. Była jednak zła na samą siebie o to, że jej głos zabrzmiał tak ostro. - Nic na to nie poradzisz.

- Już tak długo ich nie ma.

Tess doskonale wiedziała, ile czasu minęło od momentu, kiedy wyjechali. Dokładnie dziewięćdziesiąt osiem minut.

- Już ci powiedziałam, że nic nie możesz na to poradzić.

- Może chciałabyś trochę herbaty. Ta dawno wystygła. - W chwili gdy Lily odwróciła się, żeby zabrać tacę, Tess poderwała się na równe nogi.

- Przestań! Nie możesz bez przerwy obsługiwać mnie i wszystkich dookoła. Do jasnej cholery, nie jesteś tu służącą.

Na litość boską, usiądź.

Zadrzała, przykryła palcami powieki, a potem nabrała głęboko powietrza w płuca.

- Przepraszani - wymamrotała widząc, że Lily zamarła w bezruchu, za cisnęła mocno dłonie i patrzyła na nią otępiąłym wzrokiem. - Nie powinnam na ciebie wrzeszczeć jak opętana. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Nigdy nie spotkałam się z czymś tak potwornym.

- Nic się nie stało. - Lily doskonale rozumiała Tess, dlatego powoli rozluźniła palce. - To było straszne. Wiem. Naprawdę straszne.

Usiadły każda na przeciwległym końcu obitej skórą kanapy i przez trzydzieści sekund milczały jak zakłète. Wiatr wściekle łomotał w okna. W pewnej chwili Tess złapała się na tym, że ogarnia ją pusty śmiech.

- Do diabła! - Sapnęła ciężko i powtórzyła: - Do diabła! W co myśmy się wpakowały, Lily?

- Sama nie wiem. Wiatr zawył w kominie. - Boisz się?

- Do jasnej cholery, pewnie, że się boję. A ty nie?

Oczy Lily były poważne i spokojne, zacisnęła jedynie wargi i zaczęła się głęboko zastanawiać. Koniuszkiem palca lekko potarła dolną wargę. Wiedziała, że kiedy się boi,

wówczas trudno jej opanować drżenie ust.

- Chyba nie. Nie bardzo rozumiem, dlaczego tak jest, ale nie boję się, a przynajmniej nie tak, jak powinnam. Raczej jest mi przykro i smutno. Poza tym martwię się - dodała. Równocześnie jej wzrok pobiegł w stronę okna. Wyobraziła sobie, że widzi trójkę jeźdźców, którzy zabłądzili w gęstych tumanach śniegu. - O Adama, Willę i Bena.

- Nic im nie będzie. Oni tu mieszkają.

Nerwy nie pozwoliły Tess usiedzieć, wstała więc i zaczęła niespokojnie chodzić tam i z powrotem. W kominku gwałtownie wystrzelił ogień. Przerażona podskoczyła i ostro zaklęła.

- Oni doskonale wiedzą, co robią. - Jeśli nie oni, pomyślała, to kto, do diabła, wie? - Może właśnie dlatego tak bardzo się boję. Do jasnej cholery, po prostu w tym momencie nie wiem, co mam robić. A zawsze to wiem, rozumiesz? I jestem z tego ogromnie dumna. Stawiam sobie jakieś cele, układam plany i podejmuję odpowiednie kroki. Ale tym razem nie mam bladego pojęcia, co dalej.

Odwróciła się i w zamyśleniu spojrzała na Lily.

- Ty wiesz. Kiedy zaparzasz herbatę, gotujesz zupę i rozpalasz ogień, wiesz, co chcesz zrobić.

Lily potrząsnęła głową, starając się oderwać wzrok od okien.

- To są zupełnie nieistotne sprawy.

- Być może - powiedziała miękko Tess, po czym zamarła w bezruchu, ponieważ przez kurtynę śniegu dostrzegła błysk światła. - Ktoś tu jest.

Nie wiedziała, czy schować się, czy uciekać; po zastanowieniu przeszła przez przedpokój, zbliżyła się do drzwi wejściowych i otworzyła je. W chwilę później pojawił się w nich cały obsypany śniegiem Nate.

- Wracaj do środka - polecił i odsunął ją na bok, by zamknąć za sobą drzwi. - Jeszcze nie wrócili?

- Nie. Lily i ja... - wskazała ręką na salon. - Co ty tu robisz?

- Jest okropna śnieżycyca - powiedział. - Bez przeszkód odwiozłem Shelly i małą do domu, ale miałem problemy z powrotem do was. - Zdjął kapelusz i strząsnął z niego śnieg. - To już dwie godziny. Daję im jeszcze kilka minut a jeżeli w tym czasie nie wrócą, pojedę za nimi.

- Chcesz znowu jechać? Przy takiej pogodzie? - Nigdy nie widziała burzy śnieżnej, była jednak pewna, że właśnie ma do czynienia z jedną z nich. - Czyś ty oszalał?

Poklepał ją po plecach, najwyraźniej jednak myśląc o czymś innym.

- Mógłbym dostać gorącej kawy? Chętnie wypiłbym filiżankę. Wziąłbym też ze sobą termos.

- Nigdzie nie pojedziesz w taką pogodę. - Tess zagroziła Nate'owi drogę do drzwi, chociaż w pełni zdawała sobie sprawę, że ten gest w jego oczach musi wyglądać niezwykle głupio. - Nikt nie wyjdzie stąd na taką pogodę.

Uśmiechnął się i koniuszkiem palca pogładził ją po policzku. Jej troska o niego rozczuliła go.

- Czyżbyś się o mnie martwiła? Bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że jest przerażona, doszła jednak do wniosku, że zastanowi się nad tym później.

- Odmrożenie. Hipotermia. Śmierć. - Wyrzuciła z siebie te słowa jak zamrożone gałązki. - Martwiłabym się o każdego, kto nie ma na tyle rozsądku, żeby przy takiej zamieci siedzieć w domu.

- Trójka moich przyjaciół jest poza domem, gdzieś w tej zamieci. - Mówił to spokojnie, święcie przekonany o słuszności swej decyzji. - Zrób mi kawę, Tess. Mocną i gorącą.

- Zanim zdążyła odpowiedzieć, uniósł rękę i wyciągnął szyję. - Posłuchajcie. To pewnie oni. - Niczego nie słyszałam.

- Wrócili - powiedział Nate, włożył kapelusz na głowę i wyszedł, by ich powitać.

Rzeczywiście miał rację i Tess uznała, że ma bardzo wyczulony słuch. Gdy wchodzili cali pokryci grubą warstwą śniegu, z zewnątrz dobiegało zawodzenie wiatru. Usiedli w salonie, pili kawę, którą w ciągu paru minut przyniosła im Tess, i powolutku się rozgrzewali.

- Jest za dużo śniegu, żeby cokolwiek zobaczyć. Ben zapadł się w głębokim fotelu, Adam natomiast usiadł przed kominkiem i skrzyżował nogi.

- Dotarliśmy tam bez problemów, ale w tym czasie spadło przynajmniej dziesięć centymetrów śniegu. Nie było mowy o tropieniu kogokolwiek.

- Ale widzieliście. - Tess przysiadła na oparciu sofy. - Widzieliście to, co tam było.

- Tak. - Willa spojrzała przez moment na Adama i wzruszyła ramionami. Nie wyjaśniała już, że wróciły tam wilki. - Jutro rano porozmawiam na ten temat z ludźmi. Na razie jest mnóstwo roboty.

- Mnóstwo roboty? - powtórzyła Tess.

- W tej chwili wszyscy zajęci są zaganianiem stada i zapędzaniem bydła w bezpieczne miejsce. Poszukam Hama.

- Zaczekaj. - Tess w tym momencie była święcie przekonana, że tylko ona jedna została przy zdrowych zmysłach, dlatego złapała Willę za rękę. - Wychodzisz na zewnątrz

przy takiej pogodzie? Ze względu na krowy?

- Przy takiej zamieci zginęłyby wszystkie, co do jednej - powiedziała Willa szorstko.

Tess patrzyła zdumiona. Tymczasem wszyscy, oprócz niej i Lily, włożyli grube ubrania i wyszli na zewnątrz. Kiwnęła głową i sięgnęła po brandy.

- Z powodu krów — mamrotała. — Z powodu stada głupich krów.

- Kiedy wrócą, będą bardzo głodni. - Lily tym razem nie spoglądała przez okno ani nie nasłuchiwała odgłosów silnika samochodu. - Pomogę Bess przy kolacji.

Tess nie bardzo wiedziała, czy ma się wściekać, czy lepiej będzie, jeśli po prostu pogodzi się z losem. W końcu doszła do wniosku, że ważniejsze jest zdrowie, dlatego wybrała tę drugą możliwość.

- Nie mam zamiaru siedzieć tutaj sama. - Popędziła za Lily, po drodze zdążyła jednak zagarnąć kieliszek brandy. - Czy u was, na Wschodzie, zdarzają się takie burze śnieżne?

Wyrwana z zamyślenia Lily potrząsnęła głową.

- Czasami i w Wirginii pada sporo śniegu, ale nigdy nie widziałam takiej zamieci jak ta. Nadeszła zupełnie niespodziewanie i towarzyszy jej taki mocny wiatr. Trudno mi wyobrazić sobie, że ktoś może wyjść na zewnątrz i pracować przy takiej pogodzie. Podejrzewam, że Nate zostanie na noc. Muszę zapytać Bess, czy jest jakiś pokój, w którym mógłby się przespać.

Otworzyła drzwi prowadzące do kuchni. Okazało się, że Bess stała już przy piecu i coś pichciła w ogromnym garnku, z którego unosił się fantastyczny zapach.

- To gulasz - oznajmiła Bess i skosztowała go drewnianą łyżką.

- Wystarczy dla całej armii. Jeszcze przez jakąś godzinę lub dwie musi się podusić na wolnym ogniu.

- Oni znowu wyszli. - Lily, nie zastanawiając się, weszła do spiżarni i zdjęła z kołka fartuch. Tess obserwowała jej pewne ruchy i zaskoczona uniosła brwi. W końcu zdała sobie sprawę, że jest to już rutyna.

- Tak przypuszczałam - powiedziała Bess. - Mam zamiar jeszcze ugotować kompot jabłkowy. - Zerknęła na Tess i, widząc w jej ręce brandy, pociągnęła nosem. - Chciałabyś w czymś pomóc? - Nie bardzo.

- Skrzynie z drewnem są już do połowy opróżnione - oświadczyła Bess i wyciągnęła ze spiżarni kosz jabłek. - Ludzie nie mają w tej chwili czasu na to, żeby przynieść trochę opału.

Tess zakołysała kieliszkiem.

- Chcesz, żebym wyszła na dwór i przyniosła drewno?

- Prąd się wyczerpuje, dziewczyno, a na pewno nie chcesz, żeby ci w nocy zmarzł tyłeczek, podobnie zresztą, jak nikt z nas tego nie pragnie.

- Prąd. - Zbladła na samą myśl o tym, że może zabraknąć prądu i że przez całą noc grozi im zimno i ciemność.

- Mamy własny generator. - Bess wzruszyła ramionami i zaczęła energicznie obierać jabłka. - Nie możemy jednak pozwolić sobie na ogrzewanie sypialni prądem, jeżeli jest pod dostatkiem opału. Więc jeśli chcesz spać w ciepłym pokoju, to przynieś drewno. Pomóż jej, Lily. Jej bardziej potrzebna jest pomoc niż mnie. Od tych drzwi do stosu z drewnem prowadzi sznur. Idźcie wzdłuż niego, a drewno po prostu przynieście w rękach. Przy tak wysokim śniegu nie zdołałybyście przepchnąć taczek, a póki nie przestanie padać, nie ma sensu odgarniać ścieżek. Nabierajcie pełne naręczka. Nie zapomnijcie wziąć ze sobą latarki.

- W porządku. - Lily spojrzała na wyraźnie rozdrażnioną Tess. - Na pewno poradzę sobie sama. Zostań w domu, potem tylko poroznosisz drewno do sypialni.

To była kusząca propozycja. Niezwykle kusząca. Nawet teraz Tess słyszała dzikie zawrodożenie wiatru, uderzającego w kuchenne okna. Jednak triumfalny uśmieszek, który pojawił się na twarzy Bess, sprawił, że odstawiała kieliszek na bok.

- Razem przyniesiemy to drewno.

- Tylko, broń Boże, nie wychodźcie na zewnątrz w tych zabawnych damskich rękawiczkach - zawołała za nimi Bess, gdy zbierały się do wyjścia. - Kiedy się już ubierzecie, z przebieralni weźcie sobie jakieś grube rękawice. - Po jakiego czorta mamy znosić to drewno - mruzczała Tess pod nosem, kierując się w stronę szafy stojącej w przedpokoju.

- Najprawdopodobniej w domu jest go tyle, że wystarczyłoby na tydzień. Ona po prostu chce mi dokuczyć. - Nie prosiłaby nas o wychodzenie przy takiej pogodzie, gdyby nie było to konieczne.

Tess włożyła płaszcz i wzruszyła ramionami. - Ciebie z całą pewnością nie poprosiłaby o to - zgodziła się, potem usiadła na schodach, żeby wciągnąć buty. - Wygląda na to, że żyjecie ze sobą w najlepszej komitywie. - Uważam, że jest wspaniała. - Lily dwukrotnie owinęła wokół szyi robiony na drutach szalik, a dopiero potem zapięła płaszcz. - Jest dla mnie bardzo miła. Myślę, że byłaby sympatyczna również dla ciebie, gdybyś... Tess wciągnęła na głowę narciarkę i kiwnęła głową. - Nie, nie oszczędzaj mnie. Gdybym co?

- No cóż, wydaje mi się, że za bardzo ją irtujesz. Jesteś w stosunku do niej zbyt oschła.

- Może nie zachowywałabym się w ten sposób, gdyby nie wynajdywała mi bez przerwy jakichś idiotycznych zajęć. Potem jeszcze się skarży, że nie wykonałam ich zgodnie

z jej zaleceniami. Nawet jeśli sobie coś odmrozę, znosząc to cholerne drewno, ona i tak stwierdzi, że coś zrobiłam źle, na przykład powie, że je ułożyłam inaczej niż było trzeba. Zaczekaj, a sama się przekonasz. Wściekła skierowała się z powrotem do holu, bez słowa przemierzyła kuchnię i weszła do przebieralni, by poszukać pary grubych, ogromnych rękawic.

- Jesteś gotowa? - Lily chwyciła latarkę i przygotowała się, by pójść w ślady Tess.

W chwili kiedy Tess otworzyła drzwi, wiatr dmuchnął im w twarz lodowatymi, ostrymi jak igiełki płatkami śniegu. Spojrzały na siebie przerażone. W końcu Lily zrobiła pierwszy krok w stronę zwałającego z nóg wiatru.

Trzymały się sznura i powoli przesuwały się wytyczoną przez niego trasą. Jednak za każdym razem, gdy zrobiły trzy kroki do przodu, wiatr odpychał je gwałtownie o krok do tyłu. Grzęzły po kolana w śniegu, a światło latarki przecinało ciemności jak promień księżyca. W końcu niemal potknęły się o pokryty brezentem stos drewna.

Tess, mocno trzymając latarkę, wyciągnęła przed siebie ręce, a Lily powoli nakładała na nie drewno. Tess rozstawiła szeroko nogi, żeby utrzymać równowagę i uśmiechnęła się od ucha do ucha, mimo że mróz bezlitośnie szczypał ją w czubek nosa.

- Jestem święcie przekonana, że w piekle nie ma ani odrobiny ognia - krzyknęła. - W piekle jest tak jak zimą w Montanie.

Lily nieznacznie się uśmiechnęła i zaczęła nakładać drewno na swoją rękę.

- Kiedy wrócimy do środka, gdy tuż obok nas płomień będzie miło trzaskał w kominku, a wokół będzie przytulnie i ciepło, wyjrzymy przez okno i uznamy, że na zewnątrz jest ślicznie.

- Pleciesz bzdury - wymamrotała Tess, kiedy z trudem przedzierały się w stronę domu, żeby zrzucić pierwszy ładunek. - Czy bardzo chcesz spać w ciepłym pokoju?

Lily zerknęła w stronę promieniującej ciepłem kuchni, potem spojrzała na szalejącą wokół nich zamieć.

- Oj, bardzo.

- No właśnie. - Tess westchnęła i przygarbiła się. - Ja również.

W takim razie ruszamy do boju.

Trzykrotnie pokonały drogę w obie strony i Tess zaczęło się nawet podobać to zajęcie. Jednak w pewnym momencie straciła równowagę, runęła jak długa i wylądowała twarzą w prawie metrowej zaspie. Latarka wpadła w śnieg i zniknęła jak kret we własnej norze.

- Nie ci nie jest? Nie skaleczyłaś się? - Lily, chcąc jej pomóc, przechyliła się do przodu, straciła równowagę, próbowała ją odzyskać, aż w końcu ciężko usiadła. Zabrakło jej

tchu, więc została tam, gdzie ugrzęzła. Tymczasem Tess odwróciła się i zaczęła wypluwać śnieg.

- A niech to jasna cholera! Niech to szlag trafi! - Tess z trudem się gramoliła. Kiedy usłyszała, że Lily się śmieje, zmrużyła oczy. - Co cię w tym wszystkim tak cholernie bawi? Lada chwila zasypie nas śnieg i znajdą nas dopiero, gdy nadejdą wiosenne roztopy. - W pewnym momencie jednak i ona parsknęła śmiechem na widok Lily, siedzącej na śnieżnym tronie jak miniaturowa królowa śniegu. - Wyglądasz jak skończona idiotka.

- Ty też. - Lily w końcu złapała oddech i przycisnęła zaśnieżone rękawice do piersi. - Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale urosła ci broda.

Ze stoickim spokojem Tess zebrała śnieg z policzka i rzuciła go w twarz Lily. Tego właśnie potrzebowały. Na przekór potężnym porywom wiatru zaczęły robić kule ze śniegu i obrzucać się nimi. Piszczwały, gramoliły się, próbowały wstawać, przewracały się z powrotem, robiły uniki. Dzielili je nie więcej niż trzydzieści centymetrów od siebie, więc celność w tej walce nie miała żadnego znaczenia. Liczyła się jedynie szybkość i refleks.

Kiedy gałka trafiła Tess prosto w twarz, a śnieg dostał jej się za kołnierz, musiała uznać, że Lily zaczyna brać górę. Doszła do wniosku, że chociaż Lily wygląda na niezwykle kruchą, to jednak ma bardzo dużo siły w rękach.

Istniał tylko jeden sposób wyrównania szans.

Tess złapała ją mocno za ramiona i już po chwili obie zaczęły koziołkować, śmiejąc się jak hieny. Oblepione śniegiem przypominały bałwany. Opadły na chwilę na plecy, żeby złapać oddech. Natychmiast przysypały je olbrzymie i ciężkie płaty śniegu o lodowatych, ostrych brzegach.

— Kiedy byłam mała, często robiliśmy śnieżne anioły - powiedziała Lily i leniwie zademonstrowała to, rozsuwając ręce i nogi. - Pewnego razu spadło tyle śniegu, że na dwa dni zamknięto szkołę. Wybudowaliśmy wtedy fort ze śniegu i całą armię bałwanów. Moja matka nawet to sfotografowała.

Tess zamrugła powiekami, starając się przez białą kurtynę zobaczyć czarne niebo.

- Tylko raz wybrałam się na narty. Stwierdziłam wówczas, że śnieg i ja w ogóle do siebie nie pasujemy. - Zaczęła naśladować ruchy Lily. - To naprawdę nie jest taki głupi pomysł.

- To jest świetny pomysł. - Potem się roześmiała. - Przemarzłam do szpiku kości.

- Stawiam dużą filiżankę kawy z odrobiną brandy.

- Zgoda. - Wciąż uśmiechając się, Lily usiadła. W tym momencie serce stanęło jej w gardle i nawet nie była w stanie wydusić z siebie krzyku. Zacisnęła palce na dłoni Tess,

widząc jak przesuwający się cień zbliża się do nich coraz bardziej, a w końcu zamienia się w mężczyznę.

- Wpadłyście obie w śnieg?

Tess gwałtownie rozejrzała się dookoła, przez cały czas słysząc gwałtowne bicie własnego serca. Doskonale wiedziała, że są same i znajdują się zbyt daleko od domu, by zdołały przekrzyczeć wiatr. Przed oczami stanął jej obraz zmasakrowanej sarny. Była przerażona, nie mogła się ruszyć ani skupić myśli.

Przydałaby się latarka, pomyślała i poszukała wzrokiem na prawo i lewo. On miał latarkę. Jej silne światło oślepiło Tess, podczas gdy trzymający ją mężczyzna pozostawał wciąż w cieniu. Chciała uciec, rozpaczliwie próbowała się zmusić do tego, by chwycić Lily i wziąć nogi za pas, ale nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

- Nie powinnyście przebywać tutaj po ciemku - powiedział i zrobił krok do przodu.

Teraz udało jej się ruszyć. Instynkt samozachowawczy sprawił, że wyskoczyła ze śniegu jak kot wypuszczony z klatki. Wyciągnęła ze stosu drewna kłodę i przygotowała się do ataku.

- Nie zbliżaj się! - rozkazała. Mimo że ręce jej drżały, rozkaz zabrzmiał mocno i pewnie. - Lily, wstawaj. Wstawaj, do jasnej cholery!

- Hej! Nie miałem zamiaru was przestraszyć. - Skierował latarkę w bok, aby oświetlała śnieg. - Jestem Wood, panno Tess. Właśnie wróciłem z Billym. Wysłała mnie tu żona, ponieważ sądziła, że możecie potrzebować pomocy.

Mówił spokojnie i łagodnie. Nie było słychać w jego głosie żadnej groźby. Tess nie była jeszcze zupełnie pewna, że nic im nie grozi. Są same, kompletnie bezradne, natomiast on jest silnym mężczyzną i wciąż ma twarz ukrytą w cieniu. Zdecydowała, że nikomu nie wolno ufać, dlatego mocniej zacisnęła palce na drewnianej kłodzie.

- Nic nam nie jest. Lily, idź do domu i powiedz Bess, że Wood jest z nami. Powiedz jej to - syknęła, zmuszając w ten sposób Lily do działania.

- Nie ma co zawracać głowy Bess. - Wood skierował światło latarki na stos drewna, potem oświetlił wydeptaną ścieżkę prowadzącą do domu. - Żona przygotowała mi już kolację, ale mogę pomóc wam zanieść trochę drewna do domu. Niedługo może zabraknąć prądu.

Gdy Tess została sama z Woodem, modliła się gorąco, by Lily dotarła do domu i zaalarmowała Bess. Prawdę mówiąc, umierała za strachu. Cofnęła się o krok do tyłu, potem o dwa. - Już nanosiliśmy trochę drewna.

- Na pewno nie bardzo wam to szło przy takiej śnieżycy. - Wysunął w jej stronę rękę z latarką. Cofnęła się gwałtownie do tyłu, wyobrażając sobie, że to nóż. - Dobrze by było,

gdyby pani to wzięła - powiedział spokojnie - a ja załaduję drewno. Wciąż gotowa do ucieczki, Tess wyciągnęła rękę i wzięła latarkę. Wood właśnie schylał się po drewno, kiedy przybiegła zadyszana Lily.

- Bess czeka z kawą. - Podniosła głos. - Powiedziała, że jest jej dosyć, zaprasza więc również Wooda, jeśli tylko ma ochotę.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie. - Przez cały czas z ogromną wprawą układał drewno na zgiętej ręce. - Ale w domu czeka na mnie i żona, i kawa. Wracajcie obie do domu, weźcie sobie tę latarkę. Ja trafię z powrotem bez niej.

- Tak, wracajmy do domu, Tess. Do ciepła. - Drżąc od stóp do głów, Lily pociągnęła Tess za rękę. - Dziękujemy, Wood.

- Nie ma za co - mruknął kiwając głową, kiedy oddaliły się ścieżką. - A to ci baby - powiedział sam do siebie.

- Tak się bałam - wydusiła z siebie Lily. Kiedy znalazły się wreszcie w sieni, zarzuciła Tess rękę na szyję. - Byłaś taka dzielna.

- Wcale nie byłam dzielna. Byłam śmiertelnie przerażona. - Kiedy zdała sobie z tego sprawę, kurczowo objęła Lily i zaczęła gwałtownie drzeć. - Jak mogliśmy o tym zapomnieć?

Jak mogliśmy po tym wszystkim, co się tu stało, bawić się jak para kompletnych idiotek? Boże! Boże, przecież to może być każdy. Dlaczego do tej pory nie wpadliśmy na to? - Odsunęła się i spojrzała Lily w oczy. - Przecież to może być każdy.

- Nie Adam. - Lily zdjęła rękawiczki i rozcierała zmarznięte dłonie. - On nie potrafiłby nikogo skrzywdzić, ani człowieka, ani zwierzęcia. Poza tym był dzisiaj z nami, kiedy... kiedy znaleźliśmy tę sarnę.

Tess otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili zrezygnowała. Jaki sens miało snucie przypuszczeń, że Adam mógł Wyjść przed świtem, zrobić, co było do zrobienia, a potem poprowadzić je w tamtą stronę, żeby zobaczyły to, co chciał, żeby ujrzały?

- Nie wiem, Lily. Po prostu sama już nic nie wiem. Ale jeśli mamy zamiar tu zostać i przetrwać tę zimę, musimy zastanawiać się nad każdym krokiem i oglądać się za siebie. - Zdjęła kapelusz i płaszcz. - Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, by Adam mógł zrobić coś takiego. Albo Ben czy Nate. Ale, do diabła, nie mogę też wyobrazić sobie, by ktokolwiek mógł to zrobić. W tym tkwi problem. Musimy brać pod uwagę wszystkich.

- Tutaj jesteśmy bezpieczne. - Lily odwróciła się i starannie powiesiła płaszcz. - Jesteśmy bezpieczne. Od dawna nie czułam się tak bezpiecznie i nie zamierzam pozwolić, by cokolwiek odebrało mi to poczucie bezpieczeństwa. - Lily. - Tess położyła rękę na jej plecach. - Aby być bezpiecznym, trzeba być ostrożnym. Do tego sprytnym. Obie jesteśmy tu

z określonego powodu - ciągnęła, kiedy Lily odwróciła się twarzą do niej. - Obie tak bardzo chcemy coś osiągnąć, że zostałyśmy tutaj mimo ryzyka, które się z tym wiąże. W związku z tym uważam, że musimy troszczyć się o siebie nawzajem. Musimy także sobie ufać. Gdybym zauważyła coś dziwnego, powiem ci o tym. Ty również powinnaś postąpić tak samo. Jeśli cokolwiek będzie odbiegało od normy albo ktoś będzie się dziwnie zachowywał... Zgoda? - Oczywiście, powiem ci. Tobie i Willi. - Zanim Tess zdążyła zaprotestować, potrząsnęła głową. - Ona na to zasługuje. Przecież ona ma tyle samo do stracenia. Nawet więcej. To prawda, pomyślała Tess, i wzruszyła ramionami. - Dobrze. Tak właśnie będziemy postępować. Przynajmniej na razie. A te raz chętnie napiłabym się kawy.

Wypiły kawę i czekały. Zjadły gulasz i nadal czekały.

Wiatr wył za oknami, ogień traskał w palenisku, a stary zegar w gabinecie odmierzał mijające godziny.

Willa wróciła po północy. Była sama.

Tess przestała niespokojnie chodzić po salonie i przyjrzała się siostrze. Zauważyła, że jest śmiertelnie blada z wyczerpania, a pod oczami ma ciemne sińce.

- Gdzie są pozostali? - dopytywała się Tess.

- Musieli wrócić do siebie. Mają własne problemy.

Tess kiwnęła głową, podeszła do baru i naląła sporą szklaneczkę whisky. Wolałaby, żeby Ben i Nate byli tutaj razem z nimi, lecz zdążyła się już nauczyć, że życie w Montanie jest pełne drobnych wyrzeczeń i przykrych niespodzianek. Wręczyła szklaneczkę Willi.

- Wszystkie krowy spędziście na noc w bezpieczne miejsce? Nie starając się nawet udzielić odpowiedzi, Willa wypila połowę whisky i zadrzała.

- Przygotuję ci gorącą kąpiel.

Zbyt znużona, by zrozumieć słowa Lily, Willa zmrużyła oczy. - Słucham?

- Przygotuję ci gorącą kąpiel. Jesteś niesamowicie wyczerpana i przemarznięta. Musisz być również strasznie głodna. Na piecu stoi gulasz. Tess, nałóż go Willi do miseczki. Willa nie miała na tyle energii, by w jakikolwiek sposób zaprotestować, jednak cała sytuacja rozbawiła ją. Jej śmiech dogonił Lily na korytarzu.

- Ona przygotowuje mi kąpiel. Słyszałaś to?

- Jest ekspertem od drobnych, domowych spraw. Swoją drogą kąpiel rzeczywiście dobrze by ci zrobiła. Cuchniesz.

Willa pociągnęła nosem i skrzywiła się.

- Chyba tak. - Ponieważ po pierwszym łyku whisky zakręciło jej się w głowie, odstawiała szklaneczkę na bok. - Jestem zbyt zmęczona, żeby cokolwiek jeść.

- Mimo to musisz. Możesz przekąsić w wannie.

- W wannie. Mam jeść w wannie?

- Do diabła! A dlaczego nie?

Willa spojrzała na Tess z wyższością.

- No właśnie, do diabła, dlaczego nie? - zgodziła się i chwiejnym krokiem powędrowała schodami na piętro, żeby się rozebrać.

Lily rzeczywiście przygotowała kąpiel. Kłęby pary unosiły się nad morzem piany. Willa stała naga i przez kilka dobrych sekund ze zdumieniem spoglądała w dół. Kąpiel w pianie, pomyślała. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni kąpała się w pianie. Olbrzymia czerwona wanna była jednym z kaprysów ojca i Willa rzadko jej używała. I to wtedy tylko, gdy nie było go w domu.

Przypomniała sobie, że teraz nie ma go w domu. Nie żyje.

Wsunęła nogę do wody i syknęła. Po chwili głośno westchnęła i zanurzyła się po brodę.

Przestała myśleć o śniegu, porywistym wietrze, nieprzeniknionej ciemności i straszliwym wysiłku towarzyszącym zaganianiu bydła. Najprawdopodobniej przy okazji stracili kilka sztuk. Ale w takich sytuacjach nie da się tego uniknąć. Ta zamieć nadeszła zbyt szybko i była zbyt gwałtowna, by móc zapobiec wszelkim stratom. Bez wątpienia zrobili wszystko, co mogli.

Dopiero kiedy oparła plecy o krawędź wanny i zamknęła oczy, poczuła jak obolałe ma mięśnie. Nie była nawet w stanie myśleć. A musi pomyśleć. Musi się zastanowić, co dalej robić. Każda czynność, każde zajęcie, każda podjęta decyzja to niemal odruchy. Doskonale wiedziała, co należy robić. To nie była jej pierwsza zamieć, i z całą pewnością nie ostatnia.

Gorsza sprawa z morderstwem i zabitymi zwierzętami.

Co robić?

- Jeśli zaśniesz, możesz się utopić - powiedziała Tess, gdy pojawiła się w drzwiach.

Willa naburmuszyła się i usiadła. Nie była szczególnie wstydliwa. Zachmurzyła się, bo zirytowało ją samo wtargnięcie, nawet jeżeli towarzyszył mu fantastyczny zapach gulaszu.

- Czy kiedykolwiek pukasz, zanim wejdziesz? - Zostawiłaś otwarte drzwi, złośnico. - Raczej zdziwiona faktem, że to ona podaje komuś posiłek, Tess postawiła tacę w poprzek wanny. - Chciałabym z tobą porozmawiać. Willa westchnęła. Uniosła się na tyle, by móc jeść, i zanurzyła łyżkę w gulaszu. Piana stopniowo znikwała z jej piersi.

- No to mów. Tess usiadła na szerokiej krawędzi wanny. Niezła łazienka, pomyślała. Tak luksusowa, że zaspokoiłaby zachciankę nawet najbardziej rozkapryszonej gwiazdy

filmowej. Ściany i podłoga wyłożone były rubinowymi, szafirowymi i białymi płytkami, a w mosiężnych i miedzianych donicach rosła ogromna ilość leśnych paproci. Oddzielony od łazienki szklaną ścianą prysznic miał z pół tuzina natrysków umieszczonych pod różnym kątem i na różnej wysokości. A wanna, w której właśnie wylegiwała się Willa, była wystarczająco duża, by móc w niej urządzić niewielką, sympatyczną orgię.

Bezmyślnie wsunęła palec w pianę i powąchała.

- Fiołki - skomentowała. - To chyba Lily.

- Chciałaś porozmawiać ze mną o płynie do kąpieli? - Willa uniosła się jeszcze bardziej, ponieważ nabrała większej ochoty do jedzenia. W tym momencie mogłaby zjeść konia z kopytami.

- Zostawmy sobie babskie sprawy na później. - Obejrzała się za siebie, kiedy Lily podeszła do drzwi i stanęła w nich z wzrokiem dyskretnie wbitym w jakiś punkt nad głową Willi. - Przyniosłam ci szlafrok, żebyś miała co włożyć, gdy wyjdiesz z wanny. Wieszam go na drzwiach.

- Choć i usiądź - zaprosiła ją Willa kiwnięciem ręki. - Tess ma ochotę na pogawędkę. - Kiedy Lily wahała się, Willa wzniosła oczy do nieba. - Przecież wszystkie mamy cycki, Lily.

- Z tą drobną różnicą, że ona ma takie, których prawie nie widać - dodała Tess, uśmiechając się z zadowoleniem. - Siadaj - rozkazała. - Przecież to ty chciałaś ją wciągnąć w to wszystko. - W co? - dopytywała się Willa z ustami pełnymi gulaszu.

- Powiedzmy, że Lily i ja jesteśmy trochę przestraszone. Prawda, Lily? Lily zarumieniła się, zamknęła pokrywę od sedesu i usiadła na niej. - Tak.

Willa, mimo że zanurzona była w gorącej wodzie, poczuła dreszcze.

- Macie zamiar stąd zwać?

- Nie jesteśmy tchórzami. - Tess przechyliła głowę. - Ani idiotkami. W interesie każdej z nas jest przetrzymanie tego roku.

Zakładam również, że wszystkie trzy chcemy dobrnąć do końca w jednym kawałku. Ktoś, bardzo możliwe, że człowiek mieszkający na tym ranczu... powiedzmy, uwielbia posługiwać się nożem. Czy możemy coś na to poradzić? Willa zagryzła wargi. - Znam swoich ludzi.

- Ale my nie - zauważyła Tess. - Może w takim razie powinniśmy zacząć od tego, że nas trochę oświecisz. Powiesz nam, co wiesz o każdym z nich. Niezależnie od tego, jak bardzo kusi mnie ten pomysł, nie możemy przeżyć najbliższych dziewięciu czy dziesięciu miesięcy szczelnie zamknięte w skrzyni przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Masz rację.

Ta niespodziewana zgoda kompletnie zaskoczyła Tess. - No, no. Muszę chyba zaznaczyć ten dzień w kalendarzu. Willa Mercy zgadza się ze mną. To niesamowite! - Nic się nie zmieniło - ciągnęła Willa, wyskrobując resztki gulaszu z miseczki. - Ale w tej sprawie muszę się z tobą zgodzić. Jeżeli mamy zamiar przeżyć ten rok, musimy ściśle ze sobą współpracować. Przynajmniej do czasu, kiedy policja albo któraś z nas nie odkryje, kto zabił Pikle'a, uważam, że żadna z was nie powinna kręcić się po okolicy sama.

- Potrafię się obronić. Ukończyłam kurs samoobrony. Słyszac to oświadczenie, Willa prychnęła.

- Jestem w stanie powalić cię na ziemię - rzuciła Tess. - W ciągu dziesięciu sekund mogę cię rozłożyć na łopatki i sprawić, że zobaczysz wszystkie gwiazdy. Ale w tym momencie nie o to chodzi. - Pomyślała, że chętnie zapaliłaby papierosa i postanowiła, że wkrótce to zrobi. - Właściwie nie ma takiej możliwości, żebyśmy obie z Lily zawsze i wszędzie były razem.

- Większość czasu spędzam w towarzystwie Adama. Przy koniach. Willa kiwnęła głową w stronę Lily i z powrotem zanurzyła się w wodzie.

- Możesz polegać na Adamie. Również na Bess. I Hamie. - Dlaczego właśnie na Hamie? - dopytywała Tess.

- On mnie wychował - oświadczyła Willa zwięźle. - Poza tym w najbliższym czasie pogoda nie pozwoli wam obu zbyt oddalać się od domu.

- A co z tobą? - zapytała Lily.

- Sama potrafię się sobą zająć. - Willa wsadziła głowę pod wodę, wstrzymała oddech, a kiedy się wynurzyła, poczuła się już prawie jak człowiek: - Nie ukończyłam żadnego hollywoodzkiego kursu samoobrony, ale znam tych ludzi i znam tę krainę. A jeśli któraś z was bardzo się denerwuje, zawsze może wskoczyć na siodło i ruszyć ze mną do roboty. A teraz chciałabym zostać sama, chyba że macie ochotę wyszorować mi plecy.

Tess wstała i machinalnie sięgnęła po tacę.

- Udawanie bohaterki nie uchroni cię przed nożem.

- Zrobi to winchester. - Zadowolona z tego Willa sięgnęła po mydło.

To była męcząca noc. Willa, chociaż tak bardzo zmęczona, nie mogła zasnąć i przewracała się z boku na bok. Przed oczami stawała jej ciągle krwawa wizja tego, co się wydarzyło.

Kiedy przez zasłonę wciąż jeszcze gęsto padającego śniegu przedarło się słabe, zimowe światło dnia, zadrzała. Bardzo chciała, żeby był ktoś, na kogo mogłaby w stu procentach liczyć, na kogo mogłaby zrzucić cały przytłaczający ją ciężar. Choćby na krótką

chwilę.

Ktoś inny obudził się w tym samym skąym świetle poranka i te same krwawe obrazy przesuwały mu się przed oczami. Widział wszystko tak wyraźnie, jakby oglądał film.

Oglądane obrazy sprawiły, że zaczął się uśmiechać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Z dziennika Tess:

Chyba polubiłam śnieg. Albo, co wcale nie jest wykluczone, powoli tracę zdrowy rozsądek. Każdego dnia rano, kiedy wstaję, widzę go za oknami swej sypialni. Jest biały, mieni się tysiącem isker i pada bez końca. Natomiast nadal zdecydowanie nie lubię mrozu. Ani tego pieprzonego wiatru. Ale śnieg, zwłaszcza wówczas, gdy ogląda się go z przytulnego i ciepłego pomieszczenia, ma, moim zdaniem, swoisty urok. A może po prostu znowu zaczynam się czuć bezpieczna.

Został zaledwie tydzień do Bożego Narodzenia i od dłuższego czasu nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Nikogo nie zamordowano ani nie pocięto na kawałki żadnego dzikiego zwierzęcia. Ponieważ gruba warstwa śniegu tłumi wszelkie odgłosy, wokół panuje niesamowita, zimowa cisza. Może mimo wszystko gliniarze mieli rację i tego lysego faceta naprawdę zabił jakiś wędrowny psychopata? Bardzo chciałabym, żeby tak właśnie było.

Lily jest we wspaniałym, przedświątecznym nastroju. Zabawna, kochana istota. Chwilami zachowuje się jak dziecko. Przemycła do swej sypialni pełne torby, pakuje prezenty, pomaga Bess przy pieczeniu ciast. Wspaniałych ciast, co oznacza, że będę musiała wydłużyć moją poranną gimnastykę o dodatkowe piętnaście minut.

Wybrałyśmy się obie do Billings, żeby porobić świąteczne zakupy. Warto było. Z Lily nie miałam najmniejszego kłopotu. Znalazłam śliczną i bardzo delikatną broszkę. Ponieważ jest na niej stający dęba koń, mam nadzieję, że jej się to spodoba. Doszłam do wniosku, że muszę również sprezentować coś tej jędzy - Bess. Zdecydowałam się na książkę kucharską. Lily pochwała ten pomysł, i ja też uważam, że prezent jest odpowiedni. Gorsza sprawa z kowbojem w babskim wydaniu. Wciąż nie mogę jej rozgryźć.

Czy jest ona jest kompletną idiotką, czy w ogóle niczego się nie boi?

Wyjeżdża z domu każdego dnia, najczęściej sama. Haruje jak dziki osioł, a wieczorami chodzi do starego domu, w którym mieszkają pracownicy zatrudnieni na ranchu, żeby z nimi porozmawiać. Jeżeli przypadkiem siedzi w domu, najczęściej tkwi po uszy w księgach i raportach.

Z przerażeniem stwierdzam, że zaczynam darzyć ją niekłamanym podziwem, chociaż wciąż nie jestem pewna, czy ją lubię. Kupiłam dla niej kaszmirowy, delikatny, bardzo kobiecy sweter w jaskrawoczerwonym kolorze. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, dlaczego to zrobiłam. Właściwie nigdy nie nosi nic oprócz flanelowych koszul. W związku z tym wcale się nie zdziwię, jeśli w którymś momencie zarzuci go na ciepłą bieliznę i tak ubrana pójdzie

kastrować bydło. A niech to wszyscy diabli!

Adama, choć sama jestem tym niezmiernie zdziwiona, traktuję niemal jak brata, dlatego kupiłam dla niego uroczą niewielką akwarelkę przedstawiającą góry. W jakiś sposób ten obrazek pasuje do niego.

Bardzo długo rozważałam wszelkie za i przeciw, aż w końcu postanowiłam skoczyć po symboliczne prezenty dla Bena i Nate 'a. Obaj spędzają w Mercy tak dużo czasu, że można potraktować ich jak domowników. Dla Bena zdobyłam kasetę video z filmem „Red River”. Traktuję to jako swego rodzaju żart i mam nadzieję, że on odpowiednio zareaguje.

Przeprowadziłam subtelne sondáže i dochodzenia. Dzięki nim dowiedziałam się, że Nate ma słabość do poezji. W związku z tym kupiłam dla niego tomik Keatsa. Zobaczymy, czy mu się to spodoba.

Dzięki mikołajowym zakupom, zapachom dochodzącym z kuchni i ubieraniu choinki sama zaraziłam się świątecznym nastrojem. Właśnie wysłałam prawie tonę prezentów dla mamy. W jej przypadku jakość nie ma najmniejszego znaczenia, liczy się jedynie ilość i dlatego wiem, że będzie niezwykle szczęśliwa, godzinami rozrywając lśniący papier, w który zapakowałam paczki i paczuszki.

Głupia sprawa, ale bardzo za nią tęsknię.

Oprócz bawienia się w Świętego Mikołaja, przez cały czas pracuję jak mróweczka. Wszystko dlatego, że prawie bez przerwy siedzę w domu. Poza tym zimą robi się tu ciemno już przed piątą, a wieczory ciągną się w nieskończoność. Wykorzystuję więc ten dodatkowy czas i próbuję pisać książkę. Robię to trochę dla rozrywki, a trochę z nudów.

A skoro już mowa o długich wieczorach... Ponieważ w okolicy ponownie zapanował spokój, spróbuję wziąć jeden z dziupli - to znaczy łazików - i podrzucić Nate 'owi świąteczny prezent. Mam nadzieję, że Ham powie mi, jak dojechać na ranczo Nate 'a. Od wielu tygodni czekam na to, żeby zaprosił mnie do siebie i w końcu zaczął działać. Wygląda jednak na to, że to ja muszę wykonać pierwszy krok.

Muszę się też zastanowić, jak subtelnie wciągnąć go do łóżka, bo na razie nie wiem i będę musiała chyba wymyślić coś na poczekaniu. Przy jego żółtym tempie, najprawdopodobniej musiałabym czekać do wiosny, a i tak wcale nie jest pewne, czy coś by z tego wyszło.

Jeszcze raz, niech to wszyscy diabli wezmą!

- Wybierasz się gdzieś? - zapytała Willa, gdy Tess sunęła schodami w dół.

- Prawdę mówiąc, tak. - Przekrzywiając głowę, przyjrzała się flanelowej koszuli i dzinsom, które miała na sobie Willa. - A ty?

- Właśnie weszłam. Nie każdy, tak jak ty, może sobie pozwolić na stanie godzinami przed lustrem. - Willa zmarszczyła czoło.

- Masz na sobie sukienkę.

- Naprawdę? - Udując zaskoczenie, Tess spojrzała na dopasowaną, błękitną wełnianą sukienkę, która odsłaniała spory kawałek ud. - O rany! Jak to się mogło stać? - Prychnęła pogardliwie, po czym pokonała resztę schodów i podeszła do szafy, by wyjąć płaszcz. - Muszę doręczyć prezent gwiazdkowy. Nie wiem, czy pamiętasz, że zbliża się Boże Narodzenie? Zdaję sobie sprawę, że masz bardzo dużo roboty, mimo to powinnaś w ostatnim czasie gdzieś o tym słyszeć.

- Rzeczywiście, obito mi się coś takiego o uszy. - Ścisłe przylegająca do ciała sukienka, wysokie obcasy, niezwykle kuszące perfumy, pomyślała Willa i przymrużyła oczy. - Czy mogę wiedzieć, dla kogo jest ten prezent?

- Wybieram się do Nate'a. - Tess włożyła płaszcz. - Mam nadzieję, że będzie miał pod ręką jakieś piwo.

- No tak, jak mogłam się tego nie domyślić - powiedziała półgłosem Willa. - Skręcisz sobie kark, próbując dobrnąć do łazika na tak wysokich obcasach.

- Nigdy nie miewam problemów z utrzymaniem równowagi. - Tess niedbale machnęła ręką i zniknęła. - Nie czekaj na mnie, siostrzyczko.

- Proszę, proszę. Nie miewa problemów z utrzymaniem równowagi - powtórzyła Willa, obserwując, jak Tess z wdziękiem idzie w stronę samochodu. - Mam nadzieję, że w ten sposób nie zostanie zbyt zachwiana równowaga Nate'a.

Odwróciła się, weszła do salonu i położyła się na sofie.

Zauważyła wysoką, pięknie ubraną choinkę, która stała na tle frontowego okna, i szybko wtuliła twarz w skórzaną sofę.

Nie lubiła Bożego Narodzenia, był to dla niej bardzo przykry i przygnębiający okres. Jej matka zmarła w grudniu. Willa była wówczas zbyt mała, by cokolwiek pamiętać, mimo to sama świadomość, że stało się to wtedy, niezmiennie przyćmiewała świąteczną atmosferę. Bess robiła wszystko, co mogła, by zmienić ten nastrój: dekorowała dom, piekła ciasta, obdarowywała wszystkich różnego rodzaju prezencikami, starała się nawet śpiewać kolędy. Nigdy jednak rodzina nie zbierała się przy fortepianie ani nie gromadziła wokół choinki, żeby wspólnie rozpakowywać świąteczne upominki.

Oczywiście Willa i Adam, zgodnie z tradycją, wymieniali się prezentami. Robili to jednak w wigilijny wieczór, kiedy zalany w pestkę Jack dawno chrapał w łóżku.

Co prawda pod choinką zawsze znajdowało się coś dla Willi. Zajmowała się tym Bess

i przez wiele lat próbowała udawać, że są to upominki od Jacka. Kiedy jednak Willa skończyła szesnaście lat, w ogóle przestała je otwierać.

Tak czy inaczej, był w tym jakiś fałsz, i po kilku następnych nieudanych próbach Bess przestała zachowywać pozory.

Świąteczny poranek zawsze kojarzył się Willi z potężnym kacem ojca i jego złym humorem. Był to również jedyny dzień w roku, kiedy miała odwagę skarżyć się, a nawet pozwalała sobie na drobne złośliwości i sarkazm.

Dawno temu już przestała wyczekiwać tych świąt.

Teraz na dodatek była zmęczona, cholernie zmęczona. Zima nadeszła tak szybko i gwałtownie. W czasie zamieci stracili więcej sztuk, niż się spodziewała, a Wood zaczął się martwić o oziminę. Cena rynkowa wołowiny ostatnio znacznie spadła. Co prawda nie było jeszcze powodów do paniki, ale trudno również było zdobyć się na optymizm.

Podświadomie też czekała, co się teraz zdarzy. Każdego dnia zastanawiała się, czy nie znajdzie przed drzwiami wejściowymi jakiegoś zarżniętego zwierzęcia albo człowieka.

Nie miała też nikogo, z kim mogłaby na ten temat porozmawiać, dusiła więc wszystko w sobie. Nie chciała, żeby Lily i Tess bez przerwy się bały, sama jednak nie mogła przestać o tym myśleć. Musiała stale mieć się na baczności i nie zapominać o ewentualnym grożącym niebezpieczeństwie. Pilnowała, żeby zawsze ktoś miał je na oku. Albo ona, albo Adam, albo Ham.

Tymczasem Tess właśnie wyjechała, a Willa nie zdołała jej powstrzymać.

Zadzwoń do Nate'a. Wstań i zadzwoń do Nate'a, powtarzała sobie. Powiedz mu, że Tess do niego jedzie. On się nią zaopiekuje i dopilnuje, żeby nic jej się nie stało. Mimo to Willa nie ruszyła się. Wydawało jej się, że nie zdoła zsunąć nóg z sofy, a tym bardziej usiąść. Nie może usiąść, bo wtedy musiałaby spojrzeć na to promienne, radosne drzewko i wspaniałe, leżące pod nim prezenty.

- Jeśli masz zamiar spać, powinnaś się położyć do łóżka.

Kiedy usłyszała głos Bena, całkowicie zrezygnowała z telefonu do Nate'a.

- Nie śpię. Próbuję chwilę odpocząć. Idź sobie.

- Ciekaw jestem, czy doczekam się takiej chwili, kiedy zaraz po przyjsciu tutaj nie usłyszę, że mam się wynosić. - Usiadł na środku sofy. - Przepracowujesz się, Will. - Obrócił do siebie jej wtuloną w sofę twarz. Zauważył na niej lzy i gwałtownie cofnął rękę, jakby się sparzył. - Ty płaczesz.

- Wcale nie. - Było jej wstyd, dlatego błyskawicznie się od niego odwróciła. - Po prostu jestem zmęczona. To wszystko. - W tym momencie głos jej się kompletnie załamał. -

Zostaw mnie samą. Idź sobie. Jestem zmęczona.

- Przytul się do mnie, kochanie. - Chociaż bardzo rzadko miał do czynienia z płaczącymi kobietami, doszedł do wniosku, że z tą powinien sobie poradzić. Bez najmniejszego trudu uniósł ją do góry jak dziecko i posadził sobie na kolanach. - Co się dzieje?

- Właściwie nic. Po prostu jestem... - zdołała wydukać i oparła głowę na jego ramieniu. - Sama nie wiem, co się ze mną dzieje. Ale nie płaczę.

- W porządku. - Uznał, że może rzeczywiście lepiej będzie, jeśli oboje spróbują nie wspominać o łzach, dlatego jedynie mocniej przytulił ją do siebie. - Posiedź tak chwileczkę. Miło mieć w ramionach taką babeczkę.

- Nienawidzę Bożego Narodzenia.

- Nie wierzę ci. - Pocałował ją w czubek głowy. - Po prostu jesteś wykończona. Znam na to sposób. Powinnaś wziąć kilka dni urlopu, zabrać swoje siostry i wyjechać z nimi do któregoś z tych eleganckich uzdrowisk. Mogłabyś się trochę ze sobą pocackać, wziąć masaże, skorzystać z kąpieli borowinowych.

Prychnęła i w tym momencie poczuła się znacznie lepiej.

- Tak, chyba masz rację. Plotkowanie w borowinie.

Rzeczywiście to jest coś w moim stylu.

- A jeszcze lepiej byłoby, gdybyś pojechała tam ze mną.

Moglibyśmy wynająć pokój z ogromną wanną, z łóżkiem w kształcie serca i wiszącym nad nim lustrem. Dzięki temu, gdybyśmy się ze sobą kochali, mogłabyś dokładnie widzieć każdy szczegół. W ten sposób miałabyś szansę szybciej się wszystkiego nauczyć.

Ta propozycja miała w sobie jakiś wyrafinowany, przyprawiający ją o zawrót głowy urok. Odsunęła ją jednak od siebie.

- Nie spieszy mi się.

- Ale mnie się spieszy - powiedział półgłosem i odchylił jej głowę do tyłu. - Nie robiłem tego już od dłuższego czasu. - Zaczął ją całować.

Właśnie tego potrzebowała, dlatego nie broniła się ani nie protestowała. Pragnęła odrobiny ciepła i delikatności, dotyku łagodnych rąk i tych wspaniałych pocałunków. Objęła go rękami za szyję i przytuliła się do niego, odsuwając od siebie wszystkie zmartwienia, wątpliwości i złe wspomnienia.

Uznała, że jest to człowiek, który może ją pocieszyć i, mimo wszystkiego, co ich dzieli, wysłuchać. I kto wie, może on naprawdę się o nią troszczy? Pragnęła tego równie mocno, jak pragnęła jego samego.

Ben poczuł, że pożądanie, nad którym dotychczas starał się za wszelką cenę panować, lada chwila może mu się wymknąć spod kontroli. Willa była nadspodziewanie łagodna, zaskakująco i podniecająco uległa, a pod delikatną powłoką niewinności wyczuwał drobne iskierki żaru, który mógł sugerować prawdziwą namiętność.

Ta kombinacja doprowadzała jego zmysły do wrzenia.

Dlatego, nie zważając na protesty, odsunął się od niej. Potrzebował całej siły woli, by się opanować, delikatnie zsadził ją więc z kolan i ułożył jej głowę w zagłębieniu swego ramienia.

- Posiedźmy tak przez chwilę. Willa poczuła pod dłonią, jak mocno bije mu serce. Słyszała również własne przyspieszone tętno.

- Jak ty to zrobiłeś, że jestem podniecona? Nie wiem, Ben, dlaczego to właśnie ty mnie tak podniecasz. Zupełnie nie jestem w stanie tego zrozumieć.

- No, teraz przynajmniej wiem, że wszystko wraca do normy. - Westchnął, po czym przytulił jej twarz do swojej. - To jest całkiem miłe.

- Tak, chyba tak. - Kiedy także i ona zdołała nad sobą zapanować, usiadła z powrotem na jego kolanach.

Obserwowała migotanie światełek na choince i proszący za oknami śnieg. - Tess pojechała do Nate'a - powiedziała w końcu.

Usłyszawszy ton, jakim powiedziała te słowa, zrozumiał od razu, co ją niepokoi. - Martwisz się tym? - Nate powinien sobie poradzić. Przynajmniej taką mam nadzieję. - Wykonała niespokojny ruch ręką, potem zrezygnowała i przymknęła oczy.

- W takim razie martwisz się o Tess.

- Może. Trochę. Prawdę mówiąc, tak. Nic się nie stało od kilku tygodni, ale... - Odetchnęła głęboko. - Nie jestem w stanie pilnować jej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- To oczywiste.

- Jej się wydaje, że zjadła wszystkie rozумы. Wspaniała Dziewczyna z Wielkiego Miasta ze swoimi kursami samoobrony i pękającymi w szwach ubraniami. Cholera!

Tymczasem tutaj jest bezbronna jak mysz w pokoju pełnym głodnych kotów. Co będzie, jeśli zepsuje jej się łazik? Albo zabłądzi? - Westchnęła i w końcu powiedziała to, co najbardziej leżało jej na sercu. - A co, jeżeli ten, kto zabił Pikle'a, wciąż kręci się w pobliżu i obserwuje nas?

- Jak sama wspomniałaś, od kilku tygodni nic się nie stało. Jest spore prawdopodobieństwo, że już dawno się stąd wyniósł.

- Jeżeli sam w to wierzysz, to dlaczego pod byle pretekstem przyjeżdżasz tu prawie każdego dnia?

- Ty wcale nie jesteś byle pretekstem - powiedział półgłosem i wzruszył ramionami. - To ze względu na ciebie. - Nawet się nie skrzywił, kiedy parsknęła śmiechem. - Przyjeżdżam tu ze względu na ciebie - powtórzył. - Oczywiście, także ze względu na ranczo. I... tak, o tym również myślę. - Uniósł jej głowę i mocno pocałował ją w usta. - Wiesz co? Wpadnę do Nate'a i sprawdzę, czy do niego dotarła.

- Nikt cię nie prosił, żebyś interesował się moimi problemami.

- No właśnie. - Uniósł ją, posadził obok i wstał. - Prawdę mówiąc, czasem mogłabyś mnie o coś poprosić, Willo.

Mogłabyś się przełamać i najzwyczajniej poprosić. Póki tego nie zrobisz, będę postępował tak, jak uznam za stosowne. Idź do łóżka - powiedział. - Potrzebny ci spokojny, głęboki sen. A ja zajmę się twoją siostrą.

Kiedy wyszedł, zmarszczyła brwi i zaczęła się zastanawiać, o co, jego zdaniem, powinna go poprosić.

Tess bez problemów dotarła do celu. Przejazdkę w całkowitej ciemności i przy lekko prószącym śniegu uznała za fantastyczną przygodę. Włączyła radio, ustawiła je na pełny regulator i nawet jakimś cudem udało jej się znaleźć stację, która przez cały czas nadawała piosenki rockowe. Właśnie na całe gardło wtórowała Rodowi Stewartowi, kiedy dojrzała pierwsze światła rancza Nate'a.

Było tu schludnie, zupełnie jak na obrazkach Curriera i Ivesa.

Starannie odśnieżona, delikatnie przyprószona świeżą warstwą puchu droga, czyste budynki gospodarcze, załamujące się pod kątem prostym ogrodzenie i strzeliste cienie drzew.

Przednie światła samochodu najprawdopodobniej zaniepokoiły nieco konie, ponieważ trzy z nich wybiegły ze stajni i spacerowały teraz po zagrodzie, obserwując przejeżdżające auto.

Przyszło jej na myśl, że są niezwykle piękne. Mają fantastycznie rozwiane ogony i przebierają kopytami, jakby wykonywały jakiś niespokojny taniec. Jeden z nich podbiegł nawet do ogrodzenia. Zwolniła i przyjrzała się jego smukłym kształtom i pięknej, lśniącej sierści.

Przejechała dalej, a gdy minęła łagodny zakręt, znalazła się przed budynkiem mieszkalnym. On również, mimo swej prostoty, był śliczny i schludny. Miał dwie kondygnacje i dużą, krytą werandę z białymi okiennicami, które wyraźnie odcinały się od ciemnego drewna. Z dwóch kominów w zimowe niebo walił gęsty dym. Tess doszła do

wniosku, że ten dom jest tak samo prosty i bezpretensjonalny, jak mieszkający w nim mężczyzna.

Z uśmiechem na ustach wzięła torebkę i prezent, po czym wysiadła z łazika. W chwilę później o mało co nie zaczęła wrzeszczeć na widok dzikiego kota.

Chwiejnie cofnęła się do tyłu o trzy kroki, aż w końcu ciężko oparła się plecami o samochód. Groźne oczy kuguara wpatrywały się w nią nieruchomo. Było to wypchane zwierzę, które zostało przyczepione do balustrady. Mimo to okropnie się przestraszyła.

Ujrzała przeraźliwie ostre kły i pazury. Z łatwością można się domyślić, co spotkałoby nieostrożnego człowieka, który stanąłby oko w oko z żywym okazem. Zwierzę znajdujące się na werandzie zachowało się w doskonałym stanie. Nigdzie nie było widać ani kropli krwi i tylko dzięki temu dudniące jak młot serce Tess powoli zaczęło się uspokajać. To ozdoba, pomyślała zdziwiona, zwyczajna ozdoba, coś w rodzaju dywanu przerzuconego przez poręcz. Wciąż jeszcze drżąc jak liść, okrążyła kuguara szerokim łukiem, weszła po schodach i zbliżyła się do drzwi wejściowych.

Co za ludzie, pomyślała. Stawiają przy wejściu do domu wypchanego dzikiego kota. Z nerwowym uśmiechem na ustach spozjrzała na trzymany w rękach prezent. A potem czytają Keatsa.

Jezu Chryste, co za kraj!

W momencie kiedy podnosiła rękę, żeby zapukać, drzwi się nagle otworzyły. Tess była zadowolona, że mimo bardzo napiętych nerwów nie zaczęła krzyczeć.

Niska, śniada kobieta przyglądała się jej z powagą. Była niezwykle tęga, miała na sobie gruby czarny płaszcz, poowijany dodatkowo kilkoma szalami. Następny szal okrywał jej czarne włosy, mimo to Tess zdołała zauważyć w nich pasemka siwizny.

- Seniorita - powiedziała cudownie melodyjnym głosem. - Czym mogę służyć?

Jej melodyjny, aksamitny głos zafascynował Tess. Spoglądała na drobną, pokrytą zmarszczkami twarz i równocześnie próbowała znaleźć jakąś, odpowiednią dla tej kobiety, rolę charakterystyczną. Uśmiechnęła się promiennie.

- Witam. Jestem Tess Mercy.

- Miło mi, seniorita Mercy. - Słyszac nazwisko Mercy, kobieta otworzyła szerzej drzwi i cofnęła się do tyłu, zapraszając do środka.

- Chciałabym zobaczyć się z Nate'em, oczywiście jeśli nie jest zbyt zajęty.

- Pracuje w swoim biurze. To tam, na końcu holu. Zaprowadzę panią.

- Widzę, że pani właśnie wychodzi. - Tess wcale nie chciała, żeby ktokolwiek zapowiedział jej przybycie. - Myślę, że trafię, senora...

- Cruz. - Stara kobieta zamrugła powiekami, widząc wyciągniętą rękę Tess, a w końcu ujęła ją energicznie. - Pan Nate będzie bardzo zadowolony z pani wizyty.

Tess wcale nie była tego taka pewna.

- Mam dla niego mały prezent - wyjaśniła i pokazała zapakowaną książkę. - To ma być niespodzianka.

- Bardzo się cieszę. Trzecie drzwi po lewej. - Dyskretny uśmiezek, który pojawił się na ustach senory Cruz, dał do zrozumienia Tess, że prawdziwa przyczyna jej odwiedzin jest aż nazbyt oczywista. Przynajmniej dla innej kobiety. - Dobranoc, seniorita Mercy.

- Dobranoc, senora Cruz. - Kiedy drzwi się zamknęły i Tess została sama w opustoszałym holu, zaśmiała się cicho.

Na ciemnej drewnianej podłodze leżały jasne dywany w geometryczne wzory, a na kremowych ścianach wisały oryginalne, czarne szkice. Piękne bukiety zasuszonych kwiatów tkwiące w mosiężnych wazach to najprawdopodobniej dzieło senory Cruz, pomyślała Tess, przechodząc przez hol.

Ogień miło trzaskał w kominku i lizał kamienne palenisko. Na wyłożonym kamieniami gzymsie stały cynowe świeczniki i spora kolekcja niecodziennych przycisków do papieru. Typowo męskie meble wyglądały na niezwykle wygodne. Ich ciemne kolory kontrastowały z jasnymi ścianami i dywanami.

Tess doszła do wniosku, że jest to bardzo efektowne połączenie. Proste, męskie, a mimo to miłe dla oka.

Kiedy zbliżyła się do drzwi biura, usłyszała ciche tony koncertu Mozarta.

A oto i on, Nate - długi jak tyczka i tak niesamowicie seksowny, tak bardzo podobny do Jimmy'ego Stewarta. Siedział za ogromnym dębowym biurkiem na wyłożonym skórą krześle z wysokim oparciem. W żółtym notesie robił jakieś notatki, a biurowa lampka rzucała na skos światło, które przelewało mu się przez palce. Miał zmarszczone czoło i rozluźniony krawat. Jego gęsta złota czupryna była kompletnie rozwichrzona. Kiedy przejechał po niej palcami, Tess doszła do wniosku, że sam się tak rozczochrał.

Była zaskoczona, gdy poczuła, że mocniej bije jej serce.

Zdziwiona własną reakcją obserwowała go jeszcze przez dobrą chwilę. Cieszyła się, że widzi go przy pracy, tak zajętego, że nawet nie zdaje sobie sprawy z jej obecności.

Pokój wypełniony był po brzegi książkami. Na biurku, obok łokcia Nate'a, stała filiżanka kawy, a w tle słychać było piękną muzykę.

Nate, nie ma już dla ciebie ratunku, pomyślała i poprawiła włosy.

- Dobry wieczór, mecenasie Torrence. - Stojąc w drzwiach, świadomie przyjęła

odpowiednią pozę i uśmiechnęła się spokojnie, widząc jak gwałtownie unosi głowę, odrywa się od pracy i, wyraźnie zaskoczony, usiłuje skupić na niej wzrok.

- Kogo ja widzę. Panna Mercy. - Na jej widok zeszywniał.

Zauważył, że w jej włosach i na ramionach płaszcz wciąż było widać płatki śniegu. Poczul się jeszcze bardziej spięty, gdy dostrzegł na jej ustach tajemniczy, kobiecy uśmiech.

Mimo to, jak przystało mężczyźnie, który w każdej sytuacji czuje się swobodnie, oparł się o krzesło. - Co za miła niespodzianka!

- Liczę na to, że nie kłamiesz. Mam również ogromną nadzieję, że nie przeszkadzam w czymś niezwykle istotnym.

- To nic ważnego. - Zdążył już całkowicie zapomnieć o robionych przed chwilą notatkach.

- Wpuściła mnie senora Cruz. - Ruszyła w stronę biurka.

Przypomniała sobie o dzikim kocie i postanowiła, że jak kotka pobawi się swoją ofiarą, zanim zada jej śmiertelny cios. - Twoja gospodyni.

- Moja dozorczyńni. - Prawdę mówiąc, był piekielnie zakłopotany. Czy powinien wstać i zaproponować drinka, czy raczej lepiej będzie, jeśli zostanie za biurkiem? Co tu jest grane, do diabła! Dlaczego patrzy na niego takim wzrokiem, jakby przed momentem oderwała wargi od jego ust? - Maria i jej mąż, Miguel, pilnują tu wszystkiego. Czy to wizyta towarzyska, Tess, czy potrzebny ci prawnik?

- Nie, przyjechałam tu w celach towarzyskich. Czysto towarzyskich. - Zdjęła płaszcz i obserwowała błysk, który pojawił się w jego oczach. Doszła do wniosku, że pomysł włożenia tej właśnie sukienki okazał się doskonały. - Mówiąc szczerze, musiałam na chwilę wyrwać się z domu. - Przerzuciła płaszcz przez poręcz krzesła, potem przysiadła na brzegu biurka, podsuwając przy okazji w górę brzeg sukienki i tym sposobem jeszcze bardziej odsłaniając uda. - Niewielki atak klaustrofobii.

- Zdarza się. - Wiedział o tym, że ma fantastyczne nogi, ale od dłuższego czasu widywał ją tylko w dzinsach albo grubych wełnianych spodniach. Odsłoniła je teraz znacznie powyżej kolan. Na ten widok kompletnie zaschło mu w gardle. - Napijesz się czegoś?

- Bardzo chętnie. - Powoli skrzyżowała nogi. Znowu, jakby niechcący, podsunęła sukienkę do góry. - A co masz?

Coraz lepiej, pomyślała, i odsunęła się od biurka.

- Sama zobaczę, dobrze? - Podeszła do barku znajdującego się w drugim końcu pokoju i zdecydowała się na wermut. - Ty się też napijesz?

- Chętnie. Dziękuję. - Odsunął kawę na bok. Kofeina w tej sytuacji mogłaby okazać

się zgubna. - W ciągu ostatnich kilku dni nie miałem czasu, żeby wpaść. Co u was słychać? - Jest cicho i spokojnie. - Napełniła dwa kieliszki i podeszła z powrotem do Nate'a. Wręczyła mu jeden i ponownie oparła się o biurko, tym razem jednak z jego strony. - Chociaż świątecznie. — Nachyliła się, aby trącić się z nim kieliszkiem.

- Zbliżają się święta! Prawdę mówiąc... - Wypiła małeńki łyżeczek. - Jest to jeden z powodów mojego przyjazdu. - Sięgnęła na drugą stronę biurka, uniosła do góry paczuszkę i położyła ją przed nim. - Wesołych świąt Bożego Narodzenia, Nate.

- Dajesz mi prezent? - Spoglądając na paczkę, przymrużył oczy, zupełnie jakby spodziewał się, że zaraz wybuchnie. - To tylko taki drobiazg. Jesteś wspaniałym przyjacielem i doradcą. - Ostatnie słowo wymówiła z naciskiem i uśmiechnęła się. - Otworzysz go teraz, czy zaczekasz do świąt? Dotknęła językiem górnej wargi i w tym momencie cała krew odpłynęła mu z mózgu i zgromadziła się w lędźwiach. - Właściwie teraz mogę już wracać.

- Uwielbiam dostawać prezenty - powiedział i rozerwał papier. Kiedy zobaczył książkę, poczuł się z lekka zakłopotany, a równocześnie niezwykle wzruszony. - Uwielbiam również Keatsa - wymruczał niezbyt wyraźnie. - Tak właśnie słyszałam. Przyszło mi na myśl, że może, czytając jego wiersze, czasem pomyślisz i o mnie. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie potrzebuję żadnych dodatkowych bodźców, żeby o tobie myśleć.

- Naprawdę? - Przynęła się do niego o kilka centymetrów, przechyliła się i chwyciła go za rozluźniony krawat. - A co myślisz? - W tym momencie myślę, że próbujesz mnie uwieść.

- Jesteś niezwykle bystry i inteligentny. - Roześmiała się i zsunęła się mu na kolana. - Na dodatek masz absolutną rację. - Pociągnęła gwałtownie za krawat, a jego usta znalazły się na jej wargach. - Jego pożądanie było tak samo proste i bezpretensjonalne, jak on sam i dom, w którym mieszkał. Zamknął dłonie na jej ciepłych i obfitych piersiach. Przynęła się i usiadła okrakiem na jego kolanach. W tym momencie przeniósł dłonie na jej pośladki.

W czasie, kiedy Nate próbował złapać pierwszy oddech, Tess zdążyła już odrzucić na bok jego krawat i szarpała się z koszulą.

- Gdybym jeszcze tydzień musiała czekać, aż mnie weźmiesz w ramiona, zaczęłabym krzyczeć. - Ugryzła go w szyję. - A, prawdę mówiąc, wolę krzyczeć w twoich ramionach.

Nate wciąż jeszcze nie zdołał złapać tchu, mimo to przez cały czas miał ręce pełne roboty. Uniósł do góry tę krótką, niezwykle dopasowaną sukienkę i powyżej koronkowego brzegu pończoch znalazł cudowne, jędrne ciało.

- Nie możemy... tutaj. - Wrócił do jej piersi, nie mogąc się zdecydować, czym chce się nacieszyć w pierwszej kolejności. - Chodźmy na górę - wydusił z siebie i przywarł do jej ust.

- Wezmę cię na górę.

- Tutaj. - Gdy jego wargi prześlizgnęły się wzdłuż jej szyi w dół, odchyliła do tyłu głowę. Miał wspaniałe usta. Tak jak przypuszczała. - Tu i teraz. - Lada chwila eksploduje. Zaczęła szarpać się z jego paskiem. - Pospiesz się. Pierwszy raz chcę, żeby było szybko. W finezję zabawimy się później.

Pragnął dokładnie tego samego. Podniecony do granic wytrzymałości, zdesperowany próbował rozpiąć zamek błyskawiczny jej sukienki. W tym samym czasie ona szarpała się z jego spodniami.

- Nie mam... Jezu Chryste, ale masz figurę. - Zsunął sukienkę w dół i zobaczył jej cudowne, pełne piersi, falujące w głęboko wyciętym czarnym staniku. Zębami odsunął stanik i przywarł ustami do jej ciała.

To był szok. Zawsze uważała, że ma spory temperament. Ale te ruchliwe wargi przesuujące się po jej nagiej skórze gwałtownie zepchnęły ją w przepaść bez dna. Naprężyła całe ciało, a świat wokół niej dziko zawirował.

- Boże! O mój Boże! - Odchyliła głowę do tyłu i rozkoszowała się tą pierwszą, fantastyczną falą rozkoszy. - Chcę więcej. Od razu.

Nate był całkowicie oszołomiony. Jego ręce wciąż błądziły po jej ciele, przycisnął wargi do jej ust i próbował myśleć.

- Musimy iść na górę, Tess. Zazwyczaj nie kocham się na biurku. Nie jestem na to przygotowany.

- Nie przejmuj się. - Oparła głowę o jego czoło i wzięła trzy głębokie oddechy. Boże, drży jak uczennica. - Ale ja jestem.

Sięgnęła do tyłu i zaczęła czegoś szukać po drugiej stronie biurka. Kiedy wykorzystał sytuację i przyssał się do jej piersi, zrzuciła kilka rzeczy na podłogę. Zaczęła ciężko dyszeć. Zakłęła, kiedy nie była w stanie skupić wzroku i musiała po omacku szukać swej torebki. Otworzyła ją, potrząsnęła i wysypała z niej prezerwatywy.

Zamrugął oczami. Jeden rzut oka pozwolił mu zauważyć, że jest ich co najmniej tuzin. Zaskoczony odchrząknął.

- Nie wiem, czy powinienem się przestraszyć, czy potraktować to jak pochlebstwo.

Wybuchnęła śmiechem. Siedziała niemal półnago, była piekielnie podniecona i śmiała się jak szalona. - Potraktuj to jak wyzwanie.

- Nieźle się to zapowiada. - Kiedy jednak sięgnął po nie, odsunęła je poza zasięg jego ręki.

- O nie. Pozwól, że ja to zrobię. Patrząc mu w oczy, rozerwała opakowanie. Przez cały

czas słycać było wspaniale i dostojne dźwięki koncertu Mozarta; ona tymczasem uwolniła Nate'a ze spodni, zamruczała niecierpliwie jak kotka, po czym powoli, zadając mu niewymowne męki, zadbała o ich wspólne bezpieczeństwo.

Nie był w stanie oddychać, palce wbił w oparcie krzesła. Miała wprawne i niezwykle delikatne ręce. W tym momencie jednak przeraziła go myśl, że może okryć się hańbą i zbłąźnić się jak nastolatek, który nigdy wcześniej nie miał kobiety.

- Cholera, jesteś fantastyczna. Z uśmiechem przesunęła się nieco.

- Myślałam o tym od chwili, kiedy po raz pierwszy cię ujrzałam. Kiedy uniosła się nad nim, chwycił mocno jej pośladki i przytrzymał ją wysoko w górze. Oboje drżeli.

- Tak? To znaczy, że myśleliśmy o tym samym. Objęła go mocno i szukając oparcia, zagłębiła paznokcie w jego plecach.

- Dlaczego zatem czekaliśmy tak długo? - Do jasnej cholery, nie wiem. - Patrząc jej prosto w oczy, opuścił ją powoli, równocześnie wsuwając się w nią. Zadrżała, z jej krtani wydobył się długi, niski jęk, ale nie poruszyła żadnym mięśniem. Zamknęła oczy, a po chwili je otworzyła. - No właśnie - powiedziała i ponownie się uśmiechnęła. - No właśnie. - Jego ręce wciąż spoczywały na jej pośladkach, kiedy zaczęła się poruszać.

Później, kiedy wyczerpana opierała się o niego, sięgnął po telefon. Jęknęła lekko, gdy odsunął ją i wykręcił numer.

- Will? Tu Nate. Tess jest u mnie... Tak. Zostanie na noc. Odwrócił głowę i dotknął jej gołych pleców. W tym momencie zdał sobie sprawę, że nie zdążył zdjąć z niej sukienki. Pomyślał jednak, że będzie na to dużo czasu i skupił się na rozmowie z Willą. - Nie, dobrze się czuje. Jest wspaniała. Wróci rano. Cześć.

- To było ładnie z twojej strony - wymruczała Tess. Rozpięła kilka guzików jego koszuli i czubkami palców ślizgała się po delikatnej nagiej skórze. - Martwiłaby się.

Zajął się zrolowaną gdzieś w okolicach pasa sukienką, w końcu ściągnął ją przez głowę. Tess miała teraz na sobie jedynie wykończone na górze koronką pończochy i seksowne szpilki. Na jej ustach błąkał się uśmieszek, chciał aby jak najszybciej przestała się uśmiechać z taką wyższością.

- Jak się czujesz?

- Wspaniale. - Odrzuciła do tyłu włosy i objęła go rękami za szyję. - A ty?

Wsunął ręce pod jej pośladki, uniósł ją i wstał.

- Świetnie - powiedział, po czym położył ją na biurku. Odsunął notes, który leżał między jej głową a plecami. - Na dodatek właśnie mam zamiar poczuć się jeszcze lepiej.

Zaskoczona i zaciekawiona uśmiechnęła się.

- Nie do wiary! Druga kolejka? Tak szybko?

- Po prostu trzymaj się, kochanie. - Przebiegł palcami po jej skórze. Ogromnie się ucieszył, kiedy poczuł, że drży. - Trzymaj się bardzo mocno.

Już po chwili doszła do wniosku, że musi potraktować to ostrzeżenie niezwykle poważnie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W ostatnich dniach starego roku temperatura nieco wzrosła. Na czystym, jasnobłękitnym niebie świeciło słońce i dzięki temu zrobiło się trochę cieplej. Oczywiście, o tej porze roku oznaczało to błoto i roztopy, a gdyby z powrotem zaczął wiać kapryśny, mroźny wiatr, wszędzie dookoła powstałoby jedno lodowisko. Mimo to wszyscy bardzo się cieszyli chwilowym ociepleniem.

Ubrana w lekką dzinsową kurtkę Willa sprawdzała ogrodzenie, a przy usuwaniu uszkodzeń wesoło pogwizdywała. Góry opatulone były fantastycznymi, śnieżnymi czapami, a wyraźnie widoczne na nich fałdy i zagięcia sprawiały, że biel wydawała się jeszcze jaśniejsza niż była w rzeczywistości. Ciepły suchy wiatr szybko topił śnieg i na białej powierzchni pastwisk pojawiły się ciemne plamy ziemi oraz trawy. Mimo to zasy piętzące się wzdłuż przecinających ranczo dróg wciąż były wyższe niż łązik. Amerykańskie topole, które straciły swe gronostajowe okrycia, stały teraz nagie, czarne i wilgotne, podczas gdy sosny odcinały się od tła soczystą dziewczęcą zielenią.

Willa doszła do wniosku, że chyba udzieliło jej się podniecenie i radosny nastrój Lily. Przedświąteczna gorączka opanowała cały dom i tylko straszny ponurak zdołałby się jej oprzeć.

Chyba to właśnie sprawiło, że uległa nieśmiałej prośbie Lily, by urządzić w Mercy noworoczne przyjęcie. Biorąc pod uwagę wszystko, co wydarzyło się ostatnio na ranczu, taka perspektywa powinna ją przecież przerażać: tłum gości oznaczał bowiem, że trzeba będzie się ładnie ubrać, a potem bawić ich rozmową.

Mimo to sama musiała przyznać, że z ogromną niecierpliwością czeka na to przyjęcie.

Lily, Bess i Nelly urzędowały w kuchni i przygotowywały jedzenie. Cały dom został wysprzątnany, wypastowany, wypolerowany, aż lśnił, a Willi polecono, aby się wykapała, ubrała i była gotowa dokładnie na ósmą. Czowała, że ze względu na Lily dostosuje się do tych zaleceń.

Sama nie wiedziała, jak to się stało, ale w ciągu tych kilku miesięcy pokochała tę obcą kobietę, która była przecież jej siostrą.

Zresztą czy można nie kochać Lily, zastanawiała się, wsiadając na Moon. Lily jest dobra, miła i cierpliwa. A na dodatek zupełnie bezbronna. Willa dotychczas bardzo starała się zachować dzielący je dystans, mimo to niepostrzeżenie stawały się sobie coraz bliższe. Doszło do tego, że teraz nie umiałyby już sobie wyobrazić Mercy bez drobnych zmian, które wprowadziła Lily.

Lily uwielbiała zbierać gałązki i wstawiać je do starych butelek. Nie wiadomo, jak to robiła, ale wyglądały wesoło i uroczo. Gdzieś z dna kredensu powygrzebywała stare wazy i teraz układała w nich owoce, a do słomianych koszyków wrzucała sosnowe szyszki. Z pomieszczenia, gdzie znajdował się basen, ukradkiem wynosiła rośliny i rozstawiała je po pokojach.

Ponieważ nikt się nie skarżył, realizowała następne pomysły. Kupowała świece zapachowe i zapalała je wieczorami. Dzięki temu cały dom pachniał wanilią, cynamonem i Bóg jeden raczy wiedzieć czym jeszcze.

Willa uznała, że dzięki temu było w nim teraz miło i przytulnie.

Poza tym chyba nawet ślepy zauważyłby, że Adam jest zakochany w Lily. Na pewno jest pod wrażeniem jej ogromnej delikatności i wrażliwości i trochę się tego obawia, ale bardzo ją kocha. Willa przypuszczała, że to uczucie, jeśli poświęci mu się odrobinę czasu i troski, może przynieść obojgu prawdziwe szczęście. Szczerze jednak wątpiła, czy Lily zdaje sobie sprawę, jak głęboką miłością darzy ją Adam. Chyba raczej sądzi, że jest dla niej po prostu miły i uprzejmy.

Willa zeskoczyła z konia i zabrała się za naprawę następnych zerwanych drutów.

Oczywiście, była również i Tess. Willa nie mogłaby powiedzieć, że kocha Hollywood, ale na pewno nie żywiła już do niej tak ogromnej urazy jak kiedyś. Zresztą przez większość czasu Tess nie wchodziła jej w drogę. Zamykała się na kilka godzin dziennie i w tym czasie pisała albo rozmawiała przez telefon ze swoim agentem. Willa czuła, że łącząca je, wciąż jeszcze bardzo słaba więź, powoli zaczyna się zacieśniać. Wcale nie była z tego zadowolona, ale też nie mogła się tego wyprzeć.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co łączy Tess i Nate'a. Postanowiła jednak na razie o tym nie myśleć, uważając, że ten układ nikomu nie przyniesie szczęścia. Kiedy tylko czas wyznaczony przez testament dobiegnie końca, Tess natychmiast wsiądzie do samolotu lecącego do Los Angeles i całkowicie zapomni o istnieniu Nate'a.

Willa miała jedynie nadzieję, że Nate wie o tym równie dobrze jak ona.

A co z tobą, Will? - zadała sobie pytanie. Oparła się o słup, spojrzała na góry i zaczęła marzyć o chwili, kiedy będzie mogła wskoczyć na grzbiet Moon i jechać coraz wyżej i wyżej, aż znajdzie się wśród śniegu, drzew i nieba. Otoczona zewsząd ciszą, która tam panuje. Ciszą, zakłócaną jedynie przez delikatny szmer topniejącego powoli śniegu, który toruje sobie drogę wśród lodu i kamieni. Tęskniła za powiewem wiatru wśród gałęzi sosen i za tym wspaniałym zapachem, który jest po prostu oddechem ziemi.

Marzyła o dniu wolnym od odpowiedzialności i obowiązków. O dniu bez ludzi,

którym trzeba wydawać polecenia, bez ogrodzeń, które należy sprawdzać, bez bydła, które trzeba nakarmić. Po prostu o dniu beczynnego spoglądania w niebo i snucia marzeń.

Zaczęła się zastanawiać, czego pragnęłaby w takim dniu, i pełna wątpliwości potrząsnęła głową. Wokół niej jest tyle miłości i tęsknoty, seksu i pożądania. Czy ona również marzyłaby właśnie o tym? Czy snułaby jakieś fantastyczne rozważania i próbowała odgadnąć, jakby to było, gdyby Ben pokazał jej, co mogą ze sobą robić mężczyzna i kobieta?

Czy może raczej jej myśli krążyłyby wokół krwi i śmierci, wokół poniesionych strat i dręczącego ją poczucia winy? Czy gdyby wjechała między te wzgórza, znalazłaby jakieś martwe zwierzę lub zmasakrowanego człowieka? Czy to oznaczałoby, że to ona ponosi za to winę, ponieważ straciła nad wszystkim kontrolę?

Nie może ryzykować.

Wróciła do Moon, położyła dłoń na strzelbie, westchnęła i wskoczyła na siodło.

W oddali zauważyła jeźdźca i miała nadzieję, że to Ben z Charlie'em u nogi galopuje w jej stronę. Kiedy rozpoznała Adama, przez moment poczuła się rozczarowana. Obserwując brata, przywołała się jednak do porządku.

Ależ on jest przystojny! A jaki mocny!

- Ostatnio raczej nie jeździsz samotnie - zawołała. Uśmiechnął się i ściągnął lejce. - Boże, co za dzień! - Westchnął głęboko i uniósł twarz w kierunku nieba. - Lily przygotowuje wszystko na przyjęcie, zdołała wciągnąć w to nawet Tess. - W związku z tym musisz się zadowolić moim towarzystwem.

- Przyglądała mu się uważnie. Roześmiała się, widząc na jego twarzy zaskoczenie i wyraźne poczucie winy. - Tylko żartuję, Adamie. Poza tym, chociaż wiem, że z przyjemnością wykonujesz to zadanie, jestem ci bardzo, bardzo wdzięczna, że masz je obie na oku.

- Lily w ogóle przestała o tym myśleć. - Zawrócił swego wierzchowca i teraz jechał dalej u boku Willi. - Podejrzewam, że w taki sam sposób uporała się ze swoim małżeństwem. Nie wiem, czy to jest najlepsze rozwiązanie, ale wygląda na to, że dzięki temu udało jej się odzyskać spokój. - Jest tu szczęśliwa. I to głównie dzięki tobie. Zdał sobie sprawę, że Willa doskonale wie o jego najgłębszych uczuciach. Zawsze świetnie je znała.

- Myślę, że potrzebuje jeszcze trochę czasu. Wtedy zrozumie, że jest tu bezpieczna. Uwierzy, że jej pragnę i dlatego nigdy nie wyrządę jej krzywdy.

- Czy opowiadała ci coś o swym byłym mężu?

- Niewiele, jakieś nieistotne szczegóły. - Adam niespokojnie wzruszył ramionami. Bardzo chciał dowiedzieć się więcej, prawdę mówiąc, chciał wiedzieć wszystko. Bardzo go

bolało, że coś przed nim ukrywa. - Spotkała go, gdy pracowała jako nauczycielka. Bardzo szybko się pobrali, i to był poważny błąd. Niechętnie mówi coś więcej. Sądzę, że w głębi serca wciąż się boi. Jeśli poruszę się nieco szybciej albo gwałtowniej, natychmiast przerażona podskakuje. Kiedy to widzę, jest mi bardzo przykro. Chyba jeszcze przez jakiś czas będzie cię bolało serce, pomyślała Willa. Zawsze tak było, gdy Adam stykał się z ludźmi skrzywdzonymi przez los.

- Bardzo się zmieniła w czasie krótkiego pobytu tutaj i znajomości z tobą. Częściej się uśmiecha i więcej mówi.

Przekrzywił głowę.

- Polubiłaś ją. - Trochę. Uśmiechnął się. - A Tess? - Na pewno nie mogę powiedzieć, że ją lubię - oznajmiła sucho.

- Bardzo się staram, żeby ją tolerować.

- Jest kobietą zdecydowaną i inteligentną, poza tym doskonale wie, czego chce. Jest bardziej podobna do ciebie niż do Lily.

- Obrażasz mnie.

- To i tak nie zmienia faktu, że tak jest naprawdę. Bez wahania stawia czoło wszystkim przeciwnościom losu i potrafi zmusić je, żeby nawet one działały na jej korzyść. Nie jest aż tak obowiązkowa jak ty, ani nie ma tak miękkiego serca, mimo to doskonale wie, co to jest poczucie obowiązku, i naprawdę ma dobrą naturę. Bardzo ją lubię.

Spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

- Nie bujasz?

- Nie. Kiedy uczyłem ją jeździć konno, kilka razy spadła.

Wstawała, strzepywała kurz z dżinsów i z powrotem wskakiwała na koński grzbiet. - Spojrzał Willi w oczy i przypomniał sobie, że ona postępowała dokładnie tak samo, kiedy starała się pokonać jakąś trudność. - To wymaga odwagi i determinacji. Poza tym dumy. Oboje z Lily żartowaliśmy z niej, a ona i tak się nie poddawała. Na dodatek powiem ci o czymś, czego nawet ona sama jeszcze nie wie.

- Czy to jakaś tajemnica? - Z uśmiechem Willa zbliżyła konia i ściszyła głos, chociaż w odległości wielu kilometrów nie było żywej duszy. Słońce chyliło się już ku zachodnim szczytom i coraz łagodniej oświetlało ziemię. - Powiedz wszystko, co wiesz. Jestem niezmiernie ciekawa.

- Zakochała się w koniach. Jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy albo nie potrafi się do tego przyznać, ale ja już to widzę. Po sposobie, w jaki je głaszcze, jak do nich przemawia i potajemnie daje im cukier, kiedy myśli, że tego nie widzę.

Willa zacisnęła wargi.

- Wkrótce klacze zaczną się źrebić. Zobaczymy, jak jej się to będzie podobało.

- Myślę, że nawet bardzo. Jeszcze coś: ona cię podziwia.

- Opowiadasz głupoty.

- Jeszcze jest za wcześnie, żebyś to zauważyła, ale ja to widzę.

- Przymrużył oczy i ocenił odległość dzielącą ich od domu. - Ścigajmy się do obory.

- Ruszamy! - Z okrzykiem na ustach ścisnęła boki Moon i na łeb na szyję ruszyła do przodu.

Weszła do domu lekko zaróżowiona, a oczy błyszczały jej z zadowolenia. Nikomu nie udało się pokonać Adama pędzącego na koniu, ona jednak była tego bardzo bliska. Cholernie bliska. Dzięki temu wyraźnie poprawił jej się nastrój. Niestety, w tym momencie zobaczyła schodzącą po schodach Tess i z powrotem się zachmurzyła.

- Nareszcie jesteś. Jazda na górę, Annie Oakley! Czas na przyjęcie, a roztaczane przez ciebie zapachy wcale nie pasują do dzisiejszego wieczoru.

- Mam jeszcze dwie godziny czasu.

- To może być zbyt mało, byś zdołała upodobnić się do kobiety.

Weź prysznic.

Prawdę mówiąc, to właśnie miała zamiar zrobić, ale usłyszawszy polecenie, zmieniła plany.

- Mam jeszcze trochę papierkowej roboty.

- O nie! To niemożliwe! - Obok niej nagle pojawiła się Lily, która gwałtownie machała rękami. - Jest już szósta.

- No i co z tego? Nie mam zamiaru uwodzić żadnego z gości.

- Ale też nie musisz żadnego z nich obrażać. - Z ciężkim westchnieniem Tess chwyciła ją za rękę i zaczęła ciągnąć schodami w górę.

- Hej!

- Chodź, Lily. Nie dam sobie rady sama. Lily zagryzła wargi i chwyciła Willę za drugą rękę. - Zobaczysz, że będzie bardzo miło. Przyjdą różni ludzie. Przez cały czas tak ciężko pracujesz. Obie z Tess chcemy, żebyś się dobrze bawiła.

- W takim razie trzymajcie te cholerne łapy przy sobie. - Bez trudu uwolniła się od Lily, ale Tess wzmocniła jedynie uchwyt i wciągnęła Willę do sypialni.

- Daję ci pięć sekund. Jeśli mnie nie puścisz, stłukę cię na... - na widok leżącej na łóżku sukienki Willa urwała w pół zdania.

- Cóż to jest, do diabła?

- Przejrzałam rzeczy w twojej szafie, a ponieważ nie znalazłam w niej niczego, co choćby w najmniejszym stopniu przypominało suknię wieczorową...

- Zaczekaj! - Tym razem Willa dużo mocniej szarpnęła rękę i odwróciła się. - Grzebałaś w mojej szafie?

- Nie widzę w tym nic niestosownego. Prawdę mówiąc, myślałam, że wpadłam do kosza ze starymi szmatami, ale Bess zapewniała mnie, że to jest twoja szafa.

Lily poczuła, że ma wilgotne dłonie, mimo to zdecydowanie stanęła między nimi.

- Wybrałyśmy dla ciebie jedną z sukienek Tess.

- Tess? - Z szyderczym uśmiechem Willa zmierzyła Tess od stóp do głów. - Musiałyście chyba zniszczyć połowę materiału, żeby dopasować to na mnie.

- Prawie - odpaliła Tess. - A najwięcej w biuście. Okazało się jednak, że Bess jest doskonałą krawcową. W związku z tym wcale nie jest wykluczone, że będziesz wyglądała w niej niezwykle atrakcyjnie, mimo że masz nogi jak patyki i jesteś płaska jak deska.

- Tess! - Lily syknęła i szturchnęła starszą siostrę w bok. - Prawda, że to piękny kolor? Fantastycznie wyglądasz w kolorach szlachetnych kamieni, a ten odcień błękitu jest wprost stworzony dla ciebie. Tess była niezwykle wspaniałomyślna i pozwoliła dokonać niezbędnych poprawek.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie lubiłam tej kiecki - oznajmiła Tess beztrąsko. - Kupienie jej było poważnym błędem z mojej strony.

Lily na moment przymknęła oczy i zaczęła się modlić o cierpliwość.

- Wiem, że organizując tego sylwestra przysporzyłam ci mnóstwo kłopotów. Jestem ci tak bardzo wdzięczna, że pozwoliłaś mi go zaplanować i zrealizować. Zdaję sobie również sprawę, że w ciągu ostatnich dni prawie całkowicie zawładnęłam tym domem. Przypuszczam, że to zamieszanie bardzo cię irytowało.

Willa przesunęła ręką po włosach, zdając sobie sprawę, że poniosła całkowitą klęskę.

- Doprawdy sama nie wiem, której z was należy przypisać większą zasługę, ale to jest zupełnie nieistotne. Niech to diabli wezmą! Po prostu wyjdźcie stąd obie. Sądzę, że zdołam sama wziąć prysznic i ubrać się w tę głupią sukienkę.

Zadowolona ze zwycięstwa Tess chwyciła Lily za rękę i pociągnęła ją w stronę drzwi. - Nie zapomnij umyć włosów, złościco.

- Idźcie już do diabła! - Willa jednym kopnięciem zamknęła za nimi drzwi.

Czuła się jak idiotka. Niewątpliwie, zanim wieczór dobiegnie końca, porządnie zmarznie jej tyłek. I to z powodu jakiejś głupiej kiecki. Stojąc przed lustrem, próbowała obciągnąć ją do dołu.

Udało jej się w ten sposób wydłużyć sukienkę o jakieś dwa centymetry, lecz równocześnie pogłębił się i tak już bardzo głęboki dekolot.

Albo cycki, albo tyłek, pomyślała, drapiąc się po głowie i nie mogąc się zdecydować, co bardziej chce ukryć.

Sukienka miała co prawda rękawy i Willa bardzo się z tego powodu cieszyła. Ale zaczynały się one dopiero w połowie ramion i za nic w świecie nie chciały trzymać się bliżej szyi. Całość uszyta była z bardzo cienkiego, delikatnego materiału, który przylegał do ciała jak druga skóra.

Wściekła włożyła szpilki i odbyła skróconą lekcję chodzenia. Kiedy podnosiła nogę, sukienka unosiła się do góry, odsłaniając przy okazji spory kawałek ud.

- Chromo! - Podeszła jeszcze bliżej do lustra i doszła do wniosku, że może w takim razie pójść na całego i zrobić użytek z mizernych zasobów kosmetyków. W końcu to sylwester.

Materiał, z którego uszyta została sukienka, miał piękny błękitny kolor. Po obiektywnej obserwacji własnego odbicia uznała, że być może nie ma wspaniałego dekolotu, chociaż nieźle wygląda z tym wycięciem w kształcie litery V, za to jej plecy są całkiem, całkiem. Poza tym to cholerna bujda, że ma patykowate nogi. Rzeczywiście są długie, ale całkiem zgrabne, a ciemne rajstopy świetnie ukrywają kilka nowych siniaków, które odkryła po wyjściu spod prysznic.

Postanowiła w ogóle nie przejmować się włosami. Nigdy nie potrafiła ułożyć ich w loki ani wymyślić żadnej sensownej fryzury, w związku z tym po prostu rozpuściła je. Miała nadzieję, że to przynajmniej choć odrobinę ogrzeje jej odsłonięte, gołe plecy.

Przypomniała sobie, że na Boże Narodzenie dostała od Adama piękne kolczyki w kształcie gwiazdek. Przypięła je więc do uszu.

Wszystko będzie w porządku, jeśli tylko zdoła ustać na tych szpilkach przez całą noc. Niestety wiedziała, że w tej sukience pod żadnym pozorem nie będzie mogła usiąść.

- Och! Wyglądasz cudownie! - Były to pierwsze słowa, które wyrwały się z ust Lily, kiedy Willa zeszła po schodach na dół. - Po prostu cudownie - powtórzyła, podążając tanecznym krokiem na półpiętro. Miała na sobie śnieżnobiałą sukienkę, której fałdy przez cały czas wirowały wokół niej. - Tess, chodź, zobacz! Willa naprawdę wygląda bajecznie.

Tess wyszła z pokoju i znacząco chrząknęła. W swej prostej czarnej sukience wyglądała na wampa.

- Nieźle, naprawdę nieźle - powiedziała, w głębi duszy była jednak bardzo zadowolona z rezultatu. Opasała szyję Willy własną obrozą z pereł. - Jeszcze tylko odrobina

makijażu i wszystko będzie gotowe.

- Już się wymalowałam.

- Chryste! Ta kobieta ma oczy jak bogini i nie ma bladego pojęcia, co z nimi zrobić.

Chodź!

- Nie mam zamiaru wracać na górę i nakładać tony mazideł na twarz. - Willa zaprotestowała, kiedy Tess zaczęła ciągnąć ją za rękę.

- Kochanie. Mazidla, za które ja płacę, są najwyższej jakości. Zostawiamy ci dom pod opieką, Lily.

- Dobrze. Ale nie zabawcie długo. - Uśmiechnęła się do nich w przyływie siostrzanych uczuć.

Żałowała, że nie są w stanie spojrzeć na siebie z jej punktu widzenia i dostrzec, jak zabawny stanowią duet. Sprzeczą się tak jak, jej zdaniem, zazwyczaj robią to siostry. Noszą te same ubrania, używają tych samych kosmetyków i razem szykują się na przyjęcie.

Była niezmiernie zadowolona i wzruszona, że stanowi część tego wszystkiego. Zawirowała z radości i stanęła jak wryta, ujrawszy stojącego za jej plecami Adama.

- Nie słyszałam, kiedy otwierałeś drzwi.

- Wszedłem tylnym wejściem. - Mógłby patrzeć na nią bez końca. Wyglądała jak ciemnowłosa wróżka w fałdzistej, miękko układającej się białej sukience. - Ślicznie wyglądasz, Lily.

- Dziękuję.

Czuła, że jest prawie piękna. Za to on wyglądał tak fantastycznie, był tak doskonały w każdym calu. Nie mogła wprost uwierzyć, że jest prawdziwy. Chyba z tysiące razy w ciągu ostatnich kilku miesięcy marzyła o tym, żeby móc się do niego przytulić. Nie chodziło jej o przypadkowe dotknięcie ręki czy pogłaskanie po plecach, lecz o prawdziwe przytulenie się. W głębi duszy była święcie przekonana, że poczułby się tym urażony lub rozbawiony, a tego absolutnie nie chciała ryzykować.

- Cieszę się, że jesteś - powiedziała bardzo szybko. - Tess zabrała Willę na górę, żeby dokonać jakichś ostatnich poprawek, a lada chwila zaczną się schodzić goście. Nie czuję się zbyt dobrze w roli gospodyni. Nigdy nie wiem, co powinnam powiedzieć.

Kiedy Adam zrobił krok do przodu, cofnęła się, potem jednak zatrzymała się. Serce zabiło jej mocniej, kiedy przejechał palcami po jej policzku.

- Doskonale sobie poradzisz. Goście, kiedy cię zobaczą, również nie będą wiedzieli, co powiedzieć. Ja sam nie wiem.

- Ja... - W tej chwili poczuła ogromną ochotę zarzucenia mu rąk na szyję i przytulenia

się do niego. Po prostu przytulenia.

Była jednak całkowicie pewna, że zrobiłaby z siebie idiotkę. - Muszę pomóc Bess. W kuchni.

- Ona świetnie sobie ze wszystkim poradzi. - Patrzył jej prosto w oczy i, poruszając się bardzo wolno, wziął jej rękę w swoją dłoń. - Puśćmy sobie muzykę. Moglibyśmy nawet zatańczyć, zanim ktokolwiek się pojawi.

- Nie tańczyłam chyba od stu lat.

- Dzisiejszego wieczoru na pewno będziesz tańczyć - obiecał i wprowadził ją do salonu.

Zdążyli jedynie wybrać płytę i włożyć ją do odtwarzacza kompaktowego, kiedy światła pierwszych samochodów prześlizgnęły się po oknach.

- Obiecaj mi, że zatańczysz ze mną o północy - powiedział, splatając ich palce.

- Oczywiście. Boję się - przyznała się z uśmiechem. - Będziesz blisko mnie, prawda?

- Jak długo zechcesz. - Zerknął na Tess i Willę, które sprzecząc się schodziły po schodach. Ponieważ tego się spodziewały i naprawdę na to zasługiwały, Adam gwizdnął z podziwu. Tess mrugnęła, a Willa popatrzyła ponuro. - Najszybciej jak to możliwe muszę się napić czegoś mocniejszego. - Sycząc przez zęby, Willa podeszła do drzwi i powitała pierwszych gości.

W ciągu godziny dom wypełnił się ludźmi. Zewsząd dobiegały różne głosy, a w powietrzu unosiło się mnóstwo zapachów. Najwidoczniej nikt nie był na tyle znużony, by odmówić udziału w noworocznym przyjęciu. Każdy chętnie wychylał kieliszek szampana i zabierał głos w dyskusji na tematy polityczne czy religijne. Albo obgadywał sąsiadów i przyjaciół.

Willa bardzo szybko sobie przypomniała, dlaczego zaczęła unikać towarzystwa. Stało się to w chwili, kiedy Bethanne Mosebly precyzyjnie się do niej i zaczęła wypytywać o szczegóły morderstwa.

- Wszyscy jesteśmy zaszokowani tym, co przydarzyło się Johnowi Barkerowi. - Bethanne pomiędzy poszczególnymi zdaniami pochłaniała takie ilości szampana i robiła to z takim zapalem, że Willę aż korciło, by zaproponować jej słomkę. - To musiał być dla ciebie okropny szok.

Chociaż Willa nie od razu skojarzyła, że John Barker i Pikle to ta sama osoba, wścibskie i podekscytowane oczy Bethanne szybko naprowadziły ją na właściwy trop.

- Nie chciałabym przeżyć tego po raz drugi. Przepraszam najmocniej, ale muszę...

Nie zdążyła dokończyć zdania, ponieważ Bethanne kurczowo złapała ją za rękę.

- Chodzą słuchy, że pocięto go na kawałki. - Uczciła ten fakt następnym łykiem szampana, a na jej małym, ptasim dzióbku zostały lśniące kropelki tego trunku. - Był rozcięty po same żebra. - Długie, szponiaste palce zacisnęły się mocniej. - I oskalpowany.

Willa nagle poczuła mdłości, i to wcale nie z powodu obrazu, który stanął jej przed oczami, lecz na widok radości wyraźnie widocznej w oczach Bethanne. Chociaż wiedziała, że jest to kobieta całkowicie nieszkodliwa, grzesząca jedynie ogromnym zamiłowaniem do plotek, mimo to Willa bardzo musiała się starać, by opanować przenikający ją dreszcz.

- Został zamordowany, Bethanne, i to w brutalny sposób. Bardzo żałuję, że nie miałam przy sobie kamery video i nie nakręciłam filmu.

Nawet jawne obrzydzenie Willi, ani wyraźnie brzmiący w jej głosie sarkazm nie był w stanie uśmierzyć tej żądzы sensacji. Bethanne podeszła jeszcze bliżej. Otaczał ją niemiły zapach, stanowiący mieszankę szampana, perfum i kosmetyków.

- Ludzie mówią, że to mógł być każdy. Bez wyjątku. To straszne, mogą zamordować człowieka we własnym łóżku. Trudno w nocy spokojnie spać. Och, właśnie w czasie jazdy tutaj mówiłam Bobowi, jak ciągle o tym myślę.

Willa zmusiła się do bladego uśmiechu.

- Będę spokojniej spała, wiedząc, że się tak bardzo martwisz. Widzę, że nie masz już szampana, Bethanne. Bar jest tam.

Willa skorzystała z okazji i oddaliła się. Potrzebowała świeżego powietrza. Zastanawiała się, jak można oddychać, gdy tylu ludzi wokół zużywa tlen. Przeszła przez hol i nie zatrzymując się dotarła do drzwi wejściowych. Kiedy je otworzyła, stanęła twarzą w twarz z Benem.

Zamarła, podczas gdy on gapił się na nią kompletnie zaskoczony. Wcześniej niż Ben otrząsnęła się z oszołomienia, obeszła go i zbliżyła się do balustrady. Było na tyle zimno, że każdy jej oddech zamieniał się w obłoczek, a skóra w zetknięciu z chłodem szybko stygła. Ale powietrze było cudownie świeże. Tego właśnie tak bardzo potrzebowała.

Kiedy położył ręce na jej plecach i odwrócił ją do siebie, zazgrzytała zębami.

- Przyjęcie odbywa się wewnątrz.

- Ja tylko chciałem sprawdzić, czy to nie sen.

Z pewnością nie, pomyślał. Jest całkiem prawdziwa. Chłodna, naga skóra zaczęła delikatnie drżeć pod jego rękami. Jej ogromne, sarnie oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze i jeszcze większe. Ostry błękit materiału, z którego uszyta była jej sukienka, lśnił w świetle gwiazd. Willa nie nosiła dotąd niczego równie dopasowanego, uwydatniającego każdą wypukłość i zagłębienie, i niezwykle kusząco odsłaniającego jej zgrabne uda.

- Boże Wszechmogący, Will, wyglądasz tak wspaniale! Mógłbym cię schrupać. Obawiam się tylko, że stojąc tutaj odmrozisz swój zgrabny tyłeczek.

Wcześniej zdążył już rozpiąć płaszcz. Wykorzystał to teraz, podszedł do niej i otulił ją nim, ciesząc się, że przy okazji może potrzymać w ramionach to mocne, drobne ciało.

- Puść mnie! - Próbowała wywinąć się z jego rąk, ale on zdążył ją wcześniej złapać, zacisnąć mocniej ramiona i zamknąć jak w pułapce. - Wyszłam tutaj, do cholery, bo chciałam przez pięć minut być sama.

- No cóż, trzeba było włożyć na siebie płaszcz. - Zadowolony z sytuacji, pociągnął nosem. Zrobił to bardziej jak pies niż zakochany mężczyzna, dlatego usłyszał jej stłumiony śmiech.

- Pięknie pachniesz.

- Ta idiotka Tess czymś mnie spryskała. - Zaczynała się powoli rozgrzewać. - Na dodatek wypacykowała mi twarz. - Wygląda na to, że dobrze cię wypacykowała. - Uśmiechnął się, kiedy spojrzała na niego lekceważąco. - Powiedz mi, jak to się dzieje, że mężczyźni łapią się na coś takiego? Co jest tak niesamowitego w urodzie, która pochodzi ze słoiczków i tubek?

- Jesteśmy słabymi istotami, Will. Słabymi, głupiutkimi i nieskomplikowanymi. Chcesz całusa? - Zastygł w bezruchu o kilka centymetrów od jej szyi. Wybuchnęła śmiechem. - Przestań, McKinnon. Ty ośle! - Mimo to obejmowała go w pasie, czuła się już lepiej i niemal zapomniała, co tak bardzo wyprowadziło ją z równowagi. - Spóźniłeś się - dodała. - Twoi rodzice od dawna już tu są, przyszli również Zack i Shelly.

Myślałam, że się nie pojawisz.

- Coś mnie zatrzymało. - Pocałował ją, zanim zdążyła się uchylić, a ponieważ zapomniała zaprotestować, przedłużył pocałunek. - Tęskniłaś za mną?

- Nie.

- Kłamiesz.

- No to co? - Ponieważ uśmiechał się jak ktoś bardzo zadowolony z siebie, spojrzała mu przez ramię i popatrzyła na tłum ludzi widoczny w jasno oświetlonych oknach. - Nienawidzę przyjęć. Ludzie stoją i podrygują. Po co to wszystko?

- Tak właśnie wyglądają kontakty towarzyskie i kulturalne. Jest to wspaniała okazja, żeby się elegancko ubrać, wypić darmowego drinka i popatrzeć na innych. Właśnie mam zamiar dobrze ci się przyjrzeć, gdy tylko znajdziemy się wewnątrz. Chyba że wolałabyś przejść się ze mną do stajni i pozwoliłabyś zdjąć z siebie tę piękną sukienkę. Ku swemu zaskoczeniu ta perspektywa wydała jej się interesująca, więc jedynie uniosła brwi.

- Czy mam do wyboru tylko te dwie możliwości?

- Możemy również skorzystać z mojego łazika, ale w nim nie byłoby tak wygodnie.

- Dlaczego mężczyźni przez okrągłą dobę myślą jedynie o seksie?

- Ponieważ myślenie jest bardzo bliskie robieniu. A skoro już o tym mowa, czy ty masz cokolwiek pod tą sukienką?

- No pewnie. Ale musiałam posmarować się cała olejem, żeby móc się w nią wślizgnąć.

Skrzywił się i próbował zdusić jęk, który wyrwał mu się z krtani.

- Zasłużyłem sobie na to. Wejźdźmy zatem do środka, stańmy sobie gdzieś i popodrygujmy.

Kiedy odsunął się do tyłu, ze wszystkich stron otoczyło ją zimne powietrze. Drząc podeszła do drzwi. Mimo to, gdy położyła rękę na klamce, zatrzymała się i odwróciła się do niego.

- Ben, skąd nagle wziął ci się pomysł, aby mnie rozbierać?

- To wcale nie jest idea, która zrodziła się w mojej głowie w ostatniej chwili.

Otworzył drzwi i popchnął ją do środka. Czując się jak u siebie w domu, zrzucił płaszcz i powiesił na wieszaku. Lubił przyjęcia oraz towarzyszący im gwar, zamieszanie i zapachy. Pod tym względem różnił się od Willi. Ludzie z talerzami pełnymi jedzenia siedzieli na schodach i rozmawiali. Inni tłoczyli się w holu i przez otwarte drzwi wlewali się do innych pokoi. Większość gości witała Bena lub wymieniała z nim kilka słów. On tymczasem trzymał spokojnie rękę na ramieniu Willi i pilnował, żeby mu nie uciekła.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że ona przez cały czas właśnie o tym myśli, ale musiał jeszcze załatwić pewną sprawę. Chciał dać nauczkę i jej, i wszystkim pozostałym, łącznie z kilkoma niewydarzonymi kowbojami, którzy przez cały czas wodzili za nią cielęcym wzrokiem. Ten magiczny moment, kiedy kończy się stary rok, a zaczyna nowy, kiedy otwiera się tyle nowych możliwości, wydawał się wspaniałą okazją, żeby to zrobić.

- Gdybyś puścił mnie na chwilę - szepnęła mu do ucha - mogłabym...

- Wiem doskonale, co byś mogła. Zaczekaj jeszcze chwilkę. Przywyknij do tego.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - Zaklęła półszepem, kiedy wyciągnął ją na środek salonu zamienionego na salę balową.

Goście odsunęli się trochę, robiąc im miejsce do tańca. Ben po drodze chwycił jakieś piwo i z przyjemnością obserwował, jak jego rodzice wykonują szybkie, zawile kroki żywego tańca na dwie czwarte.

- Kiedy ludzie tańczą ze sobą w taki sposób, można o nich sporo powiedzieć -

stwierdził.

Willa spojrzała na niego. - Co takiego?

- Że znają się jak łyse konie. I że się lubią. A teraz spójrz na nich. - Kiwnięciem głowy wskazał na Nate'a i Tess, którzy gdzieś na skraju tłumu kołysali się w czymś, co trudno byłoby nazwać tańcem i uśmiechali się do siebie. - Jeszcze się nie znają, to znaczy nie wszystko o sobie wiedzą, ale piekielną radość sprawia im wzajemne poznawanie się.

- Ona po prostu wykorzystuje go seksualnie.

- A on wygląda na załamane tym faktem, prawda? - Ze śmiechem Ben odstawił na bok piwo. - Chodź.

Przerażona cofnęła się do tyłu, próbując wbić się w podłogę swymi niewygodnymi, wysokimi obcasami. On jednak zdecydowanie wyciągnął ją na parkiet. - Nie mogę. Nie chcę. Nie umiem.

- No to się naucz. - Jedną ręką objął ją w pasie, a drugą ułożył jej dłoń na swoim ramieniu.

- Ja nie tańczę. Wszyscy wiedzą, że nie tańczę. - Cofnęła rękę. Z powrotem położył jej dłoń w tym samym miejscu. - Czasem można zajść daleko, idąc w ślady kogoś, kto wie, dokąd zmierza. Zakręcił nią wokół siebie, musiała więc ruszyć nogami, ponieważ inaczej runęłaby jak długa na podłogę. Czowała się potwornie niezdarnie, wydawało jej się, że wszyscy patrzą tylko na nią. Poruszała się sztywno, jakby połknęła kij.

- Rozluźnij się - powiedział jej na ucho. - To wcale nie musi boleć. Spójrz na Lily. Wygląda pięknie z tą zarumienioną twarzą i włosami w nieładzie. Brewster ma jedyną w życiu okazję, by nauczyć ją kroków tego tańca.

- Wygląda na to, że jest bardzo szczęśliwa.

- Bo jest. A Jim, zanim skończy się taniec, będzie w niej prawie zakochany. Potem zatańczy z inną kobietą i również prawie się w niej zakocha.

Ponieważ zaczęła się nad tym zastanawiać i zapomniała odsunąć się od niego, przytulił ją trochę mocniej do siebie.

- Na tym właśnie polega uroda tańca. Masz w ramionach kobietę, czujesz ją bardzo blisko siebie, poznajesz jej zapach.

- A potem idziesz do następnej.

- Czasem tak, czasem nie. Spójrz na mnie, Will.

Odwróciła do niego twarz i zobaczyła błysk w jego oku. Ledwo zdążyła mrugnąć oczami, kiedy jego usta dotknęły jej warg. Całował ją bardzo spokojnie, co tworzyło oszałamiający kontrast w zestawieniu z szybkimi krokami tańca. Serce zaczęło jej walić jak

młot, potem wykonało dzikiego fikołka, aż w końcu miała wrażenie, że lada chwila wyskoczy jej z piersi.

Przez cały czas poruszali się w zgodnym rytmie. W końcu uniósł głowę.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Odpowiedź była prosta. Tym razem postanowił być zupełnie szczery.

- Żeby wszyscy mężczyźni, którzy wgapiają się w ciebie jak w obraz, wiedzieli, czyj znak obecnie nosisz.

Zareagowała dokładnie tak, jak się tego spodziewał. Spojrzała na niego najpierw zaszokowana, a potem wściekła. Na policzki wystąpiły jej ostre rumieńce. Kiedy próbowała syknąć, jego wargi ponownie przywarły do jej ust.

- Mogłabyś przywyknąć również do tego - powiedział. Potem cofnął się. - Przyniosę ci drinka.

Miał nadzieję, że gdy w końcu wróci do niej z kieliszkiem, minie jej już ochota na to, by rzucić mu nim w twarz.

Willa raczej miała ochotę zdrapać mu skórę z twarzy, warstwa po warstwie. Wyobrażała sobie, że właśnie to robi, kiedy wpadła na nią Shelly.

- Proszę, proszę. Ty i Ben. Nie miałam nawet bladego pojęcia. Ten człowiek byłby w stanie utrzymać swe sprawy w tajemnicy nawet przed Bogiem. - Mówiąc to, prowadziła Willę w róg pokoju. - Kiedy to się zaczęło? Co jest grane?

- Nic się nie zaczęło. I nic nie jest grane. - Ogarniała ją coraz większa wściekłość. - A to sukinsyn! Naznaczył mnie. Powiedział mi, że mnie naznaczył.

- Powiedział ci coś takiego? - Niezwykle romantyczna Shelly przycisnęła rękę do serca. - To nie do wiary. Zack nigdy mi czegoś takiego nie powiedział.

- I pewnie tylko dzięki temu jeszcze żyje.

- Chyba żartujesz. Byłabym zachwycona. - Wybuchnęła głośnym śmiechem na widok wyraźnego zaskoczenia Willi. - Daj spokój, Will, męska pewność siebie w niewielkich dawkach działa bardzo pobudzająco. Kiedy Zack napnie mięśnie, natychmiast jestem podniecona i mam na niego ogromną ochotę.

Willa przysunęła się bliżej i spojrzała Shelly prosto w oczy. - Ile wypijaś?

- Nie jestem pijana i wcale nie żartuję. Czasem podnosi mnie i przerzuca przez plecy. Teraz, kiedy mamy dziecko, trudniej już o taką spontaniczność, ale to naprawdę działa. - Na ciebie może tak. Nie cierpię nachalnych mężczyzn. - Wiem. To było okropne. Wszyscy stali dookoła i bez trudu mogli zauważyć, jak broniłaś się przed Benem. - Shelly powiedziała to, przeciągając samogłoski w sposób charakterystyczny dla mieszkańców Południa. Potem

zanurzyła palec w winie i oblizała go. - Wyraźnie było widać, że nie cierpisz, gdy ktoś cię całuje.

Willa starała się znaleźć błyskotliwą i zwięzłą odpowiedź.

- Zamknij się, Shelly. - Ta okazała się najlepsza. Powiedziawszy to, oddaliła się.

- Kowboj w babskim wydaniu ma strasznie rogatą duszę - skomentowała Tess.

- Ben bardzo lubi się z nią drażnić.

Tess uniosła brwi i spojrzała na Nate'a.

- Wydawało mi się, że ma ochotę na coś więcej.

- Wygląda na to, że tak. Skoro już mowa o robieniu czegoś więcej... - Nachylił się do jej ucha i szeptem przedstawił propozycję, która sprawiła, że gwałtownie wzrosło jej ciśnienie.

- Mecenasiu Torrence, muszę przyznać, że naprawdę potrafisz posługiwać się słowami.

- Możemy wyrwać się stąd, jechać do mnie i powitać Nowy Rok w... bardziej kameralnych warunkach. Nikt nawet nie zauważy, że nas nie ma.

- Uhm. - Odwróciła się i przytuliła do niego. - Za daleko.

Chodź na górę. Do mojego pokoju. Za pięć minut.

Spojrzał na nią przerażony.

- Przecież tyle osób kręci się po domu.

- Mam mocny zamek w drzwiach. Kiedy wyjdiesz na piętro, skieruj się w lewo, a potem skręć w prawo. Trzecie drzwi po prawej. - Przesunęła koniuszkami palców po jego brodzie. - Czekam.

- Tess, myślę...

Ona jednak podążała już w stronę schodów i tylko rzuciła mu przez ramię wymowne spojrzenie. Mógłby przysiąc, że słyszy, jak jego szare komórki obumierają jedna po drugiej. Zrobił dwa kroki w stronę Tess, zatrzymał się i próbował zdobyć się na odrobinę rozsądku.

Ale niech to diabli wezmą! Ostatek rozsądku stracił już w chwili, kiedy pewna swego weszła do jego biura, myśląc jedynie o wskoczeniu z nim do łóżka. To, że zakochał się w niej po uszy, a ona nie odczuła nawet najlżejszego zawrotu głowy, było kompletnie bez znaczenia. Pasowali do siebie jak ulał. Nieważne, czy dostrzegała to, czy nie, ale naprawdę stanowili doskonałą parę.

Mając nadzieję, że uda mu się zrobić to dyskretnie, chwycił butelkę szampana i dwa kieliszki. Zdażył jedynie dotrzeć do schodów.

- Przyjęcie w mniejszym gronie? - zapytał Ben, a potem widząc, że Nate się

zaczerwienił po uszy, wybuchnął śmiechem. - Przekaż Tess noworocznego całusa ode mnie.

- Zajmij się własną partnerką.

- Właśnie do niej zmierzam.

Ben bez pośpiechu wypatrzył Willę wśród gości i czekał.

Chciał mieć ją przy sobie o północy. Zarzucił misterne sieci, a kiedy zaczęło się odliczanie, wyłowił ją z tłumu. - Tylko nie zaczynaj się znowu ze mną drażnić. - Została zaledwie minuta - powiedział spokojnie. - Zawsze te ostatnie sekundy dzielące stary rok od nowego wydają mi się czymś nierzeczywistym. - Kiedy zmarszczyła czoło, wiedział, że go słucha. Wziął ją w ramiona. - Nie teraz i nie potem. Absolutnie nic. Gdybyśmy byli sami, w czasie tych sześćdziesięciu sekund mógłbym zrobić z tobą, co bym chciał. Byłoby to jednak całkowicie nierealne. Dlatego chcę poczekać, aż to coś będzie rzeczywiste. Obejmij mnie. To się nie liczy. To nie ma znaczenia. Jeszcze przez kilka sekund. Nie słyszała nic oprócz jego głosu, nie dobiegały do niej żadne hałasy, śmiechy, podniesione głosy odliczające mijający czas. Jak we śnie uniosła ramiona i objęła go za szyję.

- Powiedz, że mnie pragniesz - mruzczał. - To się nie liczy. Jeszcze się nie liczy. - Pragnę cię. Ale nie...

- Żadnych ale. To naprawdę się nie liczy. - Wsunął rękę pod jej włosy i dotknął gołych pleców. - Pocałuj mnie. To jest nierzeczywiste. To się nie liczy. Pocałuj mnie, Willo. Po prostu ten jeden raz pocałuj mnie.

Przytuliła się do niego. Patrząc mu w oczy i nie myśląc o niczym, dotknęła wargami jego ust. Były takie ciepłe, takie miłe, niespodziewanie delikatne, że aż zadrżała. Czas przestał mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

Gdzieś jak przez mgłę docierało do jej świadomości, że dookoła rozbrzmiewają wiwaty. Ludzie popychając się wymieniali noworoczne życzenia. Minęły ostatnie sekundy starego roku, niezauważenie zaczęły biec pierwsze sekundy nowego roku. Poczwała w sercu jakiś ogromny żal.

- To już jest prawdziwe. - Było w tym zdaniu zarówno oskarżenie, jak i stwierdzenie. Odsunęła się od niego. W tym momencie uświadomiła sobie coś dziwnego i równocześnie ovladnął ją strach. Jej oczy zalśniły. - To już jest prawdziwe.

- Tak. - Zaskoczył ją tym, że wziął jej dłoń i uniósł ją do ust. - Właśnie się zaczęło. - Objął ją ramieniem i trzymał blisko siebie. - Popatrz, kochanie. - Przesunął ją odrobinę. - Spójrz, jak pięknie wyglądają. Mimo własnego zakłopotania, musiała przyznać, że ma rację.

Adam trzymał w dłoniach twarz Lily, a Lily delikatnie dotykała jego nadgarstków.

Willa doszła do wniosku, że nigdy czegoś takiego nie widziała. Patrzyli sobie prosto w

oczy. Wargi Lily lekko zadrżały, kiedy Adam musnął je leciutko. Stali tak połączeni ze sobą delikatnym tchnieniem pocałunku.

- On ją kocha - wyszeptała Willa. Jakieś dziwne emocje sprawiły, że żołądek podszedł jej do gardła. Doszła do wniosku, że odczuwa tak wiele rzeczy na raz. Przytknęła dłoń do brzucha. Tyle ma do przemyślenia, tyle jeszcze do zrozumienia. - Co się dzieje? Chciałabym pojąć, co się tu dzieje. Już nic nie jest takie, jak było. Już nic nie jest proste. - Mogą być razem szczęśliwi. To całkiem proste. - Nie. - Potrząsnęła głową. - Nie. Nie o to mi chodzi. Czy tego nie czujesz? Coś jest... - Zadrżała ponownie, ponieważ tym razem poczuła to już całkiem wyraźnie. To coś było zimne, okropne, i znajdowało się bardzo blisko. - Ben, coś się stało... W tym właśnie momencie na zewnątrz rozległy się przeraźliwe krzyki.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tym razem wcale nie było dużo krwi. Policja doszła do wniosku, że zamordowano ją gdzie indziej, a dopiero potem martwą przewieziono na ranczo. Nikt jej nie znał. Twarz miała właściwie nie oszpeconą, tylko pod prawym okiem widniał spory siniec. Natomiast została oskalpowana.

Jej skóra miała niebieskawe zabarwienie. Willa sama to zauważyła, kiedy wybiegła z domu i wpadła na Billy'ego, który próbował uspokoić Mary Anne Walker w chwilę po tym, jak oboje natknęli się na zwłoki. Zamordowana dziewczyna była zupełnie naga, a na jej ciele widniało mnóstwo biegnących w różnych kierunkach nacięć, które przypominały kreski narysowane tuszem na białej kartce.

Było bardzo mało krwi. Tylko gdzieś zakrzepła maleńka kropelka.

Mary Anne natychmiast zwymiotowała na wejściowe schody. Billy poszedł za jej przykładem i wyrzucił z siebie piwo, które wyłopał w łaziku podczas ściągania z niej majtek.

Willa natychmiast odesłała ich do domu. Usunęła z werandy również gości, którzy zaczęli tłoczyć się na zewnątrz, przyglądając się wszystkiemu i wygłaszając komentarze. Postanowiła, że później będzie myśleć o tej błękitnoskórej, pozbawionej włosów kobiecie, która leżała martwa u jej stóp. Potem spróbuje się nad tym wszystkim zastanowić. - Bess już wezwała policję. - Adam położył dłoń na ramieniu Willi i czekał, aż na niego popatrzy. Rozlegające się dookoła głosy przepelnione były strachem. - Muszę wyjść na zewnątrz z Benem i zostać z... zostać z nią do czasu, kiedy przyjedzie policja. Poradzisz sobie?

- Tak. - Z ogromną ulgą zauważyła zbiegającego po schodach Nate'a. - Dobrze, że jesteś. Idź z nim. Tam, na zewnątrz - powiedziała, łapiąc Nate'a za rękę. - Proszę, wyjdź na dwór z Benem i Adamem. Tam jest... tam jest następna ofiara.

Odwróciła się i weszła do salonu. Stu McKinnon zdążył już wyłączyć odtwarzacz kompaktowy i mocnym, łagodnym głosem uspokajał gości. Willa na moment oddała inicjatywę w jego ręce. Sama stanęła z boku i spoglądała na wiszący nad kominkiem portret ojca. Zimne niebieskie oczy wpatrywały się w nią bezlitośnie. Wydawało jej się, że dostrzega w nich szyderstwo i oskarżenie.

W momencie kiedy Lily biegła przez hol, z góry po schodach zeszła Tess. Nie zdążyła włożyć butów ani dopiąć sukienki na plecach.

- Co się stało? Słyszałam, że ktoś krzyczał. - To następne morderstwo. - Lily mocno złapała Tess za rękę. - Nic nie widziałam. Adam nie pozwolił mi wyjść na zewnątrz, ale wiem, że tym razem jest to kobieta. Wygląda na to, że nikt jej nie zna. Leżała tam. Na

schodach przed domem. - O Boże! - Tess zatkała ręką usta, starając się zachować zimną krew. - Cholera! Szczęśliwego Nowego Roku! No dobrze. - Zaczerpnęła głęboko powietrza. - Spróbujmy przez to przebrnąć. Podeszły do Willi i instynktownie stanęły po jej obu stronach. Żadna z nich nie zdawała sobie nawet sprawy, że kurczowo trzymają się za ręce. - Nie znam jej - wydusiła z siebie Willa. - Nawet jej nie znam.

- Nie myśl teraz o tym. - Tess wzmocniła uścisk na dłoni Willi. - Nie myśl o tym. Musimy po prostu przez to przebrnąć.

Wiele godzin później, kiedy pierwsze promienie przełamały ciemność nocy, Willa poczuła czyjąś dłoń na swoim ramieniu. Bóg jeden raczy wiedzieć, jakim cudem to się stało, ale zasnęła przed kominkiem w salonie. Przestraszona zaczęła się bronić, kiedy Ben próbował ją wziąć na ręce.

- Zaniosę cię na górę. Chcę, żebyś położyła się do łóżka.

- Nie. - Poderwała się na równe nogi. Była kompletnie zdrętwiała, miała zawroty głowy, ale serce ponownie waliło jej jak oszalałe. - Nie, nie mogę. - Oszołomiona obrzuciła wzrokiem pokój. Wszędzie było mnóstwo śladów po przyjęciu. Kieliszki, talerze, nieświeże jedzenie, pełne popielniczki. - Gdzie...

- Wszyscy już poszli. Ostatni z policjantów wyjechał dziesięć minut temu.

- Powiedzieli, że jeszcze będą chcieli ze mną porozmawiać.

Chcieli wziąć mnie znowu do biblioteki, przypomniała sobie, i jeszcze raz wypytywać o wszystko. Mieli zamiar jeszcze kilka razy przegonić mnie po schodach. A wszystko sprowadzało się do tego momentu, kiedy w pośpiechu wybiegła z domu i zobaczyła dwójkę przerażonych nastolatków oraz martwą kobietę o niebieskiej skórze.

- Słucham? - Przycisnęła dłoń do skroni. Spokojny głos Bena nieznośnie brzęczał jej w uszach.

- Powiedziałem im, że mogą porozmawiać z tobą później.

- Aha! Chcesz kawy? Czy jest tu jeszcze jakaś kawa?

Kiedy spała skulona na krześle, przyglądał się jej uważnie. Była blada jak ściana, a pod oczami miała ciemne sińce. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jedynie ogromny wysiłek woli pozwala jej utrzymywać się na nogach. Miał nadzieję, że sobie z tym bez trudu poradzi. Wziął ją na ręce.

- Idziesz do łóżka, i to natychmiast.

- Nie mogę. Mam... dużo roboty. - Wiedziała, że czeka na nią tak wiele rzeczy do zrobienia, ale nie mogła sobie przypomnieć ani jednej z nich. - Gdzie... są moje siostry?

Niósł ją właśnie po schodach, więc jedynie uniósł brwi. Doszedł do wniosku, że jest

zbyt wyczerpana, i nie mogła użyć tego określenia świadomie. Po raz pierwszy przecież nazwała Lily i Tess swoimi siostrami.

- Tess już godzinę temu poszła spać. Lily jest z Adamem. Ham na pewno poradzi sobie z tym, co jest dzisiaj do zrobienia.

Prześpij się, Will. Myślę, że w tej chwili jest to najważniejsza sprawa.

- Oni zadawali tak dużo pytań. - Nie protestowała, kiedy położył ją do łóżka. Właściwie nie była w stanie zaprotestować. - Wszyscy tylko zadawali pytania. Policja brała gości po kolei do biblioteki. Spojrzała na niego, popatrzyła mu w oczy. Doszła do wniosku, że są zimne i zielone. Zimne, twarde i nieprzeniknione. - Nie znam jej, Ben.

- Wiem. - Zdjął jej buty, potem przez chwilę walczył ze sobą, w końcu zacisnął zęby, odwrócił ją i rozpiął sukienkę. - Przejrzę zgłoszenia o zaginięciach, sprawdzę odciski palców. - Prawie nie było krwi - wymamrotała cicho, kiedy ją rozbierał.

- Zupełnie inaczej niż poprzednio. Wydawała się nierealna, zupełnie jakby nie była istotą ludzką. Jak sądzisz, czy on ją znał? - Nie wiem, kochanie. - Delikatnie otulił ją prześcieradłami jak maleńkie dziecko. - Na razie przestań o tym myśleć. - Usiadł na brzegu łóżka i głaskał ją po włosach. - Przestań o tym myśleć i zaśnij.

- On uważa, że to moja wina. - Mówiła głosem matowym i otępiałym z wyczerpania.

- Kto taki?

- Ojciec. Zawsze tak uważał. - Westchnęła. - Zawsze będzie tak uważał. Ben na chwilę położył dłoń na jej policzku.

- I zawsze był w błędzie.

Kiedy wstał i odwrócił się, w drzwiach zobaczył Nate'a.

- Zasnęła?

- Na chwilę. - Ben rozłożył sukienkę na krześle. - Jednak znając Will, nie będzie spała zbyt długo.

- Namówiłem Tess, żeby wzięła jakiś środek nasenny. - Uśmiechnął się blado. - Wcale nie musiałem jej tego dużo razy powtarzać. — Ręką wskazał hol. Razem weszli do biura Willi i zamknęli drzwi. - Jest bardzo wcześnie - powiedział Nate - ale mam trochę whisky.

- Nie mogę pozwolić na to, żebyś pił ją sam. Na trzy palce - dodał, kiedy Nate zaczął nalewać. - Moim zdaniem to nie była tutejsza dziewczyna.

- Pewien jesteś? - Nate był tego samego zdania, ale chciał usłyszeć, co o tym wszystkim sądzi Ben. - Dlaczego tak uważasz?

- No cóż. - Ben pociągnął łyk i syknął czując, jak palący strumień alkoholu spływa mu do żołądka. - Paznokcie u rąk i u nóg miała pomalowane błyszczącym, fioletowym lakierem.

Na ramieniu i pośladku zauważyłem tatuaże. Do tego po trzy kolczyki w każdym uchu. Wyglądała raczej na dziewczynę z miasta, przynajmniej tak mi się wydaje.

- Chyba nie miała więcej niż szesnaście lat. Moim zdaniem uciekła z domu. - Nate wypił do dna. - Biedne dziecko. Może jeździła autostopem albo włóczyła się gdzieś po ulicach Billings czy Ennis. Niezależnie od tego, gdzie ją ten drań znalazł, chyba był z nią przez dobrą chwilę.

Ben zaczął się uważniej przysłuchiwać.

- Skąd to wiesz?

- Trochę udało mi się wyciągnąć od gliniarzy. Miała obtartą skórę na nadgarstkach i kostkach. Najwyraźniej była związana.

Póki nie wykonają testów, nie mogą powiedzieć niczego na sto procent, ale byli prawie pewni, że została zgwałcona i że nie żyła już przynajmniej od dwudziestu czterech godzin. To oznacza, że gdzieś była przetrzymywana.

Ben zrobił kilka niespokojnych kroków. Czuł niesmak i obrzydzenie.

- Dlaczego tutaj? Dlaczego podrzucił ją właśnie tutaj?

- Ktoś chce swoim celem uczynić Mercy.

. - Albo któregoś z mieszkańców Mercy - dodał Ben, a Nate najwyraźniej się z nim zgadzał. - Wszystko to zaczęło się wraz ze śmiercią Jacka, po przyjeździe Lily oraz Tess. Może powinniśmy zatem zastanowić się i sprawdzić, kto chciałby je skrzywdzić.

- Kiedy tylko Tess się obudzi, porozmawiam z nią. Z tego, co wiemy, należy chyba również brać pod uwagę byłego męża Lily.

Tego, który uwielbiał ją tłuc.

Ben przytaknął i z roztargnieniem potarł bliznę na brodzie.

- Sądzę jednak, że jest ogromna różnica między maltretowaniem żony a krojeniem na plasterki obcych ludzi.

- Kto wie, może ta różnica wcale nie jest aż tak ogromna.

Byłbym chyba spokojniejszy, gdybym wiedział, gdzie on jest i co robi.

- Musimy podać jego nazwisko gliniarzom, żeby spróbowali go odszukać.

- Absolutnie się z tobą zgadzam. Czy wiesz, jak on się nazywa?

- Nie, ale sądzę, że Adam powinien wiedzieć. - Ben wypił resztę whisky i odstawił kieliszek. - Właściwie możemy od razu go o to zapytać.

Znaleźli go w stajni. Badał właśnie żrebną klacz.

- Ten żrebak chyba wcześniej przyjdzie na świat - powiedział Adam i wyprostował się. - Za dzień, najwyżej dwa. - Po raz ostatni pogłaskał klacz, wyszedł z przegrody i zamknął

za sobą furtkę. - Co z Willą?

- Śpi - odparł Ben. - Przynajmniej na razie.

Kiwnął głową i ruszył wybetonowanym przejściem w stronę pojemnika z ziarnem.

- Lily śpi u mnie na kanapie. Chciała mi pomóc przy porannym karmieniu, ale zasnęła czekając, aż się przebiorę. Bardzo się cieszę, że ani ona, ani Tess nie widziały tego. - Jego zazwyczaj spokojne ruchy były niezwykle gwałtowne i nerwowe. Widać było, że jest zmęczony i wściekły. - Przykro mi natomiast, że zobaczyła to Will.

- Zniesie to. - Ben nałożył świeże siano do siatki. - Co wiesz o byłym mężu Lily?

- Bardzo niewiele. - Adam nie przerywał pracy. Wyglądało na to, że nie jest zaskoczony ani towarzystwem, ani zadaniem pytaniem. - Nazywa się Jesse Cooke. Spotkali się, kiedy pracowała w szkole, i w parę miesięcy później wzięli ślub.

Rzuciła go mniej więcej po roku małżeństwa. Niewiele więcej mi powiedziała, a ja nie naciskałem.

- Czy ona wie, gdzie on jest? - Nie zwracając uwagi na to, że ma na sobie najlepszy garnitur, Nate napełniał koryto.

- Przypuszcza, że wciąż jest gdzieś na Wschodzie.

Przynajmniej bardzo chce w to wierzyć.

Przez kilka następnych minut trzech mężczyźni przywykli do monotonnej pracy i związanych z nią zapachów pracowali razem bez słowa. Stajnię rozjaśniało widoczne przez otwarte drzwi poranne słońce. Drobnutkie pyłki siana radośnie tańczyły w każdym padającym na skos promieniu światła. Konie układały się na świeżej podściółce, przeżuwały pokarm i parszaniem pozdrawiały ludzi.

Z kurnika dobiegło pianie koguta, na podwórku rozległ się stukot obcasów, sygnalizujący, że ludzie rozchodzą się do codziennych obowiązków. Tego ranka żadne radio nie rozbrzmiewało kiepską muzyką country, ciszy nie przerywały również głosy pracowników. Nikt nie odzywał się ani słowem, nikt niczego nie komentował. Mimo to co jakiś czas ktoś spoglądał w kierunku głównego budynku mieszkalnego, w stronę werandy i prowadzących na nią schodów.

Gdzieś wystrzelił włączony silnik, a po chwili przejechał łazik. Potem ponownie zapanowała cisza. Jakiś spóźniony sylwestrowy gość pojechał do domu.

- Teraz trzeba ją będzie trochę przycisnąć - powiedział wreszcie Ben. - Po tym, co się stało, nie możemy zignorować żadnego podejrzenia.

- Już o tym myślałem. Chciałbym jednak, żeby najpierw trochę wypoczęła. Cholera jasna! - Adam jednym gwałtownym ruchem ręki odrzucił łopatę z ziarnem. - Chciałem, żeby

tutaj była bezpieczna.

Niezwykle rzadko ujawniał złość, tym razem jednak nawet nie próbował jej opanować. Głos mu się załamał. Najchętniej rozbiłby coś albo rozerwał na strzępy, ale nie miał się na czym wyładować. Nawet jego ręce były w tej chwili puste.

- Przecież to było dziecko. Jak można zrobić coś takiego dziecku? Odwrócił się do nich, zacisnął ręce w pięści, a w jego ciemnych oczach wyraźnie widać było bezgraniczną wściekłość.

- Jak blisko nas był ten człowiek? Czy stał tu na zewnątrz i zaglądał przez okna do środka? Czy może był razem z nami? Czy ten sukinsyn dotykał jej, tańczył z nią? Czy spotkałaby go, gdyby wyszła na zewnątrz zaczerpnąć odrobinę świeżego powietrza?

Spojrzał na zaciśnięte pięści, potem rozprostował palce, żeby przyjrzeć się własnym dłoniom.

- Najchętniej sam własnoręcznie bym go zabił i przyszłoby mi to z łatwością. - Uniósł wzrok i przesunął po obu mężczyznach. - Nie sprawiłoby mi to najmniejszej trudności.

- Adamie - rozległ się cichy głos Lily. Słysząc było w nim paniczny strach. Lily skrzyżowała ręce, ściskając mocno własne ramiona, i zbliżyła się do nich.

- Powinnaś trochę odpocząć. - Z całych sił próbował powstrzymać wściekłość. Widać było jedynie drzenie napiętych do granic wytrzymałości mięśni. - Już prawie skończyliśmy. Idź do domu i połóż się do łóżka.

- Muszę z tobą porozmawiać. - Usłyszała wystarczająco dużo i w związku z tym zdawała sobie sprawę, że nadszedł już czas. - W cztery oczy, błagam. - Odwróciła się do Bena i Nate'a. - Przepraszam was. Chcę porozmawiać z Adamem w cztery oczy.

- Zabierz ją do domu - zaproponował Nate. - Ben i ja skończymy robotę. Weź ją do domu - powtórzył. - Jest przemarznięta.

- Nie powinnaś tu przychodzić. - Adam ruszył w jej stronę, robił jednak wszystko, żeby jej nie dotknąć. - Chodź do domu.

Napijemy się kawy.

- Przed wyjściem nastawiłam ekspres. - Zauważyła, że trzyma się od niej na długość ramienia i zawstydziała się. - Już powinna być gotowa.

Wyprowadził ją na zewnątrz, przeszli przez zagrodę i dotarli do tylnych drzwi. Zanim wszedł do środka, z przyzwyczajenia starannie wyczyścił buty.

W kuchni wspaniale pachniało świeżo zaparzoną kawą, ale było dość, ciemno. Nacisnął kontakt i w tym momencie ostre sztuczne światło wypełniło całe pomieszczenie. - Usiądź - zaczęła. - Ja ją zrobię.

- Nie zgadzam się. - Zastawił jej drogę, kiedy próbowała sięgnąć do kredensu. Wciąż jej nie dotykał. - To ty usiądź. - Jesteś wściekły. - Była zła na samą siebie o to, że drży jej głos. Nie mogła się również pogodzić z faktem, że wciąż jeszcze złość mężczyzny, nawet złość tego cudownego mężczyzny, wywołuje u niej tę samą reakcję: uginanie się kolan. - Przepraszam.

- Za co? - Wybuchnął, zanim zdążył się pohamować.

Cofnęła się o krok, ale nawet to nie pomogło mu się opanować.

- Za co, do diabła, chcesz mnie przeproszać?

- Za to, że nie powiedziałam ci wszystkiego.

- Przecież nie masz żadnego obowiązku mówić mi o wszystkim. - Drzwiczki kredensu uderzyły o ścianę, kiedy otworzył je zbyt gwałtownym ruchem. Kątem oka dostrzegł, że podskoczyła przerażona. - Nie bój się mnie. - Starał się spokojnie oddychać, kiedy wpatrywał się w równe szeregi poustawianych w kredensie filiżanek. - Błagam, nie bój się mnie, Lily. Prędzej odciąłbym sobie obie ręce, niż bym cię uderzył.

- Wiem. - Z całych sił starała się powstrzymać łzy, które cisnęły się jej do oczu. - W głębi duszy doskonale o tym wiem.

To tylko stary odruch, Adamie. A jeśli chodzi o wyjaśnienia, naprawdę jestem ci je winna. - Podeszła do okrągłego kuchennego stołu, na którym stała prosta biała waza z lśniącymi czerwonymi jabłkami. — Jestem ci winna coś więcej niż wyjaśnienie. Jesteś moim przyjacielem. Moją ostoją. To ty dałeś mi wszystko, czego potrzebowałam, od momentu, kiedy się tu pojawiłam.

- Przyjaźń jest bezinteresowna, nie wymaga niczego w zamian - powiedział znużonym głosem.

- Wiem, że mnie pragniesz. - Kiedy powoli odwrócił się, aby na nią spojrzeć, na moment zabrakło jej tchu. — Myślałam, że to jest... że to jest normalne. - Zdenerwowana przeczesła palcami włosy, potem wytarła dłonie o dzinsy, które włożyła rano, zanim wyszła ze swego pokoju. - Ale ty nigdy nie dotknąłeś mnie w taki sposób, nigdy nie naciskałeś, nie robiłeś nic, żebym czuła się zobowiązana. Nie masz pojęcia, jak to jest, jeśli czujesz się zobowiązany wobec kogoś za to, że po prostu zostawił cię w spokoju. To jest takie poniżające. Muszę ci powiedzieć kilka rzeczy.

Nie była w stanie patrzeć mu w oczy, więc odwróciła głowę. - Zacznę od Jesse'a. Czy mogę zrobić śniadanie? Popatrzył na nią, trzymając w ręku filiżankę. - Słucham?

- Łatwiej mi to przyjdzie, jeśli w czasie mówienia będę czymś zajęta. Nie wiem, czy zdołam przez to przebrnąć, siedząc spokojnie z założonymi rękami.

Ponieważ tego właśnie chciała, odstawił filiżankę na bok, podszedł do stołu i usiadł.

- W lodówce jest bekon. I jajka. Oddychała ciężko i nierówno.

- Dobrze. - Zaczęła od kawy i nalala mu filiżankę. Przez cały czas jednak unikała jego wzroku. - Niewiele ci powiedziałam - zaczęła, kiedy podeszła do lodówki. - Wspomniałam ci o tym, że uczyłam w szkole. Nigdy nie byłam tak bystra ani tak twórcza jak moja matka. Ona jest fantastyczna, Adamie. Taka zdecydowana i pełna życia. Dopiero mając dwanaście lat zdałam sobie sprawę, jak ogromną krzywdę jej wyrządził. Mówię oczywiście o moim ojcu. Usłyszałam kiedyś, jak rozmawiała z przyjaciółką. Spotkała wówczas mego ojczyma. Dopiero teraz jestem w stanie zrozumieć, że po prostu bała się swoich uczuć do niego. Z płaczem mówiła, że wolałaby być samotna, że nie chce, by jakkolwiek mężczyzna ponownie ją skrzywdził. Opowiadała o tym, jak mój ojciec ją wyrzucił, mimo że bardzo go kochała.

Wyrzucił ją, ponieważ nie urodziła mu syna.

Adam nie odezwał się, kiedy położyła bekon na patelni i zaczęła go podpiekać.

- A zatem to przeze mnie była samotna i pełna obaw.

- Przecież doskonale znasz prawdę, Lily. Nie przez ciebie, tylko przez Jacka Mercy'ego.

- W głębi duszy wiem o tym. - Lekko się uśmiechnęła. - Mimo to taka myśl wciąż tkwi w mojej głowie. Nie mogę się jej pozbyć. Dwa lata później wyszła za mąż za mego ojczyma. Są ze sobą bardzo szczęśliwi. On jest wspaniałym człowiekiem.

W stosunku do mnie zawsze był wymagający. Nie był ostry ani surowy, ale wymagający i może trochę nieprzystępny. Pragnął mojej matki, a ja byłam tylko dodatkowym ciężarem. Chciał dla mnie jak najlepiej, dał mi wszystko, co mógł, nigdy jednak nie był w stanie ofiarować mi zwyczajnej ojcowskiej miłości.

Ja również nie potrafiłam pokochać go jak ojca. Może zresztą było już na to za późno.

- A tobie pewnie brakowało tej ojcowskiej miłości.

- Tak, i to bardzo. - Wbiła jajka do miseczki. - Właściwie wyszło to na jaw dopiero wiele lat później, podczas spotkań terapeutycznych i wizyt u psychologa. Teraz nietrudno to zauważyć i zrozumieć. Nigdy z żadnym mężczyzną nie łączyło mnie cieplejsze uczucie. Żaden mężczyzna nie zwracał na mnie szczególnej uwagi. Byłam nieśmiała, przerażająco nieśmiała, zarówno w szkole, jak i w stosunku do chłopców.

Nie miałam zbyt wielu randek, poza tym bardzo poważnie traktowałam naukę.

Kiedy ścierała do jajek ser, na jej ustach pojawił się już bardziej naturalny uśmiech.

- Piekielnie poważnie. Brakowało mi wyobraźni, którą tak szczerze obdarzona jest moja matka, dlatego zawsze trzymałam się faktów i liczb. Dobrze radziłam sobie z dziećmi,

więc wydawało się całkiem naturalne, że będę uczyć w szkole. Miałam dwadzieścia dwa lata i przygotowanie do pracy w zawodzie nauczyciela, kiedy spotkałam Jesse'a. W sklepie z kawą, niedaleko mojego mieszkania. Było to moje pierwsze samodzielne mieszkanie, pierwszy miesiąc na swoim. Jesse był niezwykle czarujący, bardzo przystojny i, co najważniejsze, interesował się mną. Byłam oszołomiona.

Automatycznie posypała rozbite jajka koperkiem i dodała do nich odrobinę pieprzu.

- Chyba mnie podrywał. To było dla mnie coś zupełnie nowego. Jeszcze tego samego wieczoru poszliśmy do kina. Wpadał do mnie każdego dnia po szkole. Przynosił mi kwiaty i drobne prezenty. Był mechanikiem, więc wyregulował mój rozlatujący się samochód.

. - Zakochałaś się w nim - wywnioskował Adam.

- O tak, całkowicie i bez pamięci. Nigdy nie starałam się zagłębiać w głąb jego duszy, nawet nie wiedziałam, że mogę. Dopiero po latach dostrzegłam kłamstwa, którymi mnie raczył. O swej rodzinie, o przeszłości, o pracy. Odkryłam też, że jego matka przebywała w zakładzie dla umysłowo chorych. Kiedy był dzieckiem, okropnie go biła, piła i używała narkotyków. Robił to również i on, ale o tym dowiedziałam się dopiero po ślubie. Pierwszy raz uderzył mnie...

Zamarła w bezruchu i odchrząknęła. Po chwili zdjęła bekon i przez chwilę słychać było jedynie skwierczenie tłuszczu na patelni.

- To było w jakiś miesiąc po naszym ślubie. Jedną z moich przyjaciółek obchodziła urodziny i postanowiłyśmy w związku z tym pójść do jednego z tych klubów. No wiesz, tam, gdzie mężczyźni tańczą, a kobiety wsuwają im za pasek pieniądze. To był wyglup, zwyczajny wyglup. Wyglądało na to, że Jesse tak samo do tego podchodzi. Kiedy jednak ubrałam się i miałam zamiar wyjść, zaczął się do wszystkiego przyczepiać. Do sukienki, fryzury i makijażu. Roześmiałam się, pewna, że najzwyczajniej się ze mną drażni. W pewnym momencie jednak chwycił moją torebkę, opróżnił ją i podarł mi prawo jazdy. Byłam tak zaszokowana i tak wściekła, że wyrwałam mu ją z rąk. Wtedy powalił mnie na ziemię, bił mnie, wrzeszczał, wyzywał. Zdarł ze mnie ubranie i zgwałcił mnie.

Nadzwyczaj spokojną ręką wlała jajka na patelnię.

- Potem płakał jak dziecko. Łkał i zanosił się. - Z trudem zaczerpnęła powietrza, ta scena wciąż jeszcze stała jej przed oczyma. - Jesse był żołnierzem piechoty morskiej. Był z tego niezwykle dumny, szczylił się swoim zdyscyplinowaniem i siłą. Nie wyobrażasz sobie, jak okropnie człowiek się czuje, kiedy widzi we łzach kogoś, kogo zawsze uważał za bardzo silnego. Byłam zaszokowana, zdruzgotana, a na dodatek w jakiś okropny sposób cała ta sytuacja wywierała na mnie ogromną presję. Czułam, że muszę podjąć jakąś decyzję.

Adamowi przyszło na myśl, że siła nie ma nic wspólnego z noszeniem munduru ani wyrobionymi bicepsami. Miał nadzieję, że Lily o tym również już wie.

- Błagał, żebym mu wybaczyła - ciągnęła Lily. - Powiedział, że oszalał z zazdrości. Do szału doprowadziła go myśl, że jacyś obcy mężczyźni mogli się znaleźć blisko mnie. Tłumaczył mi, że kiedy był dzieckiem, jego matka rzuciła ojca. Uciekła z innym mężczyzną. Wcześniej mówił mi, że ona nie żyje. Jak się okazało, za każdym razem kłamał, ale wierzyłam mu i wybaczyłam.

Nie było łatwo zdobyć się na całkowitą szczerość, ale bardzo zależało jej na tym, by powiedzieć mu naprawdę wszystko.

- Wybaczyłam mu, Adamie. Wybaczyłam, ponieważ w ten sposób poczułam się silna, przynajmniej w tym momencie. Poza tym uwierzyłam, że stracił panowanie nad sobą, ponieważ mnie kocha. Na tym właśnie polega pułapka, w której znajdują się kobiety w tego typu sytuacjach. Nie uderzył mnie przez osiem tygodni.

Powoli, z ogromną uwagą, mieszała jajka na patelni.

- To, co nastąpiło później, nie ma najmniejszego znaczenia.

Zawsze powtarzał się ten sam schemat, którego; nie chciałam dostrzec. Zawsze to ja i tylko ja ponosiłam całkowitą odpowiedzialność za jego niepowodzenia. Zaczął pić, stracił pracę i bił mnie. Zapomniałam o tostach - stwierdziła i podeszła do pojemnika z chlebem.

- Lily.... Potrząsnęła głową.

- Dałam mu się przekonać, że wszystko, co się dzieje, to moja wina. Za każdym razem oskarżał mnie o co innego. Raz byłam za mało rozgarnięta, innym razem nie byłam wystarczająco opanowana, kiedy indziej znowu uważał, że jestem za mało rozwiązła albo że w ogóle nie potrafię go podniecić. Wszystko zależało od sytuacji. Trwało to ponad rok. Dwa razy zawiózł mnie do szpitala i kłamał mówiąc, że upadłam. Pewnego dnia spojrzałam na własne odbicie w lustrze. Zobaczyłam to, co moi przyjaciele widzieli przez wszystkie te miesiące, co widzieli, kiedy próbowali ze mną rozmawiać i pomóc mi. Sińce, zwierzęcy strach w oczach i wyostrzone rysy twarzy, ponieważ w tym czasie bardzo schudłam.

Wróciła do jajek i obracała je delikatnie.

- Odeszłam. Nie pamiętam tego zbyt dokładnie. Wiem jedynie, że nie wzięłam niczego i wróciłam do matki. Banał. Wiem, że bardzo się bałam, bo mi powiedział, że nigdy nie pozwoli mi odejść. Groził, że jeśli go zostawię, wówczas po mnie przyjedzie i zabierze mnie z powrotem do domu. Wiedziałam jednak, że jeśli zostanę z nim jeszcze jeden dzień, popełnię samobójstwo. Od dawna o tym myślałam i nawet planowałam, jak to zrobić. Ponieważ jestem tchórzem, miałam zamiar otruć się tabletkami nasennymi.

Ułożyła jajka, tost i bekon na talerzu i postawiła przed nim na stole.

- Przyszedł po mnie - powiedziała i po raz pierwszy spojrzała Adamowi w oczy. - Czekał na mnie pewnego dnia, a kiedy wyszłam z domu, wciągnął mnie siłą do samochodu. Próbował mnie udusić i strasznie na mnie krzyczał. W końcu mnie wywiózł.

Półprzytomna leżałam na tylnym siedzeniu. Potem trochę się uspokoił i zaczął mi wszystko wyjaśniać. Mówił to samo, co zwykle. Że popełniam błędy, a on musi mnie uczyć, jak powinna zachowywać się dobra żona. Byłam wówczas bardziej przerażona niż kiedykolwiek. Zawsze dużo bardziej się bałam, kiedy był spokojny. Nie wiedziałam wówczas, jaką jeszcze krzywdę może mi wyrządzić.

Robiła wszystko, żeby się opanować. Obawiała się, że w każdej chwili może powrócić strach i odebrać jej resztki odwagi.

- W pewnym momencie, jak to często bywa w ruchu ulicznym, musiał zwolnić. Wtedy wyskoczyłam z jadącego samochodu. Na całe szczęście nic sobie nie zrobiłam. Do dzisiaj uważałam, że to był cud. Poszłam na policję i zgłosiłam, że mnie maltretuje. Od tego czasu bez przerwy się przeprowadzałam.

Niestety, zawsze mnie odnajdywał. Po raz ostatni wytropił mnie tuż przed przyjazdem do Montany. Tym razem o mało mnie nie zabił. Uratował mnie sąsiad, który usłyszał moje krzyki i zaczął dobijać się do drzwi. Może nawet byłby je wyłamał. Wtedy Jesse uciekł.

Usiadła i położyła ręce na stole.

- Po prostu uciekł. Myślałam, że tutaj nie zdoła mnie znaleźć.

Staralam się nie kontaktować nawet z własną matką, ponieważ obawiałam się, że poprzez nią może do mnie dotrzeć. Jednak dziś rano, zanim przyszłam do stajni, rozmawiałam z nią przez telefon. Nie widziała go i nic o nim nie wie. - Odetchnęła głęboko. - Wiem, że ty, Ben i Nate chcecie powiedzieć o nim policji. Jeśli trzeba będzie, odpowiem na wszystkie dotyczące go pytania. Ale Jesse nigdy nie skrzywdził nikogo oprócz mnie, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Poza tym zawsze używał tylko gołych rąk. Wydaje mi się, że gdyby mnie znalazł, wówczas po prostu przyszedłby po mnie.

- On już nigdy nie zrobi ci żadnej krzywdy. - Adam odsunął na bok talerz i nakrył dłońmi jej ręce. - Niezależnie od tego, jakie jest rozwiązanie tej zagadki, Lily, on już nigdy cię nie dotknie. Przynajmniej ci.

- Jeśli to on.... - Mocno zacisnęła oczy. - Jeżeli to on, Adamie, to przynajmniej częściowo jestem za wszystko odpowiedzialna. Cięży na mnie odpowiedzialność za śmierć dwojga ludzi.

- Nie, wcale nie.

- Jeśli to jest on - ciągnęła - muszę przyjąć to do wiadomości i żyć z tym. Ukrywałam się tutaj, Adamie, wykorzystując ciebie i Willę, wykorzystując to miejsce, by odsunąć się od tego zła, które mnie spotkało. To nie było w porządku. - Westchnęła, objęła jego rękę. Muszę po prostu przyjąć to do wiadomości i pogodzić się z tym. Tego również nauczyłam się na spotkaniach terapeutycznych. Widzisz, nie mam i nigdy nie miałam tej wrodzonej odwagi, która jest właściwa Willi i Tess.

To, czym mogę się wykazać, to odwaga wyuczona i wyćwiczona. Bałam się powiedzieć ci o tym wszystkim, a teraz żałuję, że nie zrobiłam tego zaraz na początku. Łatwiej byłoby mi wówczas dobrnąć do końca.

- Czy to znaczy, że jest jeszcze coś więcej?

- To już nie dotyczy Jesse'a ani tych okropności, które się tu wydarzyły, ale i tak jest mi bardzo trudno.

- Nie musisz mi nic mówić.

- Po tym wszystkim, co się stało ostatniej nocy, moje myśli wciąż powracają do jednej chwili, wciąż na nowo odtwarzam jeden jedyny moment. - Z nerwowym uśmiechem na twarzy wysunęła swoje ręce z jego dłoni. - Chciałabym, żebyś zjadł to, co ci przygotowałam. Inaczej wszystko wystygnie.

- Lily. - Zakłopotany przetarł oczy, po czym posłusznie przysunął talerz i podniósł widelec. - Jaki moment?

- Tak jak wcześniej ci już powiedziałam, po prostu myślałam, że mnie pragniesz. Uważałam, że jest to całkiem naturalne.

Nigdy nie wiedziałam, że może istnieć coś innego niż, jak by to powiedzieć... niż zupełnie odruchowa reakcja. Zawsze wydawało mi się, że tak właśnie reagują mężczyźni. No wiesz, hormony.

Kiedy się zakrztusił, popatrzyła na niego nieufnie.

- Zawsze tak właśnie myślałam - próbowała się wytłumaczyć.

- A ty nigdy nie powiedziałeś, nie zrobiłeś żadnego gestu, który pozwoliłby mi przypuszczać, że może być inaczej. Do ostatniej nocy. Do tego momentu, kiedy ująłeś moją twarz w swoje ręce i popatrzyłeś na mnie. Kiedy mnie pocałowałeś, cały świat wokół nas przestał się liczyć. Byłeś tylko ty. Potem zaczęły się dziać te okropne rzeczy, ale ten jeden moment, po prostu jeden, krótki moment, był tak cudowny.

Poderwała się szybko na nogi i popędziła do pieca.

- Wiem, że to był Nowy Rok. Zdaję sobie sprawę, że o północy ludzie się całują i to wcale nie znaczy...

- Kocham cię, Lily.

Te słowa były jak koło ratunkowe rzucone tonącemu. Złapała je i trzymała kurczowo. Odwróciła się. Stał zaledwie o krok za nią. Słabe zimowe słońce lśniło w jego włosach, gdy patrzył jej prosto w oczy.

- Zakochałem się w tobie, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem. Już wtedy wiedziałem, że to właśnie na ciebie czekałem całe życie. - Uniósł jej dłoń. - Tylko na ciebie.

W głębi duszy poczuła niesamowitą radość, przypominającą ciepły, musujący gejzer, który zdołał przedrzeć się przez chłodną wodę jeziora.

- To jest takie naturalne. - Ujęła jego dłoń. - Kiedy wszystko pozbawione jest kłamstwa i obłudy, wówczas uczucia są takie proste i oczywiste. — Zrzuciła mu ręce na szyję. - Chcę być tylko z tobą.

- Tu jest twój dom. - Ukrył twarz w jej włosach. - Zostań ze mną.

- Dobrze. - Dotknęła wargami jego szyi i po raz pierwszy poczuła jego zapach. - Tak bardzo chciałam, żebyś mnie przytulił, żebyś mnie dotykał, Adamie. Przytul mnie mocno.

Ujął jej twarz w dłonie, tak jak zrobił to poprzedniego wieczoru. Pocałował tak jak wówczas. Tym razem jednak objęła go, a potem delikatnie, spokojnie i nieśmiało odpowiedziała na jego pocałunek. Kiedy odsunął ją od siebie, nie musiał o nic pytać. Poprowadził ją z kuchni do sypialni, w której stało starannie pościelone łóżko, a w oknach wisiały najzwyklejsze rolety.

Potem pogłaskał ją po włosach i odsunął się o kilka kroków, by dać jej czas na podjęcie decyzji.

- Czy nie jest jeszcze zbyt wcześnie? Pragnienie sprawiło, że gdzieś wewnątrz drżała.

- Nie, ta chwila jest jak najbardziej odpowiednia. Jesteś cudowny. Odwrócił się i opuścił rolety. Teraz złociste słońce pulsowało na zewnątrz, a w maleńkim pokoiku zapanował półmrok. Zrobiła pierwszy krok i przyszło jej to łatwiej niż sobie wyobrażała. Usiadła na brzegu łóżka i z rumieńcem na twarzy zdejmowała buty. Usiadł obok niej, zrobił to samo, po czym delikatnie ją pocałował.

- Boisz się? Sama była tym bardzo zdziwiona, ale się wcale nie bała. Była trochę zdenerwowana, ale uczucie to nie miało nic wspólnego z prawdziwym strachem. Prawdziwy strach nie był jej obcy, znała również gorycz, jaką po sobie zostawiał. Potrząsnęła głową i spokojnie zaczęła rozpinąć bluzkę.

- Tylko nie chciałabym cię zawieść.

- Kobieta, którą kocham, chce iść ze mną do łóżka. Jakbyś mogła mnie zawieść?

Obserwując go i czekając na jego reakcję, zdjęła bluzkę. Przez moment trzymała ją

zwinęta w kłębek i zasłaniała nią piersi. Doszła do wniosku, że na zawsze to zapamięta - każdą chwilę, każde słowo, każdy ruch i każdy oddech.

Wstał i podszedł do niej. Najpierw położył jej dłoń na ramieniu i, patrząc prosto w oczy, lekko dotknął zagłębienia szyi. Delikatnie wyjął jej z rąk bluzkę i rzucił ją na podłogę. Spokojnie i powoli przesunął wzrok i ręce w stronę jej piersi.

Miała zamknięte oczy, kiedy jego palce przesuwały się delikatnie, głaskały, pieściły ją. Po chwili otworzyła oczy, powoli zaczęła rozpinąć guziki jego koszuli, potem zdjęła ją i uważnie obserwowała własną dłoń przesuwaną się po delikatnej, miedzianej skórze Adama.

- Chcę cię poczuć blisko siebie - powiedział półgłosem, odpinając jej stanik. Zsunął ramiączka i upuścił stanik na podłogę. Przytulił ją mocno do siebie i trzymał. Zadrżał leciutko. - Nie zrobię ci krzywdy, Lily.

- Wiem. - Była tego zupełnie pewna. Absolutnie pewna.

Przesunął wargi niżej i całował jej ramiona i szyję. Wiedziała, że tym razem na pewno nie odczuje żadnego bólu, nawet nie będzie zażenowana. Mogła mu w pełni zaufać. Zdążyła się już także przekonać, że nawet czysto fizyczne pożądanie może być miłe.

Nie wykonała żadnego nerwowego gestu, kiedy szarpnął palcami zapięcie jej dżinsów. Zsunął z niej spodnie, i szepcząc coś niewyraźnie, pomagał jej wyplątać się z nogawek; wtedy przeszedł ją dreszcz, ale wcale nie był to dreszcz strachu.

Poczuła dziwny ucisk serca, kiedy Adam zdjął własne dżinsy, było to jednak zadowolenie, radość i niecierpliwe oczekiwanie.

Był tak pięknie zbudowany. Miał złocistą skórę, był bardzo szczupły, a gładkie lśniące włosy opadały mu na mocne ramiona. Co najważniejsze, pragnął jej i chciał dać jej siebie. Dla Lily był to najwspanialszy cud.

- Adamie. - Z westchnieniem wymówiła jego imię, kiedy opadli na łóżko. - Adamie Wolfchild.

Kiedy jego cudowne, mocne ciało przygniotło ją, objęła go mocno ramionami i wargami poszukała jego ust. - Kochaj mnie.

- Kocham cię. Zawsze będę cię kochał.

Podczas gdy oni w zaciemnionym pokoju czerpali radość z życia, ktoś inny w świetle dnia cieszył się śmiercią. W głębi lasu, niezmiernie szczęśliwy, przeglądał w samotności swoje trofea, starannie ułożone w metalowym pudełku. Nagrody za zabijanie, pomyślał, dorzucając złociste włosy młodej dziewczyny, która popełniła fatalny błąd.

Miała na imię Traci. Tak mu powiedziała, kiedy zaproponował, że ją pod - rzuci. Traci z „i” na końcu. Mówiła, że skończyła osiemnaście lat, ale podejrzewał, że kłamała.

Zachowała dziecięcą, okrągłą twarz, ale jej ciało, kiedy wziął ją w góry i rozebrał, było już kobiece.

Wszystko poszło jak z płatka. Młodziutka dziewczyna stała na poboczu drogi z wyciągniętą ręką i próbowała złapać samochód. Przez ramię miała przerzucony fioletowy plecak, a dopasowane dzinsy opinały jej odsłonięte u dołu nogi. Miała złociste, jasne włosy, które przykuły jego uwagę, połyskując w promieniach słońca jak złocisty ogień. Na pewno były farbowane, ale to nie miało żadnego znaczenia. Jasny, nienaturalny, fioletowy lakier, którym miała pomalowane paznokcie najwyraźniej dobrany był do koloru plecaka.

Później okazało się, że pomalowała również na fioletowo paznokcie u nóg.

Gładząc jej złociste włosy przypomniał sobie, że pozwolił jej przez jakiś czas paplać o byle czym. Opowiadała mu ze śmiechem, jak to wyrwała się z Dodge, skąd pochodziła. Właśnie z Dodge City w stanie Kansas.

- Już cię nie ma w Kansas - powiedział jej i zaczął się podśmiewać, ucieszony własnym dowcipem.

Pozwolił jej jeszcze przez jakiś czas gadać trzy po trzy, pomyślał znowu. Mówiła mu, że ma zamiar zarobić nieco forsy, by móc pojechać do Kanady i zobaczyć trochę świata. Wyjęła z plecaka gumę do żucia i poczęstowała go. Później znalazł jeszcze starannie zapakowane cztery plastry pieczeni, ale czy mu zaproponowała choćby kawałek? Nie, oczywiście, że nie.

Uderzył ją tylko raz. Jeden szybki cios pięścią w policzek wystarczył, żeby upadła na ziemię nieprzytomna. Potem wziął ją w góry, tam gdzie było spokojnie, nikt mu nie przeszkadzał i mógł robić z nią, co chciał.

Podobało mu się to, co z nią robił.

Najpierw ją zgwałcił. Mężczyzna ma swoje prawa. Dobrze i mocno ją związał, żeby nie mogła podrapać go tymi fioletowymi paznokciami. Okropnie krzyczała, aż kompletnie zachrypla. Rzucala się i wiła na wąskim łóżku, a on tymczasem robił to, na co miał ochotę.

Wypalił jej trawkę i ponownie ją zgwałcił.

Błagała i prosiła, żeby ją puścił. Potem, kiedy zobaczyła, że ma zamiar zostawić ją nagą, przywiązaną do łóżka, jeszcze bardziej błagała.

Ale mężczyzna ma również obowiązki i dlatego nie mógł z nią zostać.

Kiedy po dwudziestu czterech godzinach wrócił, mógłby przysiąc, że ucieszyła się na jego widok. Tak bardzo krzyczała. Więc znowu ją zgwałcił. Tym razem kazał jej powiedzieć, że jej się to podoba. Zgodziła się, powiedziała, że jej się to podoba. Mówiła mu wszystko, co chciał usłyszeć.

Póki nie zobaczyła noża.

Około godziny zajęło mu zmywanie krwi, ale warto było. Nawet bardzo. Natomiast wręcz rewelacyjny okazał się pomysł podrzucenia tego, co zostało z Traci przez „i” z Dodge City w stanie Kansas, na schody w Mercy.

Och, to było fantastyczne.

Z czułością pocałował zakrwawione włosy i włożył je ostrożnie do pudełka.

Wszyscy są teraz piekielnie przerażeni, pomyślał, kiedy włożył pudełko do schowka i usypał nad nim niewielki kopczyk. Trzęsą się ze strachu. Boją się go.

Kiedy się podniósł i wystawił twarz na zimowe, słabe słońce, wiedział, że jest największym człowiekiem w Montanie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Gdyby kilka miesięcy temu ktoś powiedział Tess, że spędzi mroźną, styczniową noc w stajni, klęcząc we krwi i wodach płodowych, a na dodatek każda mijająca minuta będzie sprawiać jej prawdziwą przyjemność, z pewnością nie dałaby temu wiary.

Najprawdopodobniej w odpowiedzi zaproponowałyby tej osobie wizytę u swego psychiatry.

Tymczasem już drugą noc z rzędu spędzała przy koniach.

Widziała, jak źrebięta przychodzą na świat, a nawet trochę sama przy tym pomagała. Była z tego powodu niezmiernie szczęśliwa i dumna.

- To pozwala całkowicie zapomnieć o wszelkich kłopotach, prawda? - Razem z Adamem i Lily stała zaledwie o kilka kroków od źrebaczka, który właśnie starał się po raz pierwszy stanąć na własnych nogach.

- Doskonale spisujesz się przy koniach, Tess - powiedział Adam.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo, ale chyba tylko dzięki temu jeszcze nie zwariowałam. Wszyscy są tacy podenerwowani.

Wczoraj, wychodząc z kurnika, wpadłam prosto na Billy'ego.

Doprawdy trudno mi powiedzieć, które z nas było bardziej przerażone.

- Minęło już dziesięć dni. - Lily rozcierała dłonie, żeby je trochę rozgrzać. - W tej chwili to wszystko wydaje się takie nierealne.

Wiem, że Willa kilkakrotnie rozmawiała z policją, ale wciąż nic nie wiedzą.

- Popatrz. - Adam objął ją ramieniem i przytulił do siebie, kiedy źrebak zaczął ssać wymię matki. - To jest realne.

- Tak samo jak mój ból kręgosłupa. - Tess zaczęła rozmasowywać plecy. Chciała zostawić ich samych, a uznała, że jest to równie dobra wymówka, jak każda inna. Doszła też do wniosku, że zanim wybierze się w odwiedzin do Nate'a, z pewnością dobrze jej zrobi gorąca kąpiel i parę godzin snu. - Idę do domu.

- Bardzo nam pomogłaś, Tess.

Dziękuję.

Z uśmiechem włożyła kapelusz na głowę.

- Chryste! Gdyby moi przyjaciele mogli mnie teraz zobaczyć! - Ta myśl serdecznie ją rozbawiła. Ze śmiechem wyszła ze stajni i znalazła się w niemiłym, przenikliwym chłodzie poranka.

Jak zareagowano by w jej ulubionym salonie piękności, gdyby weszła tam tak jak stoi,

z Bóg jeden raczy wiedzieć czym za paznokciami, w wysmarowanych łożyskiem i błonami owocowymi dzinsach oraz flanelowej koszuli, z włosami... no, powiedzmy, świadczącymi o tym, że ostatnio nikt o nich nie myślał, a na dodatek bez śladu makijażu.

Jej fryzjer, pan William, z pewnością padłby trupem na różowy dywan w swoim salonie.

Doszła jednak do wniosku, że kiedy wróci do Los Angeles, jej przeżycia będą stanowiły wspaniały temat rozmów. Wyobrażała sobie, że na jakimś eleganckim przyjęciu w Beverly Hills zabawia gospodynię wspomnieniami o rozrzucaniu nawozu, wybieraniu kurom jaj, kastrowaniu cieląt - tę część oczywiście będzie upiększać - i naprawianiu ogrodzenia.

Wobec opowiadanych przez nią historii zbledną wspomnienia z pobytu na śmiesznych i mizernych ranczach, na których czasami niektórzy hollywoodzcy zabawiają się w kowbojów. Potem oczywiście doda, że po okolicy krążył jakiś psychopata o morderczych skłonnościach.

Zadrzała i otuliła się szczelnie płaszczem. Muszę przestać o tym myśleć, postanowiła. W ten sposób nikomu w niczym nie pomogę.

W tym momencie zauważyła Willę, która stała na werandzie i spoglądała na góry. Nieruchoma jak zamieniona w kamień córka Midasa, przynajmniej takie właśnie skojarzenie przyszło na myśl Tess. Wyglądała pięknie, ale to i tak nie miało najmniejszego znaczenia. Willa była bowiem jedyną kobietą znaną Tess, która nie zdawała sobie kompletnie sprawy z potęgi własnej urody. Dla Willi liczyła się bowiem tylko praca, ziemia, zwierzęta i jej ludzie.

Tess przygotowywała w myśli uszczypliwy komentarz na ten temat. Kiedy jednak podeszła bliżej i zobaczyła twarz Willi, porzuciła myśl o jakichkolwiek złośliwościach. Widać było, że Willa jest doszczętnie zdruzgotana. Stała wyprostowana jak struna, z lekko wysuniętym do przodu podbródkiem. Pozornie robiła wrażenie bardzo pewnej siebie, wręcz aroganckiej. Kapelusz niedbale zwisał jej na plecach, częściowo przysłaniając kaskadę rozpuszczonych, czarnych włosów. Jednak w jej pozbawionym wyrazu, wpatrzonych w jakiś punkt oczach wyraźnie widać było udrękę i coś, co mogło być poczuciem winy albo żalem.

- Co się stało? Willa nie drgnęła, jedynie na moment przymknęła powieki. Nie odwróciła głowy, stała w miejscu nieruchomo. - Była tu policja.

- Teraz?

- Tak, przed chwilą. - Całkiem straciła rachubę czasu i nie była w stanie powiedzieć, od jak dawna stoi na tym chłodzie.

- Może dobrze byłoby, gdybyś usiadła. - Tess zbliżyła się o krok, potem dwa. - Wejźmy do domu.

- Wiedzą już, kim była ta dziewczyna. - Willa nadal nie ruszała się, skierowała jednak spojrzenie na skrawek ziemi poniżej schodów. - Nazywała się Traci Mannerly. Miała szesnaście lat.

Pochodziła z Dodge City. Mieszkała tam z rodzicami i dwoma młodszymi braćmi. Mniej więcej sześć tygodni temu uciekła z domu. Była to jej druga ucieczka.

Tess zamknęła oczy. Nie chciała znać imienia tej dziewczyny i wolała nic nie wiedzieć na jej temat. Łatwiej było przejść nad tym do porządku dziennego, nie znając żadnych szczegółów.

- Wejźmy do środka.

- Powiedzieli mi, że została zamordowana przynajmniej dwanaście godzin wcześniej, zanim znaleźliśmy ją tutaj. Była skrępowana sznurem. Na nadgarstkach i kostkach miała obtartą skórę. Najwyraźniej próbowała się uwolnić.

- Przestań.

- Została zgwałcona. Powiedzieli mi, że gwałcono ją kilkakrotnie. Na dodatek była... była w drugim miesiącu ciąży.

Była w ciąży, miała szesnaście lat i pochodziła z Kansas. - Błagam, przestań - powtórzyła Tess, a po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Objęła Willę ramieniem. Przez dłuższą chwilę stały obie na werandzie prawie nie zdając sobie sprawy, że płaczą i tulą się do siebie. Nad ich głowami rozległ się krzyk jastrzębia. Chmury przysłoniły słońce i lada chwila mógł zacząć padać śnieg. Ale Willa i Tess, połączone strachem i żalem, uczuciami, które mogą zrozumieć tylko kobiety, nie zwracały na nic uwagi.

- Co teraz zrobimy? - Tess zadrżała i nie mogła złapać tchu. - O Boże! Co my teraz zrobimy?

- Nie mam pojęcia. Naprawdę nie mam zielonego pojęcia. - Willa nie odsunęła się. Nie zmieniła pozycji nawet w chwili, kiedy zdała sobie sprawę, że stoją mocno przytulone do siebie, nie czując, że przenika je do szpiku kości coraz mocniej wiejący wiatr. - Wiem, że potrafię kierować ranczem. Na przekór wszystkim okropnościom, które dzieją się wokół nas, jestem w stanie kierować ranczem. Nie wiem natomiast, czy zdołam zapomnieć o tej dziewczynie.

- Myślenie o niej w niczym nam nie pomoże. Możemy zastanawiać się, dlaczego on ją tu przyniósł. Tak, o tym możemy myśleć. Ale nie o niej. Powinniśmy również pomyśleć o sobie. - Odsunęła się i starła łzy płynące jej po twarzy. - Tak, najlepiej będzie, jeżeli zaczniemy myśleć o sobie. Sądzę, że Lily i ja musimy się nauczyć strzelania. Willa patrzyła na nią przez moment i tym razem dostrzegła w Tess nie tylko elegancką, zadbaną dziewczynę

z Hollywood.

- Nauczę was. - Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, po czym włożyła kapelusz na głowę. - Możemy zacząć od razu.

- To wybryk natury - skomentował Ham, wyjadając z miski resztki chili. Jim nałożył sobie repetę i mrugnął do Billy'ego.

- O czym ty mówisz, Ham?

Nim doczekali się odpowiedzi, wśród ścian przetoczyło się echo wystrzałów.

- O kobiecie z rewolwerem w ręce - oświadczył bez pośpiechu Ham. - A jeszcze większym wybrykiem natury są trzy kobiety z trzema rewolwerami.

- Prawdę mówiąc - Jim zamoczył suchara w misce i wziął do ust spory kęs. - Tess wygląda bardzo podniecająco z bronią w rękach.

Ham spojrział na niego ze współczuciem.

- Chłopcze, chyba strasznie ci się nudzi i nie masz nic ciekawego do roboty.

- Nawet największa ilość roboty nie powinna powstrzymywać mężczyzny od oglądania się za pięknymi kobietami. Prawda, Billy?

- Prawda.

Chociaż, mówiąc szczerze, od sylwestrowego przyjęcia Billy nie myślał zbyt wiele o kobietach. Zabawa z Mary Anne w łaziku bardzo mu się podobała. To przeżycie zupełnie jednak zbladło wobec wstrząsu, jakim było znalezienie leżącego na schodach ciała.

- Ale zaczynam się bać - powiedział z pełnymi ustami jedzenia.

- Robią to od ponad tygodnia i jeszcze nie widziałem, żeby Tess choć raz trafiła w puszkę. Aż strach wyjść za drzwi, kiedy ćwiczą.

- Powiem ci, co o tym sądzę. - Jim czknął i wstał. - Uważam, że jakiś mężczyzna powinien im pokazać, jak się to robi.

Właśnie mam kilka minut czasu.

- Nikt nie musi uczyć Willi, jak należy posługiwać się strzelbą czy rewolwerem. - W głosie Hama wyraźnie słyhać było dumę. W końcu to on uczył ją strzelać. - Nawet gdyby miała przepaskę na jednym oku, bez trudu pokonałaby w strzelaniu was wszystkich i każdego mieszkańca Montany. Dlaczego nie zostawić tych kobiet w spokoju?

- Nie mam zamiaru się wtrącać. - Jim zarzucił na ramiona płaszcz. - Chyba że same mnie poproszą.

Wyszedł na zewnątrz w momencie, kiedy obok werandy zatrzymał się łazik, a po chwili wysiadł z niego Jesse.

- Cześć, JC! - Uśmiechnął się i wyciągnął do niego rękę. - Nie widzieliśmy się już

chyba od kilku tygodni. - Byłem trochę zajęty. - Wiedział, że bardzo ryzykuje, przyjeżdżając do Mercy w biały dzień. Bywał tu tak często, jak mógł, zawsze jednak zjawiał się wieczorami, pod osłoną nocy. Mimo to zdążył się już zorientować, że jego kurewska żona sypia z Wolfchildem. Ale to mogło poczekać.

- Byłem w Ennis po części zamiennie. Na poczcie dowiedziałem się, że coś do ciebie przyszło. - Rzucił Jimowi paczuszkę, a potem pogładził palcem wąsy. Zaczynał je lubić. - Więc zabrałem to i postanowiłem ci po drodze podrzucić.

- Najmocniej dziękuję. - Jim położył paczkę na poręczu. - Może zagralibyśmy w pokera?

- Nie mam nic przeciwko temu. Mógłbyś zebrać chłopców i przyjechać dziś wieczorem do Three Rocks. - Uśmiechnął się czarująco. - Odeślę was z nieco lżejszymi kieszeniami.

- Być może. - Kiedy rozległo się echo wystrzałów, obejrzał się ze śmiechem. - Mamy tu trzy baby, które usiłują strzelać do celu. Właśnie postanowiłem udzielić im kilku rad.

- Kobiety powinny trzymać się z daleka od broni. - Jesse wyjął paczkę papierosów, wysunął jednego i zaproponował go Jimowi.

- Trochę się przestraszyły. Pewnie słyszałeś o naszych kłopotach.

- Jasne. - Jesse wypuścił dym i zaczął się zastanawiać, czy warto zaryzykować i rzucić okiem na Lily w świetle dziennym.

- Kiepska sprawa. To było jeszcze dziecko, prawda? Z Nebraski?

- Podobno z Kansas. Uciekła z domu. To było paskudne morderstwo.

- Młode dziewczyny powinny siedzieć w domu, tam jest ich miejsce. - Jesse zmrużył oczy i wpatrywał się w ognik na końcu papierosa. - I uczyć się, jak w przyszłości być dobrymi żonami.

A tymczasem kobiety chcą dzisiaj zastępować mężczyzn. - Uśmiechnął się złośliwie. - Chociaż być może tobie to nie przeszkadza, skoro twoim szefem jest baba. Jim wyprostował plecy, ale spokojnie przytaknął. - Jeśli mam być całkiem szczerzy, wcale się tym nie przejmuję. Poza tym Willa doskonale zna się na rzeczy.

- Może. Z tego, co słyszę, jesienią będziecie już mieli trzech szefów w spódnicach.

- Zobaczymy. - Mimo to odeszła mu już ochota do pouczenia pań. Podniósł paczkę. - Dziękuję, że mi ją przywiozłeś.

- Nie ma za co. - Jesse wsiadł do samochodu. - Przyjedźcie dziś wieczorem. Tylko zabierzcie ze sobą pieniądze. Czuję, że dopisze mi szczęście.

- Kto wie. - Jim z ponurą miną poprawił kapelusz i odprowadził wzrokiem

wyjeżdżającego łoża. - Dupek - wymamrotał i wrócił do środka.

Na prowizorycznej strzelnicy za oborą Lily zadrzała.

- Zmarzłaś? - zapytała Tess.

- Nie, to tylko dreszcz. - Mimo to obejrzała się za siebie i spojrzała na promień słońca odbity od jakiejś chromowanej części znikającego za zakrętem łoża. - Po prostu przebiegł mi po plecach dreszcz.

- No cóż. Myślałam, że ci zimno. - Tess z małym pistoletem, który Willa żartobliwie nazywała zabawką, wróciła na swoje miejsce. Ustawiała celownik na pustą puszkę znajdującą się na ogrodzeniu i wypaliła. Oczywiście spudłowała. - Cholera!

- Zawsze jeszcze możesz zdzielić go pistoletem po głowie. - Willa stanęła za plecami Tess i przytrzymała jej rękę. - Skoncentruj się.

- Byłam skoncentrowana. Ta kula jest zdecydowanie za mała.

Gdybym miała coś trochę większego, coś takiego jak ty masz...

- Wówczas przy każdym strzale wbijałabyś się tyłkiem w śnieg. Musisz najpierw nauczyć się posługiwać damskim pistoletem. Popatrz. Nawet Lily na każde dziesięć strzałów pięć razy trafia.

- Po prostu jeszcze nie nabrałam wprawy. - Ponownie wypaliła, po czym lekko się uśmiechnęła. - Było już nieco bliżej. Wiem, że tym razem było bliżej.

- Tak. W ten sposób za rok być może zdołasz trafić w oborę. - Willa zdecydowanym ruchem wyjęła z kabury swego colta.

Był to ciężki i potężny, bardziej przypominający działą, rewolwer kaliber 5, jednak niezmiernie go lubiła i chętniej korzystała z niego niż z jakiegokolwiek innej broni. Tylko przez krótką chwilę celowała, a potem sześcioma strzałami zestrzeliła sześć puszek.

- Pieprzona Annie Oakley. - Tess pociągnęła nosem i była wściekła na samą siebie za to, że czuje rosnący podziw i zazdrość. - Jak ty to, do diabła, robisz?

- Koncentracja, pewna ręka i dobre oko. - Z uśmiechem wsunęła z powrotem rewolwer do kabury. - Może dla ciebie to za mało, może potrzebujesz czegoś więcej. Jest ktoś, kogoś nienawidzisz?

- Oprócz ciebie?

Willa ledwo uniosła brwi.

- Pamiętasz swego pierwszego chłopaka, który cię rzucił i złamał ci serce? - Nikt nigdy mnie nie rzucił, złośnie. - Po chwili jednak wydeła wargi. - Był taki jeden w szóstej klasie. Nazywał się Joey Columbo. Mały sukinsyn. Najpierw mnie zwodził, a potem umówił się z moją najlepszą przyjaciółką.

- Wyobraź sobie, że tam, na ogrodzeniu, zamiast puszki znajduje się jego głowa. Spróbuj strzelić mu między oczy.

Tess zacisnęła zęby, poprawiła się i wycelowała. Jej palec zadrżał na spuście. Po chwili opuściła rewolwer ze śmiechem. - Chryste, przecież nie mogę strzelić do dziesięciolatka.

- W tej chwili to już dorosły człowiek. Mieszka w Bel Air i wciąż śmieje się z pucołowatej, głupiej dziewczuszki, którą wykołował w podstawówce.

- A to drań! - Tym razem Tess zazgrzytała zębami i wypaliła. - Trafiłam! - Zaczęła krzyżeć i tańczyć z radości. W końcu Willa ostrożnie wyjęła jej z ręki pistolet, obawiając się, że Tess może się postrzelić w nogę. - Puszka się przesunęła.

- To najprawdopodobniej tylko wiatr.

- Chrzanisz. Zabiłam Joey'a Columbo.

- To tylko powierzchowna rana.

- Nieprawda. Leży teraz na ziemi, a przed jego oczami przebiega całe życie.

- Wydaje mi się, że za bardzo zaczyna cię to cieszyć - stwierdziła Lily. - Ja po prostu wyobrażam sobie, że podczas karnawału próbuję w jakimś pasażu handlowym wygrać wielkiego pluszowego misia. - Kiedy obie siostry jak na komendę odwróciły się i spojrzały na nią wyraźnie zaskoczone, oblała się rumieńcem.

- No cóż. To bardzo mi pomaga.

- Jakiego koloru? - zapytała Willa po chwili. - Jakiego koloru jest ten miś? - uściśliła pytanie.

- Różowego. - Lily popatrzyła w lewo, na śmiejącą się w kułak Tess. - Bardzo podobają mi się różowe niedźwiadki. W czasie, kiedy ty strzelałaś kulą w płot, wygrałam ich przynajmniej dwanaście.

- No proszę, teraz na dodatek zaczyna być złośliwa. Sądzę, że powinniśmy rozegrać pojedynek strzelecki. Bez ciebie, zawodowy morderco - powiedziała Tess, odsuwając Willę na bok. - Ja kontra wielbicielka pluszowych niedźwiadków. - Zbliżyła się do Lily. - Zobaczymy, jak poradzisz sobie w takiej sytuacji, siostrzyczko.

- W takim razie proponuję, żebyście naładowały rewolwery. - Willa schyliła się i sięgnęła po amunicję. - Wygląda na to, że obie macie zamiar strzelać z pustymi magazynkami.

- Co z tego będzie miał zwycięzca? - Tess starannie załadowała broń i przykucnęła. - Oczywiście oprócz satysfakcji.

Przydałaby się jakaś nagroda. Zawsze lepiej wypadam, jeśli mam przed sobą wyraźny,

z góry ustalony cel.

- Ta, która przegra, przez cały tydzień będzie robiła pranie - postanowiła Willa. - Bess może trochę odpocząć.

- Och! - Lily poderwała się. - Byłabym szczęśliwa...

- Zamknij się, Lily. - Willa potrząsnęła głową i spojrzała na Tess. - Zgoda?

- Pranie wszystkiego. Łącznie z bielizną?

- Łącznie z twoimi wytwornymi francuskimi majtkami.

- W rękach. Bez wrzucania jedwabów do pralki. - Tess, zadowolona z umowy, odsunęła się do tyłu. — Strzelaj pierwsza - powiedziała do Lily.

- Każda z was ma dwanaście strzałów, dwie rundy po sześć strzałów. Jeśli jesteś gotowa, Lily, możesz zacząć.

- Zgoda. - Zaczerpnęła głęboko powietrza, wiernie zastosowała się do wszystkich wskazówek Willi dotyczących pozycji i oddychania. Przez dłuższy czas jej głównym problemem było zamykanie oczu przy naciskaniu spustu. Na całe szczęście już teraz tego nie robi. Była dumna ze swych postępów. Strzelała bardzo spokojnie, nie spieszyła się. Trafiła cztery puszki.

- Cztery na sześć. Całkiem nieźle. Opuśćcie pistolety, moje panie - rozkazała Willa, kiedy podchodziła do ogrodzenia, żeby ustawić cele.

- Na pewno mi się uda. - Tess wyprostowała plecy. - Na pewno uda mi się zestrzelić wszystkie te puszki. Każda z nich to piegowata twarz tego drania, Joey'a Columbo. Założę się, że jest właśnie w trakcie drugiego rozwodu. Zdradliwy pijaczyna.

Zestrzeliła trzy puszki, czym zaskoczyła nie tylko siostry, ale również samą siebie.

- Trafiłam jeszcze jedną. Słyszałam, jak brzęknęła.

- Rzeczywiście - zgodziła się Lily wspaniałomyślnie. - Mamy zatem remis.

- Załadujcie broń. - Zadowolona z siebie Willa ponownie ustawiła puszki. Kiedy się odwróciła i zauważyła podążającego w ich stronę Nate'a, uniosła rękę i pomachała mu.

- Wstrzymać ogień. - Znieruchomiał, a kiedy Lily i Tess odwróciły się, podniósł ręce do góry. - Nie mam przy sobie żadnego rewolweru.

- Może postawić ci na głowie jabłko? - Trzepocząc rzęsami, Tess podeszła bliżej i pocałowała go na powitanie.

- Nawet ty, Sokole Oko, nie jesteś w stanie mnie do tego nakłonić.

- Staczamy właśnie pojedynek strzelecki - poinformowała go Willa. - Lily, kolej na ciebie. Widzę w twojej przyszłości ogromnego, różowego, pluszowego misia. - Ze śmiechem chwyciła się pod boki. - Musisz tu na chwilę zostać - powiedziała do Nate'a, potem zaczęła

entuzjastycznie krzyżeć, kiedy Lily straciła pięć puszek. - Zaangażuj ją do cyrku. No, Hollywood, pokonaj ją.

Tess miała jednak kompletnie spocone dłonie. Jej nozdrza wypełnił charakterystyczny dla Nate'a zapach - wymieszana delikatna woń koni i wody kolońskiej. Przygarbiła się.

Wymierzyła, nacisnęła spust i nie trafiła ani razu.

- Nie mogłam się skupić - stwierdziła, kiedy Willa wiwatowała i uniosła nad głowę rękę Lily. - To przez ciebie - powiedziała do Nate'a.

- Kochanie, zdumiewasz mnie. Nie znam nikogo, kto zdołałby trafić rzadkie przecież powietrze sześć razy na sześć strzałów. - Nate ostrożnie wyjął jej z rąk rewolwer, nie zastanawiając się nawet, czy jest naładowany, czy nie, po czym pocałował ją na pocieszenie.

Willa uśmiechnęła się z wyższością.

- Nie zapomnij oddzielnie prać białych kawałków, praczko.

Pozbierajcie łuski.

Lily, schylając się po łuski, przysunęła się do Tess.

- Pomogę ci - wyszeptwała.

- Do diabła, nie zgadzam się. Zakład to zakład. - Tess uniosła głowę. - Ale następnym razem walczymy wręcz.

- Jadę do Ennis uzupełnić zapasy. - Nate zakołysał się na piętach, a kiedy Tess podnosiła z ziemi puste łuski, wyraźnie starał się nie patrzeć na opinające jej pośladki dzinsy.

- Pomyślałem więc, że wpadnę i zapytam, czy nie trzeba wam czegoś kupić.

Jasne, pomyślała Willa, dostrzegając, dokąd ucieka jego wzrok.

- Dzięki, ale Bess była w mieście kilka dni temu i zaopatrzyła nas na dłuższy czas.

Tess wyprostowała się.

- Mogę dotrzymać ci towarzystwa podczas tej przejażdżki.

- Byłoby mi bardzo miło.

Popatrzyła w oczy Nate'a i wrzuciła pełną garść łusek w otwarte dłonie Willi.

- Tylko zabiorę torebkę. - Wsunęła dłoń pod pachę Nate'a i nieśmiało obejrzała się przez ramię. - Powiedzcie Bess, że nie wrócę na obiad.

- Ale koniecznie wróc na ten dzień, w którym przypada pranie - zawołała za nią Willa. - Założyła mu kajdanki na jaja.

- Myślę, że jest im ze sobą dobrze - powiedziała Lily. - Widać, że się cieszą z własnego towarzystwa. Ilekroć ją widzi, natychmiast na jego twarzy pojawia się uśmiech.

- Bo wie, że za chwilę ściągnie z niego gatki. - Roześmiała się, widząc pełne dezaprobaty spojrzenie Lily. - Bóg z nimi. Po prostu sama tego nigdy nie robiłam, to

wszystko.

- Boisz się tego?

Pytanie, biorąc pod uwagę osobę, która je zadała, było tak niespodziewane, że Willa jedynie zrobiła głupią minę.

- Co takiego?

- Ja się bardzo bałam. Zanim zrobiłam to po raz pierwszy z Jesse'em, a potem również w czasie naszego małżeństwa. - Lily podeszła do ogrodzenia i bezmyślnie przestawiła puszki.

- Uważam zresztą, że przed pierwszym razem jest to całkiem naturalne. Wtedy przecież nie wiesz, jak to wszystko będzie wyglądało, nie masz pojęcia, czy nie zrobisz czegoś źle i nie wyjdiesz na idiotkę.

- To bardzo ważna sprawa. A co można zrobić źle?

- Sporo rzeczy. Ja dużo rzeczy zrobiłam źle. Albo tak uważałam. Ale nie bałam się, kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy z Adamem. Wiedziałam, że on nie wyrządzi mi krzywdy, dlatego wcale się nie bałam.

- A kto by się bał?

Wokół ust Lily pojawił się uśmiech, potem spoważniała.

- Nie powiedziałaś nic na... Wiesz, że jestem... z nim... - Przez moment obserwowała, jak jej oddech w zetknięciu z zimnym powietrzem zmienia się w mgiełkę, a potem szybko znika. - Że z nim śpię.

- O czym ty mówisz? - Willa zaniemówiła na chwilę. - A ja myślałam, że każdej nocy czeka na ciebie przy tylnych drzwiach i odprowadza cię o świcie, ponieważ rozgrywacie w sekrecie turniej kanasty. Próbujesz mi powiedzieć, że uprawiacie ze sobą seks? Jestem naprawdę zaszokowana i zgorziona.

Uśmiech powrócił na usta Lily.

- Adam mówił mi, że nikogo w ten sposób nie oszukamy.

- A dlaczego mielibyście oszukiwać?

- On... on mnie prosił, żebym się do niego przeprowadziła, ale nie wiedziałam, jak ty na to zareagujesz. Przecież on jest twoim bratem.

- Ty go uszczęśliwiasz.

- Bardzo chcę, żeby był szczęśliwy. - Przez chwilę wahała się, a potem spod koszuli wyciągnęła łańcuszek i kurczowo trzymała w palcach coś, co na nim wisiało. - On chce... Dał mi to.

Willa podeszła bliżej i spojrzała na przedmiot, który leżał na otwartej dłoni Lily. Był to zwyczajny, prosty, złoty pierścionek wysadzany małymi diamentami.

- To należało do mojej matki - wyszeptala Willa, a słowa te z trudem przechodziły jej przez zaciśnięte gardło. - Dostała to od ojca Adama, w dniu ich ślubu. - Spojrzała na Lily. - Adam poprosił cię o rękę.

- Tak. - Lily przypomniała sobie, jak pięknie to zrobił. Jego proste słowa zawierały tyle wspaniałych obietnic. - Jeszcze nie potrafię mu odpowiedzieć. Nie wiem, czy powinnam wychodzić za niego za mąż. Poprzednio wszystko zepsułam... - Urwała zła na samą siebie. - Poprzednio nic mi nie wyszło - poprawiła się. - Poza tym jestem tu dopiero od kilku miesięcy. Uznałam, że wcześniej muszę zapytać ciebie o zdanie. - Ja tu nie mam nic do powiedzenia. Uwierz mi - zdecydowanie stwierdziła Willa, kiedy Lily próbowała protestować. - To jest sprawa między tobą a Adamem, i tylko między wami. Ja mogę jedynie bardzo się z tego cieszyć i być nieprawdopodobnie szczęśliwa. Zdejmij, Lily, ten pierścionek z łańcuszka i włóż na go palec. A potem idź do Adama. Błagam, tylko nie płacz. - Wiedziona dziwnym odruchem pocałowała Lily w policzek. - Jeszcze pomyśli, że stało się coś złego. - Kocham Adama całym sercem. - Lily ściągnęła łańcuszek przez głowę i zdjęła z niego pierścionek. - Bardzo. Popatrz, pasuje - wydusiła z siebie, kiedy wsunęła go na palec. - Adam mówił mi, że będzie dobry.

- Rzeczywiście, pasuje jak ulał - zgodziła się Willa. - Idź i porozmawiaj z Adamem. A ja tu posprzątam.

Kiedy wyjechali na drogę dojazdową, Tess przeciągnęła się leniwie w fotelu.

- Wyglądasz, jakbyś była z siebie niesamowicie zadowolona.

To dziwne jak na kogoś, kto właśnie przegrał pojedynek strzelecki.

- Naprawdę jestem zadowolona. Chociaż sama nie wiem, dlaczego. - Opuściła ręce i rozejrzała się dookoła. Spojrzała na pokryte śniegiem góry i rozległe przestrzenie. - Życie jest takie pogmatwane. W okolicy płacze się jakiś obłąkany morderca, a ja od dwóch miesięcy nie robiłam manicure. Najdziwniejsze jednak jest to, że tak bardzo podnieca mnie perspektywa przejażdżki do jakiegoś prowincjonalnego miasteczka i zobaczenia paru wystaw sklepowych. To niesamowite!

- Polubiłaś swoje siostry. - Nate wzruszył ramionami, widząc jej nadąsaną minę. - Robicie ogromne postępy i na przekór wszystkiemu przywiązujecie się do siebie. Obserwowałem was dzisiaj przez moment i możesz mi wierzyć, Tess, dostrzegłem łączącą was więź.

- Łączy nas jedynie wspólny cel, to wszystko. Próbujemy ochraniać się nawzajem, siebie i nasz spadek.

- Gadasz bzdury.

Nachmurzyła się i złożyła ręce.

- Próbujesz popsuć mi humor, Nate.

- Powtarzam ci, widziałem kobiety z Mercy. Mogłem dostrzec zespołową pracę i łączące was uczucie.

- Kobiety z Mercy. - Roześmiała się beztrzesko, a potem wydeła wargi. To nawet nieźle brzmi, pomyślała. - Muszę się przyznać, że nie uważam już Willi za taki wrzód na dupie jak poprzednio. Ale to tylko dlatego, że się wyraźnie poprawiła.

- A ty nie?

- Dlaczego miałabym się poprawiać? Ja przecież nikomu nie dawałam się we znaki. - Przesunęła palcem po jego udzie. - Prawda?

- Oczywiście, że nie. Tylko zadzierałaś nosa i zachowywałaś się jak złośliwa i wyrachowana jędra. Oprócz tego nie można ci było nic zarzucić. - Syknął, kiedy jej palce przesunęły się nieco wyżej i dotarły do jego kroku.

- A tobie się to wszystko podoba. - Wpadł jej do głowy pewien pomysł, w związku z tym zsunęła z ramion płaszcz.

- Za ciepło ci? - Machinalnie schylił się, żeby wyregulować ogrzewanie.

- Dopiero będzie - obiecała i zdjęła przez głowę sweter.

- Co ty robisz? - Zaszokowany o mało nie zjechał z drogi. - Włóż to z powrotem.

- Uhm. Zjedź na bok. - Rozpięła z przodu haftkę stanika i zaprezentowała swe piersi w całej okazałości.

- To droga publiczna. Poza tym jest biały dzień.

Sięgnęła do przodu, rozpięła mu zamek błyskawiczny i z zadowoleniem stwierdziła, że jest podniecony.

- Co w związku z tym proponujesz?

- Zwariowałaś? Gdyby ktokolwiek przejechał obok i... Jezu Chryste! Tess! - powiedział z trudem, kiedy wsunęła mu głowę pod pachę i zaczęła go całować. - Zabijemy się! - Zjedź z drogi! - powtórzyła, lecz tym razem już wcale nie żartowała. W jej głosie wyraźnie słyhać było pożądanie. Gwałtownym ruchem urwała mu wszystkie guziki od koszuli. - O Boże! Chcę poczuć cię w sobie. Głęboko. Natychmiast. Łazik przejechał kilka metrów zygzakiem, po czym gwałtownie skręcił w bok. Nate zdołał jednak opanować kierownicę i spokojnie zjechać na pobocze. Zaciągnął hamulec i błyskawicznie uwolnił się od pasów bezpieczeństwa. Jednym zdecydowanym ruchem rzucił Tess na plecy i omal nie upadł na siedzenie, próbując zdjąć z niej dzinsy. - Zaresztują nas - wysapał. - Zaryzykuję. Pospiesz się!

- Nie... O Boże! - Miała tylko dżinsy, nic więcej. - Mogłaś zamarznąć. - Mówiąc to, ani na chwilę nie przestawał zsuwać z niej spodni. - Czemu nie nosisz grubych niewymownych? - Chyba jestem kompletnie stuknięta. - W tym momencie jednak była zdecydowana. Pragnęła go rozpaczliwie. Jej ciało wygięło się w łuk. Z krtani wydobył się głęboki, chrapliwy jęk i zlał się w jedno z jękiem, który wydał Nate w chwili, kiedy wdarł się w nią.

Potem słyhać było jedynie nierówne oddechy, jęki i pomruki. Okna zaszyły parą, a siedzenia niemiłosiernie skrzypiały. Bardzo szybko i niemal równocześnie ogarnęła ich potężna fala rozkoszy.

- Dobry Boże! - Gdyby było więcej miejsca, najprawdopodobniej upadłby na nią. - Chyba zwariowałem.

Otworzyła oczy, a potem zaczęła się serdecznie śmiać. Zanim zdołała się opanować, zdążył ją rozboleć brzuch.

- Nate. Jesteś godnym szacunku prawnikiem i solą tej ziemi.

Powiedz mi, jak, do licha, wyjaśnisz, skąd na suficie twego łazika znalazły się ślady moich butów?

Spojrzał w górę, przyglądał się chwilę, po czym ciężko westchnął.

- W taki sam sposób, w jaki będę tłumaczyć, dlaczego nie mam przy koszuli ani jednego guzika.

- Nie przejmuj się, kupię ci nową. - Usiadła, znalazła swój stanik i włożyła go. Potrząsnęła włosami, a potem uniosła się lekko, żeby wyciągnąć spod siebie sweter. — Jedziemy po zakupy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Masz chwilę czasu, Will? Willa oderwała wzrok od rozłożonych na biurku papierów. Chryste! Nasiona trawy są takie drogie. Mimo to, jeśli tylko istnieje szansa, że ich koszt się zwróci, warto zaryzykować. Kiedy zamknęła księgi, wciąż jeszcze w myślach porównywała, ile ważą cielęta, gdy przychodzą na świat, a ile, kiedy odstawia się je od matek.

- Przepraszam. Oczywiście, Ham. Masz jakieś kłopoty?

- Raczej nie. Usiadł na krześle, przez cały czas nie wypuszczając z ręki kapelusza. Zima wyraźnie dawała się we znaki jego kościom. To nie zima, poprawił się, to starość, tylko zawsze w okresie zimowym najwyraźniej odczuwa się mijające lata.

- Chciałaś, żebyś wybrał się do tuczarni. Właśnie stamtąd wracam. Wszystko idzie tam tak, jak powinno. Przy okazji wpadłem na Beau Radleya z rancza High Springs.

- Pamiętam Beau. - Wstała, żeby dorzucić drewna do kominka.

Wiedziała, że w zimie Hamowi bardzo dokuczają kości. - Dobry Boże, Ham, on musi chyba zbliżać się do osiemdziesiątki.

- Powiedział mi, że tej wiosny skończy osiemdziesiąt trzy lata.

Jak ten czas leci! - Ham położył kapelusz na kolanach i stukał palcami o oparcie krzesła.

Czuł się trochę nieswojo. Siadywał na tym miejscu wiele razy. Mimo to nie mógł się przyzwyczaić, że za biurkiem, zamiast starego Jacka, który najczęściej trzymał w ręce kieliszek whisky, siedzi Willa, a obok jej łokcia stoi filiżanka kawy.

Jezu! Wprost trudno było uwierzyć, ile Jack Mercy potrafił wypić!

Willa cierpliwie czekała, chociaż kosztowało ją to sporo nerwów. Ham nigdy się nie spieszył, jeśli miał coś do powiedzenia. Prowadzenie z nim rozmowy zawsze kojarzyło się jej z ruchami lodowca. Musi przeminąć wiele pokoleń, zanim on dojdzie do końca.

- A więc spotkałeś Beau Radleya?

- Uhm. Nie wiem, czy pamiętasz, że jego młodszy syn, Beau Junior, przeprowadził się do Scottsdale w Arizonie. To było jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat temu. Beau Junior według obliczeń Willi powinien mieć w tej chwili około sześćdziesiątki. - No i?

- Wiesz, żona Beau to Heddy Radley. To chyba właśnie ona zawsze robi te pikle z arbuza, które tradycyjnie zdobywają pierwsze miejsce na wszystkich konkursach organizowanych w naszym okręgu. Okropnie dokucza jej artretyzm, - Przykro mi to słyszeć. - Kiedy się ociepli - Willa myślami odbiegła od tematu rozmowy - muszę się zorientować, czy Lily będzie chciała założyć przykuchenny ogródek. Taki z prawdziwego zdarzenia. - Zima

jest w tym roku wyjątkowo ciężka - skomentował Ham.

- Nie wygląda na to, żeby miało się choć trochę ocieplić, tymczasem okres cielenia się krów coraz bliżej. - Wiem. Zastanawiam się nad przeznaczeniem dla cielnych krów jeszcze jednej obory.

- Może to niezły pomysł - powiedział Ham wymijająco, a potem wyjął z kieszeni tytoń i zaczął skrupulatnie skręcać papierosa. - Beau sprzedaje ranczo i wyprowadza się do syna do Scottsdale.

- Naprawdę? - Willa natychmiast wróciła myślami do rozmowy. Dumą High Springs zawsze były wspaniałe pastwiska.

- Ubił interes z jednym z tych inwestorów budowlanych. - Ham przejechał językiem po brzegu bibułki, po czym delikatnie splunął. Willa nie wiedziała, czy miał to być jego komentarz na temat inwestorów, czy też tytoniu. - Powstanie tam bezsensowne ranczo dla turystów. Cholera! Mają zamiar hodować bizony.

- Umowa została już zawarta?

- Podobno tak. Zapłacili mu trzy razy tyle, ile dostałby za samą ziemię. Cholerne szakale z miasta!

- No cóż, na tym właśnie polega nasz problem. Nigdy nie będziemy w stanie dać takiej ceny. - Westchnęła, po czym przetarła dłonią twarz. W tym momencie przyszedł jej do głowy inny pomysł. - A co z wyposażeniem, rancza, bydłem i końmi?

- Właśnie do tego zmierzam.

Ham wypuścił dym i obserwował, jak biały obłoczek unosi się do sufitu. Willa wyobraziła sobie wznoszenie nowych miast, potem równanie ich z ziemią, narodziny nowych gwiazd i ich umieranie.

- Ma prawie nowy kombajn. Pracował na nim zaledwie przez trzy sezony. Sądzę, że ten sprzęt mógłby się przydać Woodowi.

Nie warto w ogóle zastanawiać się nad jego końmi, ale, prawdę mówiąc, Beau zawsze był dobrym hodowcą bydła. - Zrobił przerwę i wypuścił kłęby dymu. - Powiedziałem mu, że najprawdopodobniej zapłaciłabyś dwie i pół stowy za głowę i wzięła te sztuki, które ma w tuczami. Wcale nie poczuł się dotknięty tą propozycją.

- Ile sztuk?

- Około dwustu, dobra, mięsna rasa.

- W porządku. Doprowadź sprawę do końca.

- Dobrze. Mam jeszcze coś. - Ham zgasił papierosa i oparł się.

Z kominka dochodziło ciepło, a krzesło było takie wygodne. - Beau ma dwóch

pracowników. Jeden z nich zaczął u niego pracować w ubiegłym roku, bezpośrednio po ukończeniu szkoły rolniczej w Bozeman. Jest specjalistą od hodowli zwierząt. Beau mówi, że ma mnóstwo zwariowanych pomysłów, ale jest niesamowicie bystry. Potrafi poradzić sobie z krzyżowaniem gatunków i transplantacją embrionów. Ten drugi to Ned Tucker. Znam go co najmniej od dziesięciu lat.

Dobry kowboj, solidny pracownik.

- Zatrudnij ich - powiedziała Willa po krótkiej przerwie. - Daj im tyle, ile dostawali w High Springs.

- Powiedziałem Beau, że miałem coś takiego na myśli. Bardzo mu się podobał ten pomysł. Lubi Neda. Zależy mu na tym, żeby ulokować go na dobrym ranchu. - Zaczął się podnosić, po czym z powrotem usiadł. - Właściwie chciałbym jeszcze coś powiedzieć.

Uniosła brwi.

- To mów.

- Może uważasz, że jestem już do niczego i że nie radzę sobie z robotą. Popatrzyła na niego kompletnie zaskoczona.

- Dlaczego miałabym tak uważać? Dlaczego tak myślisz?

- Wydaje mi się, że wykonujesz swoją robotę i przynajmniej połowę mojej, nie korzystając przy tym z niczyjej pomocy. Jeżeli nie siedzisz tutaj w swoich papierach, wówczas jeździsz i sprawdzasz ogrodzenie, kontrolujesz pastwiska, dogładasz sprzętu i kurujesz krowy.

- Przecież teraz ja kieruję tym wszystkim. Chyba jednak zdajesz sobie sprawę, że nie jestem w stanie poradzić sobie bez ciebie.

- A może ja poradziłbym sobie bez ciebie? - Lecz to był jedynie wstęp, który miał na celu przykuć jej uwagę. - Wciąż zadaję sobie pytanie, co usiłujesz dowieść człowiekowi, który już od dawna gryzie ziemię.

Otworzyła usta, po chwili je zamknęła, a w końcu ciężko westchnęła.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Doskonale wiesz. - Był bardzo zły, dlatego te słowa powiedział niezwykle ostro, po czym poderwał się z krzesła. - Sądzisz, że nic nie widzę i o niczym nie wiem. Myślisz, że ktoś, kto w dzieciństwie łął ci skórę i opatrywał rany, nie wie, co siedzi w twojej głowie? Posłuchaj mnie, dziewczyno, ponieważ jesteś już zbyt duża, a na dodatek zbyt uparta, żebym mógł przełożyć cię przez kolano, tak jak niegdyś to robiłem. Możesz zapracować się na śmierć, a dla Jacka Mercy'ego to i tak nie będzie miało najmniejszego znaczenia.

- To rancho należy teraz do mnie - powiedziała spokojnie. - Przynajmniej jego jedna

trzecia.

Przytaknął zadowolony, wyraźnie słysząc w jej tonie głęboko chowaną urazę.

- No właśnie, w ten sposób wyrządził ci ogromną krzywdę, tak samo zresztą jak robił to przez całe twoje życie. Nie powinien tak postąpić. Nie zrobił tego, na co zasłużyłaś, ani co byłoby dla ciebie dobre. Teraz, być może, przywiązałem się już trochę do twoich siostr. Na pewno lubię je bardziej niż wówczas, kiedy się tu pojawiły po raz pierwszy, ale to i tak w niczym nie zmienia faktu. Zrobił to, na co miał ochotę. Na dodatek pozwolił obcym ludziom kontrolować działalność Mercy.

Mimo że kipiała w niej złość, w tym momencie zdała sobie sprawę, że jest coś, o czym wcześniej w ogóle nie pomyślała, co najzwyczajniej przeoczyła.

- To powinienes być ty - powiedziała cicho. - Przykro mi, Ham. Nigdy nie przyszło mi to na myśl. To tobie należało na ten rok oddać nadzór nad prowadzeniem rancza. Jak to się stało, że nie wpadłam na to wcześniej, nie pomyślałam, jak bardzo musisz się czuć urażony?

Rzeczywiście czuł się urażony, ale z urazą - z pewnego typu urazą - można żyć.

- Wcale nie chodzi mi o to, żebyś o tym myślała. Poza tym już się z tym pogodziłem. To było po prostu w jego stylu.

- Tak. - Westchnęła. - To było w jego stylu.

- Nie mam nic przeciwko Benowi i Nate'owi. To dobrzy i porządni faceci. Poza tym trzeba być pozbawionym mózgu łosiem, żeby nie zorientować się, dlaczego Jack ściągnął tu Bena. Zmusił go, żeby się kręcił blisko ciebie. Ale również nie o to mi chodzi. - Machnął ręką kiedy zauważył jej pochmurną minę. - Niczego nie musisz udowadniać Jackowi Mercy'emu i czas najwyższy, żeby ktoś ci to w końcu powiedział. - Kiwnął energicznie głową. - Więc właśnie to robię.

- Nie mogę tak po prostu o tym zapomnieć. Był przecież moim ojcem.

- Bierzemy od byka spermę, a potem zapładniamy nią krowę, ale to wcale nie znaczy, że byk jest ojcem.

Oszołomiona poderwała się na równe nogi.

- Nigdy nie słyszałam, żebyś mówił o nim w taki sposób.

Wydawało mi się, że byliście przyjaciółmi.

- Szanowałem go jako hodowcę bydła. Nigdy nie powiedziałem, że szanuję go jako człowieka.

- Dlaczego w takim razie zostałeś tu przez wszystkie te lata? Spojrzał na nią i pokiwał głową.

- To pytanie bez sensu.

Zwłaszcza z mojej strony, pomyślała. Poczula się strasznie głupio i niezręcznie. Nie była w stanie popatrzeć mu w oczy, dlatego odwróciła się i wyjrzała przez okno.

- Nauczyłeś mnie jeździć konno.

- Ktoś musiał to zrobić. - Miał lekko ochrypyły głos, więc odchrząknął. - Istniało spore prawdopodobieństwo, że skręcisz sobie kark, próbując wdrapać się na koński grzbiet, gdy nikogo nie będzie w pobliżu.

- Kiedy miałam osiem lat, spadłam z konia i złamałam rękę.

Wówczas ty i Bess zawieźliście mnie do szpitala.

- Ta kobieta była zbyt zdenerwowana, żeby cię tam dowieźć.

Najprawdopodobniej po drodze rozbiłaby samochód. - Niespokojnie poprawił się na krześle, bębniąc o nie krótkimi, grubymi palcami.

Gdyby jego żona nie zmarła w dwa lata po ślubie, być może dorobiłby się własnych dzieci. Nie miał jednak czasu na zastanawianie się nad tym, ponieważ trzeba było zająć się Willą.

- Jednak wcale nie o to mi teraz chodzi. Mówię o czymś innym.

Musisz przestać tak ciężko harować, Will.

- Nie umiem. Tyle się dzieje dookoła. Poza tym nie mogę zapomnieć o tej dziewczynie i o Pikle'em. Żeby o nich nie myśleć, nie widzieć ich ciał, muszę mieć wciąż zajęte ręce i głowę.

- Co się stało, już się nie odstanie. Nic na to nie poradzisz. Poza tym to nie ty jesteś za to odpowiedzialna. Ten drań robi to, na co ma ochotę.

Prawie tak samo Ham powiedział o jej ojcu. To sprawiło, że dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Nie chcę mieć na sumieniu następnej śmierci, Ham. Nie zniosłabym tego.

- Do jasnej cholery! Dlaczego nie słuchasz tego, co do ciebie mówię?! - krzyknął wściekły.

Zaskoczona odwróciła się i spojrzała na niego.

- Nie jesteś za to w najmniejszym stopniu odpowiedzialna, a jeśli tak uważasz, to jesteś cholerną idiotką. Nie zmienisz tego, co już się stało. A ranczo wcale nie wymaga, żebyś zajmowała się każdym jego akrem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Już najwyższy czas, żebyś postarała się choć przez chwilę być kobietą.

Otworzyła szeroko usta ze zdziwienia. Nigdy na nią nie krzyczał, chyba że był bardzo rozdrażniony. Tym bardziej nie pamiętała, by kiedykolwiek przypominał sobie o jej kobiecości.

- O co ci chodzi?

- Kiedy po raz ostatni miałaś na sobie sukienkę i byłaś na jakiejś zabawie? - dopytywał się, choć mówiąc to sam się zarumienił. - Nie biorę pod uwagę sylwestra i tego, co miałaś wówczas na sobie, a co sprawiało, że chłopcy ślinili się jak idioci.

Wybuchnęła śmiechem, a po chwili zaintrygowana oparła się o biurko.

- Czy o to właśnie ci chodzi?

- Gdybym był twoim ojcem, odesłałbym cię z powrotem do pokoju, żebyś włożyła odpowiednią sukienkę, a po drodze jeszcze oberwałabyś ode mnie dobrze po uszach. - Zażenowany własnym wybuchem, zaczął miąć kapelusz w rękach. — Ale w tym momencie jest już po fakcie. Powiem, o co mi chodzi. Może pozwoliłabyś młodemu McKinnonowi, aby cię zabrał gdzieś na kolację albo do kina? Przecież nie możesz bez przerwy chodzić w parze zabłoconych butów. O to mi chodzi.

- Masz dzisiaj bardzo dużo do powiedzenia. — Doszła do wniosku, że musiało mu się to zbierać od dłuższego czasu. - Dlaczego sądzisz, że chciałabym iść gdziekolwiek z Benem McKinnonem?

- Nawet ślepy mógł zauważyć, że kleiliście się do siebie w tańcu. - Postanowił nie wspominać jej, że kiedy tydzień wcześniej grał w pokera w Three Rocks, Ben bardzo wypytywał go o nią. Rozmowa przy kartach bardziej przypominała spowiedź w konfesjonale. - To wszystko, co mam do powiedzenia.

- Na pewno? - zapytała słodko. - Nie masz żadnych uwag na temat mojej diety, dbałości o higienę i obycia towarzyskiego?

Ona jest naprawdę nieznośna, pomyślał i przestał się uśmiechać.

- Jesz mniej niż królik, ale myjesz się wystarczająco często.

Natomiast z całą pewnością nie masz żadnego obycia towarzyskiego. - Był zadowolony, widząc jej ponurą minę. - Mam sporo roboty. - Zaczął wychodzić, ale jeszcze na chwilę zatrzymał się w drzwiach. - Słyszałem, że Stu McKinnon kiepsko się czuje.

- Pan McKinnon jest chory? Co mu dolega?

- Jakiś paskudny wirus grypy, ma kompletnie zatkany nos i leży w łóżku. Bess upiekła dla niego placek. Byłaby wdzięczna, gdybyś mu go zawiozła. Wiesz doskonale, że jest wielbicielem placka z batatów, twoim zresztą również. Bądź przynajmniej raz dobrą sąsiadką.

- Przy okazji mogłabym nabrać nieco towarzyskiej ogłady. - Spojrzała na biurko, leżące na nim papiery i robotę. Potem na człowieka, który nauczył ją wszystkiego, co powinna umieć. - Dobrze Ham. Pojadę go odwiedzić.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Will - powiedział i wyszedł.

Miała sporo do przemyślenia w czasie jazdy. Dwóch nowych ludzi, dodatkowe dwieście sztuk bydła. Jej nieprzeparta chęć udowodnienia własnej wartości ojcu, który nigdy o nią nie dbał.

Na dodatek wyraźne niedocenywanie człowieka, dla którego tak wiele znaczyła i który zawsze przy niej był, gdy go potrzebowała.

Czy rzeczywiście w ciągu ostatnich kilku miesięcy wtrącała się do tego, co należało do obowiązków Hama? Prawdopodobnie tak. To na pewno uda jej się naprawić. Lecz jego spokojne i rozsądne uwagi dotyczące morderstwa nie uwolniły jej od ciężącego na sercu poczucia winy.

Ani też nie odpędziły strachu.

Zadrzała i włączyła w łażniku ogrzewanie. Droga była starannie odśnieżona i przetarta. Śnieg utworzył po bokach potężne muldy, więc jechało się jak w białym tunelu, a w oddali widać było jedynie białe szczyty sięgające surowego, błękitnego nieba.

Z północno - zachodnich stoków zeszła niedawno lawina i zasypała trójkę narciarzy. Zamieć zaskoczyła kilku myśliwych polujących wysoko w górach. Przetransportowano ich helikopterem, a ponieważ mieli odmrożenia, umieszczono w szpitalu. Na sąsiednim ranczu szukający pożywienia dziki kot zabił kilka sztuk bydła. Zginęła dwójka turystów, którzy próbowali zdobyć jeden z wyższych szczytów.

Do tego wszystkiego gdzieś w okolicy, mimo niezwykle surowej zimy, przebywał morderca.

Na narciarskich terenach Gór Skalistych notowano rekordową liczbę wczasowiczów. Myśliwi, którym podczas polowania dopisało szczęście, utrzymywali, że w tym roku jest bardzo dużo zwierzyny. Tak dużo, że właściwie można polować bez użycia broni. Żrebięta przychodzą już na świat, a bydło tyje w tuczarniach.

Z jednej strony odradzało się życie, z drugiej - czaiła się śmierć.

Lily jest zakochana po uszy i planuje na wiosnę wesele. Tess zabrała Nate'a na weekend do jednej z tych wytwornych miejscowości uzdrowiskowych. A Ham chce, żeby poszła na potańcówkę.

Nagle przestraszyła się.

Nacisnęła ostro hamulec, żeby nie rozjechać okazałego, sześcioletniego jelenia. Gwałtownie skręciła, wpadła w poślizg, po czym zjechała na pobocze. Tymczasem jeleni jedynie uniósł głowę i znudzonym wzrokiem obserwował jej manewry.

- Jesteś piękny. - Zaczęła się śmiać z samej siebie, po chwili oparła głowę o kierownicę i czekała, aż jej serce przestanie walić jak oszalałe. Kiedy ktoś niespodziewanie

zastukał w szybę samochodu, gwałtownie wyprostowała się.

Nigdy przedtem nie widziała tej pięknej, wręcz anielskiej twarzy, otoczonej krętymi, złocistobrązowymi włosami, które wystawały spod brązowego kapelusza. Usta stojącego za szybą mężczyzny podkreślone były lśniącymi wąsami. Kiedy pojawił się na nich uśmiech, wsunęła rękę pod siedzenie i dotknęła znajdującego się tam rugera kaliber 38.

- Nic się pani nie stało? - zapytał, kiedy obniżyła szybę o dwa centymetry. - Jechałem za panią i widziałem, że wpadła pani w poślizg. Nie jest pani ranna?

- Nie, wszystko w porządku. Po prostu jeleń mnie przestraszył.

Powinnam bardziej uważać.

- Jest ogromny, prawda? - Jesse obrócił głowę i obserwował, jak jeleń królewskim krokiem schodzi z jezdni, a potem przeskakuje kopiec śniegu. - Żałuję, że nie mam ze sobą swego sztucera. Takie poroże wspaniale wyglądałoby na ścianie. - Spojrzał z powrotem na nią. Z wyraźnym rozbawieniem zauważył, że w jej oczach czai się strach i podejrzliwość. - Na pewno dobrze się pani czuje, panno Mercy?

- Tak. - Przysunęła palce bliżej strzelby. - Czy ja pana znam?

- Sądzę, że nie. Widziałem panią z daleka. Jestem JC, od kilku miesięcy pracuję na ranczu Three Rocks.

Trochę się rozluźniła, mimo to nie opuściła szyby.

- Aha, król pokera. Uśmiechnął się.

- Widzę, że cieszę się już określoną reputacją. Muszę powiedzieć, że ogromną przyjemność sprawia mi wyciąganie od pani pieniędzy, nawet jeśli robię to za pośrednictwem pani chłopców. Jest pani trochę blada.

Był ciekaw, jaka jest w dotyku jej skóra. Przypomniawszy sobie, że w jej żyłach płynie indiańska krew. Właściwie było to nawet widać. Nigdy wcześniej nie miał w łóżku Metyski. Czy pomogłoby mu to w odzyskaniu Lily, gdyby zdołał przelecieć jej siostrę?

- Powinna pani wyjść na chwilę i poodychać świeżym powietrzem. Gdyby nie miała pani tak dobrego refleksu, musiałbym panią wydobywać z zaspy. - Naprawdę czuję się dobrze. - Ma cudowne oczy, pomyślała. Chłodne, ale piękne. Nie mogła zrozumieć, dlaczego odczuwa strach i przemożną chęć ucieczki. - Tak się składa, że jadę właśnie na ranczo Three Rocks - ciągnęła, zdecydowana wykorzystać każdą okazję, by nabrać trochę ogłady. - Podobno pan McKinnon jest chory.

- To grypa. Przez kilka dni nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą, ale dzisiaj czuje się już znacznie lepiej. Z tego, co wiem, ma pani w Mercy sporo problemów.

- Tak. - Cofnęła się instynktownie. - Niech pan lepiej wraca do samochodu. Jest za

zimno, żeby tak stać na zewnątrz.

- Wiatr rzeczywiście jest bardzo przenikliwy. Kąsa jak zdrowa kobieta. - Mrugnął i cofnął się do tyłu. - Będę jechał za panią.

Proszę powiedzieć Jimowi, że jestem do jego dyspozycji, jeżeli tylko przyjdzie mu ochota na pokera.

- Przekażę mu. Dziękuję, że się pan zatrzymał.

- Cała przyjemność po mojej stronie. — Śmiejąc się cicho, uniósł palce do kapelusza.

- Madam.

Kiedy wsiadł do swego łązika, wybuchnął głośnym śmiechem. A więc to jest siostra Lily, półkrwi Indianka. Mógłby się założyć, że jest w stanie dać mężczyźnie dużo rozkoszy. Może nawet uda mu się to samemu sprawdzić. Nucił przez całą drogę do Three Rocks, a kiedy Willa skręciła w stronę głównego budynku mieszkalnego, beztrząsowo nacisnął klakson i pomachał jej ręką.

Drzwi otworzyła jej Shelly z dzieckiem na ręku.

- Will, co za niespodzianka! - Wyrażnie zaskoczona, spojrzała na placek. - Wejdz. Już chwytam za widelec.

- To dla twego teścia. - Willa zabrała placek z zasięgu jej ręki. - Jak on się czuje?

- Lepiej. Doprowadza Sarah do szału. To dlatego jestem tutaj, a nie u siebie w domu. Staram się jej pomóc. Zdejmij płaszcz i chodź do kuchni. - Poklepała gaworzące dziecko po plecach. - Prawdę mówiąc, Will, boję się siedzieć sama w domu. Wiem, że to głupie, ale wciąż wydaje mi się, że ktoś na mnie patrzy.

Obserwuje dom, zagląda przez okna. Trzykrotnie zmusiłam w tym tygodniu Zacka, żeby sprawdził zamki. Nigdy przedtem nie zamykaliśmy się.

- Wiem. To samo robimy w Mercy.

- Pewnie nie dowiedziałaś się niczego nowego od policji.

- Nie, niczego, co mogłoby w czymkolwiek pomóc.

- Nie rozmawiajmy o tym teraz. - Kiedy zbliżyły się do kuchni, Shelly obniżyła głos. - Nie ma sensu denerwować Sarah.

Zobacz, kogo znalazłam - oznajmiła, otwierając drzwi.

- Willa! - Sarah odłożyła ziemniaki, które obierała do gulaszu, i wytarła ręce. - Jak miło cię widzieć. Siadaj. Zaraz podam kawę.

- Placek. - Willa nigdy nie wiedziała, jak reagować na spontanicznie okazywane uczucia. Dlatego kiedy Sarah pocałowała ją w policzek, tylko się uśmiechnęła. - To dla chorego. Bataty Bess.

- Może zajmie się nimi przez chwilę i przestanie dawać mi w kość. Powiedz Bess, że jestem jej niezmiernie wdzięczna. A teraz siadaj, zjedz kawałek ciasta, napij się kawy i opowiedz nam, co słychać. Shelly i ja zagadałyśmy się już na śmierć.

Wydaje mi się, że z roku na rok zimy stają się coraz dłuższe i coraz cięższe.

- Beau Radley sprzedaje ranczo i wyjeżdża do Arizony.

- Co ty mówisz! - Sarah rzuciła się na ploteczki, jak głodna mysz na ser. - Nie słyszałam o tym.

- Sprzedaje je inwestorom. Mają zamiar wybudować tam ośrodek wypoczynkowy. Ranczo dla turystów. Z bizonami.

- Nie do wiary! - Sarah gwizdnęła i naląła kawę do filiżanek. - Stu chyba się wścieknie, jak usłyszysz.

- Co usłyszysz? - Stu wszedł do kuchni w niedbale narzuconym szlafroku. Jego siwe włosy najprawdopodobniej tego dnia nie miały w ogóle kontaktu z grzebieniem. - Mamy gościa i nikt mnie nie woła? - Mrugnął do Willi i delikatnie klepnął ją w czubek głowy. - Placek? Mamy placek, a wy trzymacie mnie na górze i pozwalacie mi gnić w łóżku? - Za krótko leżysz, żebyś zdążył zgnić. No cóż, skoro już tu jesteś, to siadaj. Podamy zatem do kawy placek zamiast ciasta. Przysunął sobie krzesło i spojrzał na synową.

- Pozwolisz mi potrzymać małą? - Nie. - Shelly odwróciła Abby. - Wciąż jeszcze rozsiewasz wokół siebie zarazki. Możesz patrzeć, ale nie dotykaj jej.

- Te kobiety doprowadzą mnie do grobu - skarżył się Willi. - Kichnij parę razy, a one już wpakują cię do łóżka i każą ci połykać jakieś ohydne pigułki.

- Miał gorączkę. Czterdzieści stopni. - Sarah podsunęła mu placek pod nos. - Zabierz się do jedzenia i przestań już zrzędzić. Dzieci sprawiają mniej kłopotu, kiedy chorują, niż jakikolwiek mężczyzna, którego znam. Nie jestem w stanie zliczyć, ile razy w ciągu ostatnich trzech dni musiałam przemierzyć te schody w górę i w dół.

Mówiąc to, równocześnie trzymała go za brodę i uważnie mu się przyglądała.

- Wyglądasz już trochę lepiej - powiedziała półgłosem, nie cofnęła jednak ręki. - W związku z tym wyrażam zgodę na to, żebyś zjadł kawałek placka i zabawił gościa, ale potem natychmiast wracasz do łóżka i ucinasz sobie drzemkę.

- Widzisz? - Stu wykonał gest widelcem. - Tak bardzo chce mną dyrygować, że nie może się doczekać, aż naprawdę poczuje się gorzej. - Jego twarz wyraźnie się rozpromieniła, kiedy w otwartych drzwiach pojawił się Zack. - No, teraz już przynajmniej osiągniemy jakąś równowagę. Chodź chłopcze, tylko nie wyobrażaj sobie, że dam ci choćby kęs mojego placka.

- A jakiego? Cześć, Will. - Zack McKinnon był bardzo szczupły, ale nie tyczkowaty.

Po matce odziedziczył falujące włosy, a po ojcu kwadratową szczękę. Podobnie jak Ben miał zielone oczy, było w nich jednak coś niezwykle marzycielskiego. Zack zawsze uwielbiał bujać w obłokach. Po zdjęciu płaszcza i kapelusza podszedł do żony, pocałował ją i wziął na rękę córeczkę.

- Wytarłeś buty? - dopytywała się matka.

- Tak, madam. Czy to bataty?

- To moje - powiedział Stu ponuro, kiedy drzwi ponownie się otworzyły. Potem zaborczym gestem przysunął do siebie placek.

- Ta srokata klacz lada chwila gotowa się... - Ben zauważył Willę i uśmiechnął się. - Cześć, Will.

- Przywiozła placek - powiedział Zack, zerkając zachłannie na talerz, który osłaniał ojciec. - A on nie chce się nim podzielić.

- Jaki placek? - Ben opadł na krzesło obok Willi i zaczął bawić się jej włosami.

- Taki, jaki lubi twój ojciec - powiedziała i odepchnęła jego rękę.

- Co za dziewczyna. - Stu nabrał odrobinę placka na widelec i wyglądał na załamanego, kiedy jego żona odkroiła następne dwa kawałki. - Przecież to ja jestem chory.

- Na pewno rozchorujesz się, jeśli sam zjesz to wszystko.

Oddaj dziecko Shelly, Zack, i nalej kawę. Ben, przestań przeszkadzać Willi i pozwól jej zjeść.

- Zrzęda, zrzęda, zrzęda - mamrotał Stu, potem rozpromienił się, kiedy Willa puściła do niego perskie oko. Błyskawicznym ruchem zsunął jej kawałek placka na swój talerz.

- Stuarcie McKinnonie, wstydz się. - Sarah wzięła się pod boki, kiedy mąż zaczął jeść.

- Przecież mi to dała. Jak się miewają twoje piękne siostry, Will?

- W porządku. A... - Ani Lily, ani Adam nie prosili o zachowanie tajemnicy. Poza tym Willa przypuszczała, że już i tak są na językach sąsiadów. - Adam i Lily zaręczyli się. W czerwcu mają zamiar się pobrać.

- Będzie ślub! - Shelly podskoczyła zadowolona jak dziecko. - Och! Tak się cieszę!

- Adam ma zamiar się żenić. - Sarah westchnęła i w jej oczach pojawiły się łzy. - Wciąż pamiętam, jak on i Ben siadywali nad strumieniem z wędkami. - Pociągnęła nosem i przetarła oczy. - Pomożemy ci, gdy będziesz urządziła przyjęcie, Willo.

- Przyjęcie?

- No tak, przyjęcie na cześć panny młodej - powiedziała Shelly, już ciesząc się na samą myśl o tym wydarzeniu. - Nie mogę się doczekać. Będą mieszkać w tym jego cudownym domku, prawda? Ciekawa jestem, jaką wybierze sobie suknię. Muszę jej polecić

ten wspaniały sklep w Billings, w którym kupowałam moją. Mają tam również fantastyczne sukienki dla druchen. Mam nadzieję, że dla ciebie wybierze jakiś żywy kolor.

Willa na szczęście zdążyła odstawić filiżankę, zanim się zakrztusiła.

- Dla mnie?

- Jestem pewna, że ty i Tess będziecie jej druchnami. Obydwie najładniej wyglądacie w zdecydowanych kolorach. W ciemnym błękicie albo brudnym różu.

- Różu?

Widząc w jej oczach prawdziwą rozpacz, Ben jęknął.

- Po co ją straszysz, Shelly? Nie martw się, Willo. Zaopiekuję się tobą. Ja mam być pierwszym drużbą. - Uniósł swą filiżankę kawy i udał, że wznosi nią toast. - Rozmawiałem dzisiaj rano z Adamem. Uprzedziłaś mnie, ogłaszając ich ślub.

Zack wyskrobał do czysta talerzyk i odezwał się, korzystając z przerwy w rozmowie.

- Lepiej pozwólcie mi z nim pogadać. Wciąż jeszcze mam blizny po naszym weselu. - Kiedy Shelly groźnie zmrużyła oczy, uśmiechnął się od ucha do ucha. - Pamiętasz, Ben, te idiotyczne garnitury, w które musieliśmy się wbić? Myślałem, że się uduszę, zanim powiem sakramentalne „tak”. - Pochylił się nad swoją kawą, kiedy Shelly uderzyła go w tył głowy. - Na dodatek coś uwięzło mi w gardle, kiedy się obejrzałem i zobaczyłem tę zjawę idącą wzdłuż nawy w moim kierunku. To jest najpiękniejszy widok, jaki mężczyzna może zobaczyć w swoim życiu.

- Boże uchowaj, synu - skomentował Stu. - Osobiście nie mam nic przeciwko ślubom, chociaż ja i wasza matka zrobiliśmy to dużo prościej. Po prostu uciekliśmy.

- To tylko dlatego, że twój ojciec chciał cię zastrzelić. Powiedz Lily, żeby dała nam znać, jeżeli tylko będziemy mogły jej w czymś pomóc, Will. Sądzę, że myślenie o weselu skróci oczekiwanie na wiosnę.

- Powiem jej. Na pewno będzie bardzo wdzięczna. Niestety, muszę już wracać.

- Och, nie wyjeżdżaj jeszcze. - Shelly złapała ją za rękę. - Tak rzadko tu bywasz. Wyślę Zacka do domu, żeby przyniósł tu wszystkie numery „Panny Młodej” i album ze zdjęciami.

Może to podsunie Lily jakiś pomysł.

- Jestem pewna, że chętnie sama tu wpadnie i obejrzy je razem z tobą. - Na myśl o weselu nagle zrobiło jej się bardzo nieswojo. - Zostałabym dłużej, gdybym mogła, ale robi się już ciemno.

- Ona ma rację - mruknęła Sarah, niespokojnie wyglądając przez okno. - O tej porze kobieta nie powinna już znajdować się sama na drodze. Ben...

- Pojadę z nią. - Ignorując protesty Willi, wstał i zabrał swój kapelusz oraz płaszcz. -
Któryś z twoich ludzi może mnie odwieźć z powrotem albo pożyczę od ciebie łazik.

- Będę spokojniejsza - powiedziała Sarah, powstrzymując w ten sposób protesty Willi.
- To okropne, że dzieją się tu takie rzeczy. Wszyscy będziemy spokojniejsi wiedząc, że Ben jest z tobą.

- W takim razie zgoda.

Kiedy już się pożegnali i cała rodzina McKinnonów odprowadziła ich do drzwi, Willa usiadła za kierownicą swego samochodu.

- Szczęśliwy z ciebie facet, McKinnon. - Dlaczego? Potrząsnęła głową w milczeniu.
Odezwała się dopiero, gdy zostawili daleko za sobą zabudowania rancza.

- Najprawdopodobniej sam nawet o tym nie wiesz i nie potrafisz docenić swego szczęścia, ponieważ jest ono po prostu twoim udziałem. Tak jest i tak zawsze było.

Zakłopotany, zwrócił się w jej stronę i z uwagą obserwował jej profil.

- O czym ty mówisz?

- O rodzinie. O twojej rodzinie. Siedziałam w waszej kuchni.

Wielokrotnie siadywałam tam wcześniej, ale jakoś nigdy nie popatrzyłam na to w taki sposób. Dopiero dzisiaj dostrzegłam pewne rzeczy. Wzajemne zrozumienie i łączące was uczucie, wiele wspólnych wspomnień i więź rodzinną. Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy się tego nie ma. To jest coś, co należy tylko do ciebie i nikt nie jest w stanie ci tego odebrać.

To była prawda, chociaż nie przyszło mu nigdy do głowy zastanawiać się nad tym.

- Teraz masz siostry, Willo. Istnieje między wami więź, i to można bez trudu zauważyć.

- Być może jest to początek czegoś w tym rodzaju, ale brak nam wspólnych wspomnień. Nie mamy czego wspominać.

Widziałam, jak ty zacząłeś coś opowiadać, a Zack to dokończył. Słyszałam, jak twoja matka śmiała się z czegoś głupiego, co obaj zrobiliście, będąc jeszcze dziećmi. Ja nigdy nie słyszałam śmiechu własnej matki. Nie bój się, nie rozklejam się - powiedziała szybko. - Po prostu uderzyło mnie to dzisiaj, kiedy siedziałam tam i obserwowałam ciebie oraz twoją rodzinę.

Przecież to wszystko tak właśnie powinno wyglądać, prawda?

- Tak, chyba tak.

- On nam to ukradł. Wszystkim trzem. Nie tylko mnie. Dopiero w tej chwili zaczynam zdawać sobie z tego sprawę. Nie pogniewasz się, jeśli nadłożę nieco drogi?

Kiedy wjechali na tereny należące do rancza Mercy, przerzuciła napęd na wszystkie

cztery koła i skręciła w zasypaną śniegiem boczną drogę. Nie pytał, dokąd jedzie. Domyślał się tego.

Na cmentarzu leżało dużo śniegu. Jego gruba warstwa okrywała nagrobki, dzikie trawy i kruche kwiaty. Jak na pocztówce. Wszystko było idealnie białe, jedynie wyższy i nieco ciemniejszy nagrobek Jacka Mercy'ego wyrastał ze śniegu ku zimowemu niebu.

- Chcesz, żebym z tobą poszedł?

- Nie, przejdę sama. Jeśli możesz, zaczekaj tu na mnie. To nie potrwa długo.

- Nie musisz się spieszyć - powiedział, kiedy wysiadała. Wpadła po kolana w śnieg, a potem powoli torowała sobie drogę. Było przenikliwie zimno, a wiatr co chwila podrywał w górę delikatny obłoczek płatków śniegu. U podnóża wzniesienia zauważyła maleńkie stadko saren. Wyglądały jakby pełniły wartę na grobach zmarłych.

Wokół panowała niemal absolutna cisza, słychać było jedynie zawodzenie wiatru. Kiedy przedzierała się w stronę grobu ojca, wydało jej się, jakby ten szum dochodził z gwiazd, które się właśnie pojawiły na niebie.

Nagrobek Jacka, zgodnie z jego życzeniem, był niezwykle ozdobny i zwracał na siebie uwagę. To samo robił Jack przez całe swoje życie. Nie obchodziło go, co sądzą o tym inni. Willa zastanawiała się, czy w tej chwili ma to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. Przecież teraz już nie żyje i dołączył w ten sposób do jej matki, która podobno była osobą niezwykle miłą i delikatną.

Tacy byli jej rodzice, pomyślała Willa, miła kobieta i okrutny mężczyzna. Nie była w stanie powiedzieć, jaki to miało wpływ na jej charakter. Na pewno w jakimś stopniu jest egoistką. Miała jednak nadzieję, że potrafi również być wielkoduszna. Dumna, ale pełna kompleksów. Niecierpliwa, mimo to jednak zdolna do współczucia.

Doszła do wniosku, że nie jest ani miła, ani okrutna, a to oznacza, że wcale nie jest tak źle.

Zmagając się z lodowatym przenikliwym wiatrem, zatopiona w absolutnej ciszy, zrozumiała, że kochała ich oboje. Zarówno matkę, której nigdy nie znała, jak i ojca, do którego nigdy się nie przytuliła.

- Chciałam, żebyś był ze mnie dumny - powiedziała na głos. - Mimo że nie potrafiłeś mnie pokochać. Pragnęłam, żebyś... był ze mnie zadowolony. Ale nigdy mi się to nie udało. Ham miał dzisiaj rację. Przez całe moje życie wyrządzałeś mi krzywdę. Nie mam tu na myśli tych kilku klapsów, które mi wymierzyłeś przy paru okazjach, zresztą było ich niewiele, ponieważ zawsze miałeś to gdzieś. Raniłeś moje uczucia. Robiłeś to częściej, niż byłabym w stanie zapamiętać. Teraz wróciłam tutaj i chylę głowę, jak kopnięty pies, więc gdybyś mógł,

zrobiłbyś to ponownie. Jednak wydaje mi się, że pokonałam to w sobie. Mam zamiar udowodnić, że już to pokonałam.

Rzeczywiście, bardzo chciała to udowodnić.

- Myślałeś, że uda ci się nas skłócić, obrócić przeciwko sobie. Teraz wyraźnie to widzę. Nie wygląda na to, żebyśmy miały wyświadczyć ci tę przysługę. Na razie ranczo jest nasze, ty egoistyczny sukinsynu. I sądzę, że potrafimy trzymać się razem. Zamierzamy zrobić wszystko, żeby to ranczo nadal było nasze. Tobie na złość. Być może jeszcze nie we wszystkim przypominamy rodzinę, ale to przecież dopiero początek.

Odeszła tą samą drogą, którą przyszła.

Ben nie odrywał od niej wzroku, gdy wracała do samochodu, i był szczęśliwy, że w jej oczach nie zauważył łez. Zaskoczył go jednak uśmiech, który błąkał się na jej ustach.

- Dobrze się czujesz? - Najzupełniej. - Głęboko odetchnęła i ucieszyła się, że nic jej nie ściska w gardle. - Wszystko w porządku. Beau Radley sprzedaje ranczo - powiedziała, równocześnie manewrując łazikiem. - Kupuję część jego sprzętu, kilkaset sztuk bydła z tuczami, i biorę dwóch jego ludzi.

Gwałtowna zmiana tematu wywołała w jego głowie lekki zamęt, mimo to przytaknęła spokojnie.

- To dobrze.

- Nie mówię ci tego, by uzyskać aprobatę. Chcę jedynie, żebyś odnotował ten fakt jako mój nadzorca. - Skręciła w najbliższą drogę dojazdową i na skróty pojechała w stronę rancza.

Gwałtowne podmuchy wiatru, które szybko obniżały temperaturę powietrza, uderzały w szyby.

- Na jutro przygotuję uaktualniony miesięczny raport, więc będziesz mógł go przejrzeć.

Podrapał się za uchem i zaczął się zastanawiać, gdzie w tym wszystkim kryje się podstęp.

- Dobrze.

- Tyle, jeśli chodzi o interesy. - Kiedy zobaczyła w oddali światła zabudowań, uśmiechnęła się spokojnie. - Natomiast mam do ciebie osobiste pytanie. Od dawna robisz wszystko, żeby ściągnąć ze mnie majtki. Dlaczego, zamiast bezowocnych wysiłków w tym kierunku, nie spróbujesz zaprosić mnie do kina albo do restauracji?

Kompletnie zaskoczony na chwilę zamarł w bezruchu.

- O czym ty mówisz?

- Bez przerwy kręcisz się pod ręką, obmacujesz mnie, gdzie się da i kiedy się da, raz po raz usiłujesz wciągnąć mnie do łóżka, ale nigdy nie zaproponowałeś mi randki.

- Chcesz, żebym wziął cię na kolację? - Nigdy nie pomyślał o czymś takim. Rozważałby taką możliwość, gdyby chodziło o każdą inną kobietę, ale miał przecież do czynienia z Willą. - Do kina?

- Wstydzisz się pokazać ze mną w miejscu publicznym? - Ponownie zatrzymała łażika, zostawiła włączony silnik i odwróciła się do niego. Jego twarz znajdowała się w tej chwili w cieniu, było jednak jeszcze na tyle jasno, że zdołała na niej dostrzec całkowite zaskoczenie. - Jestem wystarczająco dobra, żeby próbować mnie zaciągnąć w stajni na siano, ale nie zasługuję już na to, żebyś włożył dla mnie czystą koszulę i wydał pięćdziesiąt dolców na posiłek? - Skąd nagle wziął ci się ten cholerny pomysł? Po pierwsze nie próbuję cię zaciągnąć w stajni na siano, ponieważ jeszcze nie dojrzałeś do tego, a po drugie nigdy nie sądziłem, że masz ochotę na przesiadywanie ze mną w restauracji. Albo na randkę - zakończył niepewnie.

Być może kobiety mają większą władzę nad mężczyznami, niż mi się wcześniej wydawało, pomyślała Willa, skoro mała przymówka sprawiła, że mężczyzna taki jak Ben McKinnon złapał się na haczyk jak pstrąg.

- Nigdy nie przyszło ci na myśl, że możesz się mylić? To jakaś sztuczka, pomyślał, kiedy ponownie ruszyła. Gdzieś tu kryje się jakaś pułapka i z całą pewnością wpadnie w nią z hukiem, jeśli tylko zrobi niewłaściwy krok. Obserwował ją uważnie i próbował dopatrzeć się choćby najmniejszego znaku, który świadczyłby, że to jest podstęp. Ona tymczasem podjechała pod frontowe drzwi domu i wyłączyła silnik.

- Możesz wziąć tego łażika i wrócić nim - powiedziała spokojnie. - Jutro podeślę po niego kogoś z ludzi. Dziękuję za towarzystwo.

Cholera jasna! Już prawie czuł, jak wpada w zamaskowaną gałęziąmi dziurę.

- Sobota wieczorem. O szóstej. Kolacja i film. Bardzo trudno jej było opanować śmiech, mimo to przytaknęła poważnie.

- Zgoda. Zatem do zobaczenia. - Wysiadła i zatrzasnęła drzwiczki tuż przed jego nosem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Od dłuższego czasu srożyła się bezlitosna zima. Temperatura wciąż była zatrważająco niska, a jeśli podniosła się choćby o kilka stopni, wówczas z nieba zaczynał bez przerwy sypać śnieg. Dwukrotnie drogi przecinające ranczo Mercy przykryły trzymetrowe zaspy. Ostre porywy wiatru przerzucały te zwały z miejsca na miejsce i tworzyły z nich istne góry.

Nie zważając na pogodę, krowy zaczęły się cielić. W oborze Willa z całych sił napinała mięśnie, ułatwiając przyjście na świat następnemu cielakowi. Oblewała się potem, chociaż miała na sobie tylko flanelową koszulę. Przyszła matka zamuczała żałośnie, kiedy Willa wsunęła ręce w kanał rodny i mocno złapała śliskie cielę, które wciąż jeszcze znajdowało się w macicy i wcale nie miało ochoty wydostać się na zewnątrz. Willa chwyciła je zdecydowanie i głośno syknęła, gdy następny skurcz porodowy boleśnie miazdżył jej dłonie.

Zanim to wszystko się skończy, jej ręce aż po łokcie pokryte będą sińcami.

Odczekała chwilę, przygotowała się i wyciągnęła pierwszą połowę cielaka.

- Wyjdzie za następnym razem - zawołała, a po jej rękach strumieniem płynęła krew i płyn owodniowy. — No, chodź, bobasku, chodź. - Jak nurek mający zamiar wskoczyć do wody, wzięła głęboki wdech, nabrała spory zapas powietrza, a potem, przy następnym skurczu, mocno pociągnęła. Cielę wyskoczyło jak nasmarowany tłuszczem korek.

Wysokie buty Willi oblepiała śliska maź, a na jej grubych sztruksowych spodniach pełno było plam. Przeraźliwie bolały ją plecy.

- Billy, przygotuj strzykawkę - poleciła. - Miej je na oku. Jeśli wszystko będzie w porządku, krowa sama wyliże swe młode. Jeżeli nie, będzie musiał je obmyć Billy. W każdym razie przez ostatnie kilka tygodni Willa niezwykle starannie przygotowywała go do tej roli. Musiała mieć absolutną pewność, że potrafi zająć się cielakiem i zrobić mu zastrzyk z odpowiednim lekarstwem.

- Zabieram się za następnego - powiedziała, przecierając ramieniem spocone czoło. - Co porabia Ham?

- Zaraz przyjdę. - Uważnie obserwował, jak Jim pomaga przyjść na świat następnemu cielęciu.

Zawsze istniała obawa, że płód będzie za duży albo źle ułożony w macicy i, mimo ludzkiej pomocy, wydobywanie go na świat może zakończyć się niepomyślnie zarówno dla krowy, jak i dla cielaka. Willa wciąż pamiętała pierwszy raz, kiedy nie udało jej się wygrać tej walki - krew, rozpacz i bezradność. W znacznej jednak mierze przypadająca na luty i

marzec pora cielienia się krów była najważniejszym okresem dla hodowców bydła.

Wszystkiemu winne sterydy i hormony wzrostu, pomyślała, badając następną krowę. Cena uzyskiwana za kilogram mięsa zmusiła ranczerów do produkowania większych cieląt. Zmienili więc przebieg naturalnego procesu i doprowadzili do tego, że obecnie przy cieleniu się krów niezbędne są ludzkie ręce i mięśnie.

Trzeba z tym skończyć, dumiała, kiedy wciągała w płuca powietrze i wsuwała obolałe ręce w kanał rodny następnej krowy.

A potem zobaczymy. Jeżeli próba powrotu do bardziej naturalnych metod gospodarowania na ranchu na dłuższy dystans okaże się niewypałem, wówczas będzie mogła mieć pretensje tylko do siebie.

- Panie i panowie. Gorąca kawa dla... - Cały efekt wywołany nagłym pojawieniem się Tess prysnął w momencie, gdy zbladła i urwała w pół zdania. W stodole było bardzo duszno.

W powietrzu mieszały się zapachy potu, krwi i brudnej słomy.

Gwałtownie odwróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni i wciągnęła w płuca lodowate powietrze. Przyszło jej na myśl, że tak właśnie musi wyglądać rzeźnia od środka.

- Jezu! Słodki Jezu! - Żaden uczynek nie pozostanie bez zapłaty, pomyślała i czekała, aż przestanie jej się kręcić w głowie.

Przecież Bess musiała wiedzieć, co obecnie dzieje się w oborze. Z całą pewnością doskonale zdawała sobie z tego sprawę, kiedy od niechcienia poprosiła o zanieśenie tam termosu z kawą.

Nie mogąc opanować drżenia, Tess ponownie okręciła się wokół własnej osi.

Ta drobna złośliwość zostanie ukarana, zdecydowała. Jednak zemsta może trochę poczekać.

- Kawa - powtórzyła, wbrew samej sobie z ogromnym zafascynowaniem obserwując, jak Willa ciągnie cielę częściowo wystające już z pochwy krowy. - Jak ty sobie dajesz z tym radę?

- Dysponuję nadludzką siłą - powiedziała Willa swobodnie. - Bądź tak dobra i nalej trochę kawy. - Rzuciła siostrze łobuzerskie spojrzenie. - Mam w tej chwili ręce pełne roboty.

- Tak, widzę. - Kiedy cielę zaczęło sikać, Tess zmarszczyła nos. Doszła do wniosku, że to wcale nie jest piękny widok.

Dawniej z pewnością powiedziałyby, że żadne narodziny nie są piękne. Ale konie... była oczarowana i u - rzeczona widokiem zrebiącej się klaczy.

To natomiast jest wstrętne, pomyślała, brudne i bezduszne, prawie tak samo jak taśma montażowa. Wyciągnij, wyczyść, wyciągnij, wyczyść. Może to dlatego, że są to zwierzęta z

założenia przeznaczone na talerz, zdecydowała. Potem potrząsnęła głową i podała Billy'emu kubek kawy.

A może po prostu nie lubi bydła. Jej zdaniem krowy są za duże, zbyt łagodne i kompletnie bezmyślne.

- Z chęcią się czegoś napiję - powiedział Jim i puścił do niej perskie oko. - Na chwilę możemy się zamienić miejscami. To nie jest wcale taka ciężka robota, na jaką wygląda.

- Ja się poddam, dziękuję. - Uśmiechnęła się do niego, wręczając mu kubek parującej kawy, żeby mógł sobie zrobić krótką przerwę. Już przestała się obrażać o to, że traktują ją jak całkowitego żółtodzioba. W tym momencie uznała wręcz, że dobrze na tym wychodzi.

- Dlaczego krowy nie cielą się same? - zapytała go.

- Cielęta są za duże. - Niezwykle zadowolony wypił kawę dużymi łykami. Przyjemność sprawiało mu nawet to, że parzyła go w język.

- Przecież źrebięta też są spore, ale kiedy klacze się źrebiły, wówczas jedynie przyglądaliśmy się temu z boku. - Są za duże - powtórzył. - Podajemy im hormony wzrostu, krowy nie są więc w stanie same wypchnąć z siebie cieląt. Dlatego je wyciągamy.

- A co się dzieje, jeśli nie ma pod ręką nikogo, kto mógłby je wyciągnąć?

- Wówczas mówimy o pechu. - Oddał jej pusty kubek. Postanowiła nie dociekać, z czego pochodzą te brudne plamy na jego powierzchni.

- Aha, o pechu - powtórzyła. Ponieważ o tym również nie chciała myśleć, odstawiła termosy i kubki, po czym szybko wyszła na zewnątrz. - Twoja siostra jest w porządku, Will.

Willa wyszła w stronę Jima półuśmiezek i zrobiła małą przerwę, żeby nalać sobie kawy. - Rzeczywiście, nie jest najgorsza.

- Kiedy tu weszła, chciało jej się rzygać - zwrócił uwagę. - Myślałem już, że zabrała tyłek i po prostu zwiłała do domu, a tymczasem ona wróciła.

- Być może zdołałaby w czymś tu pomóc - uśmiechnął się Billy. - Trudno mi sobie wyobrazić, że wsadza ręce w krowę, ale mogłaby zająć się strzykawką.

Willa schyliła się.

- Lepiej zostawmy jej zabawę z kurami. Przynajmniej na razie. Nie zastanawiajmy się, co będzie jutro, najważniejsza jest chwila obecna, pomyślała, obserwując cielaka, który po raz pierwszy zaczął ssać mleko matki.

- Ręce po łokcie wsadziła w krowę. - Tess trzymała w palcach kieliszek brandy, a po jej plecach przebiegł dreszcz. Wieczór był zimny i bezchmurny, na palenisku trząsał ogień, a na kolację przyszedł do nich Nate. To wszystko dodało jej na tyle odwagi, że próbowała opowiedzieć własne przeżycia. - A potem usiłowała wyciągnąć z niej następną krowę.

- Mnie się to bardzo podobało. - Lily z przyjemnością popijała herbatę. Ogromną radość sprawiał jej dotyk ciepłych dłoni Adama. - Wyszłam stamtąd, ponieważ obawiałam się, że będę przeszkadzać.

- Mogłaś zostać. - Willa popijała z filiżanki kawę z dodatkiem brandy. - Dalibyśmy ci coś do roboty.

- Naprawdę? - W głosie Lily można było dostrzec prawdziwy entuzjazm. Słyszac go, Tess jęknęła. - W takim razie chętnie przyłączę się do was jutro.

- Nie masz na tyle tężyzny, żeby pomagać cielętom przychodzić na świat, ale możesz podawać im lekarstwa.

Natomiast ty - ciągnęła Willa, uważnie przyglądając się Tess - jesteś dużą, dobrze zbudowaną kobietą. Mogę się założyć, że byłabyś w stanie wyciągnąć cielę z krowy i nawet nie straciłabyś przy tym tchu.

- Jedynie lunch - dorzucił Nate. Wszyscy, oprócz Tess, zaczęli się serdecznie śmiać.

- Poradziłabym sobie z tym. - Z ogromnym wdziękiem przejechała palcami po włosach, a na jej wypielęgnowanych palcach zalśniły pierścionki. - Gdybym tylko chciała.

- Stawiam dwadzieścia dolców, że stchórzysz, zanim twoje ręce znajdą się po nadgarstki w krowie.

Cholera, zdała sobie sprawę Tess, zapędzili mnie w kozi róg.

- Podnieś do pięćdziesięciu, a wtedy się zgodzę.

- Stoi. Jutro. Na dodatek ranczo Mercy dokłada po dziesięć dolarów za każdego cielaka, którego wyciągniesz..

- Dziesięć. - Tess pociągnęła nosem.— To wysoka stawka.

- Jeśli wyciągniesz ich wystarczająco dużo, wówczas może będziesz w stanie zapłacić za następne strzyżenie w Billings.

Tess ponownie odrzuciła do tyłu włosy. Właśnie planowała zmianę fryzury.

- W porządku. Tobie natomiast proponuję wizytę u kosmetyczki. - Uniosła brwi. - Przydałaby ci się, nawet bardzo. Mogłabyś zadbać o ręce. Chyba że bardzo lubisz, gdy twoja skóra przypomina pumeks.

- Nie mam czasu na wizyty w głupich salonach kosmetycznych. Tess obróciła w palcach swój kieliszek.

- Tchórz. - Nie czekając na to, jak na ten epitet zareaguje Willa, Tess ciągnęła dalej. - Proponuję zatem taki układ. Jeżeli pomogę przyjść na świat tylu cielętom, co ty, wówczas Mercy zafunduje nam wszystkim trzem - tobie, mnie i Lily - weekend w uzdrowisku w Górach Skalistych. Na pewno chciałabyś tam pojechać, prawda Lily?

Lily, nie bardzo wiedząc, po której stronie stanąć, zaczęła się jąkać. - Ja...

- Przy okazji mogłabyś rozejrzeć się za paroma rzeczami potrzebnymi do ślubu. Wstąpić do kilku sklepów, o których mówiła Shelly...

- Och! - Dreszczyk emocji sprawił, że rozmarzona spojrzała na Adama. - To byłoby cudownie.

- Suka! - wymamrotała Willa pod adresem Tess. Mimo to w jej słowach nie było złości. - Zgoda. Ale jeśli przegrasz, wrócisz do robienia prania.

- O cholera! - Nate tchórzliwie udawał, że przygląda się swojemu kieliszkowi brandy. Tess burknęła na niego.

- Na razie muszę jeszcze wpisać do raportu cielęta, które dzisiaj przysły na świat. - Willa wstała i przeciągnęła się. Nagle zamarła w bezruchu. Nie była pewna, czy to, co mignęło za oknem, to był tylko cień czy coś innego. Powoli opuściła ramiona i zrobiła wszystko, by na jej twarzy nie było widać przerażenia. - Idź dzisiaj wcześniej spać - doradziła Tess, nim wyszła z pokoju. - Będziesz jutro potrzebowała sporo sił.

- Naprawdę bardzo chciałabym usłyszeć, jak krzyczysz w gabinecie kosmetycznym podczas woskowania - dodała jeszcze Tess i z ogromną satysfakcją zauważyła, że Willa wykonała gwałtowny ruch głową, a na jej twarzy widać było strach. - Uwielbiam mieć ostatnie słowo - powiedziała cicho. - Przepraszam na momencik. - Adam wstał i wyszedł za Willą. Znalazł ją w bibliotece. Właśnie ładowała strzelbę. - Co się dzieje?

Wiedziała, że nie zdoła oszukać Adama, zamknęła więc szczelnie drzwi, żeby nikt nie słyszał.

- Mogło mi się zdawać, ale chyba przed chwilą widziałam coś za oknem.

- I dlatego wychodzisz z domu sama, tak? - Mówiąc to, sięgnął po strzelbę i naładował ją.

- Nie ma sensu wywoływać paniki. Może tylko mi się wydawało.

- Przecież nie masz zbyt bujnej wyobraźni.

Potrząsnęła głową i doszła do wniosku, że trudno się obrażać, jeśli ktoś mówi prawdę.

- No cóż. W takim razie spróbujmy przejść się dookoła domu. Wyjdziemy tylnymi drzwiami.

Aby nikt niczego nie zauważył, ubrali się w sieni. Willa bardzo chciała wyjść pierwsza, jednak Adam nie zgodził się na to i delikatnie odsunął ją na bok.

Ktoś ich obserwował. Chociaż było bardzo zimno i wiał przenikliwy wiatr, Jesse stał w cieniu i patrzył na nich. Zaciskał dłoń na broni, którą miał przy sobie. Marzył o tym, żeby wymierzyć prosto w serce tego człowieka, strzelić i unurzać go w kałuży krwi.

Następnie porwie tę kobietę, zabierze ją stąd i zrobi z nią to, co będzie chciał. A potem, oczywiście, będzie musiał ją zabić. Czy miałby inny wybór?

Zastanawiał się, czy warto ryzykować. Byli uzbrojeni, widział również, ile osób znajdowało się w domu. Wszystkiemu dokładnie się przypatrzył. Zauważył, że Lily ze śmiechem przytulała się do tego Metysa.

Kto wie, czy nie lepiej zaczekać na jakiś dogodniejszy moment, który nadejdzie lada chwila.

Może wtedy, gdy wejdą do obory? Wiedział, co tam znajdą. Już tam był.

- Musiał stać gdzieś tutaj, blisko frontowych okien. - Jeżeli nie wolno jej iść przodem, to przynajmniej będzie dotrzymywać mu kroku. - To był zaledwie ułamek sekundy w chwili, kiedy wstałam, żeby wyjść. Wydawało mi się, że widzę czyjąś twarz, że ktoś obserwuje nas z zewnątrz, ale było zbyt ciemno, żeby mieć absolutną pewność. Poza tym to coś błyskawicznie zniknęło.

Adam kiwnął głową. Znał Willę za dobrze, żeby uwierzyć, że przestraszyła się czyjś cienia. Obok ścieżki wyraźnie widać było ślady, ale nic w tym dziwnego. W ciągu ostatnich kilku dni taki był ruch w oborze, że ktoś mógł biec po śniegu leżącym na trawnikach. Słońce topiło go, potem z powrotem zamarzał, więc jego powierzchnia była krucha i z trzaskiem załamywała się pod nogami.

- A może to któryś z naszych ludzi - powiedziała Willa, przyglądając się widocznym na śniegu śladom. - Ale jest to bardzo mało prawdopodobne. Oni na pewno zastukaliby w okno.

- Nie rozumiem również, dlaczego mieliby przechodzić prosto przez kwietnik po to, żeby rzucić okiem do środka. - Adam gestem ręki wskazał na ślady, które prowadziły blisko domu, między zimozielonymi krzewami, gdzie późną wiosną kwitną kwiaty.

- Więc jednak naprawdę coś widziałam. - Ani przez moment w to nie wątpiłam. - Z miejsca, w którym stał Adam, wyraźnie widać było cały pokój, śmiejącą się Lily, która piła herbatę, a potem wstała i naląła Nate'owi kieliszek brandy. - Ktoś nas obserwował. Albo jedno z nas. Willa oderwała wzrok od oświetlonych okien i zaczęła wpatrywać się w ciemność.

- Kogoś z nas?

- Mógł to być mąż Lily, Jesse Cooke. Nie ma go w Wirginii.

Instynktownie Willa spojrzała z powrotem w okno i wzmocniła uścisk na strzelbie.

- Skąd wiesz?

- Prosiłem Nate'a, żeby sprawdził. Od października Jesse nie pokazuje się w pracy ani

nie płaci czynszu. - Myślisz, że przyjechał tu za nią? Skąd wiedział, gdzie jej szukać?

- Nie mam pojęcia. - Cofnął się o kilka kroków. - Snuję jedynie przypuszczenia. Dlatego uważam, że nie ma sensu jej o tym mówić. - Nie bój się, nic jej nie powiem. Sądzę natomiast, że powinniśmy dopuścić do tajemnicy Tess. W ten sposób zawsze któreś może się za nim rozglądać, a równocześnie mieć na oku Lily. Czy wiadomo, jak on wygląda?

- Nie, ale może uda mi się czegoś dowiedzieć. - W porządku. Tymczasem lepiej rozejrzyjmy się dookoła. Ja pójdę tędy, a...

- Idziemy razem, Will. - Położył dłoń na jej ramieniu. - Dwie osoby nie żyją. Mógł to być jedynie wściekły mąż, który nie uznaje rozwodu i chce odzyskać swą żonę. Ale równie dobrze coś zupełnie innego. Dlatego idziemy razem. Po cichu okrążyli dom. Wiał zimny wiatr, a nad ich głowami niebo wyglądało jak przejrzyste szkło. Diamentowe okruszynki gwiazd mieniły się na czarnym tle, a księżyc w trzeciej kwadrze rzucał jasnoblękitne światło na leżący pod stopami śnieg. Z ciemności wyłaniały się topole amerykańskie, które drżały pod cienką lodową pokrywą.

Wokół panował spokój, tylko słychać było porykiwanie krów. Jak one smutno ryczą, pomyślała Willa w chwili, gdy jej oddech zamienił się przed nią w maleńki obłoczek, który błyskawicznie porwał wiatr. To dziwne - odgłosy wydawane przez zwierzęta zawsze dotychczas działały na nią kojąco, teraz było w nich coś niesamowitego.

- Są dziwnie rozdrażnione, jak na tak późną porę. - Spojrzała w stronę obory i znajdującej się za nią zagrody. - Może któraś z krów się cieli.

Muszę sprawdzić.

Adam pomyślał niespokojnie o pozostawionych w stajni koniach. Wiedział jednak, że teraz powinien iść z Willą.

- Słyszałeś to? - Zatrzymała się i natężyła słuch. - Słyszałeś to?

- powtórzyła szeptem.

- Nie. - Odwrócił się jednak w taki sposób, że nawzajem się ubezpieczali. - Niczego nie słyszałem.

- Teraz też już tego nie słyszę. To brzmiało tak, jakby ktoś gwizdał melodię „Sweet Betsy from Pike”. - Potrząsnęła głową i próbowała zażartować z samej siebie. - To po prostu wiatr i strach. Cholera! W porywach musi być chyba około dwudziestu stopni poniżej zera. Ktoś płaczący się wokół domu i gwizdzący melodię musiałby być...

- Stuknięty? - Adam dokończył zdanie i bardzo starał się przebić wzrokiem ciemność.

- Tak. - Willa zadrżała, mimo że miała grubą kurtkę z owczej skóry. - Chodźmy.

Miała zamiar iść prosto do obory, ale jej uwagę przykuła spora i beładna grupka

krów skupiona w odległym kącie zagrody. - Coś mi się tu nie podoba - powiedziała ni to do siebie, ni to do Adama. - Tu się chyba coś stało.

Podeszła do bramy i otworzyła ją.

W pierwszym momencie nie mogła uwierzyć własnym oczom. Przyszło jej na myśl, że to światło księżyca odbijające się od śniegu oślepia ją i rozmazuje obraz. Poczowała jednak zapach, który teraz już doskonale rozpoznawała. Zapach śmierci.

- O Boże, Adamie! - Wolną ręką zakryła usta, by powstrzymać mdłości. - O, dobry Boże!

Ktoś dokonał rzezi cieląt. Początkowo nie była w stanie policzyć, ile zwierząt zginęło, wiedziała jednak, że wielu z nich własnoręcznie pomagała przyjść na świat zaledwie parę godzin temu. Teraz w poszukiwaniu ciepła powinny cisnąć się do swych matek, a tymczasem leżały porzucane dookoła z poderżniętymi gardłami i porozcinanymi brzuchami.

Ogromna ilość krwi tworzyła szkaradną, olbrzymią kałużę, zamarzającą już w niskiej temperaturze.

Wiedziała, że nie powinna tego robić, mimo to odwróciła się plecami, opuściła strzelbę i oparła się o ogrodzenie, starając się uspokoić podchodzący do gardła żołądek.

- Dlaczego? Dlaczego, na litość boską, ktoś zrobił coś takiego?

- Nie wiem. - Potarł dłonią kark, ale się nie odwrócił. Doliczył się ośmiu zarżniętych cieląt. - Chodź, zaprowadzę cię do domu. Poradzę sobie z tym sam.

- Nie, ja też dam sobie radę. Dam sobie radę. - Wytarła rękawiczką usta. - Ziemia jest zbyt twarda, żeby je zakopać, wobec tego musimy je spalić. Trzeba je wynieść stąd, zabrać od pozostałych cieląt i krów, a potem spalić.

- Zrobię to z Nate'em. - Widząc upór na jej twarzy, powstrzymał się od westchnienia. - Dobrze, zrobimy to wszyscy. Chcę jednak, żebyś na chwilę weszła do domu.

Tylko na kilka minut. Zrozum mnie, Will, muszę sprawdzić, co dzieje się z końmi. Jeśli...

- Jezu! - Jej własne nieszczęście zbladło. W tym momencie zaczęła się bać o niego i jego konie. - Nie pomyślałam.

Chodźmy. Szybko.

Wcale nie ruszyła w stronę domu. Zaczęła biec do stajni. Owładnął ją strach. Bała się, że kiedy otworzy drzwi, ponownie poczuje ten okropny zapach.

Równocześnie dobiegli do celu i razem otworzyli drzwi. Nastawiła się na najgorsze. Tu jednak panował spokój, a w powietrzu unosił się jedynie zapach siana, koni i skóry.

Mimo wszystko w milczącym porozumieniu sprawdzili każdą przegrodę, a potem

zajrzeli również do znajdującej się za stajnią zagrody. Wszędzie zostawiali za sobą zapalone światła.

Potem Adam pobiegł do swego domu, żeby przekonać się, czy nic się nie stało psom. Po wypadku ze stajennym kotem zaczął zamykać je na noc. Ob - skoczyły go, radośnie wymachując ogonami. Obawiał się, że równie radośnie i entuzjastycznie powitałyby uzbrojonego po zęby szaleńca.

- Zadzwońmy stąd do głównego budynku i poprośmy Nate'a, żeby dołączył do nas w oborze. Chciałaś również wezwać Hama.

Willa pochyliła się, żeby podrapać Groszka za uszami.

- Zawołajmy wszystkich. Chcę mieć ich tutaj wszystkich. Muszą zobaczyć, z czym próbujemy walczyć. - Jej wzrok stał się twardy i nieubłagany. - Chcę również wiedzieć, co każdy z nich robił przez ostatnie kilka godzin.

To zajęcie nie było bardzo wyczerpujące, ale bolesne i niemiłe. Trzeba było poprzeciągać zarżnięte cielęta i na pokrytej śniegiem ziemi ułożyć z nich stos. Pracowali wszyscy, nikt jednak nie odezwał się ani słowem.

W pewnym momencie Willa zauważyła, że Billy ukradkiem ociera łzy. Wcale mu się nie dziwiła. Gdyby mogło to w czymkolwiek pomóc, sama najchętniej poszłaby w jego ślady.

Kiedy wszystko zostało zrobione, wzięła od Hama kanister z benzyną.

- Zrobię to - powiedziała ponuro. - Ta robota do mnie należy.

- Will... - Chciał zaprotestować, jednak urwał, kiwnął głową i gestem ręki nakazał ludziom cofnąć się.

- Jakim cudem ona to wszystko wytrzymuje? - powiedziała półgłosem Lily. Razem z Tess stała za ogrodzeniem. Obie dygotały jak osiki. - Jak ona to znosi?

- Nie ma innej rady, musi to znieść. - Kiedy Willa polewała niewielki stos benzyną, po plecach Tess przebiegł dreszcz. - Wszyscy musimy - dodała, obejmując Lily ramieniem. - Może wejdziemy do domu?

Lily pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek na świecie, mimo to gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie, zostanmy do końca. Aż ona zrobi, co do niej należy. Willa poprawiła kolorową chustkę, którą zasłoniła nos i usta, po czym wzięła od Hama pudełko zapalek. Dopiero za trzecim razem udało się jej utrzymać w dłoniach ogień. Osłaniając go przed ostrym wiatrem, kucnęła i podpaliła stos.

Plomienie natychmiast objęły całą stertę i wystrzeliły wysoko w niebo, wydzielając przy okazji sporo ciepła. W ciągu paru sekund wszędzie czuć było mdlący zapach palonego

mięsa. Dym gryzł ją w oczy, wypełniał je łzami i drapał w gardle. Odsunęła się do tyłu o krok, potem o dwa, a w końcu oddaliła się od stosu.

- Zadzwoń do Bena. - Nate przysunął się do niej. Nieruchomo wpatrywała się w płomienie.

- Po co?

- Sądzę, że będzie chciał o tym wiedzieć. Jesteśmy z tobą, Willo. Wiedziała o tym, mimo to czuła się samotna i całkowicie bezradna.

- Jestem ci wdzięczna za pomoc, Nate.

- Zostanę dzisiaj na noc. Kiwnęła głową.

- Chyba nie ma sensu, żebym prosiła Bess o przygotowanie dla ciebie gościnnego pokoju?

- Nie. Obejmę jedną zmianę warty i skorzystam z pokoju Tess.

- Wybierz sobie jakąś strzelbę. - Odwróciła się i podeszła do Hama. - Chcę, Ham, żeby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ktoś stał na warcie. Nate zostaje, więc na tę noc jest nas razem szóstka. Wood powinien przebywać w nocy ze swoją rodziną. Nie mogą być sami. Billy i ja obejmujemy pierwszą wachtę, ty i Jim zmienicie nas o północy. Nate i Adam przejmą straż o czwartej.

- Dopilnuję tego.

- Spróbuj się jutro zorientować, jak szybko możemy spisać umowy z tymi dwoma ludźmi z High Springs. Są mi potrzebni. Zaproponuj im dodatkowe pieniądze, jeśli będzie to konieczne, ale ściągnij ich tutaj jak najszybciej.

- Dopilnuję, żeby zjawili się tu nie później niż za tydzień. - Rzadko publicznie ujawniał swe uczucia, tym razem jednak uścisnął jej ramię. - Poproszę Bess, żeby zrobiła kawę, dużo kawy. Uważaj na siebie, Will. Błagam, uważaj na siebie.

- Nie chcę, by na tym ranczu zginęło jeszcze choć jedno zwierzę. - Willa odwróciła się i z kamienną twarzą obserwowała dwie kobiety tulące się do siebie przy ogrodzeniu. - Weź je do domu, dobrze, Ham? Powiedz im, żeby pod żadnym pozorem nie wychodziły na zewnątrz.

- Dobrze.

- I powiedz Billy'emu, żeby wziął strzelbę. Odwróciła się i obserwowała płomienie strzelające w czarne, zimowe niebo.

CZEŚĆ TRZECIA

WIOSNA

Odrobina szaleństwa na wiosnę...

Emily Dickinson

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ben obserwował, jak pracuje się na ranchu Mercy. Mężczyźni krzżeli się w oborze, wykonując dokładnie te same czynności, co pracownicy zatrudnieni w Three Rocks. W zagrodach leżały nadtopione zwały śniegu, a z kominów wydobywały się szare kłęby dymu.

Tylko czarny krąg widoczny za wybiegiem dla koni przypominał o ostatniej rzezi.

Kiedy się jednak uważniej spojrzęło na ludzi, widziało się ponure twarze i paniczny strach czający się w ich oczach. Tak samo wyglądały twarze i oczy pracowników Bena. Podobnie jak Willa zorganizował całodobową ochronę.

Ku swej ogromnej rozpaczy, niewiele mógł Willi pomóc. Był z tego powodu bardzo nieszczęśliwy. Zacisnął mocno wargi i kiwnięciem ręki wywołał ją z grupy.

- Nie mam zbyt dużo czasu na pogawędkę. - Mówiła trochę za szybko i za głośno. W jej oczach nie było widać strachu, lecz potworne zmęczenie. To już nie była ta sama kobieta, która flirtując z nim zmusiła go, by zaproponował jej randkę.

Trudno było uwierzyć, że tak niedawno śmiała się i żartowała z nim przy nakrytym białym obrusem stoliku i kieliszku wina, a w kinie wyjadała ze wspólnej torebki prażoną kukurydzę.

Chciałby znowu ją gdzieś zabrać, choćby tylko na jeden wieczór, wiedział jednak, że w tej chwili na pewno się na to nie zgodzi.

- Widzę, że masz już tych dwóch ludzi z High Springs.

- Zgłosili się wczoraj wieczorem.

Odwróciła się i spojrzęła uważnie na młodszego z jej nowych pracowników. Matt Bodine bardzo szybko zyskał sobie przydomek „Studencik”. Jego marchewkowe włosy ukryte były pod jasnoszarym kapeluszem. Miał dziecięcą twarz, której próbował dodać nieco powagi, zapuszczając rude wąsy. Willa uważała jednak, że to i tak na nic mu się nie zdaje.

Chociaż Matt miał prawie tyle lat co ona, wydawał jej się nieprzyzwoicie młody.

Traktowała go, jakby był rówieśnikiem Billy'ego, a nie jej. Miał jednak bystry umysł, stalowe mięśnie i mnóstwo pomysłów.

Drugi z nich, Ned Tucker, był chudym jak patyk, małomównym kowbojem w bliżej nie określonym wieku. Na jego twarzy znaki wrył czas, wiatr i słońce. Miał trochę niesamowite wyblakłe niebieskie oczy. Żuł niedopałki cygar, niewiele mówił i pracował jak muł.

- Przydadzą się - dodała po chwili.

- Dość dobrze znam Neda Tuckera - zaczął Ben, i w tym momencie ogarnęły go

wątpliwości, czy kogokolwiek na świecie zna dość dobrze. - Fantastycznie posługuje się lassem, rokrocznie wygrywa na zawodach. Natomiast Bodine jest zupełnie nowy. - Poruszył się niespokojnie, próbując zrobić wszystko, by zarówno jego oczy, jak i ton, dokładnie wyrażały to, co myśli. - Za nowy.

- Potrzebna mi pomoc. Jeżeli to właśnie któryś z nich zabawia się ze mną w ten sposób, to nawet lepiej, że będę go miała pod nosem.

Łatwiej będzie go dopilnować. - Wypuściła z płuc powietrze. Powinni rozmawiać o pogodzie, cieleniu się krów, a nie o morderstwie. - Straciliśmy osiem cieląt, Ben. Nie mam zamiaru tracić ani jednego więcej.

- Willo. - Zanim zdążyła się odsunąć, położył rękę na jej ramieniu. - Nie wiem, co mogę zrobić, żeby ci pomóc.

- Nic. - Zrobiło jej się jednak przykro, że powiedziała to tak ostro, więc wsunęła rękę do kieszeni i dodała już nieco łagodniejszym tonem: - Nikt nie jest w stanie nic na to poradzić.

Musimy przez to przejść, i tyle, a poza tym od kilku dni jest spokojnie. Może ten człowiek już skończył swą zabawę, może się stąd wyniósł?

Sama w to nie wierzyła, ale usiłowała to ukryć.

- Jak znoszą to twoje siostry?

- Lepiej, niż można by się tego spodziewać. - Jej rysy trochę złagodniały, kiedy się uśmiechnęła. - Tess nawet pomagała wyciągać cielęta.

Przy pierwszych dwóch było mnóstwo pisków i krzyków, ale potem całkiem nieźle dawała sobie z tym radę.

- Dużo bym dał, żeby to zobaczyć.

W tym momencie roześmiała się serdecznie.

- Warto byłoby nawet kupić bilet, byle to widzieć. A zwłaszcza ten moment, kiedy pękły jej dżinsy.

- Cholera! Nie zrobiłaś przez przypadek zdjęcia?

- Żałuję, ale nie pomyślałam o tym. Ostro zaklęła pod nosem, natomiast panowie, no cóż, prawdę mówiąc, byli niezwykle zadowoleni z tego widowiska. Daliśmy jej potem sztruksy Wooda.

Willa obejrzała się za siebie.

Właśnie zbliżała się do nich Tess. Miała na sobie sztruksowe spodnie, pożyczony kapelusz i jeden z płaszczy Adama.

- Wygląda w tym dużo lepiej niż w obcisłych dżinsach, które dotychczas nosiła.

- To zależy, z której strony się patrzy - powiedział Ben.

- Dzień dobry, ranczerze McKinnon.

- Dzień dobry, ranczerko Mercy.

Tess uśmiechnęła się do niego promiennie i nasunęła na bakier swój kapelusz.

- Lily parzy właśnie kilka wiader kawy - powiedziała do Willi. - Potem przyjdzie pomóc przy wbijaniu igieł w krowie zadki.

- Masz zamiar pomagać przy wyciąganiu następnych cieląt?

Tess spojrzała na Bena, potem na Willę. Z ich twarzy wyczytała, że opowieść o jej wyczynach zatacza coraz szersze kręgi.

- Biorąc pod uwagę, że dzięki temu najbliższy weekend spędzę w uzdrowisku w Górach Skalistych, chyba mogłabym poświęcić temu zajęciu jeszcze jeden dzień.

W tym momencie uśmiech zniknął z twarzy Willi.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- O naszym maleńkim zakładzie. - Mam cię, pomyślała Tess i uśmiechnęła się niewinnie. - Tamtego dnia wyciągnęłam o dwa cielaki więcej niż ty. Ham wszystko dokładnie policzył.

- Co za zakład? - próbował się dowiedzieć Ben, jednak żadna z pań nie potrudziła się nawet, by udzielić mu odpowiedzi. Willa zbliżyła się do Tess i stanęła z nią twarzą w twarz.

- Z byka spadłaś?

- To wcale nie był byk, w związku z tym na pewno z niego nie spadłam. To były cielaki. Oczywiście niektóre z nich najprawdopodobniej rzeczywiście są bykami, ale z tym problemem spróbujesz się uporać za kilka miesięcy i przy tym już ci z całą pewnością nie pomogę.

Ranczo Mercy jest nam winne weekend w miejscowości wypoczynkowej. Zresztą zrobiłam już rezerwację.

Wyjeżdżamy w piątek rano.

- Do diabła, nic z tego. Nie zostawię rancza na dwa dni po to, żeby siedzieć po uszy w borowinie.

- Oszustka!

Oczy Willi zamieniły się w szparki. Ben głośno odchrząknął i delikatnie odsunął się poza zasięg ich rąk.

- To nie ma nic wspólnego z oszukiwaniem. Mieliśmy poważne kłopoty i w związku z tym nie pamiętałam nawet o jakimś głupim zakładzie. Musiałam przeprowadzić kilka rozmów przez telefon i wyjaśnić wszystko gliniarzom.

Przynajmniej przez kilka godzin byłam zajęta czym innym i nie pomagałam przy cielakach.

- Ale ja to robiłam i wygrałam. - Tess jeszcze bardziej zbliżyła się do Willi, aż zetknęły się czubki ich butów. - Dlatego właśnie jedziemy. Jeśli się wycofasz, dołożę wszelkich starań i osobiście zawiadomię wszystkich w promieniu dwustu kilometrów, że rzucasz słowa na wiatr.

- Zawsze dotrzymuję słowa i każdy, kto twierdzi, że jest inaczej, po prostu kłamie.

- Moje panie...

Willa gwałtownie odwróciła głowę i zmierzyła Bena lodowatym Wzrokiem.

- Zjeżdżaj, McKinnon!

- Mam zjeżdżać - wymamrotał, cofnął się i bezradnie rozłożył ręce.

- Każą mi zjeżdżać.

- Jeśli chcesz wyjechać, kiedy wszystko wali się nam na głowę - ciągnęła Willa i mocno szturchnęła Tess w ramię - to jedź. Ja muszę zająć się ranczem.

- Ty także wyjeżdżasz. - Tess odwzajemniła się Willi takim samym szturchnięciem. - Ponieważ taka była umowa.

Ponieważ przegrałaś zakład, a Lily marzy o tym wyjeździe. Ponieważ nadszedł już czas, żebyś w takim samym stopniu, jak liczysz się ze swoimi cholernymi krowami, zaczęła się liczyć z otaczającymi cię ludźmi. Żeby do tego doprowadzić, harowałam jak wół, aż pękły mi spodnie. Od sześciu miesięcy jak idiotka tkwię na tym znajdującym się na krańcu świata ranczu.

Dzieje się tak tylko dlatego, że jakiś cholerny egoista postanowił jeszcze zza grobu zrobić ludziom parę kawałów.

- I po sześciu następnych miesiącach po prostu stąd wyjedziesz. - Dlaczego to właśnie zwyczajne stwierdzenie miałooby rozzłościć Tess, tego Willa nie wiedziała.

- Masz cholerną rację - odpaliła Tess. - Gdy tylko odsiedzę cały swój wyrok, natychmiast pakuję się i wyjeżdżam. Ale na razie gram w tę grę i trzymam się obowiązujących reguł. Ty, na Boga, też będziesz się ich trzymać. Słowo daję, że pojedziemy, nawet jeśli w tym celu będę musiała pobić cię do nieprzytomności, związać w kij i wrzucić do pierwszego z brzegu dziupa.

- Łazika. - Willa uniosła wyżej głowę, jakby czekając na uderzenie. - To jest łazik, Hollywood, a ty nie umiałabyś stłuc nawet ślepego i ledwo trzymającego się na trzech nogach psa.

- Pieprzę twoje łaziki. - Tess miała już tego dość, więc mocno ją pchnęła. - Ciebie też

pieprzę!

I tu dopiero się zaczęło.

Willa nie mogła opanować wściekłości. Zanim zdała sobie sprawę, co robi, zadała potężny cios pięścią, która wylądowała na twarzy Tess, zostawiając paskudny, czerwony znak na jej szczęce. Tess zachwiała się i wylądowała w błocie.

Ben zaklął i ruszył do przodu, żeby pomóc jej podnieść się z ziemi. Tymczasem Willa oprzytomniała i natychmiast zaczęła przeproszać.

- Wybacz. Nie powinnam tego robić. Ja...

Nie zdążyła dokończyć zdania. Tess z głośnym krzykiem poderwała się na równe nogi i całym ciałem staranowała Willę. Obie upadły na ziemię. Rozległy się wrzaski i przez moment widać było jedynie bezładną plątaninę rąk i nóg.

Ben przez pięć sekund zastanawiał się, co powinien zrobić. W końcu doszedł do wniosku, że jeśli chce uratować swoją skórę, musi trzymać się od wszystkiego z dala.

Willa i Tess, mocując się ze sobą jak para zapaśniczek, wpakowały się w śnieg, a po chwili z powrotem znalazły się na rozmokłej ziemi. Przez cały czas strasznie klęły i okładały się pięściami. Ben pomyślał, że za chwilę zaczną się ciągnąć za włosy. Rzeczywiście, nie zawiodły go. Kiedy z obory wyszli zwabieni dziwnymi odgłosami mężczyźni, poprawił na głowie kapelusz i uniósł rękę.

- O cholera! A niech to diabli wezmą! - powiedział Ham znużonym głosem. - O co im właściwie poszło?

- Mówiły coś o zakładzie, kąpielach borowinowych i łaziku.

Ham wyjął z kieszeni tytoń, tymczasem pozostali mężczyźni stanęli dookoła, tworząc bezładny krąg.

- Will mniej waży, ale widać, że jest wściekła. - Skrzywił się, kiedy pięść trafiła prosto w oko. - Przecież ją uczyłem, co z tym robić - stwierdził, potrząsając głową. - Powinna zauważyć, że za chwilę oberwie.

- Jak myślicie, czy zaczną się za chwilę drapać? - zastanawiał się Billy. - Jezu!

- Myślę, że gdyby ktokolwiek próbował je rozdzielić, obie zgodnie rzuciłyby się na niego. - Ben wsunął ręce do kieszeni. - Tess ma piekielnie długie paznokcie. Nie mam ochoty, żeby przeorała mi nimi twarz.

- Wydaje mi się, że Willa zaczyna brać górę. - Jim odskoczył do tyłu, gdy obie kobiety przeturlały się niebezpiecznie blisko jego butów. - Stawiam dziesięć na nią.

Ben zastanawiał się przez chwilę, w końcu potrząsnął głową.

- Czasem lepiej się nie zakładać.

Wściekłość sprawiła, że Tess zapomniała o wszystkim, czego nauczyła się na kursach samoobrony i w ciągu dwóch lat ćwiczenia karate. Walczyła jak przeciętna dziewczyna, biorąca udział w bójce na szkolnym boisku. Czerwona mgielka, która zasnuwała jej oczy, ciemniała przy każdym następnym ciosie Willi. Tutaj nie było żadnego osłaniania się, żadnych reguł, nie było również instruktora, który odmierzałby upływający czas.

W pewnym momencie wylądowała twarzą w roztopionym, wymieszanym z błotem śniegu. Wypluła go i ordynarnie zakławszy, złapała Willę za włosy.

Willa zobaczyła wszystkie gwiazdy. Poczowała, że łyż bółu i upokorzenia cisną się jej do oczu. Odwróciła się, próbując przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. W pewnym momencie usłyszała, że coś się rozdarło. Modliła się, żeby to było ubranie, a nie wyrwane z cebulkami włosy.

Była zbyt dumna, by użyć zębów.

Po chwili jednak, kiedy jak długa wylądowała w śniegu, zaczęła żałować swej dumy.

Tess nagle przypomniała sobie umiejętności zdobyte na treningach i zdecydowała się na urozmaicenie ich nowymi elementami - dlatego usiadła na siostrze.

- Poddaj się! - krzyknęła, starając się utrzymać dającą jej przewagę pozycję.

Tymczasem Willa z całych sił próbowała się wywinąć i wyrwać spod Przygniatającego ją ciężaru.

- Jestem większa niż ty.

- Weź ze mnie swój... tłusty...

tyłek! - Willa skoncentrowała się i jednym gwałtownym ruchem zrzuciła z siebie Tess.

Odsunęła się, odwróciła i próbowała usiąść.

Pełni szacunku mężczyźni zachowywali milczenie, podczas gdy obie zapaśniczki dyszały, sapały i patrzyły na siebie wilkiem. Willa, ścierając krew z podbródka, z pewną satysfakcją zauważyła, że zawsze elegancka i zadbana Tess oblepiona jest grubą warstwą błota, zmierzwione włosy wpadają jej do oczu, a ze spuchniętej wargi płynie krew.

Tess złapała głęboko powietrze i w tym momencie poczuła własne ciało. Wszystko ją bolało, wszystkie kości, wszystkie mięśnie, każda nawet najmniejsza cząstka. Zacisnęła zęby i spojrzała na Willę.

- Moim zdaniem jesteśmy kwita. Willa z ogromną ulgą przytaknęła, a potem spojrzała na zafascynowanych, uśmiechających się promiennie mężczyzn. Zauważyła, że przekazują sobie z rąk do rąk pieniądze i ostro zaklęła.

- Czy płacę wam za stanie i drapanie się po tyłkach?

- Nie, madam. - Jim doszedł do wniosku, że zagrożenie już minęło, więc wysunął się

do przodu. Wyciągnął dłoń i zaoferował ją Willi. W tym momencie dostrzegł błysk w jej oku i zrozumiał, że zbyt się spieszył.

- Sądzę, że jest już po przerwie, chłopcy. Ham wykonał gwałtowny ruch głową i mężczyźni bez słowa wrócili do obory. Po kilku sekundach dobiegły stamtąd rozmowy i śmiechy.

- Skończyłyście? - dopytywał się Ham. Willa, zdumiona nieco tonem, jakim to powiedział, strzepnęła ziemię z kolan i kiwnęła głową.

- To dobrze. - Ham odrzucił papierosa i obcasem wdeptał go w ziemię. - Następnym razem, kiedy będziecie chciały skoczyć sobie do oczu, spróbujcie to zrobić w takim miejscu, w którym nie będziecie przeszkadzać mężczyznom. Do widzenia, Ben - dodał i przytknął palec do runda kapelusza.

Mądry człowiek, pomyślał Ben, kryjąc starannie rozbawienie, kiedy Ham odchodził z pola bitwy.

- Moje panie - powiedział śmiertelnie poważnie - czy mogę wam pomóc wstać?

- Poradzę sobie sama - Willa, podrywając się z ziemi, mimo woli jęknęła. Była przemoczona, zmarznięta, a na dodatek oblepiona błotem. Miała podartą koszulę, a w lewym oku czuła pulsowanie bardzo przypominające ból zęba.

Na myśl o zębach przesunęła po nich językiem. Z ogromną ulgą stwierdziła, że wszystkie są na swoim miejscu.

- A ja chętnie skorzystam z pomocy. - Jak księżniczka na balu, Tess uniosła rękę i pozwoliła, by Ben wyciągnął ją ze sterty zmieszanego z błotem śniegu. Na myśl o tym, co zobaczy w lustrze, dreszcz przebiegł jej po plecach, mimo to zdobyła się na chłodny uśmiech.

- Dziękuję. Teraz - dodała, kierując w stronę Willi czarujący uśmiech - uważam, że sprawa została już definitywnie rozstrzygnięta. Wyjeżdżamy w piątek rano. I zabierz ze sobą jakąś suknię wieczorową.

Zbyt wściekła, by wydobyć z siebie choć jedno słowo, na dodatek zdając sobie sprawę, co może się stać, jeśli w ogóle się odezwie, Willa odwróciła się na pięcie i weszła do obory. Śmiechy rozlegające się wewnątrz gwałtownie umilkły. - Pojedzie - oświadczył Ben spokojnie, po czym zdjął z szyi kolorową chustkę i delikatnie starł nią krew, która zasychała w kąciку ust Tess. - Odwołałaś się do jej honoru. Może zrezygnować z wszystkiego, ale nie z tego. - Au! - Zamknęła oczy, a potem ostrożnie przesunęła palcami po rosnącym na skroni krwiaku. - Kosztowało mnie to znacznie więcej niż przypuszczałam. To moja pierwsza prawdziwa walka od dłuższego czasu. Ostatnią stoczyłam w dziewiątej klasie, kiedy to Annmarie Bristol nazwała mnie Szafą Trzydrzwiową. Stukłam ją na kwaśne jabłko, po czym

przeszłam na ostrą dietę.

- I udało się. - Schylił się i podniósł jej zmięty kapelusz.

- Całkowicie.

- Tak. - Tess włożyła kapelusz na mokre, zabłocone włosy. - Uważam, że jestem w świetnej formie. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że tak trudno będzie ją pokonać.

- Willa jest szczupła, ale bardzo mocna.

- Nie musisz mi tego mówić - powiedziała Tess, oblizując opuchniętą wargę. - Dobrze jej zrobi nawet tak krótki wyjazd. Będzie mogła oderwać się od wszystkich spraw związanych z ranczem.

Potrzebuje tego bardziej niż ja czy Lily.

- Sądzę, że masz absolutną rację.

- Nie wiem, kiedy ona w ogóle śpi. Pierwsza jest rano na nogach, a połowę nocy spędza w biurze albo tutaj, na zewnątrz. - W tym momencie wzruszyła ramionami. - Do diabła! Właściwie, co mnie to obchodzi?

- Sądzę, że sama doskonale znasz odpowiedź na to pytanie.

- Może. - Spojrzała na niego i zmarszczyła czoło. - Mogę ci powiedzieć, co jeszcze bardzo by się jej przydało. Dobra, zdrowa, pozwalająca zapomnieć o wszystkim zabawa w łóżku. Na co ty, do diabła, czekasz?

Prawdę mówiąc, na ten temat nie miał zamiaru z nikim dyskutować. Przyzwoitość zmuszała go do milczenia, mimo to instynkt kazał mu zrobić coś wręcz przeciwnego. Obejrzał się za siebie, wziął Tess pod rękę i odciągnął trochę dalej od obory.

- Widzisz, Willa... nigdy... ona nigdy.... - powtórzył i zamknął usta.

- O czym ty mówisz? Przymrużył oczy i spojrzał na nią niespokojnie. W tym momencie Tess domyśliła się, o co mu chodzi i zamarła w bezruchu.

- Nigdy się nie kochała? Dobry Boże! - Odetchnęła głęboko i zbierała myśli. - No cóż, to stawia wszystko w trochę innym świetle, prawda?

Mimo że opuchnięta warga bardzo ją bolała, Tess pocałowała Bena w policzek.

- Jesteś cierpliwym i wyrozumiałym facetem, Ben.

Myślą, że to cudownie i wspaniale.

- Cholera! - Zaczął szurać nogami. - Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Dochodzę do wniosku, że może nigdy nie miała z kim na ten temat porozmawiać. Może nikt jej nie wyjaśnił pewnych rzeczy.

Tess błyskawicznie zorientowała się, o co mu chodzi, i energicznie potrząsnęła głową.

- O nie. Nie i nie. Nic z tych rzeczy.

- Przyszło mi na myśl, no wiesz, że skoro jesteście siostrami...

- Sądzę, że chyba trudno znaleźć idealniejsze siostry niż Will i ja. - W głosie Tess słychać było wyraźny sarkazm, na dodatek skrzyżowała palce. - Jak ty to sobie wyobrażasz? Że robię jej krótki wykład pod tytułem „Kobieta i mężczyzna w łóżku”?

- No tak, chyba masz rację.

Jesteś sfrustrowanym facetem, który dawno nie miał w łóżku kobiety, pomyślała Tess i poklepała go po policzku.

- Pracuj nad nią, wielki chłopcze. A ja może spróbuję coś wymyślić. Powinnam znaleźć na to chwilę czasu. Przecież przez dzień lub dwa będę moczyć się w jacuzzi. - Przyciskając rękę do obolałego pośladka, Tess pokuśtykała do domu.

- Nie do wiary! - To były jedyne słowa, które Lily zdołała wykrztusić po przyjeździe do Centrum Odnowy Biologicznej w Mountain King.

Nigdy nie widziała czegoś takiego.

Centralna część budynku, wzniesiona ze szkła i drewna, zajmowała ogromną powierzchnię. Wyłożone rzeczonymi kamieniami ścieżki wiodły wśród przyprószonych śniegiem roślin zimozielonych i podgrzewanych basenów, nad którymi unosiła się para, tworząc marzycielską mgiełkę.

Kiedy załatwiały formalności, Lily przez cały czas kurczowo ścisnęła torebkę. Rozglądała się po wyłożonym pluszem holu. Ze zdumieniem kręciła głową, widząc podwójny kominek, wysoki sufit i rosnącą wszędzie bujną roślinność. Z przerażeniem myślała o tym, ile to wszystko będzie kosztowało. Była pewna, że nawet jednodniowy pobyt w tak pięknym i wytwornym miejscu pochłonie mnóstwo pieniędzy.

Tess natomiast przyjaznym uśmiechem powitała recepcjonistę, zwracała się do niego po imieniu i zapewniała, że ona i jej towarzysz byli niezwykle zadowoleni ze swego pobytu tutaj na początku sezonu.

Recepcjonista odwzajemnił się jej również uśmiechem, po czym zawołał chłopca hotelowego, kazał mu się zaopiekować bagażem nowo przybyłych i zaprowadzić je do ukrytego za gęstą zasłoną sosen, przytulonego do zbocza góry domku.

Sam domek wprowadził Lily w całkowite osłupienie.

Przez olbrzymią przeszkloną ścianę salonu widać było majestatyczne góry. Sprytnie wbudowana w skały wanna zachęcała do skorzystania z gorącej kąpieli.

W kominku, na kamiennym palenisku, palił się już ogień, a w glinianych wazach stały świeże, zroszone przed chwilą kwiaty. Półokrągła przestrzeń wypoczynkowa urządzona była w spokojnej, szarej tonacji, wspaniale podkreślonej poduszkami w kolorach szlachetnych

kamieni.

Naprzeciwko stał olbrzymi telewizor, aparatura video i odtwarzacze stereofoniczne.

Uroczą, wykończoną ciemnym drewnem jadalnia znajdowała się obok eleganckiej, małej kuchni.

- Nie do wiary! - powiedziała Lily niemal szeptem, kiedy chłopiec hotelowy wprowadził je do sypialni, z której szklane drzwi wiodły prosto na kamienny taras. Dwa szerokie, starannie zaścielone łóżka kusyły grubymi poduszkami i kołdrami. Za sypialnią znajdowała się łazienka. Lily rzuciła na nią tylko okiem. Zauważyła nieprawdopodobnie długą, kremową półkę, olbrzymią wannę i oszklony, osobny prysznic. Poza tym był tam jeszcze bidet.

Bidet. To niesamowite!

Lily z wrażenia nie była nawet w stanie myśleć, gdy tymczasem Tess wydawała chłopcu polecenia.

- Te bagaże proszę położyć tutaj. Dziękuję. Te może pan wziąć... - Tess rzuciła w stronę Willi chłodne spojrzenie - ... do drugiej sypialni. Nie pogniewasz się, Lily, jeśli będziemy miały wspólny pokój?

- Słucham? Nie, nie, oczywiście, że nie, ja...

- W porządku. W takim razie możemy się rozpakować. Za godzinę mamy pierwsze zabiegi.

- Zabiegi? Ale...

- Nie martw się - powiedziała Tess, wychodząc za chłopcem. - Zadbam o wszystko. Jestem pewna, że bardzo ci się to spodoba.

Lily usiadła na brzegu łóżka i zastanawiała się, czy to wszystko nie jest tylko snem.

- Co się pani stało? Laborantka, terapeutka, konsultantka, czy kto to tam, do diabła, był, długo i ze współczuciem przyglądała się podbitemu oku Willi. Willa najchętniej wzruszyłaby ramionami. Nie było to jednak takie proste, ponieważ leżała nago na wyściełanym stole w małym pokoiku, który rozświetlało jedynie przyćmione światło.

- Nie patrzyłam pod nogi.

- Rozumiem. No cóż, może konsultant, który będzie zajmował się pani skórą, zdoła coś na to poradzić.

Proszę się rozluźnić - rozkazała i zaczęła okładać Willę czymś ciepłym i wilgotnym. - Czy to pani pierwszy pobyt w Mountain King?

- Tak. - I ostatni, przyrzekła sobie solennie. Nagle, zupełnie niespodziewanie, kiedy ciepła warstwa okładów otuliła jej ramiona i przykleiła się do ciała, nadszedł atak

klaustrofobii.

Serce zaczęło jej walić w piersiach jak młot, miała wrażenie, jakby się dusiła, i mimo woli próbowała się bronić.

- Nie, nie, proszę się rozluźnić. Proszę oddychać równo i spokojnie. - Ciepły, ciężki koc otulił ją jeszcze szczelniej. - Wielu naszych klientów za pierwszym razem w taki właśnie sposób reaguje na okłady z ziół. To minie, jeśli tylko przestanie pani o tym myśleć. Teraz jeszcze położę pani na oczy bawełniane tampony nasączone naszą firmową mieszanką. To powinno w jakimś stopniu usunąć tę opuchliznę i obrzęk. Za mało pani sypia.

Fantastycznie. Teraz jest nie tylko uwięziona, ale i oślepiona. Willa zastanawiała się, czy byłaby pierwszą klientką centrum zabiegowego dla pań, która zrzuciłaby z siebie nasączone ziołami okłady i uciekła nago, na domiar złego z krzykiem.

Ponieważ za wszelką cenę chciała uniknąć takiej sensacji, spróbowała się zrelaksować i rozluźnić wszystkie mięśnie.

Doszła do wniosku, że być może jest to kara za uparte milczenie w czasie jazdy do Mountain King.

Nagle zdała sobie sprawę, że słyszy muzykę. A może to wcale nie była muzyka, lecz odgłosy wodospadu i śpiewających ptaków. Odetchnęła głęboko, spokojnie i próbowała pocieszyć się myślą, że zostało jej już tylko około czterdziestu ośmiu godzin cierpienia.

Nie minęło nawet pięć minut, a już zapadła w głęboki sen.

W dwadzieścia minut później obudziła się całkiem oszołomiona. Konsultantka mówiła coś do niej półgłosem.

- Co? Gdzie?

- W ten sposób usuniemy wszystkie toksyny z pani organizmu. - Z ogromną wprawą zdjęła wszystkie warstwy ziołowych okładów. - Proszę teraz pić dużo wody. Przez kilka godzin powinna pani pić tylko wodę. Za dziesięć minut ma pani gumowanie. W związku z tym proszę się rozluźnić. Pomogę pani włożyć szlafrok i kaptcie.

Wciąż jak we śnie, Willa pozwoliła ubrać się w szlafrok i wsunęła stopy w plastikowe klapki, otrzymane w prezencie od centrum.

- Co to jest gumowanie?

- Na pewno bardzo się pani to spodoba - obiecała konsultantka.

Znowu była naga i leżała na stole. Zajmowała się nią zupełnie inna kobieta, w jasnoróżowym fartuchu, takim, jakie noszą w laboratorium. Kiedy po raz pierwszy uderzyła wilgotną gąbką w nagą skórę posmarowaną wygładzającym kremem, Willa głośno jęknęła.

- Zrobiłam to za mocno?

Bardzo panią przepraszam.

- Nie, po prostu zaskoczyła mnie pani.

- Będzie pani miała skórę delikatną jak jedwab.

Willa zamknęła oczy, czując się potwornie zawstydzona, kiedy ta kobieta zabrała się za przecieranie jej nagich pośladków.

- Co pani, do diabła, na mnie nakłada?

- To specjalny środek do złuszczenia naskórka. Skin - Nu. Wszystkie nasze produkty powstają na bazie ziół i można je dostać tylko w naszym salonie. Ma pani fantastyczną skórę o pięknej barwie. Tylko... skąd ma pani wszystkie te sińce?

- To skutki wyciągania cieląt.

- Wyciągania... och, rozumiem, pani pracuje na ranczu. To musi być cudowne zajęcie. Czy prowadzi pani to ranczo razem z rodziną?

Willa poddała się losowi. Jeśli już muszą, to niech zeskrobują z niej skórę warstwa po warstwie.

- Obecnie tak.

Willa znowu leżała na plecach i znowu była naga, jeśli nie liczyć ciepłej, grubej warstwy błota, którą następną kobietą metodycznie pokrywała jej ciało. W pewnym momencie Tess wsunęła głowę w drzwi i wybuchnęła serdecznym śmiechem.

- Zapłacisz mi za to, Hollywood. - Chryste, ta kobieta pokrywa gorącym błotem jej cycki. Jej cycki!

- Poprawka. To Mercy za to zapłaci. A ty nigdy nie wyglądałaś śliczniej.

- Przepraszam, madam - powiedziała nowa konsultantka - to są prywatne pokoje.

- W porządku, jesteśmy siostrami. - Tess oparła się o framugę drzwi. W białym aksamitnym szlafroku i plastikowych klapkach wyglądała, jakby była u siebie w domu. - O piątej mam następny zabieg. Pomyślałam, że sprawdzę, jak ci leci.

- Leżę od momentu, kiedy się tu znalazłam.

- Jeśli będziesz miała czas między zabiegami, spróbuj skorzystać z łaźni parowej. Co cię teraz czeka? - Nie mam bladego pojęcia. - Wydaje mi się, że pani Mercy ma jednogodzinny zabieg kosmetyczny.

- To pewnie miód - przypomniała sobie Tess. - W takim razie życzę miłej zabawy. Lily w pokoju obok ma masaż całego ciała.

Właśnie kwili z radości. Do zobaczenia.

- Jak widzę, przyjechała tu pani z siostrami - powiedziała konsultantka, gdy Tess zamknęła za sobą drzwi.

- Można tak powiedzieć.

Konsultantka uśmiechnęła się i posmarowała błotem twarz Willi.

- Prawda, że to miłe?

Willa nie próbowała nawet protestować i zamknęła oczy. - Można tak powiedzieć.

Willa wróciła do domku dopiero po szóstej. Nogi ugięły się pod nią i wydawało się, że nie są w stanie udźwignąć ciężaru jej ciała. Pojękiwała, ale absolutnie nie chciała się przyznać, że jęczy nie tylko z bólu, ale i z przyjemności. Jej ciało było cudownie lekkie, wypieszczone i rozluźnione, czuła się jakby lada chwila miała poderwać się do lotu.

Być może trochę przesadziła, gdy po godzinnym masażu zdecydowała się na piętnastominutową kąpiel parową z grupą innych nagich kobiet. Ale, prawdę mówiąc, zupełnie straciła głowę.

- Nareszcie jesteś. - Kiedy Willa stanęła w drzwiach, Tess właśnie otwierała butelkę szampana. - Zdecydowaliśmy, że nie będziemy na ciebie czekać.

- Och, wyglądasz cudownie. - Wciąż jeszcze ubrana w szlafrok, Lily poderwała się z sofy i zacisnęła ręce. - Tak wspaniale się zaróżowiłaś.

- Ledwo się ruszam. Ten facet od masażu, Derrick, chyba mi coś zrobił.

- Ty miałaś masażystę? - Wyraźnie zaskoczona Lily podbiegła i podprowadziła Willę do sofy. - Masaż całego ciała robił ci mężczyzna?

- A kto miał mi go robić?

- Ja miałam masażystkę, więc myślałam... - Urwała, gdy Tess wsunęła jej do ręki długi i wysoki kieliszek.

- Dla ciebie, Lily, zamówiłam masażystkę. Doszłam do wniosku, że będziesz się swobodniej czuć. - Następny kieliszek podała Willi. - Dla Willi natomiast zamówiłam mężczyznę, ponieważ uznałam, że powinna zacząć się przyzwyczajać do tego, że jej ciało dotykają męskie ręce - nawet gdyby to miały być tylko ręce masażysty.

- Gdybym się nie bała, że upadnę, gdy tylko spróbuję wstać, stłukłabym cię za to na kwaśne jabłko.

- Kochanie, powinnaś mi raczej podziękować. - Z własnym kieliszkiem w ręce Tess usadowiła się na oparciu sofy. - Prawda, że było wspaniale?

Willa wypiła łyk szampana.

W ciągu dnia pochłonęła ogromne ilości wody, wydawało jej się wręcz, że można by w niej zatopić okręt wojenny. Miło było zamienić ją teraz na alkohol z bąbelkami.

- Może. - Upiła następny łyk i oparła głowę o sofę. - Wyglądał jak Harrison Ford i skrobał mi stopy. Boże! A potem masował mi to miejsce na plecach, tuż nad łopatkami. -

Zadrzała. - Używał do tego kciuków. Miał niesamowite kciuki.

- Mam nadzieję, że wiecie, co mówią o kciukach mężczyzn. - Uśmiechając się z wyższością, Tess uniosła kieliszek i kiedy Willa z trudem otworzyła jedno oko, wzniosła nim toast. - Zauważyłam, że Ben ma bardzo... duże kciuki.

- Czy nie wystarcza ci oglądanie Nate'a?

- Sypianie z Natem w zupełności mi wystarcza. Ale jestem pisarką. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że pisarze dostrzegają mnóstwo szczegółów.

- Adam ma wspaniałe kciuki.

- W momencie, kiedy Lily uświadomiła sobie, co powiedziała, zakrztusiła się, a na jej policzkach pojawiły się ciemne rumieńce. - Chciałam powiedzieć, że ma dobre ręce. Tak, to właśnie chciałam powiedzieć, są bardzo... - Parsknęła zniecierpliwiona i poddała się. - Dłgie. Mogę dostać jeszcze trochę?

- No pewnie. - Tess poderwała się i chwyciła butelkę. - Jeszcze parę kropli i pewnie powiesz nam wszystko o wspaniałych, długich kciukach Adama, - Nie mogę.

- Mam następną butelkę.

- Nie drażnij się z nią - powiedziała Willa, ale w jej słowach nie było ani cienia złości.

- Nie każdy lubi się przechwalać tym, co robi w łóżku.

- Ja poprzechwalałabym się z ogromną przyjemnością - powiedziała Lily i ponownie oblała się rumieńcem. - Chciałabym opowiedzieć o tym wszystkim, ponieważ nigdy wcześniej nie było mi tak dobrze.

Nigdy nie wiedziałam, że może tak być. A zwłaszcza nigdy nie przypuszczałam, że mnie coś takiego spotka. - Chociaż zawsze miała bardzo słabą głowę, bez zastanowienia opróżniła drugi kieliszek. - A Adam jest taki piękny. Mam na myśli nie tylko jego twarz i serce, ale i całe ciało. Mój Boże!

Przycisnęła rękę do piersi i odstawiła swój kieliszek, który Tess uczynnie natychmiast napelniła po brzegi.

- Wygląda jakby było rzeźbione z bursztynu. Jest cudowne. Kiedy na niego patrzę, drzę jak uczennica, a wokół serca robi mi się tak cudownie ciepło. Adam jest taki delikatny, kiedy mnie dotyka. A potem przestaje być delikatny, ale wtedy mi to już nie przeszkadza, ponieważ pragnę go i on mnie pragnie. Wówczas wszystko staje się takie dzikie i gwałtowne. Mam wtedy wrażenie, że mogłabym kochać się z nim całymi godzinami, całymi dniami. W nieskończoność. I czasem, zanim skończymy, mam trzy albo nawet cztery orgazmy. Z Jesse'em rzadko zdarzało mi się mieć jeden, a potem...

Nagle urwała, zamrugnęła oczami i z trudem przełknęła ślinę.

- Czy ja to wszystko właśnie powiedziałam?

Tess nabrała powietrza i jednym haustem wypła cały kieliszek szampana.

- Jesteś pewna, że chcesz na tym skończyć? Jeszcze kilka minut, a może i ja sama dołączę się do ciebie.

- Och! - Lily gwałtownym ruchem odstawiała kieliszek i przycisnęła dłonie do policzków. - Nigdy nikomu nie opowiadałam takich rzeczy. Nie miałam zamiaru wprawiać was w zakłopotanie.

- Wcale nas nie wprawiaś w zakłopotanie. - Willa czuła, że ma niesamowicie ściśnięty żołądek. Wyciągnęła dłoń i poklepała Lily po ramieniu. - Cieszę się, że jest wam ze sobą tak dobrze.

- Nigdy nie miałam nikogo, komu mogłabym coś takiego powiedzieć. - Głos Lily załamał się, a po policzkach popłynęły jej łzy. - Nie byłabym w stanie powiedzieć czegoś takiego nikomu oprócz was.

- Lily, nie...

- Nie bój się. - Lily zdecydowanym potrząśnięciem głowy ucięła obawy Tess. - Wszystko w moim życiu się zmieniło. Zaczęło się zmieniać w chwili, kiedy po raz pierwszy spotkałam was obie. Również ja zaczęłam się zmieniać. Muszę wam powiedzieć, że jestem szczęśliwa, mimo tych okropnych rzeczy, które się przydarzyły. Jestem bardzo szczęśliwa. Znalazłam Adama i was. Wszystkich was tak bardzo kocham. Bardzo was kocham. Przepraszam - powiedziała, poderwała się na równe nogi i wybiegła do łazienki.

Wzruszona do głębi, a równocześnie niezwykle speszona Willa siedziała bez ruchu i słuchała szumu wody spływającej do umywalki.

- Czy któraś z nas nie powinna iść za nią? - Nie. — Tess czuła, że ma oczy pełne łez. Nalała Willi następny kieliszek, potem opadła na kanapę obok niej. - Dajmy jej trochę czasu. - Z koszyka stojącego na stole wybrała najpiękniejsze jabłko. - Ona ma rację, wiesz? Obok wszystkich tych okropnych rzeczy dzieje się również mnóstwo dobrych, które próbują zrównoważyć te pierwsze.

- Chyba tak. - Willa spojrzała na swój kieliszek i przeniosła wzrok na Tess. - Coś ci powiem.

Zostałam zmuszona do poznania was, ale teraz jestem z tego zadowolona. Wcale nie muszę was lubić - dodała szybko, żeby nie zrobiło się zbyt łzawo. - Ale cieszę się, że musieliśmy się poznać.

Tess uśmiechnęła się, trąciła kieliszkiem o kieliszek Willi. - Wypijmy zatem za nasze przymusowe zapoznanie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Po co to wszystko? Czy to w ogóle ma jakikolwiek sens? - zapytała Willa, patrząc na swoje paznokcie, które pedicurzystka malowała właśnie na czerwono. - Poza mną nikt ich nie ogląda, a ja nie zwracam uwagi na własne nogi.

- Co zresztą było bardzo wyraźnie widać - oświadczyła Tess zadowolona z jaskrawoczerwonego lakieru. - Zanim Marla nie wypróbowała na tobie swoich sztuczek, twoje paznokcie wyglądały, jakbyś je pielęgnowała kosiarką do trawy. - No i co z tego?

Willa była wściekła, że większość zabiegów sprawia jej przyjemność. Niewątpliwie najbardziej cieszył ją masaż stóp. Odwróciła się w drugą stronę i obserwowała, jak Lily z radością przygląda się swym, nie do końca jeszcze pomalowanym, paznokciom u nóg.

- Naprawdę sądzisz, że Adamowi spodoba się... zaraz, jak nazywa się ten kolor? - Willa wyciągnęła szyję i odczytała z etykiетки nazwę lakieru: koralowy róż? - Czuję się w tym kolorze taka piękna. - Lily z uśmiechem podziwiała paznokcie, którym kosmetyczka nadała już odpowiedni kształt i pociągnęła je wyrównującym lakierem. - Dojrzała i piękna. - Spojrzała na Tess. - I chyba właśnie o to chodzi, prawda?

Tess, jak nauczycielka, która przez całą lekcję próbowała wyjaśnić skomplikowaną regułkę, a w końcu zauważyła, że uczeń ją zrozumiał, zaklaskała w dłonie, uważając jednak, żeby nie rozmazać świeżego lakieru.

- Nareszcie przebłysk zdrowego rozsądku. Kiedy elegancka kobieta ładnie się ubiera i nakłada staranny makijaż, wcale nie robi tego dla mężczyzny. Robi to przede wszystkim dla samej siebie. Potem dla innych kobiet, ponieważ tylko one są w stanie zauważyć i docenić szczegóły. Dopiero na ostatnim miejscu są mężczyźni, którzy, jeśli kobieta ma odrobinę szczęścia, dostrzegają całość.

Tess postanowiła trochę rozbawić siostry, dlatego groźnie poruszyła brwiami i obniżyła głos o oktawę.

- Proszę, proszę! Ładnie wygląda. Ładnie pachnie. Chętnie poszedłbym z nią do łóżka.

Willa wybuchnęła śmiechem.

- Nie masz o mężczyznach zbyt wysokiego mniemania, prawda, Hollywood?

- *Au contraire*, głuptasie. Ogólnie rzecz biorąc, uważam, że są interesującym urozmaicheniem szarej codzienności życia. Weźmy Nate'a.

- Wygląda na to, że już go rozpracowałeś.

- Tak. - Tess uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Nathan Torrence, początkowo absolutna zagadka. Cedzący słowa ranczer, który ukończył studia prawnicze w Yale, mieszka

w Montanie, lubi Keatsa, tytoń drum i braci Manx. Taka kombinacja stanowi poważne wyzwanie, stwarza jednak także ogromne możliwości.

Uniosła gotową już stopę i zaczęła jej się uważnie przyglądać.

- Uwielbiam wyzwania i zawsze wykorzystuję stojące przede mną możliwości. Ale maluję paznokcie u nóg, ponieważ dzięki temu świetnie się czuję. Jeśli jemu się to podoba, to bardzo dobrze. Jest to dodatkowa korzyść.

- Mnie się wydaje, że dzięki temu jestem egzotyczna - wyjaśniła Lily. - Jak się nazywała ta aktorka, która zawsze nosiła sarongi? Występowała w starych, czarno - białych filmach.

- Dorothy Lamour - podpowiedziała jej Tess. - A teraz weźmy Adama. Jest to zupełnie inny typ mężczyzny.

- Naprawdę? - Lily znacznie się ożywiła, ponieważ w tym momencie został poruszony jej ulubiony temat. - Dlaczego inny?

- Nie zachęcaj jej, Lily. Ona tylko udaje, że się na tym zna.

- Wcale nie muszę niczego udawać. Jeśli chodzi o mężczyzn, złośnico, mam po prostu pewne doświadczenie. Adam - ciągnęła Tess, kiwając palcem. - Poważny, solidny, a mimo to trochę tajemniczy. Najprawdopodobniej najcudowniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkałam w mojej krótkiej, acz znakomitej karierze. Z jego cudownych oczu promieniuje to coś, co tak trudno mi określić, a jedynym słowem, które nasuwa mi się na myśl, jest „dobroć”.

- Rzeczywiście ma cudowne oczy - powiedziała Lily z rozmarzeniem, na co Willa ostentacyjnie westchnęła.

- Ale... - Tess powiedziała swą kwestię z naciskiem - to wcale nie znaczy, że jest nudny, co niestety bardzo często zdarza się ludziom dobrym, ponieważ jest w nim również jakiś wewnętrzny żar, jakaś kontrolowana namiętność. Natomiast jeśli chodzi o ciebie, Lily, możesz ogolić się na łysą pałę i pomalować całą twarz na koralowy róż, a on i tak wciąż będzie cię uwielbiał.

- On mnie kocha - powiedziała Lily.

- Tak, kocha cię. Uważa, że jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie. Nawet gdyby pewnego dnia okazało się, że jakaś podła czarownica rzuciła na ciebie czar i zamieniła cię w wiedźmę, dla niego wciąż będziesz najpiękniejsza. Adam widzi ludzką duszę. Docenia zewnętrzną powłokę, ale poprzez nią dostrzega twoje wnętrze. Dlatego właśnie uważam, że jesteś najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.

- To był całkiem niezły tekst - skomentowała Willa - zwłaszcza jak na hollywoodzką pisarkę.

- Och, zaczekaj, to jeszcze nie wszystko. Pozwól, że skompletuję naszą trójkę. - Zadowolona z siebie Tess oparła się wygodnie. - Ben McKinnon.

- Nie zaczynaj! - rozkazała Willa.

- Najwyraźniej pali się do ciebie. Jeszcze chwileczkę posiedzimy i poczekamy, aż nam lakier wyschnie - powiedziała do kosmetyczki, po czym sięgnęła po szklankę gazowanej wody mineralnej. - Kobieta musiałaby przynajmniej od dwóch tygodni leżeć w grobie, żeby serce nie zabiło jej mocniej na widok Bena McKinnona.

- O ile mocniej bije twoje serce?

Tess, zadowolona z reakcji Willi, tylko lekko wzruszyła ramionami.

- Jestem w to zaangażowana w trochę inny sposób. Gdybym nie była... Tak czy owak, na pewno nie leżę w grobie od dwóch tygodni.

- To da się zrobić.

- Nie wstawaj i nie podchodź, bo rozmażesz sobie lakier. - Tess położyła dłoń na ramieniu Willi, żeby ją powstrzymać. - Wracając do Bena - to niesamowicie seksowny facet. Jest zdecydowany, żarliwy, twardy, jednym słowem bardzo męski.

Kiedy obserwuje się go, jak jeździ na koniu, można przypuszczać, że z taką samą łatwością poradzi sobie z kobietą. Oprócz tego jest inteligentny, lojalny, uczciwy, poza tym bajecznie wygląda w dżinsach. Ponieważ niezwykle uważnie obserwuję mężczyzn, muszę wam powiedzieć, że Ben McKinnon ma najzgrabniejszy tyłek w tej części Stanów.

Podsumowując, stanowi całkiem niezłe urozmaicenie szarej codzienności - zakończyła, biorąc łyk wody.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego interesuje cię jego tyłek, skoro już masz faceta - powiedziała półgłosem Willa. - Ponieważ jest na co popatrzeć, a ja mam doskonały wzrok. — Tess zwilżyła wargi. - Oczywiście kobieta musiałaby być niezwykle odważna, sprytna i bardzo inteligentna, żeby usidlić go zdecydowanie i w pięknym stylu. W ten oto sposób, pomyślała Tess, kiedy naburmuszona Willa nie odezwała się ani słowem, wyzwanie zostało rzucone, Ben. Jest to najlepszy sposób, w jaki mogę ci pomóc.

Dopiero po powrocie do Mercy, podczas rozpakowywania walizek Willa zdała sobie sprawę, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin swego pobytu w uzdrowisku w ogóle nie pomyślała o ranczu, związanych z nim kłopotach i ciężkiej na niej odpowiedzialności. W tym momencie nie mogła sobie wybaczyć, że tak łatwo oderwała się od tego i całym sercem oddała przyjemnościom.

Doszła do wniosku, że te dwa dni bardziej przypominały pobyt w zupełnie innym świecie, w innej rzeczywistości. Kiedy rzuciła na łóżko piękne złote pudełka, skrzywiła się z

niesmakiem. Tylko w ten sposób mogła wyjaśnić, dlaczego tak łatwo uległa namowom sióstr i kupiła ogromne ilości kremów, lotionów, perfum i szamponów.

Boże Wszechmogący! Setki dolarów poszły na babskie głupoty i pachnidła, których i tak najprawdopodobniej nie będzie używać.

Postanowiła, że część z nich ofiaruje Bess. Kupiła dla niej trochę fantazyjnych, perfumowanych mydełek i płynów do kąpieli, a teraz doda jeszcze coś z kosmetyków przywiezionych dla siebie.

Z ogromną przyjemnością wkładała na siebie z powrotem dżinsy. Jeszcze bardziej ucieszyła się, gdy Adam powiedział jej, że w ciągu tego weekendu nie było żadnych kłopotów. Ludzie zaczęli być lepszej myśli, choć nadal trzymano całodobowe warty. Okres cielenia się krów powoli dobiegał końca i kalendarz nieuchronnie wskazywał, że zbliża się wiosna.

Na razie trudno jednak było dopatrzeć się jej oznak. Willa wypuściła z ręki flanelową koszulę i podeszła do okna. Zimna masa powietrza, nadciągająca znad Kanady, była tak dokuczliwa, jak podagra, na którą cierpią stare kobiety. Na całe szczęście nie było na niebie chmur, które zapowiadałyby opady śniegu. Mimo to Willa doskonale wiedziała, jak kapryśny pod tym względem potrafi być marzec i kwiecień. Prawdziwa wiosna wydawała się tak odległa jak Księżyc.

Tęskniła za nią.

To również ją zdziwiło. Dawniej cieszyła się każdą porą roku. W zimie nigdy nie brakowało roboty, był to jednak okres, który zachęcał do odpoczynku, wręcz do niego zmuszał. Odpoczywała ziemia i pracujący na niej ludzie.

Wiosna zawsze niesie ze sobą mnóstwo radości. Jest to czas budzenia się przyrody do życia, lecz również błota, suszy lub nieprawdopodobnie ulewnych deszczy, a także obolałych mięśni.

Trzeba uprawić pola, wyselekcjonować bydło i wyprowadzić je na wysokogórskie pastwiska.

Mimo to tęskniła za tym. Pragnęła zobaczyć choćby jeden rozkwitający pączek. Mógł to być wawrzyn, pojawiający się niespodziewanie w gęstniejącym lesie, dziki orlik ozdabiający górski grzbiet, albo jakikolwiek inny kwiat.

Zaskoczona własnymi myślami, potrząsnęła z niedowierzaniem głową i odsunęła się od okna. Przecież nigdy dotąd nie zdarzało się, by tęskniła za kwiatami.

Doszła do wniosku, że to wszystko sprawiła Tess, dzięki opowieściom o miłości, seksie i mężczyznach. Przecież jest to naturalna kolej rzeczy tak wyraźnie widoczna wiosną:

najpierw pojawiają się kwiaty, a zaraz potem wszystko, co żyje, łączy się w pary.

Ze śmiechem przyjrzała się złotym pudełeczkom porzucanym na gładkiej narzucie okrywającej łóżko. W tym momencie zdała sobie sprawę, że są to przecież jedynie niezwykle kosztowne wabiki, mające na celu przyciągnięcie partnera.

Gdy usłyszała zbliżające się kroki, zaczęła szybko zbierać pudełka i zawołała:

- Bess? Mogłabyś wpaść tu na chwileczkę? Mam dla ciebie coś, co powinno ci się spodobać. Nie wiem, dlaczego...

Kiedy w drzwiach pojawił się Ben, Willa urwała w pół zdania.

- Co ty, do diabła, tu robisz? Czy nikt nie nauczył cię pukać?

- Pukałem. Bess mnie wpuściła. - Uniósł brwi, a w jego oczach pojawiło się szczere uznanie. - Chciałem cię zobaczyć, Willo.

Była zadowolona, że zdążyła przynajmniej włożyć dzinsy. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jej ubiór jest niekompletny. Miała na sobie jedynie cienki, przylegający do ciała, jedwabny podkoszulek na podszewce. Porwała flanelową koszulę, którą wcześniej odrzuciła na bok.

- Wróciłam niecałą godzinę temu - poskarżyła się, wkładając ręce w rękawy - a już muszę cię oglądać. Nie zdążyłam jeszcze dowiedzieć się dokładnie, co się w tym czasie wydarzyło, ani przejrzeć raportów. Wystarczy, że już straciłam cały weekend.

- Nie wygląda na to, żebyś cokolwiek straciła. - Czuł się bardzo zawiedziony, kiedy wkładała koszulę w kratę, z zaintrygowaniem jednak obserwował, jak jej palce szybko i z ogromną wprawą zapinają guziki. Chociaż, bez wątpienia, wolałby patrzeć, jak je rozpinają.

- Ładnie wyglądasz. - Podszedł bliżej. - Jesteś wypoczęta. Śliczna. - Pogłaskał ją po opadających na plecy lokach. - Wyglądasz podniecająco. Trochę się niepokoiłem o ciebie, kiedy Nate opowiedział mi o Mountain King. Wyobrażałem sobie, że możesz wrócić z wypacykowaną twarzą i krótko obciętymi włosami, jednym słowem, że będziesz wyglądać jak te modelki, które próbują udawać nastoletnich chłopców. A właściwie, jak sądzisz, dlaczego one to robią? - Nie mam pojęcia.

- Jak im się udało doprowadzić do tego, że twoje włosy wyglądają jak korkociągi?

- Jeśli dasz tym ludziom odpowiednio dużo pieniędzy, zrobią ci wszystko. - Z lekkim zażenowaniem odrzuciła do tyłu włosy. - Czy chcesz czegoś ode mnie, Ben? Przyjechałeś, żeby porozmawiać ze mną o zabiegach kosmetycznych? - Mmm? - Uwielbiał bawić się jej włosami. Zawsze sprawiało mu to ogromną przyjemność. A te rozwichrzone loki wcale nie straciły swej cudownej miękkości. - Podobają mi się. Podsuwają mi pewne pomysły.

Zorientowała się, o co mu chodzi, więc przezornie odsunęła się do tyłu.

- Przecież to tylko kręcące się włosy.

- Bardzo mi się podoba, że się kręczą. - Uśmiechnął się od ucha do ucha i spokojnie popychał ją w stronę ściany. - Podobały mi się również, gdy były proste i opadały ci na plecy albo kiedy zaplatałaś je w warkocz.

Doskonale znała wymiary swego pokoju. Wiedziała, że jeśli zrobi następne dwa kroki, dotrze do ściany. Zatrzymała się więc. - Co robisz?

- Czyżbyś miała kiepską pamięć? - Złapał ją zadowolony, że przestała się cofać. - Nie sądzę, żeby kilkudniowy wyjazd pozwolił ci zapomnieć, na czym stanęliśmy. Nie broń się, Willo - powiedział spokojnie, kiedy uniosła rękę, żeby go odepchnąć. - Po prostu chcę cię pocałować. - Nie pomyślałaś o tym, że może ja nie mam na to ochoty?

- To powiedz: „Weź ode mnie swoje łapska, McKinnon”.

- Weź... Nie zdążyła skończyć. Jego wargi były spragnione pocałunków. Otoczył ją zaborczo ramionami i tak mocno przycisnął do siebie, że zabrakło jej tchu. Musiała otworzyć usta, by zaczerpnąć powietrza...

W tym momencie jego język szybko i zręcznie wtargnął między jej wargi.

Poczuła się tak, jakby ją połykał. Jakby jadł ją żywcem z taką zachłannością, na którą jedyną odpowiedzią może być taka sama zachłanność. Usłyszała głośne bicie serca. Zdała sobie sprawę, że to jego serce, było jednak dokładnie tak samo jak jej. W szalonym rytmie. W niebezpiecznym tempie. Przyszło jej na myśl, że jeżeli nadal tak będą pędzić do przodu, to któreś z nich, a może nawet oboje, wylecą z siodła.

- Tęskniłem za tobą. Powiedział to bardzo cicho, przesuwając wargi w dół po jej szyi, tak cicho, że wcale nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

Tęsknił za nią? Czy to możliwe?

Całował ją gdzie popadło, po szyi, za uchem. Sprawiał, że zakręciło się jej w głowie i ugiwały się pod nią nogi.

- Pięknie pachniesz - wymamrotał. Powiedział, że ładnie wygląda, przypomniała sobie, czując, że drżą pod nią kolana. Że ładnie pachnie. Czy to znaczy, że dostrzega całość? W takim razie następny krok... Przypomniała sobie nieco cyniczną uwagę zrobioną przez Tess i z trudem przełknęła ślinę.

- Zaczekaj. Zatrzymaj się.

Nie byłaby w stanie odepchnąć od siebie nawet piórka, a cóż dopiero piekielnie podnieconego mężczyzny, lecz jej zdyszany głos i wyraźne drżenie rąk sprawiły, że na chwilę przestał i znieruchomiał.

- W porządku. - Wciąż trzymał ją w ramionach, ale rozluźnił uścisk, a jego ręka

uspokajająco gładziła ją po plecach. Zauważył, że Willa drży jak liść i był o to sam na siebie wściekły. Dziewica, dziewica, powtarzał to słowo jak mantrę, dopóki jego oddech nie zaczął się wyrównywać.

Prawdę mówiąc, zamierzał pozwolić sobie na kilka żartobliwych całusów, a nie na gwałtowne, półobłąkane, namiętne pocałunki. Ale dni, tygodnie - do diabła, właściwie lata - oczekiwania, rozpałyły go do czerwoności i groziły wybuchem.

To, co w tej chwili chciał zrobić z nią w tym pokoju i na tym łóżku, na pewno nie było sposobem, w jaki kulturalny mężczyzna powinien wprowadzić dziewczę w świat seksu.

- Przepraszam. - Odsunął się i spojrzął na nią badawczo. W jej oczach widać było strach, zakłopotanie, ale i pożądanie. Najprawdopodobniej mógł bez obaw zrobić to, na co miał ochotę.

- Nie chciałem cię przestraszyć, Will. Zapomniałem się na chwilę.

- By rozładować nieco napięcie, pociągnął ją delikatnie za loki. - To chyba przez tę nową fryzurę.

Ku własnemu zaskoczeniu zauważyła, że jest mu naprawdę przykro. W jego oczach było jednak jeszcze coś. Najprawdopodobniej nie czułość, bo przecież Bena nie byłoby na nią stać, jednak z całą pewnością było to coś bardziej subtel nego niż pożądanie. Może, pomyślała - i lekko się uśmiechnęła - może to było rodzące się uczucie.

- W porządku. Ja chyba też się na chwilę zapomniałam. To pewnie dlatego, że połykałeś mnie tak zachłannie jak pierwsze dwa kieliszki najlepszej whisky.

- Działasz tak samo mocno.

- Naprawdę?

Typowo kobieca kokieteria tej odpowiedzi sprawiła, że krew ponownie zawrzała mu w żyłach.

- Nie zmuszaj mnie, żebym znowu zaczął. Tak naprawdę przyszedłem ci powiedzieć, że obaj z Adamem wybieramy się na hale. Chcemy zobaczyć, jak tam wszystko wygląda. Zack mówi, że północne przejście jest przysypane grubą warstwą śniegu. Poza tym wydaje mu się, że jacyś myśliwi korzystali z twojej chaty.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Podczas jednego z lotów Zack zauważył jakieś ślady. - Ben próbował to zbagatelizować. - Nie pierwszy raz by się to zdarzyło, ale chciałbym jednak osobiście sprawdzić, czy to przejście jest rzeczywiście tak paskudnie zasypane. Postanowiliśmy więc z Adamem, że pojedziemy tam i trochę się rozejrzemy.

- Jadę z wami. Będę gotowa za piętnaście minut. - Wyruszamy trochę za późno. Być

może nie zdążymy wrócić na noc. Damy ci znać przez radio.

- Powiedziałałam już, że jadę z wami. Poproś Adama, żeby osiodłał dla mnie Moon, a ja spakuję sprzęt.

Ta wyprawa sprawiła Willi dużo radości. Miło było znowu siedzieć w siodle i oddychać świeżym powietrzem, które w miarę wspinania się stawało się coraz bardziej rześkie. Moon z łatwością przedzierała się przez śnieg i najwyraźniej sama była zadowolona ze spaceru. Jej oddech zmieniał się w obłoczek, a uprzęż wesoło pobrzękiwała.

Słońce świeciło niezwykle jasno, a odbite od śniegu promienie raziły w oczy. Dodatkowy blask bił od ozdobionych śnieżnymi czapami drzew. Tutaj, wysoko w górach, wiosna przyjdzie dużo później i właściwie będzie to jedynie krótki, niezwykle efektowny moment.

Nad ich głowami odezwał się sokół, jego krzyk przeciął górską ciszę. Willa zauważyła ślady saren i innej zwierzyny płowej, a także drapieżników polujących wśród wzgórz. Doszła do wniosku, że chociaż weekend spędzony w uzdrowisku sprawił jej ogromną przyjemność, to jednak dobrze, że jest już z powrotem w swoim świecie. Im wyżej się wspinali, tym bardziej się z tego cieszyła.

- Wyglądasz na zadowoloną z życia. - Ben podjechał do niej z lewej strony, połuźnił cugle i uważnie jej się przyglądał. - Co oni ci robili w tym wytwornym uzdrowisku?

- Różne rzeczy. Wspaniałe rzeczy. - Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się do niego nieśmiało. - Na przykład pokrywali mnie woskiem. Całą.

- Chyba żartujesz? - Poczuł, że ogarnia go miłe, delikatne podniecenie. - Całą, całutką?

- Tak. Najpierw mnie oskrobali, potem posmarowali olejem, powoskowali i w końcu wypolerowali. To było bardzo miłe.

Czy kiedykolwiek przecierano twoje ciało olejem z orzecha kokosowego, Ben?

Podniecenie wyraźnie wzrosło.

- Proponujesz mi coś takiego, Willo?

- Ja ci tylko opowiadam. Wieczorami ten facet nacierał...

- Facet? - Podskoczył w siodle jak oparzony. Ostry ton jego głosu sprawił, że Charlie podkulił ogon i ze skomleniem czmychnął, rezygnując z dotychczas pełnionej przez siebie funkcji zwiadowcy. - Co za facet?

- Masażysta.

- Pozwalałaś facetowi nacierać swoje...

- No pewnie. - Zadowolona z jego reakcji, odwróciła się do Adama. Błysk, który

zauważyła w jego oku, upewnił ją, że brat doskonale rozumie jej grę. - Lily miała coś, co nazywali aromaterapią. Niemal identyczne rzeczy robili od wieków ludzie z plemienia naszej matki. Używali ziół i zapachów, by rozluźnić ciało i zrelaksować umysł. Teraz biali nadali temu zabawną nazwę i każą sobie za to słono płacić.

- Ach, te blade twarze - powiedział Adam z uśmiechem. - Ci ludzie zawsze próbowali ciągnąć korzyści z natury.

- To właśnie przyszło mi na myśl. Dlatego zapytałam masażystkę Lily, dlaczego uważa...

- Masażystkę? - przerwał Ben. - Lily miała masażystkę, a nie masażystę?

- Tak. Więc zapytałam ją, dlaczego uważa, że to biali wymyślili wszystkie te zabiegi, skoro to właśnie Indianie wykorzystywali borowinę, zioła i oleje, zanim ktokolwiek inny pojawił się w promieniu tysięcy kilometrów od Gór Skalistych. - Jak to się stało, że Lily miała kobietę, a ty nie? Willa spojrziała na Bena.

- Lily jest bardzo nieśmiała. W każdym razie niektóre z tych zabiegów są bardzo prymitywne. A oleje i kremy, których używają, są dużo gorsze od tych, które nasza babka sporządzała w swojej chacie.

- Wsadzają to potem do fantazyjnych buteleczek i uważają, że oni to wszystko wymyślili - dodał Adam. Ben zazwyczaj orientował się, kiedy ktoś próbuje wyprowadzić go z równowagi, dlatego poprawił się w siodle.

- Smarowali cię również niedźwiedzim sadłem? Willa starannie ukryła uśmiech.

- Prawdę mówiąc, zaproponowałam im, żeby się nad tym zastanowili. Powinieneś podpowiedzieć Shelly, żeby wybrała się tam na weekend, gdy odstawi dziecko od piersi. Powiedz jej, żeby zapytała o Derricka. Jest fantastyczny.

Adam dwuznacznie kaszlnął, potem powiedział coś do konia i wysunął się do przodu, a Charlie radośnie ruszył w ślad za nim.

- Pozwoliłaś zatem, żeby ten facet, ten Derrick, widział cię nago?

- To profesjonalista. - Tym razem bez cienia zażenowania odrzuciła do tyłu swe poskręcane włosy. - Zastanawiam się nawet nad regularnym korzystaniem z masażu. Są bardzo...

rozluźniające.

- Na pewno. - Ben chwycił ją za ramię, zwalniając krok obu wierzchowców. - Mam jedno pytanie.

- Słucham?

- Czy ty aby nie próbujesz doprowadzić mnie do szału?

- Kto wie.

Kiwnął głową.

- Wydaje ci się, że skoro jedzie z nami Adam, to jesteś całkiem bezpieczna? Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Kto wie.

- Zastanów się. - Gwałtownym ruchem przyciągnął ją do siebie i mocno przycisnął wargi do jej ust. Odsunął się, poskromił swoją rozbrykaną klacz i uśmiechnął się. - Mam zamiar kupić olej z orzecha kokosowego i sprawdzić, jak wyglądasz, kiedy posmaruje się nim całe twoje ciało.

Przez chwilę serce biło jej nierówno, po chwili jednak uspokoiło się.

- Kto wie - powiedziała ponownie i puściła Moon kłusem. Nagle rozległ się wystrzał, a echo wielokrotnie powtarzało ten wysoki, niespodziewany dźwięk. To gdzieś bardzo blisko, zdążyła pomyśleć Willa, zanim koń Adama stanął dęba i omal nie wysadził go z siodła.

- Idioci - powiedziała, zaciskając zęby. - Ci cholerni idioci z miasta zawsze...

- Kryj się! - Ben gwałtownie zawrócił swego wierzchowca, aby ją osłonić i prawie wyrwał ją z siodła. W mgnieniu oka wydobył strzelbę i wskoczył po kolana w śnieg. - Chowaj się za drzewami i nie próbuj się podnosić.

W tym momencie jednak zauważyła krew spływającą po rękawie kurtki Adama. Chciała ruszyć na otwartą przestrzeń w stronę brata, ale kiedy rozległ się następny strzał, Ben, rzuciwszy głośne przekleństwo, przytrzymał ją, zsadził z konia i osłonił własnym ciałem.

Próbowała mu się wyrwać. Oczy przysłaniała jej piekąca, czerwona mgiełka. Była śmiertelnie przerażona.

- Adam jest ranny. Puść mnie do niego!

- Nie wstawaj. - Twarz Bena prawie jej dotykała. Mówił już spokojnie i z ogromnym opanowaniem, ale równocześnie przyciskał ją swym ciałem do ziemi. Charlie ujadł zawzięcie i z drzeniem czekał na sygnał do polowania. Uspokoił się dopiero, gdy Ben ostro rozkazał mu zostać.

Wciąż przytrzymując Willę, Ben uniósł wzrok i spojrzał na Adama, który przyczołgał się do nich.

- Bardzo źle?

- Nie wiem. - Piekielnie bolało go całe ramię aż po plecy. - Myślę, że uratowała mnie kurtka. Will, trafił cię? - Przesunął zaśnieżoną rękawiczką po jej twarzy. - Will?

- Nie. Ty krwawisz.

- Wszystko w porządku. Spudłował. Zamknęła na chwilę oczy i próbowała się

uspokoić.

- Ktoś specjalnie do nas celował. To nie był jakiś głupi myśliwy.

- Musiał mieć strzelbę o dalekim zasięgu - mruknął Ben. Uniósł nieznacznie głowę i rozejrzał się dookoła. Poglądził psa po grzbiecie, żeby go uspokoić. - Nic nie widzę. Sądzę, że się zaszył w tamtym parowie, między kamieniami. - Ma się gdzie skryć. - Willa starała się spokojnie oddychać. - Nie damy rady go podejść.

Oddaj jej inicjatywę, pomyślał Ben, a przede wszystkim pomyśli o ataku. Puścił Willę i sprawdził swoją strzelbę.

- Jesteśmy bardzo blisko chaty. Najlepiej będzie, jeśli ty i Willa pod osłoną drzew spróbujecie się do niej przedostać. Ja w tym czasie postaram się zatrzymać go ogniem.

- Do diabła. Nie zostawię cię tutaj. - Próbowała poderwać się na równe nogi, ale Ben ponownie obalił ją na ziemię. Przez parę sekund mężczyźni patrzyli sobie w oczy i bez słowa ustalili, co należy robić.

- Popatrz, Adam przez cały czas krwawi - powiedział Ben spokojnie. - Trzeba się nim zająć. Weź go do chaty, Will. Ja dołączę do was za chwilę.

- Jeśli będzie trzeba, zatrzymamy się w chacie. - Adam próbował zapomnieć o bólu i obmyślał dalszą taktykę. - Ben, gdy już tam dotrzemy, osłonimy cię ogniem. Kiedy usłyszysz nasze strzały, ruszaj za nami. Ben przytaknął.

- Kiedy znajdę się przy tych kamieniach, gdzie zazwyczaj urządzaliśmy sobie fort, zacznę strzelać. W ten sposób dam wam czas, żebyście mogli dotrzeć do chaty. Kiedy będziecie na miejscu, ponownie oddajcie kilka strzałów. Dzięki temu będę wiedział, że już tam jesteście.

Willa zdała sobie sprawę, że teraz musi dokonać wyboru pomiędzy dwoma mężczyznami. Jednak krew kapiąca na śnieg pozostawiła jej tylko jedno wyjście.

- Tylko nie rób nic głupiego. - Ujęła twarz Bena w ręce i mocno go pocałowała. — Nie lubię bohaterów.

Pochylona chwyciła swego konia za cugle.

- Jesteś w stanie wsiąść na konia? - zapytała Adama.

- Tak. Trzymaj się blisko drzew, Willo. Musimy jechać szybko.

- Adam po raz ostatni spojrział na Bena i wskoczył na siodło. - Jedziemy! Nie miała czasu, żeby oglądać się za siebie. Wiedziała jednak, że na zawsze zapamięta sylwetkę Bena samotnie klęczącego w śniegu i cień, który drzewa rzucały na jego twarz, kiedy uniósł strzelbę.

Gdy usłyszała jego strzały, doszła do wniosku, że kłamała. Uwielbiała bohaterów.

- Nikt mu nie odpowiada - zawołała, kiedy oboje zatrzymali się za wzniesieniem z kamieni. - Może sobie poszedł.

Albo czeka, pomyślał Adam. Nie odezwał się ani słowem, kiedy Willa wyjęła strzelbę z kabury i oddała sześć strzałów. - Nic mu się nie stanie, prawda, Adamie? Jeśli nawet snajper próbuje go okrążyć i...

- Nikt nie zna tych gór lepiej niż Ben. - Powiedział te słowa szybko, żeby uspokoić nie tylko ją, ale również i siebie. Przez cały czas dręczyła go myśl, że zostawił swego brata. Wiedział jednak, że było to jedyne wyjście. - Musimy iść dalej, Willo. Najlepiej osłonimy Bena, strzelając z chaty. Nie mogła się z nim sprzeczać, ponieważ twarz Adama była niezwykle blada, a bezpieczeństwo, ciepło i środki opatrunkowe znajdowały się zaledwie o parę minut drogi stąd. Wiedziała jednak doskonale o czymś, o czym żaden z nich nie wspomniał ani słowem - ostatnie dwadzieścia kilka metrów to teren całkowicie odsłonięty. Aby dostać się do chaty, będą musieli pokonać otwartą przestrzeń.

Słońce świeciło mocno, połyskujący śnieg raził w oczy. Nie miała wątpliwości, że będą widoczni jak na dłoni. Z oddali dobiegał szmer wody szukającej drogi wśród lodu i kamieni, zagłuszał go jednak jej własny szybki i głośny oddech.

Kamienie dumnie wystawały ze śniegu, drzewa ugiwały się pod jego ciężarem. Jechała trzymając strzelbę gotową do strzału. Była przygotowana na to, że w każdej chwili zza jakiegoś drzewa może wyskoczyć strzelec i będzie próbował w nich wycelować. Nad ich głowami krążył orzeł i pokrzykiwał triumfalnie. Mijające sekundy odmierzała uderzeniami własnego serca, a kiedy usłyszała echo strzelby Bena, zagryzła mocno dolną wargę.

- Dotarł do kamieni. Teraz widać już było chatę, mocny, drewniany budynek wzniesiony na kamienistym podłożu. Pomyślała, że wewnątrz będzie im bezpiecznie, znajdą apteczkę pierwszej pomocy dla Adama i radio, z którego można wezwać policję. Schronienie.

- Coś mi się tu nie podoba. - Usłyszała własne słowa, zanim w pełni zdała sobie sprawę, dlaczego tak myśli. Przez chwilę nie mogła skojarzyć wszystkiego. - Ktoś odśnieżył ścieżkę - powiedziała powoli. - Poza tym pełno tu śladów. - Głęboko odetchnęła. - Wydaje mi się, że wciąż jeszcze czuję dym.

Nic nie wydobywało się z komina, widziała jednak nikły obłoczek unoszący się w powietrzu. - Dasz radę?

- Słucham? - Adam potrząsnął głową, starając się nie stracić przytomności. - Nie, ja...
- Jego twarz była szara. Nie czuł ręki, nie czuł już nawet bólu.

- Nie szkodzi. - Zdając się na instynkt, Willa wsunęła strzelbę do kabury i wolną ręką wyjęła z dłoni Adama cugle jego konia. Niezależnie od tego, czy mają do pokonania otwartą

przestrzeń czy nie, muszą się pospieszyć, zanim on nie straci zbyt dużo krwi. - Jesteśmy prawie na miejscu, Adamie. Trzymaj się łęku. - Słucham?

- Trzymaj się łęku. Popatrz na mnie! - Krzyknęła głośno, dzięki czemu przez chwilę zdołał skupić uwagę. - Trzymaj się! Uderzyła piętami boki Moon i ruszyła galopem do przodu, krzykiem zachęcając wierzchowca Adama, by dotrzymał jej kroku. Liczyła się z tym, że Adam może spaść z konia, zanim dotrą do chaty. W takim razie gotowa była zeskoczyć i, gdyby okazało się to konieczne, dowlec go, a potem puścić konie luzem.

Znaleźli się w pełnym słońcu, które ich całkowicie oślepiło. Śnieg pryskał spod końskich kopyt jak wypływająca woda. Jechała wyprostowana, własnym ciałem osłaniając brata. Jej każdy mięsień z napięciem oczekiwał na gwałtowne uderzenie stalowej kuli.

Zjechała z odśnieżonej ścieżki i skierowała konie w stronę południowej ściany chaty. Nawet kiedy znaleźli się w cieniu budynku, nie poczuła się spokojniejsza. Snajper mógł być wszędzie. Wyjęła broń, zeskoczyła z konia i, próbując dotrzeć do kiwającego się w siodle Adama, przedzierała się przez sięgający jej prawie do pasa śnieg.

- Tylko mi nie zemdlej! - Oddech palił ją w płucach, kiedy próbowała mu pomóc. Jego krew ciepłym strumieniem popłynęła po jej rękach. - Cholera, przecież nie będę cię dźwigać.

- Przepraszam. Niech to diabli! Pozwól mi chwilę odpocząć. - Musiał się bardzo skoncentrować, żeby pokonać zawroty głowy. Mgła przysłaniała mu obraz, widział jedynie zarysy, jednak na całe szczęście coś widział. I wciąż jeszcze był w stanie myśleć. Dzięki temu zdawał sobie sprawę, że będą bezpieczni dopiero wtedy, gdy znajdą się w chacie. A nawet wówczas...

- Wejdz do środka. Daj znać Benowi, że dotarliśmy. Ja pozbieram sprzęt.

- Do diabła ze sprzętem. - Willa podtrzymała go i ciągnęła w stronę drzwi.

Kiedy znaleźli się w środku, uświadomiła sobie, że w chacie jest za ciepło. Ciągnąc Adama w stronę łóżka, rzuciła okiem na kominek. Znajdował się tam jedynie popiół i kawałki zwęglonego drewna. W powietrzu czuła jednak zapach niedawno palącego się ognia.

- Połóż się. Zaczekaj chwilę. Podbiegła do drzwi i oddała trzy strzały, by dać znać Benowi. - Za chwilę tu przyjedzie. - powiedziała i modliła się, żeby rzeczywiście tak się stało.

- Pomogę ci się rozebrać.

Powstrzymaj krwawienie, rozpal ogień, oczyść ranę, połącz się przez radio z ranczem, martw się o Bena.

- Chyba ci zbyt mało pomogłem - powiedział Adam, kiedy zsunęła z niego kurtkę.

- Następnym razem, jeśli ktoś mnie postrzeli, możesz mi się zrewanżować. - Cały rękaw jego koszuli, od nadgarstka po plecy, był nasiąknięty krwią. Kiedy to zobaczyła,

przestraszyła się. - Boli? Bardzo?

- Drętwieje. - Zmęczonym i w miarę obiektywnym wzrokiem przyjrzał się ranie. - Wydaje mi się, że kula przeszła na wylot.

To chyba nic poważnego. Gdyby nie było tak zimno, na pewno straciłbym dużo więcej krwi.

Willa, rozdzierając rękaw, pomyślała, że gdyby nie musieli tak pędzić na koniach na oślepe, straciłby dużo mniej krwi. Rozerwała mu również ocieplany podkoszulek i na widok postrzępionych i zakrwawionych mięśni poczuła mdłości.

- Najpierw muszę ci zatamować krwawienie. - Mówiąc to, zdjęła chustkę z szyi. - Chciałabym rozpałić w kominku, potem oczyszczę ci ranę i zobaczę, jak to wygląda.

- Sprawdź okna. - Położył rękę na jej dłoni. - Załaduj swoją strzelbę.

- Nie martw się. - Ciasno zawiązała prowizoryczną opaskę uciskową. - Połóż się, zanim zemdlejesz. Zaczynasz wyglądać jak blada twarz.

Przykryła go kocem, potem podbiegła do skrzyni z drewnem. Zauważyła, że jest prawie pusta, i w tym momencie serce zaczęło jej walić jak młot. Drżącymi rękami ułożyła suche szczapki na podpałkę, na nich kłody, a potem wszystko podpałała.

Zestaw pierwszej pomocy znajdował się w szafie nad zlewem. Położyła go na ladzie i odchyliła wieko, żeby sprawdzić, czy jest w nim wszystko, co potrzeba. Z ulgą kucnęła i schyliła się do dolnej szafki, w której znajdowały się bandaże. Odsunęła na bok pojemniki ze środkami czystości.

W tym momencie ugięły się pod nią nogi i żołądek podszedł jej do gardła.

Wiadro znajdujące się pod zlewem stało na swoim miejscu. Jednak wypchane było po brzegi zeszywniałymi szmatami i ręcznikami. Rudawe plamy, które się na nich znajdowały, to niewątpliwie krew. Kiedy ostrożnie dotknęła jednej ze szmat, doszła do wniosku, że to stara, dawno zaschnięta krew. Na dodatek było jej zbyt dużo jak na zwykły wypadek przy kuchni.

Taka ilość mogła oznaczać jedynie śmierć.

- Will? - Adam próbował usiąść. - Co się dzieje?

- Nic. - Zamknęła drzwiczki kredensu. - To tylko mysz.

Wystraszyła mnie. Nie mogę znaleźć bandażu. - Zanim się odwróciła, z ogromnym wysiłkiem zrobiła wszystko, by nie dać nic po sobie poznać. - Musimy użyć twojej koszuli.

Wstawiła miskę do zlewu, napełniła ją gorącą wodą.

- Wiesz, chyba boję się tego bardziej niż ty.

Położyła obok niego miskę i zestaw pierwszej pomocy, a potem weszła do łazienki po

czyste ręczniki. Znalazłszy jeden, tylko jeden, zdesperowana Przycisnęła wilgotne czoło do ściany.

Kiedy wróciła, Adam stał przy oknie, ledwo trzymając się na nogach.

- Co ty, do diabła, robisz? - krzyknęła i zaciągnęła go z powrotem na łóżko.

- Musimy zachować ostrożność. Will, trzeba dać znać na ranczo. - Wydawało mu się, że w mózgu brzęczy mu rój pszczół, potrząsnął więc głową, żeby się ich pozbyć. - Zawiadom ich. Przecież on może zjechać na dół. - Nikomu na ranczu nic nie grozi. — Willa usunęła chustkę i zaczęła przemywać ranę. - Połączę się z nimi, kiedy cię opatrzę. Nie kłóć się ze mną. - Jej głos delikatnie drżał. - Wiesz, że źle znoszę widok krwi, a to jest pierwsza rana postrzałowa, z jaką mam do czynienia. Pozwól mi chwilę odpocząć.

- Świetnie sobie radzisz. Cholera! - Syknął z bólu. - Tym razem poczułem.

- Może to nawet i lepiej, prawda? Wygląda na to, że kula weszła właśnie tutaj, poniżej ramienia. - Zemdlilo ją, lecz zdołała to pokonać. - A wyszła tutaj, z tyłu. - Zobaczyła postrzępione, rozerwane ciało, z którego wciąż jeszcze sączyła się krew. - Musiałeś stracić chyba z pół litra, ale wygląda na to, że już powoli przestajesz krwawić. Sądzę, że kość jest cała. Przynajmniej tak mi się wydaje. - Otworzyła buteleczkę ze spirytusem i zagryzła wargi. - To będzie cholernie piekło.

- Nie wiem, czy o tym pamiętasz, ale Indianie potrafią ze stoickim spokojem znieść ból. Cholera jasna!

Kiedy połała płynem antyseptycznym ranę, krzyknął, szarpnął ręką, a w jego oczach pojawiły się łzy.

- Tak, pamiętam. - Próbowała się roześmiać, ale z piersi wyrwał się jej tylko szloch. - Nie przejmuj się i krzycz, ile chcesz.

- Już w porządku. - Świat wirował mu przed oczami, a ściśnięty żołądek dawał się we znaki. Drobne kropelki zimnego potu pojawiły się na jego skórze. - Wytrzymam. Po prostu rób to, co musisz.

- Powinnam zacząć od dania ci tabletek przeciwbólowych. - W tej chwili jej twarz była tak samo biała, jak jego. Padające szybko słowa miały powstrzymać ich oboje od krzyku. Z oczu zaczęły płynąć łzy. - Nie wiem, czy mam tu coś innego niż aspirynę. A to dałoby tyle, co gaszenie płonącego lasu siusianiem. Rana jest już czysta, Adamie. Wygląda na czystą.

Teraz posmaruję ci to maścią i zawinę.

- Dzięki Bogu.

Oboje spocili się niemiłosiernie, zanim dobrnęli do końca, potem głęboko westchnęli i spojrzeli na siebie. Ich twarze były śmiertelnie blade i zroszone potem. Adam uśmiechnął się

pierwszy.

- Sądzę, że oboje poradziliśmy sobie z tym całkiem nieźle, zważywszy, że była to pierwsza rana postrzałowa, z którą mieliśmy do czynienia.

- Nie mów nikomu, że płakałam.

- Nie mów nikomu, że krzychałem.

Otarła swoją twarz, potem jego. - Umowa stoi. Teraz się połóż, a ja... - Odsunęła się i nagle ukryła twarz w jego nogach. - O Boże, Adamie, gdzie jest Ben?

Powinien już tu być.

- Nie martw się. - Pogłaskał ją po włosach, ale przez cały czas spoglądał na drzwi. - Pojawi się lada chwila. Skontaktuj się przez radio z ranczem i wezwij policję.

- Dobrze. - Pociągnęła nosem i uniosła głowę. - Zrobię to. A ty zostań tutaj. Musisz nabrać sił. - Wstała, podeszła do radia i włączyła je. Nie rozległo się znajome buczenie ani nie zaświeciło się światelko. - Nie działa - stwierdziła lakonicznie, ale w jej głosie słychać było strach. Kiedy zobaczyła, co się stało, ponownie żołądek podszedł jej do gardła. - Ktoś urwał przewody, Adamie. Radio nie działa.

Odłożyła mikrofon, przeszła przez pokój i podniosła strzelbę.

- Weź to - rozkazała i położyła mu strzelbę na kolanach. - Ja skorzystam z twojej.

- Co ty, do diabła, masz zamiar zrobić? Wzięła kapelusz i owinęła szyję szalikiem.

- Idę poszukać Bena.

- Do diabła, nigdzie nie idziesz!

- Idę poszukać Bena - powtórzyła. - A ty nie jesteś w stanie mnie powstrzymać.

Popatrzył jej prosto w oczy, wstał i starał się utrzymać równowagę.

- Właśnie, że jestem. Była to sprawa dyskusyjna, ale w tym momencie oboje usłyszeli głuchy tętent końskich kopyt na śniegu. Willa ruszyła w kierunku drzwi i jednym szarpnięciem otworzyła je. Wybiegła na zewnątrz, a Adam w chwilę po niej. Kiedy Ben zsunął się z siodła, ugięły się pod nią kolana.

- Gdzie ty, do diabła, byłeś? Miałeś pojawić się zaraz po nas. Jesteśmy tu przynajmniej od trzydziestu minut.

- Rozglądałem się po okolicy. Znalazłem trochę śladów, ale... Hej! - Uchylił się przed pięścią, która wymierzona była prosto w jego twarz, jednak mylnie ocenił drugą, wycelowaną dokładnie w brzuch. - Jezu! Will, zwariowałaś? Ty... - Urwał w momencie, kiedy zarzuciła mu ręce na szyję. - Czy ktoś kiedyś zrozumiał kobiety? - wymamrotał, przytulając twarz do jej włosów. - Jak się czujesz?

- Lepiej.

- Ja również. Zajmę się końmi. Sprawdź, czy jest tu gdzieś jakaś whisky, dobrze? -
Wymierzył Willi przyjacielskiego klapsa i okręcił ją w stronę drzwi. - Muszę się napić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Trochę na północ od miejsca, w którym wpadliśmy w zasadzkę, znalazłem ślady po obozowisku. Najprawdopodobniej zatrzymała się tam trójka konnych i pies. - Ben pogłaskał Charlie'ego po głowie. - Opuścili to miejsce dwa, może trzy dni temu. Zdejmowali skórę ze zwierzyny, a potem starannie po sobie sprzątnęli. Wygląda na to, że znali się na rzeczy. Zanurzył łyżkę w gulaszu, który Willa zdążyła podgrzać na piecu.

- Mimo to wszędzie dookoła były świeże ślady. Zostawił je jeden jeździec, który wyraźnie kierował się na północ. Przypuszczam, że to był właśnie interesujący nas człowiek.

- Obiecałeś, że przyjedziesz tu zaraz za nami - przypomniała Willa.

- No i przyjechałem. Obaj z Charlie'em chcieliśmy najpierw zbadać trochę teren. - Reszkę gulaszu postawił na podłodze, sprawiając tym ogromną radość psu. Wciąż jeszcze rozcierał ręką brzuch w miejscu, gdzie wylądowała pięść Willi. - Moim zdaniem, ten facet oddał parę strzałów, a potem odjechał. Wygląda na to, że nawet nie czekał, żeby się przekonać, jak na to zareagujemy.

- Nie jest wcale wykluczone, że zatrzymał się właśnie tutaj - powiedział Adam. - Ale to wcale nie wyjaśnia, dlaczego zniszczył radio.

- Nie wyjaśnia również, dlaczego do nas strzelał. - Ben wzruszył ramionami. - Człowiek, który od kilku miesięcy sprawia nam tak dużo kłopotu, używa noża, a nie strzelby. - Było nas troje - zauważyła Willa. Kiedy Charlie zaczął merdać ogonem, łagodnie się uśmiechnęła. - Czwororo. Sądzę, że w takiej sytuacji strzelba była jednak znacznie bezpieczniejsza.

- Masz rację. - Ben sięgnął po dymiący dzbanek i rozlał kawę do trzech kubków.

Willa przez moment obserwowała unoszącą się z nich parę. Nie byli już głodni, a w ich żyłach zaczynała krążyć kofeina. W tym momencie było to wszystko, czym mogła uraczyć całą trójkę, żeby mogli odzyskać siły.

- On tutaj był. - Bardzo dużo wysiłku kosztowało ją, żeby powiedzieć te słowa zupełnie spokojnie. - Wiem, że po śmierci tej kobiety policja przeszukiwała chatę. Nie znaleźli niczego, co wskazywałoby, że tu ją przetrzymywał. Sądzę jednak, że to tutaj ją więził, a później zabił. Tylko potem po sobie posprzątał.

Wstała, podeszła do kredensu i wyjęła kubek na śmieci.

- Uważam, że tym starł jej krew, a potem upchnął to pod zlewem.

- Daj mi to. - Ben wziął od niej wiadro i posadził ją na krześle.

- Sądzę, że wracając powinniśmy zabrać to ze sobą. - Postawił kubek obok skrzynki z

drewnem, poza zasięgiem jej wzroku. - On ją tu zabił. - Willa czuła wewnętrzne drżenie, starała się jednak, by jej głos brzmiał spokojnie. - Najprawdopodobniej przywiązał ją do jednego z łóżek. Zgwałcił i zabił. Potem posprzątał cały bałagan, żeby wszystko wyglądało jak należy. Musiał zwieźć ją na dół na koniu, zapewne nocą. Sądzę, że mógł gdzieś ukryć ciało na kilka godzin, może nawet na cały dzień, a potem to, co z niego zostało, zostawił przed drzwiami wejściowymi. Nawet zabitego jelenia nie rzuca się tak niedbale. Przymknęła oczy.

- Za każdym razem, kiedy zaczynam mieć nadzieję, że to już koniec, że wszystko minęło, cała sprawa pojawia się na nowo. On również. Na dodatek ciągle nie wiadomo, dlaczego ten człowiek to robi.

- Może na to pytanie nie ma żadnej odpowiedzi. - Ben przykucnął obok niej i wziął ją za rękę. - Willo, mamy dwie możliwości do wyboru. Mniej więcej za godzinę zrobi się ciemno. Możemy zatrzymać się tu do rana lub wracać pod osłoną nocy. Każde rozwiązanie jest bardzo ryzykowne. Każde będzie trudne do wykonania. Nie wyjmując rąk z dłoni Bena, spojrzała na Adama.

- Dasz radę wsiąść na konia? - Tak.

- W takim razie nie chcę tu zostać. - Głęboko odetchnęła. - Najlepiej będzie, jeśli wyruszymy stąd o zmroku.

Noc była bardzo mroźna i gwiazdzista, tylko nisko przy gruncie unosiła się delikatna mgiełka. Drogę wskazywał im księżyc w pełni. Willa pomyślała, że ten sam księżyc oświetla ich jak reflektor, pomagając każdemu, kto chciałby podążać ich śladem. Pies biegł przodem i przez cały czas czujnie nastawiał uszu. Moon drżała. Najwyraźniej udzieliło jej się zdenerwowanie Willi.

Każdy cień mógł ukrywać potencjalnego nieprzyjaciela, a każdy, nawet najdelikatniejszy szelest w zaroślach był cichym ostrzeżeniem. Pohukiwanie sowy, gwałtowne uderzenia skrzydeł, rozpaczliwy krzyk właśnie upolowanego zwierzątka, wszystkie te zwyczajne, nocne odgłosy, im przypominały o śmierci.

Góry wyglądały przepięknie. Księżyc rysował na śniegu niebieskie cienie, gronostajowe czapy uwydatniały ciemne kontury drzew, a majestatyczne skały, sterczące prosto jak skamieniali rycerze, wydawały się rzucać niebu wyzwanie.

Były nieubłagane i nieprzystępne.

Być może schodził tą drogą, pomyślała Willa, może ze swą ofiarą przytroczoną do siodła przez cały czas kierował się na wschód? Czym właściwie była dla niego ta biedna dziewczyna? Zdobyczą? Kimś, na kim mógł sam sobie udowodnić swą zrzęczość i

przebiegłość? A może bezwzględność?

Czując ostry podmuch wiatru, Willa zadrżała i zgarbiła się.

- Dobrze się czujesz? Spojrzała na Bena. Jego oczy błyszczały w ciemności. Były przenikliwe i bardzo czujne.

- Zastanawiam się nad czymś. W dniu pogrzebu ojca, kiedy Nate przeczytał testament, wydawało mi się, że cały świat się zawalił i że nie może mnie już spotkać nic gorszego ani bardziej bolesnego. Czułam się wówczas zupełnie bezradna i wszystko wymykało mi się spod kontroli. To była najgorsza rzecz, jaka mogła mnie spotkać.

Westchnęła i w skupieniu prowadziła swego konia po nierównym zboczu. Drzewa rzucały niezwykle długie cienie, droga zaczynała prowadzić przez zagony. Delikatne obłoczki mgły rozstępowały się jak woda.

- Potem, kiedy znalazłam Pickle'a, a raczej to, co z niego zostało, myślałam, że to jest najgorsze. To było tak odrażające i potworne. A jednak się myliłam. Przez cały czas się myślę i teraz już sama nie wiem, dokąd to może doprowadzić.

- Nie dopuszczę do tego, żeby stało ci się coś złego. Spróbuj mi uwierzyć.

W oddali widać już było migotliwe światełka zabudowań Mercy.

- Postąpiłeś dzisiaj jak straszny głupiec, Ben. Nie powinieneś być ruszać jego tropem. Powiedziałam ci, że nie lubię bohaterów, ale jeszcze mniej dbam o głupców. - Ponagliła konia i wysunęła się do przodu, w kierunku świateł.

- Słyszałeś, co mi powiedziała? - Ben mruknął półgłosem do Adama.

- Niestety, miała rację. - Adam pochylił głowę, a Ben zmarszczył brwi. - Ja nie nadawałem się do niczego, a ona robiła wszystko, żebym się nie wykrwawił na śmierć. Nie była w stanie nad niczym się zastanawiać ani zająć się czymkolwiek innym. Twoja wyprawa w poszukiwaniu śladów nikomu nie pomogła.

- Przecież na moim miejscu zrobiłbyś to samo. To była prawda. - Nie mówimy o mnie. Zrozum, ona płakała. Ben poczuł się bardzo nieswojo, poprawił się w siodle i spojrzał w kierunku Willi jadącej kilka kroków przed nimi.

- Cholera!

- Obiecałem jej, że nie powiem o tym nikomu i dotrzymałbym obietnicy gdyby wszystkie te łzy płynęły z mojego powodu. Ale sporo z nich było przeznaczonych dla ciebie. Miała właśnie zamiar jechać na poszukiwanie.

- No cóż, to...

- ...byłaby głupota. - Adam skrzywił się. - Próbowałem ją zatrzymać, ale najprawdopodobniej nie dałbym rady. Może następnym razem zastanowisz się przez chwilę,

zanim coś zrobisz.

Próbował rozprostować sztywniejące ramię. - Bo będzie następnym razem, Ben. On jeszcze nie skończył. - Wiem, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. - Ben spokojnie ruszył do przodu i zmniejszył dystans dzielący go od Willi.

Ten przeklęty celownik był po prostu do bani. Cholerny, drogi jak diabli, biathlonowy celownik, a mimo to nie nadawał się do niczego.

Do takiego właśnie wniosku doszedł Jesse, odtwarzając w pamięci każdy moment zasadzki. To była wina strzelby, celownika i wiatru. Nie jego. To nie on źle wymierzył, nie on zawiódł.

Po prostu pieprzony pech, i tyle.

Doskonale widział, jak koń tego mieszańca, tego cholernego łajdaka, złodzieja cudzych żon, stanął dęba. Przez jeden cudowny moment myślał, że go trafił.

Ale co zrobić, skoro celownik był do bani.

Oczywiście, zrobił to pod wpływem impulsu, niczego nie planując. Na pewno, gdyby nie dał się ponieść emocjom, Wilfchild gryzłby już ziemię. Być może McKinnon również. A on mógłby do woli nacieszyć się przyrodnią siostrą Lily.

Jesse wypuścił dym, spojrzał w ciemność i zaklął.

Wcześniej czy później trafi mu się następna okazja. Sam o to zadba.

Wtedy Lily na pewno pożałuje.

Przez cały tydzień Willa co noc budziła się zrana z potem. Za każdym razem powtarzała ten sam koszmar - leżała naga i miała mocno związane nadgarstki. Starła się uwolnić, ale przy każdej próbie, przy każdym mchu czuła, jak sznur wrzyną się w ciało. Śniła jej się, że po jej nagim ramieniu płynie stróżką krew.

Zawsze, tuż przed przebudzeniem, widziała błysk noża, a jego lśniąca ostrze zbliżało się do jej skóry.

Rano odsuwała od siebie ten obraz. Wiedziała jednak, że jak szczur powróci do niej, gdy nastanie noc.

Wczesne, niepewne i bardzo nieśmiałe oznaki, zapowiadające zbliżanie się wiosny, powinny sprawiać jej dużo radości. Odporne na zimno krokusy, które zasadziła jeszcze jej matka, mieniły się pełnymi nadziei kolorami. Spod topniejącego śniegu wylaniały się coraz większe połacie ziemi, słychać było porykiwania cieląt, a źrebięta z wdziękiem biegały po pastwiskach.

Zbliżał się czas orki i siewów, a potem obserwowania, jak wszystko rośnie. Niedługo topole amerykańskie, osiki i modrzewie zaczną tonąć w delikatnej mgiełce jasnej zieleni.

Zakwitnie łubin i będzie go widać nawet na wysokogórskich łąkach. Pojawią się dzikie kwiaty, wśród których na pewno nie zabraknie słonecznych główek jaskrów.

Gdy w górach stopnieje śnieg, turnie tracą swą biel i z powrotem staną się szare. Dni będą coraz dłuższe i coraz jaśniejsze.

Oczywiście zima na pewno jeszcze wróci, przynajmniej na krótko. Ale wiosenne śniegi są już inne - brak im tej gwałtowności, która cechuje lutowe zamiecie. Teraz, kiedy słońce się uśmiecha do całego świata, a temperatura wzrasta do piętnastu stopni, z łatwością można zapomnieć, że to wszystko może się nagle zmienić. Każda godzina pięknego, wiosennego dnia jest cudownym darem natury, którym należy się cieszyć całym sercem.

Z okien biura Willa widziała Lily, która ostatnio zawsze trzymała się blisko Adama. Od tej pamiętnej nocy, kiedy wrócili z hal, bardzo rzadko zostawiała go samego. Willa zauważyła, że Lily bardzo często dotyka jego ramienia i poprawia mu temblak.

Adam wyraźnie wraca do zdrowia. Oboje wracają do zdrowia, pomyślała.

Jak to jest, kiedy ma się kogoś tak oddanego, tak ślepo zakochanego, tak obojętnego na wszystko prócz osoby kochanej? Jak to jest, kiedy samemu tak się kocha?

Przyszło jej na myśl, że z taką miłością wiąże się mnóstwo obaw i niepokojów, ale może warto jednak ją poznać i przekonać się, jak to jest naprawdę. Willi wydawało się, że byłaby to radosna wyprawa, mająca na celu odkrycie nieskrępowanego, czystego uczucia i pozbawionego egoizmu pragnienia. Zdała sobie jednak sprawę, że jest w tym coś więcej, coś, co sięga w przyszłość. Tkwi w tym również obietnica trwałości, którą tak łatwo można wyczytać na twarzach Lily i Adama, kiedy patrzą na siebie.

Małe sekretne uśmiechy, tylko im znane znaki. Tak bardzo ich własne. Jakież to musi być wspaniałe przeżycie, myślała. A to poczucie bezpieczeństwa wynikające z pewności, że istnieje ktoś, kto zawsze, niezmiennie będzie stał u twego boku. Ktoś, kto budzi się rano z myślą o tobie i z tą samą myślą wieczorem zasypia.

To zwyczajna głupota, powiedziała do siebie, gwałtownie odwracając się od okna. Jak można snuć takie marzenia, kiedy jest cała masa roboty, a na dodatek tak dużo do stracenia. Poza tym nie należy do tych kobiet, o których mężczyźni mogą bez przerwy myśleć. Nawet jej ojciec nie budził się rano z myślą o niej.

W tym biurze, w którym ciągle jeszcze czuło się jego obecność, mogła sobie pozwolić na absolutną szczerość. Z całą pewnością ojciec nie budził się ani nie zasypiał z myślą o niej.

A właściwie kimże ona dla niego była? Willa celowo usiadła na krześle, na którym on zawsze siadał, położyła rękę na wyłożonym delikatną skórą oparciu, tam, gdzie niezliczoną ilość razy spoczywała jego dłoń. Czym ona była dla niego? Substytutem. Ale nawet jeśli tak,

pomyślała, to z całą pewnością dość kiepskim, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę standardy Jacka Mercy'ego.

W tym momencie doszła do wniosku, że najprawdopodobniej nawet nie była substytutem. Jej palce zacisnęły się w pięści. Była raczej trofeum. Jednym z trzech, chociaż nigdy nawet nie pofatygował się, żeby zachować po nich jakieś pamiątki. Czymś, czego łatwo można się było pozbyć i o czym bez trudu można było zapomnieć, czymś, co nie było warte nawet maleńkiej przestrzeni, którą zajęłoby zdjęcie na biurku.

Czymś mniej wartym niż głowy zabitych zwierząt zgromadzone na ścianach.

To już była zniewaga. Zareagowała na nią gwałtownym przypiływem wściekłości, która zaślepiła ją tak bardzo, że nie zdawała sobie sprawy, co za chwilę zrobi, dopóki nie było już po fakcie. Póki nie poderwała się na nogi i nie zrzuciła ze ściany pierwszej wypchanej głowy o szklanych oczach. Lewy róg sześćoletniego jelenia, spadając na podłogę, połamał się w drobne kawałki. Wywołany tym łoskot odbił się od ścian jak wystrzał z rewolweru i zmobilizował Willę do dalszego działania.

- Niech to wszystko diabli wezmą! Niech go piekło pochłonie! Nie jestem żadnym pieprzonym trofeum! - Wskoczyła na sofę i ściągnęła muflona, który spoglądał na nią sprytnymi oczkami. - To jest teraz moje biuro! - Krzyknęła ostro, odrzuciła wypchaną głowę na bok i zaatakowała następną. - To jest teraz moje ranczo!

Podświadomie zdawała sobie sprawę, że później, kiedy minie złość, być może uzna to za czyste szaleństwo. Ale teraz postanowiła doprowadzić do końca to budzące obrzydzenie zadanie. Przesuwała, ściągała myśliwskie trofea, obnażała ściany z tych pozbawionych ciał głów i łamała paznokcie przy ich zrzucaniu. W pewnym momencie nawet ostro warknęła, kiedy górski kot próbował bronić swej pozycji.

Przez chwilę Tess bez słowa stała w drzwiach i obserwowała, co robi jej siostra. Była zbyt oszołomiona, by wykonać jakikolwiek ruch. Widziała przerażającą stertę rosnącą na podłodze i Willę, która rzucając przekleństwa zmagając się z gigantycznym, stojącym w kącie grizzly.

Wyglądało to tak, jakby Willa prowadziła walkę na śmierć i życie z mającym nad nią przewagę niedźwiedziem. Ponieważ jednak Tess doskonale wiedziała, że zwierzę jest wypchane, nie mogła się zdecydować, czy się śmiać, czy wziąć nogi za pas.

Wybrała trzecie rozwiązanie. Odrzuciła do tyłu włosy i chrząknęła.

- Proszę, proszę. Czy ktoś tu otwiera zoo? Willa odwróciła się. Na jej twarzy widać było wściekłość, a w oczach ogień. Niedźwiedź stracił równowagę i runął jak długi.

- Precz z trofeami! - powiedziała Willa i starała się złapać trochę tchu. - Nie chcę w

tym domu widzieć więcej żadnych trofeów.

Trudno było dopatrzeć się w tym chociaż odrobiny rozsądku. Tess miała jednak nadzieję, że uda jej się opanować szaleństwo Willi. Oparła się o framugę.

- Skłamałabym, gdybym powiedziała, że ten typ ozdób kiedykolwiek lub gdziekolwiek mi się podobał. Prawdę mówiąc, nie cierpię takiego wystroju wnętrz. Ale skąd wzięła ci się ta nagła potrzeba zmiany dekoracji?

- Precz z trofeami! - powtórzyła Willa. Wściekłość przerodziła się w niezachwianą pewność. - Ani one, ani my nie będziemy więcej jego trofeami. Pomóż mi je wywalić. - Zrobiła krok do przodu i wyciągnęła rękę. - Do jasnej cholery, pomóż mi je usunąć z tego domu.

Kiedy Tess zrozumiała, o co Willi chodzi, była niezwykle zadowolona. Podeszła do niej, podwinęła do góry rękawy, a w jej oczach pojawił się błysk radości.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Najpierw wyeksmitujmy tego kudłacza.

Razem zaczęły pchać w kierunku drzwi wypchanego, szczerzącego kły niedźwiedzia, a potem wysunęły go na korytarz. Zdążyły dotrzeć do schodów, kiedy nadbiegła Lily.

- Co, do diabła... Przez moment myślałam... - Przycisnęła rękę do tłukącego się w piersi serca. - Przestraszyłam się, że ten potwór ma zamiar was zjeść.

- Ten jegomość swój ostatni posiłek jadł już bardzo dawno temu - wy sapała Willa i próbowała mocniej go przytrzymać.

- Co wy robicie?

- Zmieniamy dekorację - oznajmiła Tess. - Pomóż nam przy tym draniu. Jest strasznie ciężki.

- Nie, cholera! - Willa nagle krzyknęła. - Odsuńcie się! - ostrzegła, a gdy już nikogo nie było na schodach, próbowała go zepchnąć. - Teraz mi pomóżcie.

- Bardzo chętnie. - Tess manifestacyjnie splunęła w dłonie, potem oparła się plecami o niedźwiedzia. - Pchaj, Lily.

Zepchnijmy razem tego wielkoluda.

Kiedy runął w dół, zadrżał cały dom. Spadał po schodach z nieprawdopodobnym hałasem, odbijał się od każdego stopnia, wzniecał obłoki kurzu, a jego pazury stukały o poręcz. Słyszając ten łoskot, Bess wybiegła z kuchni. Miała mocno zaczerwienioną twarz, a w rękach trzymała baretę, kaliber 2, którą wyjęła z kieszeni fartucha.

- W imię Ojca i Syna. - Zadyszana przycisnęła ręce do ust. - Co wy, dziewczyny, wyprawiacie? Niedźwiedź wdarł się nam do przedpokoju.

- Ten facet właśnie wychodzi - zawołała Tess i zaczęła wydawać radosne okrzyki.

- Jestem ciekawa, kto to wszystko potem posprząta - Bess szturchnęła palcem wypchanego grizzly. Uznała, że martwy jest tak samo wstrętny jak żywy.

- My. - Willa wytarła dłonie w dżinsy. - Możesz uznać, że zabrałyśmy się za wiosenne porządki. - Odwróciła się na pięcie i weszła z powrotem do biura.

Ponieważ pierwszy atak furii minął, była już teraz w stanie ocenić skutki swej działalności. Głowy i ciała leżały porozrzucane po całym biurze, jak ofiary wybuchu bomby. Wszędzie było mnóstwo drewnianych, połamanych lub rozłupanych podstawek. Niesamowite, szklane oczy, które powypadały z wypchanych głów, spoglądały na nią z pięknego dywanu.

- O mój Boże! — Złapała oddech. - O mój Boże! - powiedziała ponownie.

- Zdecydowanie je pokonałaś, dziewczyno. - Tess delikatnie klepnęła ją po plecach. — Nie miały żadnej szansy na to, by z tobą wygrać.

- To jest... - Lily zacisnęła mocno usta. - To jest ohydne, prawda? Naprawdę ohydne. ~ Dostała czkawki, odwróciła się i jeszcze mocniej zacisnęła wargi. - Przepraszam. To wcale nie jest zabawne. Wcale nie miałam zamiaru się śmiać. - Próbowała zwalczyć czkawkę, krzyżując ręce na piersiach i naciskając mocno żołądek. - To jest po prostu okropne. Ten pokój wygląda teraz jakby odbywała się tu wyprzedaż dzikich zwierząt.

- To rzeczywiście jest ohydne. - Tess już dłużej nie była w stanie utrzymać powagi i zaczęła się śmiać. - Ohydne, odrażające i potworne, poza tym, Jezusie, Will, gdybyś mogła się zobaczyć w tym momencie, kiedy tu weszłam. Wyglądałaś jak wariatka tańcząca tango z wypchanym niedźwiedziem. - Nienawidzę ich. Zawsze ich nienawidziłam. - Usiadła na dywanie i wy - buchnęła śmiechem. Potem wszystkie trzy zwiły się na podłodze ze śmiechu, a dookoła nich leżały poodcinane głowy.

- One wszystkie wychodzą - wydusiła z siebie w końcu Willa i dotknęła ręką obolałe ze śmiechu boki. - Gdy tylko zdołam stanąć, wyproszę je stąd.

- Na pewno nie będzie mi ich brakowało. - Tess wytarła łzy płynące jej ciurkiem z oczu. - Ale co my, do diabła, z nimi zrobimy?

- Spalmy je, zakopmy albo po prostu wyrzucimy. - Willa wzruszyła ramionami. - Cokolwiek, byleby ich tu nie było. - Nabrała tchu i podniosła się. - Ścierka do kurzu - oznajmiła i pociągnęła za sobą głowę wapiti.

Wywlokły wszystko na zewnątrz - łosie, wapiti, jelenie, muflony, niedźwiedzia. Były jeszcze wypchane ptaki, ryby, pojedyncze rogi. Kiedy stos przed werandą zaczął rosnąć, ze wszystkich stron zeszli się mężczyźni. Przyglądali się zafascynowani i zdumieni.

- Nie będziecie miały, panie, nic przeciwko temu, jeśli zapytamy, co robicie? - Jim

podjął się roli samozwańczego rzecznika i wysunął się do przodu.

- Wiosenne porządki - powiedziała mu Willa. - Jak sądzisz, czy Wood będzie mógł wykopać motyką wystarczająco dużą dziurę, żeby to wszystko wrzucić i sprawić tym zwierzętom odpowiedni pogrzeb?

- Macie zamiar zakopać to w jakiejś dziurze? - Zaszokowany Jim odwrócił się do tyłu, a tymczasem mężczyźni zaczęli wymieniać między sobą jakieś uwagi. Na parę sekund skupili się i szybko doszli do porozumienia. Tym razem Jim odchrząknął. - Może moglibyśmy kilka z nich wziąć do naszego domu i gdzie indziej. To wstyd tak je zakopać. Na przykład ten jelen pięknie wyglądałby nad kominkiem. A do tego niedźwiedzia Jack Mercy przywiązywał ogromną wagę.

- Bierzcie, co chcecie - powiedziała Willa.

- Czy mogę wziąć kota, Will? - Billy przykucnął, żeby móc lepiej mu się przyjrzeć. - Byłbym ci za to bardzo wdzięczny.

To naprawdę piękny okaz.

- Bierzcie, co chcecie - powtórzyła i potrząsnęła głową, widząc, że mężczyźni zaczęli się sprzeczać, zastanawiać, wybierać.

- Masz to już z głowy. - Ham odsunął się, gdy czwórka mężczyzn mocowała się z niedźwiedziem, próbując wsadzić go na platformę łazika. - Teraz ten potwór będzie się gapił na mnie dzień i noc. Poza tym zobaczysz, że to, co nie będzie im pasowało na ściany, na pewno zgromadzą w jednym z budynków gospodarczych.

- Lepiej już tam niż w moim domu. - Willa uniosła głowę do góry. - Myślałam, że lubiłeś tego niedźwiedzia, Ham. - Byłeś razem z nim, kiedy go zastrzelił.

- Tak, byłem. Ale to wcale nie znaczy, że żywię do tego zwierzaka jakieś uczucia. Jezu, Billy, przecież jeśli tak go położysz, może się urwać bagażnik. Uważaj, na litość boską!

Będą teraz wieszać na nim kapelusze - wymamrotał, podchodząc do nich, żeby wszystkiego dopilnować. - Cholerni głupcy!

- Teraz przynajmniej wszyscy są szczęśliwi - zauważyła Tess.

- Tak. Kolej na bibliotekę.

- Mogę wam pomóc, mam jeszcze czas. - Tess spojrzała na zegarek. - Za godzinę muszę się zacząć szykować. Wybieram się dzisiaj na gorącą randkę.

Tego popołudnia dostarczono jej nową bieliznę, prosto z Victoria's Secret. Była ciekawa, jak szybko Nate zdoła to z niej zdjąć.

Przypuszczała, że szybko. Bardzo szybko. Jej myśli wróciły do Willi.

- Czy to aby nie jest ten wieczór, kiedy ty i Ben co tydzień wybieracie się do kina? -

powiedziała, robiąc niewinną minę. - Chyba tak.

- Lily przygotowała dzisiaj wysmienitą kolację dla Adama.

Willa z roztargnieniem spojrzała na nią. - Tak?

- No cóż, to w pewnym sensie rocznica, od chwili, kiedy po raz pierwszy... no wiesz, po raz pierwszy - skończyła Lily i zarumieniła się.

Ona również otrzymała bieliznę z Victoria's Secret.

- Na dodatek jest to wolny wieczór Bess. - Od niechcenia Tess rzuciła okiem na swoje paznokcie. Walka z wypchanymi zwierzętami w fatalny sposób odbiła się na jej manicure. - Słyszałam, że wybiera się do Ennis i ma zamiar zostać na noc u swej przyjaciółki, no wiesz, u tej plotkarki, Maude Wiggins.

Ponieważ ja na pewno spędzę noc u Nate'a, będziesz miała do dyspozycji cały dom.

- Och, nie powinnaś być sama - podskoczyła Lily. - Mogę....

- Lily. - Tess wzniosła oczy do góry. - Ona nie będzie sama, chyba że będzie wolna jak zółw albo nieprawdopodobnie głupia, lub po prostu strasznie uparta. Kobieta zdecydowana, mądra i potrafiąca wykorzystać sytuację włożyłaby na siebie coś pięknego, uperfumowała się i zaproponowała spokojny wieczór we dwoje.

- Jeśli się ładnie ubiorę, a potem powiem, że chcę zostać w domu, Ben pomyśli, że straciłam resztki rozumu.

- Chcesz się założyć?

Widząc spokojny uśmiech Tess, Willa skrzywiła usta.

- Teraz wszystko jest za bardzo skomplikowane. Mam za dużo rzeczy na głowie, żeby zastanawiać się, w jaki sposób ujarzmić Bena.

- Czy kiedykolwiek jest coś prostego? - Tess wzięła Willę pod ramię i odwróciła ją twarzą do siebie. - Chcesz go czy nie? Odpowiedz krótko: tak czy nie?

Willa przypomniała sobie wewnętrzny niepokój, który towarzyszył jej od rana. Niepokój spowodowany tym, że cały czas myślała o Benie. - Tak. Tess przytaknęła.

- Teraz?

- Tak. - Willa wypuściła powietrze, które nieświadomie zatrzymała na chwilę w płucach. - Teraz.

- W takim razie zostawmy resztę wiosennych porządków na jutro. Mniej więcej godzinę zajmie nam znalezienie w twojej szafie czegoś, co choćby w minimalnym stopniu będzie się nadawało na taką okazję.

- Wcale nie powiedziałam, że chcę, żebyście mnie znowu ubierały.

- Ależ to dla nas prawdziwa przyjemność. - Przekonana o swej misji, Tess wepchnęła

Willę z powrotem do domu. - Prawda, Lily? Hej! Dokąd się wybierasz?

- Po świece - zawołała Lily, kiedy przebiegła przez drogę. - W pokoju Willi jest za mało świec. Zaraz wracam.

- Świece. - Willa zaszurała nogami. - Wyrafinowane stroje, udawanie, że nie chcę oglądać filmu, świece w mojej sypialni.

To będzie wyglądało na pułapkę.

- Oczywiście, ponieważ to ma być pułapka.

Tess zatrzymała się na chwilę w drzwiach prowadzących do pokoju Willi. Doszła do wniosku, że pewne rzeczy trzeba tutaj pozmieniać, jeśli sceneria ma być odpowiednia.

- Gwarantuję ci, że z ogromną przyjemnością w nią wpadnie. A na dodatek będzie ci za to niezwykle wdzięczny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Czuję się jak kretynka. - Nie wyglądasz wcale na kretynkę. - Tess przekrzywiła głowę i zlustrowała Willę od stóp do głów. Tak, włosy podpięte do góry to świetny pomysł. Wymyśliła to Lily. Są umocowane zaledwie kilkoma spinkami, więc gdy zajmą się nimi niecierpliwe męskie dłonie, z łatwością opadną na ramiona.

Do tego długa sukienka - prosta, skromna, z kilkoma zakładkami w pasie. Szkoda, że nie jest biała, pomyślała Tess, ale w skąpej garderobie Willi trudno było znaleźć coś bardziej odpowiedniego. Jasnoszary kolor nadawał całości niezwykle spokojny charakter. Jednak na dole sukni Tess zostawiła długi rząd rozpiętych guziczków, dzięki czemu przy każdym ruchu widać było spory kawałek uda.

Małe srebrne kolczyki, które lśniły w uszach Willi, to jeszcze jeden z pomysłów Lily. Natomiast Tess zrobiła makijaż. Tym razem, ku ogromnej radości Willi, pomalowała ją niezwykle delikatnie. Tess podejrzewała jednak, że Willa i tak nie zdaje sobie sprawy, jak dużo uroku dodaje jej niewinność.

- Wyglądasz - oświadczyła w końcu Tess - jak dziewczyna niecierpliwie oczekująca momentu, w którym zostanie złożona w ofierze.

Willa jęknęła. - O Boże!

- To świetnie. - W przypiływie uczuć Tess pogłaskała siostrę po policzku. - Zawładniesz nim bez reszty.

W tym momencie straciła całą pewność siebie i zaczęły ją dręczyć wyrzuty sumienia. Może nie powinna przyspieszać tej chwili? Może Willa wcale jeszcze nie jest gotowa. Bardzo łatwo było zapomnieć, że jest od niej o sześć lat młodsza. I że na dodatek jest jeszcze dziewczyną.

- Posłuchaj... - Tess zaczęła nerwowo wykręcać własne palce. - Czy naprawdę chcesz to zrobić? Jest to całkiem naturalny, ale mimo to niezwykle ważny krok. Jeżeli nie jesteś absolutnie pewna, Nate i ja możemy zostać.

Potraktujemy ten wieczór jako podwójną randkę i postaramy się, żeby było miło i sympatycznie. Bo...

- Wygląda na to, że jesteś bardziej zdenerwowana niż ja. - Willa uśmiechnęła się, ponieważ zachowanie Tess było dla niej ogromnym, na dodatek niezwykle miłym zaskoczeniem. - Wcale nie. Po prostu... A niech to diabli! - Tess doszła do wniosku, że przecież nie ma do czynienia z sentymentalną Lily, która potrzebowała pół godziny na to, żeby powstrzymać płynące jej z oczu łzy. Ku jeszcze większemu zaskoczeniu Willi, Tess

pocałowała ją serdecznie w oba policzki. Niezwykłe wzruszona Willa poczuła, że coś chwyta ją za serce, a na policzkach pojawiają się rumieńce. - Co to miało być?

- Czuję się, jakbym była twoją matką. - Tess świetnie zdawała sobie sprawę, że lada chwila może wybuchnąć głośnym płaczem, więc gwałtownie odwróciła się w stronę drzwi. - Do szuflady twojej szafki włożyłam prezerwatywy. Skorzystaj z nich.

- Na litość boską! On pomyśli, że jestem.... - Przygotowana na wszystko, rozsądna i odpowiedzialna. Cholera! - Tess usłyszała, że przed domem zatrzymuje się łazik. Wykonała gwałtowny zwrot do tyłu, podbiegła do Willi i mocno ją uścisnęła. - Do zobaczenia jutro rano - powiedziała wzięwszy się w karby, po czym wybiegła z pokoju.

Willa została sama. Stała na środku sypialni i uśmiechała się nieznacznie. Usłyszała podniesiony głos Tess, a po chwili odpowiedź czekającego na dole Nate'a. Potem otworzyły się drzwi i Ben donośnym głosem przywitał się z Nate'em. Żołądek niespokojnie podskoczył jej do gardła, więc usiadła na brzegu łóżka i przycisnęła do niego rękę. Dobiegająca z dołu rozmowa urwała się, drzwi ponownie się otworzyły, a potem zamknęły. Ktoś uruchomił silnik samochodu.

Teraz w domu była już tylko ona i Ben. Doszła do wniosku, że przecież jeżeli będzie miała ochotę, zawsze jeszcze może zmienić zdanie. Nikt jej do niczego nie zmusza. Wystarczy, jeśli wówczas wymyśli coś na poczekaniu. Wstała. Pora ruszyć do akcji.

Ben czekał na nią w salonie. Przyglądał się pustemu miejscu nad kominkiem.

- Zdjęliśmy go - powiedziała Willa. Ben odwrócił się i przyglądał jej się uważnie. - Właśnie dzisiaj - uściśliła. - Lily, Tess i ja. Jeszcze nie wiemy, co powiesić zamiast jego portretu, więc na razie zostawiłyśmy gołą ścianę.

Zdjęła portret Jacka Mercy'ego, pomyślał Ben. Z tonu jej wypowiedzi domyślił się, że sama doskonale zdaje sobie sprawę z symbolicznego znaczenia tego kroku.

- To wewnątrz bardzo się przez to zmieniło.

- Tak, to był dobry pomysł.

Zbliżył się do niej o kilka kroków i stanął. - Pięknie wyglądasz Will.

Zupełnie inaczej.

- Czuję się również inaczej. - Uśmiechnęła się. - Wspaniale. A ty? Czuł się doskonale, dopóki nie odwrócił się i nie zobaczył jej w tej długiej sukni w kolorze mgły, tak pięknie podkreślającej zarys jej długich nóg. Póki nie dostrzegł tej łabędziej szyi odsłoniętej dzięki podpięciu włosów do góry. Wyglądała teraz tak delikatnie, tak krucho, tak niebiańsko.

- Jak zwykle, świetnie. Sądząc po twoim wyglądzie, muszę cię chyba wziąć w jakieś bardziej ekskluzywne miejsce, a nie do kina.

- Lily i Tess zrobiły rewizję mojej szafy i były bardzo niezadowolone ze stanu mojej garderoby. Powiedziały mi, że jest to jedyna przyzwoita rzecz, jaką mam.

Poprawiła jakąś niewidoczną zmarszczkę. Kiedy rozpięty materiał odsłonił kawałek nogi, Benowi gwałtownie skoczyło ciśnienie.

- Zagroziły, że wezmą mnie na zakupy. Przestań opowiadać głupoty, upomniała samą siebie i ruszyła w stronę barku.

- Napijesz się czegoś? - Przecież prowadzę.

- Prawdę mówiąc, moglibyśmy zostać w domu. - Tym oto sposobem pierwszy krok ma już za sobą. - W domu?

- Tak. Ostatnio bardzo rzadko się zdarza, że mam cały dom do swojej dyspozycji. Bess zostaje dziś na noc u przyjaciółki, Tess i Lily są... sam wiesz najlepiej.

- Nikogo nie ma? - Coś gorącego i trudnego do przełknięcia uwięzło mu w gardle.

- Nikogo nie ma. - Otworzyła znajdujące się za barem pudło z lodem i wyjęła szampana, którego, zgodnie z poleceniem Tess, miała podać na początek. - Pomyślałam więc, że moglibyśmy... zostać. Odprężyć się. - Kiedy energicznie postawiła butelkę na blacie, szkło głośno stuknęło o drewno. - Jeśli chcesz oglądać jakiś film, Tess ma u siebie walizkę pełną kaset video. Nie brakuje również jedzenia. Ponieważ przez cały czas stał zupełnie nieruchomo, Willa zdarła złotko i zerwała drucik.

- Chyba że wolałbyś gdzieś wyjść.

- Nie. - Próbował skupić uwagę, starał się patrzeć na butelkę i odskakujący korek. - Szampan? A z jakiej to okazji?

- Szampan. - Wszystko będzie w porządku, jeśli tylko uda jej się wziąć do ręki własny kieliszek. - Możemy uczcić wiosnę.

Widziałam dzisiaj pierwsze dzikie kwiaty, zielone pędy pojawiły się już również w ogródku. Ptaki znowu budują gniazdo w naszej oborze. - Podała mu kieliszek. - Wkrótce zaczniemy zapładniać krowy.

Wziął go do ręki, a jego usta nieznacznie drgnęły.

- No tak, to przecież ta pora roku.

- Och! Do diabła z tym! - powiedziała półgłosem, a potem dwoma dużymi łykami opróżniła swój kieliszek. - Jestem beznadziejną aktorką. Tak czy inaczej to był pomysł Tess i Lily. - Zastanawiając się, czy nie nalać sobie następnej porcji szampana, odstawiła pusty kieliszek i spojrzała mu poważnie w oczy. - Posłuchaj, Ben, chodzi o to, że teraz jestem już gotowa.

- W porządku. - Zdumiony pociągnął łyk szampana. - To znaczy, że mimo wszystko

chcesz wyjść? - Nie, nie. - Przycisnęła palce do skroni i odetchnęła głęboko. - Jestem gotowa, żeby się z tobą kochać. Zakrztusił się, z ogromnym trudem złapał odrobinę powietrza, aż w końcu zaczął kaszleć. - Słucham?

- Czy musimy owijać w bawełnę? - Wyszła zza baru. - Chciałeś, żebym poszła z tobą do łóżka. Od dawna robiłeś wszystko, żeby mnie tam zaciągnąć. Właśnie zdecydowałam się ulec twym namowom. Chodźmy zatem do łóżka. Pociągnął łyk szampana. To był błąd, ponieważ każdy pojedynczy bąbelek z ogromnym trudem przedzierał się przez gardło.

- Tak po prostu? Zauważyła w jego głosie przerażenie i zawahała się. A co, jeśli on od początku ją zwodzi, jeżeli drażni się z nią tak samo, jak robił to od dzieciństwa? Jeśli tak, pomyślała, będzie musiał zginąć. - Przecież mówiłeś, że tego chcesz - burknęła. - Prawda? - Prawda. - Zawsze doprowadzała go do szału swą niecierpliwością i wściekłością, którą widać było w jej oczach. Sprawiała, że miał ochotę ją ugryźć - oczywiście przede wszystkim w najbardziej interesujące miejsca. Doszedł jednak do wniosku, że zmieniła taktykę i wszelkie obowiązujące dotychczas reguły. - I teraz tak nagle stwierdzasz: jestem gotowa, więc, hip - hip - hura, biegnijmy do łóżka? - Co w tym złego? - Wzruszyła ramionami. - Chyba że zmieniłeś zdanie.

- Nie, nigdy ani na chwilę nie zmieniłem zdania. To nie chodzi o zmianę zdania, tylko... Jezu! Will. - Musiał odstawić kieliszek, bo wyglądało na to, że za chwilę go upuści i zrobi sam z siebie głupca. - Kręci mi się w głowie. - Aha! - Zakłopotanie zniknęło z jej oczu, a na jej ustach pojawił się delikatny uśmiešek. - To wszystko? - A czego się spodziewałaś? - Jego gwałtowne słowa pełne były prawdziwej męskiej frustracji. - Wyglądasz jak bogini, wlewasz we mnie szampana i mówisz mi, że się chcesz ze mną kochać. Jak mogło przy tym nie zawrócić mi się w głowie? Może coś w tym jest, chociaż nie bardzo wiedziała, co. Trzeba jednak przyznać, że zabawnie wygląda, kiedy jest podenerwowany i niepewny swego. Może zatem trzeba poprawić mu humor.

- Rozumiem. - Podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. - Może w ten sposób zdołasz odzyskać równowagę? - Przycisnęła mocno usta do jego warg.

Zareagował szybko i całkiem prawidłowo. Objął ją mocno, przywarł do jej ust i całował do utraty tchu. Po chwili odrobinę odsunął wargi i cicho wymówił jej imię.

- Wygląda na to, że nie masz wcale aż tak wielkich problemów z utrzymaniem swego rytmu. - Teraz to jej głos drżał, i ledwo trzymała się na nogach. - Pragnę cię, Ben. Naprawdę cię pragnę. - Ponownie przywarła wargami do jego ust, a potem oderwała je i obsypała jego twarz pocałunkami. - Nie musimy nawet iść do mojej sypialni. Przecież tu jest sofa. - Zaczekaj. Powoli. Bo zerwę z ciebie tę cudowną sukienkę i zniszczę ją. Powoli - powtórzył,

trzymając ją blisko siebie. - Muszę z powrotem odzyskać grunt pod nogami, a poza tym chcę, żebyś była tego w stu procentach pewna. Jeśli później zmienisz zdanie, może być niezwykle trudno zawrócić. Ze śmiechem podciągnęła się i nogami objęła go w pasie. - Czy naprawdę wygląda na to, że mam zamiar zmienić zdanie? - Nie. - Gdyby jednak tak się stało, miałby bardzo poważne problemy z wycofaniem się. Obawiał się nawet, że taka ewentualność mogłaby pociągnąć za sobą śmiertelne dla niego niebezpieczeństwo. - Pragnę cię, Willo. - Musnął jej usta. - Naprawdę cię pragnę. Jej serce zadrżało z radości. - Wygląda zatem, że dogadaliśmy się.

- Na piętro. - Mimo że przywarła do niego całym ciałem i zaczęła skubać go w brodzie, zdołał ruszyć się z miejsca. - Pierwszy raz powinien być w łóżku.

- Twój był?

- Nie, prawdę mówiąc, nie. - Dotarł do schodów i zaczął się zastanawiać, dlaczego nigdy nie zauważył, że jest ich tak dużo. - To było w łaziku, w środku zimy i prawie sobie odmroziłem... zresztą nieważne.

Parsknęła śmiechem i przytuliła twarz do jego szyi.

- Tym razem będzie lepiej, prawda?

- Tak. - Dla niego na pewno. A jej... zrobi wszystko, żeby było jej dobrze. W drzwiach prowadzących do pokoju znieruchomiał. Nie był pewien, ile szoków jest w stanie przeżyć w ciągu jednego wieczoru.

Wszędzie płonęły świece, w kominku palił się ogień. Łóżko było przygotowane i zapraszało ogromną ilością poduszek.

- To robota Tess i Lily - wyjaśniła Willa. - Naprawdę włożyły w to całą swoją inwencję.

- Och! - Nie ma to jak nagle znaleźć się w centrum zainteresowania, pomyślał Ben wyraźnie zdenerwowany. - Czy one... czy ktoś rozmawiał z tobą... o tych sprawach?

- McKinnon! - Odsunęła się, a na jej twarzy widać było promienny uśmiech. - Przecież prowadzę ranczo.

- To nie jest dokładnie to samo. - Postawił ją na nogi i odsunął od siebie. - Posłuchaj, Willo, to jest w pewnym sensie również pierwszy raz dla mnie. Nigdy... inne nie były... - Przymknął na chwilę oczy, żeby zebrać rozproszone myśli. - Nie chcę sprawić ci bólu. Ale od dawna tego nie robiłem. Mniej więcej rok temu postanowiłem cię zdobyć i od tego czasu nie miałem żadnej kobiety.

- Doprawdy? - To było ciekawe. - Dlaczego?

Westchnął i usiadł na brzegu łóżka.

- Muszę zdjąć buty.

- Pomogę ci. - Uczynnie odwróciła się do niego tyłem i złapała jego obutą nogę między uda. Tylko cudem zdołał się opanować i nie jęknął. - Rok? - Próbując ściągnąć mu but, spojrzała przez ramię.

- Gdyby się tak lepiej zastanowić, to może nawet trochę więcej niż rok. - Próbując się zdobyć na poczucie humoru, oparł nogę o jej pośladek i popchnął.

- Nigdy nie byłeś dla mnie zbyt uprzejmy. - Chwyliła jego drugą nogę i zaczęła ciągnąć. - Przestraszyłaś mnie.

Kiedy but ześlizgnął się z jego nogi, przeleciała trochę do przodu, a potem odwróciła się, wciąż trzymając go w ręce. - Naprawdę?

- Tak. - Wściekły na samego siebie przejechał dłonią po włosach. - Nic więcej na ten temat ode mnie nie usłyszysz. Uznała, że warto się nad tym zastanowić.

- Och, zupełnie zapomniałam. - Szybko podeszła do znajdującego się obok okna stołu, na którym stał odtwarzacz kompaktowy Tess. - Muzyka - wyjaśniła. - Tess twierdzi, że do tego obowiązkowo musi być muzyka.

Nie słyszał nic oprócz bicia własnego serca. Kilka kosmyków włosów opadło jej na ramiona, a blask ognia przy każdym ruchu prześwitywał przez cienki materiał sukienki.

- Ta powinna być dobra. Możemy jeszcze wziąć z dołu szampana.

- Możemy. - Miał tak mocno zaciśniętą krtanią, że nie był w stanie nawet przełknąć. - Później, dobrze?

- Zgoda. - Zaczęła rozpinąć guziki. Patrzył na to kompletnie osłupiały i, zanim oprzytomniał, jej szybkie palce zdążyły już sporo odsłonić.

- Przestań. Zwolnij trochę. Jeśli masz zamiar rozbierać się na oczach mężczyzny, powinnaś robić to powoli. - Naprawdę? - Zaintrygowana zatrzymała się. Zauważyła, że jego wzrok zawisł na jej palcach, więc po małej przerwie z powrotem zajęła się guzikami, lecz tym razem trochę wolniej.

- Nic nie mam pod spodem - powiedziała, próbując podtrzymać rozmowę. - Tess mówiła coś o kontraście i zaskoczeniu. - Dobry Boże! - Sam nie bardzo wiedział, jakim cudem udało mu się stanąć, skoro w ogóle nie czuł nóg. Mimo to zdołał do niej podejść. - Nie zdejmuj tego. - Jego zachrypnięty głos sprawił, że jej palce najpierw znieruchomiały, a potem zaczęły drżeć. - Pozwól, że ja to zrobię.

- Czemu nie. - Czowała się bardzo dziwnie. Jej ręce nagle stały się ciężkie jak ołów. Opuściła je, a on tymczasem powoli rozpinął pozostałe guziki. Jakie to cudowne uczucie, pomyślała, to ślizganie się jego palców po mojej skórze. - Czy nie powinieneś się trochę do

mnie poprzytulać albo coś w tym rodzaju?

Śmiech, mimo że bardzo niewyraźny, podziałął kojąco na nerwy.

- Przyjdzie i na to pora. - Sukienka była już całkiem rozpięta, migotliwe światło igrało na nagiej skórze Willi, a kontrasty światła i cienia podkreślały jej wspaniałe kształty. - Chciałbym, żebyś przez chwilę tak powstała - powiedział cicho i pocałował ją. - Dasz radę?

- Tak, ale dziwnie uginają się pode mną kolana.

- Mimo to spróbuj - poprosił. Teraz stykały się tylko ich usta, a on tymczasem zdejmował z siebie koszulę. - Pozwól, że przez chwilę się tobą nacieszę. - Jego wargi przesunęły się po jej brodzie. - Każdym twoim miejscem - Prześlizgnęły się w stronę ucha. - Zaufaj mi.

- Ufam ci. - Bawił się teraz jej wargami. W tym momencie poczuła, że ma bardzo ciężkie powieki. - Za każdym razem, kiedy w ten sposób żujesz moją wargę, nie mogę złapać tchu.

- Chcesz, żebym przestał?

- Nie, to jest bardzo przyjemne. - Powiedziała to z rozmarzeniem. - Potem będę miała czas, żeby trochę pooddychać. Odrzucił koszulę na bok.

- Chcę cię zobaczyć, Willo. Proszę, pozwól na siebie popatrzeć. Powoli zsunął sukienkę z jej ramion i upuścił ją na podłogę.

Willa była wysoka i szczupła, miała delikatne wypukłości i zagłębienia, a jej skóra połyskiwała w złocistym świetle świec.

- Jesteś piękna.

Miała ogromną ochotę unieść ręce i zasłonić się. Nigdy nikt nie powiedział jej czegoś takiego.

- Zawsze mówiłeś, że jestem chuda.

- Jesteś piękna. - Objął ją za szyję i powoli przyciągnął do siebie. Dotknął palcami jej włosów, które natychmiast opadły na plecy. Przez cały czas delikatnie ją całował, a równocześnie bawił się nimi, unosił je do góry i opuszczał. - Zawsze tak bardzo chciałem móc się pobawić twoimi włosami, nawet wówczas, kiedy byłaś jeszcze małą dziewczynką.

- Wtedy po prostu szarpałeś mnie za warkocze.

- W ten sposób chłopcy próbują zwrócić na siebie uwagę dziewcząt. - Zebrał je razem i jednym pociągnięciem odchylił jej głowę do tyłu. - Mmmm. - Odsłonił jej szyję i pocałował to miejsce, w którym wyraźnie było widać przyspieszone pulsowanie krwi. - Zwracasz na mnie uwagę?

- Tak. - Nie mogła opanować drżenia. - To znaczy, bardzo się staram, ale mam

ogromne trudności ze skupieniem się. Dzieje się we mnie coś dziwnego.

- Chciałbym być w tobie. - Kiedy otworzyła oczy, dostrzegł w nich obawę, ale i pragnienie. - Wcześniej jednak muszę zrobić parę rzeczy. Muszę cię trochę popieścić.

Przesunął dłoń w dół, na jej pierś, okrążył ją czubkiem palca, a kiedy przejechał kciukiem po brodawce, z jej ust wyrwał się jęk. Gdzieś w głębi ciała poczuła, że reaguje na jego dotyk. Było to zaskakujące, ale niezwykle przyjemne uczucie. Potem jego dłoń zjechała jeszcze niżej, przesunęła się po jej biodrach, potem skierowała się do środka. Jego palce delikatnie ją głaskały, pobudzały, a potem wycofywały się.

Patrzyła mu prosto w oczy. By nie stracić równowagi, oparła się rękami o jego plecy. Poczowała pod palcami delikatną skórę, napięte mięśnie i jakąś starą bliznę. Całą sobą próbowała zgłębić i dokładniej poznać wrażenia wywołane przez te zgrubiałe ręce, które dotykały jej ciała.

Nie spodziewała się czegoś takiego. Myślała, że ma przed sobą szybkie, mechaniczne zespolenie ciał, pełne jęków, westchnień i krzyków. Nie przyszło jej nawet na myśl, że będzie w tym tyle czułości i żaru. Tak cudownego żaru. - Ben?

- Mmmm?

- Chyba już dłużej nie ustoję. Przycisnął wargi do jej ramienia.

- Zaczekaj jeszcze chwileczkę. Jeszcze nie skończyłem. A więc to na tym polega rozbudzanie kobiety. Świadomość, że nikt wcześniej nie dotykał jej ciała. Wiesz, że jesteś pierwszym, który roznieca żar pod jej skórą, pierwszym, który sprawia, że ona słabnie, uginają się jej kolana, drżą mięśnie. Ben z całych sił starał się panować nad sobą, by móc postępować z nią niezwykle delikatnie, nie zwracać uwagi na to, jak bardzo podnieca go jej niewinność.

Kiedy zamknęła oczy, uniósł ją w ramionach i położył na łóżku.

- Wciąż jeszcze nie zdjąłeś spodni.

Położył się na niej, chcąc, żeby się przyzwyczaiła do ciężaru jego ciała.

- Lepiej będzie dla nas obojga, jeśli jeszcze przez chwilę będę je miał na sobie.

- Jeśli tak, to dobrze. - Jego ręce ponownie wędrowały po jej ciele. Czowała się tak, jakby unosiły ją fale. - Tess... - tutaj w szufladzie... prezerwatywy.

- Będę o tym pamiętał. Zdać się na mnie, Will. - Jego usta przesunęły się w dół po jej szyi. - Pozwól, niech się dzieje, co ma się dziać. - W momencie, kiedy zaczął całować jej piersi, zadrżał. Naprężyła wszystkie mięśnie i jej ciało wygięło się w łuk.

Nieznane uczucie ośwładnęło ją całkowicie, rozbłysnęło żarem i sprawiło, że zaczęła poruszać biodrami w nadanym przez niego rytmie. Delikatnie ją ugryzł, ale wywołane w ten

sposób wrażenie nie miało nic wspólnego z bólem. Palce, które zagłębiła w jego włosach, zacisnęły się, zachęcając go do dalszego działania.

Usłyszał jej westchnienie, przerywany oddech i mrużenie. Na każde dotknięcie reagowała tak wspaniale i spontanicznie, że trudno było wyobrazić sobie coś bardziej cudownego. Jej ciało było niezwykle sprawne, rozluźniało się i napinało, reagując na różne bodźce. Poczul jej zapach - wspaniały zapach kobiecej skóry i mydła. Wydawało mu się, że to doprowadzi go do szaleństwa, jeśli nie przestanie, jeśli nie doprowadzi tego do końca.

Ponownie ją pocałował, pragnął jej ust tak samo jak powietrza. Ich języki splotły się jak w obłądnym tańcu. Gdzieś z oddali, przez mgłę, słychać było spokojne dźwięki muzyki.

Przesunął dłonią po jej długiej nodze, zatrzymał się i cofnął. Oddychała szybko, gwałtownie, płytko, a jej paznokcie wbiły się w jego plecy.

- Spójrz na mnie. - Dotknął ją delikatnie. Kiedy naprężyła całe ciało, ponownie cofnął rękę. - Spójrz na mnie. Chcę za pierwszym razem widzieć twoje oczy. Chcę zobaczyć, jak to odbierasz.

- Nie mogę. - Mimo to nie zamknęła oczu, nieruchomo wpatrywała się w jakiś odległy punkt. Wydawało jej się, że jej ciało znajduje się na krawędzi wysokiego klifu, a wiatr równocześnie popycha ją i ściąga w dół. - Chcę... - Wiem. - Boże, ma taki podniecający głos. Teraz brzmi jeszcze bardziej gardłowo, jest jeszcze bardziej zachrypnięty i zadyszany. - Ale spójrz na mnie. - Wziął jej twarz w ręce i popatrzył w ciemne, przepelnione obawą i namiętnością oczy. Pierwszy raz, pomyślał.

Czy miała jakikolwiek wybór? Jego palce przesuwające się po jej ciele doprowadziły ją do eksplozji, a wówczas wszystko stało się równocześnie. Mięśnie napięły się do granic wytrzymałości. Światła zawirowały jej przed oczami, a wszystkiemu towarzyszyło rozlegające się w jej głowie niesamowite dudnienie, spowodowane przez bijące w szalonym tempie serce.

Ta bardzo bliska bólu rozkosz sprawiła, że bezwiednie krzyknęła. Jej ciało wygięło się w łuk, zadrżało, a potem rozluźniło się.

Na jej skórze pojawiły się kropelki potu. Kiedy ponownie poszukał jej ust, poddała się bez protestu. Przez moment była niezwykle znużona, potem jednak, kiedy zaczął ją cierpliwie i spokojnie pieścić, poczuła przyływ świeżej energii. Pragnąc więcej, przytuliła się do niego mocno, namiętnie i zachłannie. Dawał z siebie wszystko. Ponownie była uległa, jej ciało znowu reagowało drzeniem, oddech stał się powolny i ciężki.

Kiedy się od niej odsunął, nawet nie miała siły, by zaprotestować. Leżała jedynie rozciągnięta wśród ciepłych, poplątanych prześcieradeł.

Modlił się gorąco, żeby w tej chwili czegoś nie zepsuć. Kiedy szarpał się z zapięciem dzinsów, za nic w świecie nie mógł opanować drżenia rąk. Chciał, żeby była w pełni zaspokojona i usatysfakcjonowana, zanim się w niej znajdzie, chciał, żeby pamiętała o rozkoszy, jeżeli nie uniknie zadania jej bólu.

- Czuję się, jakbym była pijana - wymamrotała. - Wydaje mi się, że tonę.

Znał to uczucie. Jego krew wrzała w żyłach, napięcie w łądźwiach było nie do zniesienia. Zdjął spodnie i odrzucił je na bok. Niestety za późno przypomniał sobie, co nosi w portfelu wsuniętym w tylną kieszeń.

Błogosławiąc Tess, wsunął rękę do szuflady szafki stojącej obok łóżka.

- Nie zasypiaj — błagał, kiedy usłyszał jej westchnienie. - Na miłość boską tylko nie zasypiaj.

- Hm. - Ale ten stan cudownego rozluźnienia był następną wspaniałą rzeczą. Przeciągnęła się, a wokół niej tańczył blask ognia, rzucając złociste, czerwone i bursztynowe smugi na jej ciało. Ben oderwał od niej wzrok i skończył nakładać prezerwatywę. - Czy znowu będziesz mnie dotykał?

- Tak. - Musiał trzymać nerwy na wodzy. Pożądanie to była jedna sprawa i nad tym doskonale panował, gorzej natomiast radził sobie z własnymi nerwami. - Pragnę cię. - Trudno było mu przyznać się do tego. Powiedział te słowa w chwili, gdy zaczynał ją całować. - Pozwól mi wejść w ciebie, Willo. Wytrzymaj chwilkę i pozwól mi tam wejść.

Kiedy zaczął się w nią wsuwać, objęła go mocno ramionami.

O Boże! Jak cudownie, jak gorąco! Musiał się niesamowicie pilnować, żeby nie wtargnąć w nią gwałtownie jak ogier pokrywający klacz. Bardzo starał się robić to powoli i delikatnie. Zaciśnął dłonie w pięści i obserwował jej twarz. Obserwował ją w takim skupieniu, tak uważnie, że dostrzegł w jej oczach najpierw szok, potem akceptację, a w końcu ten cudowny blask ogromnej przyjemności.

- Och! To jest cudowne. — Wyszeptala te słowa cichutko, kiedy wciąż jeszcze delikatnie się w niej poruszał. - Naprawdę cudowne.

Oddała swe dziewictwo bez żalu, z uśmiechem na ustach, przyłączając się do jego wolnych ruchów. Dostrzegła w jego oczach to pragnienie, o którym mówił, to pragnienie, które w całości skupiło się na niej. A kiedy spojrzała głębiej, zobaczyła tam własne odbicie.

Gdy w końcu ukrył twarz w jej włosach i poczuł ogromną ulgę, stwierdziła, że bardzo jej się to podobało.

- Nie przypuszczałam, że to tak będzie wyglądało. - Willa wciąż jeszcze leżała przyciśnięta jego ciałem, zespolona z nim i leniwie bawiła się jego włosami. -

Najprawdopodobniej zdecydowałabym się na to wcześniej.

- Uważam, że zwłoka wyszła ci na dobre. - Jego wyobraźnia już pracowała. Marzył o tym, by móc rozlewać szampana na jej cudowne, złociste ciało i zlizywać go. Kroplę po kropli.

- Zawsze uważałam, że ludzie przywiązują zbyt dużą wagę do seksu. Chyba właśnie zmieniłam zdanie. - To nie był seks. - Odwrócił głowę i dotknął jej skroni. - Seks pouprawiamy kiedy indziej. Teraz kochaliśmy się. I jedno, i drugie jest niezwykle ważne w życiu człowieka. Wyprostowała ramiona, potem opuściła je i zaczęła głaskać go po pośladkach.

- A jaka jest różnica? Wciąż jeszcze był podniecony i zdawał sobie sprawę, że jest w świetnej formie.

- Chcesz, żebym ci pokazał? - Uniósł głowę i uśmiechnął się promiennie. - Zaraz?

Parsknęła śmiechem i w jakimś sentymentalnym odruchu poklepała go po policzku.

- Nawet bykowi potrzebna jest chwila odpoczynku. - Ale ja nie jestem bykiem. Zaczekaj momencik.

- Dokąd się wybierasz? - Nie do wiary, pomyślała, nawet nie miała czasu, go dokładnie obejrzeć. A przecież... trzeba się uczyć.

- Zaraz wracam - powiedział i wyszedł, nie próbując nawet szukać dzinsów.

No cóż, trudno. Znowu się przeciągnęła, potem ułożyła się wygodnie wśród poduszek. Wszystko wskazywało na to, że ta noc wcale się jeszcze nie skończyła. Położyła dłoń na piersi, ale teraz serce biło jej zupełnie normalnie, wcale nie łomotało jak wówczas, kiedy się do niej przytulał.

Jakie to dziwne uczucie, pomyślała, kiedy mężczyzna ssie twoją pierś. W odpowiedzi na to coś dziwnego dzieje się w twoim brzuchu.

W zależności od tego, co robił, jej ciało różnie reagowało - napinało się, rozluźniało, stawało się lżejsze, a zaraz potem cięższe.

Czuła się teraz zupełnie inaczej. Zastanawiała się, czy również wygląda inaczej.

Pomimo bólu, żalu i strachu, który towarzyszył jej życiu w ciągu ostatnich kilku miesięcy, znalazła sobie oazę. Na tę jedną noc, a może nie tylko, liczył się wyłącznie ten pokój. Nic, co znajdowało się poza jego ścianami, nie miało najmniejszego znaczenia. Nawet morderstwo. Realny świat nie miał tu wstępu. Jutro będzie czas na martwienie się, czas na obawy, na strach przed tym, co prześladowuje jej ranczo, jej góry, jej ziemię. Postanowiła, że dzisiejszej nocy chce być tylko kobietą. Kobietą, która ten jeden jedyny raz jest zadowolona, że to mężczyzna trzyma cugle w rękach.

Kiedy z powrotem wszedł do pokoju, uśmiechała się.

Bardzo często widywała go wcześniej bez koszuli i wiedziała, że ma szerokie barki i mocne plecy. Pewnego dnia nakryła go nawet, jak z Adamem i Zackiem pływali w rzece, więc widziała go również nagiego.

Wówczas jednak miała dwanaście lat, a teraz na pewno myślała zupełnie innymi kategoriami niż dwunastolatka. Nie patrzyła również na wyrostka, lecz na mężczyznę. Mężczyznę, który w jakiś sposób się dla niej liczył. Który sprawiał, że tak dziwnie reagowała na każdy jego dotyk.

- Fantastycznie wyglądasz nago - stwierdziła. Przestał napełniać kieliszek, który właśnie przyniósł, odwrócił się i spojrzał na nią.

- Ty sama też nieźle się prezentujesz. Wyglądała naprawdę oszałamiająco. Leżała wśród pomiętych prześcieradeł, jakby nie miała za grosz wstydu. Rozpuszczone włosy tworzyły wokół jej głowy aureolę, a oczy lśniły w blasku świec. Jedną rękę trzymała na brzuchu i niedbale wystukiwała rytm melodii.

- Do diabła, w ogóle nie wyglądasz na nowicjuszkę - powiedział.

- Szybko się uczę.

- Na to właśnie liczyłem.

- Czyżby? - Uwielbiała wyzwania. - W takim razie powiedz, co tu masz, McKinnon?

- Szampana. - Postawił butelkę na szafce, na której migotały świece. - Napij się. - Podał jej kieliszek, który przed momentem napełnił po brzegi. - Być może do tego zechcesz być trochę wstawiona.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i upiła maleńki łyżeczek. - A ty nie pijesz?

- Ja napiję się później.

Roześmiała się i ponownie trochę upiła. - Kiedy później?

- Kiedy cię wykorzystam. Bo to właśnie mam zamiar tym razem zrobić. - Przejechał palcem wzdłuż jej szyi, a potem przesunął go w dół, na drżący brzuch. - Mam zamiar cię wykorzystać. A ty mi na to pozwolisz.

Zabrakło jej tchu i musiała bardzo się postarać, by go złapać. Tym razem Ben wcale nie był zdenerwowany. W jego ciemnych, zielonych, tak bardzo skupionych oczach widać było bezwzględność. To było ekscytujące.

- Naprawdę?

- Tak. - Widział, że jej puls staje się coraz szybszy. - To potrwa bardzo długo. Wypij szampana do dna, Willo. Ja spróbuję go na tobie.

- Starasz się mnie przestraszyć?

Wszedł do łóżka, usiadł na niej okrakiem i obserwował, jak zaskoczona mruga oczami.

- Kochanie, mam zamiar doprowadzić cię do szaleństwa. - Wziął kieliszek, zanurzył palec w szampanie i przeniósł jego krople na jej pierś. - Chcę żebyś krzyczała. No właśnie - przytaknęła spokojnie i zamoczył szampanem jej drugą pierś. - Powinnaś się bać. Prawdę mówiąc, chciałbym, żebyś się tym razem trochę bała.

Rozlał kilka ostatnich kropli na jej brzuch, po czym odstawił kieliszek.

- Będę ci robił takie rzeczy, których nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Rzeczy, na które czekałem od dawna.

Gdy nowy, fascynujący dreszcz przebiegł po jej skórze, przełknęła ciężko.

- Chyba się trochę boję. - Zadrżała. - Ale i tak zrób to, co chcesz zrobić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Nadszedł kwiecień. Willa była tak zapracowana, że trudno było zamienić z nią choćby kilka słów. Tess zauważyła, że cała budząca się do życia przyroda zajęta jest łączeniem się w pary, a ludzie w tym względzie dotrzymują kroku zwierzętom. W którymś momencie wydawało jej się nawet, że przyłapała Hama flirtującego z Bess. W końcu jednak doszła do wniosku, że jest to zupełnie niemożliwe i że musiała się po prostu pomylić. Billy był zakochany po uszy w ładnej i sympatycznej dziewczynie, pracującej w barze w Ennis. Jego poprzedni romans z Mary Anne skończył się dość burzliwie i złamał mu serce na piętnaście minut.

Tess stwierdziła, że Billy chodzi dumny jak paw. Najprawdopodobniej dopiero teraz uważa się za prawdziwego mężczyznę.

Jim ścisnął się po kątach z jakąś kelnerką, a nawet stare pod względem stażu małżeństwo - Wood i Nell - wymieniało mrugnięcia i nieśmiałe uśmiešky.

Nic nie zakłócało spokoju ani cudownej, wiosennej pogody, wszyscy więc beztrząsco oddawali się codziennej pracy, flirtowaniu i barszkwaniu w łóżku.

Lily była zajęta przygotowaniem do ślubu, natomiast Willa, kiedy zdarzało jej się przystanąć na chwilę, uśmiechała się zagadkowo, rozmarzona.

Tess miała wrażenie, że nawet bydło stara się nie sprawiać ludziom zawodu. Choć trudno jej było dostrzec cokolwiek romantycznego w fakcie sztucznego zapładniania krów.

Szczerze powątpiewała również, czy taki stan rzeczy odpowiada samemu bykowi; pozwolono mu jednak pokryć kilka krów, aby nie tracił całkiem humoru. Tess była świadkiem tego wydarzenia. Akt kopulacji wywołał u niej taki szok i obrzydzenie, że nie chciała już tego więcej oglądać. Absolutnie nie mogła uwierzyć, że wybrana przez byka *innamorata* muczkała z zadowolenia.

Widziała również, jak Nate i jego pracownik zajmujący się końmi łączyli ogiera z klaczą. Ta scena, zdaniem Tess, miała w sobie coś potężnego, zmysłowego, chociaż nieco przerażającego. Ogier rżał, stawał dęba, a w końcu wskakiwał na klacz, która reagowała na to trochę śmiesznym przewracaniem oczu. Trudno było jednak powiedzieć, czy w ten sposób okazywała zadowolenie, czy raczej przerażenie.

Nie było w tym co prawda nic romantycznego, ale trudno byłoby również znaleźć powody, aby się z tego wyśmiewać. Zapach potu, końskiej spermy i samych koni tak bardzo podniecił Tess, że przy pierwszej nadarzącej się okazji wciągnęła Nate'a do łóżka.

Wyglądało na to, że nie miał nic przeciwko temu.

Łagodna temperatura tego pięknego, wiosennego popołudnia pozwalała na noszenie odzieży z krótkimi rękawami. Bezkresne niebo było niebieskie i czyste, zupełnie jakby Montana wykradła cały błękit dla siebie.

Kiedy Tess spojrzała w stronę gór, a robiła to ostatnio bardzo często, dostrzegła kolorowe plamy odcinające się od bieli: błękit i szarość skał, a nieco niżej ciemną zieleń sosen. Chwilami promienie słońca padały pod takim kątem, że widać było, jak odbijają się od fal płynącej w dół, wezbranej rzeki.

Zza domu Adama dobiegały odgłosy pracy na roli. To Lily postanowiła założyć tam ogródek i nakłoniła Adama, żeby zaorał ziemię. Chociaż na sadzenie czegokolwiek było jeszcze za wcześnie, spełnił jednak jej prośbę.

Jak zwykle zresztą, pomyślała Tess.

Doszła do wniosku, że taka miłość, pełna oddania i wzajemnego zrozumienia, zdarza się niezwykle rzadko. Uczucie łączące Adama i Lily było tak niezachwiane jak góry. Tess zazwyczaj bacznie obserwowała ludzi, by móc później o nich pisać, nigdy jednak nie rozumiała potęgi drzemiącej w prostej i spokojnej miłości.

Zmuszała swych bohaterów, by zakochiwali się i odkochiwali, by darzyli się takim właśnie uczuciem. Ale nie rozumiała go. Tak samo zresztą jak ziemi, z którą miała do czynienia od kilku miesięcy. Poznała ją i ceniła. Ale nie potrafiła zrozumieć.

Bydło i konie wyglądały jak kropki na odległych wzgórzach, porośniętych wciąż jeszcze przybrudzoną po zimie trawą. Ludzie, nie zważając na błoto, wykorzystywali ładną pogodę, by naprawiać ogrodzenie, wbijać słupy, wypędzić bydło na pastwiska.

Robią to samo od dawna, rok po roku, i jeszcze długo będą to robić. Tess przypuszczała, że to również jest pewnego rodzaju miłość. Czasami sama nawet czuła, że coś dziwnego chwyta ją za serce, odsuwała to jednak od siebie, przywołując wspomnienie palm i zatłoczonych ulic.

Pomyślała, że ma już za sobą pierwszą i najprawdopodobniej ostatnią zimę w Montanie, po czym westchnęła.

- O, jesteś. - Tess ruszyła do przodu, ale Willa, nie zatrzymując się, wjechała na pobliskie pastwisko. - Cholera! - Nie mając zamiaru zrezygnować ze swej misji, Tess ruszyła za nią biegiem. - Posłuchaj, musimy jechać jutro do miasta. Lily ma wyznaczoną przymiarkę, a poza tym już czas najwyższy zdecydować, w jakich sukienkach wystąpimy na jej ślubie. - Nie mogę. - Willa rozluźniła popręg i zdjęła siodło z grzbietu Moon. - Jestem zajęta.

- Nie możesz się wykręcać w nieskończoność. - Skrzywiła się, gdy Willa bezmyślnie przeszła po młodziutkich dzikich kwiatkach, które pojawiły się wokół słupka.

- Nie wykręcąm się. - Willa przerzuciła siodło przez ogrodzenie, zdjęła z konia derkę i wędzidło. - Pogodziłam się już z faktem, że będę musiała włożyć na siebie jakąś beznadziejną kieckę i najprawdopodobniej wpiąć kwiaty we włosy. Po prostu nie mogę w tej chwili wziąć wolnego dnia.

Wyjęła z kieszeni dłutko, oparła się o Moon, uniosła tylną nogę klaczy i zaczęła dłubać w jej kopycie.

- Jeśli nie pojedziesz z nami, same będziemy musiały coś dla ciebie wybrać.

Willa prychnęła, uchyliła się przed ogonem Moon i uniosła jej następne kopyto.

- Przecież i tak to wy podejmiecie ostateczną decyzję, w związku z tym nie ma najmniejszego znaczenia, czy pojedę z wami, czy nie.

Właściwie to prawda, pomyślała Tess, i ze swobodą, o którą jeszcze kilka miesięcy temu trudno byłoby ją podejrzewać, poklepała Moon.

- To jest bardzo ważne dla Lily. Tym razem Willa westchnęła i podeszła do przedniej nogi.

- Wiem, że sprawiam jej zawód i bardzo mi przykro z tego powodu. Naprawdę. Ale sama nie wiem, w co mam najpierw włożyć ręce. Tyle jeszcze trzeba zrobić, zanim zmieni się pogoda.

- Zanim zmieni się pogoda?

- Tak.

- Dlaczego miałyby się zmieniać? - Tess zmarszczyła brwi i spojrzała na czyste, cudownie niebieskie niebo. - Przecież jest już połowa kwietnia.

- Hollywood, tutaj i w czerwcu czasem na zachodzie pada śnieg. Zima wcale jeszcze się nie skończyła. - Willa spojrzała na niebo i dostrzegła piękne kłębiaste chmury, które uporczywie gromadziły się wokół szczytów. Wyglądały bardzo podejrzanie. - Wiosenny śnieg jest bardzo pożyteczny, dostarcza glebie niezbędnej wilgoci i bardzo szybko topnieje. Ale zdarzają się też wiosenne zamiecie. - Wzruszyła ramionami i włożyła dłutko do kieszeni. - Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy.

- Zamieć. O mój Boże! Popatrz, przecież już kwitną kwiaty. - Tess spojrzała na to, co zostało przy słupku. - A raczej kwitły.

- Bardzo się o nie troszczymy, to znaczy o te, które uprawiamy. Na twoim miejscu nie zdejmowałabym jeszcze grubej bielizny. Zaczekaj tutaj, Moon. - Mówiąc to, podniosła ponownie siodło i ruszyła z nim w stronę stajni.

- To nie wszystko. - Tess postanowiła dokończyć to, co miała do powiedzenia, dlatego ruszyła za Willą. - Od kilku dni chcę z tobą porozmawiać i jakoś mi się to nie udaje.

- Przecież widzisz, że jestem zajęta. - W mrocznej stajni Willa pozbyła się swego ładunku i wzięła do ręki szczotkę.

- Chciałabym się dowiedzieć kilku rzeczy. - Na przykład?

- Posłuchaj. Malujesz się i znikasz z Benem. Nie ma sprawy. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Przez cały dzień zapładniasz niczego nie podejrzewające krowy albo kaleczysz sobie ręce drutem kolczastym. To wszystko jest dla mnie jasne, ale bardzo chciałabym wiedzieć, co jest grane. - O co ci chodzi?

- Doskonale wiesz, o co. - Klnąc pod nosem, Tess wyszła ze stajni. Tymczasem Willa zabrała się za szczotkowanie Moon. - Od dłuższego czasu nic się nie dzieje, Will. Niezmiernie się cieszę, że jest spokój. Mimo to zaczynam się coraz bardziej denerwować. Ty jedna rozmawiasz z gliniarzami, a nam niczego nie przekazujesz.

- Myślałam, że jesteś zbyt zajęta pisaniem nowego scenariusza i rozmawianiem przez telefon ze swoim agentem, by jeszcze znaleźć czas na cokolwiek innego, zwłaszcza na martwienie się.

- Tymczasem martwię się, i to bardzo. Nate mówi, że nie ma nic nowego. Mimo to wciąż roztawiacie warty. Willa westchnęła. - Nie mogę ryzykować.

- Wcale nie chcę, żebyś cokolwiek ryzykowała. - Tess, próbując odzyskać spokój, poklepała Moon po szyi. - Chociaż muszę się przyznać, że parę razy naprawdę serdecznie się wystraszyłam, kiedy wyszłam wieczorem i usłyszałam, że wokół domu krążą ludzie. Czasem także ty doprowadzasz mnie do szału, gdy chodzisz niespokojnie tam i z powrotem po swoim pokoju. Willa nie odrywała wzroku od delikatnej sierści Moon.

- Nocami często dręczą mnie koszmary. Tess, bardziej zaskoczona wyznaniem niż samym faktem, podeszła bliżej.

- Bardzo mi przykro. Willa dotychczas nie przyznawała się do tego nikomu i w tej chwili zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełniła poważnego błędu. No cóż, to się jeszcze okaże.

- Są teraz dużo gorsze. Od ostatniej wyprawy na hale. Od chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że ta dziewczyna została zamordowana w naszej chacie. Zresztą nie ma już co do tego najmniejszych wątpliwości. Policja po sprawdzeniu krwi, która była na ręcznikach i szmatach znalezionych przeze mnie pod zlewem, potwierdziła moje podejrzenie. - Jak to się stało, do diabła, że gliniarze tego nie znaleźli? Willa wzruszyła ramionami i w dalszym ciągu szczotkowała konia.

- Nie jest to jedyna chata ani jedynie schronienie w górach. Porozglądali się, doszli do wniosku, że wszystko jest na swoim miejscu i wygląda tak, jak powinno. Po co mieliby

wtykać nos w ciemne kąty i wywracać do góry nogami kosze na śmieci. Teraz na pewno sprawdzili tam wszystko, co mogli. I tak im to w niczym nie pomogło. Tak czy siak, często o tym myślę, przypominają mi się chwile, które spędziłam w chacie z postrzelonym, krwawiącym i nieświadomym niczego Adamem. Poklepała Moon po szyi i odesłała ją na pastwisko. - On o niczym nie wiedział.

- Może jest już po wszystkim - powiedziała Tess. - Może ten facet stąd odszedł. Wiesz, tak właśnie robią rekiny. Przez jakiś czas krążą po jakimś obszarze, a potem wynoszą się i znajdują sobie inne żerowisko.

- Przez cały czas się boję. - Przyznanie się do tego przyszło jej łatwiej niż przypuszczała. Może dlatego, że przez cały czas widziała Lily, która spacerowała pod rękę z Adamem i uśmiechała się do niego. Doszła do wniosku, że strach i miłość stanowią nieodłączną parę. - Kiedy ciężko pracuję, udaje mi się zapomnieć o strachu. Nie myślę o tym również, kiedy jest ze mną Ben. Trudno myśleć o takich rzeczach, kiedy jest się w łóżku z mężczyzną.

Rzeczywiście, pomyślała Tess. Ale pod warunkiem, że jest to odpowiedni mężczyzna.

- Najgorzej jest mniej więcej o trzeciej nad ranem - ciągnęła Willa - kiedy nikogo przy mnie nie ma i nic nie odsuwa ode mnie tego strachu. Wówczas wypelza on ze wszystkich kątów i chwyta mnie za gardło. W takich chwilach zaczynam się zastanawiać, czy dobrze postępuję. - Z czym?

- Z ranczem. - To ranczo było jej domem. Mieszkała tam od urodzenia. - Czy dobrze robię, zatrzymując w Mercy ciebie i Lily, skoro nie mam pewności, że jesteście tu bezpieczne. - Nie masz żadnego wyboru. - Tess oparła nogę o ogrodzenie. Nie potrafiła patrzeć na tę ziemię oczami Willi i szczerze wątpiła, czy kiedykolwiek jej się to uda. Mimo to zaczęła podziwiać wpływ, jaki ta kraina wywiera na ludzi. - Przecież każda z nas ma swój rozum. I własne plany. - Być może.

- Mogę ci nawet powiedzieć, jak wyglądają moje. Kiedy wyznaczony przez testament czas dobiegnie końca, wracam do Los Angeles. Wybiorę się na zakupy na Rodeo Drive i zjem lunch w najmodniejszym lokalu. - Doskonale zdawała sobie sprawę, że będzie to dla niej już zupełnie inny lokal niż ten, w którym jadła lunch ubiegłej jesieni. - Za moją część spadku gdzieś na Malibu kupię sobie dom. Na pewno będzie stał blisko oceanu, ponieważ marzę o tym, by przez całą dobę móc słuchać szumu fal.

- Nigdy nie widziałam oceanu - powiedziała cicho Willa. - Naprawdę? - Trudno sobie coś takiego wyobrazić. - No cóż, może w takim razie przyjedziesz mnie odwiedzić. Pokażę ci, co cywilizowani ludzie robią w ciągu dnia. A potem pewnie dodam do mojej książki

specjalny rozdział pod tytułem „Willa w Hollywood”.

Uśmiechając się, Willa potarła brodę.

- Co to za książka? Myślałam, że piszesz następny scenariusz.

- Bo piszę. - Nieco zmieszana Tess wsadziła ręce do kieszeni. - Po prostu próbuję pisać książkę. Tak dla zabawy.

- Piszesz tam o mnie?

- Także i o tobie.

- Czy jej akcja toczy się tu, w Montanie? W Mercy? - A gdzie indziej mogłam ją umiejscowić? - mruknęła Tess. - Skoro utknęłam tu na rok. Ale to tylko zabawa. - Zaczęła bębnić palcami po poręczu. - Nawet nie powiedziałam o tym Irze. Gdy mi się nudzi, wówczas udaję, że piszę. Jeżeli to prawda, pomyślała Willa, nie powinna czuć się tak bardzo zażenowana. - Mogę to przeczytać?

- Nie. Powiem Lily, że nie chcesz jutro jechać z nami na zakupy. Tylko później nie skarż się, jeśli będziesz musiała nosić organdyne.

- Do diabła, na pewno nie będę. - Willa odwróciła się i ponownie zaczęła się przyglądać górom. Jej nastrój znacznie się poprawił, ale obserwując, jak napływa coraz więcej chmur, zdała sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec. Ani zimy, ani morderstw.

To przyjęcie było pomysłem Lily. Obiecała, że będzie to tylko niewielka, cicha i skromna kolacja. Trzy siostry, Adam, Nate i Ben. Czyli jej rodzina, przynajmniej tak o nich wszystkich teraz myślała.

Kolacja miała być cicha i skromna, jednak niezwykle ważna. To na niej bowiem spocznie funkcja gospodyni, funkcja, której nigdy w życiu nie udało jej się pełnić.

Kiedy Lily była małą dziewczynką, jej matka często organizowała przyjęcia. Robiła to jednak tak sprawnie i tyle miała pomysłów, że obchodziła się bez pomocy, a nawet bez asysty Lily. Natomiast w tym krótkim okresie, kiedy Lily prowadziła własny dom, zawsze brakowało jej pieniędzy, by pozwolić sobie na wydawanie kolacji. Poza tym małżeństwo z Jesse'em wcale nie sprzyjało spotkaniom towarzyskim.

Teraz jednak wszystko się zmieniło. Ona sama również.

Przygotowania do tej kolacji zajęły jej cały dzień. Sprzątnięcie domu wcale nie było uciążliwe. Uwielbiała to robić, a poza tym Adam nigdy nie rzucał ubrań gdzie popadnie i nie zostawiał na stole pustych butelek po piwie. Nie miał nic przeciwko drobnym przedmiotom, które porozstawiała tu i tam - małej mosiężnej żabie, którą zamówiła z katalogu, czy pięknej, łączącej różne odcienie błękitu szklanej kuli, w której zakochała się od pierwszego wejrzenia, gdy tylko zauważyła ją w sklepie w Billings. Wyglądało zresztą na to, że te drobiazgi nawet

mu się podobają. Często mawiał, że jego dom był zbyt pusty, zanim się w nim pojawiła.

Długo nie mogła się zdecydować, co podać, w związku z tym sporo czasu poświęciły razem z Bess na studiowanie różnych przepisów. W końcu wybór padł na pieczone żeberka. Lily właśnie wstawiała je do piekarnika, kiedy w kuchennych drzwiach pojawiła się głowa Bess. - Jak ci idzie?

- Świetnie. Przygotowałam je tak, jak mi doradziłaś. Popatrz! - Dumna jak matka, której właśnie urodziły się bliźniaki, Lily otworzyła lodówkę i pokazała placki. - Prawda, że bezy wyglądają wspaniale? Uwielbiam patrzeć na zastygłe krople piany.

- Większość mężczyzn wprost uwielbia bezy cytrynowe. - Bess zaaprobowała je kiwnięciem głowy. - Widzę, że ze wszystkim doskonale dajesz sobie radę.

- Chciałabym bardzo, żebyś zmieniła zdanie i przyszła dziś wieczorem. Bess pomachała ręką.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Lily. Jednak jeśli tylko mogę wybrać między wystawieniem nóg na stół i pooglądaniem filmów, a siedzeniem w pokoju pełnym młodych ludzi, zawsze wybiorę to pierwsze. Natomiast jeśli chcesz, bardzo chętnie ci pomogę.

- Nie. Chcę zrobić wszystko sama. Wiem, że to brzmi strasznie głupio, ale...

- Nie. - Bess podeszła do okna, na którym stały doniczki z wyhodowanymi z nasion ziołami. Widzę, że mają się całkiem nieźle, pomyślała, tak samo zresztą jak Lily. - Kobieta ma prawo poszarogęcić się trochę we własnej kuchni. Ale gdybyś miała jakieś problemy, zwołaj mnie. - Mrugnęła. - Przecież nikt nie musi wiedzieć, że ktoś odrobinę ci pomógł.

Słyszac, że tylne drzwi się otwierają, Bess odwróciła się.

- Wytrzymaj buty! - rozkazała Willi. - Nie waż się zostawić śladów na tej lśniącej czystością podłodze.

- Już je wytarłam. - Mimo to Willa jeszcze kilka razy szurnęła nogami po wycieraczkę.

- Och! Jakie one są piękne! - Lily z radością podbiegła do polnych kwiatów, które Willa trzymała w rękach. - Bardzo dziękuję, że o tym pomyślałaś i że mi je przyniosłaś. Jesteś kochana.

- To Adam je nazbierał. - Willa przekazała bukiet Lily i uznała, że wypełniła swą misję. - Jeden z koni nadwerężył nogę i Adam musiał się nim zająć, a nie chciał, żeby kwiaty w tym czasie zwiędły.

- Ach, więc to Adam - Lily westchnęła, a gdy wsunęła nos między drobne kwiatuszki, coś chwyciło ją za serce. - Czy nie trzeba mu pomóc? A co z koniem?

- Poradzi sobie. Muszę już wracać.

- Może zostałąbyś na chwilkę? Mam świeżą kawę.

Zanim Willa zdołała odmówić, Bess dała jej kuksańca.

- Usiądź i napij się z siostrą kawy. Poza tym zdejmij kapelusz, kiedy jesteś w mieszkaniu. Na mnie czeka pranie. - Stara despotka - poskarżyła się Willa, kiedy Bess zamknęła za sobą drzwi. Mimo to zdjęła z głowy kapelusz. - Sądzę, że mogę chwileczkę odpocząć i napić się kawy, pod warunkiem, że jest gorąca.

- Jest gorąca. Proszę, siadaj. Muszę tylko wstawić kwiaty do wody.

Willa usiadła przy okrągłym, klonowym stole i zaczęła bębnić palcami po blacie. Jej myśli krążyły wokół zajęć, które na nią czekają. - Ładnie tu pachnie.

- To zioła i *potpourri*, które zrobiłam.

- Zrobiłaś? - Rytm wystukiwany przez Willę stał się dużo szybszy. - Jesteś wspaniałą gospodynią. Tyle rzeczy potrafisz w domu zrobić.

Lily przez cały czas wpatrywała się w łydźki, które starannie układała w starej, szklanej butelce. - Tylko w tym jestem dobra.

- Nie tylko. I wcale nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. - Zła na samą siebie, Willa zaczęła się wiercić na krześle. - Sprawiałaś, że Adam jest taki szczęśliwy. Wygląda jakby lada chwila miał wzbic się w obłoki. A tu jest tak czysto i pięknie. - Podrapała się po karku. Czowała się jak nieokrzesa wieśniaczka. - Widzisz, podoba mi się ta ogromna, biała miska z lśniącymi, czerwonymi i zielonymi jabłkami. Ja nie potrafiłabym wymyślić niczego takiego. Na pewno również nie przyszłoby mi do głowy, żeby powtykać zielone gałązki do tych buteleczek, które trzymasz na ladzie. Skąd je wytrzasnęłaś?

- Sprzedają w nich aromatyzowane octy. - Lily rzuciła okiem na buteleczki o długich szyjkach, z których wystawały gałązki bazylii, rozmarynu i majeranku. - Używa się ich do gotowania i do sałatek. Ale mnie podobają się właśnie same buteleczki. - Shelly też potrafi robić takie rzeczy. A ja się do tego w ogóle nie nadaję.

- To dlatego, że ty ogarniasz swoją wyobraźnię całość, a nie interesują cię drobiazgi. Za to właśnie tak bardzo cię podziwiam.

W tym momencie Willa przestała marszczyć brwi i rozglądać się dookoła. - Słucham?

- Jesteś tak mądra, zdecydowana i ze wszystkim potrafisz sobie poradzić. - Lily postawiła na stole piękną błękitną filiżankę i pasujący do niej talerzyk. - Kiedy tu przyjechałam, śmiertelnie się ciebie bałam. - Naprawdę?

- No cóż, wszystko mnie wówczas przerażało. Ale najbardziej ty. - Lily wzięła własną filiżankę i dołała do kawy sporo śmietanki. Potem usiadła i postanowiła przyznać się do wszystkiego. - W dniu pogrzebu bacznie cię obserwowałam. Straciłaś ojca. Bardzo cierpiełaś, ale świetnie dawałaś sobie z tym radę. A potem, kiedy Nate odczytał testament i okazało się,

że odebrano ci wszystko, co należało do ciebie, co powinno do ciebie należeć, uporałaś się również i z tym. Willa doskonale pamiętała ten moment. Wiedziała, że nie była wówczas miła. - Nie miałam wyboru.

- Zawsze jest jakiś wybór - powiedziała Lily cicho. - Ja zazwyczaj wybierałam ucieczkę. Uciekłabym także tamtego dnia, gdybym tylko miała dokąd. Podejrzewam również, że kiedy zaczęły się dziać te okropne rzeczy, nie wystarczyłoby mi odwagi na to, by tu zostać. Doszłam jednak do wniosku, że nie mogę stąd wyjechać ze względu na ciebie. - Ja nie miałam z tym nic wspólnego. Zostałaś dla Adama. - Adam. - Lily wymówiła to imię z uśmiechem na ustach, a w jej oczach pojawiło się rozmarzenie. - Tak. Ale nie miałabym odwagi zamieszkać z nim ani obdarzyć go uczuciem. Przyglądałam ci się uważnie i analizowałam każdy twój krok. W końcu pomyślałam - ona jest moją siostrą i nigdy przed niczym nie ucieka. Przecież muszę mieć w swoim charakterze coś podobnego. Zaczęłam tego szukać. Dzięki temu po raz pierwszy w życiu zostałam, mimo że groziło tu niebezpieczeństwo.

Willa odsunęła filiżankę i pochyliła się. - Jednak istnieje między nami różnica. Moje życie wyglądało zupełnie inaczej niż twoje. Nigdy nie znalazłam się w takiej sytuacji jak ty, nikt nie używał mnie jako worka treningowego. - Naprawdę? - Kiedy Willa nie odezwała się, Lily ponownie zebrała całą odwagę. - Bess opowiadała mi, jak surowo traktował cię nasz ojciec. Bess za dużo gada, pomyślała Willa.

- Klaps od kogoś z rodziców to nie to samo, co cios pięścią w twarz od męża. Ucieczka przed tym wcale nie była tchórzostwem, Lily. To była bardzo rozsądna i zupełnie naturalna reakcja.

- Tak. Ale nigdy nie próbowałam mu się przeciwstawić. Ani razu.

- Ja także - powiedziała cicho Willa. - Nie uciekłam od ojca, ale również nie podejmowałam z nim walki. - Nieprawda. Walczyłaś za każdym razem, kiedy wskakiwałaś na konia, pomagałaś przyjść na świat następnemu cielakowi albo jechałaś sprawdzać ogrodzenie. - Lily spokojnie patrzyła Willi prosto w oczy. - Tym sposobem sprawiłaś, że Mercy stało się twoje. To była twoja walka z ojcem. Zapuściłaś tu korzenie. Nie znałam go i on nie próbował poznać mnie. Sądzę jednak, Willo, że o tobie również nic nie wiedział. - Chyba masz rację. - Zdała sobie sprawę, że rzeczywiście tak było. - Sądzę, że mnie nie znał. Lily odetchnęła głęboko.

- Teraz na pewno podjęłabym walkę. W dużej mierze zawdzięczam to tobie, Tess i szansie, którą mi tu dano. To nie Jack Mercy dał mi tę szansę, Will, lecz ty. Powinnaś nas nienawidzić. Miałas wszelkie prawo darzyć nas ślepą nienawiścią. Jednak tego nie zrobiłaś.

Willa przypomniała sobie, że bardzo chciała. Ale nie było to możliwe.

- Może nienawisć po prostu pochłania zbyt dużo energii.

- Na pewno, ale nie każdy to rozumie. - Lily przerwała i zaczęła obracać w palcach filiżankę. - Kiedy ostatnio byłam z Tess na zakupach, wydawało mi się przez moment, że widzę Jesse'a. To trwało zaledwie ułamek sekundy.

- Widziałas go w Ennis? - Willa wyprostowała się i zacisnęła pięści.

- Nie. - Zachwycona jej reakcją Lily delikatnie się uśmiechnęła. - Widzisz, ty już chcesz walczyć. A ja zawsze uciekałam. Przywykłam do tego, że wszędzie go widzę.

Jestem w stanie wyobrazić go sobie w każdym miejscu. Teraz od dłuższego czasu już mi się to nie zdarzyło. Jednak tego dnia dostrzegłam w tłumie jakąś twarz, ktoś w tak charakterystyczny dla niego sposób przekrzywił głowę.... Mimo to nie uciekałam. Nie wpadłam w panikę. Wydaje mi się, że gdybym jeszcze kiedykolwiek musiała, naprawdę musiała, tym razem podjęłabym walkę. Zawdzięczam to tobie. - Sama nie wiem, Lily. Czasem ucieczka jest naprawdę najlepszym wyjściem.

Wszystko układało się tak wspaniale, że Lily nie mogła wprost uwierzyć własnemu szczęściu. Wciąż musiała sobie powtarzać, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ludzie, których w ostatnim czasie pokochała, siedzieli w jej małej jadalni, wszyscy poprosili o repety. Śmiali się, żartowali z siebie jak przyjaciele. Sprzeczali się jak członkowie rodziny.

Lily zdała sobie sprawę, że wszystko zaczęła Tess. Zrobiła to całkiem celowo, mówiąc Willi, że sukienka, którą dla niej wybrały, uszyta jest z organdy w kolorze fuksji. Jej dolna część składa się z sześciu falban, a oprócz tego ma turniurę i bufiaste rękawy.

- Chyba kompletnie postradałyście zmysły, jeśli sądzicie, że włożę na siebie coś takiego. Co to jest, do diabła, kolor fuksji?

Czy to nie jest kolor różowy? Za nic w świecie nie będę nosić różowych falbanek.

- Będzie ci w niej bardzo ładnie - mruzczała Tess. - Zwłaszcza jeśli włożysz do tego kapelusz.

- Jaki kapelusz?

- Do tej sukienki jest śliczny, dopasowany kolorystycznie kapelusz. Ma ogromne, opadające rondo ozdobione całą masą wiosennych kwiatów. Angielskich pierwiosnków. Jego denko jest otwarte, w związku z tym będziemy mogły podpiąć ci do góry włosy. Do tego wszystkiego są jeszcze rękawiczki.

Długie do łokci, bardzo szykowne.

Ponieważ Willa śmiertelnie zbladła, Lily zrobiło się jej żal.

- Nie słuchaj jej. Ona się z tobą po prostu drażni. Sukienka jest cudowna. Uszyta

została z jasnoniebieskiego jedwabiu, z tyłu ma perłowe guziczki, a na górze odrobinę koronki. Jest bardzo prosta i ma klasyczny krój. Nie ma do niej żadnego kapelusza ani rękawiczek.

- Musiałaś mi zepsuć zabawę - mruknęła niezadowolona Tess, po czym uśmiechnęła się do Willi.

- Wygląda na to, że Willa w ciągu tego roku będzie miała na sobie sukienkę więcej razy niż w całym swoim życiu. - Ben uniósł kieliszek. - Nigdy jej nie widziałem inaczej niż w dzinsach, myślałem nawet, że śpi w nich.

- Chciałabym cię zobaczyć, jak pędzisz bydło w sukience - odcięła się Willa.

- Ja też. - Nate ze śmiechem odsunął talerz na bok. - Lily, to był wspaniały posiłek. Jeśli nie przestaniesz tak dobrze gotować, Adam będzie musiał zacząć kupować szersze spodnie.

- Musicie zostawić sobie jeszcze trochę miejsca na ciasto. - Przepelniona radością Lily wstała. - Może zjedlibyśmy je w salonie?

- Ta dziewczyna świetnie gotuje - skomentował Ben, siadając na krześle. - Adam jest cholernym szczęściarzem.

- Czy w taki właśnie sposób mierzysz szczęście mężczyzny, McKinnon. - Willa usiadła na podłodze przed kominkiem i podkurczyła nogi. - Według tego, jak gotuje jego żona? - A czy to szkodzi?

- Mądra kobieta zatrudnia kucharza. - Tess jęknęła cicho, kiedy usiadła na sofie obok Nate'a. - Ale coś takiego je tylko raz w roku. Jutro będę musiała zrobić pięćdziesiąt dodatkowych okrążeń basenu.

Willi przyszło na myśl kilka złośliwych komentarzy, ale żadnego z nich nie powiedziała na głos. Zerknęła w stronę kuchni i zauważyła, że Adam i Lily zajęci są przygotowaniem deseru.

- Zanim tu wrócę, chciałabym zadać ci jedno pytanie. Czy parę dni temu, kiedy robiłyście zakupy, Lily powiedziała ci, że widziała swego byłego męża?

- Nie. - Tess gwałtownie się wyprostowała. - Ani słowa.

- W Ennis? - Nate przymrużył oczy i przestał bawić się palcami Tess.

- Powiedziała mi, że się pomyliła. Tłumaczyła, że dawniej bardzo często zdawało się jej, że go wszędzie widzi. Mimo to bardzo mnie to martwi.

- Na chwilę zamilkła. - Tess zagryzła wargi i próbowała sobie wszystko dokładnie przypomnieć. - Oglądałyśmy wystawę w sklepie z bielizną. Myślałam, że marzy o nocy poślubnej.

Przez kilka minut wyglądała na trochę zdenerwowaną, ale nic mi nie powiedziała.

- Czy kiedykolwiek widziałeś jego zdjęcie? - Ben zapytał Nate'a.

- Tak, kilka dni temu. Mieli jakieś trudności ze ściąganiem odbitki ze Wschodu. - On również na wszelki wypadek zerknął w stronę kuchni. - Ten człowiek wygląda jak jakiś zakichany święty. Piękna twarz, bardzo krótkie włosy. Nie spotkałem w okolicy nikogo takiego. Powinienem zabrać to zdjęcie ze sobą i pokazać Adamowi.

- Ja też chciałabym je zobaczyć - powiedziała Willa. - Porozmawiamy o tym później - dorzuciła, kiedy usłyszała głos Adama. - Nie psujmy jej tego wieczoru.

Aby odwrócić uwagę od nagłej przerwy w rozmowie, Ben wstał i podszedł do niosącej tacę Lily.

- Widzę, że przyniosłaś dla mnie ciasto. - Pochylił się nad nim i powąchał jak mężczyzna myślący jedynie o następnym kęsie. - A co masz dla pozostałych?

Cały wieczór spędzili w beztróskim nastroju. W końcu Nate ścisnął delikatnie palce Tess, dając jej w ten sposób sygnał, po czym wstał.

- Lepiej będzie, jeśli już sobie pójdę, zanim wyrzucisz mnie za drzwi, Lily. - Pochylił się i pocałował ją. - To było cudowne przyjęcie.

- Cieszę się, że przyjęliście moje zaproszenie.

- Idę z tobą. - Tess udawała, że ziewa. - Strasznie się najadłam.

Teraz będę spała jak zabita. Kiedy wymienili pożegnalne uściski i wyszli, Ben i Willa w milczącym porozumieniu dali im pięć minut, po czym sami zaczęli zbierać się do wyjścia. Kiedy zostali sami, Adam wziął Lily w ramiona.

- Kogo oni chcą oszukać?

- O czym ty mówisz?

Rozczulony jej naiwnością, pocałował ją w czoło.

- Czy słyszałaś warkot silnika?

Przymrużyła oczy, zrozumiała, o co mu chodzi, i roześmiała się. - Nie, chyba nie.

- Myślę, że warto byłoby pójść w ich ślady. - Popchnął leciutko Lily w kierunku schodów. - Adamie, mam tyle naczyń do zmywania. - Nie uciekną do jutra. - Ponownie ją pocałował. - A my przecież też nigdzie nie wyjeżdżamy.

W swoim łóżku, w ciemności nocy, Willa wydała długi gardłowy jęk. Ten dźwięk zawsze bardzo go podniecał i zachęcał do przyspieszenia tempa. Uwielbiał ją obserwować, gdy siedziała na nim, uwielbiał jej bujne, ciemne włosy, które łagodnie opadały na ramiona. W takiej pozycji doskonale widział błyski i ogniki rozkoszy, pojawiające się w jej oczach, kiedy całkowicie zatracala się w miłości. Często kładł na jej piersiach dłonie, a potem je cofał

i zastępował spragnionymi wargami. Wtedy oplatała go rękami i nogami, zupełnie jak dzikie wino. Wówczas mógł się nią upajać do woli.

Niezależnie od tego, jak dużo z siebie dawała, zawsze chciał jeszcze więcej.

- Chodź! - wydyszał swe żądanie, zacisnął palce na jej udach i przyspieszył rytm.

Ponownie krzyknęła, co zadziało na niego jak dobra whisky. Zadrżała, westchnęła, potem jęknęła, aż w końcu zacisnęła zęby na jego ramieniu.

Pozwolił jej narzucić tempo i opanować drzenie. Pochyliła się nad nim, oparła się rękami o poduszkę, a jej włosy opadły na jego twarz.

- Chcę cię doprowadzić do szału. - Pochyliła głowę, aż jej usta znalazły się o tchnienie od jego warg. - Chcę, żebyś błagał o więcej.

Poruszała się wolno, nierytmicznie, a jej usta co chwila szybko i mocno dotykały jego warg, robiąc to stopniowo coraz mocniej i goręcej. Kiedy wczepił palce w jej włosy i zaczął dyszeć, oderwała się od jego ust i odchyliła do tyłu. Przyspieszyła rytm, rękami błądziła po jego ciele i przez cały czas patrzyła mu w oczy.

Zobaczyła to, co chciała. Jego oczy były szkliste, dzikie i szalone, odzwierciedlały szalejące w nim uczucia. Przesunął dłonie i mocno zacisnął palce na jej pośladkach. Będzie miała sińce. Jego znaki, pomyślała zadowolona.

Odgięła się do tyłu. Wiedziała, co za chwilę nastąpi. Czekala już na ten wybuch bezgranicznej rozkoszy, tę gwałtowną eksplozję przenikającą całe ciało, eksplozję pojawiającą się nagle jak błyskawica albo utrzymującą się przez dłuższy czas jak rosa. Mimo to wciąż nie mogła się temu nadziwić. Nieprzeniknioną tajemnicą był dla niej ten cudowny nastrój intymności i zaspokojenia.

Poczuła, że i Ben eksploduje, czekała na jego ostatni ruch i cudowny wybuch żaru. Orgazm jak strzała przeszył jej ciało. Przytuliła się mocno do niego. Czula się cudownie.

- Willo. - Ben przyciągnął ją mocno do siebie i przez jakiś czas obydwójce drżeli. Kiedy był w stanie powiedzieć coś więcej niż jej imię, przybliżył wargi do jej szyi. - Przez cały wieczór myślałem tylko o tym, żeby móc cię trzymać tak blisko siebie.

Słuchanie takich głupstewek zawsze ją rozczulało, nie wiedziała, jak ma na nie zareagować.

- Przecież byłeś zbyt zajęty jedzeniem, żeby o tym pomyśleć. - Nigdy nie jestem tak zajęty, żeby o tym nie myśleć. Albo o tobie. A nawet ciągle o tobie myślę. - Zanurzył dłonie w jej włosach i odwrócił jej głowę tak, by ich usta były blisko siebie. - Przez cały czas. I martwię się o ciebie.

- Martwisz się? - Fantastycznie rozluźniona, oparła się na łokciach i spojrzała na

niego. Uwielbiała patrzeć na zarysy jego twarzy w ciemności. - O co?

- Nie podoba mi się, że gdy coś się dzieje, nie zawsze jestem przy tobie.

- Potrafię zatroszczyć się o siebie. - Odgarnęła mu włosy z czoła. Zabawne, pomyślała, że ich koniuszki zawsze wyglądają, jakby zostały zamoczone w wilgotnym, złotym pyłe. Jeszcze zabawniejsze jest to, że ostatnio aż swędzi ją ręka, aby dotykać tych włosów. - Potrafię również zająć się ranczem.

- Tak. - Aż za dobrze, pomyślał. - Mimo to martwię się.

Mógłbym dzisiaj zostać na noc.

- Rozmawialiśmy już o tym wielokrotnie. Bess lubi udawać, że nie ma pojęcia, co jest grane. A ja nie chcę jej w tym przeszkodzić. Poza tym... - Pocałowała go, po czym powoli odwróciła się na plecy. - Ty masz przecież swoje ranczo. - Przeciągnęła się. - Wyskakuj z siodła, McKinnon. Skończyłam z tobą.

- Tak sądzisz? - Przekoziółkował i znalazł się na niej.

Postanowił udowodnić jej, że się myli.

Jeżeli mężczyzna wychodzi na palcach z ciemnego domu, najczęściej czuje się jak głupiec. Albo szczęściarz. Nate zastanawiał się, która z tych dwóch ról bardziej do niego pasuje, kiedy otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z Benem.

Spojrzeni jeden na drugiego i odchrząknęli.

- Piękną mamy noc - powiedział Nate.

- Jedną z najpiękniejszych. - Ben poddał się i uśmiechnął się od ucha do ucha. - Gdzie zaparkowałeś swego łazika?

- Za oborą. A ty?

- Tak samo. Nie rozumiem, po co zadajemy sobie tyle trudu.

Przecież nie ma na tym ranczu człowieka, który nie wiedziałby, że śpiamy z tymi kobietami. - Wyszli na werandę i skierowali się w stronę obory. - Wciąż się zastanawiam, czy ktoś mnie nie postrzeli.

- Teraz na warcie jest Adam i Ham - zwrócił uwagę Nate. - Przynajmniej tyle udało mi się ustalić. Oni nie naciskają na spust z byle powodu. - Odwrócił się, spoglądając w okna Tess.

- A poza tym, może dla tego wszystkiego nawet warto zaryzykować i pouchylać się przed kulami. - Zaczynam się o ciebie martwić. - Chyba się z nią ożenię. Ben zamarł w bezruchu.

- Jakaś mucha brzęczy mi za uszami. Chyba cię źle zrozumiałem.

- Dobrze mnie zrozumiałeś. Ona liczy na to, że jesienią wróci do Kalifornii. - Nate

wzruszył ramionami. - A ja mam nadzieję, że stąd nie wyjedzie.

- Powiedziałaś jej to?

- Czy powiedziałem Tess? - Rozbawiony tym pomysłem, Nate roześmiał się cicho. - Do diabła, oczywiście, że nie. Takiej kobiecie nie jesteś w stanie niczego narzucić. Ona jest przyzwyczajona do tego, że zawsze gra pierwsze skrzypce.

Dlatego musi myśleć, że to jest jej pomysł. Ona jeszcze nie wie, że mnie kocha, ale w końcu się zorientuje.

Rozmowa o miłości i małżeństwie sprawiła, że Ben poczuł się bardzo nieswojo.

- A co będzie, jeśli nie? Jeśli się nie zorientuje? Co będzie, jeśli spakuje się i wyjedzie? Pozwolisz jej tak zwyczajnie opuścić Montanę?

- Przecież nie mogę jej związać. - Nate wyjął kluczyki i podrzucił je w dłoń. - Ale idę o zakład, że zostanie. Mam jeszcze trochę czasu, żeby nad tym popracować.

Ben pomyślał o Willi. Zaczął się zastanawiać, co by zrobił, gdyby nagle coś strzeliło jej do głowy i postanowiła z nim zerwać. Chyba w rekordowym czasie związałby jej ręce i nogi.

- Chyba nie potrafiłbym być tak rozsądny. - No cóż. Przymus najczęściej wywołuje zupełnie odwrotny skutek. Przez najbliższy dzień lub dwa prowadzę rozprawę w sądzie - dodał, wsiadając do łazika. - Jak tylko będę mógł najwcześniej, wpadnę z tym zdjęciem.

- Dobrze. - Ben zatrzymał się przy własnym samochodzie i obejrzał przez ramię. Nie, gdyby był zakochany, z całą pewnością nie umiałby się zdobyć na rozsądek. Gdyby był zakochany, ale na całe szczęście nie jest.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Jesse wszystko opracował w najdrobniejszych szczegółach.

Och! Naprawdę, bardzo próbował zdobyć się na cierpliwość.

Rozsądek nakazywał mu również wytrwać do jesieni, bo wtedy, oprócz żony, mógłby zgarnąć mnóstwo forsy.

Ale ta mała suka postanowiła wystawić go do wiatru i wyjść za mąż za tego indiańskiego bastarda. Przystudiował dokładnie wszystkie przepisy i przekonał się, że gdyby do tego doszło, jemu, prawowitemu przecież mężowi Lily, nic by się nie należało. Nie mógł więc w żaden sposób do tego dopuścić.

Gdyby nie zawiódł go celownik, Adama Wolfchilda miałby już z głowy. Okazja była wprost wysmienita, ale ten sukinsyn miał cholerne szczęście. Niestety, Wolfchild nie był wówczas sam, dlatego czekanie w pobliżu na następną, być może lepszą sposobność, było zbyt ryzykowne.

Wówczas Jesse był święcie przekonany, że na pewno nadarzy mu się jeszcze jakaś okazja. Potrzebował jedynie odrobiny szczęścia. Tymczasem nadeszła wiosna, a ten cholerny ciemiezca i zadręczający swych pracowników niewolniczą pracą wyzyskiwacz, Ben McKinnon, wciąż znajdował Jesse'owi jakieś zajęcie w Three Rocks. On harował jak dziki osioł, a jego puszczalska żona kupowała sobie suknię ślubną.

Skoro zatem nie jest w stanie dać nauczki Wolfchildowi, może przynajmniej, do cholery, dopaść Lily. A gdy już to zrobi, wtedy ta idiotka serdecznie pożałuje nie tylko tego, że sprawiła mu mnóstwo kłopotów, ale i tego, że przekreśliła jego cudowne marzenia o zgarnięciu jej spadku. Tak, na pewno Lily tego bardzo pożałuje.

Co prawda to wcale nie przekreśla jego planów na zdobycie większej forsy. Może liczyć na to, że zdoła się wzbogacić w inny sposób, pomyślał, kiedy dokładał następną królową do dwóch, które już miał w ręce. Nadszedł jednak czas, by wyruszyć w drogę. A tym razem Lily pojedzie z nim.

Chcę sprawdzić twoje karty - powiedział Jesse, uśmiechając się do siedzącego po drugiej stronie stołu Jima. - Dokładam piątkę.

Rezygnuję. - Ned Tucker rzucił swoje karty, czknął i wstał, żeby wziąć świeże piwo. Bardzo dobrze czuł się w Mercy. Willa była sprawiedliwym szefem, a towarzystwo mężczyzn sprawiało mu ogromną przyjemność. Pogłaskał po głowie wtłoczonego w ciemny kąt niedźwiedzia. Wierzył, że grizzly przyniesie mu szczęście. Chociaż, pomyślał Ned, wcale nie pomógł mu tego wieczoru podczas gry w pokera.

Potrząsnął głową, gdy zauważył, że Jesse zgarnia następną wygraną.

- Wygląda na to, że ten sukinsyn nigdy nie przegrywa - powiedział do Hama.

- Ma tyle szczęścia, że jeszcze trochę, a zacnie srać bryłkami złota. - Mimo to Ham postanowił sprawdzić, czy los będzie mu sprzyjał. - Daj mi dobre karty. Za godzinę muszę zmienić Billy'ego. Równie dobrze mogę do tego czasu przegrać parę dolców.

Została mi godzina, pomyślał Jesse, kiedy wziął swoje karty. Billy i ten zarozumiały Studencik stoją teraz na warcie. Z żadnym z nich nie powinien mieć kłopotów. Może zatem jeszcze pograć przez dziesięć minut, a potem zacząć realizować swój plan.

Opuścił jedno rozdanie, zrezygnował z następnego i odsunął się od stołu.

- Zagrajcie beze mnie. Muszę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

- Uważaj, żeby Billy ci czegoś nie odstrzelił - zawołał Jim. - Ten chłopak chodzi ostatnio z głową w chmurach i bez przerwy myśli o kociaku z miasta. Nietrudno go przestraszyć.

- Poradzę sobie z Billym - powiedział Jesse, włożył na siebie kurtkę i wyszedł na zewnątrz.

Spojrzał na zegarek. Już wcześniej zapoznał się dokładnie z rozkładem zajęć w Mercy, w związku z tym wiedział, że o tej porze Adam po raz ostatni zagłąda do koni. Bess, Willa i Tess są zajęte własnymi sprawami, a Lily samotnie czeka na tego Metysa. Jesse wyjął colta spod siedzenia swego łazika. Ostrożność nie zawadzi. Wsunął go za pasek i, trzymając się cienia, ruszył w stronę ślicznego białego domku.

Na pewno wszystko pójdzie zgodnie z planem, pomyślał. Lily będzie płakała i błagała, ale i tak zrobi to, czego on zażąda. Jeśli nie od razu, to po pierwszym policzku. Zawsze była posłuszną istotą i postępowała tak, jak powinna. A jeśli nie wykona jego polecenia wystarczająco szybko, wówczas na pewno zrobi to, gdy oberwie po twarzy.

Nie mógł się już doczekać tej chwili, kiedy będzie mógł ją uderzyć. Tyle czasu upłynęło od ostatniego razu.

Poprawił pasek i bezszelestnie podążył w stronę tylnych drzwi.

- To ty, JC? - Ucieszony tym, że znalazł sobie towarzystwo, Billy wysunął się do przodu, opuścił strzelbę i zabezpieczył kurek. - Znowu obdarłeś chłopców ze skóry? Co tu robisz?

Jesse uśmiechnął się do niego i wysunął zza paska rewolwer.

- Przyszedłem tu po moją własność - powiedział i zadał cios kolbą. - Nie mam zamiaru cię zabijać - mruknął, wciągając Billy'ego w krzaki. - Poza tym narobiłoby się zbyt dużo hałasu. Więc lepiej nie wchodź mi w drogę, bo mogę jeszcze zmienić zdanie.

Cicho jak wąż podkradł się do tylnych drzwi i zajrzał przez szybę.

A oto i ona. Słodka, mała Lily, pomyślał. Siedziała przy stole, piła herbatę i przeglądała jakieś czasopismo. Czekala, aż jej indiański kochaś weźmie ją w objęcia. Niewierna suka.

Gdzieś w oddali rozległ się grzmot, więc na moment oderwał od niej wzrok i spojrzął na bezgwiezdne niebo. Nawet pogoda jest po jego stronie, pomyślał z uśmiechem. Łagodny deszcz powinien doskonale zmyć wszystkie ślady i ułatwić mu ucieczkę.

Spokojnie nacisnął klamkę i wszedł do środka.

- Wiesz, Adamie, jest tu artykuł o tortach ślubnych.

Zastanawiam się... - Zamarła w bezruchu. Wciąż jeszcze wpatrywała się w gazetę, jednak serce zaczęło jej walić jak szalone. Groszek warczał pod stołem. W tym momencie zdała sobie sprawę, że to on. Jeszcze zanim zdobyła się na odwagę, by się odwrócić, już wiedziała, że po nią przyszedł.

- Uspokój tego psa, Lily, albo go zabiję.

Wcale w to nie wątpiła. Wyglądał tak samo. Mimo ciemnych, dużo dłuższych włosów i wąsów, w jej oczach był dokładnie taki sam. W tych pięknych oczach widać było podłość, a na ustach zamarł cyniczny uśmiech. Poderwała się na równe nogi i zasłoniła sobą psa.

- Groszek, siedź cicho! Słyszysz, masz być cicho! - Kiedy nadal warczał, z osłupieniem obserwowała, jak Jesse wyjmując zza paska rewolwer. - Nie! Proszę, Jesse! To stary pies. Poza tym usłyszą cię. Jeśli go zastrzelisz, na pewno cię usłyszą. Wtedy wszyscy się tu zbiegną.

Miał ogromną, nieodpartą ochotę, żeby zabić tego psa, nie mógł sobie jednak pozwolić na żaden zbędny hałas. - W takim razie każ mu się zamknąć! Ma być cicho! - Wy... wyprowadzę go do innego pokoju. - Ruszaj się cicho, Lily, i nie próbuj uciekać. - Uwielbiał czuć pistolet w ręce, kolba zawsze tak świetnie leżała mu w dłoni. - Jeśli spróbujesz jakichś sztuczek, zrobię ci coś złego. A potem siądę tutaj i zaczekam sobie na tego Indianina, z którym sypiasz. Zabiję go, gdy tylko pojawi się w drzwiach.

- Nie ucieknę. - Wzięła Groszka za kark. Wszystkie mięśnie miał niesamowicie napięte i stawiał zaciekły opór, mimo to udało jej się wypchnąć go za drzwi. - Proszę, odłóż ten rewolwer, Jesse. Doskonale wiesz, że wcale nie jest ci potrzebny.

- Myślę, że nie. - Z uśmiechem na ustach wsunął rewolwer za pasek. - Chodź do mnie.

- Nie, Jesse. - Próbowała przypomnieć sobie wszystko, czego nauczyła się podczas zajęć terapeutycznych: jak w takich sytuacjach zachować spokój i trzeźwo myśleć. - Jesteśmy po rozwodzie. Jeżeli znowu mnie uderzysz, wsadzą cię do więzienia.

Ponownie położył rękę na kolbie rewolweru.

- Powiedziałem, że masz tu przyjść.

Blżej drzwi, pomyślała. Może uda się uciec. Musi uciec, żeby ostrzec Adama i wszystkich pozostałych.

- Próbuję zacząć nowe życie - powiedziała, zbliżając się do niego powoli. - Oboje mamy szansę ułożyć sobie wszystko od nowa. Nigdy nie byłeś ze mnie zadowolony, a... - Kiedy wymierzył jej potężny policzek, nie była tym wcale zaskoczona, mimo to krzyknęła z bólu.

- Od ponad sześciu miesięcy czekałem, żeby móc to zrobić. - A ponieważ sprawiało mu to ogromną przyjemność, uderzył ją jeszcze raz, tym razem na tyle mocno, żeby upadła na kolana. - Byłem tutaj, Lily. - Złapał ją za włosy i gwałtownym szarpnięciem poderwał na nogi. - Obserwowałem cię.

- Tutaj? - Ból był starym znajomym, niestety sprawiał, że trudno jej było myśleć. Mimo to myślała. O morderstwie, o obłądnie. - Byłeś tutaj. O Boże!

Teraz dodatkowo sparaliżował ją strach. Zawsze powtarzała sobie, że Jesse używał pięści. Tylko pięści. Nie byłby w stanie rozrywać ludzi na kawałki.

Ale gdy spojrzała mu w oczy, zauważyła ślepą wściekłość. - Zabieram cię ze sobą. Będziesz siedziała cicho i robiła to, co ci każę. - Aby lepiej zrozumiała jego słowa, bezlitośnie szarpnął ją za włosy. - Sprawiałaś mi mnóstwo kłopotu, Lily. Zrobię krzywdę tobie i każdemu, kto wejdzie mi w drogę. - Przez cały czas jego twarz była bardzo blisko, tak blisko, że czuła jego oddech. W sąsiednim pokoju pies wściekle ujadął, ale żadne z nich nie zwracało na to uwagi. - Czeka nas długa podróż. Do Meksyku.

- Nie jadę z tobą. - Ponownie ją uderzył. Zatoczyła się, a gdy odzyskała równowagę, rzuciła się na niego. Zaatakowała go paznokciami, zębami i pięściami. Zaskoczyła tym nie tylko jego, ale i samą siebie.

Zaszokowany jej ślepy zrywem, odskoczył do tyłu. Wpadł na ladę, uderzył się o jej kant i poczuł ostry ból w pośladku. Kiedy podrapała mu do krwi twarz, zawył, był jednak zbyt oszołomiony, by odeprzeć atak. Oprzytomniał dopiero wówczas, gdy po raz drugi przejechała mu paznokciami po policzku.

- Pieprzona pizda! - Powalił ją na stół, zrzucając przy okazji jej piękną filiżankę.

Psy wyły jak wilki i opętańczo drapały w drzwi.

- Zabiję cię za to! Pieprzę! Zabiję cię! Niewątpliwie byłby to zrobił. W ręce trzymał rewolwer, a palec drżał mu na spuście. Zauważył jednak, że w oczach Lily nie ma ani strachu, ani błagania. W jej oczach dostrzegł natomiast nienawiść.

- Czy tego właśnie chcesz? - Szarpnął nią ponownie, przytknął lufę do jej skroni. - Chcesz, żebym cię zabił?

Jeszcze nie tak dawno, bezgranicznie zmęczona wszystkim, najprawdopodobniej powiedziała „tak”. Teraz jednak pomyślała o swym nowym życiu. O Adamie i siostrach. O domu i rodzinie.

- Nie, pójdę z tobą. - I będę czekać na pierwszą lepszą okazję, aby uciec albo stawić ci opór, przyrzekła sobie w duszy.

- Cholernie się z tego cieszę. - Zaciśnął palce na jej szyi, a gdy krew zalała mu oczy, potrząsnął nią. - Teraz nie mam czasu, ale zapłacisz mi za to. Przyrzekam ci, że mi jeszcze za to zapłacisz.

Roztrzęsiony zaczął ją ciągnąć do drzwi. Był kompletnie zaskoczony, że Lily go skaleczyła, i to wcale nie na żarty, ponieważ krew spływała mu po twarzy. Dodatkową wściekłość wzbudzał w nim fakt, że stracił tak dużo czasu, by się z nią uporać. Zakładał, że pójdzie z nim jak potulna krowa.

Wszystko to sprawiło, że nawet nie zauważył, iż zamiast deszczu, którego się spodziewał, zaczął padać śnieg. W dalszym ciągu jednak grzmiało. Przed oczami tańczyły mu olbrzymie, ciężkie płatki, dlatego Adama zauważył dopiero wówczas, gdy stanęli ze sobą twarz w twarz. Równocześnie dostrzegł wymierzoną w swoją stronę lufę strzelby.

- Zostaw ją. - Głos Adama był idealnie spokojny, w ogóle nie było w nim słyhać wściekłości ani strachu, który go ogarnął. - Lily, odsuń się od niego.

Jesse chwycił Lily za szyję i przytknął jej do skroni rewolwer, który wciąż trzymał w ręce. Nerwy kompletnie odmówiły mu posłuszeństwa. Wrzeszczał głośno:

- Do jasnej cholery! Ona jest moją żoną! Zjeżdżaj mi z drogi! Jak mnie nie puścisz, wpakuję jej kulę prosto w łeb!

Usłyszał, że ktoś odbezpiecza strzelbę i zobaczył Willę, która wysunęła się do przodu. Nie miała na sobie płaszcza, a na jej włosach widać było płatki śniegu.

- Weź swoje łapska od mojej siostry, sukinsynu. Tego nie było w planie. To wszystko miało wyglądać zupełnie inaczej. Jesse'a ogarnął paniczny strach, a palec drżał mu na spuście.

- Zrobię to! Jeżeli zbliżysz się choć o krok, jej mózg prysnie na twoje buty. Powiedz im, Lily. Powiedz im, że nie będę się zastanawiał i po prostu cię zabiję.

Czuła zimną stal przytkniętą do skroni. Wyobrażała sobie eksplozję. Ramieniem niemal miażdżył jej gardło i ledwo mogła oddychać. Nie chciała umierać, dlatego popatrzyła na Adama.

- On to naprawdę zrobi. Był tutaj przez cały czas. Jesse wyglądał jak potwór, miał

przekrwione, błyszczące oczy, po twarzy płynęła mu krew. Szczrzył zęby w wyzywającym uśmiechu.

- Ona nie kłamie. Przez cały czas byłem tutaj w pobliżu. Jeśli będziecie próbowali mi przeszkodzić, wówczas zrobię z nią to samo, co stało się z innymi. - Wykrzywił usta w promiennym uśmiechu. W tym momencie odzyskał panowanie nad sytuacją i teraz to on dyktował warunki. - Może jej nie wypatroszę i nie oskalpuję, ale i tak będzie martwa.

- Tak samo jak ty - powiedział Adam, trzymając palec na spuście.

- Z łatwością mogę skrócić jej kark. - Jesse podniósł nieco głos. - Albo strzelę jej w ucho. A może przy tym wszystkim dopisze mi szczęście. - Zaciśnął rękę na szyi Lily. Dusząc się wykonała ruch, jakby chciała zerwać z szyi kłamrę. - Może uda mi się oddać jeszcze jeden strzał, prosto w brzuch twojej siostry.

- On blefuje, Adamie. - Willa przez cały czas mierzyła w niego. Przyszło jej na myśl, że najchętniej wypaliłaby mu prosto w oczy. Gdyby tylko Lily przesunęła głowę o jakieś dwa, trzy centymetry. Gdyby to zrobiła, wówczas można by zaryzykować. Ale ten cholerny śnieg przysłania wszystko jak kurtyna. - On wcale nie chce umierać. - Do jasnej cholery! Ja byłem w marines! - krzyknął Jesse. - Zdamę zastrzelić was obydwoje, zanim upadnę. A zacznę od Lily.

No właśnie, Lily byłaby pierwsza, i o to głównie chodziło. - Nie zabierzesz jej stąd. - Ale Adam opuścił już strzelbę. Musiał opanować wściekłość i zrezygnować z własnej dumy, gdy w grę wchodziło życie Lily. - Zapłacisz mi za jej strach.

- Odsuń się, suko! - Jesse rozkazał Willi i mocniej ścisnął szyję Lily, aż zaczęła charczeć. - Skręcenie jej karku nie będzie mnie kosztowało więcej wysiłku niż mrugnięcie powieką.

Willa poczuła się kompletnie bezradna i, chociaż wszystko się w niej buntowało przeciwko temu, odsunęła się do tyłu. Ale nie opuściła strzelby. Jeden celny strzał, obiecała sobie. Jeśli tylko będzie miała możliwość strzelić, zrobi to.

- Wsiadaj do łazika! - Jesse posuwał się tyłem i ciągnął Lily za sobą. Przez cały czas niespokojnie rozglądał się dookoła. - Wsiadaj do tego cholernego łazika, za kierownicę! - Wciągnął ją do kabiny i przepchnął przez siedzenie. Ani na moment nie opuszczał gotowego do strzału rewolweru. - Jeśli za nami pojedziecie - krzyknął - zabiję ją. Uruchom ten cholerny samochód i ruszaj!

Lily, obracając kluczyk w stacyjce, po raz ostatni spojrzała na Adama. Potem odjechała.

Willa opuściła strzelbę i nie mogła opanować drżenia rąk. Nie strzeliła. Był moment,

jeden krótki moment, ale bała się zaryzykować.

- Boże! Słodki Boże! Kierują się na zachód. - Zmusiła się do myślenia. Do szybkiego myślenia. - Jeśli pojedą szosą łatwo będzie go dopaść. Gliniarze będą mogli zorganizować blokadę dróg i zatrzymać ich. Jeśli jednak ma choć odrobinę rozsądku, wpadnie na to bez trudu i wobec tego skieruje się w góry. W ciągu dwudziestu minut możemy ruszyć w pościg.

- Pozwoliłem jej odejść. Dopuściłem do tego, żeby ją zabrał.

Willa potrząsnęła nim mocno.

- Zabiłby ją na naszych oczach. Był przerażony i zachowywał się jak obłąkany. Zrobiłby to.

- Tak. - Adam wciągnął głęboko powietrze w płuca, potem odetchnął. - Teraz muszę ich znaleźć. Zabiję go.

Willa przytaknęła.

- Tak. Zadzwoń na policję, a ja zbiorę mężczyzn. Ci z nas, którzy pojedą w góry, będą potrzebowali koni i sprzętu. Pospiesz się.

Ruszyła pędem i wpadła na jęczącego Billy'ego, który właśnie zdołał wyczołgać się z krzaków i wypełznął na drogę.

- Jezu! - Miał bardzo zakrwawioną twarz, Willa pomyślała więc, że został postrzelony.

- Billy!

- Tylko mnie uderzył. Czymś mnie uderzył.

- Siedź spokojnie. Nie ruszaj się stąd! — Wbiegła do domu. - Bess! Przygotuj zestaw pierwszej pomocy. Weź Billy'ego sprzed domu Adama. Jest ranny.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - Tess zła, że przerwano jej wieczorną sesję przy komputerze, stanęła na piętrze i przechyliła się przez poręcz. — Najpierw psy czekały jak opętane, teraz ty wydzierasz się, jakby obdzierano cię ze skóry. Co się stało Billy'emu?

- To Jesse Cooke! Pospiesz się! - rozkazała, gdy Bess ruszyła po środki opatrunkowe.

- Nie wiem, jak poważne są obrażenia Billy'ego.

- Jesse Cooke. - Zaalarmowana Tess zbiegła ze schodów. - O czym ty mówisz?

- Wziął ze sobą Lily. Porwał ją - powtórzyła Willa, ucinając dalsze pytania Tess. - Moim zdaniem będzie próbował dostać się z nią w góry. Na dworze szaleje burza śnieżna, a ona nie ma na sobie nawet płaszcza. - Na parę sekund Willa wpadła w histerię, natychmiast jednak się opanowała. - Jest przerażony i wydaje mi się, że po prostu obłąkany. Zadzwoń do Bena, Nate'a i każdego, kto przyjdzie ci na myśl. Powiedz, że organizujemy pościg. My od razu ruszamy za nimi.

- Wezmę coś cieplejszego. - Tess zacisnęła mocno palce na poręczy, aż zbieleły jej

kostki. - Także dla Lily. Na pewno jej się przyda, gdy ją znajdziemy. - Zrób to szybko.

W ciągu dziesięciu minut mężczyźni byli już gotowi. Mieli broń i zaopatrzenie przynajmniej na dwa dni. W każdej chwili mogli wskoczyć do samochodów lub na końskie grzbiety.

- Nie zna okolicy tak dobrze, jak większość z nas - ciągnęła Willa. - Jest tutaj zaledwie od kilku miesięcy. A Lily na pewno będzie robić wszystko, by w takim stopniu, w jakim tylko będzie to możliwe, opóźnić ucieczkę. Musimy się rozdzielić. Nie jest wykluczone, że będzie próbował zabrać ją do naszej chaty w górach, dlatego Adam i ja ruszamy w tamtą stronę. Pogoda będzie dla niego ogromnym utrudnieniem, ale nam też nie ułatwi pościgu. - Dopadniemy tego sukinsyna. - Jim wsunął strzelbę do pochwy. - Znajdziemy go, zanim nastanie świt. - Przy takiej pogodzie trudno będzie się poruszać po śladach, więc... - Widząc zajeżdżający na podwórko samochód Bena, urwała w pół zdania. Trzeba ruszać, koniecznie. Wyprostowała się. - Musimy działać szerokim frontem. Wszyscy znacie swoje zadania. Gliniarze pilnują szosy, a poza tym natychmiast, jak tylko będą mogli, przyślą nam więcej ludzi. Oficjalny pościg ruszy o świcie. Chcę do tego czasu mieć ją z powrotem. Jeśli chodzi o Cooke'a... - Złapała powietrze. - No cóż, to będzie zależało od sytuacji. Ruszamy.

- Jakie ty masz zadanie? - Było to jedyne pytanie, które zadał Ben.

- Jadę z Adamem w góry, w stronę chaty. Kiwnął głową. - Jadę z wami. Potrzebuję konia. - Mamy zapasowego.

- Weźcie mnie ze sobą. - Bliska płaczu Tess podeszła do Adama. - Przecież umiem jeździć konno. - Będziesz tylko opóźniała naszą wyprawę. - Do jasnej cholery! - Tess chwyciła Willę za rękę i mocno nią potrząsnęła. - Ona jest również moją siostrą! Jadę. - Niech jedzie - powiedział krótko Adam. Wskoczył na siodło i ze swym młodym psem u boku ruszył do przodu. - Zaczekaj na Nate'a - rozkazała Willa. - On zna drogę. - Szybko dosiadła konia. - Ktoś musi mu powiedzieć, jak sprawy wyglądają.

Zdając sobie sprawę, że powinna się cieszyć z tego, co udało jej się uzyskać, Tess kiwnęła głową. - W porządku. Dogonimy was.

- Nie martw się. Przywieziemy ją do domu, Tess - powiedział cicho Ben, po czym wskoczył na koński grzbiet i gwizdnął na Charlie'ego.

- Przywieźcie ich do domu obydwójce - powiedziała Tess, obserwując jak odjeżdżają.

Adam nie odezwał się ani słowem, dopóki nie znaleźli opuszczonego łażika. Dręczyły go ponure myśli, a serce po brzegi wypełniał potworny ból, dlatego trudno mu było zdobyć się na jakiegokolwiek słowa. Zatrzymali się na tyle długo, by dokładnie sprawdzić wszystkie ślady. Łażik po kierownicę zakopany był w śniegu i jak pijak opierał się o drzewo.

Wszystko pokryte było grubą warstwą mokrego śniegu, który psy orały nosami.

- Uderzył ją. - Adam otworzył drzwiczki po stronie kierowcy i z przerażeniem stwierdził, że na siedzeniu widać krew. - Sama na pewno widziałaś ślady na jej twarzy.

Łazik był pusty, a przy tylnych drzwiczkach widać było kilka kropli krwi. Tym razem to nie krew Lily, pomyślał, lecz Cooke'a.

- On też miał zakrwawioną twarz - przypomniała mu Willa. - Najwyraźniej mu się zrewanżowała.

Kiedy Adam odwrócił się, jego oczy były szkliste i zupełnie pozbawione wyrazu, jak oczy lalki.

- Zapewniłem ją, że nikt nigdy jej już nie skrzywdzi.

- Nic nie byłeś w stanie na to poradzić. Jesse jej już teraz nie skrzywdzi, Adamie. Lily bardzo się od tego czasu zmieniła.

On nie zrobi jej...

- Tego, co zrobił innym? - Adam ugryzł się w język i z całych sił starał się o tym nie myśleć. Bez słowa wskoczył na konia i ruszył do przodu.

- Pozwól mu jechać przodem. - Ben położył dłoń na ręce Willi. - Potrzebna mu w tej chwili odrobina samotności.

- Ja również tam byłam. Miałam go na muszce. Lepiej strzelam niż Adam, lepiej niż ktokolwiek w Mercy, ale to i tak nic nie pomogło. Bałam się zaryzykować... - Głos jej się załamał, więc jedynie potrząsnęła głową.

- Pomyśl, co by było, gdybyś spróbowała, a ona zrobiła jakiś gwałtowny ruch? Mogłabyś trafić ją zamiast niego.

- Albo byłaby teraz bezpieczna. Gdybym ponownie miała taką możliwość, strzeliłabym sukinsynowi prosto między oczy. - Odsunęła od siebie tę myśl. - Nie ma sensu bez przerwy do tego wracać. Być może idzie z nią w stronę chaty. Przynajmniej na razie wszystko na to wskazuje. Mógłby się tam zatrzymać. Willa dosiadła konia.

- Tym razem próbowała mu się przeciwstawić. Tymczasem kto wie, może ucieczka byłaby lepszym wyjściem.

Lily uciekłyby z pewnością, gdyby tylko mogła. Była przemarznięta, miała całkowicie przemoczoną bluzę, ale i tak zaryzykowałyby walkę z burzą śnieżną i obcymi jej górami, gdyby tylko miała możliwość ucieczki.

Jesse co prawda odłożył rewolwer, ale kiedy Lily uderzyła łazikiem w drzewo, zmienił strategię. Wycelowwała w drzewo, mając nadzieję, że zderzenie po jego stronie na chwilę go ogłuszy, a ona w tym czasie zdoła przejąć inicjatywę. Tymczasem zyskała jedynie tyle, że

wrzucił ją w śnieg.

Potem spętał jej ręce, a koniec sznura obwiązał sobie wokół pasa. Była więc teraz do niego przywiązana. Co chwila się potykała. Początkowo robiła to celowo, żeby opóźnić ucieczkę. Ale on za każdym razem gwałtownym szarpnięciem sznura stawiał ją na nogi.

Z nieba walił gęsty śnieg. Podczas gdy wspinali się do góry, zamieć rozszalała się na dobre. Niesamowite błyskawice rozcinały czarne niebo, a przez góry przetaczało się echo grzmotów. Wiał tak ostry wiatr, że Lily ledwo słyszała przekleństwa, którymi co chwila obrzucał ją Jesse.

Cały świat był biały - wszystko dookoła wirowało, wicher wył jak potępieniec.

Jesse miał ze sobą plecak. Lily zastanawiała się, czy gdzieś na jego dnie jest nóż. Nie chciała nawet myśleć, jak to wszystko się dla niej skończy.

Zimno przenikało ją do szpiku kości i odbierało jej resztkę sił. W tej chwili próba walczenia z nim w jakikolwiek sposób wydawała się czystą fantazją, malała również nadzieja na ucieczkę. Bo dokąd miałyby uciec, jeżeli wokół jest nieprzenikniona ściana śniegu?

Musi jednak przetrwać to wszystko. - Myśleli, że mnie dopadli, co? - Szarpnął mocno za sznur, aż wpadła na niego. Otulił się szczelniej ciepłą kurtką z owczej skóry. Bardzo go złościł śnieg, który wpadał mu za kołnierz, topniał na szyi i spływał po plecach. - Ten twój facet, który potrafi jedynie sprzątać końskie gówno, i jego siostra, ta indiańska suka, myśleli, że mają mnie w rękach. A ja i tak wziąłem to, co chciałem. - Prawie zmiądzzył jej pierś przez koszulę. - Zawsze dopinałem swego i zawsze będę to robił.

- Przecież mnie nie chcesz, Jesse.

- Jesteś moją pierdoloną żoną, czy nie? Ślubowałaś, pamiętasz? Miłość, wierność i posłuszeństwo. Aż po grób. - Z radością wykorzystał przewagę, którą miał nad nią, i wepchnął ją w śnieg. - Oczywiście ruszą za nami, ale nie wiedzą, kogo mają przeciw sobie, prawda, Lily? Do jasnej cholery! Przecież jestem żołnierzem piechoty morskiej.

Bez problemu mógł przedrzeć się przez ten śnieg, tak jak wielokrotnie robił to podczas treningów. Mógł pokonać wiele kilometrów, niezależnie od terenu i panującej pogody, a potem i tak wygrałby walkę.

- Od dawna to planowałem. - Wyjął z kieszeni papierosa, ustawił zapalniczkę na największy płomień i zapalił. - Poznałem dokładnie teren. Od chwili, kiedy tu dotarłem, pracowałem w Three Rocks, właściwie pod twoim nosem. - W Three Rocks. U Bena.

- Ben Gruba Ryba McKinnon. - Wypuścił dym przez zaciśnięte zęby. - Ostatnio sypia z twoją siostrzyczką. Sam miałem na to ogromną ochotę. - Przyjrzał się bacznie drżącej w śniegu Lily. - Idę o zakład, że jest w łóżku dużo bardziej interesująca niż ty. Miło byłoby ją

przelecieć, ale to ty jesteś w końcu moją żoną, no nie?

Podniosła się. Chociaż tak bardzo kusilo ją, żeby zostać w tym śniegu i poddać się.

- Nie, nie jestem.

- Żaden idiotyczny świstek papieru nie przekona mnie, że jest inaczej. Wydaje ci się, że możesz ode mnie uciec, wynająć pieprzonego prawnika, wezwać gliniarzy? A oni wsadzą mnie przez ciebie do paki. Zapłacisz mi za to!

Ponownie uważnie na nią spojrział. Była blada, posiniaczona. Należała do niego. Po raz ostatni zaciągnął się papierosem i wyrzucił niedopałek w śnieg.

- Wygląda na to, że jest ci zimno, Lily. Może poświęcę ci minutkę lub dwie i spróbuję cię rozgrzać. Mamy sporo czasu - kontynuował, przyciągając ją do siebie. - Będą sami sobie deptać po piętach. Przy takiej pogodzie nie byłiby w stanie wytropić nawet słonia.

Wsunął jej rękę między uda. Kiedy dostrzegł w jej oczach odrazę, wcisnął palce głębiej, aż z prawdziwą radością zauważył, że sprawił jej ból.

- Zawsze udajesz, że nie lubisz gwałtu i przemocy. Ale jesteś taką samą dziwką, jak wszystkie baby. Przecież często mi mówiłaś, że było ci dobrze, prawda? „Było mi dobrze, Jesse. Lubię, kiedy mi to robisz”. Prawda, że tak mówiłaś, Lily?

Popatrzyła mu prosto w oczy, starając się nie myśleć o upokorzeniu, jakie sprawiał jej ten dotyk.

- Kłamałam - powiedziała chłodno. Nawet nie skrzywiła się z bólu, kiedy wbił jej palce jeszcze głębiej. Nie pozwoliła sobie na to.

- Kastrowana suka. Przy tobie nawet mi nie chce stanąć.

Nigdy nie kłóciła się z nim, zwłaszcza jeśli wcześniej oberwała parę razy po twarzy. Wściekły odepchnął ją, potem podniósł swój plecak.

- I tak nie mam na to czasu. Kiedy dotrzemy do Meksyku, wówczas porozmawiamy inaczej.

Zmienił kierunek i ruszył na południe.

Straciła rachubę czasu, nie wiedziała, jak daleko zaszli ani w jakim kierunku podążają. Śnieg powoli ustawał, wciąż jednak od czasu do czasu rozlegał się grzmot, a echo odpowiadało mu wśród turni. Jak automat stawiała jedną nogę przed drugą, traktując każdy krok jako sposób na utrzymanie się przy życiu. Była już pewna, że nie idą w stronę chaty. Zastanawiała się, gdzie jest Adam, jak daleko stąd jej szuka i co czuje.

W jego ostatnim spojrzeniu Lily dostrzegła gotowość do popełnienia morderstwa. Znajdzie ją, była święcie przekonana, że ją znajdzie. Musi jedynie dożyć tej chwili.

- Jestem bardzo zmęczona. Chciałabym trochę odpocząć.

- Odpoczniesz, kiedy ci na to pozwolę. - Jesse obawiał się, że w burzy śnieżnej zgubił drogę. Wyjął z kieszeni kompas. Kto może wiedzieć, do diabła, gdzie są przy tej zamieci.

Nie była to jednak jego wina.

- Jeszcze kawałeczek. - Schował kompas do kieszeni i skierował się prosto na wschód.
- Jesteś jak każda baba, potrafisz się tylko uskarżać. Nigdy nie spotkałem takiej, która by na coś nie narzekała. - Gdyby zostało jej jeszcze choć trochę siły, roześmiałyby mu się w nos. Być może kiedyś, dawno temu, skarżyła się, że przepadła gdzieś książeczka czekowa, że wszędzie płaczą się puste butelki po whisky, że nie on dotrzymuje obietnic. Ale jakież to wszystko miało znaczenie w porównaniu z morderstwami, które zdarzyły się ostatnio w okolicy.

- Będziesz miał duże kłopoty, jeśli padnę z wyczerpania, Jesse. Przydałby mi się płaszcz i coś ciepłego do wypicia. - Zamknij się! Do jasnej cholery, zamknij się! - Wpatrywał się w ciemność i osłaniając latarkę ręką, usiłował przebić wzrokiem wciąż jeszcze prószący śnieg. - Muszę pomyśleć. Utrzymał kierunek. Udało mu się to. Miał natomiast problemy z określeniem odległości. Do tej pory nie dostrzegł żadnego z charakterystycznych punktów, które tak starannie wbił sobie w pamięć. W ciemności wszystko było bardzo zniekształcone, wszystko wyglądało tak samo. To też nie była jego wina.

- Zgubiliśmy się? - Uśmiechnęła się mimo woli. Czy to nie było właśnie w jego stylu? Samochwał Jesse Cooke, były żołnierz marines, zgubił się w górach Montany. - Którędy do Meksyku?

Roześmiała się, słabo, ale jednak się roześmiała, nie bacząc na to, że się odwrócił i uniósł pięści. Z pewnością byłby ich użył, choćby tylko dlatego, żeby rozładować wściekłość, ale właśnie w tej chwili zobaczył to, czego szukał.

- Chcesz odpocząć? W porządku. W takim razie robimy przerwę.

Pociągnął ją przez głęboką, sięgającą jej po uda zaspę, aż znaleźli się przed wejściem do niewielkiej groty.

- To był plan B. Zawsze mam plan B, Lily. Odkryłem to miejsce mniej więcej miesiąc temu. - Myślał wówczas o wyposażeniu go, tak na wszelki wypadek, ale potem zabrakło mu czasu. - To miejsce jest bardzo trudne do wykrycia. Twój Indianin na pewno cię tu nie znajdzie.

Wciąż było bardzo zimno, ale przynajmniej nie wiał tu wiatr. Lily z ulgą opadła na kolana.

Jesse zadowolony, że udało mu się zrealizować następny etap, zrzucił plecak.

- Mam trochę suszonego mięsa. I butelkę whisky - Wyjął ją, otworzył i pociągnął

spory łyk. - Proszę, kochanie.

Wzięła z jego rąk butelkę, mając nadzieję, że alkohol ją pozornie rozgrzeje i pozwoli opanować wstrząsające dreszcze.

- Przydałby mi się koc.

- Tak się jakoś składa, że go mam. Przecież wiesz, że zawsze jestem przygotowany.

Był dumny, że ma ze sobą wszystko, co umożliwi przetrwanie - jedzenie, latarkę, nóż, zapalki. Rzucił jej koc. Bardzo go rozbawiło, kiedy niezręcznie, wciąż związanymi rękami próbowała się nim owinąć. Przykucnął.

- Prześpijmy się trochę. Nie mogę rozpaść ogniska. Byłoby to zbyt ryzykowne, chociaż pościg ruszył najprawdopodobniej w kierunku północy. - Wyjął następnego papierosa. Przecież mężczyzna po długim dniu zasługuje na kielicha i papierosa. - Rano pójdziemy dalej. Dojdziemy do jednego z tych pieprzonych miast. Mam nadzieję, że uda mi się zwinąć jakiś samochód. Potem ruszymy do słonecznego Meksyku. - Aby to uczcić, zaczął wypuszczać kółka. - Nie mogę się tego doczekać. - Odgryzł kawałek suszonego mięso i żuł w zamyśleniu. - Polubiłem Montanę.

Rozprostował nogi, oparł się plecami o ścianę grotu, ona tymczasem otulona ciepłym kocem próbowała się rozprężyć.

- Miałem zamiar zarobić tu kupę szmalu. Nie musiałbym się o nic martwić, gdybyś się zachowywała jak należy. Twoja część Mercy byłaby dla mnie fortuną, Lily. Tylko oczywiście ty musiałaś wszystko spieprzyć, sądząc, że możesz mnie rzucić i wyjść za mąż. Porozmawiamy na ten temat później. No właśnie, czeka nas bardzo długa rozmowa na ten temat.

Wziął od niej butelkę i pociągnął z niej spory łyk.

- Ale ktoś tak sprytny jak ja, na dodatek mający szczęście w kartach, może się świetnie urządzić wśród tych prostaków.

Koniecznien musi się przespać, żeby odzyskać siły, zanim znajdzie ją Adam. Albo zanim będzie mogła stąd uciec. Odsunęła się na tyle, na ile tylko pozwalał sznur, skuliła się przy ścianie i owinęła się szczelnie kocem.

Teraz będzie pił. To już przerabiała wiele razy. Będzie pił, dopóki się nie upije, a wtedy może uda się jej uciec od niego.

Ale musi się przespać. Ogarniała ją coraz większa senność, a ziąb przenikał ją do szpiku kości. Słuchała, jak whisky chlupocze w butelce i czuła, że zapada w sen.

- Dlaczego zabiłeś tylu ludzi, Jesse? Dlaczego to wszystko zrobiłeś?

Szkoło ostro zabręczało, whisky niespokojnie chlupnęła. Przez chwilę śmiał się, jakby

wymyślił jakiegoś psikusa.

- Mężczyzna robi to, co musi. Były to ostatnie słowa, które słyszała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Adam stał na skalnym występie. Starał się przebić wzrokiem otaczającą go ze wszystkich stron ciemność. W ręce trzymał latarkę, której mocny strumień światła przecinał panujący dookoła mrok. Gdzieś za nim połyskiwały jeszcze inne latarki.

- Tutaj skręcił w inną stronę. Wcale nie idzie do chaty. - Ben przyglądał się niebu i próbował określić, ile jeszcze czasu zostało do świtu. Marzył o tym, żeby pojawiło się już światło dzienne. Teraz skazani byli jedynie na trop, którym podążały psy, natomiast rano w powietrze mogłyby się wznieść samoloty. Jego własny brat z góry sprawdziłby każde drzewo i każdy kamień.

- Musi mieć tu gdzieś jakąś kryjówkę i prowadzi tam Lily. - Adam wystawił twarz pod wiatr, jakby to mogło mu w czymkolwiek pomóc lub coś podpowiedzieć. - Najprawdopodobniej zna jakieś inne miejsce. Przecież musiałby być kompletnie szalony, gdyby próbował bez korzystania z jakiegoś schronienia przejść przez góry na piechotę.

Człowiek, który pokroił dwoje ludzi na kawałki, na pewno nie jest całkiem normalny, pomyślał Ben ponuro. Nie powiedział jednak tego na głos, ponieważ nie była to uwaga, która podniosłaby na duchu Adama.

- Gdzieś musiał się zaszyć. Znajdziemy go. - Śnieżycy się trochę uspokoiła. Zamieć przesuwa się na wschód. Lily była bardzo cienko ubrana. Za cienko na tak zimną noc. - Adam patrzył prosto przed siebie i bardzo się starał, aby równo oddychać. Nie chciał, żeby widzieli, jak bardzo jest roztrzęsiony. - Zaziębi się. Ona jest taka drobna i wątła.

- Sądzę, że nie mogą być daleko. - Ben nie umiał pomóc przyjacielowi, więc jedynie położył na chwilę dłoń na ramieniu Adama. - Idą pieszo. Będą musieli zatrzymać się i odpocząć. - Chcę, żebyś mi go zostawił. Kiedy ich już znajdziemy, chcę, żebyś zabrał Lily i Will, a potem zostawił mnie z nim sam na sam. - Adam odwrócił się, a jego zazwyczaj tak łagodne i spokojne oczy były twarde i zimne jak skała, na której stał. - Zgoda?

Żyjemy w cywilizowanym świecie, w którym istnieje wymiar sprawiedliwości, pomyślał Ben.

- Zgoda.

Willa stała przy koniach i obserwowała ich. Całe życie spędziła wśród mężczyzn, pracowała z nimi i całkiem nieźle dawała sobie radę w zdominowanym przez nich świecie. Być może dzięki temu doskonale rozumiała, że zdarzają się takie chwile, kiedy kobieta nie może przekroczyć pewnej granicy. Świetnie więc czuła, że niezależnie od tego, o czym w tej chwili mówią, ich rozmowa nie jest rozmową dwóch mężczyzn, lecz dwóch braci. Na dodatek

nie jest przeznaczona dla jej uszu. Bez zastrzeżeń akceptowała taki stan rzeczy.

Los jej siostry leżał w ich rękach. I w jej.

Kiedy podeszli do niej, podała bluzkę Lily do powąchania obu psom. Drżąc z podniecenia i niecierpliwości, zaszczekały i skierowały się prosto na południe.

- Niebo się przejaśnia - powiedziała, kiedy wsiedli na konie, a Adam wysunął się do przodu. Gdy uważniej spojrzała w górę, dostrzegła gwiazdy. Widziała ich nieśmiało, delikatne błyski, przebijające się przez prószący jeszcze śnieg. - Jeśli chmury się przesuną, powinien pojawić się księżyc, a wówczas mielibyśmy trochę światła.

- To by nam bardzo pomogło. - Ben spojrzał na nią badawczo.

Jechała wyprostowana jak strzała, trudno było dopatrzeć się w niej jakichś śladów zmęczenia. Ale nie widział zbyt wyraźnie jej oczu. - Wytrzymasz?

- Oczywiście. Ben...

Zwolnił troszeczkę, sądząc, że być może opadła z sił albo jest bliska załamania i wcale nie jest wykluczone, że trzeba będzie dodać jej nieco otuchy.

- Jeśli chcesz, możemy trochę zwolnić.

- Nie, nie. Cholera! Od kilku godzin dręczy mnie pewna sprawa. Twarz tego drania wydawała mi się w jakiś dziwny sposób znajoma. Tak... jakbym go już gdzieś widziała. Ale było ciemno, a na dodatek Lily najprawdopodobniej go podrapała i w związku z tym po twarzy płynęła mu krew. - W tym momencie zaczął ją denerwować ciężar kapelusza, więc ze złością zsunęła go do tyłu. - Tak szybko oddałam Billy'ego pod opiekę Bess, że nie zdążyłam zadać mu ani jednego pytania. A powinnam. Może teraz łatwiej byłoby się nam zorientować, co Jesse zamierza. - Myślałaś wówczas o czymś zupełnie innym. - Tak. - Mimo to ta twarz natrętnie krążyła w jej pamięci, to zbliżała się, to znów oddalała. - To nie ma teraz znaczenia. - Nasunęła z powrotem kapelusz na czoło i nakazała Moon przyspieszyć kroku. - W tej chwili najważniejsze, żeby znaleźć Lily. - Znaleźć ją żywą, pomyślała, ale nie przeszło jej to przez usta.

W grocie było zupełnie ciemno. Chwilami było jej okropnie gorąco, a chwilami bardzo zimno. Gorączkowo rzucała się to w tę, to w tamtą stronę, a jej sen pełen był koszmarów i panicznego strachu. Miała lodowate ręce, a na nadgarstkach, w miejscu, gdzie sznur obtarł jej skórę, czuła niemiłe pieczenie. Skulona w kłębek marzyła o przytuleniu się do Adama. Pragnęła, by wziął ją w ramiona, tak jak to robił co noc, i mocno do siebie przytulił. Dzięki temu jest cieplej. I bezpieczniej.

Pojękiwała, gdy kamienie wbijały się jej w ramiona, plecy i biodra. Przy najmniejszym ruchu kaleczyła się o nie, ale ten ból był odległy i nierzeczywisty. Bardzo

chciała oprzytomnieć, bardzo się starała, ale wcale jej się to nie udawało.

Kiedy ktoś zaświecił jej latarką prosto w oczy, odwróciła się plecami. Tak bardzo chciało się jej spać i uciec od wszystkiego. Kiedy gorączka wzrosła jeszcze bardziej, zaczęła majaczyć.

Słysząc kroki, pomyślała jak przez mgłę. To na pewno Adam wrócił do domu. Za chwilę położy się obok niej w łóżku. Może być trochę zmarznięty, ale szybko się rozgrzeje. Gdyby tylko mogła się do niego odwrócić, pocałowałby ją lekko i zaczął się z nią delikatnie i spokojnie kochać. Bardzo często to robił, kiedy wracał późno ze swej zmiany warty.

Nawet nie będą rozmawiać, wystarczy westchnienia. Zbędne okażą się jakiegokolwiek słowa, wystarczy dotyk, zapach i równomierny rytm ciał, które znalazły się w ciemności. Potem z powrotem zapadnie w sen...

Kiedy ponownie zaczęła dryfować, zdawało jej się, że słyszy krzyk, który niemal natychmiast się urwał. Najprawdopodobniej mysz złapała się w pułapkę. Adam na pewno wyjmie ją, zanim ona się na nią natknie. Jest cudowny i tak dobrze rozumie kobiece słabości.

Straciła przytomność. Nawet nie czuła, że nóż wślizgnął się między jej nadgarstki i przeciął sznur, ani że ktoś narzucił na nią ciężką, ciepłą kurtkę Jesse'a. Kiedy stojący nad nią mężczyzna, z którego rąk kapiała krew, schował nóż do futerału, wymówiła imię Adama.

To była szybka robota i bardzo tego żałował. Nie było czasu na finezję. Miał ogromne szczęście, że znalazł ich pierwszy, zanim zdążyli dotrzeć tu inni. Wszystko poszło mu tym łatwiej, że ten drań był potwornie głupi i kompletnie się spał. Zasługiwał na dużo gorszą śmierć. Tymczasem, jak zarzynana świnia, zdążył wydać tylko jeden kwik.

Mimo to oskalpował go. To już w pewnym sensie była tradycja i nawet wybierając się na poszukiwania, zabrał ze sobą w tym celu plastikową torbę. Na wypadek, gdyby dopisało mu szczęście.

Kobietę musi zostawić i pozwolić na to, by znaleźli ją inni. Może również pojeździć trochę po okolicy, potem przyłączyć się do reszty szukających i w ich obecności natknąć się na grotę po raz drugi. Dzięki temu byłby czysty od jakichkolwiek podejrzeń.

Sprawdził ponownie całą grotę i uśmiechnął się, kiedy strumień światła jego latarki padł na maleńki stosik gałązek. No cóż, właściwie na to może poświęcić parę minut. Jeśli zapali niewielkie ognisko przy wejściu do groty, dym szybciej zwabi tu kogoś z pościgu.

Nawet nie wiedzą, co tu na nich czeka, pomyślał i roześmiał się cichutko. Nie był w stanie powstrzymać śmiechu, gdy szybko układał stos i podpalał go. Nie mógł przestać również wtedy, kiedy blask płomieni zaczął tańczyć nad leżącym bezwładnie przy ścianie groty ciałem i kałużą rozlanej jak czerwona rzeka krwi.

Odjechał na wschód, kluczył wśród drzew, wspinał się pod górę i zjeżdżał w dół, aż w końcu zauważył błysk latarki. Teraz pozostawało jedynie skierować swego wierzchowca w tamtą stronę i wtopić się między ludzi, którzy porozbiegali się po górach, szukając okazji do bohaterskiego czynu.

Tylko on jeden wiedział, że bohater wykonał już swą robotę.

- Dym. - Willa pierwsza wyczuła ten zapach. Uniosła się w siodle i zamarła w bezruchu. - Tam jest dym. - W tym momencie w jej sercu po raz pierwszy zabłysnął maleńki promyczek nadziei. - Czujesz to, Adamie?

- Tak, jest przed nami. Nie widzę ogniska, ale ono musi tam być.

- Zapalił ogień - powiedział półgłosem Ben. - Co za dureń.

Bez dyskusji ruszyli klusem i przez moment jechali we trójkę ramię przy ramieniu. Na wschodzie pierwsze promienie światła zaczynały przełamywać ciemność.

- Znam to miejsce. W niedalekim wąwozie dawno temu wspinaliśmy się po skałach, pamiętasz to, Adamie? - Ben zacisnął szczęki. - Są tam grotty, mnóstwo małych grot. Jest to całkiem niezła kryjówka.

- Pamiętam. - Gdyby nie wspomnienie pistoletu przystawionego do skroni Lily, na pewno w tym momencie ruszyłyby galopem do przodu. Podczas nocnych poszukiwań jego oczy przywykły do ciemności, a teraz, przy delikatnym, rozjaśniającym niebo brzasku źrenice ponownie się zwężyły. Miał doskonały wzrok. - To tam! - Wskazał na widoczny prosto przed nimi cienki, szary słup dymu. Zawtórowało mu szalone ujadanie Charlie'ego.

- Znaleźliśmy ich. - Zanim Willa zdołała otworzyć usta, Ben swoim koniem zablokował jej drogę. - Zostań tutaj.

- Do diabła! Nie zostanę.

- Cholera! Chociaż raz zrób to, o co się ciebie prosi.

Znał to ujadanie. Nie oznaczało ono wcale radości ze znalezienia, lecz sygnalizowało czyjąś śmierć. Widząc wysunięty do przodu podbródek Willi, czuł, że ona nie ma zamiaru posłuchać niczyjego rozkazu. Miał jednak nadzieję, że przynajmniej podporządkuje się przyjętej taktyce.

- On jest uzbrojony - przypomniał jej Ben. - Może zdołamy go stamtąd wypłoszyć. Jeśli nam się to uda, potrzebna nam będziesz tutaj ze swoją strzelbą. Jesteś lepszym strzelcem niż Adam. Strzelasz niemal tak samo dobrze, jak ja. On najprawdopodobniej nie spodziewa się, że jest z nami kobieta, więc skupi się na nas.

Ponieważ było to całkiem sensowne przypuszczenie, przytaknęła.

- W porządku. Spróbujemy zatem zrobić to najpierw w taki sposób. - Spojrzała na

Adama, który właśnie wyjmował strzelbę. - Będę was osłaniać.

Adam zsiadł z konia i spojrzał Benowi w oczy.

- Pamiętaj - powiedział krótko. Rozdzielili się. Jeden poszedł lewą stroną, drugi prawą. Mieli zamiar oskrzydlić wejście do groty. Płonące tam niewielkie ognisko powoli już dogasało. Willa uspokoiła Moon kolanami, cierpliwie czekała i obserwowała ich. Ben i Adam polowali razem od dzieciństwa i znali nawzajem swoje myśli. Podchodzili równolegle, potem jeden z nich uniósł rękę, drugi kiwnął głową i obaj równocześnie przyspieszyli kroku, chociaż nie biegli.

Kiedy zbliżyli się do groty, serce Willi zaczęło mocno walić. Z trudem łapała powietrze. W skupieniu nasłuchiwała, czy nie dobiegnie do niej huk wystrzału lub krzyk. Wypatrywała na śniegu śladów krwi.

Raz za razem powtarzała modlitwę. Najpierw w swym ojczystym języku, potem w języku matki, w końcu w beładnej mieszance obu tych języków. Błagała o pomoc każdego boga, który chciałby wysłuchać jej prośby.

Starła się oddychać równomiernie. Opanowała zdenerwowanie, uniosła strzelbę i ustawiła muszkę na czarny wlot do groty.

W tym momencie, potykając się co krok, z pieczary wyszła Lily.

- Mój Boże! - Willa kompletnie zapomniała o obowiązku, o miejscu, jakie jej wyznaczono i galopem ruszyła do przodu.

Kiedy zeskoczyła z konia, Adam już trzymał Lily w ramionach i kołysał ją na wydeptanym śniegu. - Jest ranna? Co z nią?

- Ma bardzo wysoką gorączkę. - Zrozpaczony Adam przycisnął twarz do jej policzków, jakby chciał w ten sposób choć odrobinę je ochłodzić. Lily miała bardzo silne dreszcze. Czując jej drżenie, Adam całkowicie zapomniał o zemście. - Musimy szybko zabrać ją do domu.

- W grocie - powiedziała Lily z ogromnym trudem i ukryła twarz w ramionach Adama. - W grocie. Jesse. O Boże!

- W grocie? - Willa uniosła głowę i w tym momencie z powrotem opanowała ją paralizujący strach. - Ben? - Wymówiła jego imię, potem je krzyknęła, po czym ruszyła w stronę pieczary.

Był szybki, mimo to nie zdołał jej powstrzymać. Zdążyła wejść do środka i zobaczyć to, co tam leżało.

- Wyjdź stąd! - Zasłonił widok własnym ciałem i chwycił ją mocno za ramię. - Natychmiast stąd wyjdź!

- Jak to się stało? - Krew, morze krwi. Poderżnięte gardło, rozpruty brzuch, brutalne ślady po oskalpowaniu. - Kto?

- Wyjdź stąd! - Odwrócił ją brutalnie i wypchnął. - Zostań na zewnątrz.

Zdołała dotrzeć do wejścia, potem jednak zabrakło jej sił i musiała oprzeć się o skałę. Małe kropelki potu lśniły na jej skórze, a żołądek podchodził do gardła. Próbowwała zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, lecz przy każdym oddechu z jej krtani wydobywał się chrapliwy szloch. Nie przestawała jednak, dopóki nie była zupełnie pewna, że nie zemdleje i że nie będzie wymiotować.

Oprzytomniała dopiero, kiedy zauważyła, że Adam owija Lily własnym płaszczem.

- Mam w jukach termos z kawą. Powinna jeszcze być ciepła. - Willa wyprostowała się, zmusiła własne nogi do tego, by utrzymały ciężar jej ciała. - Spróbujmy dać jej trochę, a potem zabierzemy ją do domu.

Adam wstał i uniósł Lily w ramionach. Kiedy napotkał wzrok Willi, w jego oczach pojawił się błysk, przypominający odbicie promieni słońca na krawędzi miecza.

- On już nie żyje, prawda?

- Tak. Chciałem to zrobić własnoręcznie.

- Ty byś tego tak nie zrobił. - Willa odwróciła się i podeszła do konia.

Willa przemierzała niespokojnie salon w domku Adama. Nie nadawała się do pielęgnowania chorych i doskonale o tym wiedziała. Ale jeszcze gorzej się czuła, nie robiąc nawet tego. Wrócili zaledwie godzinę temu, a już odsunięto ją od wszelkich zajęć. Bess i Adam byli w pokoju na piętrze i zajmowali się Lily. Ben i Nate rozmawiali z policją, a jej ludzie wykorzystywali resztę poranka, żeby przynajmniej trochę odpocząć po długiej i uciążliwej nocy.

Nawet Tess przydzielono jakieś zadanie. Podgrzewała w kuchni kawę, herbatę albo zupę. W każdym razie coś gorącego i płynnego, przypominała sobie Willa, kiedy ponownie zbliżyła się do okna.

Na całe szczęście wcześniej nie brakowało jej zajęcia. Kiedy zjechała z gór, musiała uprzedzić policję, skontaktować się z pościgiem, a także powiedzieć Bess, żeby przygotowała łóżko dla chorej. Teraz mogła jedynie beczynn timer czekać.

Kiedy na schodach pokazała się Bess, Willa bez zastanowienia podbiegła do niej.

- Jak ona się czuje? Czy jest z nią bardzo źle? Co z nią robicie?

- Robię to, co trzeba zrobić. - Zmartwienie i brak snu sprawiły, że jej głos brzmiał ostro i złośliwie. - Idź do domu i połóż się do łóżka. Zobaczysz się z nią później.

- Powinniśmy zawieźć ją do szpitala - powiedziała Tess, która w tym momencie

pojawiła się w drzwiach z talerzem parującej zupy.

- Potrafię się nią zająć. Gdyby jednak gorączka utrzymywała się zbyt długo, wówczas Zack wsadzi ją do samolotu i zawiezie do Billings. A na razie lepiej jej we własnym łóżku, z własnym mężczyzną u boku. - Wzięła tacę od Tess. Bardzo chciała pozbyć się obu dziewczyn. Wówczas nie musiałyby się martwić przynajmniej, o nie. Wystarczy, że ma na głowie tę, która leży właśnie w łóżku. - Zajmijcie się swoimi sprawami.

Wiem, co robię.

- Ona zawsze wie, co robi. - Tess spojrzała ze złością na wbiegającą z powrotem po schodach Bess. - Z tego, co wiemy, Lily może mieć odmrożenia albo znajdować się w stanie hipotermii.

- I na jedno, i na drugie było za ciepło - powiedziała Willa ze znużeniem. - Poza tym sprawdziliśmy od razu, czy nie ma odmrożeń. To łatwo zobaczyć.

Jest paskudnie przeziębiona, poza tym ma kilka sińców. Gdyby Bess uważała, że jest coś gorszego, pierwsza dopominałaby się, żeby odesłać Lily do szpitala.

Tess zagryzła wargi i wydusiła z siebie to, co od wielu godzin leżało jej na sercu.

- On mógł ją zgwałcić. Willa odwróciła się. Przez całą długą noc myślała o tym i poważnie się tego obawiała.

- Jeśli to zrobił, na pewno Lily przyzna się Adamowi. - Kobiecie bardzo trudno mówić o tych rzeczach. - Nie, jeśli rozmawia się z Adamem. - Willa przetarła piekące oczy, jakby miała w nich piasek, i opuściła ręce. - Jej ubranie nie nosiło żadnych śladów przemocy, nie było podarte. Poza tym wydaje mi się, Tess, że on miał na głowie kilka ważniejszych spraw niż gwałcenie jej. Sądzę, że zostałyby po tym jakieś ślady. Na pewno Bess zauważyłaby je, kiedy ją rozbierała. Powiedziałyby.

- W porządku. - A zatem tę obawę mogła od siebie odsunąć. - Powiedz mi w takim razie, co się tam wydarzyło? - Sama nie wiem. - Widziała jedynie skutki. Ten obraz utkwiał jej głęboko w pamięci, obok tylu wcześniejszych. Jednak nie była w stanie tego zrozumieć. - Kiedy znaleźliśmy ich, Lily majaczyła, a on nie żył. Nie żył - powtórzyła i spojrzała Tess prosto w oczy. - Tak samo jak inni. Jak Pikle i ta dziewczyna. - Ale... - Tess była pewna, że zabił go Adam. - Przecież to nie ma sensu. Jeżeli to Jesse Cooke zabijał innych.... - Nie potrafię ci na to odpowiedzieć. - Zabrała kapelusz i płaszcz. - Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. - Willo. - Tess położyła rękę na jej ramieniu. - A jeśli to nie Jesse Cooke zabił tamtych?

- To i tak nie umiem ci odpowiedzieć. - Strząsnęła jej dłoń. - Idź do łóżka, Hollywood. Okropnie wyglądasz.

Te złośliwe słowa rzucone na odchodnym wcale jej nie pomogły, nie poczuła się dzięki nim lepiej. Kiedy wlokła się w złotym tempie w stronę domu, wydawało jej się, że ma nogi z waty. Doszła do wniosku, że teraz czekają ją rozmowy z policjantami. Niestety, musi przez to przejść. A potem trzeba będzie zebrać myśli i zastanowić się, co teraz należy zrobić.

Tak dużo łazików stoi na podwórku, pomyślała i zatrzymała się. Zaczęła się przyglądać dobrze znanym znakom namalowanym na samochodach stojących obok auta Bena. Nie pamiętała, by za życia jej ojca chociaż raz pojawił się na ranczu policyjny samochód. Natomiast trudno było zliczyć, jak często zatrzymywał się tutaj po jego śmierci.

Zebrała wszystkie siły, pokonała kilka stopni prowadzących na werandę, po czym weszła do domu. Kiedy zdejmowała kapelusz i wieszala go na wieszaku, z góry po schodach zbiegł Ben.

Widział ją z okien biura. Obserwował, jak niepewnym krokiem szła w stronę domu, dostrzegł, że na widok policyjnych samochodów wyprostowała plecy. Wiedział, co musi zrobić. - Jak się czuje Lily?

- Bess nie dopuszcza do niej nikogo oprócz Adama. - Willa powoli zdjęła płaszcz. Była przekonana, że jeśli wykona jakiś bardziej gwałtowny ruch, jej kości rozlecą się na drobne kawałki. - Ale odpoczywa. - To dobrze. Powinnaś pójść w jej ślady. - Podejrzewam, że policja będzie chciała ze mną porozmawiać. - Mogą to zrobić trochę później. Gdy nieco odpocznesz. - Chwycił ją za rękę i pociągnął zdecydowanie w stronę schodów.

- Czekają na mnie obowiązki, Ben.

- Wiem. - Kiedy dotarli na piętro i Willa ruszyła w stronę biura, po prostu wziął ją siłą na rękę i zaniósł do sypialni. - A twoim głównym obowiązkiem w tej chwili jest nabrać sił, żeby się nie rozchorować.

- Puść mnie. Nie cenię zbyt wysoko metod jaskiniowców. - Ja również. - Mocnym kopnięciem zamknął za sobą drzwi, podszedł do łóżka i rzucił ją. - Zwłaszcza jeśli to ty bawisz się w jaskiniowca. - Poderwała się, ale on z powrotem pchnął ją na łóżko. - Doskonale wiesz, że jestem silniejszy od ciebie, Will. Nie wypuszczę cię stąd, póki się trochę nie prześpisz. Najprawdopodobniej nie miała szans na pokonanie go w walce, ale na pewno była w stanie go przekrzyczeć.

- W moim biurze są gliniarze, siostra jest zbyt chora, aby powiedzieć mi choćby dwa słowa, moi ludzie zastanawiają się, co, u diabła, wydarzyło się w górach, a na ranczu nikt nie pracuje. Czego się, do jasnej cholery, po mnie spodziewasz? Sądzisz, że pozwolę, aby to wszystko się rozlało tylko dlatego, że ja właśnie powinnam uciąć sobie drzemkę? - Sądzę, że mnie posłuchasz.

Myliła się, okazało się, że Ben potrafił również ją przekrzyczeć. Na całe szczęście leżała, inaczej jego wybuch powaliłby ją na ziemię. - Do diabła! Jeden jedyny raz posłuchaj mnie, zanim się nie rozsypiesz. Gliniarze mogą poczekać, twoja siostra znajduje się pod odpowiednią opieką, a twoi ludzie, do cholery, są zbyt zmęczeni, żeby snuć spekulacje na jakikolwiek temat. Mogą jedynie zastanawiać się, kto głośniej chrapie. A ranczo z pewnością się nie rozpadnie, jeśli ty przez parę godzin się prześpisz.

Chwycił jej but, jednym szarpnięciem zdjął z nogi, a potem odrzucił w kąt pokoju. Willa złapała kurczowo cholewkę drugiego. Gdyby nie był tak strasznie wściekły, ta próba stawienia mu oporu wydałaby mu się bardzo komiczna.

- Co ci przyszło do tej głupiej pały? - dopytywała się. - Daj sobie spokój, Ben.

Drugi but wyslizgnął się jej z palców i pofrunął w ślad za pierwszym.

- Myślisz, że nie widziałem twojej twarzy, kiedy weszłaś do groty? Że nie wiem, jak się czułaś ani nie zauważyłem, jak wychodząc stamtąd za pomocą paznokci doprowadzałaś się do porządku? - Złapał ją za koszulę i przez moment była pewna, że podniesie ją z łóżka i rzuci w ślad za butami. - To mi w zupełności wystarczy!

Była na tyle oszołomiona, że zareagowała dopiero, gdy rozpiął jej guziki i próbował ją rozebrać.

- Precz z łapami. Potrafię to zrobić sama. Jesteś tu tylko nadzorcą, McKinnon, ale nie masz prawa ingerować w moje prywatne życie. Jeśli nie...

- Może przydałby się ktoś, kto od czasu do czasu zdobyłby się na ingerencję.

Podniósł ją z łóżka, a właściwie zsunął, pomyślała zaskoczona, kiedy jej stopy zawisły o kilkanaście centymetrów nad wyfroterowaną drewnianą podłogą. W tym momencie zdała sobie sprawę, że tak wściekłego jeszcze go nigdy nie widziała. Często zdarzało się, że bywał zły i miał przekrwione oczy, nigdy jednak w takim stopniu. Potrzęsnał nią tak ostro, że jej zęby uderzyły o siebie.

- Może od czasu do czasu powinnaś kogoś posłuchać, a nie tylko kierować się własnym widzimisię.

To potrząśnięcie tak ją upokorzyło, że straciła panowanie nad sobą.

- Nawet gdybym zechciała kogoś posłuchać, to na pewno nie ciebie. A teraz, jeśli natychmiast mnie nie puścisz, twoim jedynym wyjściem będzie szukanie sobie kryjówki.... - Zaciśnęła pięść i gotowa była do uderzenia, kiedy gwałtownie postawił ją na nogi.

- Uderz mnie! - Rzucił to wyzwanie, równocześnie zgrzytając zębami. - No, jazda! Ale i tak pójdziesz do łóżka, nawet jeśli będę musiał cię do niego przywiązać.

Złapała go za ręce, w których trzymał jej koszulę. - Ostrzegam cię...

- On u mnie pracował. To ją powstrzymało, a właściwie powstrzymało ich oboje.

- O kim ty mówisz? - Teraz wczepiła się w jego dłonie. - O Jesse'em Cooke'u?

W tym momencie wszystko sobie przypomniała. Zimowy dzień, jazdę do Three Rocks i tę piękną, uśmiechniętą twarz, która pojawiła się w oknie jej łazika. Byli tak blisko siebie, tak blisko jak ona i Ben w tej chwili, dzieliła ich jedynie cienka szklana tafla.

Zaczęła się zastanawiać, co by się stało, gdyby nie miała wówczas zablokowanych drzwi i podniesionej szyby.

- To wtedy go widziałam. - Zadrżała, kiedy pomyślała, jak olśnił ją tym promiennym uśmiechem i zaskoczył faktem, że zwracał się do niej po imieniu. - Nic sobie nie skojarzyłam. On przez cały czas tu był. Grywał w pokera z moimi ludźmi. W domu dla pracowników rancza grywał z nimi w karty.

Zadrżała, spojrzała na Bena i w tym momencie dostrzegła przygniatający go ciężar. To raczej nie złość, lecz poczucie winy, pomyślała. Doskonale знаła ten ciężar.

- Przecież to nie twoja wina. - Dotknęła delikatnie jego twarzy i próbowała go uspokoić łagodnymi słowami. - Przecież nie mogłeś wiedzieć.

- Nie, nie mogłem. - Przyjął to do wiadomości dopiero wówczas, kiedy nie potrafił już znaleźć innego wyjścia. - Ale to i tak niczego nie zmienia. Kazałem mu wyregulować łazik Shelly. Ona sama zapraszała go na kawę - Shelly i jej córka były z nim same, rozumiesz? Poza tym naprawiał mojej matce umywalkę w łazience. Był w moim domu, z moją matką.

- Przestań! - Uniosła się na tyle, by zarzucić mu ręce na szyję i pociągnąć go w dół, aż usiadł obok niej. - On już nie żyje.

- On nie żyje, ale to wcale nie jest koniec tej sprawy. - Ujął ją za ramiona i odwrócił tak, że siedzieli na brzegu łóżka twarzą do siebie. - Ten, kto go zabił, Willo, pracuje u ciebie, nie u mnie. - Wiem o tym. - Myślała o tym bez przerwy w drodze powrotnej z grotty, a także później, kiedy Adam niespokojnie chodził tam i z powrotem po salonie. - Może to był w pewnym sensie rewanż. Może Jesse zabił innych, a ten, kto go znalazł, zrobił mu to samo za pozostałych. Lily nic się nie stało. Była bezbronna, chora, a on jej nie tknął.

- A może nigdy nie morduje więcej niż jednego człowieka na raz? Will, szansa na to, że mamy do czynienia z dwoma mężczyznami, którzy w taki sam sposób posługują się nożem, są właściwie bliskie zeru. Cooke miał przy sobie niewielki, niewiele większy od zabawki nóż o dziesięciocentymetrowym ostrzu. Czymś takim nie da się tak zmasakrować człowieka ani zwierzęcia.

- Wiem. - W głębi duszy wszystko to już wiedziała. - Rzeczywiście się nie da.

- Przypomnij sobie, jak znaleźliśmy tego pierwszego wołu niedaleko chaty w górach.

Jesse nie mógł tego zrobić. Właśnie podpisałem z nim umowę. Wtedy nie znalazł nawet drogi na hale. Musiała zwilżyć wargi, ponieważ kompletnie jej zaschły.

- Powiedziałeś to wszystko policji?

- Tak.

- W porządku. - Zaczęła masować palcem miejsce między brwiami. Jeszcze nie bolała jej głowa, jedynie próbowała się bardziej skoncentrować. - Będziemy nadal postępować tak jak dotychczas. Warty, ludzie pracujący w grupach i na zmiany. Znam swoich ludzi - Uderzyła pięścią w kolano. - Znam ich. Tych dwóch, których właśnie zatrudniłam... Jezu Chryste! Nie powinnam była brać nikogo nowego, zanim nie wyjaśni się sprawa do końca...

- Musisz przestać jeździć sama.

- Do jasnej cholery! Przecież nie mogę zabierać ze sobą ochroniarza za każdym razem, kiedy chcę sprawdzić bydło.

- Przystaniesz jeździć sama - powiedział spokojnie - albo wykorzystam testament twego ojca, żeby cię powstrzymać. Powiem, że nie radzisz sobie z prowadzeniem rancza. Na pewno uda mi się przekonać Nate'a, żeby mnie poparł.

Śmiertelnie zbladła i poderwała się na równe nogi.

- Ty sukinsynu. Do jasnej cholery! Przecież doskonale wiesz, że jestem tak samo dobrym ranczerem, jak każdy inny mieszkaniec tego stanu. Może nawet lepszym.

Również wstał i popatrzył jej w oczy.

- Powiem to, co uznam za słuszne i zrobię to, co będę musiał.

Jeśli mi się sprzeciwisz, możesz stracić Mercy.

- Wynoś się stąd, do diabła! - odskoczyła od niego jak oparzona i zacisnęła pięści. - Wynoś się z mojego domu!

- Jeśli chcesz, żeby to był nadal twój dom, nie będziesz nigdzie wyjeżdżać bez Adama albo Hama. A jeżeli chcesz, żebym stąd wyszedł, wskakuj do łóżka i prześpij się.

Mógł ponownie położyć ją siłą. Przyszłoby mu to dużo łatwiej niż powiedzenie tego, co chciał powiedzieć.

- Troszczę się o ciebie, Willo. Przywiązałem się do ciebie, i to bardziej niż mi się wydawało. - Jeszcze trudniej mu było, kiedy odwróciła się i spojrzała na niego. - Być może nie wiem, co z tym, do jasnej cholery, zrobić, ale to prawda.

Ponownie zabolalo ją serce, ale w sposób, którego zupełnie się nie spodziewała.

- Grożenie mi jest z pewnością najbardziej idiotycznym sposobem okazywania troski i przywiązania.

- Być może. Ale gdybym poprosił cię grzecznie i tak byś mnie nie posłuchała.

- A skąd wiesz? Nigdy mnie o nic grzecznie nie prosiłeś. Przeczesał palcami włosy i wygładził je.

- Ja również muszę przebrnąć przez ten dzień. Martwienie się o ciebie bardzo mi to utrudnia. Jeśli zrobisz dla mnie tę jedną, jedyną rzecz, będzie mi dużo łatwiej.

To ciekawe, pomyślała. Gdyby miała nieco trzeźwiejszy umysł, musiałaby się nad tym głębiej zastanowić.

- Czy ty jeździsz sam, Ben?

- Nie mówimy o mnie.

- Może ja również przywiązałam się do ciebie.

Tego się nie spodziewał, musiał to rozważyć. Wsadził więc ręce do kieszeni i, kołyszając się na piętach, zaczął poważnie się nad tym zastanawiać.

- Naprawdę?

- Być może. Ostatnio już nie mam ochoty cię bić, więc wcale nie jest to wykluczone.

Wykrzywił usta.

- Willo, fantastycznie potrafisz wbić mężczyznę w dumę, a potem wymierzyć mu tęgiego kopniaka. Zrobmy zatem następny krok. - Podeszedł do niej, uniósł jej twarz i delikatnie pocałował ją w usta. - Polubiłem cię. Troszeczkę.

- Ja też cię polubiłam. Również troszeczkę.

Złagodziła ton. Wiedział, że Willa nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, ale wystarczy, że on to zauważył. W innych okolicznościach byłaby to doskonała okazja, żeby wziąć ją w ramiona i delikatnie się z nią pokochać, a może nawet powiedzieć coś więcej. Ponieważ wiedział, że ona tego właśnie się spodziewa, pocałował ją ponownie i mocno przytulił do siebie. Ogarnęła go fala ciepła i poczucie łączącej ich bliskości.

Uniosła ramiona i objęła go za szyję. Kiedy przygarnął ją do siebie jeszcze mocniej, była łagodna i uległa. Mięśnie, które głaskał i masował, zaczęły się rozluźniać. Tym razem, kiedy przeniósł ją na łóżko, westchnęła.

- Lepiej zamknij drzwi na klucz - wymamrotała. - Po domu kręcą się gliniarze. Jeszcze mogliby nas zaaresztować.

Całował jej powieki, a równocześnie rozpinał jej dzinsy. Muskał ustami wargi i w tym samym czasie zsuwał z niej spodnie. Potem przykrył ją kocem, wstał i opuścił rolety. Spod ociężałych powiek obserwowała, jak wraca w jej stronę, pochyla się i ponownie ją całuje.

- Prześpij się chwilę - rozkazał, potem wyprostował się i ruszył w stronę drzwi.

Podskoczyła jak sprężyna.

- Ty sukinsynu!

- Uwielbiam, kiedy tak się do mnie zwracasz. - Ze śmiechem zamknął za sobą drzwi.

Wściekła opadła na poduszki. Jak to się dzieje, że zawsze potrafił ją pokonać? Chciał, żeby się położyła do łóżka, i na Boga, właśnie leży. To jest doprawdy żenujące.

Nie ma zamiaru tu zostać. Za minutkę wstanie i weźmie orzeźwiający prysznic. A potem wraca do roboty.

Za jedną minutkę.

Nie zamknie oczu i nie zaśnie. Była pewna, że gdyby to zrobiła, z powrotem znalazłaby się w tej grocie i od nowa musiałaby przeżywać horror ostatniej nocy. Ale wcale nie to jest najważniejszym powodem, zapewniała samą siebie, kiedy z całych sił próbowała z powrotem unieść powieki. To nie strach zmusza ją do wstania. Tylko obowiązki. Gdy odrobinę odsapnie, wstanie i zabierze się do roboty.

Nie ma zamiaru spać tylko dlatego, że tego właśnie chciał Ben McKinnon. Zwłaszcza dlatego, że on tak chciał.

Nie była w stanie poruszyć ani ręką, ani nogą, wydawało jej się, że jest ciężka jak kamień. Po chwili zapadła w kamienny sen.

CZEŚĆ CZWARTA

LATO

*Majowy wiatr gwałtownie potrząsa drzew pączkami,
Gdybyż przynajmniej dłużej trwało z latem spotkanie.*

William Szekspir

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

W zlewie nie było żadnej brudnej szklanki, na ladzie nie leżał nawet okruszek, a podłoga była czystsza niż zwykle. Lily z niedowierzaniem rozglądała się po kuchni. Adam znowu ją ubiegł. Stała w tylnych drzwiach. Ogródek, którym miała zamiar się zająć, był uprawiony, a wczesne jarzyny i kwiaty zaczynały już delikatnie się zielenić.

To na pewno sprawka Adama i Tess. Lily nie zdołała nawet zabrudzić rękawic ogrodniczych. Mimo że tak bardzo chciała.

Wiedziała, że zrobili to, ponieważ chcieli jej pomóc. Starła się nie mieć o to do nich żalu. Przez dwa tygodnie chorowała, a przez następny tydzień była zbyt słaba, by poradzić sobie z codziennymi zajęciami. Musiała co chwila robić krótkie przerwy na odpoczynek. Teraz jednak jest już zupełnie zdrowa i coraz bardziej drażni ją zbytnia troskliwość, jaką ją otaczają.

Wiedziała, że lodówka jest wyładowana po brzegi potrawami przygotowanymi przez Bess i Nell. Lily nie ugotowała nic od tamtego pamiętnego wieczoru, kiedy Jesse przekroczył próg jej domu. Na tym samym progu stała w tej chwili. Spoglądała na nieśmiałe, zielone pączki drzew, a na twarzy czuła delikatny powiew ciepłego, majowego wiatru.

Wydawało jej się, że całe lata minęły od tej zimnej, ponurej nocy. W jej wspomnieniach wciąż jeszcze istniały białe plamy i ponure obszary, których wolała nie badać. Ale za niecałe trzy tygodnie ma stanąć przed ołtarzem, a tymczasem życie wymyka się jej spod kontroli bardziej niż kiedykolwiek do tej pory.

Nawet nie pozwolono jej zaadresować zaproszeń na własny ślub. Ku ogromnemu zaskoczeniu wszystkich okazało się, że Willa ma najładniejszy charakter pisma. W związku z tym właśnie jej Tess przydzieliła to zadanie, Lily natomiast miała odegrać poślednią rolę.

Kazali jej lizać znaczki.

Zamówiono już kwiaty, załatwiono fotografa i orkiestrę. A ona pozwoliła zepchnąć się na dalszy plan.

Pora z tym skończyć. To musi się skończyć. Zdecydowanym ruchem zamknęła za sobą drzwi i pewnym krokiem ruszyła w stronę stajni. Dotarła tam, powłócząc nogami. Za każdym razem, kiedy wychodziła z domu, Adam bez trudu znajdował sposób, aby natychmiast ją zawrócić. Lily zauważyła, że nigdy jej przy tym nie obejmuje, wręcz unika jakiegokolwiek zetknięcia. A jeśli już ją dotyka, to robi to tak beznamiętnie, jakby był lekarzem badającym pacjenta, a nie kochankiem.

Kiedy się zbliżała, wyszedł ze stajni. Nie po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że

Adam ma jakiś radar, który uprzedza go o jej obecności. Uśmiechnął się, zauważyła jednak, że jego oczy są poważne i przyglądają się jej badawczo.

- Cześć. Miałem nadzieję, że dłużej pośpisz.

- Jest już po dziesiątej. Chciałam popracować dzisiaj z jednorocznikami.

- Nie ma żadnego pośpiechu. - Jak zwykle bardzo delikatnie ujął ją za łokieć i zawrócił. - Zjadłaś śniadanie?

- Tak, Adamie, zjadłam.

- To dobrze. - Z całych sił musiał się powstrzymać, by nie wziąć jej na ręce i nie zanieść z powrotem do domu. Wydawało mu się, że tylko tam może ją ukryć przed wszelkim niebezpieczeństwem. - Skończyłaś tę nową książkę, którą ci przywiozłem? Jest śliczny poranek, może usiadłabyś na werandzie i poczytała. Albo wystawiła na chwilę twarz do słońca.

- Prawie ją skończyłam. - Prawdę mówiąc, ledwo ją zaczęła. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że Adam specjalnie ze względu na nią wybrał się do miasta i kupił książki, czasopisma i kandyzowane migdały, które zawsze uwielbiała.

Tymczasem miała już dość książek, czasopism i migdałów. Nawet kwiatów, które jej wciąż przynosił, żeby ją pocieszyć.

- Wyniosę ci radio. I koc. Żebyś nie zmarzła, gdy będziesz nieruchomo siedzieć. - Był przerażony myślą, że może się przeziębć. Bał się, że znowu z wysoką temperaturą położy się do łóżka, a jej bezsilne ręce będą spoczywały w jego dłoniach.

- Zrobię ci herbatę, a potem...

- Przestań! - Nagły krzyk przeraził ich oboje. W chwili, kiedy Adam spojrzał na nią zaskoczony, zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy wcześniej na nikogo nie krzyczała. To było dla niej zupełnie nowe i ciekawe doświadczenie. - Przestań, Adamie. Mam tego dość. Nie chcę siedzieć ani czytać. Nie chcę, żebyś podtykał mi pod nos herbatę, przynosił kwiaty i słodycze. Nie chcę, żebyś traktował mnie, jakbym była ze szkła.

- Lily, nie denerwuj się. To może zaszkodzić twemu zdrowiu, a przecież dopiero wstałaś z łóżka. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, jaki ma sens liczenie do dziesięciu, zanim się coś powie. Postanowiła, że następnym razem może nawet wypróbować ten sposób.

- Jestem już zupełnie zdrowa. Wstałabym z łóżka już kilka dni wcześniej, gdybyś przy mnie tak nie skakał. Mam dość tego, że nie pozwalasz mi ani umyć naczyń, ani posadzić roślin w ogródku, ani decydować o własnym życiu. Naprawdę mam tego dość.

- Chodźmy do domu. - Traktował ją jak narowistą klacz, z ogromną cierpliwością i współczuciem. - Po prostu musisz odpocząć. Za kilka tygodni nasz ślub, więc masz w

związku z tym mnóstwo spraw na głowie.

Tego było już za wiele. Odwróciła się do niego.

- Wcale nie potrzebuję odpoczynku i nie chcę, żebyś uspokajał mnie jak kapryśne dziecko. A skoro mowa o ślubie, odwołuję go. Chyba że w którymś momencie jeszcze zmienię zdanie.

Zostawiła go zaszokowanego, oniemiałego i wstrząśniętego.

Wiedziona nie znanym dotychczas, ale niezwykle ekscytującym porywem wściekłości, ruszyła w stronę głównego budynku mieszkalnego, pokonała schody i dotarła do biura, w którym właśnie Willa sprzeczała się z Tess.

- Jeżeli nie podoba ci się, że robię to w taki, a nie inny sposób, to dlaczego, do diabła, przydzieliłaś mi to zadanie? Mam wystarczająco dużo roboty bez zawracania sobie głowy tym idiotycznym przyjęciem.

- Ja zajmuję się kwiatami - odparowała Tess. - Do mnie należy również zaopatrzenie w prowiant, jeżeli prowiantem można nazwać suszoną na słońcu świnie. - Uniosła rękę, zacisnęła je w pięści, a w końcu wzięła się pod boki. - Do ciebie należy jedynie załatwienie stołów i krzeseł. Jakże bez tego zorganizujemy bufet na świeżym powietrzu? A jeśli chcę mieć parasole w paski, to możesz przynajmniej spróbować czegoś takiego dla mnie poszukać.

Tym razem to Willa zacisnęła pięści i przysunęła twarz do twarzy Tess.

- Skądże, na Boga, mam wykombinować pięćdziesiąt parasoli w białe - niebieskie pasy, a na dodatek ten baldachim, przy którym, zupełnie nie rozumiem dlaczego, tak bardzo się upierasz. Jeśli masz... Lily, czy ty nie powinnaś odpocząć? - Nie. Nie powinnam odpocząć. - Podeszła do biurka i jednym ruchem zmiotła z niego wszystkie spisy, kartki i faktury. Była zdziwiona, że kiedy zrzuciła na podłogę całą lawinę papieru, z koniuszków jej palców nie poleciały iskry. - Możesz wyrzucić do kosza każdy kawałek papieru, który ma cokolwiek wspólnego ze ślubem. Nie będzie żadnego ślubu. - Kochanie. - Tess urwała zaszokowana, położyła rękę na ramieniu Lily i próbowała posadzić ją na krześle. - Jeśli zmieniłaś plany...

- Nie mów do mnie „kochanie”. - Lily wyrwała się jej wściekła. - I nie udawaj, że umożliwiasz mi zmianę planów, skoro dotychczas nikt nie pozwolił mi niczego zaplanować. To ma być mój ślub, do cholery! Mój. A tymczasem wszystkim zajmujecie się wy. Jeśli tak bardzo chcecie snuć plany dotyczące ślubu, to może któraś z was zdecydowałaby się wyjść za mąż. - Zawołałam Bess - wymamrotała Tess, czym na nowo rozzłościła Lily.

- Nawet nie próbuj tego robić! Nie waż się tu ściągać Bess! Nie życzę sobie, żeby jeszcze jedna osoba załamywała nade mną ręce. Jeśli ściągniecie mi na kark jeszcze kogoś,

nie wytrzymam i pobiję was wszystkich. Naprawdę. Posłuchaj! - Wskazała palcem na Tess. - Ty zasadziłaś wszystko w moim ogródku. A ty! - Odwróciła się do Willi. - Ty adresowałaś zaproszenia na mój ślub. Rozdzieliliście wszystko między siebie. Jeśli cokolwiek uszło waszej uwagi, rzucił się na to Adam, a na dodatek zrobił to tak szybko, że dla mnie już nic nie zostało.

- W porządku. Wszystko rozumiem. - Willa podniosła rękę do góry. - Wybacz, że próbowałyśmy ci pomóc w tej tak trudnej dla ciebie chwili. Nawet nie jestem w stanie ci powiedzieć, jak ogromnie mnie cieszyło, że od pisania boli mnie ręka i jak bardzo podobało mi się, że ta jędza stoi nade mną i dmucha mi w kark.

- Nie dmuchałam ci w kark - zasyczała Tess przez zęby. - Ja tylko nadzorowałam twoją robotę.

- Nadzorowałaś? Uwielbiasz we wszystko wtykać nos i wcześniej czy później ktoś ci go przytrzaśnie. - Jestem prawie pewna, że to będziesz właśnie ty. - Zamknijcie się obie! Do jasnej cholery! Zamknijcie się! Urwały jak na komendę i w osłupieniu obserwowały, jak Lily podnosi wazon i rzuca nim o ziemię. - Jeśli chcecie, możecie się kłócić, aż wam poodpadają języki, ale nie o moje sprawy. Nie o mnie. Rozumiecie? Nie chcę, żeby ktokolwiek w jakikolwiek sposób się mną posługiwał. Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek podejmował za mnie decyzje. Nie chcę być zagłaskiwana i odsuwana na bok. Chcę, żebyście przestali patrzeć na mnie, jakbym lada chwila miała się rozpaść na kawałki. Ponieważ się nie rozpadnę. Nie i już!

- Lily. - Adam stanął w drzwiach. Nie wiedział, jak się do niej zbliżyć, więc stał całkiem nieruchomo. Miał jednak nadzieję, że jego łagodny głos podziała na nią uspokajająco. - Nie chciałem cię zdenerwować. Jeżeli potrzebujesz trochę czasu, żeby...

- Nie zaczynaj wszystkiego od nowa. - Drżąc ze złości, kopnęła leżące pod jej nogami papiery. - O tym właśnie mówię. Niech nikt broń Boże nie zdenerwuje Lily. Niech nikt nie potraktuje Lily jak normalnej kobiety. Nasze biedactwo, nasza delikatna Lily. Może się rozbić.

Rzuciła wściekłe spojrzenie na wszystkich po kolei.

- Zastanówcie się. Przecież to mnie maltretował Jesse. To do mojej głowy przystawił pistolet. To mnie zaciągnął w góry, wrzucił w śnieg i ciągnął na sznurze jak psa. Pogodziłam się z tym. Udało mi się to przeżyć. Może czas najwyższy, żebyście i wy przeszli nad tym do porządku dziennego?

Kiedy wspomnienie tego wszystkiego mignęło Adamowi przed oczami, nie wytrzymał.

- Co chcesz, żebym zrobił? Żebym zapomniał? Udawał, że to się nigdy nie zdarzyło?

- Chcę, żebyś z tym żył. Ja żyję. O nic mnie nie pytałeś. - Podniosła głos, a potem złagodniała. Nie, obiecała samej sobie, nie podda się. I na pewno się nie rozplacze. - Może nie chcesz znać odpowiedzi. Może po tym wszystkim wcale mnie już nie chcesz.

- Jak możesz tak mówić?

Opanowała się i starała się być maksymalnie rozsądna. O ile pozwalało jej na to walące w piersiach serce.

- Nie przytuliłeś mnie, Adamie. Odkąd to się stało, ani razu mnie nie przytuliłeś. - Kiedy Willa i Tess próbowały wyjść z pokoju, potrząsnęła głową. - Nie, zostańcie. To nie jest tylko sprawa między mną a Adamem. Wy również nie rozmawialiście ze mną na ten temat, więc porozmawiajmy o tym teraz. Od razu.

Starła łzę płynącą po jej policzku. Cholera! Ta będzie pierwsza i ostatnia.

- Dlaczego nie dotykasz mnie i nie przytulasz, Adamie? Czy sądzisz, że on to robił i dlatego już mnie nie chcesz?

- Nie wiem, co mam ci odpowiedzieć. - Podeszedł kilka kroków do przodu i zamarł w bezruchu. Wydawało mu się, tak samo zresztą jak od kilku tygodni, że jego ręce są niezdarne i zbyt duże. - Nie powstrzymałem go. Nie ochroniłem cię. Nie dotrzymałem danej ci obietnicy. Nie wiem, jak cię przytulić, ani czy chcesz, żebym to robił. Zamknęła na chwilę oczy. Dlaczego nie zauważyła tego wcześniej? Powinna się była domyślić, że teraz to on jest kruchą i słabą istotą. Teraz to jego należy osłaniać.

- Przecież przyszedłeś po mnie. - Powiedziała te słowa niezwykle łagodnie, mając nadzieję, że on zrozumie, jakie to było dla niej ważne. - To właśnie twoją twarz zobaczyłam, kiedy chwiejnym krokiem wyszłam z pieczary, kiedy wyrwałam się z... z tego wszystkiego. To ty tam byłeś i nie masz pojęcia, w jak ogromnym stopniu ten fakt pomógł mi się pogodzić ze wszystkim.

Oddychała nierówno, z trudem. Potem się trochę uspokoiła.

- Przez cały czas, kiedy byłam w jego rękach, wiedziałam, że po mnie przyjdiesz. To dzięki temu udało mi się to przetrwać. Dzięki temu również próbowałam mu się przeciwstawić.

Spojrzała na siostry. One też muszą wiedzieć, jak bardzo się to liczy.

- Przeszkadzałam mu jak mogłam i czekałam, aż po mnie przyjdiesz. Sądzę, że ty postąpiłbyś dokładnie tak samo. Miał rewolwer i był mocniejszy ode mnie, ale nie wszystko szło po jego myśli. Naprawdę. Ponieważ ja się nie poddałam. Wjechałam w drzewo. Żeby opóźnić ucieczkę i żeby mu wszystko utrudnić.

- Och, Lily. - Wstrząśnięta, wzruszona Tess usiadła i zaczęła płakać. - O Boże!

- Kiedy związał mi ręce, co chwila upadałam. - W jej sercu zapanował teraz spokój, spokój, który wynikał z faktu, że przetrwała najgorsze. - Ponieważ to również opóźniało ucieczkę. Wiedziałam, że mnie nie zabije. Mógł mnie zabić albo wyrządzić mi inną krzywdę, ale na pewno by mnie nie zabił. Potem jednak było mi tak zimno, że już nie mogłam z nim walczyć. Mimo to nadal czekałam.

Bez słowa Willa naląła szklankę wody i podała ją Tess. Lily nabrała głęboko powietrza. Teraz może już dobrnąć do końca, może powiedzieć wszystko, co nie zostało jeszcze powiedziane.

- Przypuszczałam, że może będzie chciał mnie zgwałcić, ale nawet i to byłabym w stanie przeżyć. Robił to wcześniej. Tym razem jednak nie panował nad sytuacją i bał się. Tak samo jak ja albo jeszcze bardziej. Kiedy dotarliśmy do groty, byłam bardzo zmęczona. Poza tym musiał zdawać sobie sprawę, że jestem chora. Nic, co mógł mi wówczas zrobić, nie ma najmniejszego znaczenia, ponieważ ja po prostu musiałam przetrwać. I wrócić tutaj.

Podeszła do okna i wyjrzała przez nie. Starła się wrócić do równowagi zachwianej powrotem do tych wspomnień, przeżytego horroru.

- Miał whisky. Wypiłam łyżeczek, ponieważ myślałam, że to może mi pomóc. On wypił jej bardzo dużo. Czułam, że zasypiam albo tracę przytomność, słuchając jak pije i przechwala się. Słuchałam i gdzieś w głębi duszy miałam nadzieję, że tak jak zazwyczaj będzie pił, aż się spię, a wtedy, jeśli tylko wystarczy mi sił, zdołam mu uciec. Wtedy ktoś wszedł.

Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Nie pamiętam tego wyraźnie. - Był to ten fragment, który wciąż jeszcze napawał ją przerażeniem. Mgliste, gorączkowe wspomnienie. - Musiałam mieć wtedy wysoką gorączkę i najprawdopodobniej majaczyłam. Myślałam, że to ty - powiedziała do Adama. - Wydawało mi się, że jestem w domu, w łóżku, a ty przyszedłeś właśnie z warty, wślizgnąłeś się pod kołdrę i przytulileś się do mnie. Niemal to czułam. Ponownie zapadłam w sen i spałam, podczas gdy ten ktoś zabił Jesse'a i rozciął sznury, które krępowały mi ręce. Byłam zaledwie o metr lub dwa obok, ale...

Ten krótki, wysoki krzyk, który przeszył powietrze. Wciąż jeszcze słyszała go tak wyraźnie, jakby wydobył się z jej własnych ust.

- Kiedy się obudziłam - ciągnęła spokojnie - zauważyłam, że jestem przykryta kurtką Jesse'a. Było na niej mnóstwo krwi, właściwie cała była zalana krwią. Właśnie zaczynało się robić jasno i trochę światła wpadło do groty. W tym świetle zobaczyłam Jesse'a. Ten widok bardziej mnie przeraził niż przytknięty do mojej skroni pistolet. Rozpaczliwie chciałam

stamtąd wyjść. Za każdym razem, kiedy nabierałam powietrza w płuca, czułam ten potworny zapach. To było dla mnie o wiele gorsze niż cokolwiek, co dotychczas mi się przydarzyło. Zbliżyła się do Adama.

- Wyczołgałam się w stronę światła dziennego, a tam na zewnątrz byłeś ty. Byłeś tam w chwili, kiedy najbardziej cię potrzebowałam. Przez cały czas wiedziałam, że tam będziesz.

Teraz, kiedy zrzuciła już z siebie cały ciężar, podeszła i naląła sobie szklankę wody.

- Przepraszam, że krzyczałam na was wszystkich. Wiem, że to, co robiliście, wynikało z troski o mnie. Ale teraz muszę z powrotem wziąć wszystko we własne ręce. Muszę sama sobie poradzić.

- Powinnaś zacząć krzyczeć wcześniej. - Tess zdążyła się już opanować. Wstała. - Masz rację, Lily. Masz absolutną rację.

Przesadziłam, planując wszystko za ciebie. Przepraszam. Sama byłabym wściekła, gdyby ktoś w ten sposób o wszystkim za mnie decydował.

- W porządku. To mój stary i zły zwyczaj pozwalać na to, by za mnie podejmowano wszelkie decyzje. Poza tym może jeszcze przyda mi się pomoc przy obsadzaniu pozostałej części ogródka.

- Być może powinnam zacząć coś uprawiać we własnym ogródku. Nigdy nie przypuszczałam, że tak bardzo mi się to spodoba. Będę na dole. - Tess ruszyła w stronę drzwi i wymownie spojrzała na Willę.

- Jeśli będziecie mieli ochotę na przywrócenie dawnego stanu rzeczy - powiedziała Willa, szturchając nogą papiery leżące na podłodze - możecie zacząć od zbierania tego i wywalania wszystkiego do kosza. - Uśmiechnęła się. - Nie lubię używać zapisanych serwetek koktajlowych.

Wykorzystując okazję, złapała Lily za ramię i nachyliła się do jej ucha.

- To, co przeszedł, by cię odzyskać, trudno nazwać nawet piekłem. Nie karz go za to, że cię za bardzo kocha.

Odchyliła się do tyłu i spojrzała na Adama. - Daję ci kilkugodzinny urlop - powiedziała - żebyś mógł uporządkować swoje życie. - Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

- Wygląda na to, że jestem potworną niewdzięcznicą - zaczęła Lily, ale on tylko potrząsnął głową, więc kucnęła i zaczęła zbierać papiery. - Rozbiłam wazon. Nigdy nie robiłam takich rzeczy. Nawet nie przypuszczałam, że stać mnie na coś takiego. Za nic w świecie nie mogłam się pogodzić z myślą, że znowu jestem niepotrzebna.

- Przepraszam, jeśli tak się poczułaś. - Podeszedł do niej i sam zaczął zbierać papiery. Podniósł listę spraw związanych z weselem i spojrzał na nią. - Nic w moim życiu nie jest

ważniejsze ani cenniejsze niż ty. Jeśli chcesz odwołać ślub... - Nie, w tej sprawie nie był w stanie zdobyć się ani na cierpliwość, ani na rozsądek. Dlatego powiedział jedynie: - Nie rób tego.

Lily zdała sobie sprawę, że w tej sytuacji były to najodpowiedniejsze słowa, jakie mógł powiedzieć.

- Po tym jak Tess i Willa tak bardzo się natrudziły? To byłoby okrutne z mojej strony.

- Próbowała się uśmiechnąć, ale on tylko ukrył twarz w dłoniach. Jednak zanim to zrobił, zdążyła zauważyć jego pełne bólu spojrzenie. Zrozumiała, że bardzo cierpi.

- Dopuszczałem do tego, że cię zabrał.

- Nie.

- Bałem się, że może cię zabić.

- Adamie!

- Wydawało mi się, że jeśli cię przytulę, zaczniesz o tym myśleć, o tym i o nim.

- Nie, nie, Adamie. Nigdy. - Teraz to ona przytuliła się do niego. - Nigdy. Przepraszam, przepraszam. Nie chciałam cię zranić. Po prostu byłam taka zła, taka rozdrażniona. Kocham cię, kocham. Och, obejmij mnie, Adamie. Nie zrobisz mi nic złego.

Ale on ciągle jeszcze się bał. Nawet gdy ją objął i nerwowo przycisnął do siebie, wydawało mu się, że rozleci się jak krucho szklanka.

- Chciałem go zabić. - Ponieważ jego wargi znajdowały się blisko jej szyi, mówił przytłumionym głosem. - Zrobiłbym to. Łatwiej było mi się pogodzić z tą myślą niż obecnie z faktem, że tego nie zrobiłem. Jeszcze trudniej mi żyć ze świadomością, że mogłem cię stracić.

- Jestem tutaj. To wszystko mamy już za sobą. - Kiedy dotknął wargami jej ust, włożyła w ten pocałunek całe serce, a jej dłonie uspokajały go tak, jak zawsze on uspokajał ją.

- Jesteś mi bardzo potrzebny. Chcę, żebyś znowu mnie pragnął. Ujął jej twarz w dłonie. - Pragnę cię, zawsze będę cię pragnął.

- Chcę razem z tobą uprawiać ogródek, Adamie, hodować konie i malować werandy. - Teraz to ona ujęła jego twarz w dłonie i powiedziała to, co ukryte było w najgłębszym zakamarku jej serca. - Chcę mieć z tobą dziecko, Adamie. Dzisiaj.

Zaskoczony dotknął głową jej czoła. - Lily.

- Właśnie jest na to odpowiednia chwila. - Uniosła jego rękę i przycisnęła do niej usta.

- Weź mnie do domu, Adamie, do łóżka. Daj mi dziecko.

Z bocznego okna Tess obserwowała, jak Lily i Adam idą w stronę białego domku. W tym momencie przypomniała sobie dzień pogrzebu i tę chwilę, kiedy po raz pierwszy widziała ich razem.

- Zobacz - zawołała Willę.

- Co takiego? - Trochę zniecierpliwiona Willa podeszła do okna i uśmiechnęła się. - Co za ulga. - Chwilę później rolety w oknach sypialni białego domku opadły. - Wygląda na to, że ślub się jednak odbędzie.

- Wobec tego nadal chcę mieć te parasole w paski. - Ale z ciebie cholera.

- Och, wszyscy mi to mówią, Will. - W zaskakującym geście położyła rękę na ramieniu Willi. - Czy nadal masz zamiar pędzić jutro bydło na hale?

- Tak.

- Jadę z wami.

- Też pomysł.

- Naprawdę chcę. Potrafię jeździć konno, a poza tym sądzę, że to może być wspaniałe przeżycie, które z pewnością później zdołam wykorzystać w mojej pracy. A skoro jedzie Adam, powinna również wybrać się z nami i Lily. Ważne, żebyśmy się trzymali razem. W ten sposób będzie bezpieczniej.

- Chciałam, żeby Adam został.

Tess pokręciła głową.

- Potrzebni ci są ludzie, którym możesz całkowicie zaufać. Adam na pewno nie zostanie, nawet jeśli go o to poprosisz. Więc Lily i ja również pojedziemy.

- Tylko tego mi potrzeba. Dwójki żółtodziobów. - Ale, prawdę mówiąc, sama już o tym wcześniej myślała i rozważała wszelkie za i przeciw. - Także McKinnonowie będą jutro pędzić swoje stado. W takim razie weźmiemy ze sobą jednego człowieka, a zostawimy Hama z resztą. W związku z tym radzę ci dobrze się wyspać dzisiejszej nocy. Wyruszamy o świcie.

Kiedy o pierwszym brzasku Tess ziewała w siodle, przyszło jej na myśl, że do kompletu brakuje jedynie motywu przewodniego z filmu „Rawhide”. Sama więc go zanuciła, próbując równocześnie przypomnieć sobie słowa znane dzięki scenie w barze z filmu „The Blues Brothers”.

Jak to szło: „Przepędź je” czy „Wyprowadź je”?

Zdecydowała się na „Wyprowadź je”, ponieważ takie właśnie zawołanie Willi rozległo się w mglistym porannym powietrzu.

To jest wspaniałe, pomyślała Tess. Morze sunącego powoli do przodu bydła i jeźdźcy na wypoczętych koniach, wyrównujący poszarpane brzegi stada. Wszystko to przepływało przez trzymającą się gruntu rzekę mgły, którą promienie słońca rozrywały na drobne pasemka, odsłaniając w ten sposób zroszoną trawę.

Wznoszące się na zachodzie skaliste turnie wyglądały jak zakłęci w kamień,

srebrnobiałi bogowie.

W pewnym momencie Willa obróciła się w siodle i krzyknęła do Tess, żeby ruszyła tyłkiem. To właśnie, pomyślała z promiennym uśmiechem Tess, było idealnym dopełnieniem obrazu. By nie zostawać w tyle i dotrzymać kroku ruszającemu stadu, ścisnęła boki konia i ruszyła do przodu.

Słyszając wypełniające powietrze odgłosy końskich kopyt na ubitej ziemi, muczenie bydła, krzyki i nawoływania jeźdźców, zdała sobie sprawę, że wciąż jeszcze czegoś jej brakuje. Nate'a. Po raz pierwszy żałowała, że oprócz koni nie hoduje on również bydła. Gdyby to robił, być może jechałby teraz razem z nimi.

- Nie możesz tak sobie tylko jechać - zawołała Willa, zaganiając bydło. - Spróbuj utrzymać je w równej linii. Jeśli zgubisz jakąś sztukę, będziesz musiała ją gonić.

- Jak można zgubić wielką, tłustą krowę - wymamrotała Tess, mimo to próbowała naśladować gwizd, którym Willa zaganiała stado, i sposób, w jaki uderzała lassem o siodło.

Tess nie dano lassa, zresztą nie bardzo wiedziałyby, w jaki sposób się nim posługiwać. Kiedy setki poruszających się kopyt wznieciły obłok kurzu, zasłoniła usta ręką, a potem chustką.

- Na litość boską. - Willa uniosła oczy do góry z udawaną zgrozą i zawróciła konia. - Nie tak, idiotko. Ta ręka może ci być potrzebna. - Wzięła chustkę, którą Tess przytknęła do nosa, i zbliżyła się, żeby ją zawiązać. - Tak lepiej - zdecydowała, kiedy umocowała węzeł, a chustka zasłaniała pół twarzy Tess. - Nigdy nie wyglądałaś lepiej. - Lepiej jedź poudawać szefa tej wyprawy.

- Wcale nie muszę udawać, ja tu jestem szefem. - Mówiąc to, Willa szturchnęła kolanami Moon i galopem ruszyła na tyły stada, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakichś maruderów.

Tess doszła do wniosku, że to jest wspaniałe przeżycie. Być może nie całkiem takie samo jak pędzenie przez kowbojów wiele lat temu bydła rogatego z Teksasu na Północ. Niemniej jednak uznała, że jest w tym coś niesamowitego. Garstka konnych, zapędzających potencjalnych maruderów za pomocą kilku gwałtownych mchów, kieruje ogromną masą zwierząt i prowadzi ją wzdłuż pastwisk, na których pasą się inne krowy, obserwujące pochodź znużonym wzrokiem.

Robią to sezon po sezonie, myślała, rok po roku i dekada po dekadzie, w sposób, który z biegiem lat ulega bardzo nieznacznym zmianom. Tutaj wciąż narzędziem jest koń, ponieważ samochody nie byłyby w stanie pokonać lasów, rzek i kamienistych wąwozów.

Pastwiska na halach są niezwykle bogate, dlatego prowadzi się bydło w góry, by w

towarzystwie muflonów i innych zwierząt mogło przeżuwać gęstą trawę z wysokogórskich łąk i przez całe lato, aż do wczesnej jesieni, leniuchować pod surowym niebem, na którym szybują majestatyczne orły.

Nadchodziło lato, najcudowniejsza pora roku. Drzewa okryły się zielenią, sosnom przybyło nowych gałęzi. Słychać było radosny szmer zimnej wody. Na pobliskiej łące pełno było dzikich kwiatów, które w jasnych promieniach słońca mieniły się zaskakującym bogactwem barw. Ptaki fruwały od drzewa do drzewa jak barwne strzały, a nad wzgórzami unosiły się nieruchomo jak latawce. Kremowobiałe szczyty gór sterczały ku niebu, nieco niżej obejmował je ciemnozielony pas drzew, a całość układała się w cudowne fałdy, które podkreślały cieniste doliny i kaniony.

- Jak ci leci? - Jim podjechał do niej na koniu. Uśmiechnęła się. Biła z niego pewnością siebie i jakieś dziwne nieokrzesanie, jakby go żywcem przeniesiono z czasów Dzikiego Zachodu.

- Świetnie. Prawdę mówiąc, to ogromna przyjemność. Puścił do niej perskie oko.

- Ciekaw jestem, czy pod koniec dnia powtórzysz to samo najniższej' części swych pleców.

- Och, przestałam ją czuć jakąś godzinę temu. - Mimo to rozprostowała się, żeby jeszcze sprawdzić. Nie, zdecydowanie jej pośladki były tak nieczułe, jak martwy ząb. - Nigdy wcześniej nie byłam tak wysoko. Tu jest cudownie. - Trochę wyżej jest urocze miejsce. Jeśli stamtąd spojrzysz w tamtą stronę - pokazał ręką - zobaczysz fantastyczny widok. - Od jak dawna to robisz, Jim? Od jak dawna wypędzasz bydło w góry na wiosnę?

- Dla Mercy? Cholera! Plus minus piętnaście lat. - Ponownie mrugnął, zauważył zbliżającą się Willę i dostrzegł jej piorunujące spojrzenie. - To trzyma mnie z dala od bukmacherów i namiętych kobiet. - Odjechał kłusem, zostawiając śmiejącą się Tess.

- Nie flirtuj z kowbojami podczas pędzenia bydła - ostrzegła Willa.

- My tylko ucieliśmy sobie krótką, kulturalną pogawędkę. Kiedy flirtuję... Och! Mój Boże! - Tess zatrzymała konia i spojrzała w kierunku, który przed chwilą pokazał jej Jim. Willa z pełnym zrozumieniem zatrzymała się tuż za nią. - Prawda, że to piękny widok?

- Wygląda jak obraz - wyszeptała Tess. - Nie ma w tym nic realnego. - To przenikanie się kolorów i kształtów, rozmiarów i odległości nie może być rzeczywiste.

Góry ostrymi szczytami wznosiły się do nieba, opadały w dół aż do dzikiego, srebrnego kanionu, którym płynęła błękitna rzeka. Na jej brzegach rosły gęste zielone drzewa. Gdzieś w oddali, Tess wydawało się, że wiele kilometrów stąd, rzeka zakręcała i znikła wśród skał. Ale zanim zniknęła, rozbijała się o głązy i wyrzucała z siebie białą pianę, a potem

z powrotem się uspokajała.

Jastrząb latał w oddali i krążył nad zakolem rzeki, wśród surowych skał, poniżej spiczastych, srebrzystych szczytów, powyżej zielonego pasa drzew.

- To raj dla wędkarzy. - Willa oparła się o łąk. - Ludzie przyjeżdżają tu ze wszystkich stron, żeby łowić ryby na muchę. Sama nie jestem w tym zbyt dobra, ale warto to zobaczyć. Uwielbiam patrzeć, jak żyłki tańczą nad głowami i z cichym świstem przecinają powietrze, a potem delikatnie lądują na wodzie. Trochę dalej, bliżej zakrętu, jest przełom. Ludzie spływają tamtędy na pontonach. - Aha. - Tess zastanawiała się, jak by to wyglądało. Była zaskoczona, że wcale nie rozważa tego chłodnym okiem pisarki, lecz próbuje wyobrazić sobie, jakie to musi być uczucie, gdy można ścigać się z rzeką, płynąc nią w dół. - Będziemy tędy jeszcze wracać. - Willa zawróciła konia. - Montana jest zabawna. Prawie w ogóle się nie zmienia. Jedziemy. Zostałyśmy w tyle.

- W porządku. - Tess zachowała w sercu ten widok, obok wielu innych, które podziwiała podczas pędzenia bydła. Powietrze ochłodziło się i stało się wręcz ostre. Pod drzewami i wokół kamieni widać było łąty śniegu. Mimo to wciąż jeszcze pojawiały się kwiaty - bez trudu można było dostrzec górski klematis albo ostry fiolet ostróżki. Nad głowami świergotek śpiewał wiosenną piosenkę.

Kiedy zatrzymali się na wypoczynek i szybki lunch, powymowiali z juków kurtki.

- Na litość boską! Nie wiąż konia. - Willa ponownie wzniosła oczy do góry, widząc absolutną ignorancję żółtodzioba. Wyjęła z rąk Tess lejce i klepnęła jej wierzchowca. - Co ty, do diabła, robisz? - Tess zaczęła biec za oddalającym się koniem, szybko jednak zdała sobie sprawę, że nie dogoni go. - Co ja mam teraz robić? Iść na piechotę? - Zjeść. - Willa podsunęła jej pod nos kanapkę. - No świetnie, wprost rewelacyjnie. Ja będę sobie zajadać pieczeń wołową, podczas gdy mój wierzchowiec spokojnie pokłusuje do domu.

- Nie odejdz daleko. Nie możesz przywiązać konia, a potem usiąść pod drzewem i zająć się jedzeniem. - Kiedy zauważyła zbliżającego się Bena, uśmiechnęła się. - Cześć, McKinnon. Nie masz nic lepszego do roboty, niż rozglądać się za darniowym jedzeniem?

- Przyszło mi na myśl, że może znajdzie się jakaś zapasowa kanapka. - Zeskoczył z konia i klepnął go tak samo, jak przed chwilą Willa klepnęła wierzchowca Tess. Oniemiała Tess obserwowała, jak jego wałach oddala się klusem. - Powariowaliście? W ten sposób nie zostanie nam ani jeden koń, na którego będzie można wsiąść.

Ben wziął kanapkę, którą Tess trzymała w ręce, ugryzł ją i mrugnął do Willi.

- Próbowала przywiązać konia?

- Tak. To kompletny żółtodziób.

- Wysoko w górach nie wiąże się koni - powiedział między jednym kęsem a drugim. -
Koty. Niedźwiedzie.

- O czym ty... koty? - Strzelając oczami na prawo i lewo, Tess obróciła się wokół własnej osi, próbując równocześnie patrzeć we wszystkich kierunkach. - Masz na myśli kuguary?

Niedźwiedzie?

- Drapieżniki. - Willa wzięła z ręki Bena resztkę kanapki i skończyła ją. - Koń, jeśli jest spętany, nie ma żadnych szans.

Jak daleko jest twoje stado, Ben?

- Niecałe pół kilometra stąd.

- Ale... - Tess pomyślała o strzelbie, która wciąż tkwiła przy siodle konia. - Jakie zatem my mamy szanse? - Takie sobie. - Ben przeciągał samogłoski, tak jak robią to mieszkańcy Południa, a Willa wybuchnęła śmiechem.

- Lily najprawdopodobniej ma już gorącą kawę. Naciągnął Willi kapelusz na oczy.

- Jak myślisz, w jaki sposób zdołałem cię znaleźć, dziecinko? Węchem.

Obydwoje odeszli w stronę małego ogniska, na którym Lily grzała wodę, gdy tymczasem Tess przez chwilę stała całkiem nieruchomo, jakby zapuściła korzenie. Gdy usłyszała za sobą delikatny szelest, wyrwała się do przodu, jak biegacz ruszający z bloków startowych.

- Zaczekajcie! Zaczekajcie na mnie.

- Twoja siostra uwielbia kawę - skomentował Ben, kiedy Tess przemknęła obok nich.

- Powinieneś zobaczyć jej twarz, kiedy wypuściłam jej konia.

Już choćby tylko dla tego samego warto było wziąć ją ze sobą.

- Oprócz tego wszystko w porządku?

- Jest spokojnie. - Zwolniła kroku. - Normalnie. Albo tak spokojnie i normalnie, jak może być w czasie przygotowań do ślubu.

- Nie chciałbym, żeby cokolwiek zepsuło tę uroczystość.

- Nic jej nie zepsuje. - Zatrzymała się, odwróciła plecami do grupy stojącej przy ogniu i stanęła twarzą w twarz z Benem. - Rozmawiałam ponownie z policją - powiedziała cicho. - Przesłuchiwali moich ludzi. Każdego z nich.

- Moich również. To konieczne, Willo.

- Wiem o tym. Zostawiłam na ranczu Hama i trochę się martwię. Nie wiem, co tam się dzieje. On, Bess i dwóch chłopców Wooda. Ben, oni są tam sami.

- Niezależnie od tego, co by się stało, Ham sobie poradzi, tak samo zresztą jak Bess.

Poza tym nikt nie zrani dwójki dzieci, Willo.

- Nie pomyślałam o tym wcześniej. A teraz po prostu nie wiem.

Proponowałam Nell, żeby ich zabrała i zatrzymała się na jakiś czas u swej siostry. Ale nie chciała zostawić Wooda.

Oczywiście, jeśli to Wood, ona i chłopcy najprawdopodobniej są bezpieczni.

Powracając w myślach do własnych słów, Willa głęboko odetchnęła.

- Czasem nie wierzę własnym myślom, Ben. Jeśli to Wood, jeśli to Jim, jeśli to Billy... Albo jeden z twoich ludzi... Większość z nich znam od urodzenia. Czasem mam nadzieję, że może Jesse Cooke był ostatnią ofiarą. Może wszystko na nim się skończy i nie będziemy musieli się już z tym borykać. Ale w ten sposób zapominamy, co zrobiono Pickle'owi i tej dziewczynie.

- To ludzka rzecz myśleć w taki sposób. - Dotknął jej policzka.

- Czasem zastanawiam się, czy mogłem powstrzymać Cooke'a.

- Chyba sam w to nie wierzysz. - Nie, nie wierzę.

- Czy właśnie dlatego jesteś tutaj? Czy dlatego prowadzisz swoje stado w tym samym dniu, co ja? Obawiał się, że wcale nie jest to subtelne posunięcie, więc teraz jedynie potarł ręką brzonę na brodzie.

- Powiedzmy, że zainwestowałem w ciebie. W związku z tym pilnuję swego. Uniosła brwi.

- Nie jestem twoją własnością, Ben.

Pochylił się i od niechcienia ją pocałował.

- I tak będę cię pilnował - oznajmił i poszedł po swoją kawę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Z dziennika Tess:

Swój powrót do normalnego świata mam zamiar uczcić długą przejażdżką mercedesem 450 SL. Na razie jednak, czekając na tę chwilę, osobiście sprawdziłam, jak wygląda pędzenie bydła w góry. Próbowałam porównać obie te przyjemności, doszłam jednak do wniosku, że bardzo się od siebie różnią.

Pędzenie bydła jest wspaniałym przeżyciem. W jakiś sposób przypomina śmiganie autostradą w fantastycznym i najmodniejszym sportowym samochodzie. Cały świat należy do ciebie, oglądasz piękne widoki, a we włosach igra ci wiatr. Jednak jest to również niezwykle żmudne i męczące zajęcie.

Po całym dniu spędzonym w siodle mam tak obolały tyłek, że siadając do pisania, musiałam sobie podłożyć poduszkę. Ale wcale nie żałuję, że się wybrałam na tę wyprawę. Góry Skaliste są fantastyczne. Tego wrażenia nie jest w stanie zepsuć nawet leżący pod nogami śnieg, który tam wysoko w górach nic sobie nie robi z tak późnej pory roku i wcale nie spieszy się z topnieniem. Na halach jest zupełnie inne powietrze. Czystsze - chyba jest to jedyne odpowiednie słowo. Jest jak najbardziej przejrzysta, źródłana woda w pięknej kryształowej szklance.

Zatrzymaliśmy się na występie skalnym i, słowo daję, wydawało mi się, że w oddali dostrzegam nawet ranczo Nate 'a.

Przy okazji zdałam sobie sprawę, że trochę za nim tęsknię — no cóż, prawdę mówiąc, może nie tylko trochę. To dziwne, ponieważ nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek przedtem tęskniła za jakimś mężczyzną. Za seksem tak, ale to przecież zupełnie inna sprawa.

Wracając do całej wyprawy, wygląda na to, że w znacznej mierze bydło samo się pędzi. Krowy wloką się noga za nogą i tylko od czasu do czasu na znak protestu albo skargi któraś z nich zaczyna muczeć. Zdaniem Adama godzą się na wszystko tylko dlatego, że wiele z nich pamięta tę drogę z ubiegłego roku, a pozostałe jedynie idą za ich przykładem. Mimo to i tak, stukając kopytami i porykując, wzniesają spory hałas. Zdarza się również, że trzeba zawrócić ze złej drogi jakąś przypadkową indywidualistkę.

Widziałam, jak Willa złapała krowę na łąsku, i muszę przyznać, że byłam pełna podziwu. Ta kobieta bardziej naturalnie wygląda na końskim grzbiecie niż na własnych nogach. Wygląda jak królowa, chociaż nigdy jej tego nie powiedziałam. Doskonale sobie z tym wszystkim radzi. Ma ogromne zdolności przywódcze i świetnie potrafi to wykorzystać. Haruje jak doker, za co również bardzo ją podziwiam. Natomiast zdecydowanie nie lubię,

kiedy w moją stronę strzela z bata.

Wydaje mi się, że po drodze trochę kluczyliśmy. Za to też należy się jej moje pełne uznanie. Nie mam wątpliwości, że wydłużyła trasę, chcąc sprawić mnie i Lily większą przyjemność. To była wspaniała wycieczka. Widzieliśmy łosie, wielkouche jelenie amerykańskie, wapiti, muflony i olbrzymie, majestatyczne ptaki.

Nie widziałam niedźwiedzia. Ale tego wcale nie żałuję.

Lily przez cały czas pstrykała zdjęcia. Jest już zupełnie zdrowa i właściwie wszystkie te mrożące krew w żyłach zajścia, które nie tak dawno się wydarzyły, mogłyby się wydawać tylko złym snem. A jednak to się naprawdę stało. Kiedy myślę o Lily, czasem wyobrażam sobie wagę, która na jednej szalce ma tragedię, a na drugiej szczęście. Lily znalazła sposób, żeby tę wagę przechylić na stronę szczęścia. Podziwiam ją za to.

Nie sposób jednak o wszystkim zapomnieć. Willa co prawda wygląda na spokojną i opanowaną, mimo to wcale nietrudno dostrzec, że jest kłębkim nerwów. Zbliża się ślub, wszyscy bardzo chcemy, żeby to wydarzenie przebiegło spokojnie, żeby nic go nie zepsuło. Jednak sam problem istnieje. Wisi w powietrzu.

Zmieniając temat, właśnie zabrałam się za przepisywanie scenariusza. Ira jest bardzo zadowolony z umowy i tempa, w jakim posuwam się do przodu. Przypuszczam, że kiedy jesienią wrócę do Los Angeles, zostanę dosłownie zasypana zaproszeniami na spotkania i różnego rodzaju imprezy. W końcu postanowiłam przyznać mu się, że piszę książkę. Ku mojemu zaskoczeniu, bardzo się tym zainteresował, więc wysłałam mu kilka pierwszych rozdziałów, żeby je przejrzał. Zobaczymy.

W tej chwili wciskam pisanie między przygotowania do ślubu. Przyjęcie na cześć panny młodej zbliża się milowymi krokami, a my wszyscy staramy się, żeby Lily nic o nim nie wiedziała. To powinna być bomba.

- Zdradzisz mi, co panowie planują na wieczór kawalerski? - Tess siedziała na płocie biegnącym wokół zagrody i obserwowała Nate'a, który pracował z jednorocznikiem.

- Oczywiście, coś bardzo dystyngowanego.

- Ile zamówiliście striptizerek?

- Trzy. Gdyby było ich więcej, trudno byłoby mówić o dystynkacji. - Pociągnął lejce, zawrócił jednorocznika i kolanami delikatnie ścisnął mu boki. Żrebak przeszedł w spokojny kłus. - Właśnie tak. Grzeczny konik.

Co za widok, pomyślała Tess. Jest chudy jak tyczka, kapelusz nacisnął mocno na oczy, a jego długie wąskie dłonie są co najmniej tak samo podniecające, jak dłonie pianisty.

Zdała sobie sprawę, że ma na niego ogromną ochotę.

- Czy kiedykolwiek mówiłam ci, mecenasie Torrence, że fantastycznie wyglądasz na koniu?

- Raz czy dwa.

Fala pożądania powoli ogarniała całe jej ciało.

- Ale możesz mi to powiedzieć jeszcze raz. - Fantastycznie wyglądasz. Kiedy będę cię mogła zobaczyć w sądzie? Zaskoczony zawrócił konia. - Nie wiedziałem, że masz na to ochotę. Ona również o tym nie wiedziała.

- No więc wyobraź sobie, że mam. Bardzo mi się podobasz w todze. Jesteś wówczas taki opanowany i poważny. W ogóle lubię na ciebie patrzeć.

Zeskoczył z konia, owinał lejce wokół poręczy i zaczął rozluźniać popręg.

- Ostatnio nie było zbyt dużo czasu na patrzenie i tego typu zajęcia, prawda?

- Było mnóstwo roboty. Zostało zaledwie dziesięć dni do ślubu, a jutro przyjeżdżają rodzice Lily. Kiedy już będzie po wszystkim, może zabrałbyś mnie do miasta i pozwolił popatrzeć, jak prowadzisz proces. Potem... moglibyśmy zostać w hotelu na noc i trochę się zabawić. - Zwilżyła językiem wargi. - Nie miałbyś ochoty trochę się ze mną zabawić, Nate?

- Według twoich reguł czy moich?

- Bez żadnych reguł. - Ze śmiechem zeskoczyła z płotu i namiętnie go pocałowała. - Tęskniłam za tobą.

- Naprawdę? - Nie spodziewał się, że nastąpi taki duży postęp w tak krótkim czasie. - Miło mi to słyszeć.

Spojrzała w stronę domu i pomyślała o łóżku.

- Chyba nie bardzo możemy...

- Obawiam się, że Maria nie przeżyłaby tego szoku, rozumiesz, środek dnia i w ogóle. Może zostałabyś na noc.

- Mmm... Chciałabym, ale już jestem nieobecna i nieusprawiedliwiona. Po tym wszystkim, co się stało, nie lubię długo zostawać poza domem.

Jego oczy spoważniały. Odwrócił się i zsunął siodło z konia.

- Żałuję, że tamtej nocy nie dotarłem tam wcześniej i nie pomogłem Adamowi.

- To i tak niczego by nie zmieniło. Ani Adam, ani Willa nie mogli temu zapobiec. Nawet gdybyś zdołał ich dogonić, i tak byłoby już po fakcie.

- Może masz rację. - Nie mógł się jednak z tym pogodzić.

Zastanawiał się, jak by się zachował i co by zrobił, gdyby to Tess przystawiono rewolwer do głowy. Ponieważ blask zniknął również z jej oczu, wiedziony impulsem wskoczył na goły grzbiet konia. - Chodź, przejedźmy się trochę.

- Bez siodła? - Zamruwała powiekami, potem ze śmiechem cofnęła się o krok. - Nie podoba mi się ten pomysł.

Przywykłam do tego, że mogę się trzymać lęku.

- Jesteś prawdziwym żółtodziobem na Dzikim Zachodzie. - Wyciągnął rękę. - Chodź. Przecież możesz się trzymać mnie.

Zaciekawiona, ale trochę przestraszona Tess spojrzała z nieufnością na konia.

- Jest niesamowicie duży jak na jednorocznika. - To tylko dziecko i, możesz mi wierzyć, bardzo się stara. - Nate uniósł głowę i czekał, aż Tess się zdecyduje i skorzysta z wyciągniętej dłoni.

- W porządku. Ale naprawdę nie cierpię spadać. Podciągnął ją do góry. Niezgrabnie wgramoliła się na koński grzbiet i u - siadła za Natem.

- To jest coś zupełnie innego - stwierdziła. Wykorzystała jednak okazję i tak blisko, jak tylko mogła, przytuliła się Nate'a, obejmując go ramionami w pasie. - Bardzo seksownie. Adam często jeździ bez siodła. Wygląda wówczas jak młody bóg.

Nate roześmiał się i cmoknął na konia.

- W ten sposób jesteś w większej harmonii z wierzchowcem. Poruszasz się w tym samym rytmie.

Kiedy przeszli w trucht, Tess zdała sobie sprawę, że było to również w większej harmonii z jej pożądaniem. Kiedy ruszyli galopem, uśmiechała się trochę głupio. - To jest cudowne. Chcę więcej.

- Zawsze tak mówisz. - Objechał zagrodę dookoła, ciesząc się tym, że mocno przytuliła swe jędrne i obfite piersi do jego pleców. Gdy przesunęła ręce poniżej jego paska, zacisnął mocno powieki.

- Tak właśnie przypuszczałam - powiedziała, stwierdziwszy, że jest podniecony. - Czy robiłeś to kiedykolwiek na końskim grzbiecie?

- Nie. - Ale wyobraźnia podsunęła mu już interesującą wizję - Tess opierała się plecami o koński grzbiet, nogami mocno obejmowała go w pasie i oboje wykonywali ruchy zgodne z rytmem końskich kroków. - Skręcimy karki, jeśli on zrzuci nas z grzbietu.

- Jestem skłonna zaryzykować. Naprawdę mam na ciebie ogromną ochotę, Nate.

Zatrzymał się, uspokoił konia, potem odwrócił się i pomógł jej przedostać się do przodu.

- Nie. - Palce Tess skupiły się na jego sprzączce, dlatego zaprotestował, chociaż zajęty był pocałunkami i bardzo trudno mu było wydobyć nawet pojedyncze słowo. - To będzie musiało nas na chwilę powstrzymać. Trzymaj się mnie, Tess. Po prostu nie spiesz się i

pozwól się całować.

Na pewno nie posłuchałaby go, ale bardzo mocno przytulił ją do siebie. Całkiem unieruchomił jej ręce i przywarł do ust. Kapelusz zsunął się jej z głowy i wylądował na ziemi, serce waliło jak szalone, a całe ciało odpowiadało mu echem. Potem nastąpiła gwałtowna i nieoczekiwana zmiana, wszystko stało się delikatne, łagodne i czyste jak powietrze na halach.

Przeszedł od pełnego desperacji pożądania do czułości, uspokoił ją. Jej tętno było teraz tak wolne, że aż rozbolało ją gardło, a w oczach poczuła piach.

- Kocham cię. - Właściwie nie miał zamiaru jej tego mówić, ale w tej chwili to uczucie było tak ogromne, tak potężne, że nie mógł nad nim zapanować. Musiał się z nią tym podzielić.

- Słucham? - Oszołomiona, rozmarzona spojrzała mu prosto w oczy. - Co ty powiedziałeś?

- Że cię kocham.

Wytracona z błógiego stanu nagle z potężnym łoskotem wróciła do rzeczywistości. Oczywiście, słyszała te słowa wcześniej. Byli mężczyźni, którym bardzo łatwo przychodziło wymawianie ich, traktowali je jak jeszcze jedną linijkę tekstu. Zdała sobie jednak sprawę, że nigdy nie słyszała ich od Nate'a. Ani od mężczyzn w rodzaju Nate'a.

- Chyba się trochę zagalopowałeś. - Chciała się uśmiechnąć i potraktować to z przymrużeniem oka. Jednak nie było to wcale takie proste. - Nate, jesteśmy po prostu...

- Kochankami? - dodał i nie próbował nawet żałować, że dokończył to zdanie. - Dobranymi partnerami seksualnymi?

Nie, bardzo się mylisz, Tess.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, żeby się uspokoić, a w końcu powiedziała spokojnie:

- Sądzę, że lepiej będzie, jeśli zejdziemy z tego konia. Nie zważając na jej słowa, ujął w dłoń jej policzek i popatrzył prosto w oczy.

- Kocham cię, i to już od dłuższego czasu. Próbowałem dokonać koniecznych poprawek i dostosować się do twoich oczekiwań. W końcu jednak i tak doszedłem do wniosku, że chcę, żebyś zamieszkała na moim ranczu, żebyś wyszła za mnie za mąż i żebyśmy założyli normalną rodzinę.

Pierwszy szok był niczym wobec tych słów. - Przecież wiesz, że nie mogę....

- Daję ci chwilę czasu, żebyś się oswoiła z tym pomysłem. - Po tych słowach zeskoczył z konia. - Niewielu rzeczy pragnąłem w życiu - powiedział z powagą, przyglądając się jej twarzy, na której widać było oszołomienie. - Chciałem ukończyć studia prawnicze, móc tutaj zamieszkać, mieć dobrą stadninę koni. Wszystko to udało mi się osiągnąć. Teraz

pragnę ciebie. Poczula się znieważona i w tym momencie zaskoczenie przerodziło się we wściekłość.

- Pozwól, że zwrócę ci na coś uwagę, mecenasie Torrence. Nie jestem ani tytułem magisterskim, ani ranczem, ani klaczą. - Wiem o tym. - Z delikatnym uśmiechem na ustach pomógł jej zsiąść z konia. - Jesteś kobietą. Zdecydowaną, ambitną i niezwykle atrakcyjną. A na dodatek zostaniesz moją żoną.

- Czy chcesz wysłuchać, co sędzę o tym nagłym objawieniu kowbojskiej mentalności?

- Wydaje mi się, że doskonale to wiem. - Zdjął jednorocznikowi uzdę i klepieniem w bok odesłał go na pastwisko. - Lepiej będzie, jeśli pojedziesz do domu i chwilę się nad tym zastanowisz.

- Nie potrzebuję czasu na zastanawianie się.

- A ja mimo wszystko ci go daję. - Spojrzał na niebo. Słońce zaczynało właśnie chylić się ku zachodnim szczytom i zabarwiać błękitne dotychczas niebo na czerwono. - Dziś w nocy będzie padało. - Te słowa rzucił na odchodnym, po czym przeskoczył przez ogrodzenie i zostawił zaskoczoną Tess.

- Nie mam pojęcia, co cię gryzie - stwierdziła półgłosem Willa - ale pozbądź się tego jak najprędzej. Lada chwila Lily pojawi się tu ze swoimi rodzicami.

- Wyobraź sobie, że nie tylko ty masz prawo do problemów. - Tess wepchnęła do ust ciasteczko.

Dom był pełen rozgadanych kobiet, kolorowo opakowanych prezentów i białych serpentyn. Tess uparła się, by na przyjęciu na cześć Lily podać poncz. Bess początkowo miała do tego pomysłu poważne zastrzeżenia, teraz jednak sama z ogromną przyjemnością popijała go z czarki, równocześnie plotkując z sąsiadkami.

Wszyscy są szczęśliwi jak małpy w cyrku, pomyślała Tess i złapała następne ciasteczko. Cieszą się, że dwoje ludzi wpadło na idiotyczny pomysł i postanowiło spędzić razem resztę życia. Naburmuszyła się, zaczęła rozważać, czy nie skosztować innego ciasta, w końcu jednak wzięła do ręki papierosa.

Nie dopuści do tego, żeby przez Nate'a Torrence'a pękły jej kolejne dzinsy. Złapała następną czarkę ponczu i postanowiła się upić.

Zanim przyjechała przyszła panna młoda, Tess powtórzyła to trzykrotnie i dzięki temu udzielił się jej uroczysty nastrój pozostałych uczestników przyjęcia. Ogromną przyjemność sprawiło jej udawane zaskoczenie Lily. Przecież przyjęcie na cześć panny młodej przestało być tajemnicą w chwili, kiedy wysłano pierwsze zaproszenia. Teraz jedynie trzeba było wydawać ochy i achy na widok prezentów, wśród których było wszystko, począwszy od

jałowcowych trzepaczek do ubijania piany, a skończywszy na peniuarach.

Tess obserwowała matkę Lily, która mrugała powiekami, próbując powstrzymać łzy, a kiedy jej się to nie udało, wymknęła się na zewnątrz.

Interesująca kobieta, zdecydowała Tess, nalewając sobie którąś z rzędu porcję ponczu. Atrakcyjna, reprezentacyjna, rozsądna. Co ona, u diabła, mogła widzieć w takim sukinsynu jak Jack Mercy?

Kiedy Bess napełniła następne dwa kubki i również wymknęła się na zewnątrz, Tess wzruszyła ramionami i na widok kompletu koronkowych serwetek starała się wykrzesać z siebie odpowiedni entuzjizm.

- Tutaj jesteś, Adelo. - Bess usadowiła się na huśtawce i wręczyła ocierającej łzy Adeli filiżankę. - Trochę czasu upłynęło od momentu, kiedy po raz ostatni siedziałyśmy tu razem.

- Nie wiedziałam, jak się będę tutaj czuła. Niewiele się u was zmieniło. - Może jednak trochę. Ty sama niewiele się zmieniłaś.

Próżność była drobną słabostką Adeli, więc automatycznie poprawiła dłonią swą starannie ułożoną fryzurę. Była ciemną blondynką. Miała elegancko i krótko przycięte włosy.

- Mam zmarszczki - powiedziała z bladym uśmiechem. - Doprawdy nie wiem, skąd one się biorą, ale każdego ranka w swym lustrze dostrzegam kilka nowych.

- Takie jest życie. - Bess przyglądała jej się uważnie. Adela miała piękną, delikatną twarz, subtelne i proporcjonalne rysy. Udało jej się także zachować doskonałą figurę. Wciąż była szczupłą, wręcz chuda. Nie zmieniły się również jej ulubione kolory i sposób ubierania się. W różowych luźnych spodniach i kremowej bluzce wyglądała naprawdę wspaniale.

- Masz wspaniałą córkę, Adelo. Doskonale ją wychowałeś.

- Mogłam zrobić dużo więcej. Powinna zrobić dużo więcej.

Gdy teraz na nią patrzę, przypominam sobie te lata, kiedy była małą dziewczynką. Należało wówczas poświęcić jej więcej czasu, ale tego nie zrobiłam.

- Przecież pracowałeś, miałeś również własne sprawy.

- Tak. - Aby się uspokoić, Adela wypła łyżeczek ponczu. - Przeszkadzały mi również gorycz i żal tych kilku pierwszych lat. Nienawidziłam Jacka bardziej niż kiedykolwiek go kochałam, Bess.

- To normalne. Paskudnie obszedł się z tobą i Lily. Ale wygląda na to, że znalazłaś lepszego człowieka. - Mówisz o Robie? Tak, to dobry człowiek. Ma swoje zasady, zresztą zawsze je miał. Ale są to dobre zasady. - Na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech. Dobrze nam ze sobą, pomyślała.

- Rob może nie jest, jak by to powiedzieć, bardzo wylewny, ale naprawdę kocha Lily.

Zastanawiam się nieraz, czy nie stawialiśmy jej zbyt dużych wymagań. Czy oboje nie chcieliśmy od niej zbyt dużo. Ale ją kochamy. - To widać. Huśtała się przez chwilę w milczeniu.

- Boże, co za widok. Nigdy go nie zapomniałam. Tęskniłam za tym miejscem. Byłam szczęśliwa na Wschodzie. Masa zieleni i łagodny klimat to ogromne atuty Wirginii. Ale tęskniłam za tym miejscem.

- Teraz, skoro Lily zostanie w Mercy, na pewno będziesz tu częściej przyjeżdżać.

- Tak. Oczywiście, oboje będziemy przyjeżdżać. Rob jest oczarowany Montana. Uwielbia podróże. Unikaliśmy dotychczas tej części kraju, ale teraz... są teraz z Adamem, oglądają konie. - Westchnęła, a po chwili uśmiechnęła się. - Adam też jest dobrym człowiekiem, prawda, Bess?

- Jednym z najlepszych, jakich znam, a poza tym za nią poszedłby nawet w ogień.

- Tak dużo przeszła. Kiedy myślę o...

- Nie myśl. - Bess położyła dłoń na ręce Adeli. - Ona ma to już za sobą. Tak samo jak ty masz za sobą małżeństwo z Jackiem Mercym. Lily będzie piękną panną młodą i szczęśliwą żoną.

- Och! - W tym momencie oczy Adeli ponownie zasnuła mgła.

Po jej policzkach popłynęły łzy. Zauważyła je Willa, kiedy wyszła z domu.

- Przepraszam. - Automatycznie zatrzymała się i chciała zawrócić.

- Nie, proszę, nie przepraszaj. - Pociągając nosem, Adela wstała i wyciągnęła rękę. - Jestem po prostu okropnie sentymentalna. Nie miałam jeszcze okazji z tobą porozmawiać. W każdym liście Lily tak dużo pisała o tobie i o Tess.

Kobiece łzy zawsze rozbrajały Willę. Przez moment przestępowała z nogi na nogę i próbowała się uśmiechnąć.

- Aż mnie to dziwi, że znalazło się tam jeszcze miejsce dla mnie. Przecież na pewno przede wszystkim pisała o Adamie.

- Ty i twój brat macie takie same oczy. - Są ciemne i bardzo mądre, pomyślała Adela. Na dodatek takie poważne i skupione.

- Trochę znałam twoją matkę. Była piękną kobietą. - Dziękuję.

- Bardzo się bałam. - Adela odchrząknęła. - Zdaję sobie sprawę, że nie jest to odpowiedni czas, by o tym mówić, ale naprawdę bardzo się bałam. Wiem, że Lily nie o wszystkim, co tu się wydarzyło, pisała i mówiła. Na pewno dużo rzeczy złagodziła, żebyśmy się nie denerwowali. Ale kiedy Jesse... kiedy Jesse został zamordowany, mówiono o tym i u nas, na Wschodzie. Muszę się przyznać, że wciąż się boję, jednak od chwili, gdy poznałam

ciebie i Adama, czuję się znacznie spokojniejsza. - Ona jest dużo mocniejsza niż pani myśli. Niż wszyscy myśleliśmy.

- Być może masz rację - zgodziła się Adela, potem nabrała odwagi. - Chciałabym podziękować ci za gościnność, za zaproszenie mnie i Roba do twego domu. Zdaję sobie sprawę, że sytuacja musi być dla ciebie niezręczna. - Myślałam, że będzie. Ale nie jest. Rodzice mojej siostry są zawsze mile widziani w Mercy.

- Niewiele masz w sobie z Jacka. - Adela zbladła zaskoczona własnymi słowami. - Przepraszam.

- Proszę mnie nie przepraszać. - Willa kątem oka dostrzegła odbijające się od chromu promienie słoneczne i popatrzyła w tamtą stronę. Na jej ustach pojawił się uśmiech. - A oto następna niespodzianka. Mam nadzieję, że nie poczuje się pani niezręcznie.

- Co jeszcze wymyśliłyście, dziewczęta? - zapytała Bess. Willa tylko się uśmiechała i schowała głowę w ramiona.

- Hej, Hollywood! Chodź tu na chwilę.

- Jestem ci potrzebna? - Trzymając w jednej ręce filiżankę, Tess podeszła do drzwi. - Bawimy się w inteligencję. Ile słów można ułożyć z liter zawartych w wyrazie „małżeństwo”? Chyba prowadzę. Do wygrania jest koszyk z kosmetykami do kąpielii. - Mam dla ciebie lepszą nagrodę. Tess spojrzała jej przez ramię, skupiła nieco mętny wzrok i zauważyła zatrzymujący się właśnie przed drzwiami samochód Nate'a.

- Nie chcę z nim rozmawiać. Arogancki prawnik kowboj. Powiedz mu, że... O Jezu! Jezu Chryste! - Nie bluźnij na przyjęciu na cześć panny młodej - rozkazała Bess, a potem, kiedy otworzyły się boczne drzwiczki łazika i nagle wszystko stało się jasne, uśmiechnęła się od ucha do ucha. - To Louella Mercy! Jak mi Bóg miły! Louello, jesteś balsamem dla moich starych oczu.

- Doskonale o tym wiem. - Z donośnym śmiechem Louella, nie zważając na niemilosiernie wysokie obcasy swych czerwonych szpilek, podbiegła i chwyciła w objęcia niepewnie trzymającą się na nogach córkę. - Niespodzianka, dziecinko. - Pocałowała Tess, starła z jej policzka ślady po szmince, a potem odwróciła się, żeby objąć Bess. - Wciąż zaharowujesz się na śmierć w tym domu? - Staram się, jak mogę.

- A to pewnie jest najmłodsza latorośl Jacka. - Odwróciła się do Willi i uściśniła ją tak mocno, że o mały włos nie połamała jej wszystkich żeber. - Boże! Wyglądasz jak twoja matka. Nigdy nie widziałam nikogo, kto dorównywałby urodą Mary Wolfchild.

- Ja... Dziękuję. - Olśniona Willa patrzyła z niedowierzaniem. To niesamowite! Ta kobieta wygląda jak królowa, a pachnie jak perfumeria. - Bardzo się cieszę, że zechciała pani

przyjechać - dodała i te słowa dokładnie odzwierciedlały jej myśli. - Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać.

- Ja również, kochanie. Kiedy dostałam od ciebie zaproszenie, byłam tak zaszokowana, że omal nie padłam trupem. - Mocno obejmując jedną ręką plecy Willi, odwróciła się i uśmiechnęła do Adeli. - Jestem Louella, żona numer jeden.

Adela oszołomiona patrzyła i nie wierzyła własnym oczom.

Czy ta kobieta rzeczywiście ma na sobie bluzkę ze złocistej lamy, chociaż jest dopiero wczesne popołudnie? - Jestem matką Lily.

- Czyli żoną numer dwa. - Z dźwięcznym śmiechem Louella objęła Adelę jak siostrę. - Trzeba przyznać, że ten skurczybyk miał niezły gust, jeśli chodzi o babki, no nie? A gdzie jest pani córka? Musiała odziedziczyć więcej po pani niż po Jacku, ponieważ Tess mówi, że jest śliczna i urocza. Mam prezenty. - Czy mam to wszystko wnieść, Louello? - Nate stanął przed werandą i uśmiechał się. Miał na rękach wierzące się niecierpliwie maleńkie pieski. - O Boże! Mamo! Przywiozłaś Mimi i Maurice'a! - Oczywiście. Przecież nie mogłam zostawić moich kochanych maleństw w domu samych. - Wzięła je z rąk Nate'a i manifestacyjnie je pocałowała. - Czy to nie wspaniały mężczyzna, moje panie? - Obdarzyła Nate'a konwencjonalnym pocałunkiem w policzek i zostawiła na nim wyraźny ślad szminki. - Słowo honoru, że serce mi wali jak szalone od chwili, kiedy go ujrzałam. Po prostu wnieś wszystko do środka, złotko.

- Tak jest, madam. - Zanim odwrócił się i zaczął rozładowywać łaźnik, obrzucił Tess krótkim, pełnym rozbawienia spojrzeniem. - Co my wszystkie, do diabła, robimy tu na zewnątrz? - dopytywała się Louella. - Słyszałam, że w tym domu odbywa się przyjęcie, więc może dostałabym jakiegoś drinka. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, Willo, jeśli trochę się tu porozglądam?

- Oczywiście, że nie. Z ogromną przyjemnością sama pani wszystko pokażę. Nate, zanieś pani rzeczy do pokoju sąsiadującego z sypialnią Tess.

- Zaczekaj, aż zobaczy cię Mary Sue - zaczęła Bess, wprowadzając Louellę do środka.

- Pamiętasz Mary Sue Rafferty?

- To ta z króliczymi zębami, czy z opadającą powieką? Tess ostrożnie postawiła swą filiżankę na poręczu.

- Czy to był twój pomysł?

- Mój i Lily. - Willa uśmiechnęła się. - Chciałyśmy zrobić ci niespodziankę.

- Udało się wam. Niewątpliwie się wam udało. Porozmawiamy o tym później. - Tess złapała Willę za koszulę. - Będzie to długa i sympatyczna rozmowa.

- W porządku. Muszę dopilnować, żeby dostała tego drinka.

- Twoja mama przywiozła tak dużo rzeczy, jakby miała zamiar spędzić tu wiele miesięcy. - Nate wyciągnął z łazika ostatnią z pięciu walizek. Każda z nich była tak ciężka, jakby znajdowały się w niej kamienie.

- Ona prawie tyle samo zabiera ze sobą, wyjeżdżając na weekend do Las Vegas.

- Z pewnością robi sobie listę.

Ukrywając zażenowanie, Tess wyprostowała się i postanowiła wystąpić w obronie matki. - Co masz na myśli?

- To, że tutaj przyjechała. Nic więcej. Uważam, że to cała Louella. Muszę ci się przyznać, że po pięciu minutach znajomości oszalałem na jej punkcie. - Zaciekawiony przekrzywił głowę. - A przypuszczałaś, że o czym myślę? Poruszyła niespokojnie zeszywniałymi ramionami, próbując rozluźnić mięśnie.

- Ludzie bardzo różnie reagują, kiedy mają do czynienia z moją matką.

Spokojnie kiwnął głową.

- Z tego, co widzę, to ty dziwnie reagujesz. Właściwie powinnaś się wstydzić. - I podczas gdy ona patrzyła zaskoczona, przeszedł obok niej z dwiema walizkami.

Ciężko sapiąc, Tess podniosła następną i ruszyła za nim.

- Co to miało znaczyć? - Wzburzona szła schodami w górę.

Louella nigdy nie sądziła, że można zabrać ze sobą tylko jedną niewielką torbę.

- Tylko tyle, że masz wyjątkową matkę i ze świecą takiej szukać. - Położył walizki na łóżku, odwrócił się i wyszedł.

Tess rzuciła trzecią walizkę, założyła ręce i czekała.

- Wiem o tym - powiedziała, kiedy wrócił z resztą bagażu. - Przecież to moja matka. Tylko ona mogła pojawić się na przyjęciu na cześć panny młodej, mając na sobie złotą lamę. Do licha, zetrzyj tę szminkę z policzka. Wyglądasz jak idiota.

Przez moment szamotała się z paskami jednej z walizek, w końcu podniosła wieko i, widząc zawartość, uniosła oczy do góry.

- Któż inny, wybierając się na kilka tygodni na ranczo, zapakowałby dwadzieścia par butów na wysokich obcasach? A do tego wszystkiego jeszcze i to. - Wyjęła szlafrok w niezwyklej, lawendowym kolorze, wykończony fioletowymi strusimi piórami. - Kto nosi takie rzeczy?

Wciskając chustkę do kieszeni, Nate zerknął na szlafrok.

- Do niej to pasuje. Za bardzo się przejmujesz pozorami, Tess. I chyba to jest twój największy problem.

- Pozorami? Na miłość boską, ona maluje paznokcie swoim psom. Przed jej domem stoją betonowe łabędzie, a na dodatek sypia z mężczyzną młodszym ode mnie.

- I podejrzewam, że oboje są z tego bardzo zadowoleni. - Oparł się o łóżko. - Zack przywiózł ją na moje ranczo i tak bardzo się śmiał, że niewiele brakowało, a podczas lądowania rozbiłby samolot. Powiedział mi, że pokładał się ze śmiechu przez całą drogę z Billings. Zapytała mnie, czy może później wrócić i przyjrzeć się moim koniom. Bardzo chciała to zrobić, ale nie mogła się doczekać, kiedy ciebie zobaczy. W trzydzieści sekund po tym, jak omal mnie nie udusiła, byliśmy serdecznymi przyjaciółmi. Niemal całą drogę mówiła tylko o tobie. Zmusiła mnie, żebym co chwila jej powtarzał, że u ciebie wszystko w porządku, że jesteś bezpieczna i szczęśliwa. Potrzebowała zaledwie kilkunastu kilometrów, żeby się zorientować, że jestem w tobie zakochany. Wtedy musiałem się zatrzymać, by mogła sobie poprawić makijaż, ponieważ się popłakała.

- Wiem, że mnie kocha. - Zawstydziała się. - Ja też ją Kocham.

To tylko...

- Jeszcze nie skończyłem - powiedział Nate chłodno. - Powiedziała mi, że nie ma nic przeciwko Jackowi Mercy'emu, ponieważ obdarował ją czymś nadzwyczajnym. Fakt, że cię urodziła, całkowicie zmienił jej życie. Równocześnie stała się matką i kobietą interesu. Była zadowolona, że może tu wrócić.

Bardzo chciała zobaczyć wszystko jeszcze raz i poznać twoje siostry. Zobaczyć cię tutaj i wiedzieć, że robisz wszystko, by otrzymać to, co ci się należy.

Wyprostował się i popatrzył jej prosto w oczy.

- Powiem ci Tess, jak zareagowałem na Louellę Mercy. Jestem pełen podziwu dla kobiety, która otrzymała potężny policzek, a mimo to potrafiła się po nim pozbierać. Która sama wychowała córkę, zapewniła jej dom i prowadziła własny interes, żeby jej dziecko miało wszystko, co mieć powinno. Która wpoila swej córce hart ducha, dumę i dobroć. Absolutnie nie obchodzi mnie, czy do kościoła chodzi opakowana w celofan czy w złotko. Uważam, że to również nie jest twoja sprawa.

Po tych słowach wyszedł i zostawił Tess samą. Usiadła na brzegu łóżka. Poczula, że jest trochę pijana i bardzo bliska płaczu. Delikatnie rozłożyła szlafrok, potem wstała i zaczęła rozpakowywać walizki matki.

Kiedy w piętnaście minut później Louella wpadła do pokoju, Tess dojrzała już prawie do połowy.

- Po kiego czorta to robisz? Tam na dole jest przyjęcie.

- Nigdy nie kończysz się rozpakowywać. Myślałam więc, że przynajmniej zacznę.

- Nie zwracaj sobie tym głowy. - Louella chwyciła ją za rękę. - Próbuję ululać Bess. Jak będzie wstawiona, być może zacznie śpiewać.

- Naprawdę? - Tess usiadła obok porzuconej, jaskrawej, kłującej w oczy sukienki na lato. - Muszę to zobaczyć. - Potem odwróciła się i położyła rękę na ramieniu Louelli. Na tym ramieniu, pomyślała, które zawsze gotowe było służyć jej wsparciem i pomocą bez zbędnych pytań i jakichkolwiek zastrzeżeń. - Cieszę się, że cię widzę, mamó. Cudownie, że przyjechałaś. - W tym momencie głos jej się załamał. - Naprawdę bardzo się cieszę.

- Co ci jest?

- Nie wiem. - Tess pociągnęła nosem i cofnęła się. - Po prostu nie wiem.

- Musiało ci być bardzo ciężko. - Louella wyjęła wykończoną koronką chusteczkę i wytarła twarz córki.

- Tak, i to pod wieloma względami. Wygląda na to, że jestem bardziej roztrzęsiona niż myślałam. Przejdzie mi to.

- Wiem o tym. A teraz chodź na dół i przyłącz się do nas. - Louella objęła Tess w pasie i ruszyła do wyjścia. - Potem, wieczorem, otworzymy sobie francuskiego szampana i nadrobimy wszystkie zaległości.

- Bardzo chętnie. - Tess przytuliła się do Louelli. - Bardzo, bardzo chętnie.

- Mam nadzieję, że opowiesz mi również o tym drągalu, który wpadł ci w oko.

- Nate w tej chwili chyba mnie nie lubi. - Na myśl o tym ponownie łzy napłynęły jej do oczu. - A poza tym nie jestem zbyt pewna, czy sama się lubię.

- No cóż, to da się sprawdzić. - Louella zatrzymała się na schodach i przez chwilę wsłuchiwała się w głosy kobiece. - Lubię was oboje.

- To ja powinnam cię tu zaprosić - powiedziała Tess półgłosem. — Powinnam ściągnąć cię tu już wiele miesięcy temu. Jak mogłam dopuścić do tego, żeby to Willa cię tu zaprosiła? Nie zaproponowałam ci przyjazdu tutaj, ponieważ uważałam, że będziesz się źle czuć. Niestety, obawiałam się również, że to ja się będę czuć niezręcznie. Przepraszam.

- Kochanie, bardzo różnymy od siebie, jesteśmy jak dzień i noc.

Ale przecież i jedno, i drugie jest potrzebne. Bóg jeden wie, jak często drapię się po głowie z twojego powodu i jak często ty drapiesz się po głowie z mojego powodu.

Louella uścisnęła Tess.

- Posłuchaj tego szmeru głosów. Bardzo przypomina mi pogawędki moich chórzystek. Zawsze miałam słabość do kobiet, którym nie zamykają się usta. Nie mogę czuć się niezręcznie, gdy otaczają mnie kobiece głosy, a wokół trwają przygotowania do ślubu. A poza tym, podobają mi się twoje siostry, kochanie.

- Mnie też. - Tess uniosła głowę. - Nic nie może zepsuć nam ślubu.

On myślał tak samo. Słyszał kobiece rozmowy, śmiechy, dźwięki pięknej muzyki. Uśmiechnął się. Wyobraził sobie delikatną słodką Lily w otoczeniu kobiet, w centrum ich uwagi. Żyła tylko dzięki niemu. Od kilku tygodni pieścił w głębi serca słodką tajemnicę swego bohaterskiego czynu.

Uratował jej życie i teraz bardzo chciał, żeby wyszła za mąż.

Kiedy to wszystko zblednie, zawsze będzie mógł przypomnieć sobie, w jaki sposób zabił Jesse'a Cooke'a. Czasem, zasypiając, chętnie powraca pamięcią do tamtych chwil. Lubi przywoływać te wspaniałe, kolorowe marzenia pełne krwi.

Od tamtej nocy postępuje bardzo ostrożnie, i kiedy trudno mu zwalczyć potrzebę zabijania, idzie w góry, zaspokaja ją, a następnie swą ofiarę zakopuje. To dziwne, jak potężna bywa teraz ta potrzeba. Jest dużo mocniejsza niż głód czy pożądanie. Zdawał sobie sprawę, że wkrótce nie zaspokoi jej, zabijając tylko królika czy sarnę albo cielaka z pastwiska.

Będzie musiał zabić człowieka.

Ale na razie może się powstrzymać, musi nad tym zapanować aż do czasu, gdy Lily będzie po ślubie. Teraz łączy ich nierozzerwalna więź, a on zawsze jest lojalny w stosunku do osób, z którymi cokolwiek go łączy.

Nie chciał, aby Lily była niespokojna i obawiała się, że coś może zepsuć tę uroczystość. Dlatego z ogromną troską, starannie dobierając słowa, zupełnie jakby wykonywał jakieś ćwiczenie, napisał do niej karteczkę. Kiedy już to zrobił i kiedy tę wiadomość wsunął pod kuchenne drzwi, zrobiło mu się lżej na sercu.

Teraz Lily przestanie się już martwić. Będzie wiedziała, że ktoś nad nią czuwa. Mógł się w związku z tym rozluźnić i spokojnie słuchać szmeru kobiecych głosów. Mógł również marzyć o weselnych dzwonach, które oznajmią mu, że może znowu zamordować.

Kiedy niebo zaczerwieniło się nad zachodnimi szczytami, a przyjęcie dobiegło końca, któraś z przejeżdżających obok kobiet pomachała mu. W odpowiedzi uniół rękę. Po czym zaczął się zastanawiać, kogo wybierze, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Uważam, że powinnaś to zobaczyć. Po dniu pełnym atrakcji towarzyskich Willa miała właśnie zamiar położyć się do łóżka. Zaintrygowana tymi słowami uniosła brwi i spojrzała na przyniesioną przez Lily kartkę, którą ktoś wyrwał z notesu. Wystarczył jeden rzut oka, by zupełnie zapomnieć o zmęczeniu.

Nie chcę, żebyś się martwiła. Nie dopuszczę do tego, by coś się stało tobie, Adamowi albo twoim siostram. Gdybym wiedział, co zamierza JC, zabiłbym go wcześniej, nim zdążył napędzić ci strachu. Nie martw się o nic. Możesz spokojnie wziąć ślub. Będę na nim i zadbam o wasze bezpieczeństwo. Wszystkiego najlepszego. Przyjaciel

- Chryste! - Willa poczuła, że po plecach przebiegają jej dreszcze. - Skąd to masz? - Znalazłam tę kartkę pod drzwiami kuchennymi. - Pokazałaś ją Adamowi?

- Tak, natychmiast. Nie wiem, co o tym sądzić. Człowiek, który mi ją przysłał, zabił Jesse'a. I innych. - Wzięła kartkę od Willi i złożyła ją. - Mimo to wydaje mi się, że próbuje mnie uspokoić. Nie ma tu żadnej groźby, a jednak czuję się tak, jakby mi ktoś groził.

- Nic dziwnego. Przecież on był w twoim domu. - Zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju. - Cholera jasna! Niech to diabli wezmą! W ten sposób wróciliśmy do punktu wyjścia. To zostało podłożone dzisiaj, w czasie kiedy mnóstwo ludzi kręciło się po domu. To mógł być każdy. Niezależnie od tego, jak bardzo bym się starała, nie jestem w stanie zawęzić kręgu podejrzanych.

- On nie ma zamiaru skrzywdzić ani mnie, ani ciebie, ani Tess. - Lily nabrała głęboko powietrza, próbując się uspokoić. - Ani Adama. Wierzę mu. Ale, Will, przeraża mnie myśl, że on będzie na moim ślubie.

- Nie chcę, żebyś się martwiła. Wystarczy, że ja będę to robić. Naprawdę - dodała, kładąc spokojnie ręce na ramionach Lily. - Daj mi tę kartkę. Zajmę się wszystkim. Dopilnuję, żeby znalazła się w rękach policji. Za kilka dni bierzesz ślub. Spróbuj myśleć tylko o tym.

- Nie chciałabym, żeby dowiedzieli się o tym moi rodzice. Zastanawiałam się nad tym, przedyskutowałam wszystko z Adamem i zdecydowaliśmy, że pokażę to tylko tobie. Zostawiam ci wolną rękę. Zawiadam, kogo uznasz za stosowne. Ale nie chcę, żeby mama i tata niepotrzebnie się denerwowali.

- To ich nie dotyczy. - Willa położyła kartkę na serwantce. - Lily, ten ślub znaczy dla mnie tak samo dużo, jak dla ciebie. Jestem nim podwójnie zainteresowana. - Próbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej się to udało. - Przecież nie każdy może powiedzieć, że jego brat i siostra biorą ze sobą ślub. Przynajmniej nie w Montanie. Postaraj się być wspaniałą

panną młodą. To jest dla mnie niezmiernie ważne. - Nie boję się. Już teraz nie boję się tak bardzo. - Przycisnęła policzek do twarzy Willi. - Kocham cię. - Ja też.

Zamknęła drzwi za Lily i spojrzała na anonim. Co powinna, do diabła, teraz zrobić? Na pewno łóżko i odpoczynek muszą poczekać. Wzięła do ręki buty i podeszła do telefonu.

- Ben? Tak, tak, nie martw się, zostawiliśmy dla ciebie kawałek ciasta. Posłuchaj, mógłbyś wyświadczyć mi przysługę? Zadzwoń do tego gliniarza, który pracuje nad naszą sprawą i poproś go, żeby spotkał się ze mną u ciebie w domu. Muszę mu coś pokazać, a nie chcę robić tego tutaj. Nie. — Przytrzymała słuchawkę ramieniem, a równocześnie wkładała but. - Wyjaśnię ci wszystko, jak przyjadę. Już wyjeżdżam. Nie mam na to czasu - powiedziała, kiedy próbował się z nią sprzeczać. - Zablokuję drzwi samochodu, a na siedzeniu będę miała naładowaną strzelbę, ale wyjeżdżam natychmiast.

Odłożyła słuchawkę, żeby nie mógł na nią krzyknąć.

- Jesteś głupia, a na dodatek uparta jak osioł!

Willa przestała już liczyć, ile razy w ciągu ostatnich dwóch godzin Ben obrzucał ją takimi lub podobnymi epitetami.

- Musiałam to załatwić i załatwiłam. - Była mu wdzięczna za lampkę wina, którą zaproponował jej po wyjeździe policji. Nie przypuszczała, że będzie się bawił w gospodarza. - Przecież mogłem po ciebie przyjechać.

- I tak prawie to zrobiłeś - przypomniała mu. - Byłeś niemal w połowie drogi do Mercy, kiedy się na ciebie natknęłam. Mówiłam ci, że nic mi się nie stanie. Zresztą sam czytałeś tę kartkę. Nie ma tam żadnych gróźb.

- Bardzo groźny jest już sam fakt, że została napisana. Lily pewnie bardzo się przestraszyła.

- Nie, prawdę mówiąc, była całkiem spokojna. Bardziej myślała o tym, żeby nie denerwować jej rodziców. Dlatego nie będziemy im o niczym mówić. Sądzę natomiast, że będę musiała wciągnąć w całą sprawę Tess. Ona na pewno powie Nate'owi i na tym koniec.

Wypiła łyk wina, podczas gdy on niespokojnie chodził po pokoju. Zaczęła się rozglądać po części domu zajmowanej przez Bena i doszła do wniosku, że wszystko tu doskonale do niego pasuje. Ściany wyłożone były jasną boazerią, a na równie jasnej, drewnianej podłodze nie leżał żaden dywan ani chodnik. Ogromne, ciężkie meble miały gładkie granatowe obicia. Nigdzie nie było porzucanych poduszek ani babskich bibelotów.

Na sosnowym gzymsie nad kominkiem stały oprawione w ramki zdjęcia rodziny, a na półce, na której książki opierały się o siebie jakby były pijane, znajdowała się również kolekcja starych ostróg i spory kawał turkus.

Na stole leżał hak do usuwania kamieni z końskich kopyt, a obok oprawny w kość szczyryk i trochę drobnych.

Wszystko było proste i męskie. Zupełnie jak Ben, pomyślała. Potem doszła do wniosku, że dała mu już dość czasu na niespokojne chodzenie po pokoju i zrzęczenie.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za to, że mi w tym pomogłeś.

Jeśli będziemy mieli odrobinę szczęścia, może gliniarze dzięki temu listowi dojdą do tego, kto jest mordercą.

- To byłoby możliwe, gdybyśmy mieli do czynienia z filmem kryminalnym.

- No cóż, zrobiłam wszystko, co mogłam. - Odstawiła na bok w połowie opróżniony kieliszek i wstała. - Za niecały tydzień mam wesele, w domu roi się od gości, a zatem...

- Dokąd się wybierasz?

- Do domu. Powiedziałam ci już, że mam mnóstwo gości, a ranek niedaleko. - Gdy wyjęła kluczyki, Ben natychmiast wyrwał je z jej rąk. - Posłuchaj, McKinnon...

- Nie, to ty posłuchaj! - Rzucił kluczyki za siebie i po chwili zabrzączały, wpadając w kąt. - Dzisiejszej nocy nigdzie stąd nie wyjeżdżasz. Zostajesz tutaj i przynajmniej przez jedną noc będę miał cię na oku.

- O północy przejmuję wartę.

Podniósł telefon i wybrał numery.

- Tess? Tak, tu Ben. Willa jest u mnie. Zostaje na noc.

Zadzwoń do Adama i powiedz mu, żeby pozamieniał warty.

Odwiozę ją jutro rano. - Odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. - Załatwione.

- To ja zarządzam Mercy, Ben, a nie ty. Za siebie również ja odpowiadam. - Zrobiła krok w stronę kluczyków. Nagle pokój zawirował jej przed oczami i zorientowała się, że Ben trzyma ją na rękach. - Co w ciebie wstąpiło?

- Biorę cię do łóżka. Tam łatwiej sobie z tobą poradzę.

Zakłęła, zaczęła wierzgać nogami, a kiedy to zawiodło, odwróciła głowę i wbiła zęby w jego ramię. Zasyczał, ale nie zatrzymał się.

- To dziewczyny gryzą - powiedział, rzucając ją na łóżko. - Myślałem, że stać cię na więcej.

- Chyba zwariowałeś. Najpierw traktujesz mnie jak rozbrykane ciele, a potem sądzisz, że pójdę z tobą do łóżka. Nic z tego.

Poczuł ból w miejscu, gdzie go ugryzła, i mimo woli jęknął.

- Zobaczmy. — Odwrócił ją, przygniótł do łóżka i złapał mocno za nadgarstki. - Walcz ze mną. - Jego wyzwanie zabrzmiało niezwykle stanowczo. - Nigdy wcześniej nie

próbowaliśmy czegoś takiego. Może mi się spodoba. - Ty sukinsynu! - Zaczęła wierzgać nogami, próbowała się od niego odwrócić, a kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, ugryzła go. Przetoczył się z nią po łóżku, ale przez cały czas bardzo pilnował jej rąk i paznokci, za wszelką cenę starając się je trzymać z daleka od własnej skóry.

Próbowała wymierzyć mu cios kolaniem, ale na całe szczęście chybiła. Był niezmiernie zadowolony z tego powodu, choć mimo wszystko spocił się, widząc, jak niewiele brakowało.

Wolną ręką rozerwał jej koszulę, potem cienki bawełniany podkoszulek, ale przez cały czas w ogóle jej nie dotykał. Doszedł do wniosku, że to zmaganie się może być doskonałym sposobem na rozładowanie rosnącego od dłuższego czasu napięcia, które obydwójgu dawało się we znaki.

Nie otwierając oczu, leżała przyciśnięta jego ciężarem i ciężko dyszała. Przyszło mu na myśl, że może nie byłoby źle, gdyby nie skończyło się wcale na zmaganiu. - Puść mnie, tchórze.

- Jeśli będę musiał, Willo, przywiążę cię do łóżka. Ale nigdzie nie pojedziesz. A kiedy skończymy się kochać, będziesz spała jak niemowlę. - W nagłym przypiływie czułości dotknął wargami jej skroni, a potem policzka i brody. - Pozwól mi iść.

Uniósł głowę. Jej włosy rozrzucone były na ciemnozielonym sztruksie, którym przykryte było jego łóżko. Złość zaróżowiła jej policzki, oczy płonęły takim ogniem, że mógł go poparzyć.

- Nie mogę. - Oparł głowę o jej czoło i zastanawiał się, czy którekolwiek z nich będzie w stanie to zaakceptować. - Po prostu nie mogę.

Ponownie poszukał jej ust. Całował ją spokojnie i bez pośpiechu, wlał jednak w ten pocałunek cały żar i namiętność. W końcu poczuła, że drży i że to drżenie stopniowo opanowuje całe jej ciało.

- Nie rób tego. - Odwróciła głowę zbyt zmęczona, by móc dalej walczyć. - Nie całuj mnie w taki sposób.

- Żadnemu z nas nie jest łatwo. - Znowu zwrócił jej twarz ku sobie. Zauważył, że jej oczy są teraz ciemne, wilgotne i że pojawił się w nich żar. - Może być jeszcze trudniej. - Jego usta ponownie dotknęły jej warg i przywarły do nich, aż ogarnęła go potężna fala pożądania. - Boże, jak ja cię pragnę, Will. Jak to się, do diabła, stało?

Przytulił ją mocno do siebie, sprawiając, że zakręciło jej się w głowie, a serce ujawniło to, co było sekretem nawet dla niej samej. Ze szlochem wymówiła jego imię, uświadamiając sobie coś, co istniało w niej od dłuższego czasu, a z czego nawet nie zdawała

sobie sprawy.

Kiedy uniósł głowę, zupełnie innymi oczami spojrzała na tę twarz, którą знаła niemal od urodzenia.

- Puść moje ręce, Ben. - Nie walczyła, nie krzyczała, tylko powtórzyła: - Puść je.

Zrobił to. Najpierw rozluźnił uchwyt, a potem całkowicie ją uwolnił. Kiedy zaczął się podnosić, ujęła rękami jego twarz i przyciągnęła z powrotem do siebie.

- Pocałuj mnie jeszcze raz - powiedziała cicho. - Tak jak przed chwilą, kiedy prosiłam cię, żebyś tego nie robił.

Wykonał jej prośbę z przyjemnością. Pocałował ją żarliwie i przelał w ten pocałunek wszystkie swoje uczucia.

Odrzucił na bok jej podartą koszulę i spokojnie, łagodnie zaczął wędrować palcami po jej skórze. Poddała się całkowicie uczuciu wywołanemu przez te ślizgające się po niej ręce. Poddała się tym zatopionym w niej ustom. Uległa żarowi tego pochylonego, tulącego się do niej ciała.

Tej nocy da mu wszystko, czego tylko zażąda. Spełni wszystkie jego pragnienia. Udzieliła się jej jego cicha, niewypowiedziana determinacja. Była niezwykle szczęśliwa, że to właśnie ona ma w sobie to, czego on szuka.

O używaniu przemocy oboje zapomnieli. Teraz łączyły ich westchnienia i pomruki, szybkie pojękiwania, ciche szepty i dotyk ciał.

Księżyc wzeszedł niezauważenie, a nocny ptak śpiewał w jego blasku. Delikatny wiosenny wiatr podrzucał zasłonami i ochładzał ich rozpalone ciała.

Wydała długi, głęboki dźwięk, kiedy doszła do punktu kulminacyjnego, który zaiskrzył w niej jak srebro księżycowego blasku. Przysunął ją do siebie, tak że ciało dotykało ciała, dzięki temu mógł zagłębić dłonie w jej włosach i odgarnąć je z twarzy. Kiedy uśmiechnęła się, on uśmiechnął się również.

Trzymał ją w taki sposób przez chwilę, a ich serca były zgodnym rytmem, głowa spoczywała na jego ramieniu, a jego ręce w jej włosach. I wciąż trzymając ją blisko siebie, położył ją na plecach i wślizgnął się w nią.

Powoli i głęboko, tak że każdy ruch był jak delikatne muśnięcie. Obserwował jej reakcję i widział ciemniejące oczy, drżące wargi i nagły dreszcz rozkoszy. Przyspieszył jedwabiste mchy, doprowadzając ich oboje na krawędź.

Tym razem, kiedy z niej spadła, pozwolił się pociągnąć za sobą.

To był wspaniały dzień na ślub. Łagodny ciepły wiatr roznosił w dolinie zapach sosen i kwiatów, które Tess kazała poustawiać na brzegach werand i tarasów głównego budynku

mieszkalnego, domku Lily i Adama, a nawet zabudowań gospodarczych.

Na niebie nie było ani jednej chmurki, nic więc nie sugerowało, że może spaść deszcz albo, broń Boże, grad, taki jak ten, który dwa dni temu nie na żarty przestraszył Tess i Lily. Wierzba płacząca, która rosła nad stawem wykopanym i zarybionym na rozkaz Jacka Mercy'ego, osnuta była delikatną jasnozieloną mgiełką młodziutkich listków.

Parasole w paski osłaniały przed słońcem obficie zastawione stoły, śnieżnobiały baldachim ocieniał miejsce głównych uroczystości weselnych, a drewniana platforma, którą z radością pozbijali mężczyźni, spokojnie czekała na tancerzy.

Jest cudowny dzień, pomyślała Willa i starała się nie dostrzegać policjantów, którzy wtopili się w tłum gości.

— Widziałeś się w lustrze? - Z oczyma pełnymi łez Willa poprawiła Adamowi krawat.
- W tym smokingu wyglądasz jak z żurnala. - Nie była w stanie oderwać od niego wzroku. Poglaskała go po ramieniu. — To wielki dzień, prawda?

- Największy. - Zdjął łzę z jej rzes i przez chwilę jak mim udawał, że wkłada ją do kieszeni. - Zachowam ją na zawsze.

To cud, bo ty przecież nigdy nie płaczesz.

- To straszne, ale przez cały czas łzy same napływają mi do oczu. Obawiam się, że dzisiaj uronię ich sporo. - Wyjęła maleńki bukietik konwalii i wpięła mu w butonierkę. - Wiem, że powinien to zrobić pierwszy drużba, ale Ben ma takie ogromne łapska.

- Za to twoje drżą.

- Wiem. - Roześmiała się delikatnie. - Można by pomyśleć, że to ja wychodzę za mąż. A najgorsze jest to, że byłam zupełnie spokojna, dopóki nie ubrałam się w tę sukienkę.

- Pięknie w niej wyglądasz. - Ujął jej dłoń i położył na własnym policzku. - Pokochałem cię całym sercem, Willo, jeszcze zanim się urodziłaś. Zawsze będę cię kochał.

- O Boże! - Ponownie łzy napłynęły jej do oczu. Pospiesznie go pocałowała i odwróciła się na pięcie. - Muszę już iść. - Próbując na ślepo wybiec z domu, wpadła prosto na Bena. - Zejdź mi z drogi.

- Zaczekaj, pozwól na siebie popatrzeć. - Udając, że nie dostrzega jej łez, odwrócił ją dookoła i podziwiał skromną, błękitną sukienkę. - Proszę, proszę. Jesteś piękna jak dzwoneczek na łące. - Stał z jej policzka łzę. - Na dodatek wciąż jeszcze pokryty rosą.

- Daruj sobie te śmieszne gadki i zabierz się do wypełniania obowiązków pierwszego drużby. Naśladuj różne dźwięki, opowiadaj głupie kawały czy coś w tym stylu.

- Właśnie po to tu jestem. - Zanim zdołała się uwolnić, pocałował ją. - Pierwszy taniec należy do mnie. I ostatni - dorzucił, kiedy zmykała w pośpiechu.

Dlaczego tak się dzieje, pomyślała Willa, biegnąc w stronę domu. Dlaczego on tak bardzo na nią działa. Przypomniała sobie, że nie brak jej kłopotów, na dodatek ma tyle roboty. A poza tym, do jasnej cholery, wcale nie chce kochać Bena McKinnona. Chyba nie chce, poprawiła się i uderzyła ręką w czoło. Nie powinna reagować tak głupio i po babsku. Przecież to, że ze sobą sypiają, że on od czasu do czasu mówi takie miłe rzeczy albo dziwnie na nią patrzy, nie ma żadnego znaczenia. Nie powinna w związku z tym wyobrażać sobie, że go kocha.

Czas najwyższy, żeby z tym skończyć. Musi przestać tak reagować, zanim zrobi z siebie pośmiewisko. Albo zanim, broń Boże, zacznie usychać z żalu, latać za Benem czy wyobrażać sobie własny ślub.

Zatrzymała się przed drzwiami i mocno przycisnęła rękę do ściśniętego żołądka. Zrobiła wszystko, żeby się opanować, po czym weszła do środka. To, co zobaczyła, ponownie wytrąciło ją z równowagi. Louella sprowadzała po schodach łkającą Adelę. - Co się stało? Czy coś się stało? - Willa już chciała biec do stojaka na broń, ale Louella tylko się uśmiechnęła. - Nic się nie stało. Adela po prostu wczuła się w rolę matki panny młodej.

- Lily wygląda tak ślicznie, prawda, Louello? Jak anioł. Moja dziecinka.

- Jest najpiękniejszą panną młodą, jaką kiedykolwiek widziałam. Chyba najlepiej będzie, jeśli, zanim się to wszystko zacznie, otworzymy sobie butelkę szampana i wzniesiemy toast za jej zdrowie. - Poklepała Adelę. - Will, Lily prosiła, żebyś do niej przyszedł, gdy tylko się pojawisz. - Powinnam poszukać Roba.

- Mężczyźni nie przeżywają tego tak mocno, Addy. - Louella łagodnie popychała ją w stronę kuchni. - Upolujemy go, kiedy wychylimy toast za pannę młodą. Jeden albo dwa. Will, Lily na ciebie czeka. Zajrzyj do niej.

- Dobrze. - Potrząsnęła jednak głową, zdumiona i rozbawiona dziwną przyjaźnią, która połączyła te dwie, tak bardzo różne od siebie, żony Jacka Mercy'ego.

Wciąż jeszcze roztrzęsiona otworzyła drzwi tymczasowej sypialni Lily i oniemiała z wrażenia.

- Czy to nie jest cudowne? - promieniała Tess, poprawiając welon. - Prawda, że bajecznie wygląda? - O Boże! Lily! Naprawdę wyglądasz jak królowa z bajki. - Chciałam mieć białą suknię. - Olśniona własnym wyglądem Lily przeglądała się w lustrze. Kobieta po drugiej stronie była piękna. Miała na sobie pełną falbanek białą, atlasową suknię, ozdobioną uroczyimi koronkami i maleńkimi, lśniącymi perełkami. - Wiem, że to moje drugie małżeństwo, ale... - Wcale nie. - Tess wygładziła dłonią długie, dopasowane rękawy sukni ślubnej. - Jest jedyne, które się liczy, a w związku z tym pierwsze.

- Moje pierwsze małżeństwo. - Lily uśmiechnęła się, dotknęła palcami welonu, który opadał jej na plecy. - Wyobraźcie sobie, że prawie nie jestem zdenerwowana. Bardzo się bałam, że będę się denerwować.

- Mam coś dla ciebie. - Wystarczająco zdenerwowana za wszystkie trzy, Willa podała jej maleńkie aksamitne pudełeczko, które dotychczas trzymała za plecami. - Wcale nie musisz ich zakładać. Najprawdopodobniej masz już coś starego, coś nowego i wszystko, co nakazuje tradycja. Ale kiedy Tess powiedziała mi, że twoja suknia będzie ozdobiona perełkami, przypomniałam sobie o tych kolczykach. Należały do mojej babci. Naszej babci - poprawiła się i wręczyła prezent.

Lily otworzyła je i głęboko westchnęła. Na dnie pudełeczka leżały oprawne w filigran perły. Bez wahania wyjęła z uszu kolczyki, które kupiła, żeby mieć coś, co pasowałoby do sukienki, i zastąpiła je tymi, które dostała od Willi. - Są takie piękne. Idealne.

- Pasują do ciebie. - Zrobione zostały dla kogoś tak delikatnego jak Lily, pomyślała Willa z mieszanymi uczuciami dumy i zazdrości. A nie dla kobiety tak mocnej jak ona. - Sądzę, że gdyby żyła, sama by ci je dała. Nie znałam jej, ale... do diabła, znowu pocą mi się oczy.

- Pociesz się, że nie tylko tobie. Ale jestem w stanie coś na to poradzić. - Tess wsunęła Willi do ręki chusteczkę do nosa. - Zwędziłam butelkę szampana i ukryłam ją w łazience, żeby Bess się nie połapała. Uważam, że zasłużyliśmy sobie na kielicha.

Kiedy Tess wybiegła do sąsiedniej łazienki, Willa roześmiała się.

- Ma to po matce.

- Dziękuję, Willo. - Lily dotknęła pereł zwisających jej z uszu.

- Nie tylko za to, lecz za wszystko.

- Nie zaczynaj wszystkiego od nowa, Lily. Właśnie przed chwilą zwałam, żeby móc choć trochę osuszyć łzy. Cieszę się tu określoną reputacją i powszechnie wiadomo, że nie jestem beksą. - Kiedy wystrzelił korek butelki i odgłos ten odbił się echem od kafelków, którymi wyłożona była łazienka, Willa poczuła ogromną ulgę. - Jeśli ludzie dojdą do wniosku, że przy byle okazji się mażę, nie dadzą mi żyć.

- A oto i szampan. - Tess przyniosła trzy wysokie kieliszki i butelkę, z której wpływała piana. - Za co wypijemy? - Napełniła kieliszki po brzegi i podała je siostrze. - Za prawdziwą miłość i małżeńskie rozkosze.

- Nie, najpierw... - Lily wzięła swój do ręki. - Za kobiety z Mercy. - Dotknęła nim kieliszków Willi i Tess. - Przeszliśmy bardzo długą drogę w krótkim czasie.

- Za to mogę wypić. - Tess uniosła brwi. - A ty, Will?

- Ja też. - Willa brzegiem swojego kieliszka stuknęła o kieliszek Tess i uśmiechnęła się, widząc najwspanialszy kryształ. Zostaw Hollywood wolną rękę, a na pewno przyniesie najlepsze szkło.

Uśmiechając się, Lily zamoczyła wargi w szampanie.

- Ale ja mogę wypić tylko małeńki łyżeczek. Alkohol szkodzi dzieciom.

- Dzieciom? - Tess i Willa zakrztusiły się dokładnie w tym samym momencie.

Ciesząc się wywołanym wrażeniem, Lily zwilżyła język w pianie i powiedziała:

- Jestem w ciąży.

Nieco później Willa doszła do wniosku, że nigdy nie widziała nic bardziej uroczego niż ubraną w swą bajeczną suknię Lily, kroczącą dumnie po zakurzonej drodze wiodącej przez ranczo. Szła wsparta na ramieniu mężczyzny, który zastąpił jej ojca, w stronę mężczyzny, który miał zostać jej mężem.

Państwo młodzi powtórzyli cudowne słowa przysięgi, a potem już jako mąż i żona wymienili pierwszy pocałunek. Dokoła rozległy się wiwaty. W tym momencie Willa całkowicie zapomniała, że istnieje coś oprócz piękna i szczęścia. Sama zaczęła wznosić głośne okrzyki.

Pomyślała o dziecku i zaczęła się zastanawiać nad przyszłością.

- Jak daleko jesteś tym razem? - wyszeptał Ben do jej ucha.

Wyrwana z zadumy spojrzała na niego i prawie potknęła się o jego nogę.

- Słucham?

- Byłaś myślami gdzieś bardzo daleko.

- Och! Przecież wiesz, że kiedy tańczę, muszę się bardzo skoncentrować. Zgubiłam rytm.

- Nie doszłoby do tego, gdybyś pozwoliła się poprowadzić. Tak czy inaczej, to nie to.

- Przynął ją bliżej do siebie. - Boisz się, że on tu jest?

- Oczywiście. Spoglądam na twarze, które znam, na ludzi, których wydaje mi się, że znam, i zastanawiam się, kto to jest. Gdyby nie ten cholerny testament, Adam i Lily mogliby wyjechać na kilka tygodni w prawdziwą podróż poślubną. Mogłabym się przez jakiś czas nie martwić o dwie osoby. - Gdyby nie ten cholerny testament, nie byłoby w perspektywie żadnej podróży poślubnej - przypomniał jej. - Nie myśl o tym, Will. Dzisiaj nic się tu nie wydarzy.

- Już nie myślę. Popatrz, wyglądają na tak szczęśliwych. - Odwróciła głowę, żeby ponownie zobaczyć pana młodego i pannę młodą wirujących w tańcu. - Zabawne, rok temu w ogóle się nie znali. A teraz są już po ślubie.

- I spodziewają się dziecka. Tym razem rzeczywiście się potknęła.

- Skąd wiesz?

- Adam mi powiedział. - Uśmiechnął się, a ponieważ zdenerwowało go, że co chwila ktoś kopie go w kostkę, podprowadził ją do stołu. - Myślę, że gdyby był jeszcze trochę bardziej szczęśliwy, musiałby się rozdziwić, by udźwignąć to szczęście.

- Chcę, żeby zawsze byli szczęśliwi. - W tym momencie miała ogromną ochotę dotknąć małego pistoletu, który przymocowała do uda. To była żalosna, dziewczęca broń, ale pewnie się czuła wiedząc, że mają przy sobie. - Lepiej zacznij się udzielać towarzysko, Ben, i zatańcz z paniami, których tu dzisiaj nie brakuje. Inaczej ludzie wezmą nas na języki. Roześmiał się i uniósł jej brodę. Willa, mimo że taka bystra, w ogóle nie dostrzegała pewnych spraw, zwłaszcza jeśli dotyczyły one jej osoby.

- Kochanie, ludzie już i tak plotkują na nasz temat. - Podobało mu się, kiedy ponurym wzrokiem obrzuciła gości, jakby chciała złapać kogoś na gorącym uczynku. - Ja się tym w ogóle nie przejmuję.

- Nie lubią, kiedy ludzie mnie obgadują. - Kiwnięciem głowy pokazała na Tess i Nate'a. - A co mówią na to? - Że Nate złapał szczerwaną sztukę i że będzie musiał bardzo się postarać, by ją utrzymać. Proszę, a oto kobieta, która naprawdę potrafi tańczyć. - Od przechodzącego kelnera porwał dwa kieliszki i jeden wysunął w stronę Louelli. Była w jaskrawej różowej sukience i chociaż miała obcasy tak wysokie jak drapacze chmur, niezmordowanie tańczyła z ojcem Bena. Przynajmniej dziesięciu kowbojów trzaskało obcasami i czekało na swą kolejkę.

- To twój ojciec.

- Tak.

- Popatrz, jak tańczy.

- Przez najbliższy tydzień wszystko go będzie bolało, ale to i tak nie umniejszy jego szczęścia.

Śmiejąc się, Willa chwyciła Bena za rękę i odsunęła go, żeby lepiej widzieć. A tymczasem jakiś kowboj z sąsiedniego rancza odbił Louellę i porwał ją w ognisty taniec. Stu McKinnon wyjął chustkę i wytarł spoconą, zaczerwienioną twarz.

- Oni wszyscy padną, a ona jeszcze będzie tańczyła -przewidywała Tess.

Nate mrugnął do Bena i przyglądał się, jak Stu kuśtyka po piwo.

- Umiesz tak tańczyć jak ona?

- Jeszcze za mało wypiałam, żeby to robić. - Wzięła kieliszek Willi, wychyliła jego zawartość i oddała jej pusty. — Daj mi trochę czasu.

- Nie ma sprawy, jestem bardzo cierpliwym człowiekiem. To najlepszy ślub, na jakim

byłem w życiu, Will.

Zorganizowałyście wszystko fantastycznie. - Kiedy Louella wpadła na niego, odchrząknął.

- Kolej na ciebie, przystojniaczku.

- Louello, nie dotrzymałbym ci kroku, nawet gdybym miał cztery nogi. Chyba w tej twojej restauracji wszyscy bez przerwy podrygują.

- Do diabła! To nie restauracja! - ryknęła i chwyciła go za rękę.

- Złotko, ja prowadzę lokal ze striptizem. Pozwól, że ci pokażę kilka kroków.

- Lokal ze striptizem? - Nate został wywleczony na parkiet, a Willa uniosła brwi.

- O cholera! - Tess ciężko westchnęła. - Przynieś mi następnego drinka, Ben. Potrzebuję go. - Już się robi.

- Lokal ze striptizem? - powtórzyła Willa. - No to co? W ten sposób też można zarabiać.

- Jak to wygląda? To znaczy, czy one zdejmują z siebie wszystko i tańczą kompletnie nago? - Jej oczy zaokrągliły się, ale nie ze zdziwienia, lecz z zafascynowania. - Czy Louella...

- Nie. - Tess chwyciła kieliszek od Bena i jednym haustem wypiła jego zawartość. - Przynajmniej nie od chwili, kiedy stała się właścicielką tego lokalu.

- Nigdy nie byłam w takim miejscu. - To chyba nie byłoby ciekawe, zastanawiała się Willa. - Czy są tam również mężczyźni? Czy również mężczyźni tańczą nago?

- Och! Dobry Boże! - Tess przekazała drinka Willi. - Tylko podczas damskich wieczorów. Muszę ocalić Nate'a, zanim wylądaje przez nią na wyciągu.

- Damski wieczór. - Ten pomysł bardzo się Willi spodobał. - Myślę, że chętnie zapłaciłabym za to, żeby widzieć mężczyznę tańczącego na golasa. — Zastanawiając się, jakby to było, odwróciła głowę i spojrzała na Bena.

- Nie, za żadne pieniądze.

Przyszło jej jednak na myśl, że mogłaby to zobaczyć dzięki nieco innej zapłacie. Ze śmiechem objęła go w pasie i obserwowała widowisko.

On również je obserwował. I był szczęśliwy. Panna młoda była piękna, zaróżowiona i rozpromieniona. Cudownie wyglądała w białej sukni i welonie. Orkiestra grała głośno, a jedzenia i picia było pod dostatkiem.

Był niezwykle dumny, a równocześnie wzruszony.

Ten dzień mógł nadejść tylko dzięki niemu. Ta myśl sprawiała mu ogromną radość, chociaż nie mógł się nią z nikim podzielić. Przez całe życie tak wiele rzeczy działo się niezależnie od niego, nie miał na nic wpływu. To jednak była jego zasługa.

Być może nikt nigdy się o tym nie dowie. Może nawet zabierze ten sekret za sobą do grobu. Zupełnie jak bohater z książki - coś w rodzaju Robin Hooda, który nie odnosił żadnych osobistych korzyści.

Co by było, gdyby się dowiedzieli?

Ocalenie Lily zmieniło kierunek, w którym podążał, jego cel.

Ale nie środki.

Śmieszyło go, że policjanci spacerują wśród tłumu gości. Szukają go. Myślą, że uda im się.

Nigdy im się to nie uda.

Wyobrażał sobie, że już zawsze, przez całe życie będzie zabijał dla przyjemności.

Ktoś na niego wpadł. Jakaś piękna kobieta. Nawet zaczęła go kokietować. Nawiązał rozmowę, sprawił, że zaczęła się śmiać, a w końcu zaróżowioną poprowadził do tańca.

Przez cały czas nie przestawał się zastanawiać, czy mogłaby być następną ofiarą.

Jej wspaniałe czerwone włosy byłyby pięknym trofeum.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Tym razem wybrał sobie rudą dziwkę, ponieważ przypominała mu piękną, płomiennowłosą dziewczynę, z którą tańczył na weselu Lily. Bez trudu poradził sobie z prostytutką. Był jednak z tego powodu trochę zawiedziony i uważał, że poszło mu zbyt łatwo.

Ale przecież tak długo na to czekał.

Powstrzymywał się aż do wyjazdu rodziców Lily i matki Tess. Uważał, że nie ma sensu wywoływać paniki, kiedy tak dużo ludzi kręci się po domu.

Rodzina Lily została jeszcze przez tydzień, a matka Tess dziesięć dni. Wszyscy jednogłośnie orzekli, że bardzo będzie im brakowało Louelli, zwłaszcza jej zaraźliwego, donośnego śmiechu i niewybrednych żartów.

A także tych krótkich spódniczek, które uwielbiała nosić.

Ta kobieta to niesamowity numer. Miał nadzieję, że wkrótce znowu przyjedzie do Mercy. Polubił ją, wszystkich ich polubił. Krewni są jak przestępcy zawsze trzymają się razem, mawiała jego matka. Dotychczas serdecznie się z tego śmiał.

Krewni są jak przestępcy.

Teraz ostatni goście już powyjeżdżali i życie na ranchu powróciło do normy. Utrzymywała się piękna pogoda. Bardzo się cieszył z tego powodu. Rośliny uprawne wspaniale rosły, chociaż na pewno przydałoby im się trochę deszczu. Jednak doskonale wiedział, że deszcz w Montanie może być świętem, ale może też oznaczać głód.

Gdzieś na zachodzie kilka razy zagrzmiało, ale na razie przez cały czerwiec nie spadła ani kropla. Mimo to strumienie płynęły normalnie, w górach śnieg obficie topniał i nie było powodów do zmartwienia.

Bydło pasące się na pastwiskach było coraz grubsze, a tegoroczne cielęta rosły jak na drożdżach. Po okolicy znowu kręciło się stado wapiti. Te huncwoty często niszczyły ogrodzenie i sprawiały mnóstwo kłopotów. Poza tym zawsze istniała groźba, że przeniosą na stado jakieś choroby, ale tym wszystkim zajmowała się Willa.

Uważnie śledził wprowadzane przez nią innowacje. Doszedł do wniosku, że słusznie postąpiła, siejąc naturalną trawę i próbując stopniowo ograniczać środki chemiczne oraz hormony wzrostu. Zaaprobował większość podjętych przez nią decyzji, chociaż na pewno Jack nie zgodziłby się z nimi.

Długo rozważał wszelkie za i przeciw, ale teraz był już przekonany, że stary Mercy dobrze postąpił, pozostawiając wszystko w rękach Willi. Wciąż nie podobało mu się, że McKinnon i Torrence mają prawo głosu w sprawach dotyczących rancha, ale Willa świetnie

radzi sobie również i z nimi. Poza tym już za parę miesięcy przestaną wsadzać nos w nie swoje sprawy.

Zaczął troszczyć się o Lily i Tess, nie było jednak w tym nic dziwnego, ponieważ, jak zawsze mawiał, bliższa koszula ciału. Teraz nawet był w stanie wyobrazić sobie, że cała rodzina mieszka razem w Mercy.

Zawsze należy trzymać się rodziny. Uczył się tego od kołyski, a potem robił, co mógł, żeby to urzeczywistnić. Serdecznie żałował, że sprawił im ból. Tłumaczył sobie, że to wszystko przez żal i wściekłość, przez krzywdę, którą mu wyrządzono. Teraz jednak zdecydowanie całą winą obarczył Jacka i zemścił się na nim.

Zrobił to w taki sposób, że na samo wspomnienie wciąż jeszcze płakał i śmiał się równocześnie.

Teraz nadszedł czas na większą zdobycz, dlatego zdecydował się na rudowłosą dziwkę.

W Bozeman poderwał oddającą się za dwadzieścia dolarów uliczną prostytutkę. Na pewno nikt nie będzie za nią tęsknił, być może nikt nawet nie zauważy, że gdzieś przepadła. Była bardzo drobna i głupia jak but, ale miała niesamowite usta i potrafiła zrobić z nich użytek. Kiedy w kabinie łazika z twarzą ukrytą między jego udami pracowała na pierwszej dwudziestkę, pogłaskał ją delikatnie po długich, rudych włosach.

Najprawdopodobniej były farbowane, ale to się w ogóle nie liczyło. Miały ładny, zdecydowany kolor i były czyste. Marząc o tym, co niedługo nastąpi, odchylił głowę do tyłu, przymknął oczy i pozwolił jej zarabiać na utrzymanie.

- Masz niezły ten interes, kowboju - powiedziała, gdy było już po wszystkim. - Powinnam policzyć sobie więcej za każdy dodatkowy centymetr. - Zawsze mówiła coś takiego po ukończeniu tego typu roboty. Dzięki temu zyskiwała zazwyczaj dodatkowy, całkiem niezły napiwek, a w najgorszym razie promienny uśmiech. I tym razem się nie zawiodła. Błysnął zębami i uniósł pośladki, by sięgnąć po portfel.

- Mam tu, kochanie, następną pięćdziesiątkę, ale chciałbym, żebyśmy się trochę przejechali.

Jak każda kobieta trudniąca się tą profesją, była bardzo ostrożna. Mimo to chciwie wpatrywała się w twarz nieżyjącego już od dawna prezydenta, widoczną na banknocie, który trzymał między palcami. - Dokąd?

- Jestem wiejskim chłopakiem, miasto mnie przytłacza. Poszukajmy sobie jakiegoś miłego, spokojnego miejsca, a wówczas postaramy się, by wszystkie sprężyny skrzypiały w tym starym gracie. - Ponieważ jeszcze się wahała, pogłaskał ją po włosach. - Jesteś piękna.

Przypomnij mi, jak masz na imię. Rzadko się zdarzało, by klienci pytali ją, jak ma na imię, dlatego w tym momencie trochę bardziej go polubiła. - Suzy.

- To co w takim razie, Suzy Q? Przejedziesz się ze mną? Wyglądało na to, że jest zupełnie nieszkodliwy, a poza tym ona ma przecież w torebce naładowany pistolet kaliber 25.

Uśmiechnęła się wstydliwie. - A założysz gumkę, kowboju?

- No pewnie. - Z całą pewnością nie wsadziłby już swego fiuta w uliczną dziwkę bez zabezpieczenia. W obecnych czasach byłoby to niemal równoznaczne z podejrzeniem sobie żył. - Nigdy za mało ostrożności. Mrugnął okiem patrząc, jak jego pięćdziesiątka znika w błyszczącej winylowej torebce. Włączył silnik i wyjechał z Bozeman.

Była piękna noc, a pusta droga kusila, żeby nacisnąć gaz do dechy. Mimo to jechał spokojnie i wtórował śpiewającemu w radiu Billy'emu Rayowi Cyrusowi. Kiedy wokół zapanowała nieprzenikniona, wiejska ciemność, poczuł się bardzo szczęśliwy. - Jesteśmy już wystarczająco daleko, jak na pięćdziesiątaka. - Zaczynała denerwować ją cisza i brak światła. Zdawała sobie sprawę, że w pobliżu nie ma ludzi.

Jeszcze nie, pomyślał i uśmiechnął się do niej.

- Znam takie miejsce, może dziesięć kilometrów stąd. - Kierując jedną ręką, sięgnął pod siedzenie. Z rozbawieniem obserwował, jak odsunęła się i złapała torebkę. Wyciągnął butelkę taniego wina, które wcześniej odpowiednio spreparował. - Napijesz się, Suzy?

- No cóż... może. - Klienci rzadko proponowali jej wino, rzadko też mówili, że jest ładna i zwracali się do niej po imieniu. - Ale tylko dziesięć kilometrów, nie więcej, kowboju - powiedziała i przytknęła butelkę do warg. - Potem się zabawimy.

- Ja i mój kumpel nie możemy się już doczekać. - Klepnął się po kroczu i nastawił głośniej radio. - Znasz ten kawałek?

Znowu łknęła, roześmiała się i zaczęła śpiewać razem z nim i Clintem Blackiem.

Była nieduża, nie ważyła nawet pięćdziesięciu kilogramów.

Po niecałych dziesięciu minutach środek nasenny zaczął działać.

Żeby nie rozlała tego, co zostało w butelce, ostrożnie wyjął jej szkło z niepewnych rąk. Gwiżdżąc zjechał na pobocze.

Opadła w kącie, ale uniósł jej powiekę, żeby nabrać pewności, czy wszystko jest w porządku, po czym kiwnął głową. Wysiadł, wylał resztę zaprawionego wina i daleko odrzucił pustą butelkę. Kiedy podchodził do platformy łazika, żeby wziąć sznur, usłyszał dźwięk rozbijającego się szkła.

- Wcale nie musimy tam jechać, Will. - Adam przyglądał się siostrze, kiedy prowadzili swoje konie wzdłuż wąskiego strumienia.

- Ale ja chcę. Ze względu na ciebie. - Zatrzymała się i pozwoliła Moon napić się wody. - Również ze względu na nią.

Wiem, że nie pojawiam się zbyt często na jej grobie. Zawsze mi coś stawało na przeszkodzie.

- Przecież nie musisz przychodzić na grób naszej matki, żeby ją sobie przypomnieć.

- Widzisz, w ogóle jej nie pamiętam. I to mnie bardzo dręczy.

Wiem tylko tyle, ile ty mi o niej opowiedziałeś.

Odchyliła głowę do tyłu. Było wspaniałe popołudnie i odczuwała miłe znużenie. Trochę bolały ją plecy. To skutek rozwijania zwojów drutu i naprawiania ogrodzenia.

- Nie jeździłam tam zbyt często, ponieważ zawsze wydawało mi się to bezsensowne. Jak można stać i patrzeć na kawałek ziemi czy kamienia, nie mając żadnych wspomnień. Nie mogąc niczego wydobyć z pamięci. - Popatrzyła na przelatującego obok ptaka, który ścigał się z lekkim wietrzykiem. - Teraz zaczęłam myśleć o tym trochę inaczej. To dlatego, że widziałam Lily i Tess z ich matkami. Myślę również o dziecku, które urodzi Lily. Po prostu zaczęłam myśleć o ciągłości.

Odwróciła się do niego. Na jej twarzy malował się niezwykle spokój.

- Dotychczas ciągłość wiązała się dla mnie jedynie z ziemią, z porami roku i pracą, którą trzeba było wykonać. Jeżeli zastanawiałam się nad dniem wczorajszym albo jutrzejszym, zawsze były to myśli związane z ranczem.

- Kochasz tę ziemię, Willo, to jest twój dom. To jesteś ty.

- Tak, to zawsze była prawda. Ale teraz zaczęłam myśleć również o ludziach. Nigdy tego wcześniej nie robiłam, a jedynym wyjątkiem byłeś ty. - Ujęła go za rękę. - Ty zawsze byłeś przy mnie. Moje wspomnienia wiążą się z tobą.

Pamiętam, jak mnie nosiłeś na rękach, jak jeździłam na twoich plecach na barana, jak opowiadałeś mi bajki.

- Byłaś i zawsze będziesz radością mego życia.

- Będziesz fantastycznym ojcem. - Po raz ostatni uścisnęła jego dłoń i ponownie zaczęła prowadzić Moon. - Doszłam do wniosku, że ciągłość to nie tylko ranczo i że nie wszystko zawdzięczamy ziemi. To przecież matce zawdzięczam własne życie i ciebie, zawdzięczam jej również to dziecko, które kiedyś będzie mnie nazywało ciocią. Przez chwilę milczał. - Nie tylko jej to zawdzięczasz.

- No właśnie. - Doszła do wniosku, że Adam ją zrozumie. Zawsze ją rozumiał. - Zawdzięczam to również Jackowi Mercy'emu. Nie odczuwam już złości, został mi jedynie smutek. Zawdzięczam mu własne życie i życie moich siostr, a zatem także to dziecko. Jestem

mu za to wdzięczna. Być może również w jakiś sposób zawdzięczam mu to, kim jestem. Gdyby on był inny, ja również nie byłabym taka, jaka jestem. - A co z dniem jutrzejszym, Will? Co z twoją przyszłością? Dotychczas myślała tylko o porach roku i pracy, którą należy wykonać. I o ziemi czekającej bez końca. - Sama nie wiem.

- Czemu nie powiesz Benowi, co do niego czujesz? Westchnęła i przez moment zapragnęła, aby istniał taki zakamarek jej serca, którego choć raz nie poznałby Adam. - Jeszcze nie zdecydowałam, co do niego czuję. - To nie jest sprawa, w której twoja decyzja miałaby jakiegokolwiek znaczenie. - Uśmiechnął się i ruszył kłusem do przodu. - Ani jego.

A cóż to, do diabła, ma znaczyć, zastanawiała się. Zmarszczyła brwi i ponagliła Moon, żeby dogonić Adama.

- Nie zaczynaj bawić się ze mną w zagadki. Pamiętaj, że tylko w połowie jestem Czarną Stopą. Jeśli coś chcesz mi powiedzieć... Kiedy uniósł rękę, nagle zamilkła. Bez pytania podjechała do niego i spojrzała w stronę pochylających się na cmentarzu nagrobków. Nagle poczuła ten zapach. Zapach śmierci. Ale w tym miejscu nie powinno to nikogo dziwić. Prawdę mówiąc, był jeszcze jeden powód, dla którego tak rzadko tu przyjeżdżała.

Jednak w tym momencie zobaczyła, co się stało, a właściwie jeszcze zanim zobaczyła, już wiedziała. Ponieważ stara śmierć jest cicha i pokrywają ją gruba warstwa kurzu. A świeża śmierć krzyczy.

Powoli podprowadzili konie i w milczeniu zsiadli z nich. Tylko wiatr szumiał wśród wysokich traw, a gdzieś tam śpiewały ptaki.

Ktoś zbeczczył grób jej ojca. Równocześnie poczuła wstręt i zabobonny strach. Nie można bezkarnie znieważać zmarłych. Zadrżała i zaczęła cicho nucić starą, indiańską pieśń, mającą uspokoić rozgniewane duchy.

Potem, żeby się opanować, odwróciła się i spojrzała na ziemię, która ciągnęła się aż po horyzont.

Niezbyt subtelne przesłanie, pomyślała, kiedy odraza zamieniła się we wściekłość. Na grobie leżał okaleczony skunks, a jego krew poplamiała kępkę młodej trawy. Ktoś odciął mu głowę, a potem starannie ułożył ją u stóp płyty nagrobnej.

Sam nagrobek został posmarowany krwią, która w promieniach słońca zdążyła już zbrązowieć. W poprzek rzeźby ktoś napisał:

Umarł, ale nie został zapomniany

Kiedy Adam położył dłoń na jej ramieniu, drgnęła niespokojnie.

- Wróc nad strumień, Willo. Zajmę się tym. Ugięły się pod nią kolana i miała ogromną ochotę zrobić tak, jak prosił - wskoczyć na konia i odjechać stąd jak najprędzej. Ale

wciąż jeszcze kipiała w niej wściekłość, a gdzieś w głębi duszy tkwiła pamięć o długu, który właśnie nie tak dawno sobie uświadomiła.

- Nie, on był moim ojcem. W moich żyłach płynie jego krew. Ja to zrobię. - Odwróciła się i zaczęła grzebać w sakwie. - Dam sobie radę. Muszę to zrobić.

Wyjęła stary koc i trochę się rozładowała, rozrywając go na kawałki. Potem włożyła rękawice. Jej spojrzenie było chłodne i twarde.

- Niezależnie od tego, jaki był i co zrobił, nie zasłużył sobie na coś takiego.

Wzięła kawałek koca, uklękła obok grobu ojca i zaczęła usuwać odrażające szczątki skunksa. Żołądek podszedł jej do gardła, ale ręce nawet nie zdrząły przy tej przykrej robocie. Kiedy skończyła, zdjęła zaplamione krwią rękawice i rzuciła je na stertę. Zawiązała starannie tobolek i odłożyła go na bok.

- Ja to zakopię — powiedział półgłosem Adam.

Kiwnęła głową na znak zgody i wstała. Wodą z manierki zmoczyła kawałek koca, po czym z powrotem uklękła i zaczęła zmywać krew z nagrobka.

Mimo usilnych starań, nie zdołała usunąć wszystkich śladów. Będzie musiała wrócić tutaj jeszcze raz z jakimś płynem do czyszczenia i dużą ilością szmat. Ale zrobiła, co mogła. Skuliła się, ściskając lodowate i otarte do krwi ręce.

- Myślałam, że cię kocham - wymamrotała. - Potem wydawało mi się, że cię nienawidzę. Ale daleka byłam od okrucieństwa i bezwzględności. - Zamknęła oczy i próbowała uwolnić się od tego potwornego smrodu. - Teraz już wiem, że przez cały czas chodzi o ciebie. To nie ja jestem celem, lecz ty. Dobry Boże, co ty takiego zrobiłeś?

- Daj rękę. - Adam pomógł jej wstać. - Wypij trochę - powiedział i zaproponował jej swoją manierkę.

Nabrała wody w usta i długo je płukała, starając się pozbyć wstrętnego smaku. Pomyślała, że na grobie matki kwitną kwiaty. A grób ojca jest splamiony krwią.

- Kto aż tak bardzo go nienawidził, Adamie? I dlaczego? Kogo zranił bardziej niż mnie i ciebie? Bardziej niż Tess i Lily?

Kogo zranił bardziej niż własne dzieci, których w ogóle nie chciał znać?

- Nie wiem. - Teraz jego jedynym zmartwieniem była Willa, dlatego delikatnie podprowadził ją do konia. - Zrobiłaś już wszystko, co mogłaś. Jedziemy do domu.

- Dobrze. - Uginały się pod nią nogi i obawiała się, że lada chwilą mogą odmówić jej posłuszeństwa. - Jedziemy do domu. Kiedy ruszyli na zachód, w stronę Mercy, niebo zaplamiło się na czerwono, tak samo jak grób.

W dzień Święta Niepodległości przypadający czwartego lipca nie tylko puszczano

sztuczne ognie, rzucono lassem, urządzano wyścigi, ujeżdżano konie i byki, a także organizowano całą masę innych atrakcji. Od ponad dziesięciu lat rancza Mercy i Three Rocks były kolejno inicjatorami konkursu dla pracowników i wszystkich kowbojów, którzy nie wyjechali gdzieś dalej na świąteczne widowiska.

Tym razem gospodarzem miało być Mercy. Willa uważnie wysłuchała Bena, który prosił, żeby w tym roku przenieść konkurs do Three Rocks, potem rady Nate'a, żeby w ogóle go odwołać. Po krótkim zastanowieniu odrzuciła obie te propozycje.

To przecież jest tradycja.

Ludzie tłumnie więc oblegali ogrodzenia, zagrzewając do walki swych zawodników. Kowboje, którzy zostali wyrzuceni z siodła i polecili na ziemię, otrzepywali spodnie, po czym od nowa stawali w szranki. Na pobliskim pastwisku w drugą fazę wkraczały wyścigi na beczkach. Niedaleko obory słychać było stukot końskich kopyt, a w powietrzu ze świstem śmigały lassa.

Na podwórku ustawiono estradę z czerwonymi, białymi i niebieskimi chorągiewkami. Od czasu do czasu ktoś przerywał muzykę i ogłaszał wyniki jakiejś konkurencji. Skonsumowano wiadra sałatki ziemniaczanej, samochody pieczonych kurczaków, wypito beczki piwa i mrożonej herbaty.

Oprócz kości, złamanych zostało kilka serc.

- Widzę, że będziemy walczyć ze sobą w strzelaniu do celu - skomentował Ben, obejmując Willę w pasie.

- Przygotuj się na to, że przegrasz.

- Założysz się?

Przekrzywiła głowę.

- A o co?

- Może... - Zrobił zabawną minę, nachylił się do jej ucha, aż zderzyły się ich kapelusze i wyszeptał coś, co sprawiło, że spojrzała na niego zaskoczona.

- Chyba coś zmyślasz - zdecydowała. - Przecież nikt nie przeżyłby czegoś takiego.

- Tchórz cię obleciał?

Poprawiła kapelusz.

- Jeśli chcesz zaryzykować, McKinnon, ja podejmuję wyzwanie. Teraz czeka cię jeszcze ujeżdżanie koni, prawda?

- Właśnie zmierzam w tamtym kierunku.

- Idę z tobą. - Uśmiechnęła się słodko. - Postawiłam dwadzieścia dolarów na Jima.

- Obstawiaś mojego przeciwnika? - To była dla niego prawdziwa zniewaga. - Jak

mogłaś, Willo.

- Obserwowałam Jima podczas ćwiczeń. Ham był jego trenerem. - Szła obok niego. Wcale nie miała zamiaru mu mówić, że równocześnie pięćdziesiąt dolarów postawiła na Bena McKinnona. Jeszcze mógłby sobie to za, bardzo wziąć do serca.

- Cześć, Will. - Odrobina krwi zasychała na policzku Billy'ego, mimo to uśmiechnął się promiennie do Willi, przez cały czas obejmując ramieniem blondynkę w dżinsach na szelkach. - Jim jest już na ujeżdżalni.

- Właśnie po to tu przyszłam. - Oparła nogę o poręcz. - Jak ci leci?

- Tak sobie. Cholera! - Pochylił obolałe plecy.

- Na pewno nieźle się spisałeś. - Ze śmiechem trochę się przesunęła, żeby zrobić miejsce dla Bena. —No cóż, jesteś jeszcze młody, chłopcze. Będziesz jeszcze ujeżdżał konie, podczas gdy wszyscy starszacy w rodzaju McKinnona będą w stanie dosiąść jedynie foteli bujanych. Popracuj z Hamem. Spojrzała przed siebie i zauważyła swego zarządcę, który stał na zewnątrz ujeżdżalni i dawał Jimowi ostatnie instrukcje.

- Chciałbym, żebyś ty mnie tego uczyła. Jeździsz lepiej niż ktokolwiek w Mercy, z wyjątkiem Adama. A on nie ujeżdża koni.

- Adam oswaja je w inny sposób. Zobaczymy - dodała, po czym krzyknęła głośno, kiedy brama się otworzyła i na arenę wpadł jeździec dosiadający oszalałego rumaka. - Pokonaj tego diabła, Jim!

Pochylił się w obłoku kurzu i wyrzucił wysoko rękę.

Kiedy po ośmiu sekundach rozległ się dzwonek, zeskoczył spokojnie, przekoziołkował i poderwał się na równe nogi, wzniesając hałaśliwe wiwaty licznej publiczności.

- Nieźle - powiedział Ben. - Teraz kolej na mnie. - Ponieważ w grę wchodziła męska ambicja, chwycił Willę za łokcie, uniósł ją do góry i pocałował. - To na szczęście - powiedział i oddalił się dumnym krokiem.

- Chyba ma szansę pokonać naszego Jima, Will - próbował wysondować Billy.

Przyszło jej na myśl, że Ben McKinnon byłby w stanie pokonać każdego.

- Będzie musiał pojechać jak wcielony diabeł.

Billy pociągnął Willę za rękaw, nie zważając na to, że blondynka, którą wciąż jeszcze obejmował, poruszyła się niespokojnie i w ten sposób próbowała zwrócić na siebie jego uwagę.

- Zmierzysz się z nim w strzelaniu do celu, prawda? - Tak.

- Pokonasz go, Will. Wszyscy postawiliśmy na ciebie. Wszyscy chłopcy.

- No cóż, nie chciałabym, żebyście stracili.

Patrzyła, jak Ben wsiada na konia. Dotknął palcami runda kapelusza, pozdrawiając ją w ten sposób. Był to zarozumiały gest, mimo to uśmiechnęła się.

Kiedy jego koń wyskoczył za bramę, serce zaczęło jej walić w piersiach. Doszła do wniosku, że Ben wygląda wspaniale. Trzymał się prosto na tym szalejącym koniu, jedną rękę wznosił do góry, a drugą mocno trzymał za siodło. Przez ułamek sekundy widziała jego oczy - był niesamowicie skupiony.

Zdała sobie sprawę, że dokładnie tak samo wygląda, kiedy się z nią kocha. W tym momencie jej serce zaczęło bić jeszcze szybciej. Nawet nie słyszała, kiedy rozległ się dzwonek, ale widziała, że zeskoczył na ziemię, a koń wciąż jeszcze wierzgał i kopał. Ben stał spokojnie. I chociaż tłum wiwatował na jego cześć, on patrzył prosto na nią. Na dodatek puścił jej perskie oko.

- Zarozumiały drań - powiedziała półgłosem. - A ja jestem zakochana w nim po uszy.

- Dlaczego oni to robią? - zapytała Tess, stając za jej plecami.

- Sprawia im to przyjemność.

Willa odwróciła się zadowolona, że może myśleć o czym innym. Tess tego dnia ubrała się inaczej niż zwykle. Włożyła obcisłe dżinsy, zabawne buty, jasnoniebieską bluzkę ze srebrną lamówką. Taka sama wstążka biegła wokół jej śnieżnobiałego kapelusza.

- Pięknie wyglądasz. Cześć, Nate. Stajesz w wyścigach?

- W tym roku jest ostra konkurencja, ale mam nadzieję, że do mety nie przyjadę ostatni.

- Nate zgłosił się do pomocy w konkursie jedzenia placków. - Tess roześmiała się i wsunęła rękę pod jego ramię. - Szukamy Lily. Chciała to zobaczyć, ponieważ część z nich sama piekła.

- Widziałam ją... - Will przymrużyła oczy i wodziła wzrokiem po tłumie. - Wydaje mi się, że ona i Adam pomagali przy zabawach dla dzieci. Przy rzucaniu jajkami albo wyścigach na trzy nogi.

- Znajdziemy ją. Przyłączysz się do nas?

- Nie, dziękuję. - Willa zdecydowanie odrzuciła zaproszenie Tess. - Później nadrobię zaległości. Muszę się napić piwa.

- Martwisz się o nią - wymamrotał Nate, kiedy zygzakiem przechodzili przez tłum.

- Nic na to nie mogę poradzić. Nie widziałeś jej tego dnia, kiedy wróciła z cmentarza.

W ogóle nie chce o tym mówić.

Zazwyczaj można ją wciągnąć w rozmowę na każdy temat, a na ten nie.

- Od czasu, kiedy Jesse Cooke został zamordowany, minęły ponad dwa miesiące. Spróbuj myśleć tylko o tym.

- Próbuję - Tess zadrżała. Wokół kręciło się tylu ludzi, słychać było śmiech i muzykę.
- To jest fantastyczna impreza.

Organizujecie tutaj naprawdę niesamowite przyjęcia.

- Kiedy tylko zechcesz, możemy zacząć urządzać nasze własne.

- Nate, już kilkakrotnie rozmawialiśmy na ten temat. W październiku wracam do Los Angeles. O, jest Lily. - Rozpaczliwie starając się zmienić temat, Tess zaczęła machać ręką. - Słowo daję, jak ona pięknie teraz wygląda. Cięża wyraźnie jej służy.

Nate pomyślał, że być może służyłaby również Tess. Spróbuje to sprawdzić zaraz, gdy tylko uda mu się wybić jej z głowy ten głupi pomysł o wyjeździe.

Pierwsze sztuczne ognie wystrzeliły w niebo dwadzieścia minut po zmierzchu. Kolorowe smugi rozświetliły mrok, przyćmiły gwiazdy i opadły w dół jak łzy. Willa oglądała pokaz, przytulona mocno do Bena.

- Wydaje mi się, że odpalenie sztucznych ogni sprawia twojemu ojcu dużo większą przyjemność niż dzieciom ich oglądanie.

- On i Ham rokrocznie spierają się o to, jak ma wyglądać to przedstawienie. - Ben uśmiechnął się, gdy złocista kula z hukiem pękła nad ich głowami. - Potem gdaczą jak kury, zastanawiając się, gdzie należy poustawiać zapalniki. Nigdy nie dopuszczają do tego ani Zacka, ani mnie.

- Jeszcze nie nadszedł twój czas - wymamrotała. Przyjdzie kolej i na to. Bo to również jest tradycja. — To był wspaniały dzień.

- Tak. - Położył dłonie na jej rękach. - Naprawdę wspaniały.

- Nie jesteś zły, że pokonałam cię w strzelaniu?

Wciąż jeszcze było mu trochę przykro, ale wzruszył ramionami. Oboje zdystansowali resztę zawodników i łeb w łeb dotarli do rundy finałowej. Potem dość długo szli równo. Aż w końcu wysunęła się przed niego.

- Tylko o kilka nędznych milimetrów.

- To nie ma znaczenia, o ile. - Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. - Liczy się, kto wygrał. Jesteś bardzo dobrym strzelcem. - Poruszyła brwiami. - Ale ja jestem jeszcze lepszym.

- Dzisiaj rzeczywiście byłaś lepsza. Mimo to kosztowałam cię dwadzieścia dolarów, ponieważ pokonałam Jima. Ten facet nieźle ci się przysłużył.

Ze śmiechem odwróciła się w jego ramionach.

- Ale wygrałam pięćdziesiąt, które postawiłam na ciebie. - Kiedy zmarszczył brwi, ponownie się roześmiała. - Czyja wyglądam na głupią?

- Nie. - Uniósł jej twarz. - Wyglądasz na sprytną kobietę, która potrafi obstawiać obie strony.

- Skoro mowa o zakładach. - Mimo otaczającego ich tłumy, który wiwatował przy każdym wybuchu sztucznych ogni, objęła go i gorąco pocałowała. - Chodźmy do domu i sprawdźmy, czy jutro jeszcze będziemy żyli.

- Pozwolisz mi zostać do rana?

- Czemu nie? Przecież jest święto.

Później, kiedy skończyły się pokazy sztucznych ogni, ludzie rozeszli się i zapanowała cisza, odwróciła się do niego. Tym razem w jej snach nie pojawi się krew, śmierć i strach. Kiedy objął ją, wiedziała, że tej nocy nie będą miały do niej dostępu żadne koszmary.

Ktoś inny śnił o rudowłosej dziwce i aż drżał z podniecenia. Wszystko poszło bez jakichkolwiek problemów, a każdy szczegół z łatwością powracał w pamięci.

Obserwował, jak odzyskiwała przytomność. Miała szklisty wzrok i wydawała stłumione jęki. Zabrał ją daleko od Bozeman, gdzie cień drzew zapewniał mu absolutny spokój.

Skończył już karać Mercy, dlatego wywiózł ją daleko poza jego granice. Nie skończył natomiast z mordowaniem.

Związał jej ręce za plecami i zakneblował ją. Nie miał nic przeciwko temu, żeby usłyszeć, jak krzyczy, wołał jednak, żeby go nie ugryzła. Porzycinał jej ubranie, ale zrobił to niezwykle ostrożnie, przez cały czas bardzo uważając, by jej przy tym nie skaleczyć.

Doszedł do wniosku, że bardzo dobrze, wręcz doskonale posługuje się nożem.

Kiedy spała, odebrał jej swoje pieniądze. Wziął sobie również mizerną sumkę, którą miała w portfelu. Czekał na właściwy moment, bawił się jej niewielkim pistoletem i czerwoną szminką.

Kiedy oprzytomniała, popatrzyła na niego przerażona. Próbowwała poderwać się na nogi i rozplatać krępujący ją sznur. Wydawała przy tym odgłosy zwierzęcia złapanego w paści. Wówczas ponownie wyjął z jej torebki szminkę.

- Dziewka powinna mieć odpowiedni makijaż - powiedział i na czerwono pomalował jej brodawki sutkowe. Robiąc to bardzo się podniecił. - Teraz mi się dużo bardziej podobasz. Naprawdę. - Ponieważ była bardzo blada, zrobił jej na policzkach czerwone kółka, jak u lalki.

- Czy miałaś zamiar mnie zastrzelić tą swoją pukawką, kochanie? - Dla zabawy położył jej pistolet na piersi i obserwował, jak wywraca oczami. — Czyżbyś uważała, że

kobieta twojej profesji musi się zabezpieczać na kilka sposobów? Przecież powiedziałem ci, że założę gumkę.

Odłożył pistolet na bok, potem rozerwał foliowe opakowanie.

- Bardzo chciałbym, żebyś znowu mi go posiadała, Suzy Q. Naprawdę sędzę, że była to najlepsza tego typu robota, za jaką kiedykolwiek zapłaciłem. Ale tym razem mogłabyś mnie ugryźć. - Boleśnie uszczypnął jej czerwone brodawki. - Nie mogę ci na to pozwolić.

Był już niesamowicie podniecony, mimo to powoli założył prezerwatywę.

- Mam zamiar cię teraz przelecieć. Nie da się zgwałcić dziwki, ponieważ jednak nie zamierzam ci zapłacić, sędzę, że tak właśnie mogę to określić. A więc mam zamiar cię zgwałcić. - Przycisnął się do niej i z uśmiechem obserwował, jak unosi do góry nogi, by w ten sposób się osłonić. - No, kochanie, nie musisz się wstydzić. Na pewno ci się to spodoba.

Dwoma gwałtownymi ruchami rozprostował jej nogi i szeroko je rozsunął, a potem zablokował.

- Cholernie będzie ci się to podobało. Na dodatek powiesz mi nawet, jak bardzo ci się to podoba. Niewiele słyhać przez ten knebel, który musiałem założyć na twoje kurewskie usta, ale masz jęczeć i pomrukiwać. Chcę, żebyś jęczała. I to natychmiast.

Kiedy nie odpowiadała, uwolnił jedną z jej nóg i dał jej klapsa. Delikatnego, pomyślał, po prostu tyle, żeby wiedziała, kto tu rządzi.

- Natychmiast - powtórzył.

Zażkała i to go uspokoiło.

- Chcę cię przez cały czas słyszeć. Kiedy to robię, uwielbiam wiedzieć, że sprawiam kobiecie przyjemność.

Wdarł się w nią. Było tam sucho jak na zakurzonej drodze i niemiło jak w grobie. Po chwili na jego plecach załśniły kropelki potu, w których zaczęły się odbijać gwiazdy. W jej oczach widać było ból i strach. Toczyła oczami na prawo i lewo jak koń, kiedy wbije się mu w bok ostrogi.

Kiedy skończył, zszedł z niej i sapął.

- To było dobre. To było bardzo dobre. Tak. Za minutkę lub dwie powtórzymy ten numer.

Skuliła się, a potem z płaczem, czołgając się, próbowała się od niego oddalić. Powoli unióśł pistolet i wystrzelił w niebo. Zamarła w bezruchu.

- Odpocznij chwilę, Suzy Q. Mam zamiar sprawdzić, czy wystarczy mi siły na następną rundkę.

Tym razem nie było to takie dobre. Bardzo dużo czasu potrzebował, by się podniecić,

a końcowy efekt był mizerny i niezadowalający.

- To była premia dla mnie. - Dał jej przyjacielskiego klapsa. - A to dla ciebie.

Bardzo żałował, że nie mógł jej zatrzymać na kilka dni, jak małej Traci przez „i”.

Byłoby to jednak zbyt ryzykowne.

A poza tym zawsze przecież może mieć następną dziwkę.

Otworzył plecak i wyjął nóż. Z czułością wysunął go ze starannie nasmarowanej olejem skórzanej pochwy. Przez chwilę podziwiał gwiazdy odbijające się w metalowym ostrzu.

- Dał mi go mój tatuś. Była to jedyna rzecz, którą mi dał. Jest piękny, prawda? - Ułożył ją na plecach i podsunął jej nóż pod oczy, żeby mogła go zobaczyć. Chciał, żeby to zobaczyła.

Potem z uśmiechem na ustach usiadł na niej okrakiem.

I z uśmiechem na ustach zabrał się do roboty.

Teraz w jego sekretnym pudełku było następne trofeum. Wątpił, czy ktokolwiek ją znajdzie. Najprawdopodobniej jej ciałem zajęły się już drapieżniki, więc nawet gdyby ktoś się natknął na te nędzne resztki, i tak nikt nie będzie w stanie ich zidentyfikować.

Teraz nie zależało mu już na szerzeniu strachu ani na zyskaniu sławy. Wystarczy, że on sam wie o wszystkim.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Lato w Montanie zazwyczaj trwa bardzo krótko i bywa nie do zniesienia, zwłaszcza w czasie sierpniowych upałów. Słońce zamienia ziemię w pył, wysusza drzewa na wióry, a ludzie modlą się o deszcz. Rzucona w niewłaściwą stronę zapalka albo celne uderzenie pioruna potrafi zamienić pastwisko w ścianę ognia albo całkowicie wypalić łan zboża. Willa dokonywała przeglądu jęczmienia i niemiłosiernie się pociła.

- To chyba najgorętsze lato, jakie pamiętam. Wood coś burknął. Prawie przez cały czas ponuro spoglądał na niebo i martwił się o zbiory. Jego chłopcy powinni tu być i troszczyć się razem z nim, ale ponieważ zmęczyły go nieustanne sprzeczki, które wniecali bez wyraźnego powodu, odesłał ich do matki, żeby teraz jej pozawracali głowę.

- Nawadnianie częściowo pomaga. - Splunął na ziemię, jakby nawet ta kropla wilgoci mogła pomóc roślinom. Mercy od bardzo wielu lat było zarówno radością jego życia, jak i powodem do obaw. - Poziom w zbiornikach wody bardzo opadł. Jeszcze kilka takich tygodni, a będziemy mieli poważne kłopoty.

- Nie strasz mnie - powiedziała znużonym głosem i wsiadła na konia. - Przebrniemy przez to. Ponownie burknął i kiwnął jej głową na pożegnanie. Ziemia nieustannie promieniowała żarem. Bydło stało na ociążałych nogach i nie miało na tyle energii, by machnąć ogonem. Nie czuć było najłżejszego podmuchu wiatru, nie poruszyło się nawet źdźbło trawy.

W oddali, przy ogrodzeniu, Willa zauważyła łazika i dwóch mężczyzn rozwijających drut. Zmieniła kierunek i podjechała do nich.

- Cześć Ham, cześć Billy. - Zsiadła z konia, podeszła do ośmiolitrowego pojemnika znajdującego się na platformie samochodu i nalała sobie kubek lodowatej wody. - Uwierzysz, Will? Ham uważa, że wcale nie jest gorąco. - Billy sphywał potem przy związywaniu drutu. - Przypomina sobie takie upały, że aż jajka ścinały się w skorupkach. Słyszac to, uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście może coś takiego opowiadać. Za czterdzieści czy pięćdziesiąt lat też będziesz wszystko wyolbrzymiał.

Zdjęła kapelusz i otarła czoło ramieniem. Nie podobał jej się wygląd Hama. Jego twarz była purpurowa. Wyglądał jakby lada chwila miał dostać ataku serca albo udaru. Zdawała sobie jednak sprawę, że musi postępować z nim bardzo delikatnie.

Napełniła wodą dwa kubki, podeszła i wysunęła w jego stronę jeden z nich.

- Jest strasznie gorąco. Zrób sobie przerwę.

- Za chwilę skończę - powiedział Ham, ciężko sapiąc.

- Należy utrzymywać odpowiedni poziom płynów w organizmie. Sam mnie tego nauczyłeś, więc wierzę, że tak właśnie powinno być. - Spróbowała wsunąć mu kubek w dłoń.

- Bierzecie, chłopcy, wasze tabletki soli? - No pewnie. - Billy olbrzymimi łykami wypił wodę, tylko podskakiwała mu grdyka.

- Posłuchaj, Ham, dokończę tę robotę z Billym. Zabierz stąd Moon i odprowadź ją do domu.

- Po jaką cholere? - Przymrużył oczy i popatrzył pod słońce. Pod przepoconą koszulą serce waliło mu w piersiach jak młot. Ale zawsze doprowadzał do końca to, co zaczął. - Powiedziałem ci już, że prawie skończyliśmy tę robotę. - To bardzo dobrze. Chcę, żebyś zabrał stąd Moon i dostarczył mi te raporty o stanie inwentarza. Mam spore zaległości i dziś wieczorem chciałabym je nadrobić. - Sama doskonale wiesz, gdzie leżą te cholerne raporty. - Sami bardzo potrzebne. - Wyjęła z sakwy swoje rękawice. - Mógłbyś również spróbować powiedzieć Bess kilka miłych słów i przy okazji nakłonić ją, żeby zrobiła na wieczór lody brzoskwińowe. Mam na nie ogromną ochotę, a jestem przekonana, że Bess tobie na pewno nie odmówi. Ham wcale nie był głupi i doskonale wiedział, o co jej chodzi.

- Jestem zajęty. Wiążę druty, dziewczyno.

- Już nie. - Podniosła zwój, podczas gdy zdumiony i zafascynowany Billy spoglądał to na jedno z nich, to na drugie. - To ja wiązę druty. A ty odprowadzasz Moon, zanosisz raporty do mego biura i dokładasz wszelkich starań, żeby na wieczór były lody brzoskwińowe.

Rzucił swoim kubkiem o ziemię i rozstawił szeroko nogi.

- Do diabła! Odprowadź ją sobie sama. Odłożyła zwój drutu.

- To ja kieruję Mercy i ja wydaję tu polecenia. Właśnie powiedziałam ci, co masz zrobić. Jeśli ci się to nie podoba, Ham, możemy porozmawiać na ten temat później. Na razie wsiadaj na konia, wróć do domu i zrób, co ci kazałam.

Czerwień na jego twarzy pociemniała. Willa przestraszyła się, serce zaczęło jej bić dużo szybciej, mimo to patrzyła mu spokojnie prosto w oczy. Po dziesięciu niezwykle długich sekundach, kiedy lejący się z nieba żar całkowicie ich paraliżował, odwrócił się sztywno, podszedł do konia i wsiadł na jego grzbiet. - Jeśli uważasz, że nie jestem w stanie wykonać roboty, z którą potrafi się uporać nawet ten przygłupi chłopak, to bądź tak dobra i przygotuj mi na wieczór czek z ostatnią wypłatą. - Wściekły, mocno uderzył piętami w boki Moon. Klacz zaskoczona stanęła dęba, a potem ruszyła galopem. - Jezu! - Billy nie był w stanie powiedzieć więcej ani słowa. - Cholera! Powinnam zrobić to delikatniej. - Przetarła rękami twarz.

- Nic mu nie będzie, Will. Jestem pewien, że nie mówił tego poważnie. Przecież Ham za nic w świecie nie porzuciłby ciebie ani Mercy.

- W tym momencie martwię się o coś innego. - Wypuściła powietrze z płuc. - Zabierzmy się do wiązania tego cholernego drutu.

Czekała, aż zapadnie noc, odwołała randkę z Benem i usiadła na frontowej werandzie. Słuchała grzmotów, obserwowała przecinające ciemność błyskawice, doszła jednak do wniosku, że niebo jest zbyt czyste, by mógł spaść deszcz.

Choć nadal było bardzo gorąco, nie miała ochoty na lody, które zrobiła Bess. Nawet kiedy pojawiła się Tess z pełną miseczką w rękach, Willa potrząsnęła głową.

- Coś cię gryzie od momentu, kiedy wróciłeś do domu. - Tess oparła się o poręcz i próbowała wyobrazić sobie łagodną bryzę, wiejącą od oceanu. - Chcesz o tym ze mną porozmawiać?

- Nie. To sprawa osobista.

- Sprawy osobiste zawsze są najciekawsze. - Z filozoficzną zadumą Tess nabrała na łyżeczkę trochę lodów i skosztowała je. - Czy chodzi o Bena?

- Nie. - Willa ze złością wzruszyła ramionami. - Dlaczego ludzie sądzą, że każda moja myśl musi być związana z Benem.

- Ponieważ większość babskich problemów w jakiś sposób dotyczy mężczyzn. Chyba się z nim nie pokłóciłaś?

- Zawsze się z nim kłóczę.

- Ale tak naprawdę.

- Nie.

- To dlaczego odwołałaś dziś randkę?

- Jezu Chryste! Czy za każdym razem, kiedy mam ochotę zostać w domu i posiedzieć na własnej werandzie, muszę odpowiadać na sto tysięcy pytań?

- Myślę, że nie. - Tess nabrała następną łyżeczkę. - Są wspaniałe. - Wylizała łyżeczkę do czysta. - Spróbuj sama. - Jeśli tylko dzięki temu dasz mi święty spokój. - Nie siląc się na elegancję, Willa wzięła od niej miseczkę i spróbowała. Były naprawdę niebiańskie. - Bess robi najlepsze lody brzoskwiniowe w całym cywilizowanym świecie. - Chyba się z tobą zgodzę. Może zjadłabyś lody, napiła się czegoś mocniejszego, a potem wybrała na basen? To doskonały sposób na ochłodzenie i uspokojenie.

Willa podejrzliwie przymrużyła oczy.

- Dlaczego jesteś dla mnie taka miła?

- Wygląda na to, że naprawdę jesteś w niewesołym nastroju. Po prostu próbuję ci

pomóc.

To powinno ją zirytować. Tym razem jednak ujęło ją za serce.

- Pokłóciłam się dzisiaj z Hamem. Naprawiał ogrodzenie. Było tak strasznie gorąco, że się o niego zaczęłam niepokoić. Nagle wydał mi się taki stary. Pomyślałam, że może mieć jakiś wylew czy coś w tym rodzaju. Albo atak serca. Zmusiłam go, żeby wrócił do domu, ale tym właśnie bardzo go uraziłam. Ucierpiała na tym jego duma. Nie mogę stracić następnego człowieka. - powiedziała cicho. - Jeszcze nie teraz.

- Przejdzie mu to. Może rzeczywiście uniósł się honorem, ale jest do ciebie zbyt przywiązany, żeby długo się boczyć. - Liczę na to. - Uspokojona nieco, oddała pustą miseczkę Tess.

- Może za chwilę przyjdę i popływam. - W porządku. - Tess otworzyła drzwi i uśmiechnęła się. - Tylko muszę cię uprzedzić, że nie noszę stroju kąpielowego. Willa ze śmiechem odchyliła się do tyłu, aż zaskrzypiał fotel na biegunach. Zagrzmiało, tym razem jednak nieco bliżej. Nagle usłyszała odgłos kroków. Wyprostowała się i jedną ręką sięgnęła pod fotel, po leżącą tam strzelbę. Wyjęła ją i położyła na kolanach. W tym momencie w świetle lampy pojawił się Ham.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór. Masz dla mnie czek?

Uparty, stary koziół, pomyślała, i gestem ręki wskazała mu krzesło obok siebie.

- Możesz usiąść na chwilę?

- Muszę się jeszcze spakować.

- Proszę, usiądź.

Powłóczęc krzywym i zeszywniałymi nogami, wszedł po schodach, po czym usiadł na drugim krześle na biegunach.

- Utarłaś mi dzisiaj nosa, na dodatek zrobiłaś to przy tym smarkaczu.

- Przepraszam. - Położyła ręce na kolanach i spojrzała na niego.

Bardzo poruszyło ją brzmienie jego głosu: wyczuwało się, że jest urażony i załamany.

- Nie chciałam sprawić ci przykrości. - Nie chciałaś? Dziewczyna, której swego czasu wymierzałem klapsy, powiedziała mi, że jestem za stary, by wykonać swą robotę. To może miało być dla mnie miłe?

- Nigdy nie powiedziałam...

- Do diabła! Tak ci się tylko wydaje. Dla mnie to było jasne jak słońce.

- Dlaczego jesteś tak cholernie uparty? - Ze złością kopnęła balustradę. - Dlaczego jesteś taki bezwzględny?

- Ja? Nigdy w życiu nie widziałem tak bezwzględnej baby jak ta, która właśnie siedzi obok mnie. Wydaje ci się, że wszystko wiesz najlepiej, dziewczyno? Myślisz, że znasz odpowiedzi na wszystkie pytania? Że zawsze postępujesz słusznie?

- Nie! - Krzyknęła i zerwała się na równe nogi. - Nie, wcale tak nie myślę. W połowie przypadków nie wiem, czy postępuję dobrze, ale to i tak nie zmienia faktu, że muszę podejmować decyzje. Ale jeśli chodzi o to, co zrobiłam dzisiaj, tym razem na pewno była to słuszna decyzja. Cholera! Ham, wyglądałeś jakbyś lada chwila miał mieć wylew. Co by się wtedy stało ze mną? Jak, do diabła, poradziłabym sobie na tym ranchu bez ciebie?

- Już to robisz. Przecież właśnie dzisiaj wywaliłaś mnie z roboty.

- Wywaliłam cię od naprawiania ogrodzenia. Nie chcę, żebyś przy takim upale zajmował się ogrodzeniem. Nie pozwalałam na to.

- Ty nie pozwalasz?! - Również wstał i stanął z nią twarzą w twarz. - Kim, do diabła, jesteś, żeby mi czegokolwiek zabraniać? Jeszcze nie było cię na świecie, a ja, nie zważając na pogodę, zajmowałem się ogrodzeniem. Nie zgadzam się, żebyś mi mówiła, że nie mogę tego robić.

- Ale ja ci i tak nie pozwolę tego robić.

- W takim razie wypisz mi ostatni czek.

- Dobrze. - Pchana wściekłością ruszyła ku drzwiom. Zacisnęła rękę w pięść, potem walnęła nią o framugę, aż zadrżała drewniana podłoga. - Przestraszyłam się! Dlaczego nawet nie wolno mi się przestraszyć? - Czego, do diabła, się przestraszyłaś?

- Że cię stracę, ty tępy sukinsynu! Miałeś czerwoną twarz, byłeś piekielnie spocony, a twój oddech przypominał sapanie zepsutego silnika. Nie mogłam tego ścierpieć. I gdybyś po prostu wrócił do domu, tak jak cię prosiłam, wszystko byłoby w porządku.

- Było strasznie gorąco - powiedział, ale tym razem jego głos zabrzmiał mniej pewnie.

- Wiem, że było gorąco. Do jasnej cholery! Przecież właśnie o to chodziło, Ham. Dlaczego zmusiłaś mnie do tego, żebym tak na ciebie naciskała? Wcale nie miałam zamiaru wprawić cię w zakłopotanie na oczach Billy'ego. Po prostu chciałam, żebyś znalazł się w cieniu. Przecież doskonale wiem, kto naprawdę jest moim ojcem - powiedziała wściekła, a on podniósł głowę i ponownie spojrzał jej w oczy. - Jeszcze go nie pochowałam. Przynajmniej nie tego, na którego zawsze, niezależnie od sytuacji, mogłam liczyć. Nie chcę go pogrzebać, chcę, żeby żył jeszcze długie lata.

- Mogłem skończyć. - Kopał balustradę i przez cały czas patrzył na własną nogę. - Do diabła, Will, w ten sposób większość roboty zrobił ten chłopak. Przecież znam swoje możliwości.

- Jesteś mi potrzebny. - Czekala, aż sama się trochę uspokoi. - Potrzebuję cię, Ham. Proszę, zostań.

Poruszył ramionami i przez cały czas wpatrywał się w swoje stopy.

- Chyba nie znalazłbym miejsca lepszego niż to. Nie powinienem się tak stawiać. Gdzieś w głębi duszy wiedziałem, że się o mnie troszczysz. - Zaszurał nogami i odchrząknął.
- W sumie świetnie się tutaj spisujesz. Jestem...ee... z ciebie dumny.

I dlatego to właśnie on się liczył, pomyślała. Jej rodzony ojciec nigdy jej czegoś takiego nie powiedział.

- Nie jestem w stanie robić tego sama. Wejdiesz? - Ponownie otworzyła drzwi. - Może zjadłbyś lody brzoskwińowe. Będziesz mi mógł przy okazji powiedzieć, co robię źle.

Podrapał się po brodzie.

- Dobrze. Sądzę, że w kilku sprawach mógłbym ci rzeczywiście udzielić paru rad.

Kiedy wyszedł, miał pełny brzuch, ale było mu znacznie lżej na sercu. Lekkim krokiem szedł w kierunku budynku dla pracowników rancza. Nagle usłyszał dziwne dźwięki - żalosne porykiwanie krów i odgłos czyichś kroków. Kto, do diabła, jest na warcie? Nie bardzo mógł sobie przypomnieć. Wydawało mu się, że Jim albo Billy, postanowił zatem przejść się i sprawdzić.

- To ty Jim? Billy? Co robisz o tej porze w zagrodzie dla bydła?

Najpierw zobaczył cielaka. Leżał w kałuży krwi, a w jego oczach widać było strach i ból. Ham zdążył zrobić dwa kroki, gdy z cienia wysunął się mężczyzna.

- Cholera jasna! Co to ma znaczyć? Co ty, do diabła, zrobiłeś? - Domyślił się, zanim zobaczył uniesiony nóż, było już jednak za późno, żeby krzyknąć.

Mordercę ogarnęła panika. Trzymał w ręce ociekający krwią nóż i patrzył na leżącego u swych stóp Hama. Wytarł dłonią usta. Musiał coś zabić, to wszystko. Potrzebował jednego cielaka. Miał zamiar wyprowadzić go z zagrody, ale jakimś cudem nóż sam nawinął mu się pod rękę.

A teraz na domiar złego Ham. Nigdy nie chciał zrobić mu krzywdy. Ham tylu rzeczy go nauczył, a jeśli trzeba było, opiekował się nim. Przez tyle lat pracowali razem. Zawsze wydawało mu się, że Ham znał prawdę i wiedział, skąd się wziął i kim jest.

Poza tym Ham zawsze był lojalny.

Teraz jednak nie miał innego wyboru. W związku z tym musi skończyć to, co zaczął. Kucnął i już miał zamiar zabrać się do roboty, gdy nagle z ciemności wyskoczyła Willa.

- Ham? To ty? Zapomniałam ci powiedzieć, że... - Poślizgnęła się, błysnęła latarką i oświetliła mężczyzn znajdujących się niemal u jej stóp.

- O, słodki Boże, co mu się stało? Co się stało? - Już była na kolanach i obróciła Hama w ramionach. - Czy on... - Na jej rękach była krew.

- Przepraszam, Will. Jest mi okropnie przykro. - Odwrócił nóż w jej stronę i przystawił do gardła. - Nie krzycz. Nie chcę ci nic zrobić. Przysięgam, że nie chcę zrobić ci krzywdy. - Nabrał głęboko powietrza w płuca. - Jestem twoim bratem.

Uniósł pięść i uderzył ją. Do świadomości Hama dotarło, że czuje ból. Przeszywający, przeraźliwy ból. Nie wiedział gdzie go umiejscowić, nie mógł wskazać źródła, ale czuł w ustach krew. Jęcząc usiadł, ale nie był w stanie ruszyć nogami. Odwrócił głowę i zobaczył, że cielak już się wykrwawił. Nie żył.

Wkrótce, pomyślał, również i ja wykrwawię się na śmierć. Na ziemi zauważył jeszcze jakiś przedmiot, który przyciągnął jego uwagę. Przyglądał mu się, raz widział go wyraźniej, raz przez mgłę. Potem syknął, podpełznął do niego i pogłaskał koniuszkami palców. Kapelusz Willi.

Musiał ją nieść. Powinien wziąć łązika, to na pewno ułatwiłoby mu ucieczkę, ale był tak roztrzęsiony, że miał poważne kłopoty z logicznym myśleniem. Niedaleko pastwiska, tak delikatnie, jak tylko mógł, położył ją na ziemi i drżącymi rękami potrząsnął wiadrem z owsem.

Pojadą konno. To chyba jest najlepsze rozwiązanie. Chciał zabrać ją stąd, wywieźć w góry, tak by móc jej wszystko wytłumaczyć. Gdy powie jej o wszystkim, ona z pewnością go zrozumie.

Bliższa koszula ciała.

Osiadł kucyka, który wsadził nos w wiadro, a potem deresza, który próbował się do niego dopchnąć.

Och, wcale nie chciał tego robić, przynajmniej na razie, ale musiał. Dlatego związał Willi ręce i nogi, przerzucił ją przez siodło i przywiązał do niego. Niedługo oprzytomnieje, pomyślał, i wtedy na pewno próbowałaby uciec, a wówczas nie miałby możliwości wyjaśnić jej wszystkiego.

Willa powinna go zrozumieć. Kiedy wskakiwał na siodło i chwycił obie pary lejców, modlił się, żeby go zrozumiała. Jeśli nie zrozumie, będzie musiał ją zabić.

Kiedy wjechał między wzgórze, gdzieś niedaleko rozległ się grzmot.

Ham kurczowo ścisnął kapelusz w ręce i z ogromnym trudem utrzymywał się na nogach. Udało mu się wykonać dwa chwiejne kroki, po czym upadł na kolana. Próbował krzyknąć. Własny krzyk zadudnił mu w uszach jak wystrzał, mimo że w rzeczywistości był zaledwie szeptem.

Myślał o Willi. Przypominał sobie, jak była małym dzieckiem, uśmiechającym się do niego, kiedy posadził je przed sobą na końskim grzbiecie. Małą dziewczynką o ogromnych oczach i włosach splecionych w dwa długie warkocze, błagającą go, żeby pozwolił jej jechać z nim na pastwisko. Niezgrabną, bez przerwy trajkoczącą nastolatkę, pomagającą mu sprawdzać ogrodzenie.

W końcu przed oczami stanęła mu kobieta, która z miłością patrzyła na niego dzisiejszego wieczoru i powiedziała mu, że tylko on się zawsze liczył.

Dlatego pokonał ból, który wgryzał się w jego ciało jak rak, i ponownie spróbował stanąć.

Widział główny budynek. Jego światła wirowały mu przed oczami. Krew sączyła mu się między palcami i kapłała do jej kapelusza. Nawet nie poczuł, kiedy ziemia gwałtownie podskoczyła, by spotkać się z jego ciałem.

Powoli odzyskiwała świadomość. Najpierw poczuła, że bardzo boli ją szczęka. Skupiła wzrok na podnoszącym się i opadającym pod nią gruncie. Próbowwała się przesunąć. W końcu stwierdziła, że jest mocno przywiązana do siodła i że zwisa z niego głową w dół. Widocznie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, jęknęła albo wydała jakiś inny dźwięk, ponieważ konie nagle się zatrzymały. - Wszystko w porządku, Will. Nic ci się nie stało. - Rozluźnił sznur, którym miała spętane nogi, zostawił jej jednak związane ręce. - Musimy odjechać trochę dalej. Wytrzymasz? - Słucham?

Wciąż oszołomiona, poczuła, że ktoś unosi ją do góry i sadza w siodle. Potrząsnęła głową, żeby całkiem oprzytomnieć. W tym czasie jej ręce zostały przywiązane do łęku.

- Odpocznij trochę. A ja poprowadzę twego konia. - Co ty robisz? - Przypomniała sobie dokładnie to, co się wydarzyło, jednak za nic w świecie nie mogła się z tym pogodzić. - Co z Hamem?

- Nic nie mogłem na to poradzić. Naprawdę, wcale tego nie chciałem. Porozmawiamy na ten temat. Ty po prostu... - Urwał i w momencie, kiedy nabierała powietrza w płuca, szarpnął ją mocno za włosy. - Nie krzycz. Nikt cię nie usłyszy, ale nie chcę, żebyś krzyczała. - Mamrocząc pod nosem, wyciągnął chustkę i zakneblował jej usta. - Przepraszam, że muszę postępować w taki sposób, ale ty po prostu jeszcze niczego nie rozumiesz.

Nie chcąc się z nią spierać, wskoczył na grzbiet swego konia i wjechał między drzewa.

Wygląda na to, że Willa już pewnie nie popływa, pomyślała Tess i zawiązała pasek swego aksamitnego szlafroka. Przejechała palcami po włosach, żeby je przygładzić, zamknęła za sobą drzwi i ruszyła w stronę kuchni.

Doszła do wniosku, że najprawdopodobniej Willa wciąż się zadrecza. Zawsze

wszystko bierze sobie do serca i potem się tym gryzie. Może nie byłoby wcale głupio pokazać jej kilka technik relaksacyjnych, chociaż Tess jakoś nie mogła sobie wyobrazić Willi medytującej lub wykonującej różnego rodzaju ćwiczenia.

Pewnie byłaby szczęśliwa, gdyby spadł deszcz, przypuszczała Tess. Boże, wszyscy tutaj ogromną wagę przywiązują do pogody. Jest albo zbyt wilgotno, albo zbyt sucho. Zbyt zimno lub zbyt gorąco. No cóż, za dwa miesiące pożegna się z malowniczą Montaną i wróci do Los Angeles.

Lunch na świeżym powietrzu, pomyślała. Potem Cartier's. Bóg jeden wie, jak bardzo podczas tego trwającego rok wygnania z normalnego świata zasłużyła sobie na jakieś ekstrawaganckie, kosztowne świecidełko.

Teatr. Palmy. Zakorkowane autostrady i dobrze znajome opary smogu.

Boże, pobłogosław Hollywood!

W tym momencie lekko wydeła wargi, ponieważ nie zabrzmiało to aż tak cudownie jak miesiąc temu. Albo dwa.

Nieprawda, będzie bardzo zadowolona z powrotu. Wręcz szczęśliwa. Tylko teraz nie jest wcale w najlepszym nastroju, i tyle. Pomyślała, że może w takim razie zamiast domu na plaży, kupi sobie jakąś willę położoną na wzgórzach. Mogłaby trzymać tam konia, a przez okna patrzeć na drzewa i trawę. W ten sposób zgromadziłaby w jednym miejscu najwspanialsze rzeczy z obu światów. Codziennie mogłaby w krótkim czasie pokonywać drogę z zatłoczonego, żyjącego w ogromnym pośpiechu miasta do innego świata, świata pełnego przyjemności, które poznała, będąc na wsi.

Właściwie, biorąc pod uwagę standardy obowiązujące w Montanie, trudno byłoby nazwać wzgórze Hollywoodu wsią, ale może nie jest to wcale najgorszy pomysł.

Być może zdoła namówić Nate'a, żeby ją odwiedzał. Przynajmniej od czasu do czasu. Oczywiście, po jej wyjeździe ich znajomość nie potrwa już długo. Zdaje sobie z tego sprawę i, do jasnej cholery, akceptuje to. On również będzie musiał. Absolutnie nie odpowiada jej ten idiotyczny pomysł, żeby tu zamieszkała, wyszła za niego za mąż i zaczęła rodzić dzieci. Przecież to śmiechu warte.

Jej życie związane jest z Los Angeles. Robi tam karierę. Ma plany, wielkie, ambitne plany. Za kilka tygodni skończy trzydzieści jeden lat. Nie może w tak młodym wieku zrezygnować z tego wszystkiego po to tylko, żeby zostać żoną ranczera.

Czyjąkolwiek żoną.

Żałowała, że nie zabrała ze sobą papierosa, pomyślała jednak, że może w kuchni uda się jej znaleźć coś, co ją nieco uspokoi.

- Zostawiłam dla ciebie lody. Tess zmarszczyła nos za plecami Bess. - Nie przyszedłam tu na lody. - Chociaż na pewno z przyjemnością zjadłaby łyżeczkę lub dwie. Podeszła do lodówki i wyjęła dzbanek z lemoniadą. - Znowu próbowałaś w basenie walczyć z nadwagą?

- Tak. Powinnaś sama spróbować. Słyszac tę propozycję, Bess uśmiechnęła się.

- Kiedy skończysz, wstaw szklankę do zmywarki. Kuchnia jest już posprzątana.

- Dobrze. - Tess oparła się o stół i otworzyła katalog, który wcześniej przeglądała Bess. - Masz zamiar coś kupić? - Jeszcze się zastanawiam. Może Lily przydałby się wiklinowy koszyk. Ten, w którym wszystkie trzy sypiałyście jako dzieci, został wyrzucony, kiedy Willa z niego wyrosła.

- Och! - Nigdy nie przyszło jej na myśl, że ona, Lily i Willa używały tego samego łóżeczka. - Och, jest rozkoszny. - Zadowolona Tess przysunęła bliżej krzesło. - Popatrz na te wstążeczki na spódniczce.

Bess spojrzała z ukosa.

- Ja kupuję wiklinowy koszyk.

- W porządku, w porządku. Och! Kołyska! Na pewno spodobałaby się jej kołyska. Jak sądzisz? Taka, którą można by postawić koło krzesła i kołysać w niej dziecko.

- Myślę, że tak.

- Zróbmy listę.

Oczy Bess uśmiechnęły się łagodnie, gdy wyjęła kartkę, którą wcześniej wetknęła pod katalog.

- Jedną już zaczęłam. Zastanawiały się nad samochodzikami i pluszowymi niedźwiadkami, potem przez chwilę kłóciły się o rodzaj wózka spacerowego. Tess wstała, żeby przynieść im obu świeżej lemoniady. Nagle usłyszała odgłos kroków i spojrzała w stronę kuchennych drzwi.

- Nie spodziewam się nikogo - szepnęła i drżącą dłonią dotknęła szyi.

- Ja również. - Niezwykle opanowana Bess wyciągnęła z kieszeni fartucha pistolet i stanęła twarzą do drzwi.

- Kto tam? - Kiedy do szyby przywarła twarz, roześmiała się głośno. - Boże Wszechmogący, Ham, niewiele brakowało, a wpakowałabym ci kulkę w łeb. Nie powinienes podkraść się tu o tak późnej porze.

Runął przez drzwi prosto pod jej nogi.

Odrzucony pistolet brzęknął o stół. Tess znalazła się obok niej na podłodze, zanim jeszcze Bess zdołała ułożyć głowę Hama na swoich kolanach.

- Okropnie krwawi. Przynies kilka ręczników i mocno je tu przyciśnij. - Bess...

- Bądź cicho. Muszę zobaczyć, co się stało.

Tess rozerwała koszulę i nacisnęła mocno na ranę.

- Zadzwoń po pogotowie, po helikopter. On potrzebuje natychmiastowej pomocy.

- Zaczekaj. - Ham złapał Bess za rękę. - On ma... - Ścisnął ją mocno, próbując złapać oddech, żeby dokończyć zdanie. - On ją ma, Bessie. On ma naszą Willę.

- Co takiego? - Wytężając słuch, Tess prawie przytknęła ucho do jego ust. - Kto ma Willę?

Ale Ham stracił przytomność. Kiedy uniosła głowę, ujrzała pełne przerażenia oczy Bess.

- Wezwij policję, natychmiast!

Teraz mógł się już zatrzymać. Kluczył, zawracał, szedł środkiem strumienia, a potem po głazach. Niestety, musiał spętać konie, ale trzymał je blisko.

Willa obserwowała każdy jego ruch. Znała wzgórze i wiedziała, że nie byłoby mu łatwo ją znaleźć, nawet gdyby musiała uciekać pieszo. Tylko przedtem musi się uwolnić.

Najpierw ściągnął ją z konia i ponownie spętał jej nogi w kostkach. Potem wziął swoją strzelbę, usiadł naprzeciwko niej i położył karabin na kolanach.

- Zdejmę ci knebel. Przepraszam, że musiałem go użyć. Sama wiesz doskonale, że krzyk na nic by się nie zdał. Mogą próbować nas odszukać, ale jeszcze nie teraz, poza tym pozacierałem ślady.

Wyciągnął rękę, żeby rozwiązać węzeł.

- Teraz trochę porozmawiamy. Kiedy mnie wysłuchasz, wszystko wróci do normy. - Ściągnął jej knebel.

- Ty cholerny morderco!

- Wcale tak nie myślisz. Jesteś po prostu zła.

- Zła? - Wściekłość sprawiła, że mocno szarpnęła rękami, próbując rozwiązać krępujące ją więzy. - Zabiłeś Hama.

Zabiłeś wszystkich pozostałych. Urządzałeś sobie rzeź mojego bydła. Zabiję cię gołymi rękami, jeśli tylko będę miała taką możliwość.

- Ham to był wypadek. Lubię go z całego serca, ale on mnie zobaczył. - Jak chłopiec przyłapany z pustym słoikiem po konfiturach, opuścił głowę. - Zabijanie bydła było błędem.

Teraz już wiem, że nie powinienem ci tego robić.

Przepraszam.

- Jesteś... - Zamknęła oczy i zacisnęła bezradnie ręce w pięści.

- Dlaczego? Dlaczego to wszystko zrobiłeś? Myślałam, że mogę ci ufać.

- Możesz. Słowo honoru, że możesz. W naszych żyłach płynie ta sama krew, Willo. Zawsze możesz ufać swoim krewnym. - Wcale nie jesteś moim krewnym.

- Jestem. - Stał płynącą mu po policzku łzę. Niezmiernie cieszyło go, że może jej o tym powiedzieć. - Jestem twoim bratem.

- Jesteś kłamcą, mordercą i tchórzem.

Gwałtownie uniósł głowę i jego ręka wyrwała się do przodu. Uderzył ją i w tym samym momencie tego pożałował.

- Nie mów takich rzeczy. Mam swą dumę. Wstał i zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem, próbując się uspokoić. Doskonale wiedział, że gdy zawodzą nerwy, wówczas wszystko wymyka się z rąk. Trzeba panować nad sobą, narzucać innym własną wolę, a wtedy można poradzić sobie nawet z najtrudniejszą sprawą.

- Jestem twoim bratem, tak samo jak Lily i Tess są twoimi siostrami. - Powiedział to spokojnie, nie zwracając uwagi na błyskawicę, która przecięła niebo jak elektryczny miecz. - Chcę ci to wszystko wyjaśnić. Chcę, żebyś zrozumiała, dlaczego to wszystko zrobiłem.

- Dobrze. - Jedna strona twarzy paliła ją jak płomień. Za to również jej zapłaci, przyrzekła sobie. Za wszystko jej zapłaci.

- W porządku, Jim, wyjaśnij mi wszystko. Ben włożył rewolwer do kabury, przesunął palcem po pasie i przypiął go. Karabinek kaliber 30, który miał przy sobie, mógł wyrządzić ogromne szkody, ale takiej właśnie broni potrzebował. Nie chciał myśleć o tym, co czuje, bo mógłby nie utrzymać się na drżących nogach. Wiedział jedynie, że musi działać.

Mężczyźni już wskoczyli na siodła, a Adam wykrzykiwał rozkazy. Ben tym razem nie wydawał żadnych poleceń. Nikt również nie przydzielił mu żadnych zadań. Wziął kapelusz Willi i dał go do obwąchania Charlie'emu.

- Szukaj jej - powiedział półgłosem. - Szukaj Willi. - Wepchnął kapelusz do sakwy i wskoczył na konia.

- Ben. - Tess chwyciła za uzdę. - Zaczekaj na innych.

- Nie mogę. Odsuń się na bok, Tess.

- Nie jesteśmy pewni, gdzie... ani kto. - Chociaż brakowało tylko jednego człowieka.

- Dowiem się, gdzie. A wcale nie muszę wiedzieć, kto. - Jednym szarpnięciem uwolnił końską głowę z jej uchwytu. - Muszę jedynie go zabić.

Tess podbiegła do Adama, zarzuciła Lily ręce na szyję i mocno się do niej przytuliła.

- Ben odjechał. Nie zdołałam go zatrzymać.

Adam kiwnął głową i dał sygnał do wyjazdu. - On wie, co robi. Nie martw się. - Odwrócił się i objął je obie.

— Wejdźcie do domu - powiedział do Lily i położył dłoń na jej lekko zaokrąglonym brzuchu. - Czekajcie i nie martwcie się.

- Nie będę się martwić. - Pocałowała go. - Znaleźliście mnie. Znajdziecie i ją. Przywieźcie ją całą i zdrową do domu. - W tej prośbie była jakaś wiara i ufność. Po tych słowach odsunęła się do tyłu, żeby mógł dosiąść konia.

- Tess, weź Lily do domu. - Nate ściągnął lejce, żeby uspokoić swego podnieconego wierzchowca. - Nie wychodźcie z domu. - Dobrze. - Położyła rękę na jego nodze i ścisnęła ją. - Pospieszcie się. - Nie była w stanie powiedzieć więcej ani słowa. Konie odjechały na zachód, a ona i Lily skierowały się w stronę domu. Teraz rozpoczęło się długie, dręczące oczekiwanie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- Moja matka pracowała w barze w Bozeman. - Jim siedział ze skrzyżowanymi nogami i rozpoczął swoją opowieść jak prawdziwy gawędziarz. - No cóż, być może proponowała klientom nie tylko drinki. Podejrzewam, że tak, chociaż nigdy mi nic na ten temat nie mówiła. Ale była kobietą bardzo ładną, na dodatek samotną, a przecież takie rzeczy się zdarzają.

- Myślałam, że twoja matka mieszkała w Missouli.

- Stamtąd pochodziła. Wróciła tam, kiedy się urodziłem. Wiele kobiet, gdy im się zdarzy coś takiego, wraca do rodzinnego domu, ale w jej przypadku to w ogóle nie zdało egzaminu. W moim również. Tak czy owak kowbojom, którzy pojawiali się w barze, serwowała drinki i, być może, coś więcej. W tamtych czasach Jack Mercy często tam wpadał. Szukał okazji do bójki, upijał się na umór, czasem również próbował znaleźć sobie jakąś kobietę. Każdy ci to powie.

Podniósł jakiś patyk i przejechał nim po kamieniu. Za plecami Willa wykręcała nadgarstki, próbując wysunąć ręce z krępującego je sznura.

- Coś na ten temat słyszałam - powiedziała spokojnie. - Poza tym doskonale wiem, jakim był człowiekiem.

- Przypuszczałem, że wiesz. Zazwyczaj udawałaś, że niczego nie widzisz. Sądziłem jednak, że o wszystkim wiesz. Moja matka wpadła mu w oko. Jak już powiedziałem, była bardzo ładna. Sama zresztą widziałaś te kobiety, z którymi się ożenił. Musisz przyznać, że coś w sobie mają. Jest na co popatrzeć. Louella ma fantastyczną figurę. A Adela to babka z klasą, przynajmniej do takiego doszedłem wniosku, kiedy ostatnio ją zobaczyłem. Twoja matka natomiast była bardzo spokojną, ale naprawdę wyjątkową osobą. Miałem wrażenie, że słyszy i rozumie rzeczy, o których inni ludzie nie mają pojęcia. Byłem nią oczarowany.

Kiedy usłyszała te słowa, serce zamarło jej w piersiach na samą myśl, że on mógł znajdować się w pobliżu jej matki. - Skąd ją znalazłeś?

- Kilkakrotnie odwiedziłem z moją matką Jacka. Nigdy nie zostawialiśmy długo w tej okolicy, nigdy również nie zatrzymywaliśmy się w Mercy. Byłem dzieckiem, ale doskonale pamiętam twoją matkę. Właśnie spodziewała się ciebie, miała ogromny brzuch i była bardzo ociężała. Szła z Adamem na pastwisko. Trzymała go za rękę. To był uroczy widok. - Zamyślił się nad tym przez chwilę. - Byłem tylko trochę młodszy od Adama. Zdarłem sobie skórę z kolana, czy coś w tym rodzaju. Wówczas ona podeszła i pomogła mi wstać. Moja matka i Jack Mercy kłócili się, a tymczasem twoja mama zabrała mnie do kuchni, przyłożyła mi coś

zimnego na kolano i chwilę ze mną porozmawiała. - Dlaczego odwiedziliście Mercy?

- Moja mama chciała, żebym tu został. Nie mogła się mną należycie zająć. Wciąż brakowało jej pieniędzy i bardzo często chorowała. Jej rodzina wyrzuciła ją z domu. To przez narkotyki. Była uzależniona. Zażywała je, ponieważ bardzo często dokuczała jej samotność. Ale on mnie nie chciał, chociaż byłem jego synem.

Zwilżyła wargi i próbowała nie zwracać uwagi na ból spowodowany przez wrzynający się sznur. - Skąd to wiesz? Od swojej matki?

- Tak. Opowiadała mi wszystko. - Zsunął do tyłu kapelusz i patrzył na Willę przytomnie. - Podczas jednego ze swych pobytów w Bozeman Jack Mercy zrobił jej dziecko. Powiedziała mu o tym, gdy tylko zorientowała się, że jest w ciąży, ale on wyzwał ją od dziwek i wywalił za drzwi. - Zmienił się wyraz jego oczu, pojawiły się w nich iskierki wściekłości. - Moja matka nie była dziwką. Robiła to, do czego zmuszała ją życie, to wszystko. Dziwki to zaraza i nie ma z nich żadnego pożytku. Śpią z każdym, kto im się nawinie pod rękę. Natomiast moja matka oddawała się za pieniądze tylko wtedy, kiedy musiała. Poza tym zaczęła robić to regularnie dopiero wówczas, gdy zaszła w ciążę, a on zostawił ją bez środków do życia. Czyż nie powtarzała mu tego wielokrotnie ze łzami w oczach?

- Co innego, do diabła, mogła zrobić? Powiedz mi, Will, co do diabła mogła zrobić? Była samotna, na dodatek w ciąży, a ten sukinsyn nazwał ją wredną, kłamliwą dziwką. - Nie wiem. - Ręce drżały jej z wysiłku. Zaczęło ogarniać ją przerażenie, ponieważ w jego oczach pojawiło się szaleństwo.

- Na pewno nie było jej łatwo.

- Było jej potwornie ciężko. Wiele razy mówiła mi, że go prosiła i błagała, a on niezmiennie odwracał się do niej plecami. Do mnie również. Do własnego syna. Mogła się mnie pozbyć. Wiesz o tym? Mogła zrobić sobie skrobankę i mieć cały problem z głowy, ale nie zrobiła tego. Powiedziała mi, że nie zrobiła tego, ponieważ byłem synem Jacka Mercy'ego. Miała zamiar zmusić go, żeby nas uznał. On miał pieniądze, mnóstwo pieniędzy, mimo to rzucił jej jedynie kilka nędznych dolców i zostawił ją na bruku. Willa poczuła coś na kształt współczucia dla kobiety, która swoją gorycz stopniowo wsączała w serce dziecka.

- Przykro mi, Jim. Może on po prostu jej nie wierzył. - Powinien uwierzyć! - Uderzył pięścią o kamień. - Przecież sypiał z nią. Przychodził do niej regularnie i obiecywał, że się nią zajmie. Mówiła mi, że jej obiecywał, a ona mu uwierzyła. Nawet kiedy już się urodziłem, wzięła mnie do niego. Pokazała mu, że mam jego oczy i jego włosy. Mimo to odwrócił się do niej plecami. Wtedy musiała wrócić do Missouli i błagać rodzinę, żeby jej pomogła. Pewnie

zrobił to dlatego, że był już wówczas żonaty z Louellą, a na dodatek ona właśnie spodziewała się dziecka. Więc mnie nie chciał. Myślał, że będzie miał syna. Ale się pomylił. Ja jestem jego jedynym synem.

- Mogłeś Lily wyrzucić krzywdę. Tam w pieczarze, kiedy porwał ją Cooke. - Willa uświadomiła sobie, że zbyt mocno ją związał. Nie mogła rozluźnić węzłów. - Mimo to nie zrobiłeś tego.

- Nie skrzywdziłbym jej. Oczywiście, był czas, kiedy brałem pod uwagę taką możliwość. Na początku, kiedy po raz pierwszy dowiedziałem się, co zrobił w swoim testamencie. Myślałem o tym, ale przecież one są moimi siostrami. - Zaczerpnął powietrza i rozcierał dłoń, którą przed chwilą uderzył o kamień. - Obiecałem matce, że wrócę do Mercy i odbiorę to, co mi się należy z racji urodzenia. Miała mdłości, wiesz? Kiedy była ze mną w ciąży, bardzo często robiło się jej niedobrze. Właśnie dlatego potrzebowała narkotyków. One pomagały jej przetrwać. Ale zrobiła dla mnie wszystko, co mogła. Opowiedziała mi o moim ojcu i o Mercy. Siadywała godzinami i opowiadała. Potem mówiła mi, co powinienem zrobić, kiedy dorosnę. Kazała mi stanąć z nim twarzą w twarz i zażądać tego, co jest moje. - Gdzie jest teraz twoja matka, Jim?

- Umarła. Powiedzieli mi, że przypadkowo przedawkowała narkotyki albo zrobiła to celowo, żeby popełnić samobójstwo. Ale to Jack Mercy ją zabił, Will. Zabił ją w chwili, kiedy odwrócił się do niej plecami. Już w tym momencie była martwa. Kiedy znalazłem ją tam sztywną i zimną, ponownie obiecałem jej, że wrócę do Mercy i zrobię tak, jak chciała. - A więc to ty ją znalazłeś. - Po jej twarzy spływały strużki potu. Nie było już tak gorąco, mimo to pot obficie zraszał jej skórę i szczypał w tych miejscach, gdzie miała rany. - Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro. - I było jej naprawdę przykro.

- Miałem szesnaście lat. Mieszkaliśmy wówczas w Billings i kiedy tylko mogłem, pracowałem w tuczami. Gdy wróciłem do domu, była już martwa. Leżała we własnym moczu i wymiocinach. Nie zasłużyła sobie na to, żeby umrzeć w taki sposób. To on ją zabił, Will. - Co potem zrobiłeś?

- Początkowo chciałem mu poderznąć gardło. Zacząłem ćwiczyć się w zabijaniu. Moimi ofiarami padały przeważnie bezpańskie koty i psy. Kiedy je kroilem, zazwyczaj wyobrażałem sobie, że mają jego twarz. Wówczas do tej roboty miałem jedynie scyzoryk.

Poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, z trudem przełknęła ślinę.

- A twoja rodzina, to znaczy rodzina twojej matki?

- Ponieważ odtrącili ją, nie miałem zamiaru zwracać się do nich o pomoc. Do diabła z nimi! - Podniósł patyk i dźgnął nim kamień. - Niech ich piekło pochłonie!

Nie mogła powstrzymać drżenia, widząc jak dźga kamień i bez przerwy powtarza to zdanie z wykrzywionymi ustami. Po chwili jednak przestał. Twarz rozpozodziła mu się i zaczął stukać patykiem jak perkusista.

- Poza tym złożyłem obietnicę - ciągnął. - Przyszedłem do Mercy i stanąłem przed nim. Roześmiał mi się w twarz, wyzwał mnie od bękartów i skurwysynów. Zamachnąłem się na niego, a on powalił mnie na ziemię. Powiedział mi, że nie jestem jego synem, ale dał mi robotę. Obiecał, że jeśli wytrzymam miesiąc, przyjmie mnie do pracy. Oddał mnie w ręce Hama.

Coś ścisnęło ją za serce. Ham. Czy ktoś go znalazł? Czy ktoś udzielił mu pomocy? - Czy Ham wiedział?

- Zawsze wydawało mi się, że tak. Nigdy nic na ten temat nie mówił, ale sądziłem, że wie. W końcu jestem podobny do Jacka, nie sądzisz?

W jego głosie było tyle nadziei, tyle żalostnej dumy, że Willa przytaknęła. - Chyba tak.

- Pracowałem dla niego. Uczyłem się i równocześnie harowałem jak wół. Kiedy ukończyłem dwadzieścia jeden lat, dał mi nóż. - Wysunął go z pochwy i obrócił w blasku księżycy. Był to crocodile Bowie z dwudziestocentymetrowym ostrzem. Ząbkowany czubek błyszczał jak kły. - To o czymś świadczy, Willo, jeśli mężczyzna daje swemu synowi taki kławy nóż.

Spływające po jej skórze kropelki potu były teraz zimne jak lód. - A więc to on dał ci ten nóż.

- Kochałem go. Urabiałem sobie ręce po łokcie i ten drań doskonale o tym wiedział. Nigdy nie prosiłem go już o nic więcej, ponieważ w głębi serca byłem święcie przekonany, że gdy nadejdzie czas, da mi to, co do mnie należy. W końcu byłem jego synem. Jego jedynym synem. Ale nie dał mi nic oprócz tego noża. Kiedy nadszedł czas, wszystko oddał tobie, Lily i Tess. A mnie nie zostawił nic.

Zbliżył się do niej, w jego ręce lśnił nóż, a oczy błyszczały w ciemności.

- Nie postąpił tak, jak powinien. To, co zrobił, nie było w porządku.

Zamknęła oczy i czekała na ból.

Charlie gnał do przodu. Przez cały czas trzymał nos przy ziemi i strzygł uszami. Ben był zadowolony, że blask księżycy oświetla mu drogę, przez cały jednak czas modlił się, żeby gęste chmury, które gromadziły się na zachodzie, jeszcze przez chwilę nie przysłaniały całego nieba. Brak światła bardzo utrudniłby mu pościg.

Mógłby przysiąc, że sam czuje jej zapach. Wydawało mu się, że przez cały czas ma w nozdrzach mieszankę woni mydła, skóry i czegoś, co było tak charakterystyczne tylko dla

Willi. Nawet nie próbował myśleć o tym, jak to wszystko może się skończyć. Nie mógłby wówczas logicznie myśleć a trzeźwość i logika były mu teraz bardzo potrzebne. Tym razem tropiona przez niego zwierzyzna zna ten teren tak samo dobrze jak on. Porusza się konno i nieobce są jej wszelkie sztuczki. Nie mógł liczyć na to że Willa zdoła opóźnić ucieczkę albo zostawić jakieś ślady, ponieważ nie był pewny czy...

Nie, nie wolno mu tak myśleć. Musi zrobić wszystko aby ją odnaleźć a potem zastanowi się, jak postąpić z tym człowiekiem.

Charlie wskoczył do strumienia i w tym momencie zgubił trop. Ben wprowadził konia do wody i stał przez chwilę nieruchomo, nasłuchując zastanawiając się i modląc. Doszedł do wniosku, że musieli kawałek przejść wzdłuż strumienia.

W takim razie on też powinien to zrobić.

Przeszli korytem. Nie mieli z tym problemu, ponieważ z braku deszczu poziom wody w strumieniu był bardzo niski. W oddali rozległ się grzmot potem krzyknął jakiś ptak. Ben miał ogromną ochotę ruszyć do przodu i zmusić swego konia do biegu. Wiedział jednak, że nie może sobie na to pozwolić, dopóki ponownie nie odnajdzie tropu.

Zauważył, że coś błyszczy na brzegu, więc zeskoczył z konia. Zimna woda chlupała mu w butach, kiedy przechodził przez strumień. Schylił się i podniósł połyskujący w blasku księżyca przedmiot.

Był to kolczyk. Zwykle złote kółko. Świsnął przez zęby i kurczowo zacisnął dłoń. Przypomniał sobie, że Willa ostatnio zaczęła nosić błyskotki. Bardzo podobały mu się te delikatne kobiece akcenty dodane do dżinsów i skóry. Próbował sobie nawet wmawiać, że ona robi to ze względu na niego.

Wsunął kolczyk do kieszeni i wskoczył z powrotem na konia. Jeżeli miała na tyle przytomności, by zostawić mu znaki, on musi jedynie spokojnie iść tym śladem. Wyprowadził konia na brzeg i pozwolił Charlie'emu odszukać trop.

- Nie powinien postąpić w taki sposób - powiedział drżącym głosem i przepiłował sznur wiążący jej kostki. - Chciał mi pokazać, że gównem dla niego znaczyłem. Tak samo zresztą jak ty.

- Tak. - Łzy które w tym momencie napłynęły jej do oczu, nie były wcale łzami współczucia, lecz niezwyklej ulgi. Wciąż jeszcze skrępowanymi rękami zaczęła masować zdrętwiałe nogi. - Nie dbał o żadne z nas.

- W pierwszej chwili ogarnęła mnie złość. Byłem z Pikle'em w chacie w górach, kiedy się o tym dowiedziałem i najzwyczajniej pod słońcem dostałem szału. To dlatego zabiłem tego wołu w taki sposób. Coś musiałem zabić. Dopiero potem zacząłem myśleć. Chciałem się

zemścić na Jacku Will po prostu ze mścić się. Początkowo chciałem się również mścić na tobie Na tobie na Tess i Lily. Uważałem, że one nie mają żadnego prawa do tego, co należy do mnie Do tego, co powinno być moje. Przyszło mi na myśl, że je wystraszę a wtedy wezmą nogi za pas. Gdyby mi się to udało, wówczas nikt nie dostałby niczego. Zostawiłem kota na werandzie. Z przyjemnością obserwowałem, jak Lily wrzeszczy nad nim i płacze. Teraz tego żałuję, ale wówczas nie myślałem o niej jako o siostrze. Po prostu chciałem, żeby się stąd wyniosła, żeby wróciła tam, skąd przyszła. I chciałem, żeby Mercy diabli wzięli.

- Czy mógłbyś uwolnić mi ręce, Jim? Proszę, okropnie mi zdętwiały.

- Nie mogę, jeszcze nie teraz. Jeszcze nie wszystko rozumiesz.

- Sądzę, że rozumiem. - Powoli odzyskiwała czucie w nogach.

Kiedy krew zaczynała w nich krążyć, poczuła mrowienie, ale, gdyby tylko się udało, mogłaby już uciekać. - Zranił cię. A ty chciałeś mu za to wszystko odpłacić.

- Musiałem. Czy mogło być inaczej, skoro pewne cechy odziedziczyłem po nim? Sęk w tym, Will, że lubię zabijać.

Podaję, że to również mam po nim. - Uśmiechnął się, a błyskawica, która w tym momencie przecięła niebo, oświetliła go aureolą jak upadłego anioła. - Nic nie możesz poradzić, jeżeli masz coś we krwi. On również lubił zabijać. Pamiętasz, kiedyś miałas cielátko. Kazał ci się nim opiekować, jak tylko przyszło na świat.

- Kwiatusek - powiedziała półgłosem. - Głupie imię dla krowy.

- Kochałaś tę głupią krowę, zdobyłaś nawet za nią nagrodę.

Przypomnij sobie, co zrobił tamtego dnia. Miałaś dwanaście, może trzynaście lat. Kazał ci obserwować, jak zabija tę krowę, żeby Bess miała mięso na obiad. Powiedział, że uczy cię życia na ranchu. Zanosilaś się płaczem, a potem odbiegłaś na bok i zwymiotowałaś. Niewiele brakowało, a Ham byłby wówczas pobił Jacka. Od tego czasu nigdy już nie chciałaś trzymać żadnego zwierzątka.

Wyjął papierosa i zapalił zapałkę.

- Przez jakiś czas miałaś jeszcze starego psa, który zdechł mniej więcej w rok później. Potem już nie wzięłaś sobie innego.

- Rzeczywiście, nie wzięłam. - Podciągnęła kolana do piersi i wtuliła w nie twarz. Ogarnęła ją fala wspomnień.

- Mówię ci to, żebyś zdała sobie sprawę, co to znaczy mieć coś we krwi. On uwielbiał wszystkimi rządzić, ogromną przyjemność sprawiało mu, gdy ludzie tańczyli, jak im zagrał.

Ty również uwielbiasz rozkazywać. Masz to we krwi.

Potrząsnęła niewyraźnie głową i z całych sił starała się nie rozplakać.

- Przestań.

- Zaczekaj. - Wstał, wziął manierkę, napełnił ją wodą ze strumienia i przyniósł Willi. - Napij się trochę. Nie chciałem cię zdenerwować. Po prostu próbuję zrobić wszystko, żebyś mnie zrozumiała. - Poglaskał ją po włosach. Jego młodsza siostra ma piękne włosy. - Oboje nieźle nas wykołował.

Charlie nagle wyrwał się do przodu. Nie szczekał ani nie wył, chociaż drżał jak liść. Ben zaczął nasłuchiwać, czy nie dolatują gdzieś z oddali odgłosy koni, ludzi czy psów. Jeśli on jest na tropie, to na pewno tuż za nim jedzie Adam. Tego mógł być pewien. Nie słyszał jednak nic, wszędzie panowała nocna cisza.

Znalazł drugi kolczyk, który leżał na skale niedaleko dzikich kwiatów rosnących w szczelinie. Podniósł go, przycisnął do ust i wsunął do kieszeni.

- Mądra dziewczyna - szepnął. - Zaczekaj jeszcze chwilkę. Spojrzał na niebo. Chmury coraz szybciej sunęły w stronę księżyca i zdążyły już przysłonić połowę nieba. Zbliżał się deszcz, o który od tak dawna się modlono, jednak dla Bena nadchodził za szybko.

Wypiła parę łyków i popatrzyła mu w oczy. Było w nich coś dojmującego. Coś przerażającego.

- Mogłeś pozbawić mnie życia wiele miesięcy temu. Zanim zabiłeś kogokolwiek innego.

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Prawdę mówiąc, ciebie spotkało to samo co mnie. Zawsze wyobrażałem sobie, że pewnego dnia będziemy we dwójkę prowadzić Mercy. Ty i ja. Nawet nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś to ty wszystkim kierowała. Masz do tego prawdziwą smykałkę. Ja jestem lepszy, jeśli ktoś mi mówi, co powinienem zrobić.

Usiadł z powrotem, sam napił się trochę wody i zakręcił manierkę. Stracił rachubę czasu. Tak miło było siedzieć z nią pod gwiaździstym niebem i spokojnie snuć wspomnienia.

- Wcale nie chciałem zabijać Pikle'a. Nie miałem nic przeciwko niemu, naprawdę. Och, momentami był prawdziwym wrzodem na dupie i wszystkim zatruwał życie ciągłym uskarżaniem się i szukaniem powodów do kłótni, ale on mi nie przeszkadzał. Tak się jakoś stało, że przypadkowo się na mnie natknął. Nie przeszło mi przez myśl, że może tamtędy przejeżdżać. Sądziłem, że mam więcej czasu. Po prostu planowałem zarznąć następnego wołu i zostawić go tam, gdzie wcześniej czy później któryś z chłopców musiał się na niego natknąć. Chciałem w ten sposób trochę podgrzać atmosferę. Kiedy już nadjechał, musiałem to zrobić. A najgorsze jest to, Will, że mi się to bardzo spodobało. - Zaszlachtowałeś go.

- Mięso to mięso, nie ma żadnej różnicy, ludzkie czy zwierzęce. Niech to diabli. Napiłbym się piwa. Prawda, że piwo uspokaja? - Westchnął i zdjął kapelusz, żeby ochłodzić

twarz. - Już nie ma takiego straszego żaru, ale, cholera jasna, wciąż jeszcze jest bardzo gorąco. Być może w końcu spadnie ten deszcz, na który od tak dawna wszyscy czekają.

Spojrzała na niebo i przestraszyła się. Lada chwila zajdzie księżyc. Jeśli ktoś idzie jej śladem, bez księżycy będzie ślepy jak nietoperz. Poruszyła palcami u nóg i uznała, że już w pełni odzyskała w nich czucie.

On tymczasem stukał nożem o czubek buta.

- Nie wiem, dlaczego go oskalpowałem. Po prostu wpadł mi do głowy taki pomysł. Chyba chciałem mieć coś w rodzaju trofeum. Tak jak głowy zwierząt wiszące na ścianach. Mam całe pudełko trofeów zakopane na wschód stąd. Wiesz, gdzie rosną te trzy amerykańskie topole po drugiej stronie najdalszego pastwiska?

- Tak, wiem. - Starła się patrzeć mu prosto w oczy, a nie na nóż.

- To ja zarżnąłem wszystkie te cielęta tamtej nocy. Wydawało mi się, że to wypłoszy stąd te dziewczyny z miasta i że dzięki temu dopnę swego. Ale one zostały. Jestem dla nich pełen podziwu. To zmusiło mnie do zastanowienia, mimo to nie mogłem pokonać tkwiącego we mnie szaleństwa. - Potrząsnął głową nad własnym uporem. - Więc kiedy podrzucałem tę autostopowiczkę, skorzystałem z okazji. Bardzo chciałem zabić jakąś kobietę.

Zwilżył wargi. Gdzieś w głębi duszy czuł, że nie powinien mówić tego wszystkiego młodszej siostrze, mimo to nie potrafił się powstrzymać.

- Nigdy wcześniej nie robiłem czegoś takiego z kobietą. Miałem ogromną ochotę zrobić to Shelly, no wiesz, żonie Zacka.

- O mój Boże!

- Ona jest taka ładna i ma śliczne włosy. Kilkakrotnie byłem w Three Rocks i grałem tam z chłopcami w pokera. Nawet zdążyłem się trochę porozglądać. Ale zrobiłem to tej dziewczynie. A zostawiłem ją przed frontowymi drzwiami, żeby pokazać Jackowi Mercy, kto tu rządzi. To było przed cielętami - powiedział marzycielsko. - Tak, teraz sobie przypomniałem. To było wcześniej. Wszystko wymieszało mi się w głowie, aż do Lily. To Lily sprawiła, że zacząłem myśleć innymi kategoriami. Ona jest moją siostrą. Niestety zrozumiałem to dopiero wtedy, kiedy JC tak okrutnie się z nią obszedł i tak bardzo ją przestraszył. Byłaby umarła, gdybym się nią nie zaopiekował. Prawda?

- Tak. - Nie zwymiotuje, nie może sobie na to teraz pozwolić. - Rzeczywiście nie zrobiłeś jej krzywdy. - Przy mnie nie spadłby jej nawet włos z głowy. - Dostrzegł ironię własnych słów, uderzył ręką w kamień i zaczął się śmiać. - Włos z głowy. Łapiesz? To dobre. - Spowaźniał, gwałtownie zmienił mu się humor i było w tym coś przerażającego. - Kocham ją, Will. Kocham was wszystkie tak, jak brat powinien kochać siostry. Będę cię chronił. A ty

musisz chronić mnie. Przecież bliższa koszula ciała. - W jaki sposób mam cię chronić, Jim? - Opracujemy plan, ułożymy jakąś własną wersję wydarzeń. Najprawdopodobniej zabiorę cię z powrotem i powiemy wszystkim, że ktoś cię porwał. Nie wiedziałaś o tym, ale ja poszedłem twoim śladem. Nie miałem czasu zaalarmować innych. Udało mi się go odpędzić, wystraszyć. Oddam kilka strzałów - Klepnął strzelbę. - Przerażony porywacz uciekł wysoko w góry, a ja zabrałem cię z powrotem całą i zdrową. Powinni w to uwierzyć, prawda?

- Chyba tak. Powiem im, że nie widziałam jego twarzy. Uderzył mnie. Chyba mam gdzieś nawet jakieś sińce. - Przykro mi z tego powodu, ale to nawet teraz może się przydać. Wszystko wróci do normy. Za parę miesięcy nikt już nie będzie miał prawa wtrącać się w sprawy rancza, a warunki testamentu zostaną dotrzymane. Mogę zostać zarządcą. - Zauważył w jej oczach błysk, dostrzegł również, że instynktownie się skuliła. - Wcale tak nie myślisz! Kłamiesz! - Nie, tylko jeszcze się nad tym zastanawiam. - Przestraszyła się nagłej zmiany jego nastroju. - Musimy być pewni, że to będzie brzmiało wiarygodnie, bo inaczej... - Kłamiesz! - Krzyknął, aż odpowiedziało mu echo. - Myślisz, że tego nie widzę? Myślisz, że jestem na tyle głupi, żeby nie zorientować się, co przyszło ci do głowy? Zawiozę cię z powrotem, a ty powiesz im wszystko. Jesteś w stanie wydać własnego brata. I przez Hama.

Wściekły poderwał się na nogi, w jednej ręce trzymał nóż, a w drugiej strzelbę.

- To był wypadek. Nic na to nie mogłem poradzić. Ale ty zwrócisz się przeciwko mnie. Bardziej zależy ci na starym człowieku niż na własnej rodzinie.

Nigdy nie pozwoli jej odejść. Zabije ją, zanim zrobi dwa kroki. Poderwała się więc na równe nogi, zachwiała się, rozstawiła je szeroko i spojrzała mu prosto w oczy.

- On był moją rodziną.

Odrzucił strzelbę, wolną ręką chwycił ją za koszulę i potrząsnął nią.

- Jestem twoim bratem. Tylko ja się liczę. Tak samo jak ty powinienem nosić nazwisko Mercy.

Kątem oka zauważyła błysk noża. W tym momencie chmury zasłoniły księżyc i ostrze również przestało lśnić.

- Będziesz musiał mnie zabić, Jim. A kiedy to zrobisz, nie będziesz w stanie dość szybko uciec, ani dość głęboko się ukryć. Złapią cię. Jeśli dopadnie cię Ben albo Adam, niech Bóg ma cię w swej pieczy.

- Dlaczego nie chcesz mnie słuchać? - Jego krzyk zagrzmiał wśród kamieni i wzgórz, po czym zawisnął w ciężkim powietrzu. - Tylko Mercy się liczy. Chcę dostać należną mi część Mercy.

Zacisnęła obolałe dłonie w pięści i popatrzyła w jego obłąkane oczy.

- Nie jestem w stanie ci tego dać. - Cofnęła się do tyłu i zeszywniałymi rękami uderzyła go w żołądek, po czym rzuciła się do ucieczki.

Złapał ją za włosy, szarpnął gwałtownie, aż zobaczyła wszystkie gwiazdy. Zaszlochała z bólu, ostro cofnęła do tyłu łokieć i mocno go uderzyła. Mimo to jego uchwyt nie zelżał. Poślizgnęła się i byłaby upadła, gdyby nie trzymał jej za włosy.

- Zrobię to szybko - obiecał. - Wiem, jak. W tym momencie z cienia wysunął się Ben.

- Rzuć nóż! - Jego pistolet był odbezpieczony, wycelowany prosto w Jima i gotowy do strzału. - Jeśli ją choćby zadrasniesz, wyślę cię prosto do piekła.

- Nie tylko ją zadrasnę. Zabiję ją. - Jim przytknął nóż do jej szyi. Mówił całkiem spokojnie. Poczuł, że z powrotem zaczyna nad wszystkim panować. Teraz to on dyktował warunki. Kobieta, którą przyciskał do siebie, już nie była jego siostrą, lecz osłoną. - Wystarczy, że delikatnie ruszę palcem, a będzie martwa, zanim zdąży osunąć się na ziemię. - Ty też. Oczy Jima zamigotały. Niestety, jego strzelba była poza zasięgiem ręki. Ostrożnie zrobił krok do tyłu, przez cały czas trzymając nóż przytknięty do gardła Willi.

- Daj mi pięć minut na ucieczkę, a kiedy będę bezpieczny, puszcę ją.

- Nie, on mnie nie puści. - Syknęła, kiedy nacisnął nóż i pierwsza strużka krwi popłynęła jej po szyi. - On mnie zabije - powiedziała spokojnie i patrzyła Benowi prosto w oczy. - To tylko kwestia czasu.

- Zamknij się, Will. - Jim błysnął nożem pod jej brodą. - Pozwól mężczyznom rozstrzygnąć tę sprawę między sobą.

Jeśli ją chcesz, McKinnon, możesz ją mieć. Ale odłóż pistolet, odsuń się do tyłu i pozwól nam wsiąść na konia. Jeśli nie, zabiję ją na twoich oczach. Wybór należy do ciebie.

Ben przesunął wzrok z twarzy Jima na Willę. Potężna błyskawica przecięła niebo, oświetlając całą trójkę stojącą na srebrzystej skale.

Wpatrywał się w nią, aż zobaczył, że delikatnie przytaknęła.

Był święcie przekonany, że jej gest oznacza zgodę i zrozumienie. - Naprawdę? Nacisnął spust. Kula trafiła dokładnie tam, gdzie celował, prosto między oczy. Niech ją Bóg błogosławi, pomyślał, gdy zadrżała mu ręka. Willa ani drgnęła. Nie poruszyła się nawet wówczas, gdy nóż zabrzączał padając na skaliste podłoże.

Gdy już nikt jej nie trzymał, zachwiała się. Zauważyła, że niebo zatacza dziwne kręgi i że zaczyna padać deszcz. Dostrzegła również, że Ben biegnie w jej kierunku.

- Dobry strzał - zdołała powiedzieć, po czym zemdląła.

Ocknęła się w jego ramionach. Próbował ocierać jej wilgotną twarz.

- Tylko straciłam równowagę.

- Wiem. - Klęczał na ziemi i kołysał ją jak dziecko, a z góry lały się na nich strugi deszczu. - Zauważyłem.

W uszach dzwoniły jej kościelne dzwony. Choć wiedziała, że to tchórzostwo, ukryła twarz w jego ramionach, żeby nie patrzeć w stronę ciała, które musiało leżeć gdzieś obok nich.

- Powiedział, że jest moim bratem. Zrobił to wszystko, ponieważ chciał odzyskać Mercy, ponieważ zranił go mój ojciec, a na dodatek...

- Słyszałem, co mówił. - Przycisnął wargi do jej włosów, potem zdjął swój kapelusz i próbował ją osłonić przed deszczem. - Ty idiotko, sama dopraszałaś się, żeby cię zabił. Kiedy się tu wspinałem, prawie odchodziłem od zmysłów, słysząc, jak go podjudzasz.

- Nie wiedziałam, co jeszcze mogę zrobić. - Strach, nad którym tak długo doskonale panowała, teraz ogarnął ją ze zdwojoną siłą. - Co z Hamem?

- Nie wiem.

'Drżała jak w febrze, więc przytulił ją mocniej do siebie.

- Nie wiem, kochanie. Kiedy wyjeżdżałem, jeszcze żył.

- To dobrze. - W takim razie istniała jakaś nadzieja. - Moje ręce. O Jezu! Ben, moje ręce!

Zaklął ostro i wściekle, a potem wyjął nóż i przeciął sznur, który wpił się głęboko w jej nadgarstki.

- Och, dziecinko. - Nie mógł na to patrzeć, był kompletnie rozdygotany. - Willo.

Wciąż jeszcze klęczał w strugach deszczu i kołysał ją w ramionach, kiedy nadjechał Adam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

- Będziesz jadł to, co ci każe, i wtedy, kiedy ci każe. - Bess z ponurą miną stała przy łóżku, o jasnej cholery! Nie możesz mnie zostawić na pięć minut w spokoju? - Ham, nieszczęśliwy i wściekły, odepchnął tacę, którą przed chwilą położyła mu na kolanach.

- Jeśli cię zostawię, na pewno zaraz wstaniesz z łóżka.

Obiecuję ci, że jeśli jeszcze raz to zrobisz, rozbiorę cię do naga. Wtedy przynajmniej będę miała pewność, że nie dojdiesz dalej niż do tych drzwi.

- Wystarczy, że sześć tygodni leżałem plackiem w szpitalu.

Wypisali mnie stamtąd ponad tydzień temu. Żyję. Na litość boską muszę zacząć się ruszać!

- Nie używaj przy mnie imienia bożego, Hamiltonie. Doktor powiedział, że jeszcze przez dwa tygodnie masz odpoczywać.

Możesz jedynie dwa razy dziennie robić sobie godzinny spacer. - Wysunęła do przodu podbródek, pochyliła głowę i groźnie patrzyła na niego z góry. - Czy muszę ci jeszcze raz przypomnieć, że miałeś w tym swoim tłustym brzuchu nóż i że zalałeś mi krwią całą kuchnię?

- Robisz to za każdym razem, kiedy się tu pojawiaasz.

- I na razie bez skutku. - Kiedy do pokoju weszła Willa, Bess obejrzała się zadowolona. - W porządku. Może ty sobie z nim lepiej poradzisz. Ja mam mnóstwo roboty.

- Znowu jej nadokuczałeś, Ham? Popatrzył wilkiem na wychodzącą Bess.

- Jeśli ta baba nie przestanie zajmować się mną jak małym dzieckiem, powiązę prześcieradła i ucieknę przez okno. - Nie tylko ona, ale i my wszyscy jeszcze przez chwilę musimy się tobą zajmować. Usiadła na brzegu łóżka i uważnie mu się przyglądała. Na jego twarzy pojawiły się już rumieńce, odzyskał również trochę kilogramów, które stracił w szpitalu, wracając do zdrowia.

- Chociaż, prawdę mówiąc, całkiem nieźle wyglądasz. - Czuję się dobrze. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie mógłbym wskoczyć na siodło. - Kiedy Will oparła głowę na jego piersi i przytuliła się do niego, nie wiedział, co zrobić z rękami. Niezręcznie i nieporadnie pogłaskał ją po włosach. - Daj spokój, Will, przecież nie jestem pluszowym misiem. - Bardziej przypominasz niedźwiedzia grizzly. - Uśmiechnęła się i pocałowała go w zarośnięte policzki, nie zważając na to, że zakłopotany zaczął się niespokojnie wiercić. - Baby uwielbiają, kiedy mężczyzna jest od nich całkowicie uzależniony.

- Nigdy dotychczas nie zdarzyło się, żebym mogła się tobą zajmować. - Wyprostowała się i ujęła jego dłoń. - Czy Tess była u ciebie?

- Tak, wpadła tu przed chwilą. Przyszła się ze mną pożegnać. - Przypomniał sobie, że ona też się nad nim rozczulała. Przytuliła się i całowała go. Niewiele brakowało, a rozbeczałby się jak baba. - Będzie nam jej bardzo brakowało. Miło było popatrzeć, jak paradowała tu i tam w tych zabawnych butach.

- Mnie też będzie jej brakowało. Nate już przyjechał, żeby zabrać ją na lotnisko. Muszę iść i pożegnać się z nią. - Czy u ciebie... wszystko w porządku? - Żyję. Dzięki tobie i Benowi żyję. - Po raz ostatni uściśniła mu rękę i ruszyła do drzwi. - Powiedz mi, Ham. - Nie odwróciła się jednak, lecz mówiła, patrząc w stronę holu. — Czy on rzeczywiście był synem Jacka Mercy'ego? Czy był moim bratem?

Mógł odpowiedzieć, że nie. Wtedy bez trudu można by wszystko odsunąć w niepamięć. Byłoby jej z pewnością dużo łatwiej przejść nad tym do porządku dziennego. Przynajmniej tak mu się wydawało. Uznał jednak, że nigdy nie należała do kruchych kobiet, po co więc miałby kłamać.

- Nie wiem, Will. Bóg mi świadkiem, że nie wiem. Kiwnęła głową i doszła do wniosku, że musi się z tym pogodzić. Z faktem, że nigdy nie pozna prawdy.

Kiedy wyszła, zobaczyła tonącą we łzach Lily, która trzymała w objęciach Tess.

- Hej, żegnacie mnie tak, jakbym wyjeżdżała do Afryki, żeby zostać tam misjonarką. - Tess z całych sił starała się powstrzymać łzy. - Przecież jadę tylko do Kalifornii. Za kilka miesięcy przyjadę was odwiedzić. - Poklepała coraz większy brzuch Lily. - Chcę być tutaj, kiedy pojawi się maleństwo.

- Będę za tobą bardzo tęskniła.

- Będę pisać, dzwonić, do diabła, będę faksować. Nawet nie zauważycie, że wyjechałam. - Zamknęła oczy i gwałtownie przytuliła Lily. - Trzymajcie się. Adamie. - Złapała go za rękę, po czym rzuciła mu się w ramiona. - Wkrótce znowu się zobaczymy. Ściągnę cię do siebie, żebyś mi doradził przy kupnie konia.

Coś wymamrotał.

- Co to znaczy? - Pocałował ją w policzki.

- Że jesteś moją siostrą i zamieszkałaś w moim sercu.

- Zadzwoń - wydusiła z siebie, potem odwróciła się* i prawie wpadła na Bess.

- Trzymaj. - Bess wsunęła jej w ręce wiklinowy koszyk. - Czeka cię długa jazda na lotnisko. Przy twoim apetycie pewnie po drodze zgłodniejesz.

- Dzięki. Mam nadzieję, że uda mi się zrzucić te dwa i pół kilograma, które mi tu przybyły.

- To przecież nie boli. Przekaż pozdrowienia swojej matce.

- Przekażę.

Z westchnieniem Bess pogłaskała ją po policzku.

- Wracaj szybko, dziewczyno.

- Wróć. - Odwróciła zalaną łzami twarz i popatrzyła na Willę.

- Prawdę mówiąc - wydusiła - to była fantastyczna przygoda. - Jasne. - Z kciukami wciśniętymi w przednie kieszenie, Willa zeszła po schodach. - Możesz o tym napisać. - Pewnie, że to zrobię. - Ciężko przełknęła, żeby uspokoić głos.

- Spróbuj trzymać się z daleka od kłopotów. Willa uniosła brwi. - To ty uważaj na siebie w tym wielkim, złym mieście.

- To moje miasto. Wyślę ci pocztówkę, żebyś mogła zobaczyć, jak wygląda prawdziwy świat.

- Będę na nią czekać.

- No cóż. - Odwróciła się. - Do diabła! - Wcisnęła koszyk Nate'owi i wpadła prosto w otwarte ramiona Willi. - Cholera jasna! Będę za tobą bardzo tęsknić.

- Ja też. - Willa przycisnęła ją mocno do siebie i przez chwilę kurczowo trzymała. - Dzwoni.

- Będę, będę. Boże, pomaluj sobie czasem usta, dobrze? I używaj tego lotionu do rąk, który ci zostawiłam, zanim twoja skóra upodobni się do pumeksu.

- Kocham cię.

- O Boże! Muszę już jechać. - Przez cały czas płacząc, Tess podeszła niepewnym krokiem do łazika. - Idź już kastrować bydło albo robić coś w tym stylu.

- Właśnie się tam wybieram. - Willa miała pewne problemy z oddychaniem. Kiedy samochód ruszył, zdjęła z szyi chustkę i wytarła nią nos. - Do zobaczenia, Hollywood.

Tess, sprawdzając na lotnisku swoje bagaże, była pewna, że zdołała się już całkiem opanować. Przez całą godziną jazdę płakała. Doszła do wniosku, że to jej bardzo pomogło. Na całe szczęście Nate był na tyle wyrozumiały, że jej w tym nie przeszkadzał.

- Nie musisz odprowadzać mnie do wyjścia. - Mimo to mocno trzymała go za rękę.

- Ale mogę.

- Kontaktuj się ze mną.

- Wiesz, że będę.

- Może przylecisz na weekend i pozwolisz oprowadzić się po mieście?

- Mogę przylecieć.

Przyszło jej na myśl, że Nate z całych sił stara się ułatwić jej to pożegnanie. Wszystko szło tak gładko. Rok minął. Osiągnęła swój cel. Teraz nadeszła pora na powrót do

normalnego świata.

Tak jak chciała.

- Postaraj się przekazywać mi wszelkie plotki. Chcę wiedzieć wszystko, co będzie dotyczyło Lily i Willi. Będę tęsknić za nimi jak cholera.

Rozejrzała się wokoło, popatrzyła na przychodzących i wychodzących ludzi. Mimo to nie mogła wykrzesać z siebie normalnego entuzjazmu, który zawsze ogarniał ją na samą myśl, że będzie lecieć samolotem.

- Nie chcę, żebyś czekał. - Zmusiła się, żeby popatrzeć w jego cierpliwe i spokojne oczy. - Pożegnaliśmy się już. W ten sposób tylko wszystko utrudniasz.

- Nie może być jeszcze trudniej niż jest. - Położył ręce na jej ramionach, przesunął je w dół do łokci i z powrotem do góry. - Kocham cię, Tess. Jesteś moją pierwszą i ostatnią miłością. Zostań. Wyjdź za mnie za męża.

- Nate, ja... - Też cię kocham, pomyślała. O Boże! - Muszę jechać. Przecież doskonale o tym wiesz. Tam mam pracę, tam rozwija się moja kariera. To, co nas łączyło, było tymczasowe. Oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

- Wszystko się zmienia. - Ponieważ wyczytał z jej twarzy, co do niego czuje, potrząsnął nią delikatnie. - Nie potrafisz, patrząc mi prosto w oczy, powiedzieć, że mnie nie kochasz, Tess. Za każdym razem, kiedy chcesz mi coś takiego powiedzieć, uciekasz wzrokiem i w końcu nic nie mówisz.

- Muszę już iść. Spóźnię się na samolot. - Wyrwała się, odwróciła na pięcie i zaczęła biec.

Przecież doskonale wie, co robi. Wie, i nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Powtarzała to sobie wciąż od nowa, mijając kolejne przejścia. Jak mogłaby żyć w Montanie, na dodatek na ranchu, gdzie hoduje się konie? Musi myśleć o swej karierze. Musi zacząć pisać nowy scenariusz i popracować nad powieścią. Jej miejsce jest w Los Angeles.

Nagle zakłęła, zawróciła i zaczęła przeciskać się przez tłum podążający w przeciwnym kierunku.

- Nate! - Dostrzegła jego kapelusz w sunącej na dół windzie i przyspieszyła kroku. - Nate! Zaczekaj chwileczkę!

Dogoniła go dopiero na dole. Zadzyszana stanęła przed nim i przycisnęła rękę do bijącego w oszalałym rytmie serca. Popatrzyła mu w oczy.

- Nie kocham cię - powiedziała bez zmruczenia powiek i obserwowała wyraz jego twarzy. - Co ty na to, spryciarzu? Jestem w stanie patrzeć ci prosto w oczy i kłamać.

Ze śmiechem rzuciła mu się w ramiona.

- Co tam, do diabła! Przecież mogę pracować wszędzie. Pocałował ją i postawił na nogach.

- W porządku. W takim razie jedziemy do domu.

- Moje bagaże!

- Wróć.

Obejrzała się za siebie i pożegnała Los Angeles.

- Wcale nie wyglądasz na zaskoczonego..

- Bo nie jestem. - Przeszli przez drzwi, potem wziął ją w ramiona i zaczął obracać w szalonym rytmie. - Poza tym jestem bardzo cierpliwy.

Ben znalazł Willę przy sprawdzaniu ogrodzenia dzielącego Three Rocks i Mercy. Zdał sobie sprawę, że powinien robić to samo. Mimo to zeskoczył z konia i podszedł do niej.

- Może ci pomóc?

- Nie, już sobie poradziłam.

- Ciekaw jestem, jak się czuje Ham.

- Marudzi jak niedźwiedź cierpiący na zaparcie. Wygląda jednak na to, że szybko wraca do zdrowia.

- To dobrze. Pozwól, że zrobię to za ciebie.

- Potrafię zajmować się ogrodzeniem.

- Po prostu pozwól mi to za ciebie zrobić. - Wyrwał jej drut z ręki. Cofnęła się o krok i wzięła się pod boki.

- Już wystarczająco długo plątałeś się pod nogami i próbowałeś mi pomagać. Czas z tym skończyć.

- Dlaczego?

- Masz swoje ranczo i musisz go pilnować. Ja poradzę sobie z Mercy.

- Ze wszystkim sobie poradzisz - mruknął. - Warunki testamentu zostały spełnione, Ben. Już nie musisz tu niczego pilnować ani sprawdzać. Jego oczy życzliwie błysnęły spod ronda kapelusza. - Myślisz, że tylko to mnie tu przyciągało? - Nie wiem. Ostatnio właściwie niczym innym się nie interesowałeś. - Co masz na myśli?

- Dokładnie to, co powiedziałam. W ciągu ostatnich kilku tygodni nie pojawiałeś się zbyt często w moim łóżku. - Byłem zajęty.

- No cóż, teraz ja jestem zajęta, więc idź i zajmij się swoim ogrodzeniem.

Tak samo jak ona rozstawił szeroko nogi i patrzył na nią przez druty.

- To, którym właśnie się zajmujesz, należy w takim samym stopniu do mnie, jak i do ciebie.

- W takim razie powinieneś je sprawdzać, tak samo jak ja. Rzucił drut na dzielący ich pas ziemi, zupełnie jakby w ten sposób zaznaczał granicę między nimi a ich ranczami.

- W porządku. Chcesz wiedzieć, co się ze mną dzieje, to ci powiem. - Wyjął dwa złote kółka i wsunął jej w rękę.

- Och! - Na ich widok zmarszczyła brwi. - Zupełnie o nich zapomniałam.

- Ale ja nie. - Trzymał je, Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego, i za każdym razem, kiedy na nie patrzył, powracało wspomnienie tamtej nocy, ciemnej i przerażającej. Na dodatek za każdym razem zastanawiał się, czy zdołałby ją znaleźć na czas, gdyby nie była na tyle bystra i na tyle sprytna, aby zostawić mu ślady.

- A więc znalazłeś moje kolczyki. - Wsadziła je do kieszeni.

- Tak. Znalazłem je. Wspiąłem się po zboczu, słuchając, jak on na ciebie krzyczy. Widziałem, jak przytknął nóż do twego gardła. A kiedy cię zaciął, obserwowałem krew płynącą po twojej szyi.

Instynktownie dotknęła ręką gardła. Czasem jeszcze czuła w tym miejscu ostrze noża, który jej ojciec wiele lat temu ofiarował mordercy.

- Jest już po wszystkim - powiedziała. - Nie lubię wracać do tych wspomnień.

- Za to ja robię to bardzo często. Widzę tę błyskawicę, która rozświetliła niebo, i twoje oczy dobrze widoczne w jej blasku.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że wiedziałaś wówczas, co mam zamiar zrobić. Pozwoliłaś mi to zrobić. Zaufałaś mi.

Przypomniał sobie, że nie zamknęła oczu. Przez cały czas miała je otwarte i spokojnie patrzyła, jak naciska spust.

- Wpakowałem mu kulę w łeb. Twoja głowa była zaledwie kilkanaście centymetrów od niego. Ten widok, niestety, dręczy mnie do dziś.

- Przykro mi. - Sięgnęła po jego rękę, opuściła ją jednak, kiedy się cofnął i stanął nieruchomo na własnej ziemi. - Wiem, że zabiłeś dla mnie człowieka. Widzę, że to bardzo zmieniło twoje uczucia.

- To nie o to chodzi. No cóż, może trochę. Chyba rzeczywiście.

- Odwrócił się, zrobił kilka kroków i spojrzał na niebo. - A może zawsze tak było.

- W takim razie, dobrze. - Była zadowolona, że jest odwrócony do niej plecami i nie może zobaczyć, że mocno zaciska powieki i zagryza wargę, żeby się nie rozplakać. - Rozumiem.

Jestem ci wdzięczna. Nie musimy sobie tego wszystkiego wcale utrudniać.

- Utrudniać? Do diabła, ty niczego nie rozumiesz! - Wcisnął ręce do tylnych kieszeni i

z uwagą przyglądał się długiej linii ogrodzenia. Tylko to nas dzieli, pomyślał, ta cienka linia drutu kolczastego. - Niemal przez całe życie płątałaś mi się pod nogami i robiłaś wszystko, żeby mnie denerwować.

- Jesteś na mojej ziemi! - krzyknęła głęboko urażona. - Kto więc płacze się pod czyimi nogami?

- Wydaje mi się, że znam cię lepiej niż kogokolwiek innego.

Doskonale zdaję sobie sprawę z twoich wad. A jest ich niemało. Masz paskudny charakter, jesteś wybuchowa, a na dodatek doprowadzasz mnie do rozpacz. Jesteś mądra, ale twój charakter często staje na drodze rozsądkowi. Mimo to uważam, że jeśli zna się czyjeś wady, to tak jakby się miało połowę bitwy za sobą.

Odepchnęła go mocno. Potknął się i wpadł na własnego konia.

Podniósł kapelusz, który zrzuciła mu z głowy i przejechał nim wzdłuż nogawki dzinsów, po czym odwrócił się.

- Teraz mógłbym cię za to pobić, a to z pewnością zmieniłoby się w coś innego.

- Tylko spróbuj.

- Widzisz, i to jest właśnie najgorsze. - Wskazał na nią palcem.

- To twoje spojrzenie, właśnie takie jak w tej chwili. Ile razy sądziłem, że mi już przeszło, właśnie ono mnie pokonywało. - Nie rozumiem. - To przez nie cię pokochałem. Upuściła młotek, który wcześniej podniosła, żeby go nim zdzielić. - Przez nie, co?...

- Sądzę, że usłyszałaś, co powiedziałem za pierwszym razem. Masz uszy wyczulone jak kot. - Podrapał się po brodzie, wsadził kapelusz na głowę. - Wydaje mi się, że będziesz musiała wyjść za mnie za męża, Will. Nie widzę innego wyjścia. A mogę ci się przyznać, że rozpaczliwie go szukałem. - A więc to tak? - Pochyliła się, ponownie podniosła młotek i zaczęła uderzać nim o własną rękę. - Szukałeś? - Tak. - Patrzył na młotek i uśmiechał się. Miał nadzieję, że go nie użyje. A jeśli mimo wszystko będzie próbowała, liczył na to, że zdoła uskoczyć i w ten sposób uda mu się uniknąć wstrząsu mózgu. - Gdyby istniało jakiegokolwiek rozwiązanie, na pewno bym je znalazł. Wiesz - ostrożnie ruszył w jej stronę - początkowo sądziłem, że pragnę cię dla odmiany, ponieważ jesteś tak nieprawdopodobnie przekorna. Potem, gdy cię już zdobyłem, doszedłem do wniosku, że wciąż cię pragnę, ponieważ nie wiem, jak długo zdołam cię utrzymać. - Jeśli nadal będziesz się do mnie zbliżał - powiedziała spokojnie - uszkodzę ci tę twoją wielką pałę. Zbliżał się nadal.

- Potem zacząłem się zastanawiać, jak to się stało, że nikt nigdy wcześniej tak bardzo mnie nie pociągał, jak ty. Nie zdarzało mi się, żebym w pięć minut po wyjściu od którejkolwiek kobiety tęsknił za nią, a za tobą tak. Kiedy groziło ci niebezpieczeństwo,

kompletnie oszalałem. Dlatego myślę, że jedynym sposobem na mój problem jest małżeństwo z tobą. - Czy to mają być oświadczenia?

- Nigdy nie usłyszałaś lepszych. A biorąc pod uwagę twój niemiły charakter, nigdy nic lepszego ci się nie trafi. - Wylizował każdy ruch. Podskoczył do przodu wyrwał jej młotek z ręki i przerzucił go za ogrodzenie. - Wolałbym, Will, żebyś mi nie dała kosza. Głęboko to przemyślałem. Mimo to odpowiadam „nie”. - Skrzyżowała ramiona. - I zaczekam na jakieś lepsze oświadczenia.

Westchnął ciężko. Obawiał się, że do tego dojdzie.

- No dobrze. Kocham cię. Chcę, żebyś wyszła za mnie za męża.

Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Może być?

- Już trochę lepiej. - Jej serce wypełniła ogromna radość. - A gdzie pierścionek?

- Pierścionek? Na litość boską, Will, kiedy jeżdżę sprawdzać ogrodzenie nie wożę ze sobą pierścionków. - Zakłopotany zsunął do tyłu kapelusz. - Poza tym nigdy dotychczas niczego takiego nie nosiłaś.

- Będę nosić ten, który dostanę od ciebie.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, po chwili jednak zamknął je i uśmiechnął się.

- Na pewno?

- Na pewno. Do jasnej cholery, Ben. Dlaczego zajęło ci to tak dużo czasu?

Przeszła przez ogrodzenie i rzuciła mu się w ramiona.